



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

---

DANTE ALIGHIERI

# *Boska Komedia*

tłum. Julian Korsak

# Spis treści

*Julian Korsak*

Wstęp . . . . .	3
O życiu i dziełach Dantego . . . . .	3
Piekło . . . . .	21
Pieśń I . . . . .	21
Pieśń II . . . . .	24
Pieśń III . . . . .	26
Pieśń IV . . . . .	29
Pieśń V . . . . .	32
Pieśń VI . . . . .	34
Pieśń VII . . . . .	37
Pieśń VIII . . . . .	39
Pieśń IX . . . . .	42
Pieśń X . . . . .	44
Pieśń XI . . . . .	47
Pieśń XII . . . . .	49
Pieśń XIII . . . . .	52
Pieśń XIV . . . . .	55
Pieśń XV . . . . .	57
Pieśń XVI . . . . .	60
Pieśń XVII . . . . .	62
Pieśń XVIII . . . . .	65
Pieśń XIX . . . . .	68
Pieśń XX . . . . .	70
Pieśń XXI . . . . .	73
Pieśń XXII . . . . .	75
Pieśń XXIII . . . . .	78
Pieśń XXIV . . . . .	81
Pieśń XXV . . . . .	83
Pieśń XXVI . . . . .	86
Pieśń XXVII . . . . .	89
Pieśń XXVIII . . . . .	91
Pieśń XXIX . . . . .	94
Pieśń XXX . . . . .	96
Pieśń XXXI . . . . .	99
Pieśń XXXII . . . . .	101
Pieśń XXXIII . . . . .	104
Pieśń XXXIV . . . . .	107
Czyściec . . . . .	110
Pieśń I . . . . .	110
Pieśń II . . . . .	112
Pieśń III . . . . .	115
Pieśń IV . . . . .	117
Pieśń V . . . . .	120
Pieśń VI . . . . .	122
Pieśń VII . . . . .	125

Pieśń VIII . . . . .	128
Pieśń IX . . . . .	130
Pieśń X . . . . .	133
Pieśń XI . . . . .	135
Pieśń XII . . . . .	138
Pieśń XIII . . . . .	140
Pieśń XIV . . . . .	143
Pieśń XV . . . . .	146
Pieśń XVI . . . . .	149
Pieśń XVII . . . . .	152
Pieśń XVIII . . . . .	155
Pieśń XIX . . . . .	157
Pieśń XX . . . . .	160
Pieśń XXI . . . . .	163
Pieśń XXII . . . . .	166
Pieśń XXIII . . . . .	169
Pieśń XXIV . . . . .	171
Pieśń XXV . . . . .	174
Pieśń XXVI . . . . .	177
Pieśń XXVII . . . . .	180
Pieśń XXVIII . . . . .	182
Pieśń XXIX . . . . .	185
Pieśń XXX . . . . .	188
Pieśń XXXI . . . . .	191
Pieśń XXXII . . . . .	194
Pieśń XXXIII . . . . .	198
Raj . . . . .	200
Pieśń I . . . . .	200
Pieśń II . . . . .	203
Pieśń III . . . . .	206
Pieśń IV . . . . .	209
Pieśń V . . . . .	212
Pieśń VI . . . . .	215
Pieśń VII . . . . .	217
Pieśń VIII . . . . .	220
Pieśń IX . . . . .	223
Pieśń X . . . . .	226
Pieśń XI . . . . .	229
Pieśń XII . . . . .	232
Pieśń XIII . . . . .	234
Pieśń XIV . . . . .	237
Pieśń XV . . . . .	240
Pieśń XVI . . . . .	243
Pieśń XVII . . . . .	246
Pieśń XVIII . . . . .	248
Pieśń XIX . . . . .	251
Pieśń XX . . . . .	254
Pieśń XXI . . . . .	257
Pieśń XXII . . . . .	260
Pieśń XXIII . . . . .	263
Pieśń XXIV . . . . .	266
Pieśń XXV . . . . .	268
Pieśń XXVI . . . . .	271
Pieśń XXVII . . . . .	274
Pieśń XXVIII . . . . .	277
Pieśń XXIX . . . . .	279
Pieśń XXX . . . . .	282

Pieśń XXXI . . . . .	285
Pieśń XXXII . . . . .	288
Pieśń XXXIII . . . . .	291

## Wstęp

Julian Korsak urodzony w 1807 r., zmarły w 1855 r., przyjaciel Mickiewicza, poeta i tłumacz, był pierwszym w piśmiennictwie polskim, który przedsięwziął pracę ogromnie trudną i szczęśliwie jej dokonał: jemu zawdzięcza piśmiennictwo polskie pierwszy całkowity przekład jednego z największych arcydzieł poezji, *Boskiej Komedii* Dantego.

Przekład Korsaka wyszedł w 5 lat po śmierci poety, bo dopiero w 1860 r., w Warszawie, u Orgelbranda. Tłumaczenie Korsaka ma przede wszystkim jedną nieocenioną zaletę — jest ono bardzo jasne, łatwo zrozumiałe i dlatego najodpowiedniejsze, aby pośredniczyć w pierwszym zaznajomieniu się z dziełem, nad którego objaśnieniem od tylu wieków tylu komentatorów łamało głowy. Przy tym zdaniem znawców, poetycznym polotem góruje przekład Korsaka nad przekładem nierymowanym Stanisławskiego, który jako drugi z rzędu tłumacz *Boską Komedię* oblekł w słowa polskie.

Wydając w „Bibliotece powszechnej” *Boską Komedię* w przekładzie Korsaka, powtórzyliśmy także wstęp i objaśnienia, jakie się znajdują w wydaniu pierwotnym. Wstęp jednak uczyniliśmy przejrzystszym, opuszczając kilka miejsc mniej ważnych, także objaśnienia i uwagi niektóre skróciliśmy; wszystkie objaśnienia jednak przejrzelśmy, wiele z nich skracając, zmieniając albo rozszerzając, wiele też dodaliśmy nowych, które nam się wydawały potrzebne. Także tekst przekładu stał się łatwiej zrozumiały wskutek właściwej interpunkcji, gdyż pierwsze wydanie pod tym względem mocno kulało. Również krótkie napisy nad każdą pieśnią powinny się przydać czytelnikom.

## O życiu i dziełach Dantego

Dante, a właściwiej zwany Durante (bo pierwsze imię powstało ze zdrobnienia drugiego), urodził się we Florencji 27 maja 1265 roku z ojca Alighieri degli Elisei, wywodzącego ród swój ze starożytnej czystej krwi rzymskiej, uczonego prawnika i sekretarza rządu ówczesnej Rzeczypospolitej Florenckiej, a z matki Donny Belli. Pamiętne w dziejach wypadki otaczały kolebkę poety: krucjata tunetańska; po długim i burzliwym bezkrólewiu wybór na tron rzymskiego państwa Rudolfa z Habsburgu; drugi sobór lugduński; nieszpory sycylijskie; śmierć głodowa Ugolina; Florencja, ojczyzna jego, podzielona na dwa nieprzyjazne obozy stronnictw gwelfów i gibelinów: pierwszych jako stojących w obronie najwyższej władzy Kościoła, niepodległości włoskiej i przywilejów mieszczańskich, drugich jako broniących praw feudalnych i wszechwładztwa rzymskiego cesarstwa. Były to wypadki, które jak chmury i huragany przesuwają się lub huczały po świecie w chwili, gdy pierwsza myśl i uwaga poety obudzały się na świat, w którym miał żyć, działać, cierpieć i śpiewać.

Dante, jak każdy geniusz nadzwyczajny, miał swoją legendę. Bokacjusz, jego biograf, twierdzi, że Donna Bella, matka poety, będąc brzemenną, miała sen dziwny. Przyśniła się jej piękna i zielona łąka, przerżnięta szerokim i jasnym strumieniem; nad brzegiem jego rosło wysokie laurowe drzewo, pod którym urodziła dziecko; dziecko karmiąc się owocami spadłymi z lauru i pijąc wodę z jasnego strumienia, szybko w oczach jej rosło i stało się urodziwym pasterzem, który w chwili, gdy się nachylił ku ziemi, aby podjąć owoc laurowy, przeobraził się w pawia i powstał już ptakiem. Po takim śnie niedługo Donna Bella powiła dziecię i za zgodą męża dała mu na chrzcie świętym, nie bez znaczenia, imię

*Durante*, co po włosku znaczy: *trwający, który ma trwać*. Brunetto Latini, literat i astrolog, przyjaciel ojca Dantego, wyciągnął dlań horoskop przyszłej jego dziecka wziętości i sławy; bo czytając w gwiazdach zauważył, że w dzień urodzin Dantego słońce stało w konstelacji Bliźniąt, co miało być wróżbą na przyszłość wielkiej cześci dla nowo narodzonego.

Ojciec Dantego umarł w roku 1275; matka jego o niewiele lat śmierć męża przeżyła. W dostatnim spadku po ojcu znalazły się środki starannego wychowania dziesięcioletniego sieroty. Tenże sam Brunetto Latini, o którym nadmieniliśmy wyżej, uczeń Sorbony paryskiej, prawnik, retor, pierwszy tłumacz włoski kilku dzieł Cyserona, autor *Skarbca (il tesoro)*, ówczesnej encyklopedii, i *Skarbczyka (il tesoretto)*, w którym rymował swoje alegoryczne fantazje, człowiek różnostronnego wykształcenia, wezwany był przez matkę poety na jego opiekuna, mentora i nauczyciela. Brunetto Latini za życia i po śmierci Donny Belli sumiennie wywiązywał się z włożonego nań obowiązku. Odgadłszy w uczniu swoim nadzwyczajne zdolności, ogromną pamięć i zmysł pojmowania każdej nauki, różnostronnie rozwijał i kształcił umysł młodzieńca. Uczył go języków, poetyki, filozofii, fizyki, astronomii i nauk politycznych, kształcąc ucznia na przyszłego męża stanu w Rzeczypospolitej Florenckiej. Ulubionymi autorami młodości Dantego byli poeci łacińscy; Wirgiliusza całego umiał na pamięć, którego piękność stylu później sam pisząc naśladował. Tenże sam Brunetto Latini przez Dantego (dowód nieubłaganego a bezstronnego w sprawiedliwości swojej sądu poety, jakim zarazem potępiał swoich przyjaciół i nieprzyjaciół), w jego *Boskiej Komedii* za grzech, jakim się za życia kalał, wtrącony był do piekła; wszakże jako wdzięczny uczeń poświęcił mu w swej epopei czuły ustęp, wynurzając dlań wdzięczność, że go pierwszy nauczył, jak się unieśmiertelnić.

Najważniejszym z niewielu doszłych do nas szczegółów o młodości Dantego, była jego miłość do Beatrycze. Beatrycze urodziła się we Florencji, w 1266 roku. Ojciec jej, Folko Portinari, zamożny i zacny obywatel florencki, założył szpital przy kościele Santa Maria Novella. Gdyby nie tablica marmurowa, która do dzisiaj znajduje się we wnętrzu budowy tego szpitala, poświadczająca pobożną fundację Folka Portinari i że pobożny fundator miał jedyną córkę imieniem Beatrycze, potomność nie wiedziałaby, z kogo się rodziła, jak dotąd nie wie miejsca jej mogiły. Podczas święta majowego, którym florentyńczycy dorocznie święcili początek swojej pięknej wiosny, Dante zaprowadzony przez ojca na tę majówkę, po raz pierwszy widział, a potem w domu Folka Portinari poznał swoją Beatrycze. Mała różnica wieku i wspólna chęć zabawy dwoje dzieci zbliżyła do siebie; oboje podobali się sobie nawzajem; pierwsza poczyniała, gdy drugi rok dziewiąty życia kończył.

Miłość Dantego do Beatrycze zrazu dziecinna, z latami dojrzała w młodzieńczą namiętność: kochał ją czystą, platoniczną miłością przez całe jej życie; śmierć jej w roku 1292 oplakiwał serdecznymi łzami; od tej chwili, jak sam wyraża się energicznie: oczy jego zamieniły się w dwie żądze płaczu. Pierwsza miłość zatliła w nim pierwszą iskrę poetyczną i Dante stał się poetą. Pisał na cześć swojej kochanki wiele sonetów i pieśni. Zbiór ich cały zamknął w ramach pierwszego dzieła swojej młodości pod tytułem: *Życie nowe (Vita nuova)*, o którym niżej powiemy obszerniej.

Dante skończywszy domowe wychowanie pod kierunkiem Brunetta Latini, wyższych nauk uczył się w uniwersytetach bonońskim, padewskim i w Sorbonie paryskiej; potem wstąpił do zakonu franciszkanów (a właściwie tercjarzy), jednakże przed ukończeniem nowicjatu, dość rychło klasztorną sukienkę zamienił na świecką. W roku 1289 pochwylił oręż w obronie zagrożonej niepodległości swojego kraju; w bitwie pod Kampaldino, jako odważny żołnierz, bił się walecznie, a radą swoją przyczyniając się do wygranej, dowiódł, że nie brakowało mu zdolności w sztuce wojennej. Znajdował się osobiście przy wzięciu szturmem zamku Kaprony, gdzie, powiadają, osnuł pierwszą myśl napisania sławnego ustępu w *Boskiej Komedii*, śmierci Ugolina.

W rok po śmierci Beatrycze ożenił się z Gemmą z domu Donati. Co skłoniło Dantego oplakującego śmierć kochanki do tak nagłego ożenienia się? Rozmaite zdania krzyżują się z sobą: jedni przypisują stroskanemu poecie po tak bolesnej stracie nadzieję złagodzenia cierpień w cichym domowym pożyciu i chęć odrodzenia się przez dzieci; drudzy widokom politycznym w celu spokrewnienia się przez żonę z arystokratyczną rodziną Donatich, współcześnie wywierającą poważny wpływ na losy Rzeczypospolitej florenckiej. Gemma, co po włosku znaczy klejnot, jak widać nie była klejnotem płci swojej; Dante w pożyciu domowym nie znalazł spodziewanego szczęścia. Powiadają, że Gemma była dlań prawdziwą Ksantypą, a mąż znudzony niewiściami fochami na koniec ją porzucił. Dante z tego związku małżeńskiego miał kilkoro dzieci: dwaj starsi synowie, Piotr i Jakub, stali się godnymi dziedzicami sławy ojca: pierwszy słynął jako uczony prawnik; drugi był sędzią w Weronie i napisał pierwszy komentarz *Boskiej Komedii*. Gabriel, syn trzeci, umarł małoletnim z grasującej zarazy we Florencji; córka jedyna poety, której Dante przez pamięć swojej kochanki dał na imię Beatrycze, oblekła się w zakonny habit w klasztorze św. Szczepana w Rawennie, a Rzeczpospolita Florencka, gdy z czasem szła jej politycznych stronnictw ochłonął, wynagradzając prześladowanie jej ojca, wyznaczyła dla niej pensję dożywotnią.

Dante, który pierwsze lata swej młodości pięknił ideałem miłości i poezji, gorycze domowego pożycia, jeżeli te były rzeczywiste, słodził uprawą sztuk pięknych, nauką i przyjaźnią. Z natury mając zmysł szeroko rozwinięty do pojęcia i pocucia każdej estetycznej piękności, wolne chwile od ważniejszych zatrudnień poświęcał uczeniu się muzyki i rysunków. Raz odrysował anioła, a w twarzy anielskiej nie jeden ze znajomych poety, widząc ten rysunek, łatwo odgadł podobieństwo do jego kochanki Beatrycze. Współcześni jemu poeci: Guido Cavalcanti, Dante Maiano, imiennik poety, Cino da Pistoia, szczylicili się jego przyjaźnią. Muzyk Casella, malarz Giotto, architekt Arnolfo, żyli z nim w przyjaznych i poufnych stosunkach. Tak Dante najpiękniejszą porę swego życia przeżył w czarowanej atmosferze artystycznej, w czasie, kiedy wszystkie sztuki piękne jak kwiat z pączka rozwijały się bujnie i kwiecisto pod niebem włoskim, kiedy Florencja budowała pyszne pałace, kościół Świętego Krzyża i katedrę: dziś jeszcze zadziwiające pomniki budownictwa, które przydomek Pięknej jej dały.

Lecz artyzm i nauka nie stały się wyłącznie kapłaństwem duszy poety; uczucie, myśl i słowo nie mogły całkiem jej zapełnić, brakło jeszcze jej — czynu! Dante wpisuje się w listę obywateli florenckich, do korporacji medyków, których wtedy zwano fizykami. Florencja wtedy, jak Rzym dawny, wyzwoliwszy się spod jarzma szlachty, uznała wszechwładztwo ludowe, a obyczajem miast średniowiecznych podzielona była na korporacje, czyli cechy uczone, sztuk i rzemiosł użytecznych. Z tych cechów wybierano losem dwunastu priorów, czyli pierwszych urzędników miasta. Dante wyjątkowo został priorem z wolnego wyboru, w roku 1300, a 35 życia swego. Przez dwa lata uprzednio posłował do rozmaitych wolnych miast włoskich i do zagranicznych dworów monarszych; jak wprawdzie naukom i sztukom pięknym, z równym zapałem poświęcił się dobru publicznemu, o którym w czasach zaburzeń i kłótni krajowych mało kto myślał. Razu jednego, gdy się wahał, czy przyjmie misję dyplomatyczną, dość drażliwą i trudną do spełnienia, ze szlachetną i zarazem pełną wzdargi dla swoich ziomków dumą zawołał: „Któż więc pójdzie, jeśli ja zostanę, a kto zostanie, jeśli ja pójdę?”

Rok 1300 gra ważną rolę w życiu poety; w tym roku zaczął pisać nieśmiertelny swój poemat, który nazwał, stosując się do prawideł poetyki Horacego, ze względu na mieszany rodzaj jego stylu, komedią; w tymże samym roku wyniesiony był na urząd prioratu, z którego początek wzięły jego gorycze i przyszłe nieszczęścia. Dante zasiadający w najwyższej magistraturze Rzeczypospolitej Florenckiej niedługo cieszył się jej pozornym pokojem; hydra stronnictw politycznych przez czas jakiś milczkiem pełzająca, podniosła śmiało głowę. Rząd florencki, sam złożony z członków tychże stronnictw, nie miał dosyć siły do po-

wściągnięcia anarchii. Stronnictwa gwelfów i gibelinów po krótkim odpoczynku, spiskując i drażniąc się nawzajem, zabierały się do nowych zapasów, a same waśniąc się między sobą, odszczepieńcami powiększały wzajemnie szyki swych nieprzyjaciół. Stronnictwo gwelfów tryumfujące we Florencji podzieliło się na dwa obozy: możne familie Cerkich i Donatów, rozjątrzone osobistą urazą, zatknęły w nich swoje herbowe chorągwie. Gwelfowie z miasta Pistoii, podobnie rozdzieleni niezgodą, zasłyszawszy o kłótniach florenckich, w znacznej liczbie przenieśli się do Florencji, gdzie tlejące pod popiołem zarzewie niezgodą rozdmuchawszy, dali początek znajomemu w historii przezwisku *białych* i *czarnych* gwelfów. Plebejusze barwę białą, a patrycjusze barwę czarną przyjęli za godło. Dante, gwelf z tradycyjnych skłonności rodzinnych, przychylił się do gwelfów białych; lecz gdy stronnictwa zapalone świeżą nienawiścią na przechadzkach i obrzędach publicznych z orężem w ręku ścierały się z sobą, a krew zaczęła płynąć, Dante, urzędnik bezstronny i surowy, brzydzący się bezrządem, naczelników stronnictw wojujących skazał na wygnanie. *Biali*, w których liczbie był Guido Cavalcanti, osobisty przyjaciel poety, wkrótce powrócili z wygnania, a *czarni* spiskowali za krajem. Dante pragnąc co prędzej położyć koniec tej wojnie domowej i pogodzić szermujące stronnictwa, pojechał w poselstwie do Rzymu; lecz to posłannictwo już było nie w porę. Bonifacy VIII siedzący na stolicy apostolskiej, widząc Florencję zwichrzoną domową niezgodą, przychylił się do stronnictwa *czarnych*. Karol, książę francuski, a brat króla Francji Filipa Pięknego, do Włoch przez papieża wezwany dla obrony Sycylii od roszczeń władców aragońskich, teraz na żądanie świętej stolicy, w roku 1301 jako pośrednik z licznym wojskiem wkroczył do Florencji. Lecz książę francuski źle się uścił z włożonego nań przez papieża obowiązku pośrednictwa. *Czarni* ośmieleni potężnym wsparciem Karola wrócili do Florencji, wprowadzając za sobą zemstę i niezgodę, a zawładnąwszy sterem rządu, wygnali sześciuset *białych*; Dante zaocznie skazany był na wygnanie, a potem na karę ognia, jeśliby był schwytany na ziemi florenckiej; dom jego zrabowano i zniszczono. Dante wieść o zapadłym nań wyroku odebrał w Rzymie dnia 27 stycznia 1302 r.; dusza jego ognista, szlachetna i nieugięta tak dziki wyrok przyjęła z oburzeniem; gwelf wygnany przez gwelfów stał się gibelinem.

Ta nagła zmiana jego wiary politycznej wynikała może z głębokiego poglądu na ludzi i wypadki współczesne; w demokracji ludowej widział słabość i bezrząd, w gibelinizmie, czyli w monarchii powszechnej, porządek i siłę, a w tych obojgu pewną rękojmię przyszłego uspokojenia zwichrzonej stronnictwami Italii. Dante, wygnaniec i tułacz, porwany wirem namiętności politycznych, wiązał się z gibelinami; dwory Scaligierów w Weronie, Malespiny z Lunigiane, Canagrandy della Scala, wygnańcowi poecie w swych gościnnych progach kolejną ofiarowały przytułek i pomieszkanie. Obyczaj dworski i duma gibelinów, z którymi nie mógł i nie umiał się zgadzać, często dawały mu uczuć gorzkość wygnania, jaką to w *Boskiej Komedi* tak wyraził: „O jakże jest słonym chleb cudzy! Jak przykrą jest droga, kiedy potrzeba po cudzych schodach wstępować i schodzić!”. Przez księcia Werony, u którego znalazł gościnne schronienie, zapytany: „Dlaczego na jego dworze lada trefniś lub kuglarz więcej wzbudza pociągu i podziwu niżli on, powszechnie uznany za mędrca” wręcz odpowiedział: „Ponieważ podobni lubią podobnych!”. Drażliwy i nieugięty charakter wygnańca poety w jego stosunkach osobistych objawił się zarówno w jego życiu politycznym i w jego tęsknocie powrotu do swego kraju. Miłość czysta i głęboka swej ziemi i swych ziomków często w nim tłumila osobiste urazy; różnymi drogami starał się powrócić z wygnania oprócz płaszczenia się i pokory. W roku 1304 ze swymi współwygnańcami próbował z bronią w ręku otworzyć drzwi dlań zamknięte ukochanej Florencji. Gdy nadzieje tej wyprawy spęłżyły na niczym, strzelistą dezwą poczynającą się od słów: *Popule mi, quid feci tibi?*, chciał poruszyć rozjątrzone na siebie lud florencki do litości nad sobą. Lecz kiedy Florencja ofiarowała mu powrót z wygnania pod warunkiem opłaty kary pieniężnej, odrzucił to z pogardą jako ubliżające jego godności osobistej.



Dante przez lata następne tułał się po rozmaitych miastach włoskich, obnosząc i pokazując wszystkim, jak sam się wyraża, rany swego serca. Lecz w tej ciernistej wędrowce tułaczkiej podtrzymywały jego siłę moralną nauka i praca, te dwie ziemskie pocieszycielki dusz wielkich a nieszczęśliwych! W tym przeciągu czasu poświęcił się nauce teologii i filozofii. Z żelazną wolą naginając się do różnostronnej pracy, pisał zarazem swoją nieśmiertelną komedię. Była to stała i nierozdzielna towarzyszka jego wygnania. Gdy jej część pierwsza pod napisem: *Piekło*, szybko rozleciała się po całych Włoszech, odtąd popularność Dantego jako poety rosła bez końca. Lud włoski widząc po raz pierwszy objawionych tyle wzniosłych myśli i obrazów w swoim języku, sam język przez poetę uszlachetniony i podniesiony do najwyższej potęgi słowa i formy poetycznej, chciwie chwycił, przepisywał i uczył się na pamięć wierszy poety, deklamując je po rynkach i ulicach miast swoich. Przeróżające obrazy kręgów piekielnych, nakreślone mistrzowskim piórem poety, zapalały żywą i wrażliwą imaginację ludu włoskiego; widział on w tych obrazach kar pozaświatowych odtworzony obraz ziemskiej anarchii demagogicznej, jaką jego miasta i rzeczpospolite wicherzyły. Dante dla ludu włoskiego staje się istotą pośrednią między człowiekiem a duchem; on wie, co się dzieje w piekle, wszystkich potępieńców umarłych, a nawet żyjących zna po imieniu. I tak: gdy poeta chce wyrzucić zemstę na trzech florentczykach, najzaciętszych swych wrogach, nie zabija ich; lecz w swoich wierszach powiada, że ci trzej byli umarli, że ich sam widział w piekle, i że ich ciała na ziemi żyją tylko pozornym życiem ożywionym przez szatanów. Ogromna była popularność i potęga geniusza Dantego, jaką na lud włoski wywierał. Żywe świadectwa tej popularnej potęgi czasami słyszał poeta z ust żyjących nie bez wewnętrznej pociechy. W Weronie przechodząc wedle bramy miejskiej, przy której na ławie siedziały kobiety, posłyszał jak jedna z nich mówiła cicho do sąsiadki: „Patrz, oto człowiek, który kiedy chce zstępować do piekła i zeń powraca i przynosi wieści na ziemię o potępieńcach”; a druga na to: „Zaiste, co mówisz, powinno być prawdą; czy widzisz, jaką on ma brodę kędzierzawą, a cerę smagłą szerniałą, jest to ogień i dym piekielny”. Słyszając to Dante, jak mówi Bokacjusz, uśmiechnął się i poszedł dalej.

Z ciekawych szczegółów życia Dantego biografowie jego podają następny: Raz jakiś pielgrzym wszedł do furty klasztornej w Korwo; zadumany i milczący stał długo przed zakonnikami. Jeden z nich zapytał go, czego by żądał i czego przyszedł szukać. Pielgrzym, nie odpowiadając ani słowa, przypatrywał się kolumnom i łukom sklepień klasztornych; znecierpliwiony zakonnik zapytał go po raz drugi, czego by tu szukał. Wtenczas pielgrzym obracając z wolną głowę i patrząc w oczy zakonnika odpowiedział: „Pokoju!” Uderzony tą wzniosłą odpowiedzią zakonnik, wziął go na stronę i zamieniwszy z nim słów kilka, poznał, że tym pielgrzymem był sam Dante. Widząc głęboko wzruszonego zakonnika, Dante wyjął z zanadru książkę i uprzejmie mu ją podając, powiedział: „Bracie, oto jest część mojego dzieła, którego może jeszcze nie znasz, przyjmij ją na pamiętkę”. Wziął tę książkę, opowiadał zakonnik, a przycisnąwszy ją do serca, przebiegłem ją wobec Dantego oczyma, lecz gdy znalazłem ją napisaną w języku ludowym, nie mogłem ukryć mego zdziwienia, a zapytany, dlaczego się dziwię, odpowiedziałem: „Dziwi mnie nie pomału, że przedmiot tak wzniosły śpiewał w tym języku; bo mi się zdawało rzeczą trudną, a nawet niepodobną, ażeby myśli tak piękne i górne dały się wyrazić mową przez lud nasz włoski używaną”. A on: „Słusznie mówisz, był czas, że ja sam podzielałem twój sposób myślenia; a w chwili, kiedy nasiona do tego dzieła, być może rzucone przez niebo, poczynają kielkować w mej duszy, wybrałem język najszlachetniejszy i w nim próbowałem sił moich; lecz zważywszy warunki wieku obecnego, że tytuł sławnych poetów, piszących w tym języku, dziś nikt nie czyta, a szlachta, dla której pisali, w tych dobrych czasach zaprzątnięta czym innym, uprawę sztuk pięknych ustąpiła plebejuszom, rzuciłem tę słabą lirę, na której przegrywać zacząłem, a nastroiłem drugą, więcej stosowną do ucha współczesnych; bo w chlebie twardym nie smakują usta nowo narodzonych”. Tak rzekł i dodał wie-

le innych rzeczy pełnych wzniosłego zapachu. Ten szczegół z życia poety świeci jako piękna gałązka w wieńcu jego sławy; jest zarazem świadectwem, że Dante pierwszy wyłamał się z więzów panującej wtenczas łaciny, a sam tworząc prawie i kształcąc z języka ludowego język książkowy, pierwszy olbrzymim przykładem rozwój literatur narodowych w Europie przyspieszył.

Rok 1310 znowu odwołał Dantego od ksiąg i pióra na pole walk i czynu. W tym roku wstąpiwszy na tron cesarstwa niemieckiego, książę luksemburski pod imieniem Henryka VII obudził nadzieje gibelinów włoskich od lat kilkudziesięciu własnym swoim siłom zostawionych. Dante z przekonania politycznego gibelin, a moralnie przekonany, że tylko siła zespolona z porządkiem mogą zdusić hydrę anarchiczną w jego ojczyźnie, wymownym manifestem wzywał nowego cesarza, ażeby z wojskiem wkroczył do Florencji i wygnał z niej triumfujące, a nieprzyjazne pokojowi tej rzeczypospolitej stronnictwo. Nadto, wypracował w języku łacińskim uczoną rozprawę *De Monarchia*, którą temuż Henrykowi VII przypisał. Dante w tej rozprawie występuje jako żarliwy apologeta monarchii; w niej widzi najdoskonalszą formę rządu, jedyny środek przyspieszenia cywilizacji naszego globu, pod tarczą i orędownictwem jej władzy, spokojny i stopniowy rozwój wszystkich zarazem woli. Monarchia według pojęć Dantego jest to wszechwładztwo ustanowione w interesie wszystkich, które zniża albo znosi wypukłości społeczne, o ile się te przyczyniają do zniszczenia równości powszechnej. Kościół przez nią jest uznany jako władza boska w swoim początku, a nietykalna. Duchowieństwo i państwo, niepodległe jedno drugiemu, jednak we wzajemnych pomiędzy sobą stosunkach, jedno od drugiego są zależne. Papież jest wasalem czasowym Cezara i świętego rzymskiego państwa, a nawzajem Cezar jest duchowną owieczką świętego Piotra. Tak Dante w swojej rozprawie o monarchii przyjął na siebie trudną rolę pośrednika w sporze od lat z górą dwustu toczącym się między doktorami kościoła a mężami stanu średniowiecznego państwa.

Henryk VII zachęcony wezwaniem gibelinów roił sobie, że triumfalnym pochodem przejdzie przez Włochy do Rzymu i w Lateranie cesarską włoży na głowę koronę. Zebrawszy naprędce wojsko, zajął Lombardię i wkroczył do Toskanii. Lecz Siena, Luka i Florencja polot jego orła wstrzymały; znudzony długim uporem anarchicznych rzeczypospolitych włoskich, zniszczywszy rabunkami żyzne okolice Florencji, od oblężenia tej ostatniej odstąpił. Te przykre doświadczenia Henryka VII najsmutniej zawiodły gibelinów włoskich, z kolei i Dantego. Florencja rozjątrzona na nowo nieśmiertelnemu swojemu wygnańcowi swoje wrota raz na zawsze zamknęła. Odtąd Dante już więcej nie występował w szrankach politycznych.

Polityczne *credo* poety było wyższe i szlachetniejsze od innych gibelinów i nienawistnych jemu gwelfów. Gdy ci własny interes mając na celu, rozjątrzeni pychą lub zemstą, przyzywali do kraju zbrojnych Niemców i Francuzów, zazdrosny jego patriotyzm wzbudzał podejrzenia zarówno pośrednictwo jednych i drugich. Panowanie obce nad jego krajem przenikało serce jego szlachetną boleścią. W duszy nienawidził Niemców i zarówno Francuzów, a satyrycznym dowcipem piętnował zarówno żarłoczność teutońską, jak i próżność galijską. Lecz wierny swoim zasadom politycznym w osobie cesarza widział naczelnika ludów, nie zaś wyłącznie jednego ludu, przedstawiciela Rzymu królującego nad światem, a tym samym przyrodzonego Włoch protektora.

A tak, przez synowską uległość, poszanowanie dla Kościoła, przez wstręt do zasad i form feudalnych, Dante przechylał się do gwelfów. Teorie zaś monarchiczne i wstręt, jaki czuł do Francuzów, przybliżały go do gibelinów. Lecz ile razy oba te stronnictwa chciały go pociągnąć w wir swych osobistych namiętności i przywiązać doń odpowiedzialność swoich błędów lub zbrodni, śmiało i głośno przeciw nim się oświadczał; surowe jego słowa, jak pioruny na głowy sprawców i współtowarzyszy jego wygnania zarówno spadały, na *czarnych* i *białych*, na gibelinów i gwelfów. Między współczesnymi nie lękał się powiększać liczby swych

nieprzyjaciół, aby potomności przekazać imię czyste i niepokalane hańbiącym go współnictwem.

Ostatni lat dziesiątek wygnania i życia poety zapełniają szczegóły następne. Dante zrozpaczony niepowodzeniem wyprawy Henryka VII na Włochy, a później nagłą śmiercią tego monarchy, do którego wiązał się ostatnimi nadziejami politycznymi i osobistymi powrotu ze swojego wygnania, zrażony do ludzi i czasu, z którymi i w którym żył i działał, wyłącznie poświęcił się filozoficznym i teologicznym naukom. Przez uczonych współczesnych uznany był za wielkiego teologa, jak poświadcza pierwszy wiersz nagrobka napisany na jego grobie w Rawennie.

W tym czasie zaiste, jeśli wolno domniemywać, myśl ozdobienia genialnej skroni nowym laurem szczytów akademickich duszę poety znękaną troskami i wygnaniem musiała zaprzętać i ożywiać. Jakoż puścił się na uczoną wędrówkę do najpierwszych w średniowiecznej Europie uniwersytetów: zwiedził najpierw Bolonię, a potem Paryż, miejsca, gdzie będąc młodzieńcem, pierwsze światło nauki zaczerpnął. W Paryżu, gdzie niegdyś przy ulicy zwanej *Rue de Foarre*, siedząc na kule słomianym z towarzyszami, ten nieśmiertelny uczeń słuchał profesora Sorbony Sigiera, którego z zapomnienia wydobył i kilka wierszy w X pieśni Raju jego pamięci poświęcił, ubiegał się o stopień doktora w wydziale teologicznym. W wielkiej sali uniwersyteckiej, wobec mnóstwa zebranych słuchaczy świeckich i duchownych, Dante otoczony podwójnym majestatem sławy i nieszczęścia, odbył dysputę uczoną *de quolibet* (o wszystkim, co się komu podoba). Czternastu doktorów Sorbony podało mu czternaście zagadnień rozmaitej treści naukowej do rozwiązania, na które wręcz z pamięci z całą żywością i mocą dowodu i wywodu zwycięsko odpowiedział. Nadto czytał jeszcze uczony wykład trudniejszych miejsc z sumy teologicznej św. Tomasza i z Pisma świętego. Na tym uczonym posiedzeniu jednogłośnie przyznano Dantemu stopień doktora Sorbony paryskiej; lecz z braku pieniędzy na kosztą przyjęcia i otrzymania uczonego patentu, drzwi Sorbony, podobnie jak wrota do jego miasta rodzinnego, przed nim się zamknęły.

Tak dla Dantego nauka jak i życie rzeczywiste miały swe gorczyce. Bez tytułu uczonego, o który się ubiegał, powrócił z Paryża do Włoch. Walcząc często z potrzebami życia, a nawet z ubóstwem, osiadł w mieście włoskiej Gubio, w klasztorze kamedułów, gdzie według podań miejscowych, ostatnią część swej *Boskiej Komedii* napisał. W tym klasztorze pokazują dotąd ciekawym celę, zwaną *celą Dantowską*; w tej celi kardynał Ridolfi 1557 r. kazał wmurować w ścianę popiersie marmurowe poety z napisem u spodu: *Ad tanti viri memoriam revocandam*.

Gwido z Polenty, przyjaciel Dantego od lat młodzieńczych, pod którego dowództwem poeta-żołnierz walczył w sławnej bitwie pod Kampaldino, wezwał go do Rawenny. Dante uprzejmie przyjął to wezwanie, a wiążąc dziwnym zbiegiem wypadków pierwsze wrażenia młodości z ostatnimi wspomnieniami, resztę lat życia spokojnie przepędził pod gościnnym i przyjaznym dachem Gwidona. Z włosem ubielonym troskami i wiekiem, ze zdrowiem styranym życiem gorączkowym i ciągle czynnym, Dante jakby jeszcze nie dość zrobił dla swej sławy, na schyłku wieku wypracował dwa dzieła, pierwsze: *Convito* (biesiada), w którym spisał wszystkie systematy filozofów starożytnych i współczesnych, ażeby, jak sam powiada, chleb arcyraadki nauki zrobić chlebem powszednim i dla wielu dostępnym; drugie dzieło i ostatnie *De Vulgari eloquentia*, gramatycznej i filologicznej treści.

W ostatnim roku przed śmiercią swoją Dante, uznając znikomość rzeczy ziemskich, a duchem cały zatopiony w wieczności, czas swój przepędzał na rozmyślaniach i ćwiczeniach religijnych i stygnącą prawie ręką jeszcze psalmy pokutne tercynami zrymował.

Dante umarł w Rawennie dnia 14 września 1321 r. zakończywszy lat pięćdziesiąt sześć i pięć miesięcy. Ręka szlachetnego przyjaciela i dobroczyńcy poety Gwidona z Polenty zapewne zamknęła jego konające powieki. Zwłoki poety

w kościele franciszkańskim w Rawennie pogrzebione, leżały długo bez żadnego nagrobka i napisu. Wypadki wstrząsające Rawenną nie pozwoliły Gwidonowi z Polenty, prócz wiotkiego zielonego wieńca z lauru, jaki w dzień pogrzebu poety złożył na jego mogile, zbudować trwalszego pomnika. Dopiero w 1483 r. Bernard Bembo, ojciec sławnego kardynała Piotra Bembo, ozdobił mogiłę poety godnym nagrobkiem.

Dante pośmiertną sławą wypełnił całe Włochy; namiętności czasowe i osobiste, ukołysane żalem po stracie poety, wyrodziły się w miłość dla niego i cześć bez granic. Rawenna z nabożną zazdrością strzegła jego popiołów; na dwukrotne domaganie się Florencji odmówiła ich zwrotu. Ta sama Florencja z dziką zemstą prześladowając żyjącego poetę, pozostałe po nim pamiątki otoczyła czcią narodową: dach, pod którym mieszkał, a nawet kamień, na którym lubił siedzieć. Z polecenia rządu florenckiego malarz Giotto wymalował obraz Dantego ubranego w szatę tryumfatora, z wieńcem na skroni, nad jednym z portyków kościoła metropolitalnego, prawie między świętymi patronami miasta. W wieku XV Florencja, Piza, Bolonia i Wenecja pozakładały katedry uczone dla wykładu i objaśnień Dantowskiej *Komedii*. Pierwsze znakomitości włoskie zajmowały się wykładem i tłumaczeniem tekstu tej nieśmiertelnej epopei.

Dante był wzrostu miernego, chód jego powolny i poważny, twarz długa, pociągła i smągła, nos orli, oczy duże, szczęki wydatne, spodnia wargi wystająca naprzód; broda podobnie jak włos na głowie, kędzierzawa i czarna; wyraz twarzy myślący i melancholijny. Moralne rysy charakteru poety, wzniosłe i szlachetne, miały jednak błędy i skazy. Im więcej gdzie jest światła, tam cień bywa mocniejszy.

Dante w pożyciu domowym był łatwy, w przyjaźni wierny i stateczny; towarzystwo kobiet i młodych ludzi rozjaśniało jego czoło zwykle posępne i melancholijne; rozmowa jego pełna myśli wzniosłych, pociągająca, czasami iskrzyła dowcipem i humorem. Lecz wrażliwa czułość jego serca, lubo strzeżona zawsze mu obecną pamięcią Beatrycze, rozpraszała się często na wiele mniej godnych czci jego przedmiotów. Z natury drażliwy i łatwo unoszący się, w starciu się stronnictw politycznych zapalał się gniewem gwałtownym i niepowściągliwym. W sprawach filozoficznych przewidując zarzuty swoich przeciwników, uniesiony gniewem często powiadał: „Nie argumentami, ale raczej sztyletem przystoi odpowiadać na tak płaskie rozumowania”. Raz przechodząc obok kuźni, posłyszał kowala przy kowadle śpiewającego jakąś jego piosenkę; gdy ten zawodząc dzikim głosem, kaleczył nutę i słowa pieśni Dante w gniewie wpada do kuźni, wyrzywa z rąk kowala jego robotę i rzuca o ziemię; przełknięty kowal, myśląc, że widzi przed sobą jakiegoś wariata, zapytał: dlaczego psujesz moją robotę? Dante odpowiedział: „Łotrze, ja robię to samo, coś ty mnie zrobił; ty psujesz moją pracę, ja psuję twoją”. Oślarzowi, który idąc drogą śpiewał także jakąś jego poezję, a poganiając ośła, między każdą zwrotką lub wierszem pokrzykiwał: *Arri!* grzmotnął kijem po plecach, mówiąc: „Kłamiesz, słowa *Arri* nie ma w moich wierszach”. Oślarz, obrażony tak bolesnym przypomnieniem poprawności wiersza, odpowiedział poecie wystawieniem mu języka i pokazaniem figi; poeta w tej chwili musiał się przekonać, że oślarza niepodobna nauczyć estetyki, a szczególnie kijem.

Drobne to anegdotki, ale tym przyjemniej ich się słucha, gdyż zbliżają do naszych pojęć i okazują wśród powszednich okoliczności poetę, którego olbrzymia nadludzka postać przejmując nas dreszczem czci i podziwu.

*Komedia* Dantowska, której uwielbiana ją potomność we dwa wieki po śmierci poety nadała przydomek *boska*, składa się z trzech części: I. *Piekło*, napisana między latami 1300 i 1310 albo 1314; II. *Czyśćciec*, która powstała 1308–1316 (lub 1318); III. *Raj*, pochodząca z ostatnich lat życia poety. *Boska Komedia* należy do nielicznych arcydzieł poetycznych, jakie objawiają się

w epokach przedzielonych długimi wiekami, epokach przebudzenia się lub odrodzenia ludzkości na drodze duchowej. Grunt tych epok sprzyjał wrzuconym weń ziarnom myśli ludzkiej, z których wykluwał się zawsze olbrzymi geniusz, co zbiorową myśl ludzką bez kształtu i wyrazu wcielał w swój utwór, nadając jej kształty, żyjące słowo. Poezja w najwyższej potędze swojej jest proroczym widzeniem nieskończoności; ona objawia Stwórcę w stworzeniu, przeznaczenie człowieka doczesne i wieczne. W kolebce swojej namaszcza się charakterem kapłaństwa, plastyczną i popularną mową odsłania tajemnice dogmatów wiary; względnie do formy, w jaką duch się jej wciela, staje się mitologią, teogonią, filozofią.

Wielkie utwory poetyckie z czasów pogańskich miały swoje podróże do nieba, swoje zstąpienie do piekieł i swoich umarłych wskrzeszonych, co tajemnice życia przyszłego opowiadali. Plato mówi, że za jego czasów krążyły podania o pobycie umarłych pozaświatowym. Troisty podział drugiego świata, jaki później zrobił chrystianizm, już wyraźnie rysuje się w tych mglistych i odległych podaniach.

Chryścianizm podnosząc z prochu upadłe przez grzech pierworodny człowieczeństwo, kształcąc po raz drugi pełnego człowieka na obraz i podobieństwo boże, nie tylko oświecał i utwierdzał jego chwiejący się rozum objawioną wiarą, ale zarazem w nim uduchowiał dwie bodaj najpiękniejsze władze jego duszy: czucie i imaginację. Dlatego to tradycyjna wiara wszystkich ludów starożytnych w cudowność nadprzyrodzoną i w chrystianizmie otrzymała prawo obywatelstwa. Pierwsi męczennicy wiary po więzieniach swoich nawiedzani byli widzeniami cudownymi; opowiadania pustelników Tebaidy, mnichów z góry Athos znalazły echo w murach klasztorów zakonników irlandzkich i po celach benedyktyńskich we Włoszech. Wyobrażenia zakonników podniecona życiem ascetycznym, proste opowiadania oprawiała w bogatsze ramy sztuki, nastrajając czasami ton ich suchy do melodii rymu i pieśni. Taką koleją pod opieką i kierunkiem chrystianizmu rozwijała się literatura legendarna.

W Ewangelii św. Łukasza znajdujemy pierwszy zarys legendy w przypowieści o Łazarzu i bogaczu. Bogacz, który jest w piekle, chce posłać gońca do swoich braci jeszcze żyjących z upomnieniem, ażeby się poprawili ze swoich nieprawości, jeżeli pragną uniknąć kar piekielnych, na co mu odpowiedziano: jeżeli nie chcieli oni słuchać prawa i proroków, tym więcej słuchać nie będą człowieka, który by przyszedł z drugiego świata.

W pierwszych pięciu wiekach naszej ery, legenda ma wyłączny charakter łaski i miłosierdzia, stosownie do obyczajów łagodnych i pokory ducha pierwszych chrześcijan. Męczennicy idąc na stos ognisty albo w cyrkach rzymskich na pożarcie przez lwy i tygrysy, konając w męczarniach, błogosławili swoim katom, a w zachwyceniu palcem wskazywali na niebo, jakby tam i swoich oprawców chcieli za sobą pociągnąć. Tym charakterem łaski i miłosierdzia odznaczają się legendy o św. Saturze i św. Perpetui. Ta święta męczenniczka w wigilię swojego męczeństwa przypomniała sobie młodego brata, który przed kilku laty umarł z raka na twarzy. W widzeniu swoim widziała go, jak palony wewnątrz ogniem tej boleści, nadaremnie chciał zgasić trawiące go pragnienie w głębokich wodach czyszcowych; modliła się długo i gorąco, a następnej nocy brat jej stanął przed nią w całym blasku młodości, ze złotą czarą w ręku, którą w cieniu drzew rajskich czerpał rzeźwiący napój ze źródła nieśmiertelności. Zdało jej się potem, że widziała brata wstępującego po drabinie światła, z wierzchołka której dobry Pasterz doń rękę wyciągał.

Od wieku VI do X, gdy z napływem dzikich ludów z północy na południe powstały pierwiastek barbarzyństwa zaostrzał łagodne rysy pierwotnych chrześcijan, z czasem łaska i miłosierdzie przestały być wyłącznym bodźcem religijnym; dla dzikiej i niezłagodzonej jeszcze religii imaginacji ludowej czuć się dawała potrzeba silniejszego bodźca, jakim była pokuta. Stąd i w legendach tych stuleci panującym jest system pokutujący: dowodem tego z owych czasów jest następująca legenda o czyszczu świętego Patryka.

Pewien rycerz angielski imieniem Oweins, chcąc odpokutować za swoje grzechy, przedsięwziął odbyć pielgrzymkę do czyśćca. I wzięwszy pielgrzymi kij w ręce poszedł do cudownej grotty, niegdyś otwartej za przyczyną modlitwy św. Patryka na wyspie jeziora Dungal. Po długich postach i gorących modlitwach, oświecony radami sąsiednich zakonników, pobożny rycerz przeżegnawszy się, zstąpił odważnie w tę podziemną grootę i wkrótce stanął w miejscu, gdzie były zarazem kary doczesne i męki wieczne. Daremnie pogroźki szatanów usiłują odwrócić go od tej podróży; odważny rycerz nie cofa kroku i na przemian odpychany to naciskany ich zgrają, przebiega przestrzeń mąk niezliczonych. Byli tam grzesznicy przybici krzyżem do ziemi, to opleceni przez ogniste węże i pożerani przez nie; jedni nadzy, wystawieni na wiatry zimowe drżą i zgrzytają zębami od chłodu, drudzy nogami wiszą nad stosami gorejących płomieni, które nigdy nie gasną; jedni uwiązani do koła, które się bez końca obraca, drudzy leżą w głębokich fosach, gdzie wre roztopiony kruszec; inni porwani w powietrze gwałtowną burzą spadają w rzekę, na dnie której stojący szatani długimi żelaznymi krukami tonących przytrzymują. Na środku tej ciemnej jaskini studnia głęboka i ziejąca płomieniem, na przemian pochłania, to wyrzuca dusze przykryte ognistą powłoką. Rycerz poznaje między nimi wielu swoich towarzyszy broni; odwaga jego na koniec słabnie i cały drżący wchodzi na most rzucony nad otchłanią; wąska deska mostu rozszerza się z wolna pod jego stopami, a rycerz przychodzi do drzwi; drzwi się otwierają i przez ich otwór widzi w oddaleniu piękne i wspaniałe ogrody. To Eden stracony przez grzech pierwszego naszego rodzica, zamieszkały w tej chwili przez sprawiedliwych przed ich wejściem do nieba. Ci sprawiedliwi wielkim i wesołym korowodem witają nowego gościa i prowadzą aż do miejsca, z którego mógł widzieć w górze wiekiutą chwałę. Duch Święty zstępuje z nieba i napęłnia sobą całe to zebranie. Pobożny rycerz z tej podziemnej podróży powraca oczyszczony.

Cała ta literatura legendarna, która jak pierwszy kwiat uczucia i wyobraźni ludów średniowiecznych rozwinęła się pod wpływem ciepła wiary, ze swoimi obrazami wiekiutej groźby, czasowej pokuty i wiekiutej pociechy, daleko niżej stoi od wzniosłych i proroczych widzeń św. Pawła i św. Jana. Pierwszy, porwany duchem do nieba oglądał w nim rzeczy niewysłowione językiem żyjących; drugi jako orzeł Chrystusowy orlim wzrokiem zmierzył mury nowej Jerozolimy i głębokości otchłani piekielnej. A jako ostateczny koniec końców, wszystkie pomysły legendarne, wszystkie widzenia proroków, cała cudowność chrystianizmu, jak rzeki do oceanu, w treści jednej schodzą się w osobie boskiej jego Twórcy. On sam, dobrowolna i najwyższa ofiara gładząca grzechy świata, raczył zstąpić do piekła, nie w zachwyceniu ducha, ale w rzeczywistości, ażeby zbawił żywych i umarłych.

Dante, dziecko XIII stulecia, urodzony poeta, którego żywą i wrażliwą wyobraźnię, może z kolebki jeszcze, kołysały mamki i piastunki opowiadaniem cudownych legend; wychowany w atmosferze symbolicznej obrzędów katolickich, ukształcony w mistycznej i dogmatycznej szkole pierwszych doktorów Kościoła, św. Bonawentury i św. Tomasza z Akwinu, kreśląc pierwszy zarys swojej *Komedii*, cykl legendarny do jej formy przyswoił. Geniusz Dantego poczęty w zmierzchu cywilizacji średniowiecznej, nie jest to wszakże: *proles sine matre creata*. Dante jako wielki zdobywca umysłowy całą mądrość świata starożytnego, legendy średniowieczne, co w nich wyczytał lub o nich zasłyszał, chrześcijańską dogmatykę, filozofię i historię, i co tylko z myśli i uczuć współczesnej mu społeczności podsłuchiwał, wszystko piórem obrócił na korzyść swojego utworu. Pełne barwy, ale chaotyczne i luźne pomysły legend stopił w jedną całość organiczną, ostre i niewykończone ich zarysy, formą poetyczną złagodził i zaokrąglił; a myśl ich wewnętrzną, suchą i ascetyczną, żywotnym duchem wiary i symbolicznym znaczeniem ożywił we wzniosłych obrazach *Raju* zapalem, jaskrawą barwą wyobraźni, często się podnosi do niebieskich widzeń św. Pawła; w *Piekle* malując karzącą sprawiedliwość bożą, wiekiutą boleść grzeszników, a w *Czyśćcu* czasowe męki pokutujących zlagodzone nadzieją obcowania z błogosławionymi; z goryczą

zbołałego serca wymiatając na oczy rozwolnienie obyczajów i reguł zakonnych, ostygłość ducha chrześcijańskiego Kościoła członkom i jego naczelnikom, wyrażnie pożyczca barw ciemnych od proroka Apokalipsy.

Dante, którego życie było ciągłym bojowaniem, któremu nieobce były miłość, łzy, chwała, wygnanie i słabości wszystkim nam właściwe, przeskakując myślą granice czasu i przestrzeni, wstąpił w duchu do troistego królestwa, złożonego z piekła, czyśćca i raju i od razu scenę swojej *Boskiej Komedii* rozwinął w nieskończoności. Teraz rzućmy okiem we wnętrze tej bazyliki gotyckiej, przy której budowaniu swoje cegiełki wieki i pokolenia znosiły, do której budowy, jak sam Dante powiada: ziemia i niebo rękę przykładają.

Podania ludowe, być może natchnione przez zjawiska wulkaniczne, umieściły piekło we wnętrznościach naszego globu. Nauka starożytna, przedstawiała to miejsce jako najniższe w świecie, a najdalsze od Empireum. Pismo święte i chrześcijaństwo potwierdziły te podania jako prawdziwe, że dusze, które grzech raz na zawsze od Bóstwa oddalił, żyć muszą jak najdalej od jego pomieszkania. Piekło w *Komedii* Dantowskiej zachowuje jeszcze ślady wszechmocności boskiej. Zrąb piekielny jeszcze na początku, kiedy nie było rzeczy stworzonych prócz nieśmiertelnych, założyły potęgę, mądrość a nawet i miłość; bo słuszną jest, że boleści wieczne są dziedzictwem tych, którzy pogardzili wieczną miłością.

Otchłań piekielna składa się z dziewięciu kręgów, na początku szerszych, potem stopniowo coraz to węższych w miarę, o ile się te zagłębiają na dno otchłani. Krąg pierwszy przyjmuje w swój szeroki obwód dusze tych, co nigdy życiem uczuciowym nie żyli, co przez świat przeszli bez hańby i chwały, aniołów neutralnych między Bogiem a zbuntowanymi aniołami, dusze samolubów! Niżej pod nimi snują się tłumy ludzi, których życie poza obrębem chrześcijaństwa upłynęło bez winy i skazy, a którym brakło tylko poznania Prawdy lub odwagi służenia Prawdzie. Nieobecność wiekuiestej szczęśliwości do której ciągle wzdychają bez nadziei narzuca grubą zaslonę smutku na ich przeznaczenie, które jednak nie jest bez pewnej pociechy i jakiegoś zaszczytu. To jest przedsięwzięcie piekielne! Cztery następne kręgi zamykają w sobie ofiary niepowściągliwości. Krąg siódmy podzielony na trzy oddziały, zamyka ludzi gwałtownych; w kręgu ósmym, który przegradza dziesięć jam wąskich a głębokich, karany jest fałsz, a w dziewiątym zdrada. Oto w przestrzeni takich ram piekła rozwija się cały dramat boleści fizycznych, moralnych i umysłowych. Boleść poczęta z grzechu zachowuje swój pierwotny charakter i pozostaje złem, gdy nie jest złagodzona pokutą. Lecz cierpienia fizyczne każą nam się domyślać bytności zmysłów, których nawzajem pojąć niepodobna bez ich związku z przyrządzonymi im organami. Otóż, nim zmartwychwstanie powszechne powróci potępionym ich ciało, w którym brukali się za życia, dane są im ciała czasowe; cień i mara sami w sobie, a wszelako podlegli boleściom męczarni; czasami z postaci ludzkich przeobrażają się w kształty potworne, w pełzające węże i gady, w krzaki i drzewa tryskające krwią i mówiące lub w żywe płomienie.

Co tylko jest najpotworniejszego w naturze, okropności, jakie tylko może wymyślić wyobraźnia ludzi, niewysłowiona groza sprawiedliwej zemsty bożej, wszystko to się łączy i zamyka w tych męczarniach. Te męczarnie jeszcze się powiększą, kiedy otwarte groby powrócą umarłych do ich życia bez końca, to jest do śmierci wiecznej; bo im ściślej dusza z ciałem się zespoli, tym żywszą stać się powinna czułość, jako z ich związku wynikająca. Kara potępieńców umysłowo-moralna jest następna: zostawiono im pamięć przeszłości, lecz pamięć występku bez żalu i pokuty jest jeszcze jedną więcej dla nich męczarnią (to zdanie oparte jest na powadze *Summy teologicznej* św. Tomasza). Brak miłości to ostatnia kara woli występnej. Stąd pochodzi ta wzajemna potępionych nienawiść, wzajemne ich przekleństwa, ta nienawiść siebie samych, nienawiść Boga, któremu bluźnią pośród mąk swoich. Dlatego to przeklinają miejsce, czas i żywot swojego

poczęcia; stąd pochodzi ta ich sceptyczna żądza nicości, która nigdy wysłuchana nie będzie. Namietności, jakimi wrzeli za życia towarzyszą im i poza grobem; jak niegdyś za życia, równie i teraz chciwi są pochwał, zmysłowych rozkoszy i zemsty. Nie przestając zasługiwać na kary, muszą bez przerwy w nieskończoność je znosić.

Aniołowie strąceni, spadając z wysokości świata duchowego, skazani byli na hańbę przeobrażenia materialnego i obleczeni zostali w ciało (pomysł ten Dantego opiera się na powadze św. Augustyna w dziele jego *De Civitate Dei*). Jednocześnie nadano im władzę prawie wszechmocną nad naturą, o ile ta jest materią. Burze i pioruny są im posłuszne, na ich skinienie wody nad brzegami wzbierają powodzie; czasami kiedy dusze wymykają się spod ich władzy pastwią się nad zwłokami umarłych. Czarne te duchy wywierają wpływ jeszcze więcej powszechny na przeznaczenie ludzkości, pokusa jest ich arcydziełem; często niebezpieczne drogi nauk i umiejętności zastawione są ich sidłami. Oni otwierają bramę piekielną trzem pożądliwościom, to jest zmysłowej rozkoszy, łakomstwu i pysze jako trzem rodzicielkom wszelkiego grzechu na ziemi. Podobni do czynnych i przemyślnych rybaków, ukrywają hak pod zradną przynętą i na wędkę łowią chwiejące się wole; czasami pędzą za swoją zdobyczą aż poza grób; zuchwali, nie boją się nawet o nią walczyć z aniołami i z nimi iść w zapasy, jak za dni dawnych!

Kara lub chłosta jest ich drugim posłannictwem: oni panują nad ludem zatraconym w kręgach piekielnych. Tak w przedsieni piekła widzimy w tłumie samolubów tych aniołów niewdzięcznych, którzy podczas buntu w niebiesiech zostali neutralnymi! Tak przez rozpamiętywanie mitologii i poezji pogańskiej, oprócz jednego starca Charona, którego rysów Dante nie zmienił, Minos, Cerber, Flegiasz, Furie, Centaury, Harpie, Gerion, Kakus i Giganci przekształceni są podług pojęć teologii i podań chrześcijańskich i rozstawieni jako stróże kręgów piekielnych. Niepoliczone szatanów legiony snują się po całym piekle i z rozkoszą przypatrują się okropnym scenom. Lecz te wicherzące legiony są niewolnikami jednego pana i swojego zwierzchnika. On, urodzony pierworodnym, a niegdyś najpiękniejszy z duchów, dziś jest wcieloną złą wolą; on, szukający zła wszędzie, od którego wszelka boleść pochodzi, najstarszy wróg ludzkiego rodzaju, bóstwo smutnej i kłamliwej parodii Plutona (Dis), monarcha królestwa łez i męczarni. Stolica i tron jego stoi w lodach, w samym punkcie środkowym ziemi, na dnie otchłani. Wokoło niego szczeblują wszystkie dziewięć hierarchii potępienia, na nim spoczywa cały system grzechowy. Grzech i boleść, które są tym dla dusz umarłych, czym dla ciał jest ich ciężkość gatunkowa, strąciły go w sam punkt środkowy ziemi, do którego ciężą wszystkie ciała mające wagę. Ciężenie powszechne jego otacza, ciąży nad nim i zewsząd na niego naciska; zbrodnią jego było chcieć pociągnąć do siebie wszelkie stworzenie, za to karą jest jego dźwigać i czuć na sobie cały ciężar stworzenia.

Czystiec, według pomysłu Dantego, jest to góra dnem pograżona w oceanie, a wierzchołkiem swoim dotykająca nieba. Budowa jej koniczna podzielona jest na dziewięć części; część pierwsza jest jakby ścianą czyścową, gdzie dusze pokutują ze zwłoką czasu przetosowaną do przeszkód, jakie na ziemi spóźniły ich leniwą pokutę. Z kolei następuje siedem sfer czyli kręgów stopniowo coraz to węższych, w miarę o ile się od podnóża tej góry podnoszą. Na tych siedmiu kręgach części się siedem grzechów głównych czyli siedem form występnych miłości. Na samym wierzchołku góry, u kresu próby i oczyszczenia, raj ziemski, opustoszały przez grzech pierworodny, rozpacza swoje gaje samotne, pod których cieniem dusze oczyszczone i odrodzone piją z dwóch źródeł; z pierwszego zapomnienie swoich błędów, z drugiego przypomnienie swoich zasług.

Melancholijne sfery czyścowe zaludniają dusze obleczone w ciała subtelne, ciała widzialne, a jednak niedotykalne, wymykające się z uścisków pragnących je



objąć; nie przepuszczają przez siebie światła, a jednakże tak ukształcone, że cierpienia są możliwe w ich wnętrzu i widzialne na zewnątrz. Dlatego to zgotowane są dla nich kary materialne, a wszystkie są stosownym symbolem win i błędów, z jakich się czyszczą; ciężary ogromne naciskają i zginają barki dumnych; włosienica i ślepotą prześladowają zazdrosnych; kłęby dymu otaczają skłonnych do wybuchu gniewu; zgrozą przenika upadlająca postawa łakomców i chciwych leżących twarzą do ziemi, w której skarbach zanadto się kochali; głód wychudza twarze żarłoków, a płomień obejmuje rozkoszniaków zmysłowych. Do tych kar łączą się jeszcze inne środki pokutne, których ascetyzm chrześcijański już próbuje i doświadcza w tym doczesnym życiu, a tymi są: rozmyślanie, modlitwa i zeznanie.

Sprawiedliwi cierpiący mimo stan swój smutny, w jakim śmierć ich postawiła, zachowują pamięć życia przeszłego, a jeśli im brakuje wiadomości czasu obecnego, za to mają odsłoniętą sobie przyszłość. Dawne ich zdolności, nałogi i skłonności są z nimi w czyśćcu, oprócz nowej do złego pokusy. Dla nich zniknęły ponęty ziemskie z różnicami ziemskimi, których one są koniecznym następstwem. Jeżeli jakieś współczucie przywiązują do rzeczy ziemskich, to chyba tylko przez stosunek wzajemny między nimi a ziemią politowania i modlitwy. Wtajemniczeni we wszystkie tajemnice boleści błagają Boga, ażeby ich nam oszczędził i z naszej strony nawzajem, modlitwy i uczynki pobożne nasze wznosząc się do Boga, skłaniając Go do łaski nad cierpiącymi sprawiedliwymi, których ona skraca pokutę. Sumienie złożone w sercu człowieka dla powściągnięcia jego żądz i nadziei, usprawiedliwia w ich oczach kary i boleści jakie tam cierpią; to sumienie usposabia ich do przyjęcia, prawie do ukochania tych mąk ze zmyty grzechowej oczyszczających. Myśl wypełnienia wiecznych wyroków tam gdzie są, szczęśliwe niepodobieństwo grzeszenia odtąd, świetne dziedzictwo, które nie może być dla nich odwołane aż poza dzień ostatni świata; na koniec miłość, która ich nigdy nie opuszcza, hymny śpiewane w braterskim zjednoczeniu ducha, teksty z Pisma św. przytaczane w ich wzajemnych rozmowach, dni w pokoju bez chmury, noce spędzone pod strażą aniołów; jedność Kościoła, który cierpi z Kościołem wojującym i z tym, który triumfuje: wszystko to są pociechy dostateczne dla oczekujących chwili wyzwolenia. W tej to uroczystej chwili dusza poczuje w sobie zarazem uczucie czystości odzyskanej i wolności swojej na nowo zdobytej; wtedy sama zechce ich doświadczać i rozraduje się swoją chęcią, a wtenczas, kiedy zadrży święta góra i zagrzmią niezliczone wołania błogosławionych, ona się podniesie, unoszona własną wolą ku sferom wiekuistego szczęścia.

W średnich wiekach, kiedy nauka kosmogonii była jeszcze w kolebce, Jerozolima, ten punkt moralny, punkt środkowy odrodzonej ludzkości przez ofiarę świętego krzyża uważana była za punkt środkowy geograficzny stałego lądu zamieszkałego przez ludzi. Od źródeł Ebru do ujścia Gangesu, od lodowatych krańców Norwegii do spiekłych stref Etiopii, ziemia zamieszkała, zajmowała jedną półkulę naszego globu, a morza i oceany drugą. Imaginacja średniowiecznych ludów, rozbudzona cudownością podań, z dawna marzyła jakieś dalekie Atlantydy leżące poza słupami Herkulesa. Legenda o podróży do wyspy bajecznej św. Brandana jeszcze więcej łatwowierność ludową w tym wierzeniu utwierdzała. Te Antypody, te tajemnicze zamorskie lądy, stały się jedyną przystanią imaginacji mistycznych dla żeglujących po nieznanych morzach.

Dante, opierając się na podaniach i pojęciach współczesnych, górę czyśćcową i raj ziemski osadził poza słupami Herkulesa na tajemniczych morzach. Piękna to myśl Dantowska, że miejsce, gdzie się urodzili pierwsi rodzice nasi i przez grzech zgubili swój rodzaj, przeciwległym jest miejscu, gdzie się urodził Bóg-człowiek, ażeby nas zbawić. Tak góra Eden i góra Syjon, stają się dwoma biegunami świata, dwoma krańcowymi punktami, na których spełniły się dwie wielkie rewolucje religijne. Myśl nie mniej piękna, ziemię pierwotną przez grzech pierworodny opustoszałą zaludnić duszami, które tenże grzech pierworodny gładzą przez męki czyśćcowe. Góra czyśćcowa wierzchołkiem dotyka się nieba, u stóp jego rozciągają się wszystkie zamieszki powietrzne, ażeby nie przerywać ciszy i pokoju

pokuty; wierzchołek jej otacza czysty eter, w którym ciężkość gatunkowa traci swoją władzę i skąd jest łatwiej ulecieć do nieba.

Dante w budowie zewnętrznej raju, stosownie do karty niebieskiej nakreślonej w astronomicznych księgach Ptolemeusza, która w średnich wiekach jeszcze miała nietykalną powagę, przyswoił współczesne pojęcia astronomiczne do swoich pomysłów. Do ośmiu planet wtenczas znanych i gwiazd stałych, dla wytłumaczenia powszechnego krążenia ciał niebieskich ze wschodu na zachód, dodano jeszcze sferę dziewiątą, nazwaną: *Primum mobile*. Wszystkie sfery krążą naokoło dziesiątej sfery najwyższej, to jest: *Empireum*, otaczającej świat, pomieszkaniem Bóstwa, sfery pełnej światła, życia i miłości. Miłość, to ostatnie słowo systemu świata, sprawczyni harmonii sfer niebieskich! Ponad sferami niebieskimi, gdzie się odbywają rewolucje gwiazd, ponad dziewiątym niebem, które wszystkie te sfery w swój wir ogromny pochwyca, znajduje się niebo empirejskie, światło czyste, światło duchowe, pełne miłości, miłości dobra rzeczywistego, źródło wszelkiej radości i słodczy nad wszystkie słodcze.

Raj, czyli niebo, jest pomieszkaniem wspólnym dusz oczyszczonych próbami życia lub dopełnionej pokuty w czyśćcu. Jeśli poeta przedstawia nam te dusze mieszkające na wysokościach nierównych sfer niebieskich, to jedynie w celu trafienia do pojęcia naszego, ażeby pokazać wyraźniej nierówność ich nagrody zastosowanej do nierówności ich zasług. Dusze te czują sprawiedliwość tej różnicy, a świadomość o niej jest w nich żywiołem organicznym ich szczęśliwości; bo miłość, jaka czyni te dusze szczęśliwymi, wprowadza ich wole w krąg woli boskiej, które w nim toną jak wody w oceanie. Tak pod odmiennymi warunkami każda dusza spotyka kres swojej żądzy, to jest sumę szczęścia, na jaką zasługuje, a z samej rzeczywistości dobrodziejstw wynika cudowny akord hymnu na pochwałę tego, który nagradza.

Podług prawa, jakie się wypełnia w trzech królestwach świata niewidzialnego, dusze błogosławione w zastępstwie czasowej ciał nieobecności, oblekają się w formy widzialne; lecz te formy promienne światłości cudownej, są zastosowane do miary wielkości cnót i zasług, jaka je uwieńcza.

W niebie zaiste organa przestają być niezbędnymi sługami inteligencji; myśl wymienia się bez pomocy słowa, ona już nie zna przeszkód, jakie czas i przestrzeń niegdyś czuć jej dawały; przyszłość jest dla niej jako przeszłość, ona bez trudu zniża się z wysokości niebios aż do poziomego globu, na którym mieszkała. Odtąd wspomnienia ziemskie, a szczególnie święte skłonności, jakie się poczęły na ziemi, nie zacierają się w duszach, które ją opuściły dla pomieszkania lepszego; dusze te rzucają na nas spojrzenia pełne miłosierdzia, służą nam za tłumaczów i posłańców przy tronie Wszechmocnego; na koniec są tą mistyczną drabiną Jakubową, po której wstępuje modlitwa, a schodzi łaska. Lecz są to, że tak powiem, okoliczności podrzędne szczęścia błogosławionych, spojrzyjmy w głąb jego treści. Jeżeli szczęśliwość przypuszcza niepodobieństwo wszelkiej żądzy uprzedniej, ona tylko może objawić się w udoskonaleniu i zadośćuczynieniu pełnym władz ludzkich. Z tych władz jeden rozum panuje nad wszystkimi, rozum nasycą się tylko rozważaniem prawdy, a wszelka prawda spoczywa w duchu bożym; a więc szczęśliwość zawiera się w oglądaniu Boga. Tam to, w tym zwierciadle ogromnym, wybrani Pańscy w jednej i nieruchomej przeźroczy widzą, co było, co jest i co będzie, widzą nawet pojęcia i żądze przed słowem, które je objawia, przed czynem, który je urzeczywistnia. Ich wzrok zagłębia się w głębokościach tym większych, im większa ich zasługa.

Jednakże przyjdzie dzień, który przerwie tę szczęśliwą jednostajność bytu świętych i wybranych Pańskich; będzie to dzień, w którym w swoje ciała się obleką. Ich osoba powrócona do swojej zupełnej całości przyjemniejszą będzie dla Stwórcy, który nawzajem odmierzy im swoją łaskę z większą obfitością. Jasność ich widzeń powiększy się, jednocześnie wzrośnie zapal wewnętrzny, jaki

ich zapala, jednocześnie wyteży się rozpromienienie zewnętrzne, jakie zeń wyniknie. Jak żar w płomieniu, tak zmartwychwstałe ciała wyblśnie w swojej nowej aureoli. Wtenczas wezwani do nieśmiertelności zajmą swoje miejsca wiekuiste, rozpocznie się uczta bez jutra!

Postępując za naturą ludzką aż do kresu jej wysokości, na której się przeobraża, dochodzimy na koniec do istot wyższych, a w języku ludowym są to aniołowie. Ich duch bez przerwy zatopiony w stałym widzeniu Prawdy, nie zna zgoła tych kolei niepamięci i przypomnienia, jakie nam są właściwe: łaska oświecająca, na jaką zasłużyli w dzień próby i pokusy, utwierdza ich wolę. Oni są inteligencją, oni są miłością. Nierówni jednak między sobą, dzielą się na trzy hierarchie, z których każda jeszcze podzielona jest na trzy stopnie. Dziewięć chórów aniołów (bo ta liczba, jako z trzech kwadrat, ma swoje tajemnicze znaczenie), porusza dziewięć sfer niebieskich, udzielając im szybkości ruchu stosownej do zapалу, jakim same gorą. Lecz ich czyn objawia się chętniej w świecie moralnym; za ich to staraniem ziarna cnoty zasiane wschodzą i kielkują w duszach. Jeśli w ucieszach raj ułączają się z błogosławionymi, w czystości ukazują się jako sędziowie, stróże i pocieszyciele sprawiedliwych cierpiących, ich straszne zjawienie się ciemności piekła oświeca, kiedy przychodzą karać zuchwałość szatanów; z nimi podobny bój toczą i na ziemi, gdzie dusz zbawienie lub zatrata jest tych walk owocem.

Stwórca istot duchowych poruszających sfery niebieskie, On, który wszystkie punkty globu pooświecał światłem jednostajnym, do ich orszaku przydał jeszcze jedną istotę duchową, szafarkę wszystkich blasków czasowych, która koleją z rąk do rąk, z rodziny do rodziny, z narodów do narodów, dobra tego świata na przekorę przewidywań i ostrożności ludzkich przeprowadza. Ona obmyśla, sądzi i rządzi z tą samą mądrością, jak inne duchy jej równe; szczęśliwa jak one, toczy sferę daną w jej zarząd, i upodobała sobie w ciągłym ruchu. Ona nie słyszy wyrzekań i klątw miotanych w około niej; ci, którzy powinni by ją chwalić, przecież klą ją imieniem Fortuny.

Jeszcze krok jeden, a już staniemy u kresu przedsięwziętej pielgrzymki duchowej. Lecz ten krok jest bezmierny: od ostatnich wyżyn skończoności aż do nieskończoności; od najwznioślejszych stworzeń aż do ich Stwórcy, jest jeszcze wielka otchłań i potrzeba sił wszystkich zespolonych z sobą rozumu i wiary, ażeby ją przeskoczyć.

Ruch powszechny wszystkich sfer niebieskich i naszego globu każe się domyślać, że jest pierwsza przyczyna, która działa na materię przez atrakcję moralną, że z niej poczęte są wszystkie byty, całe dzieło stworzenia. Boga więc poznajemy przez dowody fizyczne i metafizyczne: Bóg się objawia najwyraźniej, spuszczając niebieską rosę natchnienia na proroków, ewangelistów i apostołów. Jedyne w swojej treści; potęga, mądrość i miłość przyjmują w nim troistą osobowość. On jest duchem, jest środkowym punktem niepodzielnym i zarazem kołem opasującym świat, a sam niczym nieopasany. On jest pierwszą prawdą, za którą wszystko jest ciemnością. On jest dobrocią bez granic i bezwarunkowym dobrem, jest stałym przedmiotem swojej własnej woli, która staje się źródłem i miarą wszelkiej sprawiedliwości; lecz ta sprawiedliwość ma głębokości, jakich dna nie zbada krótki wzrok naszego rozumu. On sam wystarczający sobie w samotności swojej treści, z własnej woli świat stworzył; nie żeby powiększyć swoją szczęśliwość, lecz aby jego chwała rozpromieniona w jego dziełach, sama sobie dała świadectwo. On, zarazem troisty i jeden, wstąpił w czyn. Potęga wykonała to, co mądrość przygotowała, a miłość otworzyła się i objawiła wśród nowych miłości. Forma i materia oddzielne i połączone, jednocześnie, jak z jednego łuku trzy strzały, wyszły z głębokości rodzącej myśli. Istoty form czystych jak aniołowie, same wyżyny świata zajęły; materia zostawiona sama sobie zajęła miejsce najniższe, w środku zaś forma z materią związały się nierozwiązanym węzłem. Wśród niepoliczonych dzieł swoich Bóg najwięcej upodobał człowieka i weń tchnął duszę wolną na swój obraz i podobieństwo. Grzech, skaziwszy to podobieństwo, zniżył człowieka ze stopnia, jaki zajmował we współczuciu swojego Stwórcy. Człowiek sam nie mógł podnieść się z grzechu o swojej sile, potrzeba

było, ażeby sam Bóg podniósł go przez miłosierdzie i sprawiedliwość. Bóg uznał w sobie ten ostatni środek za najlepszy: przez sam czyn jego miłości bezmiernej. Przedwieczne słowo przyłączyło do siebie naszą naturę chorowitą, ułomną i upadłą. To najwyższe upokorzenie dało sprawiedliwości nieubłaganej godną jej ofiarę; nigdy od dnia pierwszego do ostatniej nocy świata nigdy nie widziano i widzieć nie będą spełnienia tak głębokiego i tak wspaniałego zamiaru. Lecz odkupienie wypełnia się tylko udoskonaleniem kolejnym pokoleń przechodzących po tej ziemi lub przez ich uwieńczenie koroną chwały. Jest to przedmiot tej opatrności szczególnej i niepojętej, bądź gdy ich obdarza nierównymi darami, bądź gdy sama posługuje się złem dla triumfu dobra, bądź gdy niewzruszona w swoich wyrokach daje się zmiękczyć modlitwą i zasługą cnoty, bądź gdy sama do siebie pociąga naszego ducha i naszą wolę. Tu Alfa jest zarazem i Omega; Bóg, który się objawił jako stwórca, jednocześnie stał się szafarzem nagrody. On jest przyczyną, On będzie końcem. Tu poeta, zdało się, powinien był zatrzymać się; tu, zdało się, że obraz myśl zanadto ucieleśni. Lecz geniusz Dantowski przyjął wyzwanie; myśl przedsięwzięła uduchowić obraz: i nigdy może ani wprzód, ani dotąd wyrażenie poetyczne nie wzniosło się do czystości doskonalszej, z śmielszą siłą i potęgą słowa. Niebo było otwarte, punkt światły objawił się, a świecił blaskiem, jakiego żadne oko nie wytrzyma. Najmniejsza z gwiazd, jakie widzimy na tej ziemi, wydałyby się jak księżyc, porównana z tym punktem niepodzielnym. Wokoło tego punktu nieruchomego krąg ognia obracał się tak szybko, że prześcigał krążenie sfer niebieskich. Inne kręgi koncentryczne krąg ten otaczały aż do liczby dziewięciu, coraz to szersze w obwodzie, lecz mniej szybkie w obrocie i mniej czystego blasku. W chwili, kiedy poeta uderzony tym widokiem zawisnął między podziwem a zwątpieniem, głos doń przemówił: „Od tego punktu zależą niebo i cała natura”. Był to Bóg! I w tych kręgach, które się nawzajem pociągały do swojego środka, poznał dziewięć hierarchii istot duchowych, które będąc pociągane miłością, same pociągały świat cały. Byli to aniołowie! Potem, kiedy wzrok poety cudownie wzmocniony, mógł ten punkt przeniknąć, co go na początku olśnił, widział w nim wszystko, wszystkie tajemnice stworzenia zebrane w jednej zwiazce, jakby oprawione w jedną księgę to, co kartami rozrzucone jest po świecie. W tym samym punkcie, w głębokości jego, objawiły się mu trzy kręgi, równe w obwodzie, rozmaite w barwie; drugi jakby był odbłaskiem pierwszego, a trzeci jakby ogniem wybuchał z dwóch drugich: to była Trójca! Krąg drugi, im pilniej weń się wpatrywał, nie tracąc pierwotnej barwy, zdało się, malował w swoim środku wizerunek człowieka. Był to symbol wcielenia słowa. I w chwili, kiedy silił się pojąć to cudowne widzenie, poeta poczuciem radości niezwyklej poczuł, że je pojął. W wyteżonym wysileniu ducha nie mógł oczu oderwać od punktu, w którym całe szczęście, do jakiego wzdycha żądza ludzka, było zebrane. Chęć jego i wola łagodnie pociągane weszły na końcu w harmonijny ruch powszechnego porządku. Dzieło uświęcenia w nim było wewnętrznie; wszystkie tajemnice odsłoniły się w intuicji bezpośredniej; była to myśl, co w tej chwili wyłączyła z siebie rozumowanie i przypomnienie; był to stan ducha, na opowiedzenie którego nie ma głosu w mowie ludzkiej; było to zupełne uczestnictwo z tą filozofią, jedną rzeczywistą, filozofią świętych i aniołów, która jest w samym Bogu: miłość bez granic, mądrość bez granic!

W skład cyklu ogólnego *Boskiej Komedii*, jaki już wyłożyliśmy, religijno-poetycznego, wchodzi jeszcze dwa cykle, polityczny i filozoficzny. W cyklu politycznym myśl wewnętrzna dyszy duchem gibelińskim: piekło to anarchia; czyścić to przejście z anarchii do porządku; raj to monarchia boża, typ monarchii imperialnej.

Cykl filozoficzny w poemacie Dantego ma krąg daleko szerszy i wyższego znaczenia.

Dante, żyjąc w czasach burzliwych i sam otoczony ich burzami, jasnowidzeniem swego geniuszu, poza ruchomymi cieniami życia, przeczuł i dostrzegł rzeczywistości nieporuszone. Rozum i wiara wprowadziły go w świat niewidzialny; poprawa moralna samego siebie i całego człowieczeństwa była w nim bodźcem i celem jego pielgrzymki do piekła, czyśćca i raju. Z wysokości drugiego świata spoglądając na rzeczy ludzkie i wypadki ziemskie, odkrywa zarazem ich początek i koniec, waży je i sądzi.

Religia, na łonie której urodził się poeta, nauczyła go obejmować w jednym i tym samym uczuciu braterstwa ludzi wszystkich krajów i czasów; dlatego to jego *Boska Komedia* jest zarysem historii powszechnej, w niej sąd historyczny odpowiada sądowi ostatecznemu; ludzie i czasy, w jakich oni żyli, występują na jej scenę w świetle rzeczywistym. Cała encyklopedia średnich wieków, umiejętności, nauka, sztuki, wynalazki, obyczaje, aż do najdrobniejszych szczegółów życia powszedniego w jej szerokich ramach miejsce dla siebie znalazły. W *Boskiej Komedii*, w przeglądzie tej wielkiej galerii żywych i umarłych, nie przepomniął poeta żadnej wielkiej figury historycznej. Poczynając od Adama i patriarchów, Achilles i bohaterowie trojańscy, Homer i poeci, Arystoteles i mędracy, Brutus i Kato, św. Piotr i Apostołowie, Święci i Ojcowie Kościoła, i cała kolej tych, co nosili z niesławą lub zaszczytem korony lub tiary, aż do Jana XXII, Filipa Pięknego i Henryka VII: wszyscy tam są. W głębokich kręgach piekła, na drodze bolesnej czyśćca, w świetnych sferach raju, zawsze i wszędzie spotykamy człowieka upadłego, pokutującego, przywróconego do godności utraconej; a kiedy w ostatniej pieśni *Raju* podnosi się ostatnia zasłona i pozwala oglądać Tróję Bożą: widzimy w jej głębokościach przedwieczne Słowo złączone z naturą ludzką.

Geniusz Dantego, wykarmiony czytaniem Starego i Nowego Testamentu, musiał iść torem symboliki, z jaką spotykamy się w księgach Pisma św. na każdej karcie; osoby, jakie Dante wprowadza na scenę swej *Komedii*, są rzeczywiste w jego myśli i figuryczne w jego zamiarze. Każda u niego osoba jest ideą wcieloną, ideą i figurą żyjącą; działanie osób wprowadzonych na scenę ściśle jest zastosowane do idei, w imię której działają. Sam Dante o swojej *Komedii* tak powiada: „Myśl tego dzieła nie jest prosta, ale złożona: pierwsza jest literalną, druga alegoryczną albo moralną. Przedmiotem dzieła literalnie pojętego, jest stan dusz po śmierci; bo to jest punkt, wokoło którego obraca się cały cykl poematu. Pod myślą alegoryczną poeta opisuje piekło tego świata, po którym podróżujemy jako pielgrzymi z wolną wolą grzeszenia lub zasługi; a przedmiotem jest człowiek, o ile przez swoje zasługi lub występki poddanym jest sprawiedliwości bożej nagradzającej i karzącej”.

Symbolizm rzeczywiście jest wewnętrzną treścią, duszą *Komedii* Dantowskiej; osoby w niej działające ściśle są historyczne. Zboczenie poety z prostej drogi życia, jego cześć szczególna i strzelista dla Maryi Bogarodzicy i dla św. Łucji, niegdyś patronki Syrakuzy, udział, jaki Beatrycze bierze w uczuciach poety, a Wergiliusz w jego skłonności poetycznej, należą do historii bo są rzeczywiste. Lecz te rzeczywistości są zarazem figurą, symbolicznym znaczeniem. Poeta jest najzupełniejszym wyrażeniem ludzkości, z jej wzniosłymi instynktami, z jej słabościami niewypowiedzianymi. Maryja Bogarodzica, tak czule miłosierna, symbolem jest miłosierdzia bożego, Łucja łaski oświecającej. Beatrycze, która, jak sam wyznaje, za życia podniosła duszę poety nad gniew dusz powszednich, a po swojej śmierci wprowadziła myśl jego w królestwo boże, a która w jego marzeniach młodzieńczych objawiła się mu jako promień piękności boskiej, nie mogła już być dla kochanka poety zwyczajną dziewczicą ziemską; stała się dlań istotą duchową i natchnioną, dziesiątą jego muzą, która w średnich wiekach nad całym muz dziewięciu gromem panowała, to jest teologią. Na koniec Wergiliusz w tychże średnich wiekach zjawiający się pod postacią dla nas dziwną i nieswojską, jako

posłaniec prawdy religijnej, jako przedstawiciel mądrości starożytnej w świecie pogańskim, w pomyśle poetycznym Dantego staje się symbolem rozumu.

Pierwsze dzieło Dantego, pod napisem: *Vita Nuova* (Życie nowe), poczęte w osiemnastym roku życia poety, można uważać jako przedmowę do jego *Boskiej Komedii*. *Życie nowe* jest to pamiętnik młodzieńczej platonicznej miłości poety, jaką pokochał swoją Beatrycze; złożony z kilkunastu pieśni i sonetów, a każda pieśń, każdy sonet poprzedzony jest opisaniem prozą najdrobniejszych szczegółów z miłości poety, z jego uczuć i wrażeń, a zakończony komentarzem myśli i wrażeń w tych pieśniach i sonetach zawartych. Poeta po śmierci ojca kochanki, Folka Portinari, dręczony myślą czarną, że i Beatrycze musi kiedyś umrzeć, wpadł raz w letarg gorączkowy i widzenia w tym śnie objawione opowiada:

„Anioł stanął przed mądrością bożą: »Panie«, zawołał, »na świecie widzą ludzie cudo żyjące, duszę, której blask przez równie piękną powłokę jej ciała odbija się aż do nas; jest to jedyna piękność, jakiej nam jeszcze braknie w niebiesiech. Niebo, o Panie! Wszyscy święci Twoi, wielkim krzykiem domagają się jej u Ciebie«. Miłosierdzie w tej chwili przemówiło za mną do Boga, a Bóg, który dobrze wiedział, o jakiej duszy była mowa, odpowiedział w tych słowach: »Bądźcie cierpliwi, moi kochani, niechaj jeszcze wasza siostra według miary mojej woli pozostanie na ziemi, gdzie ona pociesza człowieka oczekującego jej straty, a który kiedyś zstąpi do piekła i w nim potępionym powie: Widziałem nadzieję błogosławionych«”.

Tak poeta robiąc Beatrycze przedmiotem zawiści samych niebios, na ziemi przyznaje jej moc cudowną; kiedy idzie ulicą miasta, tłum ludu zabiega jej drogę; każdy przerażony jej nadziemską skromnością, jej pokorą, spuszcza oczy ku ziemi; ona jednym spojrzeniem daje spokój, upokarza dumę, rozbraja zawiść, każe zapominać wzajemne urazy; sam poeta po każdej z nią rozmowie czuje w sobie wewnętrzną poprawę, odchodzi od niej lepszym. Lecz te smutne przeczucia i gorączkowe sny poety, jak przepowiednie prorocze, na końcu się sprawdzają:

„Bóg powołał do siebie świętą dziewicę, chciał, ażeby jaśniała w wiekuistej chwale, pod sztandarem Królowej niebios, której imię zawsze ze czcią szczególną wymawiała w modlitwie. Beatrycze umarła; boleść poety nie ma granic, w obłąkaniu myśli zawiadamia wszystkich książąt ziemi o swojej stracie; w zgonie swojej kochanki każe im widzieć przepowiednię zagrażającą przyszłości świata; podczas kiedy jego oczy leją łzy bez przerwy, zmieniają się w dwie żądze płaczu”.

Potem, kiedy czas zlagodził boleść kochanka, Beatrycze, piękniejsza niż była za życia, objawia się w jego pamięci, promienna i nieśmiertelna! Ona w nim żyje nowym życiem, powraca mu światło i natchnienie. Odtąd poczynają się pieśni, w których ją opiewa, jak bez żalu porzuciła to ziemskie wygnanie dla wiecznego pokoju, to święci rocznicę dnia, w którym ona stanęła obok Maryi Panny, w niebie. Ostatnią kartę pamiętników swojego serca kończy w te słowa:

„Po napisaniu ostatniego sonetu nawiedziło mnie cudowne widzenie, w którym widziałem takie rzeczy, że odtąd postanowiłem nic nie mówić o tej niewieście błogosławionej, aż do godziny, kiedy będę mógł godniej o niej przemówić; a teraz usiłuję, ile sił jest we mnie, ażeby ten ślub wypełnić, ona wie o nim! Jeśli się podoba Temu, dla którego i przez którego żyją wszystkie stworzenia, przedłużyć mi jakie kilka lat życia, spodziewam się powiedzieć o niej to, czego jeszcze nikt drugi nie powiedział. A kiedy ślub mój wypełnię, oby się podobało Bogu powołać moją duszę do chwały swojej wespół z ukochaną i błogosławioną Beatrycze, która stoi przed obliczem Boga błogosławionego przez wszystkie wieki!”

Ten krótki wykład pierwszego utworu Dantego wyświeca i historyczny byt Beatrycze i całą czystość miłości platonicznej, jaka natchnęła poetę. Przez tło tego młodzieńczego utworu poety prześwieca wyraźnie zamysł przyszłej apoteozy; Beatrycze i dwoiste znaczenie jej roli w *Boskiej Komedii*.

Dante swoją Beatrycze, której za jej życia winien był, jak sam wyznaje, poprawę samego siebie, a która po zgonie odrywając jego duszę od ziemi, podniosła

ją do ideału chrześcijańskiego, sam będąc uczonym teologiem, zrobił patronką nauki boskiej, a z kolei figurą teologii. W ostatnich pięciu pieśniach *Czyśćca* Beatrycze jako triumfatorka zjawia się na scenie. Tam chór błogosławionych i ewangelistów pozdrawia ją słowami z pieśni Salomona: *Veni sponsa de Libano!* Spostrzegłszy Dantego, nazywa siebie po imieniu: *Ben, ben son Beatrice*. Któż nie odgadnie w tym poetycznym widzeniu, że Beatrycze jest tą mistyczną oblubienicą Salomona, wyobrażającą naukę bożą, czyli teologię!

W przedostatniej pieśni *Raju*, kiedy Beatrycze siedząca na najwyższym szczyśle róży mistycznej, u stóp Królowej niebios Maryi Panny w chwili, gdy poeta za świętym Bernardem powtarzając słowa jego modlitwy wzywa pośrednictwa Matki Miłosierdzia; kiedy też sama Beatrycze wspólnie ze świętymi składa ręce i całym chórem modlą się o przyczynę za nim: w tej uroczystej chwili tajemnicza florentynka staje się patronką i orędowniczką poety.

Znawcy *Boskiej Komedii* w jej rodzinnym języku najlepiej oceniają ciężkie powołanie jej tłumacza i trudności, z jakimi, że pominę Dantowskie wysłowienie poetyczne, tłumacz ledwo nie na każdej karcie walczyć musiał, ażeby myśl poety, często spowitą zasłoną symbolu lub ideą teologiczną, wyrazić jasno i niebłędnie. Biorąc na siebie ciężar niestosowany może do sił moich, mogłem nie wszędzie sprostać wzniosłemu lotowi orła florenckiego; dość dla mnie będzie stać się w literaturze dobrym przykładem i zachęcić sobą szczęśliwsze pióro do drugiego tłumaczenia *Boskiej Komedii*, wołając z chrześcijańską pokorą słowami samego Dantego:

Może kto po mnie w potężniejszej mowie  
Wymodli, że mu Apollo odpowie.

# *Piekło*

## Pieśń I

(Wstęp: Las. Zwierzęta. Wirgiliusz.)  
Z prostego toru w naszych dni połowie  
Wszedłem w las ciemny; jaka gęstwa dzika,  
Jakie w tym lesie okropne pustkowia,  
Żyjący język tego nie wypowie;  
Wspomnienie gorzkie i zgrozą przenika,  
Śmierć odeń gorzką nie więcej być może.  
Lecz o pomocach mówiąc dobroczynnych,  
Jakie spotkałem, zszedłszy w to rozdroże,  
Powiem, com widział, wiele rzeczy innych.  
Jak w ten las wszedłem, przypomnieć nie mogę.  
Senny, prawdziwą opuściłem drogę.  
Ledwo mnie dzika przywiodła drożyna  
Pod górę, gdzie się kończyła dolina,  
W której mi serce zakrzepło od trwogi.  
Podniosłem oczy, wierzch góry wschodzące  
W promienie złote ubierało słońce:  
Pewny przewodnik nasz na wszystkie drogi.

Wtenczas uciszył strach mój, choć niesporo,  
 Wzburzone serca mojego jezioro,  
 Gdy w tę noc straszną ziębiły mnie dreszcze.  
 I jak tonący, gdy z morza wyskoczy,  
 Dysząc piersiami rozbit nieszczęśliwy,  
 Ku niebezpiecznym wodom zwraca oczy,  
 Podobnie duch mój w ten spacer złowrogi,  
 Skąd nigdy człowiek nie wychodzi żywy,  
 Spojrzał za siebie, choć uciekał jeszcze.  
 Wytchnąwszy trochę zmordowanym ciałem,  
 Ruszyłem kroku, ale jeszcze stałem  
 Silnie tą stopą, co była najniżej.  
 I oto w chwili, gdym postąpił wyżej,  
 Pantera z góry, pochyłą jej ścianą,  
 Biegła okryta skórą cętkowaną;  
 Zwinna i rącza, ile pomnieć mogę,  
 Tak mi stanowczo zastąpiła drogę,  
 Że nieraz cofać wstecz musiałem nogę.  
 Był ranek, słońce wschodziło na niebie,  
 Mając też same gwiazdy wkoło siebie,  
 Gdy boża miłość te tak piękne twory  
 Nowymi pchnęła po raz pierwszy tory.  
 Poranek, wiosna rzeźwiąca naturę,  
 Budziły we mnie nadzieję różową,  
 Że świetną zwierza upoluję skórę,  
 Choć nie bez trwogi. Gdy przeszła pantera,  
 Lew szedł naprzeciw i z zadartą głową  
 Głodowym rykiem grzmiał na paszczę całą,  
 Zda się powietrze od przestachu drżało.  
 W ślad szła wilczyca z wpadłymi bokami,  
 Jakby żądz wszystkich wyschła suchotami,  
 Dla której nędzą część świata przymiera.  
 Przez strach, co na mnie spoglądał z jej oczu,  
 Czulem się w jakimś bezwładnym omroczu,  
 Wstąpić na górę straciłem nadzieję.  
 Jak ten, co w zysku z nałogu podoba,  
 Gdy przyjdzie strata, los i siebie wini,  
 Płacze, wszystkimi myślami boleje,  
 W takiej wilczyca stawiała mnie doli;  
 Pchnąc mnie przed sobą, powoli, powoli,  
 W końcu zepchnęła tam, gdzie milczy słońce.  
 Kiedym w dolinę cofał kroki drżące,  
 Patrząc, aż jakaś przede mną osoba  
 Długim milczeniem ochrypiała stoi.  
 Ledwie ją zoczył na wielkiej pustyni,  
 Krzyknąłem: «Błagam, bądź mi litościwym,  
 Kto jesteś, marą, czy człowiekiem żywym?»  
 Głos rzekł: «człowiekiem nie jestem, lecz byłem,  
 Mantuańczycy są rodzice moi,  
 Pod Julijuszem wszedłem na próg świata,  
 Późno, ostatnie gdy doliczał lata.  
 W Rzymie wesoło pod Augustem żyłem,  
 Gdy bogom fałszu stawiano ołtarze.  
 Byłem poetą i śpiewałem męża  
 Z krwi Anchizesa, który przybył z Troi,  
 Gród Ilijonu, gdy dymił w pożarze.  
 Lecz ty, czy dawna troska cię zwycięża,



Czemu dojść nie chcesz tej pięknej wyżyny,  
 Pełnego szczęścia źródła i przyczyny?»  
 Odrzekłem, wstydem czerwieniąc me czoło:  
 «Tyżeś Wirgili? Zdroju, co daleko  
 Tryskasz szeroką poezji rzeką,  
 Zaszczycie, światło spółpoetów tylu,  
 Jam pieśń twą zbałał jak nikt może drugi,  
 Z wielką miłością i długim mozołem,  
 Policz to teraz na karb mej zasługi!  
 Mistrzu! Od ciebie wzięłem piękno stylu,  
 Co mnie tak wielkim honorem zaszczycą.  
 Patrz, oto za mną w ślad pędzi wilczyca,  
 Broń mnie! Patrz, chudą jak wyciąga szyję,  
 Drżą we mnie żyły, krew pulsami bije».  
 Widząc mnie we łzach mędrzec tak powiada:  
 «Inną idź drogą, taka moja rada,  
 Jeśli chcesz umknąć z tej dzikiej ustroni;  
 Zwierzę to często podróżnych napada,  
 Zachodzi w drogę, pożre, gdy dogoni.  
 Zwierzę to niczym chuci nie ostudza,  
 W nim nowy pokarm nowy głód rozbudza.  
 Wiele jest zwierząt, z którymi się para,  
 I więcej będzie; lecz wilczyca stara  
 W paszczę brytana gdy przyjdzie, zachrzęści.  
 Na koniec skona w mękach i boleści.  
 Ziemia i kruszec głodu w nim nie wzmacnia,  
 Żywi go miłość, mądrość i odwaga;  
 On między Feltro a Feltrem się zjawi,  
 Upokorzoną Italię zbawi,  
 Dla której prócz tych, co rym nie wylicza,  
 Umarli Turnus, Kamilla dziewicza.  
 Podłą wilczycę, jej plemię wszeteczne,  
 Przepędzi z grodów jego ręka chrobra,  
 W końcu w triumfie strąci ją do piekła,  
 Skąd pierwsza zazdrość na świat ją wywlekła.  
 Teraz ci radzę dla twojego dobra,  
 Idź za mną, będę twoim przewodnikiem  
 I przeprowadzę przez królestwo wieczne.  
 Tam płacz posłyszysz z rozpachy wykrzykiem,  
 Tam starożytne ujrzysz potępieńce,  
 Co o śmierć drugą wołają w swej męce,  
 I tych, co radzi w płomieniu goreją  
 Z cichym wytrwaniem, bo żyją nadzieją  
 Spółobcowania z błogosławionymi;  
 Chcesz dojść aż do nich i pogościć z nimi;  
 Tam duch godniejszy wprowadzi już ciebie.  
 Bo królujący na wysokim niebie  
 Nie chce, by tacy, co ufają we mnie,  
 W królestwo Jego wchodzili przeze mnie,  
 Nieposłusznego Jego wierze świętej.  
 On świat ma u stóp swojej wielmożności,  
 Tron Jego twierdzą tam na wysokości,  
 Błogi, kto w poczet Jego sług przyjęty».  
 «Poeto!» rzekłem, «wzywam cię na Boga,  
 Któregoś nie znał, jeśli chcesz, bym zdrowo  
 Miejsz tych uniknął według twojej rady,  
 Albo, co gorsze, wilczycy paszczęki:

Prowadź, gdzieś mówił! Moją twoja droga,  
Abym oglądać mógł bramę Piotrową  
I tych, co cierpią wiekuiste męki».   
Duch ruszył naprzód, jam szedł w jego ślady.

## Pieśń II

(Dalszy ciąg wstępu: Beatrycze. Łucja.)  
Dzień gasnął, wszystko, co żyje na ziemi,  
Ukołysane trudy i niewczasy  
W czarniawe nocy topiło wezglowie;  
Jam się uzbrajał jeden iść w zapasy  
Z drogą, z rzeczami litości godnymi,  
Co pamięć moja bez błędu opowie.  
O genijuszu, bądź po mojej chęci!  
Ty, co pisałeś, com widział, pamięci!  
Tu się pokaże twoje uszlachcenie.  
«Poeto!» rzekłem, «wprzód osądź, czy mogę  
O własnej sile iść w tak wielką drogę?  
Ty opowiadasz, jak pomiędzy cienie  
Z ciałem, co czułe, mdłe i skazitelne,  
Zstąpił Eneas w państwo nieśmiertelne.  
Jeśli wróg złego był nań tak łaskawy,  
Myśląc o wielkich skutkach, jakiej sławy  
Krew jego będzie w bohaterów płodna;  
Rzecz ta uwagi wszystkich mędrców godna,  
Bo był wybrany w empirejskim niebie  
Na ojca Romy i państwa dla siebie.  
Wprawdzie zrab jednej i drugiej budowy  
Miastu świętemu za fundament służy,  
Gdzie w kolej siedzi następca Piotrowy.  
W sławnej przez ciebie tej jego podróży  
Już przepowiednie wróżyły prorocze,  
Że on zwycięży i płaszcz papieżowy.  
Na koniec Paweł, ta urna wyboru,  
Był w zachwyceniu ducha wniebowzięty,  
Gdzie duch swój ogniem wiary zapłomienia,  
Która zasadą jest drogi zbawienia.  
Lecz ja dlaczego i po co tu krocę?  
Jam nie Eneas, jam nie Paweł święty,  
Nie jestem godzien takiego honoru,  
Straszy mnie zamiar nieroztropnej drogi.  
Ty jako mędrzec przyczynę mej trwogi  
Lepiej pojmujesz, niż się ja wysłowię».   
Jak ten, co w niechęć odpada ze chcenia,  
Dla nowej myśli nagle zdanie zmienia  
I rzuca zamysł dojrzały w połowie,  
Ważąc się w myślach, nagle ostudzałem  
Zamiar poczęty z tak wielkim zapalem.  
A cień szlachetny: «Zgaduję z twej mowy,  
Że ciebie przestrasz opanował nowy.  
Często gdy trwoga ogarnie człowieka,  
Człowiek od czynu wielkiego ucieka.  
Jak zwierzę cofa cień widma kłamany.

Aby ci koniec położyć tej trwodze,  
 Powiem, com słyszał, dlaczego przychodzę,  
 Co moją litość wzbudziło dla ciebie.  
 Wśród tych, co nie są ni w piekle, ni w niebie,  
 Byłem rozkazem niewiasty wezwany,  
 A ona była tak piękna i święta,  
 Że ją sam o jej prosiłem rozkazy.  
 Więcej jak gwiazdy błyszczą jej oczy,  
 Z ust jej szły pełne słodczy wyrazy,  
 Głos jej anielski, dźwięk mowy uroczy:  
 »Duszo na chlubę Mantui poczęta,  
 O! której sława przez tak długie lata  
 Trwa i trwać będzie aż do końca świata!  
 Wiedz, mój przyjaciel zabląkał się nocą,  
 W strachu z pół drogi cofa kroki swoje;  
 Z wieści powziętych w niebie, ja się boję,  
 By za daleko nie zbłądził w pustkowie,  
 Abym za późno nie przysła z pomocą.  
 Idź, śpiesz i twojej wymowy ozdobą,  
 Czym tylko możesz zbawić, całym sobą,  
 Dopomóż jemu, uspokój mnie w trwodze;  
 Jam Beatrycze, która, byś szedł, mówię.  
 Z miejsca, gdzie żądam powrócić, przychodzę,  
 Miłość aż tutaj przywiodła mnie rada,  
 Miłość te słowa w moje usta wkłada.  
 Przed moim Panem gdy stanę na niebie,  
 Nieraz mi przyjdzie chwalić za to ciebie«.  
 Ona umilkła, jam począł na nowo:  
 »Przez ciebie, pani i wszech cnót królowo,  
 Wyżej w godności człowieczeństwo sięga  
 Od wszystkich istot w kole niebokręga;  
 Twój rozkaz taką ma moc, że w tej chwili  
 Słuchać i spełnić będzie mi najmilej,  
 Więcej twej chęci otwierać nie trzeba.  
 Lecz powiedz, czemu schodzisz nieostrożnie,  
 Bez żadnej trwogi na dno tego środka,  
 Aż z wysokości bezmiernego nieba,  
 Gdzie wrócić sercem tęsknisz tak pobożnie«.  
 »Gdy chcesz do tyła wiedzieć, przyjacielu,«  
 Rzekła, »opowiem ci w słowach niewielu.  
 Schodzę tu śmiało, bo mnie zło nie spotka,  
 Lękać się rzeczy, która drugim szkodzi,  
 Słuszną, lecz innych lękać się nie godzi.  
 Ja tak stworzona jestem z łaski Boga,  
 Mnie nie doścignie waszej nędzy trwoga,  
 Waszej otchłani płomień i pożoga.  
 Jest w niebie pełna miłosierdzia Pani  
 Ona boleje tak nad przeszkodami,  
 Które usunąć dziś twój trud i praca,  
 Że niebo łamie sprawiedliwość dla niej.  
 Ona do Łucji z prośbą się obraca  
 I mówi do niej: — Twój wierny cię wzywa,  
 Ratuj, polecam jego twej opiece!  
 Łucyja czuła na ten głos, ze łzami  
 Przychodzi do mnie, gdzie duchem szczęśliwa  
 Przy starożytniej siedziałam Racheli,  
 I mówi: — Boga pochwało prawdziwa!

Idź, ratuj tego, który cię tak kochał,  
 Wzniósł się przez ciebie, po tobie tak szlochał:  
 Czy cię nie wzrusza jego skarga tkliwa?  
 Nie widzisz śmierci, z jaką on na rzece  
 Walczy burzliwszej od morskiej topieli?  
 O! Nie tak szybko pędzi myśl człowieka  
 Za swoim zyskiem lub od strat ucieka,  
 Jak ja, gdy ścichła ta strzelista mowa,  
 Schodzę tu z mego błęgiego siedzenia,  
 Pełna ufności w mądrość twego słowa,  
 Które zaszczycą ciebie, a słuchacza  
 Odbitym blaskiem zaszczytu otacza».

Gdy mówić do mnie w te słowa kończyła,  
 Błyszczące łzami oczy obróciła,  
 Przez co chęć skorszą poczułem do drogi.  
 Oto przychodzę do ciebie z jej woli.  
 Jam cię zachował od wilczycego srogości,  
 Co z pięknej góry cofnęła twe nogi.  
 Co ci jest? Ochłoń z przestachu powoli!  
 Gdzie twoja śmiałość, twoja wola chrobra?  
 Kiedy w niebiosach twym losem zajęte  
 Troszczą się tobą trzy niewiasty święte,  
 Gdy ja ci tyle obiecuję dobra?»

Jak chłodem nocy kwiatki pochylone,  
 Gdy ranek słońcem zaświta wesołym,  
 Ze słońcem swoją podnoszą koronę,  
 Tak i odwaga do mojego łona  
 Wstąpiła rzeźwo z strachu otrzeźwiona.  
 Aż odważony w sobie wykrzyknąłem:  
 «O litościwa, troszcząca się o mnie!  
 O dobroczynna dusza twa bez skazy,  
 Co spełnia świętej tak szybko rozkazy.  
 Czuję, jak we mnie od słów twoich żaru  
 Iskrzy się zapal pierwszego zamiaru.  
 Wspólna chęć nasza, w niej dotrwam niezłomnie.  
 Pójdę za tobą z sercem niezachwianem,  
 Tyś moim wodzem i mistrzem, i panem!»  
 To rzekłszy, w ślady szedłem przewodnika,  
 A ścieżka była głęboka i dzika.

## Pieśń III

(Brama piekielna. Przedpiekle. Tchórze. Celestyn V. Charon.)

«Przeze mnie droga w gród łez niezliczonych.  
 Przeze mnie droga w boleść wiekiutą,  
 Przeze mnie droga w naród zatraconych.  
 Mój budowniczy był wzniosłym artystą,  
 Sprawiedliwości dna grunt mój dosięga.  
 Mnie zbudowała wszechmocna potęga,  
 Mądrość najwyższa, miłość samodzielna.  
 Przede mną rzeczy nie było stworzonych  
 Prócz nieśmiertelnych — i jam nieśmiertelna!  
 Wchodzący we mnie, zostawcie nadzieję!»  
 W tych słowach napis na bramie czernieje.

«Dla mnie, o mistrzu, straszna treść jej godła».  
 Mistrz mówił, jakby świadomy tej strony:  
 «Tutaj lęklivość wszelka, słabość podła,  
 Niech zamrą w tobie, tu zbyć je przystoi.  
 Przyszliśmy w miejsce, gdzie oglądać mamy  
 Lud nędzny, światła prawdy pozbawiony».  
 Rzekł i z wesołą twarzą w dłoni mojej  
 Dłoń swoją złożył, czym ja pocieszony,  
 Wstąpiłem w progi tajemniczej bramy.  
 Stamtąd wzdychania, żale i okrzyki  
 Brzmiały pod niebem bez gwiazd osamiałem;  
 Słyszając jęk ludzki, zrazu zapłakałem.  
 Okropne mowy, zmieszane języki  
 Bólu i gniewu, klask dłoń w dłonie dziki,  
 Głosy na przemian ostre, to chrypiące  
 Tworzyły hałas starciem się wzajemnym,  
 Który złamany na wrzasków tysiące  
 Wił się w powietrzu nieśmiertelnie ciemnym,  
 Jak tuman piasku, gdy nim wichur dysze.  
 Ja, mając zgrozą opasaną głowę,  
 Mówiłem: «Mistrzu, ach, co ja tu słyszę?  
 Co za lud cierpi męki tak surowe?»  
 A Mistrz: «Los nędzny widzisz tych, co cały  
 Żywot przeżyli bez hańby i chwały.  
 Ni źli, ni dobrzy, zmieszani wespoły,  
 Z obojętnymi wśród buntu anioły,  
 Gdy Bóg zuchwałych strącił w przepaść zguby;  
 Ni wierni, zdrajcy, tylko samoluby.  
 Żeby mniej pięknym nie być, tych nędzników  
 Jako zakały niebo się wyrzekło;  
 Ich i głębokie nie przyjmuje piekło,  
 By przez nich dumy nie podnieść grzeszników».  
 A ja: «Mój mistrzu, powiedz, niech się dowiem,  
 Jakiej boleści robak ich tak wierci?»  
 Mistrz mówił: «Krótko na to ci odpowiem:  
 Dla nich nadziei nie ma drugiej śmierci,  
 Życie ich ślepe z treści jest tak gminnej,  
 Że tu zazdroszczą każdej doli innej.  
 Świat ich zapomniał, gdy zesłi ze świata,  
 Prawo i łaska takimi pomiata;  
 Słów o nich szkoda, idź, patrz mimochodem».  
 Patrzę: chorągiew wciąż kręci się młynkiem,  
 Snadź, że niegodna odetchnąć spoczynkiem;  
 Lud za nią długim ciągnie korowodem,  
 Iżby śmierć mogła, nigdy bym nie sądził,  
 Zebrać zarazem tylu nieboszczyków:  
 Poznałem wielu i ów cień, co zbłądził  
 Wielkim ustępstwem. Pojąłem w tej chwili  
 Obrzydłych niebu i piekłu grzeszników.  
 Ci nieszczęśliwi, co żyjąc, nie żyli,  
 Szli nadzy, szpetnie obnażone ciało  
 Bez przerwy mnóstwo much i os kasało.  
 Krew z ich policzków tryskała kroplami;  
 Krew spadającą, zmieszaną ze łzami,  
 U stóp ich głodne robactwo chwytalo.  
 Patrzałem dalej: przybyły lud świeży,  
 Nad wielką rzeką snuł się wzdłuż wybrzeży.

Więc rzekłem: «Mistrzu, zapytać cię muszę,  
 Racz mnie oświecić, jakie to są dusze?  
 I jakie prawo, ile dojrzeć mogę,  
 Nagli je w dalszą przez tę rzekę drogę?  
 Po co tak śpieszą, gdzie ich cel podróży?»  
 A on: «Rzecz cała jasno się wyłoży  
 Nie wprzód, aż przyjdziem nad brzeg Acheronu».  
 Odgadłszy z mistrza surowego tonu  
 Snadź niewczesnego pytania przyganę,  
 Szedłem, spuściwszy oczy zasromane,  
 Z silną milczenia wolą aż do brzegu.  
 Wtem starzec biały w pełnym łódki biegu  
 Przy płynął do nas i z łodzi wysiada,  
 I krzyczy: «Biada wam, nędzniki, biada!  
 Drzwi nieba dla was zamknięte na wieki.  
 Przybywam, aby na drugi brzeg rzeki  
 Przewieźć was, duchy, w kraj ognia i mrozu.  
 A ty, żyjący, co tu zrobisz z nimi?  
 Tobie nie płynąć między umarłymi».  
 Widząc, że stoję, rzekł słowa groźnymi:  
 «W innej przystani idź szukać przewozu,  
 Do której wcale nie dojdiesz tą drogą.  
 Aby cię przewieźć, trzeba lepszej łodzi».  
 Przewodnik mój rzekł: «Hamuj gniew, Charonie,  
 Bo tam chcą tego, gdzie, czego chcą, mogą;  
 Nie pytaj więcej». Na te krótkie słowa,  
 Gęsto zarosła włosem i surowa  
 Twarz przewoźnika wnet się wypogadza,  
 Tylko oczyma wybuch gniewu zdradza,  
 Które płomienną obrączką obwodzi.  
 Lecz duchy nagie, stojące na stronie,  
 Tak okropnymi wylękle słowami,  
 Zbladły i dziko zgrzytały zębami;  
 Bluźniły Bogu i klęły poczęty  
 Swój żywot, miejsce i czas urodzenia,  
 Klęły nasienie swojego nasienia;  
 Potem szlochając, szły na brzeg przeklęty,  
 Który każdego w progu swej ostoji  
 Czeką, kto tylko Boga się nie boi!  
 Charon jak żarem zaognił powieki,  
 Znak daje, duchów tłoczy się gromada,  
 Leniwych wiosłem zapędza do rzeki.  
 Kiedy jesienny wiatr powietrze chłodzi,  
 Z drzewa pożółkły liść za liściem spada,  
 Aż nim ostatni liść spadnie na ziemię:  
 Tak adamowe znikczemniałe plemię,  
 Jeden za drugim, na znak przewoźnika,  
 Z stromego brzegu rzuca się do łodzi,  
 Jak ptak znęcony wołaniem ptasznika.  
 Po mętnych falach idzie łódź leniwa,  
 A już, nim jeszcze dojdzie ku brzegowi,  
 Czekają na nią współwędrowcy nowi.  
 «Synu mój!» — mistrz się łagodnie odzywa:  
 «Co w gniewie bożym skończyli swe lata,  
 Wszyscy tu biegną z wszystkich krańców świata.  
 Pilno im przebyć Acheronu wody  
 I tak ich silnie bodzie głos sumienia,

Że tu ich trwoga w żądzę się zamienia.  
Duch czysty nigdy nie przechodził tędy;  
Jeśliś Charona doznał cierpkiej zrzędy,  
Teraz wiesz, jakie miał do niej powody».   
Zamilkł, a ciemna błoń drżała wokoło,  
Gdy wspomnę, zimny zlewa mi pot czoło.  
Wstał wiatr, jaskrawe burzy błyskawice  
Wskroś oświeciły tę leż okolicę.  
Tracąc przytomność bolałem i bladłem,  
I jak zmorzony człowiek snem upadłem.

## Pieśń IV

(Krąg I. Niechrzczeni. Bohaterowie, poeci, filozofowie pogańscy.)

Huk tak potężny sen mi spłoszył z powiek,  
Chwiałem się cały z wrażeniem niemiłym,  
Jak nagle ze snu przebudzony człowiek.  
Wstałem i we śnie wypoczętym okiem  
Wodziłem wkoło, badając, gdzie byłem.  
Byłem nad brzegiem otchłani boleści,  
Z której bez końca zgiełk zmieszanej treści  
Huczał jękami, westchnieniem głębokiem,  
Jako huk grzmotów daleki i długi.  
Spojrzałem w otchłań: mglista i głęboka,  
Straszliwie ciemna jak ślepota oka.  
«Wstąpmy w świat ciemny», przewodnik mój błądy  
Rzekł do mnie: «Wstąpmy, ja pierwszy, ty drugi».   
A ja spostrzegłszy jego twarz zmienioną,  
Mówilem: «Mistrzu! Głowo do porady,  
Pocieszycielu, ty, moja obrono,  
Gdy ty się boisz, kto się iść odważy?».   
A on: «Otchłani męczarnie i bole,  
Jęk nieszczęśliwych, co tam jęczą w dole,  
Litością w mojej malują się twarzy,  
A którą w błędzie ty bierzesz za trwogę;  
Idźmy, bo mamy jeszcze długą drogę».   
I mnie wprowadził, a sam naprzód kroczył,  
W krąg pierwszy, który tę otchłań otoczył.  
Tam, ilem słyszał, ile pomnieć mogę,  
Nie były skargi, lecz tylko westchnienia,  
Od których wieczne powietrze wciąż drżało:  
Był to głos jakiś smutku bez cierpienia,  
Głos mnóstwa mężów i niewiast, i dzieci.  
Mistrz dobry mówił: «Czemu mnie nie pytasz,  
Co są za duchy, które okiem witasz?  
Chcę, żebyś wiedział, nim pójdziemy dalej.  
Grzech i występki tych duchów nie szpeci,  
Ale na cnotach choć im nie zbywało,  
Chrzest cnót nie świecił, ta brama twej wiary!  
A chociaż przyszli na ziemię przed chrzestem.  
Oni, jak trzeba, Boga nie kochali.  
Z liczby tych duchów oto ja sam jestem!  
Za to nieszczęście, nie za grzech, z kolei  
Spadła kaźń na nas, a treścią tej kary,

Że pożądamy wiecznie bez nadziei». Słyszając to, boleść uczulem tajemną,  
 Bom poznał wielu obecnych przede mną,  
 Co byli ludźmi wznioślejszego rzędu,  
 Dziś w sieni piekieł jakby w zawieszeniu.  
 «Mów», zawołałem: «Mistrzu mój i panie!  
 Abyś mnie w moim umocnił wierzeniu,  
 Które zwycięża moc wszelkiego błędu:  
 Czy nikt z tych duchów o własnej zasłudze  
 Lub za przyczyną przez zasługi cudze  
 Nie wstąpił kiedy w niebios pomieszkanie?»  
 On, który pojął skrytą myśl tej mowy,  
 Tak odpowiedział: «Byłem tu gość nowy,  
 Kiedy widziałem, jak wszedł Pan nad pany,  
 Znakiem zwycięstwa ukoronowany!  
 On stąd cień wyrwał naszego praojca  
 I Abła, jego syna, i Noego,  
 Mojżesza, sługę zakonu bożego;  
 Abraham, Dawid, Izrael, Rachela  
 Z potomstwem swoim, w triumfie wesela  
 Wstąpili za nim do chwały ogrojca!  
 Wiedz, że przed nimi w tę otchłań z wtrąconych  
 Zgoła dusz ludzkich nie było zbawionych».

Tak idąc, rzucał mi słowo po słowie,  
 A szliśmy lasem, lasem duchów, mówię.  
 Jeszcze byliśmy przy otchłani blisko,  
 Gdy zmrok tłumiące ujrzałem ognisko,  
 A idąc dalej, przy blasku płomienia  
 Spostrzegłem duchy szlachetne z wejrzenia.  
 «O ty, wszech nauk i sztuki zaszczycie!  
 Mów, kto są oni i jaka to chwała  
 Od drugich miejsce osobne im dała?»  
 A on mi na to: «Gdzie ty pędzisz życie,  
 Tam o nich dobra sława pozostała;  
 Przez wzgląd na blask jej, jakim ich otacza,  
 Łaska ich nieba od drugich odznacza».

Wtem: «Oto jego cień!» głos mnie doleci,  
 «Wraca, uczcijcie poetę, poeci!»  
 Na ten głos zamilkł, a od światła strony,  
 Wprost do nas cztery szły cienie olbrzymie,  
 Twarz ich ni smutna była, ni wesoła;  
 «Patrz no na tego», mistrz na mnie zawoła,  
 «Co z mieczem w ręku idący na przedzie,  
 Drugich za sobą niby król ich wiedzie.  
 To Homer, wieszczów ksiązę urodzony!  
 Za nim Horacy, Owidyjusz trzeci,  
 Ostatni Lukan; każdy z nich na imię  
 Jak ja zasłużył, które niegdyś brzmiało.  
 Patrz, cześć mi niosą: to i dla nich chwałą».

I tak się zesła księcia piękna szkoła,  
 Który nad nimi lot pieśni wysokiej  
 Jeden jak orzeł wznosił pod obłoki.  
 Zwróciwszy twarze po chwili rozmowy,  
 Mnie pozdrowili pochyleniem głowy;  
 Mistrz się uśmiechnął na mój zaszczyt nowy.  
 Jeszcze doznałem większego honoru,  
 Bo mnie przyjęli do swojego koła



I byłem szósty z genijuszów chóru.  
 Tak do ogniska szliśmy gronem całem.  
 Mówiąc o rzeczach niejednych z zapalem,  
 O których milczeć tak pięknie w tej chwili,  
 Jak było pięknie mówić, gdzieśmy byli.  
 Stał świetny zamek z darniowym tarasem,  
 Mur siedmiorakim otoczył go pasem,  
 Strumień okrążał falami bystreml,  
 Przeszliśmy po nim jak po twardej ziemi:  
 I przez bram siedem, i z siedmiu mędrkami  
 Wszedłem na łąkę usłaną kwiatami.  
 Tam inne cienie snuły się przed nami,  
 Poważne, z wzrokiem stałym i pogodnym,  
 Twarze myślące, spokojne ich ruchy,  
 Mówiły rzadko i głosem łagodnym.  
 I na tej łące zeszliśmy na stronę,  
 W miejsce otwarte, trochę podniesione,  
 Skąd mogłem widzieć wszystkie piękne duchy.  
 Na trawach świeżej i wonnej zieleni  
 Stoją i siedzą mężowie wsławieni;  
 Drżałem z radości, dumny ich widzeniem!  
 Wkoło Elektry mnóstwo mężów stoi:  
 Hektor, Eneas, bohaterzy Troi,  
 I Cezar zbrojny sokolim spojrzeniem.  
 Widziałem z drugiej strony od pagórka,  
 Pentezyleę i króla Latyna,  
 Przy nim Lawinia siedzi, jego córka.  
 Widziałem Bruta, pogromcę Tarkwina,  
 Lukrecję, Julię, chlubę płci niewieściej;  
 Jeden Saladyn siedział na uboczu.  
 Potem widziałem, podniósłszy me oczy,  
 Mistrza uczonych z powagą na czole.  
 Siedział w rodzinnym filozofów kole,  
 Powszechnej hołdem otoczony cześci.  
 Sokrates, Platon, poważni z wejrzenia,  
 Najbliższe przy nim zajęli siedzenia.  
 To liczne grono Demokryt pomnożył,  
 Podług którego świat przypadek stworzył.  
 Tales, Empedokl, Heraklit z Zenonem,  
 Siedzieli głębiej w tym kole uczonem:  
 Tam był Orfeusz i Dijoskoryda,  
 Cycceron, Liwiusz, badacze człowieka,  
 I moralista znajomy, Seneka.  
 Tam geometrę widziałem Euklida,  
 Ptolomeusza i Awicenesa,  
 I Hipokrata, i Aweroesa,  
 Który napisał komentarz nie lada.  
 Wszystkich nie zliczę, bo wielkość przedmiotu  
 Od nich myśl moją porywa do lotu,  
 A słowa zdążyć za myślą nie mogą.  
 Wkrótce o dwóch nas zmniejszyła gromada:  
 Inną mnie powiódł mój przewodnik drogą  
 Z ciszy powietrza w kraj burz i zamieci  
 I idziem, idziem, kędy nic nie świeci.

## Pieśń V

(Krąg II. Minos. Grzesznicy z miłości. Franczeska z Rimini.)

Wszedłem w krąg drugi, ciaśniejszy, gdzie krzyki  
I jęki boleść zaostrza w ton dziki.  
Tam straszny Minos z czołem nasrożonym  
Patrząc ponuro i zgrzytając wściekle,  
Bada i sędzi wchodzące grzeszniki,  
Wyroków swoich znak dając ogonem.  
Dusza, na której cięży grzechu plama,  
Gdy przed nim staje, spowiada się sama.  
A on, głęboki znawca wagi grzechów,  
Widząc, gdzie miejsce zasłużyła w piekle,  
Ile się razy ogonem obwinie,  
O tyle szczebli wśród szatańskich śmiechów  
Dusza w dół spada w piekielne głębinie.  
Wciąż przed nim stoi wielka dusz gromada,  
Jedna po drugiej na wyrok pośpiesza,  
Mówi i słucha — i wnet w głąb zapada.  
Minos, postrzegłszy, że z mym mistrzem wchodzę,  
Na chwilę straszne swe sądy zawiesza  
I krzyknie ku mnie: «Zuchwały, nim wejdiesz,  
Obacz, gdzie wchodzisz, zważ, na kogo liczysz,  
Wchód tu szeroki, lecz wstecz nie odejdiesz».  
A mistrz ofuknął wzajem: «Co tak krzyczysz?  
Nie tobie naszej sprzeciwić się drodze;  
Ten mu ją wskazał, który wszystko może,  
Co chce. — Dość na tym! Nie wstrzymuj nas dłużej».  
Wtem usłyszałem łkania i jęczenia  
I wszedłem w miejsce, gdzie mrok nieprzejrany,  
Noc bez żadnego światła i promienia,  
A w głębi jego ryczy jakby morze,  
Kiedy nim wiatry przeciwne śród burzy  
Szamocą, tłuką, aż do białej piany.  
Wicher piekielny ciągle się tam sroży,  
Porywa duchy, unosi i ciska  
O potrzaskanej skały rumowiska,  
Gdzie jęcząc, płacząc, bluźnią mocy bożej.  
Grzesznicy owi te cierpią katusze,  
Co swe zmysłami ścieleśnili dusze.  
A jako w jesień, w czas odlotu ptaków,  
Gęstymi pulki lecą stada szpaków,  
Tak owe duchy wiatr prądem zawiei  
Gnał tu i owdzie: i znać z ich wejrzenia,  
Że już na wieki pozbyły nadziei  
Nie tylko kresu, lecz ulgi cierpienia.  
I jak żurawie w powietrznej przestrzeni  
Lecą i nucą żałośnie: tak ku mnie,  
Jęcząc, gromady nieszczęśliwych cieni  
Pędzone wiatrem zbliżały się tłumnie.  
«O! Mistrzu!» rzekłem, «I któż są te dusze,  
Tak udręczone w ciągłej zawierusze?»  
A mistrz: — «Ta pierwsza, co widzisz, po przedzie  
Rej chóru duchów na powietrzu wiedzie,  
Przed wieki była wielu ziem królową

I wielu ludów różnych krwią i mową,  
 Lecz oszalała krewkością namiętą,  
 Prawem zatarła kazirodztwa piętno,  
 By hańbą w dziejach nie ciążyło na niej.  
 To Semiramis, dziedziczka i pani  
 Krajów azyjskich, gdzie dziś Turczyn broi.  
 Ta druga z sercem miłością zranionem,  
 Dni swe przecięła dobrowolnym zgonem,  
 Łamiąc przysięgę ceniom Sycheusza.  
 To Kleopatra na chuć rozpasana.  
 Helena, Parys, sprawcy nieszczęść Troi;  
 Achilles, można, ale krewka dusza,  
 Obok błędnego rycerza Tristana».

I tłum dusz innych wskazał mi Wirgili,  
 Co żądz gorączką życie przetrawili;  
 A ja, gdym słyszał zwane po imieniu  
 Starego świata niewiasty i męża,  
 Litość, myślałem, zmysły mi rozprzęże,  
 I jak wpół martwy stałem w osłupieniu.  
 I mówię: «Mistrzu! kto są te dwa duchy,  
 Które wiatr lekko unosi jak puchy?  
 Chcę mówić z nimi». — «Czekaj», mistrz powiada  
 «Aż je tu ku nam wiatr przywieje bliżej  
 Zaklnij na miłość, która nimi włada,  
 A zlecą ku nam». — Gdy lecieli niżej,  
 Rzekłem — «Pomówcie z nami, nieszczęśliwi!  
 Przez miłość, którą pałaliście żywi».

A jak gołębi para szybko leci  
 Z rozpiętym skrzydłem do gniazda swych dzieci  
 Tak one spośród orszaku Dydony,  
 Przez prąd wichrowy, w powietrznym zamęcie  
 Ku nam zwróciły swój lot przyśpieszony:  
 Taką moc miało miłosne zaklęcie.  
 «O! czuła», rzekły, «i szlachetna duszo!  
 Co nas odwiedzić szedłeś w te otchłanie  
 I masz snadź litość nad naszą katuszą!  
 Gdybyśmy śmieli wznieść nasze wołanie  
 Ku Panu świata i gdyby On w niebie  
 Przyjął je raczył, wnet byśmy oboje  
 Prosili Jego o pokój dla ciebie,  
 Tak nam jest miłe to współczucie twoje.  
 Pytać lub o czym chcesz rozmawiać z nami?  
 Mów, będziemy słuchać albo odpowiemy,  
 Póki wiatr będzie, jak w tej chwili, niemy».

«Kto wy?» im rzekłem, «powiedźcie to sami».

Jeden z nich na to: «Ziemia ma rodzima  
 Leży nad morzem, gdzie doń swoje wody  
 Rzeka powiedzie z towarzyszeki swymi.  
 Miłość, co łatwo tkliwe serca ima,  
 Ujęła jego wdziękiem mej urody,  
 Którą, niestety! słynęłam na ziemi,  
 Nim śmierć ją nagle zniszczyła sposobem,  
 Co mnie przeraża nawet poza grobem.  
 Miłość, co prawem tajemniczym skłania  
 Serca kochanych wzajem do kochania,  
 Tak mnie ku niemu nakłania nawzajem,  
 Że się, jak widzisz, nigdy nie rozstajem.

Miłość nas o śmierć przypawiła wspólną,  
 Kaina czeka naszego mordercę».

Gdy duch to mówił, głos jego za serce  
 Tak mnie ujmował, że z łzą mimowolną  
 Schyliwszy czoło, stałem, aż po chwili:  
 «O czym tak myślisz?» spytał mnie Wirgili.  
 «O mistrzu!» rzekłem, «ileż słodkich myśli,  
 Ile żądz wrzało w ich sercu i głowie,  
 Nim do upadku i do zguby przyszli!»  
 Potem się do nich zwróciłem i mówię:  
 «Franczesko! widzisz, że mi słowa twoje  
 Łzy wyciskają; ale pozwól spytać,  
 Jak was snadź miłość przywiodła oboje  
 Tajoną wzajem głęb serc waszych czytać?»  
 A ona na to: «Ach, nic tak nie boli,  
 Jak chwile szczęścia wspominać w niedoli!  
 Lecz gdy ty, gościu, chcesz wiedzieć początek  
 Miłości naszej, na mój ból nie baczę;  
 Powiem, jak pierwszy związał się wątek,  
 Podobna temu, co mówi i płacze.  
 Raz dla zabawy wzięła nas ochota  
 Czytać w głos dzieje przygód Lancelota,  
 Jako go miłość przemogła swą siłą.  
 Byliśmy sami, bez żadnej złej myśli.  
 Oko się nasze nieraz łzą zaćmiło,  
 Nieraz twarz zbladła, aż w końcuśmy przyszli  
 Do tego miejsca, co nas zwyciężyło:  
 Gdyśmy czytali, ile jest uroku,  
 Ile rozkoszy w pocałunku lubej —  
 Oczy się nasze nawzajem spotkały.  
 Ten, co już odtąd wiecznie przy mym boku,  
 Powstał niepomny na me cudze śluby  
 I pocałował mnie w usta drżąc cały.  
 Pisarz tej księgi był nam Galeotą  
 Już żeśmy więcej w tym dniu nie czytali».

Gdy jeden mówił, duch drugi zgryzotą  
 Zdjęty, tak płakał, żem zwątpił, azali  
 Zniosę tę boleść, i czułem, że bladłem.  
 Straciłem siły i jak martwy padłem.

## Pieśń VI

(Krąg III. Żarłocy. Cerber. Ciacco.)  
 Kiedym odzyskał zabłąkane zmysły,  
 Co się nad losem dwojga moich krewnych  
 W żalu, w litości i smutku rozprysły,  
 Nowy się obraz przede mną rozrzucił:  
 Gdziem tylko spojrzał, kędym się obrócił,  
 Widziałem inne męki i męczonych.  
 Był to krąg trzeci, krąg deszczów ulewnych,  
 Deszcz jak z upustów spadał otworzonych  
 Ciężki i chłodny; śnieg zmieszany z gradem  
 W ciemnym powietrzu szumiał wodospadem,  
 Ziemia deszcz chłonąc, oddychała czadem.

Cerber tam szczekał swą paszczą troistą  
 Na duchy, które w ziemię ugrzęzły bagnistą,  
 A oczy jego świeciły czerwono;  
 Wełna nań czarna, sam szerokobrzuchy,  
 Łapy niejedną uzbrojone szponą,  
 Nimi darł w pasy potępione duchy.  
 Jak psy pod deszczem potępieńcy wyją,  
 Zmokłą za siebie obracając szyją,  
 Kręcą się ciągle w tę i ową stronę,  
 Tworząc nawzajem z swych boków zasłonę.  
 Cerber, ów robak wielki, gdy nas zoczył,  
 Troista jego paszcza się rozwarła,  
 A gniew członkami konwulsyjnie miota;  
 Wirgili dłońmi po ziemi zatoczył  
 I w nie nabrawszy, co tylko mógł, błota,  
 Cisnął oburącz w łakome trzy gardła.  
 Jak pies drży cały, kiedy oszczekuje,  
 Lecz gdy mu spadnie kawał chleba z ręki,  
 Przylega cichy i chleb, milcząc, żuje;  
 Tak szatan Cerber plugawe paszczęki  
 Zamknął, którymi tak zagłuszał duchy,  
 Że każdy raczej wolałby być głuchy!  
 Szliśmy płaszczyzną bagna ruchomego.  
 Gdy stopa nasza po cieniach deptała,  
 Zdało się, żeśmy deptali ich ciała.  
 Cienie leżały w bagnie prócz jednego,  
 Który wstał szybko i siadł, właśnie w chwili,  
 Około niego gdyśmy przechodzili.  
 «O! Kto bądź ciebie w te piekła prowadzi,  
 Poznaj mnie», mówił, «wprzód nim się rozstałem  
 Z tą kłatką, jeszcze byłeś obleczony ciałem».  
 Ja na to: «Zda się, że ciebie widziałem,  
 Ale mi za to ma pamięć nie ręczy,  
 Może to boleść, co ciebie tak męczy,  
 W niej tak dalece rysy twoje gładzi.  
 Kto taki jesteś, zaspokój pielgrzymą,  
 Wtrącony tutaj i na karę taką?  
 Jeśli jest większa, równie przykrej nie ma».  
 A on: «W twym mieście, gdzie zawiść tak płuży,  
 Wesół przeżyłem czas ziemskiej podróży,  
 Przez ziomków twoich przezwany Ciakko.  
 Za chuć obżarstwa niską i nikczemną,  
 Jak widzisz, leje wieczny deszcz nade mną.  
 Tu ja niejeden, wszystkie cierpią dusze  
 Za grzech ten samy też same katusze».  
 I zamilkł, snadź się nagadał do woli.  
 — «Ciakko», rzekłem «twa kara mnie boli,  
 Lecz powiedz, proszę, do jak smutnej doli  
 Dojść może naszych byt obywateli,  
 Gdy ich do tyła duch stronnictwa dzieli?  
 Czy sprawiedliwy jest mąż między nimi?  
 Skąd się tam pożar zapalił niezgody?»  
 A on: «Znużeni sporami długimi,  
 Krwią chyba zgaszą te żagwie pożarne.  
 Stronnictwo Białe przecz wypędzi Czarne.  
 O, któż obliczy ich klęski i szkody!  
 Nim słońce trzeci swój obrót dokona,

Upadną Biali; strona zwyciężona  
 Znów się podniesie za pomocą męża,  
 Który w spoczynku ostrzy żądło węża,  
 I harde czoło podniesie na długo,  
 I w ciężkie jarzmo wprzeże stronę drugą;  
 Nad nimi płaczę i za nich się wstydzę.  
 Dwóch między nimi sprawiedliwych widzę,  
 Nikt ich nie słucha w ślepym żądź zapale,  
 Duma, łakomstwo i zawiść, trzy głównie,  
 Serca ich pieką swym żarem gwałtownie».

Na tym Ciakko zakończył swe żale.  
 «O! nie przerywaj» rzekłem doń «rozmowy,  
 Obdarz mnie jeszcze choć niewielu słowy.  
 Mów: Tedziajo, Moska, Farinata,  
 Gdzie Rustikuci, Arigo i inni,  
 Pragnący dobra ziomków, dobroczynni,  
 W niebo czy w piekło zstąpili ze świata?»

On: «Grzechy inne, z żalem wyznać muszę,  
 Między czarniejsze strąciły je dusze,  
 W krąg głębszy; gdy śmiesz zstąpić tak głęboko,  
 Wszystkich ich społem tam ujrzysz na oko.  
 Gdy cię świat słodki do powrotu znęci,  
 Przypomnij, proszę, mnie ziomków pamięci.  
 Dłużej nie mówię, ucinam rozmowę».

Wtenczas utkwione we mnie prosto oczy  
 Wykrzywił zezem i trochę z uboczy  
 Popatrzał na mnie, potem schylił głowę  
 I zapadł w błoto. Przewodnik mój rzecze:  
 «On już nie wstanie, aż prochy człowiecze  
 Wstaną budzone trąbą Archaniola,  
 Aż nieprzyjaciel grzechu nań zawoła.  
 Wtenczas z nich każdy znajdzie swą mogiłę.  
 W niej ciało z kością, z żyłą zwiąże żyłę.  
 Wstanie i sądu wiecznego wysłucha».

Tak szliśmy z wolna brudną mieszaniną  
 Z deszczów i cieni, jak grząską drożyną,  
 O przyszłym życiu rozmawiając ducha.  
 «Mistrzu», spytałem, «ból, co im dokucza,  
 Po wielkim sądzie, który ich potępi,  
 Żądło swe więcej zaostrzy czy stępi?»

A mistrz: «Nauka twoja cię poucza,  
 Im doskonalszej jaka rzecz jest treści,  
 Tym żywiej czuje rozkosze, boleści.  
 Lud ten przeklęty nigdy, jako krzywy,  
 Doskonałości nie dojdzie prawdziwej;  
 Ale po sądzie, takie ma ufanie  
 Że do niej trochę zbliżonym zostanie».

Idąc po kręgu przez błoto ogromne  
 I mówiąc wiele, czego tu nie wspomnę,  
 Doszliśmy kresu, gdzie na schyłku drogi  
 Stał Plutus, ludzi wróg nad wszystkie wrogi.

## Pieśń VII

(Plutus. Krąg IV. Skąpcy i marnotrawcy. Krąg V. Popędliwi.)

«Ojcze szatanie! Patrz no, jakie dziwy!»  
Tak Plutus krzyczał głosem ochrypiałym.  
Mądry przewodnik rzekł do mnie: «Bądź śmiałym,  
Pokrzepmy w sobie umysł bojaźliwy;  
Jaką bądź władzę mieć może ten potwór,  
Nie wzbroni wejść nam w tych skał ciemny otwór».  
Potem w potwora policzek nadęty  
Spojrzał i mówił: «Milcz, wilku przeklęty!  
Niechaj cię strawi własny wybuch gniewu.  
Podróży naszej nie wstrzyma zawada:  
Tam, tam chcą tego, gdzie hardy łeb smoka  
Michał Archanioł zdeptał w mgnieniu oka».  
Jak żagiel wzdęty od wiatrów powiewu,  
Gdy maszt się łamie, zwija się, upada,  
Równie jak długi legł potwór zażarty,  
My schodziliśmy powoli w krąg czwarty ,  
Bliżej zważając to miejsce boleści,  
Kędy złe świata całego się mieści.  
Sprawiedliwości boża! Kto ogarnie  
Nowe, com widział, kary i męczarnie,  
Nagotowane tam przez twoje rządy?  
Dlaczego błędy nasze tak nas toczą?  
Jak gdy Charybdy dwa przeciwne prądy  
Zetrą się z sobą, od siebie odskoczą,  
Tak się ścierają tam duchy z duchami  
A potępieńcy, widziałem, bez liku,  
Jako dwa wojska szły w bojowym szyku,  
Tocząc ogromne ciężary piersiami.  
W pierwszym natarciu zwarli się, a potem  
Nagle bezładnym pierzchnęli odwrotem,  
Krzyżując: Precz, skąpcy! Precz, marnotrawniki! —  
Tak z obu krańców po tym kręgu czarnym  
Lud bieżąc tłumem niezgodnym i gwarnym,  
Miotał bez przerwy obelgi i krzyki:  
Każdy od kręgu swojego połowy  
Powracał, turniej rozpoczynać nowy.  
Patrzając na nich z żalem nad ich biedą,  
Rzekłem: «Mów, mistrzu, co to za gmin lichy?  
Ci postrzyżeni, co na lewo idą,  
Czy byli świeccy za życia, czy mnichy?»  
A mistrz: «Ci wszyscy, co na siebie godzą,  
Miary pojęciem nie dostrzegli płytkiem.  
Jedni zgrzeszyli skąpstwem, drudzy zbyt kiem.  
Głos ich wyraźnie brzmi w dwoistym echu,  
Gdy się z dwóch krańców tego kręgu schodzą  
Gdzie ich rozdziela przeciwieństwo grzechu.  
Ci, co bez włosów nagą czaszką świecą,  
Są to łakomcy, mnich, papież, kardynał,  
Co ducha w jarzmo łakomstwa uginał».  
«Mistrzu», mówiłem, «jakoś mi się roi,  
Że wśród tej ciżby, którą brudy szpecą,  
Brudy tych piekieł, są znajomi moi».

A mistrz mi na to: «Tak, proszę, nie myśl,  
 Oni już tutaj z brudem życia przyszli.  
 Tu wiecznie będą tłuc się jak obecnie,  
 Tak skąpcy, jak ci, co tracili mienie;  
 Ci wstaną na sąd z głową pozbawioną  
 Włosów, a tamci z pięścią zacieśnioną.  
 Ci, co skąpili, i ci, co trwonili,  
 Za grzech ten piękny świat nieba stracili;  
 Patrz na ich karę, ta więcej ci powie,  
 Niżbym w wymownym wypowiedział słowie.  
 Teraz, mój synu, możesz widzieć jasno,  
 Jak szybko bańki pękają i gasną  
 Dóbr powierzonych Fortunie, a człowiek  
 Goni za nimi do zawarcia powiek!  
 Ile jest w ziemi, ile było złota,  
 Żaden z tych duchów znużonych widocznie,  
 Gdyby je posiadał, na chwilę nie spocznie».  
 «Mistrzu, mów, kto jest dóbr ziemskich królowa  
 Kto ta Fortuna, o której tu mowa?  
 Kto ona, co tak wszechmocnie bogata,  
 W swych szponach trzyma wszystkie dobra świata?»  
 Mistrz: «Jaka waszej niewiedzy ślepotą!  
 Jak mały rozum, co światła nie szuka!  
 Niechże cię moja objaśni nauka:  
 ON, nieścigniony myślą śmiertelnika,  
 Stworzył niebiosą, dał im przewodnika,  
 By wszystkie części środkowe i skrajne,  
 Pooświecało światło jednostajne.  
 ON, co tak niebo światłością przyodziął,  
 Jej blaski także i ziemi dał w podział  
 I przewodniczkę, która rządząc niemi,  
 Wiedzie, kiedy chce, koleją po ziemi  
 Marne bogactwa od rodu do rodu,  
 Z ludu do ludu, pomimo zachodu  
 I wszech zabiegów ludzkiej roztropności.  
 Stąd naród, który rozkazywał długo,  
 Słabnie, zostaje niewolnikiem, sługą,  
 Jako wyrzeczcie tej potęgi prawo,  
 Co jej nie widać jak węża pod trawą.  
 Z Fortuną próżny spór waszej mądrości,  
 Jej ulegają i morza, i lądy;  
 Jak inne bóstwa sprawuje swe rządy,  
 Ciągłe obmyśla zjawiska przewrotu,  
 Sama konieczność nagli ją do lotu,  
 Stąd często zmienia obrót kołowrotu.  
 Ludzie w swych sądach wciąż ją na krzyż wleką,  
 Zamiast ją chwalić, obelgami sieką;  
 Ona tych obelg nie słyszy, przebywa  
 Wśród pierwotnych duchów i szczęśliwa  
 Własną błogością, swoje koło toczy.  
 Tu w krąg kar większych nasza stopa wkroczy;  
 Gwiazdy wschodzące, gdym wychodził w drogę,  
 Już się zniżają po nocnym obiegu,  
 Idźmy, tak długo ją czekać nie mogę».  
 I szliśmy przez krąg do drugiego brzegu  
 Tuż przy kipiącym źródle, skąd wynika  
 Głębsze i szersze koryto strumyka;



Wodę pleśń jakaś kryła starożytna,  
Fala jej więcej ciemna jak błękitna.  
Szliśmy przez nowe, coraz niższe schody,  
Ponad wybrzeżem tej czarniawej wody.  
Strumień ten smutny, spływając pod ścianę  
Brzegów ziejących nadgniłym wyziewem,  
Z wód ścieku tworzył bagno Styksem zwane.  
Gdy wszystko nowe wzrok oglądać pragnie,  
Spostrzegłem duchy zagrzeżłe w tym bagnie,  
Nagie, a twarz ich rozjątrzona gniewem.  
Thukły się w gniewie nie tylko pięściami,  
Lecz głową, piersią, splecione barkami,  
Nawzajem siebie szarpały zębami».   
A mistrz rzekł do mnie: «Uważaj, mój miły,  
Oto są duchy, które się złościły,  
A prócz nich zgraja potępieńców licha,  
Co pod tą wodą kryje się, tak wzdycha,  
Że aż od westchnień woda się odyma,  
Jak to własnymi oglądasz oczyma». —  
«Smutno dni życia zeszły nam do końca!  
Tam, gdzie powietrze weselił blask słońca,  
Który w nas gniewu ciemniły wybuchy:  
A teraz smutno nam w tym czarnym bagnie,  
Tu muł polyka, kto powietrza pragnie».   
Taki hymn gardłem bełkotały duchy,  
Jak zajękliwi; a my szliśmy dalej,  
Obchodząc łukiem błotniste wybrzeże:  
Z tych, co ustami bagno polykali,  
Nie zdjawszy wzroku, przyszliliśmy pod wieżę.

## Pieśń VIII

(Przeprawa. Argenti. Ku kręgowi VI. Walka o wstęp do miasta Dis. )

Tak postępując wzdłuż błotnych wybrzeży,  
Wpierw nim przyszedłem pod wieżę wysoką,  
W szczyt jej z powodu dwóch małych płomieni  
Utkwiłem oczy; sygnał z drugiej wieży  
Jej odpowiadał, lecz w takiej przestrzeni,  
Że ledwo dobrze wyteżone oko  
Mogło odróżnić jeden od drugiego.  
Więc się zwracając do mędrca mojego,  
Pytam: «Co znaczą te hasła ogniowe,  
Kto ich znakami prowadzi rozmowę?».   
A on: «Co ujrzyć pożąda twa dusza,  
Już na tych wodach bagnistych wpływ rusza,  
Patrz, gdy ci oczu tuman nie zaprósza».   
Nikt szybszej strzały w powietrzu nie spotka,  
Jak mała ku nam szybowała łódka;  
Ten, co wioślarzem jej był i sternikiem,  
Wykrzyknął: «Sam tu, zła duszo, tyś nasza!».   
Mistrz mój z powagą rzekł do Flegijasza:  
«O Flegijaszu! krzyk twój próżnym krzykiem  
Tym razem; nasze przyjście tu chwilowe,  
Nim się przez bagno przeprawim styksowe».

Jak człowiek, gdy się omylonym widzi,  
 Gniew swój hamuje, omyłki się wstydzi,  
 Tak i Flegijasz swój wybuch łagodzi.  
 Wtem mnie Wirgili zawezwał do łodzi,  
 Ta nie wprzód wagę uczuwać się zdała,  
 Aż ciężar mego unosiła ciała.  
 Gdyśmy płynęli przez te martwe brody,  
 Cień obłocony wynurzył się z wody,  
 Staje przede mną i pyta z hałasem:  
 «Ktoś ty jest, co tu przychodzisz przed czasem?»  
 «A tyś kto?» rzekłem. Cień na to z rozpaczą:  
 «Widzisz, że jestem jeden z tych, co płaczą».  
 A ja: «Żyj w płaczu, w wiekuistej męce!  
 Choć tak zbrukało twe policzki błoto,  
 Poznaję ciebie, przekłeta istoto».  
 Wtenczas ku łodzi cień wyciągnął ręce,  
 Lecz mistrz roztropny odepchnął natręta,  
 Mówiąc: «Z psią zgrają precz, duszo przekłeta!»  
 Potem rękoma objął mnie za szyję,  
 W twarz mnie całował i rzekł: «Słusznie, duszo,  
 Tak się oburzasz, niechaj będzie w niebie  
 Błogosławiona, co rodziła ciebie!  
 On był nadęty próżnością i pychą,  
 Żadna go w życiu nie zdobiła cnota  
 I tu gniew za to bez przerwy nim miota.  
 Iluż na waszej ziemi dotąd żyje  
 Książąt i królów, co się dmą i puszą,  
 Każdy uchodzić za wielkiego pragnie,  
 Co będą leżeć jak wieprze w tym bagnie,  
 Sławę po sobie zostawiwszy lichą».  
 «Mistrzu», mówiłem, «łódź szybko pomyka,  
 Chciałbym zobaczyć tego tam grzesznika».  
 Mistrz: «Nim ta łódka drugi brzeg powita,  
 Takiej uciechy użyjesz do syta».  
 Patrzę, aż za nim po tej mętnej toni  
 Błotniste duchy pędziły w pogoni;  
 Za co niech jeszcze będzie Bogu chwała  
 I pochwalone jego imię święte!  
 Wszyscy krzyczeli: «Hejże na Argentę!»  
 I duchów zgrają w skok za nim bieżała:  
 Gnany floreńczyk, jakby szczuty psami,  
 Ze złości szarpał, gryzł siebie zębami  
 I legł znużony pod naciskiem zgrai,  
 Jak pies gdy w sobie dech życia przyczai.  
 Dość mówić o nim! Nowy jęk z uboczy  
 Wpadł w ucho moje, wyteżyłem oczy.  
 Mistrz mówił: «Synu, patrz mury olbrzymie,  
 Ujrzysz za chwilę miasto, Dis na imię,  
 Mieszkańcy żyją tam w ogniu i dymie».  
 A ja: «W dolinie postrzegam zaiste  
 Miasto meczetów, ich mur się czerwieni,  
 Jakby się wyrwał dopiero z płomieni».  
 Mistrz odpowiedział: «Ogień wiekuiste,  
 Które w ich wnętrzach żarzą się i płoną,  
 Dają im barwę, jak widzisz, czerwona».  
 Weszliśmy w końcu do fosy głębokiej,  
 Okopującej w krąg ziemię spaloną,

Pustą, jak gdyby szła po niej zaraza,  
 Mury na pozór zdały się z żelaza.  
 Łódź kołująca wbiegła w kąt zatoki,  
 Gdzie sternik wiosło otrząsając z błota,  
 Krzyknął: «Wychodźcie z łodzi, oto wrota!».  
 Duchy widziałem jak deszcz z nieba spadłe,  
 Osiadły wrota, a gniewem zajadłe,  
 Mówiły w zgiełku: «Jak śmie, kto on taki?  
 Iść przez królestwo zmarłych, nieumarły?»  
 Lecz mądry wódz mój dał im znać przez znaki,  
 Że pod sekretem chce pomówić z niemi;  
 Natenczas w sobie wielki gniew zawarły,  
 Mówiąc: «Chodź jeden, lecz on, precz z tej ziemi!  
 Żywy niech wraca znów żyć z żyjącymi.  
 Ty zostań z nami, on, jeżeli może,  
 Niech sam powraca przez błędne bezdroże».  
 Sądź, czytelniku, jak mnie zgiełk zasmucił  
 Tych słów przeklętych; dziś jeszcze truchleję,  
 Na świat mój wrócić straciłem nadzieję.  
 «Wodzu mój drogi, o ty, coś odwrócił  
 Ode mnie przygód, niebezpieczeństw tyle,»  
 Rzekłem, «nie rzucaj mnie o własnej sile!  
 Jeśli mi z tobą nie wolno iść dalej,  
 Wracajmy ścieżką, którąśmy deptali».  
 Mistrz, co troskliwie dotąd mnie prowadził:  
 «Nie bój się», mówił, «te piekielne tłuszcze  
 Nie mogą zamknąć drogi nam wskazanej;  
 Mocniejszy od nich tę podróż uradził!  
 Tu czekaj na mnie; umysł twój stroskany  
 Umacniaj wolą, pocieszaj nadzieją,  
 Bo ja tu w piekle ciebie nie opuszczę».  
 Wtem mnie zostawił mistrz mój dobrotliwy,  
 A ja się chwiejąc w myślach, jak się chwieję  
 Młodziuchne trawki, stałem na pół żywy;  
*Tak i Nie* walkę toczyły w mej głowie.  
 Nie mogłem słyszeć, co im rzekł w rozmowie,  
 Dość, że nie został z nimi, bo wnet sami  
 W miasto jak gnani pobiegli co żywo,  
 Bramę zamknąwszy przed mistrza piersiami,  
 Który od bramy szedł do mnie leniwo,  
 W ziemię miał oczy głęboko spuszczone,  
 Zwykłej śmiałości wzroku pozbawione  
 I te wyjął słowa przez wzdychania:  
 «W miasto boleści kto mi iść zabrania?»  
 A do mnie mówił: «Jeślim obrażony,  
 Nie troszcz się o to, ja próbę zwyciężę;  
 Darmo gromadzą lud swój do obrony,  
 Jacy bądź są tam, szatany czy męże.  
 Tu ich zuchwałość szalała tak samo,  
 Przed mniej ukrytą, znajomą ci bramą,  
 Która bez zamku aż do dzisiaj stoi.  
 Czarny jej napis tkwi w pamięci twojej:  
 Lecz oto idzie, patrz! sam schodzi z góry  
 Ten, co nam bramę otworzy w te mury».

## Pieśń IX

(Anioł. Krąg VI. Ateusze i kacerze.)  
Wódz mój, gdy wracał od bramy piekielnej,  
Spostrzegłszy twarz mą bladości śmiertelnej,  
Skrył własną bladość w głębi swego ducha  
I stanął w kroku, jak człowiek, gdy słucha,  
Bo wzrok nie sięgał dalekich widoków  
W powietrzu czarnym od dymu obłoków.  
«Zwycięstwo przy nas w tej walce być może,»  
Tak począł mówić, «gdy nie — On pomoże...  
Ach! tu na niego jak mi czekać długo!»  
Gdym zauważał, jak swych myśli wątek  
Mistrz płacząc, pierwszą myśl maskował drugą,  
Jak sprzeczny słów był koniec a początek;  
Strwożony byłem tą uciętą mową,  
Rojąc myśl gorszą niż mogło mieć słowo,  
I zapytałem: «Czy kiedy duch jaki  
Na dno tej smutnej konchy szedł w te szlaki,  
Z pierwszego kręgu, gdzie zeszyłem ze świata  
Jedyną karą jest nadziei strata?»  
A on: «Tą drogą chodził arcyrzadki  
Duch, tej mieszkaniem, gdzie ja mieszkam, klatki.  
Zaiste niegdyś zwiedziłem te strony,  
Dzikiej Erychty zakłębionym zmuszony,  
Co zmarłych dusze do ich ciał wzywała:  
Duch mój zaledwo rozebrał się z ciała,  
Rzekła mi: «Zejdź tu!» czarodziejka nasza:  
«Wydobyć jeden cień z kręgu Judasza».  
Krąg ten najniższy i najwięcej ciemny,  
Najdalszy nieba, co wszystko otacza.  
Bądź więc spokojnym, znam ten szlak podziemny.  
Bagno dyszące zgnilizną wyziewu  
Wokoło grodzi to miasto boleści,  
Gdzie odtąd wstąpić nie mogę bez gniewu».  
I mówił jeszcze rzeczy różnej treści,  
Które zwietrzały z pamięci słuchacza.  
Bo cały byłem duszą i spojrzeniem  
Na szczycie wieży świecącej płomieniem.  
Tam trzy piekielne widziałem Furyje,  
Stały przy ogniu; z niewiasty postawą,  
Z hyder zielonych okolone pasem,  
A zamiast włosów drobne węże, żmije  
Na szpetne czoła spadały i szyje.  
On, który poznał znajome służebne  
Królowej piekiel: «Patrz», mówił, «to ona,  
Stoi na lewo Megera, na prawo  
Stoi Alekto, w środku Tyzyfona».  
To rzekłszy, zamilkł. Furyje tymczasem  
Thukły swe piersi, wszystkie ciała części  
Krwawiły znakiem paznokcia lub pięści.  
Krzyk ich tak straszny bił w gwiazdy podniebne,  
Żem do poety tulił się jak dziecko,  
Podejrzewając ich wściekłość zdradziecką.  
«Sam tu, Meduzo! a przemień go w kamień!»

Krzyknęła pierwsza; w kolej «Zamień, zamień!»  
 Krzyczały wszystkie, patrząc na dół z wieży:  
 «My niepomszczone, zemścić się należy  
 Za tak zuchwałe zejście Tezeusza!»  
 A mistrz tak mówił: «Ten widok zbyt wzrusza!  
 Przymknij twe oczy i stój odwrócony;  
 Gdybyś tu spojrział twarzą w twarz Gorgony.  
 Na świat słoneczny już byś stąd nie wrócił».  
 I sam do wieży mnie tyłem obrócił;  
 Wątpiąc, czy dobrze me dłonie zasłonią.  
 Jeszcze mi oczy zasłonił swą dłonią.  
 O wy! co macie zmysł pojęcia zdrowy,  
 Chciejcie naukę odkryć utajoną  
 W tych dziwnych wierszach pod słowa zasłoną.  
 Trzęsąc aż do dna cały nurt styksowy,  
 Po mętnych wodach szumiał huk daleki,  
 Obu brzegami potrząsając rzeki.  
 Tak burza huczy w czasie niepogodnym,  
 Kiedy wiatr dysząc tchem ciepłym, to chłodnym,  
 Szturmuje lasy; jak lniane październice  
 Łamie gałęzie, rwąc kwiaty i trawy,  
 Toczy się z pychą po kłębach kurzawy,  
 A z pól pierzchają trzody i pasterze.  
 Mistrz dłoń z mych oczu zdjął i rzekł: «Patrz w stronę,  
 Gdzie najzjadliwszy dym jak czad błękitny,  
 Bucha ze środka pleśni starożytnej».  
 Jak żaby wodnym węzem wystraszone,  
 Płyną samopas przez wodne powierzchnie,  
 Aż gdzieś pod wodę każda w bagno pierzchnie;  
 Tak potępieńców gromada ładaco,  
 Przed kimś, widziałem, uciekała z trwogą,  
 Który przechodził przez Styks suchą nogą.  
 On z twarzy swojej dym ręką odtrąca,  
 Zda się, tą jedną mordował się pracą;  
 Poznałem zaraz niebieskiego gońca,  
 Zwróciłem oczy w świętym przerażeniu  
 Do mistrza; chęć swą mistrz znakiem odsłonił,  
 Bym stał spokojnie i przed nim się skłonił.  
 Ileż ten anioł miał wzgardy w spojrzeniu!  
 Poszedł pode drzwi, laską trącił w bramę,  
 Drzwi bez oporu rozwarły się same.  
 «Strącone duchy i obrzydłe Bogu!»  
 Do przeleknionych zawołał na progu,  
 «Jak wasza hardość dojrzała z cierpieniem!  
 Daremnie ona z tą wolą się spiera,  
 Co nigdy swego nie chybiała celu,  
 Co was karała w boleściach tak wielu!  
 Daremna wasza walka z przeznaczeniem.  
 Wspomnijcie swego przygodę Cerbera,  
 Co z pyska, z szyi obdarty ze szczeci,  
 Wpół wyleniały jeszcze skórą świeci».  
 I szedł na powrót po bagnie styksowym,  
 Słowa nam nie rzekł ani rzucił okiem,  
 Innym zajęty myśleniem głębokiem.  
 My ośmieleni świętym jego słowem  
 Zwracamy stopy nasze w gród Plutona,  
 Brama na ścieżaj stała otworzona.

Pragnąc utworzyć sąd z miejsc tych przeklętych  
 O losie duchów w tej twierdzy zamkniętych,  
 Ledwo tam wszedłem, żrenicą ciekawą  
 Wodziłem wkoło, na lewo, na prawo  
 I tylko wielkie wkrąg widziałem pole,  
 Gdzie rosły same męczeństwa i bole.  
 Jako przy Ronie, pod Arią, przy Pola,  
 Kędy Kwarnero wodami okola  
 Od ziem niemieckich italskie wybrzeża,  
 Tysiące mogił płaszczyznę najeża:  
 Tak tam sterczały groby i mogiły,  
 A grób od grobu płomienie dzieliły;  
 Żelazo w ogniu nie świeci czerwieniem,  
 Jak tam świeciły groby wśród płomieni.  
 Grobów i trumien podniesione wieka,  
 Z nich jęk na zewnątrz pobrzmiwał z daleka,  
 W przeciągłych, to w pół urwanych westchnieniach.  
 A ja: «Mów, mistrzu, jacy w tych sklepieniach  
 Leżą grzesznicy, którzy pokój w grobie  
 Jękiem, westchnieniem kłócą sami sobie?».

A mistrz mi na to: «To groby kacerzy  
 I tych, co udział w sektach wszelkich biorą:  
 Tutaj podobny przy podobnym leży,  
 A groby słabiej albo mocniej gorą».

I szliśmy w prawo, pomiędzy ścianami  
 Wysokich murów i męczennikami.

## Pieśń X

(Krąg VI. Ciąg dalszy: Farinata, Kawalkante, Fryderyk II.)

Między cmentarzem, przez ścieżki bezdrożne,  
 A miejskim murem, idziemy powoli:  
 «Wysoka cnoto! Co według swej woli  
 Wodzis mnie», rzekłem, «przez kręgi bezbożne,  
 Powiedz: (któż lepiej chęć mą zaspokoi?)  
 Można li widzieć tych, co w grobach leżą?  
 Grobowe wieka snadź podjęte świeżo,  
 A nikt wkoło nich na straży nie stoi».

Mistrz na to: «Wszystkie zamkną się mogiły:  
 Gdy tu powrócą z Jozefatu dusze  
 Z ciałami, które na ziemi rzuciły.  
 Tu z Epikurem cmentarz po tej stronie  
 Mają ci wszyscy, co szerzyli zdanie,  
 Że dusza z ciałem zamiera przy skonie.  
 Odpowiadając na twoje pytanie  
 Chęć, jaką skrywasz, zaspokoić, muszę».

A ja mu na to: «Wodzu! chęć niecałą  
 Odkrywam tobie, bo chcę mówić mało,  
 Jak żąda twoja przestroga nienowa».

«Ty, co za życia idziesz, Toskańczyku,  
 Przez cmentarz ognia i mówisz tak skromnie,  
 Jeśli twa łaska, wstrzymaj się koło mnie.  
 Szlachetny kraj nasz zdradza twoja mowa,  
 Który kłął może fatalność mej chwały».

Głos z grobu do mnie przemówił w te słowa.  
 Do mego wodza podszedłem, drżąc cały,  
 A on rzekł do mnie: «Zwróć oczy, co tobie?  
 Patrz, Farinata siedzi w swoim grobie,  
 Możesz go widzieć od pasa do głowy».  
 Utkwiłem oczy w jego wzrok grobowy,  
 On piersią, czołem prostował się w trumnie,  
 Jak gdyby piekłu urągał się dumnie.  
 Mistrz mnie pełnego zgrozy i żałoby  
 Porwał co żywo i pchnął między groby,  
 I rzekł: «Bądź jasnym i otwartym w mowie!».  
 Gdym stanął przed nim, on na mnie ukosem  
 Popatrzał trochę i wyniosłym głosem,  
 Zapytał: «Jacy są twoi przodkowie?».  
 Chcąc być posłusznym, nic nie zatailem.  
 On spojrział na wpół przymkniętą powieką  
 I rzekł: «Z twoimi w ciągłej wojnie żyłem,  
 Onychże z kraju wyгнаłem dwa razy».  
 «Wynani», rzekłem z uczuciem obrazy,  
 «Byli dwa razy, wracali dwa razy;  
 To była sztuka, której nie spostrzegli  
 Twoi stronnicy jako w niej niebiegli».  
 Cień drugi wznosił się ponad trumny wieko.  
 Tylko po brodę, z zdziwieniem nas obu,  
 Widać, że wstawał na kolanach z grobu.  
 Wodząc oczyma, mnie wkoło oglądał,  
 Jak gdyby kogoś przy mnie widzieć żądał;  
 Lecz gdy na koniec spostrzegł, że się mami  
 Próżną nadzieją, przemówił ze łzami:  
 «Jeżeli własna genijuszu siła  
 To ci więzienie ciemne otworzyła,  
 Powiedz, gdzie syn mój, czemu on nie z tobą?»  
 A ja: «Nie wchodzę tu jedną osobą,  
 W ślad tego mędrca stopy moje idą,  
 Który tam czeka. Być może, twój Gwido  
 Zanadto mało oddawał mu cześci!»  
 Z jego słów, z jego wyrazu boleści  
 Odgadłem łatwo, kto ten cień był nowy,  
 Więc mu odrzekłem stosownymi słowy.  
 A cień się porwał na nogi i krzyknął:  
 «On był ! Czy jeszcze spośród was nie zniknął?  
 Czy mu się jeszcze jak w jasnej krynicy  
 Łagodne światło odbija w źrenicy?»  
 Na co nie mając mojej odpowiedzi,  
 Padł w grób na powrót. A tamten cień siedzi  
 Nieporuszony jak popiersie z miedzi  
 I swą rozmowę ciągnie ze mną dalej:  
 «Jeśli źle moi tę sztukę poznali,  
 To więcej boli niż ten żar, co pali,  
 Lecz nim królowej piekiel światłość cudna  
 Błyśnie na niebie po raz pięćdziesiąty,  
 Doznasz na sobie, jak ta sztuka trudna!  
 Lecz mów, nim wrócisz w swe rodzinne kąty,  
 Co moi temu zrobili ludowi,  
 Że na nich prawa tak dzikie stanowi?»  
 Ja na to: «Od krwi wielkiego rozlewu,  
 Zaczerwieniona Arbia posoką,

Ten lud pobudza do zemsty i gniewu». Tu potrząsł głową, westchnąwszy głęboko: «Nie jeden», mówił, «przy Arbii byłem, Nie bez powodu jej wody skrwawiłem. Lecz jeden byłem na radzie, gdzie społem Lud wołał: Niechaj Florencyja zginie! Jam się sprzeciwił jeden tej ruinie, Broniąc ją śmiało z podniesionym czołem». Na to ja rzekłem: «Niech Bóg twej rodzinie Da, by wygnani znów w to miasta przyszli! Teraz mi rozwiąż węzeł moich myśli: Bo ja tak mniemam, jeśli się nie mylę, Że łatwo przyszłe przenikacie skutki, Lecz wam obecne zakryte są chwile». «My», mówił, «Jak ci, co mają wzrok krótki, Widzimy tylko dalekie przedmioty, Taki dar mamy od Bożej Istoty. Gdy rzecz się zbliża, wzrok nasz się zaciemnia I nic nie wiemy, co się z wami dzieje, Chyba od zmarłych, których tam śle ziemia, O was tam żywych wieść do nas zawieje. Wiedz, że pojętność nasza dla nas zgaśnie W dzień, gdy przyszłości drzwi sam czas zatrześnie». Skruszony żalem i wstydzając się błędu, Czyniąc zeń wyrzut sam sobie dotkliwy, Rzekłem mu: «Pociesz, powiedz wieść przyjemną Tamtemu, co się skrył szybko przede mną, Że jeszcze jego syn jest zdrow i żywy. Jeślim na czułość ojcowską bez względu, Serce mu zranił za długim milczeniem, Powiedz, że byłem zajęty wątpieniem, Któreś objaśnił teraz, jak życzyłem». Już mistrz mnie wołał, więc ducha prosiłem, By jeszcze jedną ciekawość umorzył: Przy czym grobie sam się w grób położył? On rzekł: «Tu leży nas więcej tysiąca, Tu jest Fryderyk drugi, tam Kardynał Dalej, a innych nie będę wspominał». I w grób się schował: jam szedł do poety, Wążąc rozmowę, której treść, niestety! Wyraźnie była dla mnie źle wróżąca. I szliśmy dalej, mój wódz ukochany Rzekł mi po drodze: «Czegoś tak zmieszany?» Opowiedziałem wszystko najswobodniej. Mędrzec zalecał: «Niech twa pamięć chowa Te smutne, może i prorocze słowa, Lecz na tę chwilę zwróć uwagę godniej». I podniósł palec. «Kiedy cię zatrzyma Ta, co wszechwidzi swoimi oczyma O twojej drodze będziesz wiedział od niej». Rzekł i z cmentarza, gdy w myślach mych ginę, W środek na lewą bierzemy się ukośnie, Idziem wąwozem, co schodzi w dolinę, Dolina dymi i swędzi nieznośnie.



## Pieśń XI

(Papież Anastazy. Podział dalszych kręgów.)  
Przyszliśmy jakby nad stromy brzeg łądu,  
Co skał gruzami wokół się najeża,  
Nad przepaść dzikszej męczarni i chłosty.  
Tam chcąc uniknąć strasznego swądu,  
Jaki z otchłani głębokiej wynika,  
Współ z mym wodzem stanąłem ukryty  
Pod jedną ścianą wielkiego pomnika,  
Gdzie taki napis w kamieniu był ryty:  
«Anastazego strzegą proch papieża,  
Którego Fotyn ściągnął z drogi prostej». —  
Tutaj na chwilę krok zwolnić wypada,  
By zmysł do swądu pierwszego wrażenia  
Przywyknął trochę. Tak mistrz mój powiada:  
«Potem nie będziem nań dawać baczenia». —  
Jam rzekł: «Znajdź sposób i rozważ go ściśle,  
Żeby zwłóczony czas nie szedł daremnie».  
A on: «Ty widzisz, że ja o tym myślę.  
Są w środku skał tych» — mówił mistrz rad ze mnie,  
«Trzy kręgi, co się zwięzają stopniami  
Jako te, cośmy rzucili za nami.  
Mnóstwo tam duchów, a wszystkie ładaco.  
Wprzód nim je poznasz, wiedzieć tobie trzeba,  
Jak są w tych kręgach zamknięci i za co.  
Wszelkie zło, które pobudza gniew nieba,  
Ma swój kres w krzywdzie, bo grzechu każdego  
Celem jest działać na krzywdę drugiego.  
Fałsz jako swojski grzech w człeka nałogu  
Od gwałtu więcej obrzydły jest Bogu;  
Przeto szalbierze w głębszej siedzą jamie,  
A duch ich z większą boleścią się łamie.  
Dla gwałtowników jest pierwszy krąg cały,  
Tak zbudowany, że ma trzy oddziały,  
Bo trzem osobom szkodzi gwałt zuchwały:  
Bogu, bliźniemu i samemu sobie,  
Który czynimy bądź wprost na osobie,  
Bądź na jej dobru; a co moja mowa  
Objaśni tobie przez następne słowa.  
Gwałt się dopełnia naprzeciw bliźniemu,  
Gdy śmierć lub rany zadaje się jemu,  
Albo przez kradzież, łupież, podpalenie  
Gwałtownie jego rujnuje się mienie.  
Więc mężobójce, co śmierć zadawali,  
Co podpalali, łupili, kradali,  
W pierwszy są oddział strąceni w płomienie.  
Ten, co na siebie lub na własne mienie  
Podnosi rękę, za takie szaleństwo  
Idzie w dział drugi na wieczne męczeństwo.  
A tak tam cierpi duch, co z tego świata  
Został wygnańcem dobrowolną wolą,  
Kto na grze trawi swe mienie i lata  
I ten, co zamiast cieszyć się swą dolą,  
Płacze i skarży na wszystko z nałogu.

Gwałt jeszcze można czynić przeciw Bogu,  
 Przeczając go w sercu, miłując bluźnierstwa  
 I klnąc przyrodę i jej dobrodziejstwa.  
 A przeto oddział pomieszcza najmniejszy  
 Nacechowanych pieczęcią Sodomy,  
 Piętnem Kahorsu i ten tam zamknięty,  
 Co sercem, słowy, przeciw Bogu grzeszy.  
 Fałsz, ten sumienia prześladowca wieczny,  
 Człowiek go może użyć przeciw temu,  
 Kto mu nie ufa i kto ufa jemu.  
 Drugi ten rodzaj fałszu niebezpieczny,  
 Rozrywa węzeł miłości społecznej;  
 Dlatego w drugim oddziale zamknięto  
 Graczów, świętoszków, pochlebców z kolei,  
 Symonijaków, fałszerzy, złodziei  
 I wszystkich brudem skalanych podobnym!  
 Pierwszy fałsz zasię niszczy miłość świętą,  
 Wszczepioną w serca pociągami osobnym;  
 Niszczy uczucie jej pokrewne, wiarę,  
 A z której ufność wzajemna wynika.  
 Dlatego w kręgu najmniejszym za karę,  
 W tym środku światów, którego dno ciasno  
 Razem jest gruntem pod miasto ogniste,  
 Kto zdradził, cierpi męki wiekuiste».  
 A ja: «Twe słowa, mistrzu, są dość jasne.  
 Staje mi w oczach cała otchłań dzika,  
 Jej lud, mieszkanie każdego grzesznika.  
 Lecz powiedz, ci, co wtrąceni do błota,  
 Których deszcz chłoszcze, ci, których wiatr miota,  
 I ci łąjący i wzajem łąjani,  
 Dlaczego w mieście ognia niekarani,  
 Jeśli jak drudzy są u Boga w gniewie?»  
 A on: «Przez ciebie szal, co mówi, nie wie.  
 Czy twoje myśli, wirem tego szalu  
 Z tych miejsc porwane, gdzie indziej się kręcą?  
 Przypomnij księgę znajomą morału ,  
 która trzy krewkie skłonności rozważa:  
 Niepowściągliwość, gniew i złość zwierzęcą.  
 Pierwsza z nich, jako mniej Boga obraża,  
 Lżejsze od drugich ponosi karanie.  
 Jeśli przypomnisz, zważywszy to zdanie,  
 Jakie tam dusze, choć grzechem zatrute,  
 Poza obrębem tym czynią pokutę;  
 Zrozumiesz lepiej, dlaczego ich grono  
 Od tych niewiernych w piekle oddzielono  
 I Bóg dlaczego w słusznym kar wymiarze  
 Mniej obrażony, łagodniej ich karze».  
 «O, słońce!» rzekłem, «co leczysz wzrok chory,  
 Wracając rzeczom właściwe kolory,  
 Gdy myśl wyluszczasz z jasnością i siłą,  
 Równie mi wątpić jak i wiedzieć miło!  
 Jeszcze raz powtórz i węzeł ostatni  
 Rozetnij! Powiedz: czym lichwa znieważa  
 Dobroć Najwyższą?» Mistrz mi odpowiada:  
 «Filozofia uczy najdobroci, najczystej,  
 Kto tylko zgłębia tajnie tej nauki,  
 Że byt natura na początku wzięła

Z mądrości bożej i jej arcysztuki;  
Twoja fizyka toż samo powiada.  
Nie przewracając długo kart jej dzieła,  
Znajdziesz, że sztuka dąży, ile zdoła  
W ślad za naturą, jak za mistrzem szkoła,  
Że sztuka ludzka jest jak boża wnuka!  
Gdy z tych dwóch zasad: natura i sztuka,  
Stanie ci w myśli *Genesis* zasada,  
Uznasz, że daje nam natura życie,  
A sztuka pomoc i życia użycie.  
Lichwiarz gdy serce łakomstwem zatwardzi,  
Zarazem sztuką i naturą gardzi;  
On w drodze życia inne ma koleje,  
On na czym innym buduje nadzieje.  
Teraz idź za mną, bo iść dalej trzeba,  
Bo na widnokrąg już wstąpił w tej chwili  
Znak Ryb, Wóz także już stoczył się z nieba,  
A dalej ścieżka skalista się chyli».

## Pieśń XII

(Krąg VII. Koło I. Zbrodniarze przeciw innym; centaury, Chiron, Attyla i inni tyrani i mordercy.)

Miejsce przechodu, brzeg ze ścianą ściętą  
I to, co jeszcze na przechodzie było,  
Ze wstrętem wszelki wzrok by odwróciło.  
Taki jest widok zwaliska przy Trento,  
Co na Adygę stoczyło się z góry,  
Trzęsieniem ziemi lub z braku podpory  
Brzeg spadający środkiem skał wyłomu  
Z wierzchu zejść na dół nie radził nikomu,  
Tak był okropnie stromy i wysoki;  
A na wierzchołku rozwartej opoki,  
Sromota Krety, leżał rozciągnięty  
Potwór z kłamanej cieliccy poczęty.  
A gdy nas ujrzał, to sam siebie kasał,  
Jak ten, co gniewem wściekle się rozdał.  
Mędrzec doń krzyknął: «Może ci się roi,  
Że tu przed tobą wódz ateński stoi,  
Który tam wyżej strzaskał ci paszczękę?  
Patrz, on nie idzie za radą twej siostry,  
Tylko przychodzi widzieć twoją mękę».  
Jak byk, gdy postrzał uwięźnię w nim ostry,  
Skacze, unosząc żelazo utkwione,  
Tak Minotaurus uskoczył na stronę.  
A mistrz zakrzyknął: «Nim tego potworu  
Gniew się wytrawi, wejdź w szyję otworu».  
I drogę sami robiąc gardłem jaru,  
Szliśmy przez głązy, kamienie i progi;  
Głązy naciskiem nowego ciężaru  
Z trzaskiem spod mojej toczyły się nogi.  
A mistrz tak mówił, gdy idąc, marzyłem:  
«Ty może marzysz o tych skał ruinie,  
Strzeżonej przez złość gorszą niż w gadzinie,

A którą gromem słów moich zgłuszyłem.  
 Chcę, abyś wiedział, gdy ostatnim razem  
 Zszedłem do piekieł za wróżki rozkazem,  
 Skała ta jeszcze w jednej była bryle;  
 Niewiele przedtem (jeśli się nie mylę).  
 Gdy zstąpił z nieba ten, który Disowi  
 Wziął wielką zdobycz! Strach był w piekle całem,  
 Trzęsła się do dna ta otchłań głęboka;  
 Czy świat miłością zadrżał, pomyślałem,  
 Przez którą, jeśli wierzyć, co Grek gadał,  
 Po wiele razy świat w chaos odpadał?  
 Wtenczas runęła ta stara opoka!  
 Spójrz, oto rzeka krwi!» Mistrz dalej mówi:  
 «W której się warzy wrzucony w jej brody,  
 Kto przez gwałt drugim przyczyną był szkody».

Ślepa chciwości! bezrozumny gniewie!  
 Krótkie nam życie paląc jak zarzewie,  
 W takie na wieki rzucacie nas wody!  
 Widziałem fosę, jak łuk zakrzywiona  
 Dolinę w krzywe objęła ramiona;  
 A między fosą i pomiędzy skałą,  
 Jeden za drugim uzbrojony strzałą,  
 Biegły centaury jak niegdyś na łowy.  
 Gdy nas zobaczył ten orszak myśliwy,  
 Wstrzymał się, patrzym, aż wprost ku nam leci,  
 Z łukiem napiętym jeden, drugi, trzeci;  
 Jeden z nich z dala krzyczał tymi słowy:  
 Na jakie wasze skazane tu życie  
 Cierpienia? mówcie, bo jeśli milczycie,  
 Wypuszczę strzałę na was». A mistrz mówi:  
 «Naszą odpowiedź damy Chironowi:  
 Na twe nieszczęście zawsze był zbyt żywy»  
 Potem mnie trącił i rzekł słodkim tonem:  
 «Oto jest Nessus, doradca nieszczery,  
 Który dla pięknej umarł Dejaniry  
 I sam swej śmierci pomścił się przed zgonem.  
 Pośrodku z czołem na pierś pochylonem,  
 Patrz, stoi wielki Chiron, mistrz Achilla,  
 Trzeci, to Folus, co był zły jak żmija  
 Mnóstwo ich biega wokoło tej fosy,  
 A każdy strzałą w lot ducha przebija,  
 Jeśli z krwi który więcej się wychyla,  
 Niż grzech pozwala wypłynąć z tej wody».

Gdy nasze kroki do nich się zbliżały,  
 Chiron ujawszy za głownię od strzały  
 I przyłożywszy do kudłatej brody,  
 W takim sposobie rozczesał jej włosy,  
 Że odkrył wargi wielkiej gęby swojej  
 I rzekł: «Widzicież, towarzysze moi?  
 Ten drugi z tyłu, czego tknie, porusza,  
 Tak ciężkiej stopy nie ma zmarłych dusza!».

Mistrz do potwora zbliżywszy się rąco,  
 Ku piersiom, gdzie się dwie natury łączą,  
 Tak rzekł: «On żyje, przez daną mi władzę  
 Po ciemnych kręgach ja go sam prowadzę.  
 Wkładając na mnie obowiązek nowy,  
 Wodzić żywego przez świat zagrobowy,

Święta przestała śpiewać Alleluja!  
 On nie rozbójnik, jam dusza niepodła;  
 W imię tej siły, co nas tu przywiodła,  
 Daj przewodnika, niech nas zaprowadzi  
 Do przejścia; tego niech na grzbiet swój wsadzi,  
 On nie duch, skrzydłem w powietrzu nie buja!».

Chiron na prawo zawróciwszy nogę,  
 Rzekł do Nessusa: «Idź i wskaż im drogę.  
 A jeśli drogę zaskoczą łuczniki,  
 Powiedz im, niech się ich tykać nie wążą».

I szliśmy dalej pod tą wierną strażą  
 Wzdłuż ponad brzegiem kałuży czerwonej,  
 W której topieni wydają krzyk dziki,  
 A z nich niejeden po brwi zanurzony.

A Centaur mówił: «To tyrani sami,  
 Którzy krwią bliźnich żyli i łupami.  
 Patrz, Aleksander, Dionizy okrutny,  
 Plaga na długo Sycylii smutnej,  
 Tu oni wiecznym pokutują płaczem.

Ten z czarną skórą, patrz, to Ezzelino,  
 Co umarł z głodu, skarżąc na swe losy.  
 Ten jest Obezzo d'Este, jasnowłosey,  
 Który, co dziwną zdało się nowiną,  
 Zgon swój był winien swemu pasierbowi».

Ja na poetę spojrzałem, on mówi:  
 «Ja drugim, pierwszym tu Nessus tłumaczem».

Dalej w tym krwawym i wrzącym potoku  
 Topielce głowy wznosili nad tonie;  
 Przewodnik Centaur, zatrzymując kroku,  
 Rzekł i cień wskazał stojący na stronie:  
 «On przebił serce jak drapieżne zwierzę,  
 W przybytku pańskim, przy świętej ofierze,  
 Serce dziś jeszcze czczone u Anglików».

Potem spostrzegłem innych topielników  
 Sterczących głową, to popiersiem całem,  
 Wśród których wielu znajomych poznałem.  
 Coraz to w rzece krew się tak zniżała,  
 Że potępionym ledwie tyle ciała  
 Kryła, iż stopy nurzały się bose.

Właśnie w tym miejscu przeszliśmy przez fosę,  
 A Centaur mówił: «Oto jak z tej strony  
 Strumień krwi widzisz wyraźnie zniżony,  
 Z drugiej natomiast więcej cięży do dna,  
 Aż tam do miejsca, gdzie karania godna  
 Cierpi tyrania. Do tego to łoża  
 Pchnęła na wieczność sprawiedliwość boża

Attylę, co był jej biczem na ziemi,  
 Pirrusa, Seksta i tamże wraz z niemi,  
 Za każdym tego kipieniem łożyska,  
 Renierom obu z Pazzi i z Korneto,  
 Którzy to niegdyś w ziemskim życiu swoim  
 Po wielkich drogach słynęli rozbojem,  
 Na wieczne czasy łzy gorzkie wyciska».

Rzekł i wstecz potem szedł tym samym brodem.

## Pieśń XIII

(Krąg VII. Koło drugie: samobójcy, Piotr a Vineis, gracze.)

Jeszcze przechodził Nessus bród czerwony,  
Gdyśmy wchodzili w las dalszym pochodem,  
W las pusty, żadną ścieżką nieznaczony.  
Tam liść na drzewach czarny, nie zielony,  
Gałęzie krzywe, zwiłkane niezmiernie,  
Zamiast owoców trucizna i ciernie.  
W gęstszej zarośli nie mieszka zwierz dziki,  
Co się kłem znęca nad żyzną doliną,  
Między Korneto a rzeką Cecyną.  
Tam gniazda mają harpije, straszydła,  
Które ze Strofad przegnały Trojanów  
Na nieznajome wody oceanów,  
Smutnym proroctwem trwóżąc wędrowniki;  
Szyja, twarz ludzkie, a szerokie skrzydła,  
Brzuch pierzem kryty, nogi ze szponami,  
A napełniają cały las żałami.  
Mistrz tak się ozwał po milczeniu długim;  
«Wiedz, że iść będziesz wciąż obwodem drugim  
Póty, aż wstąpisz w step okropnych piasków.  
Dlatego dobrze wyteżaj tu oko.  
A rzeczy ujrzysz tak dziwne jak mary,  
Co z ust mych słysząc, nie dałbyś mi wiary».  
Już las jękami pobrzmiwał szeroko;  
Nie widząc, co jest przyczyną tych wrzasków,  
Stanąłem jak słup i tak żem się zdumiał,  
Że mistrz mój sądził, jakoby rozumiał,  
Iż te jęczenia wyszły z piersi żywych  
Jakichś zakrytych dla nas nieszczęśliwych!  
I mistrz rzekł do mnie: «Ot złam gałąź krzywą,  
A błąd swój poznasz». Jam wnet niecierpliwą  
Wyciągnął rękę i gałąź uszczyknął.  
«Po co mnie łamiesz?» nagle pień zakrzyknął;  
Krwia cały szerniał i znów mówił z krzykiem:  
«Dlaczego szarpiesz mnie z sercem tak dzikiem?  
Byliśmy ludźmi, jesteśmy drzewami,  
Więcej litości mógłbyś mieć nad nami,  
Choćbyśmy byli robactwa duszami».  
Jak jednym końcem gore zapalona,  
A drugim syczy, skrzy głównia zielona.  
Ziejąc powietrze, co się w niej zagrzewa,  
Tak krew i słowa szły z pnia tego drzewa.  
I upuściłem gałązkę pod nogi,  
Stając jak człowiek potruchlony z trwogi.  
«Zraniona duszo!» mistrz mój odpowiedział:  
«Gdyby on wierzył w to, co jednak wiedział,  
Czytając moje na ziemi poema,  
Nigdy by ręki nie podniósł na ciebie.  
Widząc, że pełnej w tę rzecz wiary nie ma,  
Uszczyknąć twą gałąź poradziłem jemu,  
Co, wierz mi, sobie wyrzucam samemu.  
Lecz chciej, kim byłeś, powiedzieć poecie,  
On z niepamięci twe imię odgrzebie,

On twoją pamięć odświeży na świecie,  
 Gdzie ma powrócić i żyć tam na nowo».

A drzewo: «Nęcisz mnie tak słodką mową,  
 Milczeć nie mogę, lecz ostrzeżcie sami,  
 Jeśli za długo mówić będę z wami.  
 Jestem ten, który rządził Fryderykiem,  
 Od jego serca dwa klucze trzymałem,  
 Pierwszy zamykał, drugi je otwierał  
 Jak własny zamek; w jego państwie całem  
 Byłem jedynym jego powiernikiem,  
 On mnie podnosił i na mnie się wspierał;  
 Ja tak gorliwy byłem w tym zaszczyście,  
 Że przezeń sen mój straciłem i życie.  
 Lecz nierządnicą, co w dworzan nacisku  
 Bezwstydny okiem strzelała dla zysku,  
 Powszednia klęska i dworów zakała,  
 Zażęgła wszystkie przeciw mnie umysły.  
 I tak zawistni iskrą po iskierce  
 Na mnie Augusta zapalili serce,  
 Że z dwojga słońc-ócz noc dla mnie się stała,  
 Jak wodne bańki mi źrenice prysły.  
 A dusza moja, mozem był zbyt hardy,  
 Wierząc, że śmiercią zetrze piętno wzgardy,  
 Mnie uczyniła przeciw mnie samego  
 niesprawiedliwym ze sprawiedliwego.  
 Klnę się na świeży korzeń tego drzewa,  
 Żem nigdy wiary przez mój wstręt przyrodny  
 Nie zdradził pana, co był jej tak godny!  
 Gdy w świat z was który wrócić się spodziewa,  
 Podnieś mą pamięć, która ugodzona  
 Grotem zawiści leży tam i kona».

Po krótkiej przerwie mówił mi Wirgili:  
 «Kiedy on milczy, nie trać drogiej chwili,  
 Mów, pytaj jego, chcąc coś więcej wiedzieć».

A ja: «Ty, w myślach umiejący czytać,  
 Wiesz lepiej, o co i jak go zapytać,  
 A co by dało mojej chęci sytość:  
 Bo ja bym jemu nie mógł nic powiedzieć,  
 Tak mnie w tej chwili przytłoczyła litość».

Mistrz mówił za mnie: «Jeżeli skłoniony  
 Ten oto człowiek prośbami twojemi,  
 Wiernie, jak pragniesz, spełni je na ziemi;  
 Powiedz mi jeszcze, duchu uwieczony,  
 Jako się dusza w tych węzłach zamyka?  
 Mów, czy choć jedną kiedy jaka siła  
 Z jej tak twardego ciała wyzwoliła?»

Pień silnym wiatrem świsnął mi nad głową,  
 A wiatr ten w takie zamienił się słowo:  
 «Krótko odpowiem. Kiedy dusza dzika  
 Samochcąc z swojej klatki się wymyka,  
 Zaraz w krąg siódmy Minos ją odsyła.  
 I bez wyboru jej miejsca w tym lesie  
 Los ją tam rzuca, gdzie ją wiatr zanieśie.  
 Tam i kielkuje jako z ziarnem plewa,  
 Puszczą latorośl, staje się pniem drzewa;  
 Harpije drzewa karmiąc się liśćmi.  
 Robią mu boleść; zęb, co go bezcześci,

Otwiera przejście dla tejże boleści.  
 Jak innym duszom i nam by się chciało  
 Zebrać swe prochy rozwiane wiatrami;  
 Lecz nie nam w swoje ubierać się ciało,  
 Bo chcieć niesłusznie za życia, czy w grobie.  
 Mieć to, co sami odejmuję sobie.  
 My je przywleczem w tę puszcę żałobną,  
 A każde ciało zawiśnie osobno  
 Na drzewie swego cierpiącego cienia».

Jeszcześmy pilne dawali baczenia,  
 Sądząc, że pień chce mówić jakieś słowa,  
 Kiedy nas wrzawa zadziwiła nowa,  
 Jak łowca, który posłysz trąb wrzawę,  
 Gdy dzik na przesmyk swój ściąga obławę  
 I wystrzał broni, i łowców hałasy.  
 Gdy zwierza ryczą, a ich rykiem lasy.  
 Oto na lewo, snadź dwaj nieszczęśliwi  
 Nadzy, podarci, zda się na pół żywi,  
 Tak szybko wbiegli w lasu przesmyk wąski,  
 Że idąc drobne łamali gałązki.  
 «Chodź sam tu, śmierci! będziesz pożądaną!»  
 Rzekł pierwszy, drugi z tyłu krzyczał: «Lano!  
 Pewno tak rączą nie pędziłeś stopą  
 Gdyś biegł do boju pod Pieve del Topo».

Rzekł i w krzak zapadł, snadź tchu w nim nie stało,  
 On i krzak, zda się, jedno tworzył ciało,  
 Psy czarne lasem, bez tropu i szlaku,  
 Biegły samopas, snadź głodne krwi duchów  
 Jako brytany spuszczone z łańcuchów  
 I potępieńca, który skrył się w krzaku,  
 Zwietrzywszy pyskiem gryzły i szarpały;  
 A potem ciało podarte w kawały  
 Rozniosły, mając pełną ich paszczękę.  
 Wtenczas przewodnik mój wziął mnie za rękę  
 I pod krzak przywiódł przez psy rozczochrany,  
 Który daremnie skarżył na swe rany.  
 «Jakubie!» wołał. «O myśli szalone,  
 Co ci radziły mieć ze mnie ochronę,  
 Czyż moja wina, żeś grzechem zbrukany!»  
 Mistrz mój, podszedłszy, tak mówił do krzaka:  
 «Mów, kim ty byłeś, ty ranami skłuty,  
 Co ziejiesz ze krwią skargi i wyrzuty».

Krzak mówił, mowa jego była taka:  
 «Wy, coście przyszli widzieć rzeczywiście  
 Mój stan po moim zniszczeniu okrutnym,  
 W którym straciłem wszystkie moje liście,  
 Zbierzcie je, złożcie pod tym krzakiem smutnym.  
 Ja jestem z miasta, co pierwszego pana  
 Rade rzuciło dla Chrzyciela Jana.  
 Straszna swą sztuką pan od nich wzgardzony  
 Będzie ich dręczył przez czas nieskończony;  
 Gdyby nie posąg jego, jaki stoi  
 Na moście Arna, współziomkowie moi  
 Jeszcze by dotąd miasta nie dźwignęli  
 Z gruzów, co w spadku po Attyli wzięli.  
 Tam uciekając od mych wierzycieli,



Z własnego domu, sądz, jak zda się tobie,  
Głupi, zrobiłem szubienicę sobie».

## Pieśń XIV

(Krąg VII. Koło 3. Bluźniercy, lichwiarze, sodomici. Piasek rozpalony. Kapaneus. Starzec kreteński. Trzecia rzeka piekielna.)

Miłość rodzinnej skłoniła mnie strony,  
Zebrać i oddać rozmięcione liście  
Temu, co chrypiał jękiem wysilony.  
I stamtąd nasze zwróciliśmy iście  
Pod trzeci obwód, punkt, gdzie się odkrywa  
Sprawiedliwości bożej moc straszliwa.  
Chcąc wiernie rzeczy opowiedzieć nowe,  
Weszliśmy, mówię, na błonia stepowe,  
Bez żadnych roślin, puste i jałowe.  
Step ten opasan bolejącym lasem,  
Jak ten las, fosy grodzi się opasem.  
Tam krok wstrzymałem; jak martwego morza  
Powierzchnia piasku martwa i spalona;  
Po takim stopa deptała Katona.  
Jakże powinnaś być, o zemsto boża,  
Przerażająca dla tego, kto czyta  
To, co mojemu objawia się oku!  
Widziałem trzodę nagich dusz w natłoku,  
A wszystkie płaczą, lamenty zawodzą.  
Snadź według sądu kaźń ich rozmaita:  
Jedni wznak leżą, drudzy jak nić zwita  
W kłęb się zwinęli członkami wszystkimi,  
Inni po stepie nieustannie chodzą.  
Ci najliczniejsi; leżących na ziemi  
Było niewielu, ale przez ich wargi  
Największe żale jęczały i skargi.  
Szeroką kiścią dżdżył żar na pustkowiu,  
Jak śnieg bez wiatru w alpejskim parowie.  
Jak Aleksander pod indyjskie słońce  
Prowadząc lud swój, widział spadające  
Ognie na wojsko w piasku niegasnące,  
Po całym wojsku rozkazał z baczeniem  
Deptać nogami iskrę, gdy upadnie,  
Bo jedna iskra da się zgasić snadnie;  
Tak spadał ogień wieczny, a płomieniem  
Zapalał piasek jak proch pod krzemieniem.  
Płomienia piasek w lot chwytął się suchy,  
Dręczyć boleścią podwojoną duchy;  
Ich nieszczęśliwe w ciągłym ruchu ręce  
I w nieustannym jak wachlarz powiewie,  
Do ich ciał lgnące strząsały zarzewie.  
«Mistrzu,» mówiłem, «coś wszystkie przeszkody  
Usunął, prócz tej, jaką potępieńce  
Stawili hardo w progu Disa bramy:  
Kto ten cień, powiedz, olbrzymiej urody,  
Co leżąc w piasku tak dziko spoziera,  
Zda się, że jemu ogień nie doskwiera?

Czy hardy własnej urąga się męce?»  
 A cień spostrzegłszy, że o nim rozmowa  
 Toczy się z mistrzem, zakrzyknął w te słowa:  
 «Jak byłem żywy, jam zmarły ten samy!  
 Gdyby sam Jowisz, gdy gniew go zapala,  
 Choć raz zmordował swojego kowala,  
 Co jemu ukuł strzałę piorunową,  
 Pod której ostrzem jam leżał na skonanie;  
 Gdyby był czarnych robotników Etny  
 Wszystkich zmordował, stojąc nad ich głową,  
 Krzycząc: »Dopomóż mi, dobry Wulkanie!«  
 Wprzód nim pod Flegrą zdobył triumf świetny;  
 I gdyby wszystkie we mnie utkwili strzały,  
 Jeszcze z swej zemsty nie miałby dość chwały».

A mistrz doń mówił z gniewem i zapalem,  
 Tak mówiącego nigdy nie słyszałem:  
 «Kapaneusie! Czyliż twojej dumie  
 Twa kara granic położyć nie umie?  
 Żadna nie może równać się męczarnia  
 Z taką wściekłością, jaka cię ogarnia».

A potem do mnie twarzą obrócony,  
 Słodkimi usty przemówił najczulej:  
 «On był z tych siedmiu szturmujących króli  
 Stubramne Teby; pychę zaślepiony,  
 Pogardził Bogiem, tak wieść o nim głosi,  
 I wątpię teraz, czy go o co prosi.  
 Lecz męka dumy, jak mówiłem jemu,  
 Bodaj największą karą jest dumnemu.  
 Idź za mną, tylko strzeż się, abyś czasem  
 Gorącym piaskiem nie obraził nogi,  
 Przeto ostrożnie idź tuż poza lasem».

Milcząc, przyszedłszy, ja i wódz mój drogi,  
 Nad brzeg krynicy, co z lasu wynika;  
 Rażąca tego czerwoność strumyka  
 Jeszcze mi dzisiaj włos na głowie jeży.  
 A jak przejrzysty strumień z Bulikamy,  
 Którym tak rade grzesznice się dziela,  
 Znęcone jego chłodzącą kąpielą,  
 Tak dnem piaszczystym ta krynica bieży.  
 Oba jej brzegi wysłane granitem,  
 Trzeba, myślałem, iść wzdłuż jej korytem.  
 «Wśród mnóstwa rzeczy, co ci, mój kochany,  
 Już pokazałem po wyjściu z tej bramy,  
 Której nikomu próg niezakazany,  
 Jeszcześ nie widział tak ciekawej pono.  
 Patrz, wody w siebie wszystkie ognie chłoną!»

Mistrz mój tak mówił; więc prosiłem jego,  
 Aby mi podał pokarm, do którego  
 Sam wpierw podrażnił chęć mą wygłodzoną.  
 «Pośrodku morza jest kraj lądu pusty,  
 Na imię Kreta,» rzekł mistrz złotousty,  
 «A miał on króla, pod którego rządem  
 Świat nasz był czysty; nad morzem i lądem  
 Podnosi garb swój góra, Idą zwana,  
 Niegdyś gajami, wodą szachowana,  
 A dzisiaj pusta, jak każda rzecz stara!  
 Tam Rea syna powiła w połogu;

Chcąc go skryć lepiej, gdy płakało dziecię,  
 Płacz wrzawą surmy głużyła i rogu.  
 Wśród góry stoi starzec jak jej mara,  
 Plecami stoi on ku Damijecie,  
 Wzrok utkwil w Romę jak w swoje zwierciadła,  
 Głowę ma złotą, barki, pierś ze srebra,  
 A z miedzi członki, począwszy od żebra,  
 Aż gdzie się biodro na widły rozpadło;  
 Niżej do pięty, jakby z jednej szyny,  
 Kształty tworzyły spławione żelazo,  
 Prócz prawej nogi, ta z palonej gliny,  
 Dlatego więcej opiera się na niej.  
 Prócz złota, kruszce bruzdowane skazą,  
 Kropleją łzami, te, gdy nad brzeg wzbiorą,  
 Przez grotę płyną w głąb do tej otchłani:  
 I z łez tych rzeka tworzy się osobna,  
 Jako Acheron i Styks z Flegetonem;  
 Potem korytem zstępują zwężonem  
 W punkt, skąd już niżej zstąpić niepodobna,  
 Tam tworzą Kocyt; ujrzyś to jezioro,  
 Dlatego o nim nie śpieszę tu z mową».

Rzekłem: «Gdy płynie ta krynica krwawa  
 Z naszego świata, dlaczego na skraju  
 Już jest widzialną tylko tego gaju?»  
 A on: «Ta otchłań, wiesz, jest okrągława;  
 Choć długą drogą twe stopy znużone  
 Zstępują ciągle w głąb na lewą stronę,  
 Jeszcześ nie obszedł jej całego koła.  
 Snadź krąg jej tobie zda się rzeczą nową,  
 Jednak sam przyznasz, że jako poetę,  
 On cię zadziwiać nie powinien zgoła».

Jeszcze ja: «Gdzie jest Flegeton i Lete?  
 O jednej milczysz, o drugim, mój wieszczu,  
 Powiadasz, że on powstaje z łez deszczu».

«Z radością,» mówił, «słyszę niepowszednią  
 Te dwa pytania powiązane społem;  
 Jednakże wrzenie tej wody czerwonej  
 Mogłoby z dwóch ci rozwiązać choć jedno.  
 Zobaczysz Letę, lecz poza tym kołem,  
 Tam, gdzie się czyścić idzie duch skażony,  
 Kiedy przez skrucę ma grzech przebaczony».

A potem mówił: «Czas odejść od lasa,  
 Brzegiem tej wody idź za mną pomału!  
 Tu mniej duszącym jest oddech upału,  
 Tutaj żar każdy, nim spadnie, zagasa».

## Pieśń XV

(Krąg VII. Koło 3. Sodomici. Brunetto, nauczyciel Dantego.)

Teraz idziemy wybrzeżem kamiennym,  
 Mgła powstająca z dymiących wód łoża,  
 Strzeże od ognia wodę i jej brzegi.  
 Jak zatrwożony potopem wiosennym  
 Flamand swe groble podnosi od morza

Lub jak Padwanie wzdłuż wybrzeża Brenty,  
 Broniąc swych zamków, wodom czynią wstręty,  
 Chiarentana nim rozciepli śniegi:  
 Na mniejszą skalę, lecz na wzór ten samy,  
 Zdrój ten zamknęła pomiędzy dwie tamy  
 Nieznajomego ręka budownika.  
 Jużem za sobą las daleko rzucił,  
 Gdzie był, nie zgadłbym, gdybym się obrócił.  
 I oto trzodę duchów spotykamy,  
 Duchy idące wzdłuż tego strumyka.  
 Patrzały na nas i oczyma strzygły,  
 Jak jedni w drugich wpatrujem się lica  
 Zmrokiem, przy blasku nowego księżyca;  
 Duchy te pilno utkwily w nas oczy,  
 Jak stary krawiec w ucho swojej igły.  
 Z gromady duchów, co tak patrząc kroczy,  
 Jeden mnie poznał, ułapił co żywo  
 Poję mej sukni i krzyknął: «O dziwo!»  
 W chwili, gdy do mnie wyciągał ramiona,  
 Spojrzałem, chociaż twarz ogniem spalona  
 Łatwom ją poznał, nie była zmieniona.  
 Podając jemu rękę, rzekłem: «Gdzie to?  
 Azali jesteś tu, panie Brunetto?».  
 A on: «Mój synu! I któż mię obwini,  
 Jeśli dla ciebie Brunetto Latini  
 Pozostał w tyle od swoich szeregu?».  
 «Jeśli chcesz,» rzekłem, «nad brzegiem tej wody  
 Przysiadę z tobą; co mogę, to zrobię,  
 Spędzim chwil kilka naszym sercom gwoli,  
 Ten, z którym idę, gdy na to przyzwoli».  
 «Synu mój,» mówił, «wiedz, że z naszej trzody  
 Na jedną chwilę kto wstrzyma się w biegu,  
 Sto lat pod ogniem przestoi w otchłani,  
 Nie mogąc strząsnąć żaru, co go rani.  
 Idź, krok za krokiem iść będę przy tobie.  
 Potem dogonię braci nierozdzielnych,  
 Co idą, płacząc swych mąk nieśmiertelnych».  
 Nie śmiałem zstąpić, aby z nim iść społem.  
 Lecz szedłem ze czcią, z pochylonym czołem.  
 On mówił: «Losu czy wyroku władza  
 Ciebie przed czasem w tę otchłań sprowadza?  
 Kto jest wódz twoją kierujący drogą?»  
 «Tam wyżej żyjąc wesoło i błogo,»  
 Odpowiedziałem, «zblądziłem w dolinę,  
 Przed kresem dni mych myślałem, że zginę;  
 Lecz zbłąkanego, drżącego od trwogi,  
 Wódz mnie wprowadził na tor mojej drogi».  
 A on: «Szczęśliwa twa gwiazda, licz na niej,  
 Dojdiesz do kresu twej świetnej przystani,  
 Jeślim się dobrze twej przyszłości radził.  
 Gdyby śmierć wcześniej ócz mych nie zamknęła.  
 Wiary twej we mnie pewnie bym nie zdradził,  
 Widząc nad tobą niebo tak życzliwe,  
 Sam bym ci zagrzał twe serce do dzieła!  
 Lecz to niewdzięczne plemię i złośliwe,  
 Lud, który wyszedł z Fijesoli z dawna,  
 Dziki jak skała jego nieuprawna,

Za czyn twój dobry stanie się twym wrogiem;  
 I słusznie, nie dziw, że cię klątwa ściga,  
 Bo nie przystoi, między cierpkim głogiem  
 Ażeby słodka dojrzewała figa.  
 Wieść stara ślepym nazywa go ludem.  
 Plemię zawistne, dumne i łakome:  
 Obyś ich nigdy nie kalał się brudem!  
 Łaski Fortuny tak w tobie widome,  
 Twój przyszły zaszczyt, że stronnictwa oba,  
 Gdy swej zawiści stępią ostrze grotu,  
 Głodne zapagną twojego powrotu.  
 Lecz bądź, roślino, z dala od ich dzioba,  
 Zwierz z Fijesoli drapieżnym nałogiem  
 Niech się podściela ze swych ciał barłogiem;  
 Lecz niech roślinę zostawi w pokoju,  
 Gdy jeszcze jaka wyrasta z ich gnoju,  
 W której odżywa to święte nasienie  
 Rzymian, co przyszli w tę stronę nie w gości,  
 Lecz zamieszkali gniazdo takiej złości».

Odpowiedziałem: «Gdyby me życzenie,  
 Gdyby me chęci wysłuchano z góry,  
 Nie byłbyś pozwan przed sąd twej natury.  
 Wierzaj mi, zawsze w pamięci mej stoi  
 Drogi ojcowski obraz twarzy twojej,  
 Gdy mnie uczyłeś, jak dzieły wielkimi  
 Unieśmiertelnia człek imię na ziemi.  
 Za to ci wdzięczność serce me przechowa,  
 Rad, póki żyję, wyznam ją przez słowa.  
 Co o mej gwieździe mówisz, będę baczył,  
 Abym tekst drugi o niej wytłumaczył  
 Słowami pani, która mi odsłoni  
 Całą mą przyszłość, jeśli dojdę do niej.  
 Tylko ja chciałbym, byś wiedział, żem gotów  
 Znieść cios Fortuny, pociski jej grotów,  
 Abym w sumieniu był czystym aniołem.  
 Treść wróżb nienowa dla mojego ucha;  
 Niech więc Fortuna, jak chce, toczy kołem!»

Wtenczas na prawo zwrócił się Wirgili,  
 Popatrzał na mnie i mówił po chwili:  
 «Kto w swej pamięci bez błędu zapisze  
 Rzecz raz słyszana, taki dobrze słucha».

Idąc i mówiąc wciąż z panem Brunetto,  
 Pytałem, jacy jego towarzysze  
 Znajomsi byli jakim czynem, chwałą,  
 Blaskiem nauki czy własną zaletą.  
 A on: «Niektórzy poznanie są godni,  
 O drugich będzie zamilczeć wygodniej,  
 Mówić tak długo czasu by nie stało.  
 Wiedz: słowem, wszyscy byli to klerycy,  
 A literaci wielcy, piśmiennicy,  
 A wszyscy grzechem tym samym zbrukani.  
 Prawnik z Akorso i mistrz Pryscyjani,  
 Idą pospołu w tym nikczemnym tłoku.  
 Gdybyś pożądał szpetnego widoku,  
 Mógłby twojemu przedstawić się oku  
 Ów Andrzej z Mozzi, którego sług sługa  
 Przeniósł znad Arna do Bakiglijony,

Gdzie zmarł rozwiąż całą wykrzywioną.  
Mówiłbym o nim dłużej, lecz nie mogę,  
Dym bucha, idzie trzoda duchów druga,  
Z którą mi w jedną nie wolno iść drogę.  
Skarbiec mój czasem otwórz i przeczytaj,  
W nim tylko żyję; więcej mnie nie pytaj».   
Potem zawrócił stopy w inną stronę.  
Jak szybko biegacz bawiący Weronę  
Bieży do mety po sukno zielone,  
Podobnym krokiem dopędzał swych braci,  
Jak ten, co w biegu wygrywa, nie traci.

## Pieśń XVI

(Krąg VII. Koło III. Ciąg dalszy. Gwidogwera. Rusticuci).  
Już byłem w miejscu, gdzie słychać szum wody,  
Która spadała w drugi krąg piekielny  
Szumiąc podobnie jak w ulach gwar pszczelny.  
Trzy cienie od tej oderwane trzody,  
Co przechodziła pod ognistym deszczem,  
Podbiegły do nas, krzycząc w uniesieniu:  
«O stój, poznajem po twoim odzieniu,  
Żeś dziecko naszej występnej ojczyzny».  
Widziałem na ich ciałach od płomienia  
Świeże i stare wypalone blizny;  
Niestety! Jeszcze wspominam je z dreszczem,  
Choć czas na poły zatarł ślad wrażenia.  
Na krzyk ich brzegiem idący porzecznym  
Mistrz stanął; do mnie obrócił się twarzą  
I rzekł: «Stań, jeśli chcesz być dla nich grzecznym:  
Gdyby nie ognie, co te piaski skwarzą,  
Rzekłbym, że witać z skwapliwością całą,  
Więcej by tobie niżli im przystało».  
Gdyśmy stanęli, starą pieśń okrzyków  
Cienie zawyły z boleści wyrazem,  
Kręcąc się w kółko wszyscy trzej zarazem  
I obyczajem nagich zapaśników  
Już namaszczone, co się okiem mierzą,  
Nim w szrankach na się piersią w pierś uderzą,  
Cienie wprost do mnie obracając twarze,  
W krąg się kręciły po stepu obszarze,  
W sposób, że szyja skrzywiona z ich nogą,  
Ciągle jak w sporze, przeciwną szły drogą.  
Jeden tak mówił: «Chociaż pełen groźby  
Step ten ruchomy, smutny i spalony,  
Podał w pogardę nas i nasze prośby,  
Mów, naszej sławy odgłosem skłoniony,  
Kto jesteś, co tu stopami żywemi  
Stąpasz po piekle śmiało jak po ziemi?  
Patrz, ten, którego ja zacieram ślady,  
Nagi, żarami obdarty ze skóry,  
Był dobrze większym, jak ty mniemasz mężem;  
Był wnukiem skromnej i pięknej Gwalrady  
Nazwisko jego było Gwidogwera,

Mąż zawołany radą i orężem.  
 Drugi, co ze mną, smutny i ponury,  
 Gorące żwiry stopami rozciera,  
 Wpatruj się dobrze, to Aldobrandini,  
 Wieszczy bez słuchacza wśród swojej krainy!  
 Ich współmęczennik w tej ognia pustyni  
 Jam Rustikuci; zaiste zła żona  
 Więcej jak wszystko, wwiodła mnie do winy».

Gdybym był pewny od ognia zachrony,  
 Skoczyłbym na dół objąć ich w ramiona,  
 Wierzę, nie byłby mistrz tym zasmucony;  
 Lecz myśl, że będę na żarach spieczony,  
 Strach w końcu we mnie dobry zamiar przemógł,  
 Żem ich uściskiem lubować się nie mógł.  
 Potem na takie zdobyłem się słowa:  
 «Nie jest to wzgarda, lecz boleść serdeczna,  
 Jaką mi sprawia wasza męka wieczna.  
 Mnie o was mistrza uprzedziła mowa,  
 Według słów jego pomyślałem wreszcie,  
 Jacyście przyszli, takimi jesteście,  
 Jestem wasz ziomek i zawsze z zapalem  
 O waszych czynach szlachetnych słuchałem.  
 Żółć porzuciłem, cel mej drogi główny  
 Dojść do owoców, których treść tak słodka!  
 Co mi obiecał mój wódz prawdomówny;  
 Lecz tu wpierw muszę zstąpić aż do środka».

Cień rzekł: «Niech dusza twoimi członkami  
 Kieruje długo, sława niech obleci  
 Zakres dni twoich i po tobie świeci.  
 Mów, czy waleczność i uczucia szczere  
 Żyją jak niegdyś pomiędzy ziomkami,  
 Czy już wygnane są u nich w bezczęści?  
 Bo gość niedawny Wilhelm Borsijere ,  
 Który tu przybył społem jęczeć z nami,  
 Przerazające opowiada wieści».

«Zatyli na twym, Florencyjo, chlebie  
 Przybysze nowi (zysk nagły a lichy),  
 Zrodzili tyle swawoli i pychy,  
 Że już złem własnym skarżysz sama siebie».

Tak wykrzyknąłem z podniesioną twarzą:  
 Słyszac to, cienie po sobie spojrzwały,  
 Jak ci, co głosem prawdy się przerażają.  
 Potem samotrzeć tak odpowiedziały:  
 «Jeżeli zawsze, najskąpszy z gadaczy!  
 Tak małym kosztem zbywasz twych słuchaczy,  
 Szczęśliwie mierzysz miarą słów twe chęci:  
 Przecież gdy zdołasz wyjść z tych miejsc rozpaczy  
 I ujrzysz świat twój z gwiazd światłem tak miłym,  
 Jeśli ci zda się mówić: ja tam byłem —  
 Chciej nas przypomnieć żyjących pamięci!»

Wtem rozerwały koło i uciekły  
 Szybko, jak gdyby skrzydłami wiatr siekły;  
 I nikt tak prędko Amen nie wymówi,  
 Jak znikły w stepie, pędząc w ślad swej trzody.  
 Przeto iść dalej zdało się mistrzowi,  
 Ja szedłem za nim, wtem — o dziwo nowe!  
 Tak blisko łoskot zagłuszył nas wody,

Że szumem naszą przerywał rozmowę.  
 Jak z własnym ujściem zapieniona rzeka  
 Na wschód od Wizo do morza przecieka,  
 Z gór Apeninu, zwana *Aquacheta*,  
 Nim zstąpi w głębsze na dolinach łoże;  
 Przy Forli traci to imię, a potem,  
 Jak z gór kaskada spadając z łoskotem,  
 Grzmi wód hałasem przy *San Benedetto*,  
 Gdzie z tysiąc ludzi pomieścić się może:  
 Z takim łoskotem ze stromej skał ściany,  
 Staczał się strumień krwią zafarbowany,  
 Ażem ogłuchnął na oboje ucho.  
 A byłem w pasie sznurkiem przepasany,  
 Jakim tuszyłem — daremna otucho! —  
 Złović panterę z skórą cętkowaną.  
 Sznur odpasawszy, jak mi rozkazano,  
 Zwinięty w kłębek oddałem mistrzowi,  
 Mistrz się na prawo zwrócił ku brzegowi  
 I z brzegu, stojąc nad stromą opoką,  
 Cisnął go w otchłań strumienia głęboką.  
 Rzekłem więc w sobie: Pewnie coś nowego  
 Na ten znak nowy odpowie, jak wróżę,  
 Gdy mistrz uwagi nie zdejmuje z niego. —  
 Jak ludzie przy tym powinni być baczni,  
 Który najskrytszą myśl w nich zbadać może!  
 Mistrz mówił: «Teraz pilno patrzeć zacznij,  
 To, na co czekam, zaraz się objawi,  
 O czym ty marzysz, wnet ujrzysz oczyma».  
 Niech człowiek prawdę za ustami trzyma,  
 Jeśli choć pozór z niej kłamstwa wynika,  
 Bo sam bez winy na wstyd się wystawi.  
 Lecz tu zatrzymać nie mogę języka:  
 Na te poemy, czytelniku, tobie,  
 Klnę się, jak chcę mieć twą łaskę po sobie,  
 Że przez mgły gęste widziałem i mżące  
 Jakieś w powietrzu widmo pływające  
 W postaci nurka, gdy tonie w wód łono,  
 Aby odwiązać kotew zaczepioną  
 O głaz podwodny lub wynieść z wód łona  
 Jakiś tam przedmiot morzem pochłonięty,  
 W chwili, gdy przed się wyciąga ramiona,  
 A cały sobą przysiada na pięty.

## Pieśń XVII

(Gerion. Ostatni z koła III: lichwiarze. Odjazd.)  
 «Zarażająca świat tchem jadowitym,  
 Oto z ogonem stalowym bestyja.  
 Którym broń łamie i mury przebija!»  
 Tak mówił wódz mój, a na zwierza skinał,  
 Aby z powietrza do nas lot swój zwinął,  
 Na brzeg, gdzie szliśmy nadrzecznym granitem.  
 I oszukaństwa spadł obraz obrzydły;  
 Wysunął głowę, pierś pod stopy nasze,



Lecz nie położył ogona na tamie.  
 Ten latający dziwoląg, nie kłamię,  
 Sprawiedliwego miał oblicze męża,  
 A skóra na nim błyszcząca i miękka,  
 Resztą był ciała podobny do węża.  
 A miał dwie łapy zakrzywione w widły,  
 Podszyte puchem pod samo podpasze;  
 Pierś, grzbiet i boki jak hieroglif jaki  
 Były pisane w kółka i gzygzaki:  
 Pięknie Arachny nie dzierżała ręka,  
 Tkań, jaką snuje piękna odaliska,  
 Więszym bogactwem barwy nie połyska.  
 Jak czasem stoją w brzegach rzeki łodzie,  
 Na pół na ziemi, a na poły w wodzie,  
 Jak bóbr do walki po pas wynurzony,  
 W kraju, gdzie żyją żarłoczne Teutony,  
 Tak zajmowała ta bestyja dzika  
 Brzeg, co step piasków granitem zamyka.  
 Całym ogonem potwór na wiatr miotał,  
 Jak skorpion żądłem zatrutym migotał,  
 A wódz mi mówił: «Teraz nam z wybrzeży  
 Zstąpić przystoi, gdzie ten potwór leży».  
 I schodząc w prawo (któż ostrożność zgani?),  
 Jeszcze dwa dałem kroki tym wybrzeżem  
 Z myślą, że w stepie ognia się ustrzeżem.  
 Gdyśmy stanęli przed tym ptako-zwierzem,  
 Nieco opodał, u progu otchłani,  
 Duchy, widziałem, na piasku siedziały.  
 A mistrz: «Ażebyś poznał krąg ten cały,  
 Idź, poznaj bliżej ich stan i katusze,  
 Lecz z nimi długą nie baw się rozmową:  
 Nim wrócisz, spytać tej bestyi muszę,  
 Czy nam do jazdy grzbietu nie użyczy».  
 I sam poszedłem w dolinę stepową,  
 Gdzie krańcem siódmy krąg z ósmym graniczy,  
 Tam gdzie siedziały nieszczęśliwe duchy.  
 Boleść tryskała przez oczy ich łzami,  
 Podnosząc ręce od ruchu mdlejące,  
 Żar odsuwały, to piaski gorące;  
 Jak psy w skwar letni pyskiem, to łapami  
 Ich kęsające opędzają muchy.  
 Próżno oczyma przeglądałem twarze  
 Okaleczone w tym bolesnym żarze.  
 Nikogo w takim zebraniu nie miałem,  
 Nie mogłem poznać, lecz zauważałem,  
 Z każdego szyi zwisała kaleta,  
 Godłem i barwą każda rozmaita;  
 Ich oczy, zda się, że pasły się nimi.  
 Podeszedłszy bliżej, oczyma własnymi  
 Widziałem, jak na błękitnej kalecie  
 Siedział lew bury i tonął w błękicie:  
 Tak robiąc przegląd, postrzegłem z daleka  
 Drugą kaletę jak w krwi farbowaną,  
 A na tle krwawym gęś bielszą od mleka;  
 Jeden, któremu tło białego wora  
 Zdobiła świnia, błękitna maciora,  
 Przemówił do mnie: «Co tu robisz żywy?

Wiedz, że mój były sąsiad Witaliano  
 Siądzie tu przy mnie, po mej lewej stronie:  
 Padwianin jestem w florentynów gronie,  
 Często mnie głuży ich okrzyk wrzaskliwy:  
 »Oby mąż nadszedł krokiem uroczystym,  
 Który ma worek o dziobie troistym«».

A potem dziko żar oczyma wskrzesił,  
 Wykrzywił wargę i język wywiesił  
 Jako wół, kiedy swoje nozdrza liże.  
 A ja z bojaźni, czy nie zabawiłem  
 Dłużej nad zakres według słów przestrogi,  
 Grzbiet do tych nędznych duchów obróciłem.  
 Patrzę, zwierz dziki już oczyma strzyże,  
 Na grzbiecie jego siedział mój wódz drogi  
 I mówił: «Teraz bądź krzepki i śmiały!  
 Ktokolwiek tutaj chce zstąpić z tej skały,  
 Musi drabiną schodzić tylko taką.  
 Siądź z przodu, moje do ogona siodło,  
 Aby cię jego ostrze nie ubodło».

Jak chory febrą zmęczony czworaką,  
 Patrząc na blade paznokcie, już całę,  
 Nim dreszcz chorobę poczuje, drży ciałem,  
 Słowa te wstrzęły mnie drżeniem nieznanem;  
 Na koniec strach mój na wstyd się przesila,  
 Który przed dobrym krzepi sługę panem.  
 Siadłem na barkach szerokich zwierzęcia;  
 Chciałem rzec: «Trzymaj, weź mnie w swe objęcia!»  
 Lecz głos nie wyszedł uwieźły w mym łonie.  
 On, co mię wyrwał z niebezpieczeństw tyła,  
 Gdym siadł, w ramiona tulił mnie jak dziecko  
 I mówił: «Teraz ruszaj, Geryjonie!  
 Tylko pamiętaj, że nie cienie duchów,  
 Lecz nowy ciężar niesiesz na twym grzbiecie;  
 Szerokim łukiem spuszczaś się do ziemi».

Jak łódź od brzegu ruchy leniwemi  
 Zrazu się sunął; a potem, a potem,  
 Kiedy już poczuł swobodę swych ruchów,  
 Podniósł się w górę i zwinnym obrotem  
 Ogon ku piersi przerzucił nad nami,  
 Rozciągnął ogon, jak węgorz nim miotał,  
 W powietrzu dwiema wiosłując łapami.  
 Czy ode mnie Faeton, nie uwierzę,  
 Czuł większą trwogę, gdy rydwan zdruzgotał  
 I lejc upuścił pod sferą słoneczną,  
 Tor swój nieszczęsny znacząc drogą mleczną,  
 Lub Ikar widząc topniejące pierze,  
 Gdy ojciec krzyczał: «Słoneczna pożoga  
 Spali ci skrzydła, zuchwała to droga!»  
 Jakaż w tej chwili była moja trwoga,  
 Gdy wszystkie z oczu straciwszy przedmioty  
 Widziałem tylko powietrze i zwierze!  
 Ptak-zwierzę płynąc powoli, powoli,  
 Na przemian skręcał, to zniżał swe loty,  
 Ledwo odgadłem, co się działo ze mną,  
 Z wiatru, co dał mi w twarz mą i pode mną.  
 Otchłań na prawo, podsłuchałem potem,  
 Grzmiała pod nami potężnym łoskotem;

Na tak straszliwy łoskot mimo woli  
Z trwogą spuściłem w dół oczy i głowę:  
Wtenczas ta otchłań prawie o połowę  
Zwiększyła we mnie grozę przerażenia,  
Widziałem ognie, słyszałem jęczenia  
I cały drżący w sobie się zebrałem.  
Czegom nie widział, w tej chwili widziałem,  
Że się spuszcza między wielkie męki,  
Słyszac zbliżone szlochanie i jęki.  
Sokół gdy długo na skrzydłach się waży,  
A sokolniczy stojący na straży  
Nie widząc długo ptaka i zdobyczy:  
«Sam tu sokole!» niecierpliwie krzyczy;  
Z chmur, gdzie daremnie setne kreślił koła,  
Spuszcza się skrzydło znużone sokoła  
I ptak, bo wre w nim żółć gniewem zagrzana,  
Spada z daleka od swojego pana: —  
Tak nas Geryjon wysadził na skałę  
Sterczącą na dnie głębokiego jaru  
I pierchnął, zbywszy naszego ciężaru,  
Jak widzimy z łuku pierzchającą strzałę.

## Pieśń XVIII

(Krąg VIII. Tłumok 1 i 2. Rajfury i pochlebcy.)

Jest miejsce w piekle zwane *Złe Tłumoki*,  
Żelaznej barwy, a całe z opoki,  
Okólna ściana także granitowa;  
Pośrodku jama wrzyna się opoką,  
Tworząc szeroką studnię i głęboką,  
O której będzie na swym miejscu mowa.  
Od zrębu studni aż po skał podnoże,  
Przestrzeń okrągła, a całe wydroże  
Do dna porzniete na dziesięć oddziałów.  
A jako liczne przekopy i jamy  
Bronią przystępu do zamkowych wałów —  
Pewne schronienie od wrogów napaści —  
Na wzór ten były te kamienne tamy;  
A jako twierdza fosą otoczona  
Na brzeg jej drugi rzuca most od bramy,  
Tak od stóp skały szły kamienne zęby,  
Które przerznawszy fosy i przepaści,  
Końcami w studni wpierały się zręby.  
Kiedyśmy zsiadli z grzbietu Geryjona,  
W takie skaliste weszliśmy warownie.  
Z mistrzem na lewo zawróciłem kroku,  
Na prawo zasię widziałem w pół zmroku  
I nowych katów, i nowe katownie.  
Grzesznicy nadzy w tym pierwszym tłumoku  
Jedni szli do nas, połowa szła bokiem  
W naszym kierunku, ale sporszym krokiem.  
Rzym gdy rok święci jubileuszowy,  
Przyjęto zwyczaj, by przez most zamkowy

Dla ogromnego nacisku pątników  
 Lud, idąc, na dwie dzielił się połowy.  
 Jedni przechodząc, mają w *Santo-Pietro*  
 Twarz obróconą, ci w *Monte-Giordano*,  
 Że tłumy ludu nigdy się nie zetną.  
 Tak z stron przeciwnych szatany rogale  
 Idąc z biczami po tej czarnej skale,  
 Okrutnie z tyłu smagały grzeszników.  
 I na trzask pierwszy bicza jakby gnano  
 Trzodę ze szkody, cały tłum uciekał,  
 Nikt na trzask drugi i trzeci nie czekał.  
 Podczas gdy szedłem ponad jamą ciemną,  
 Widzę, znajomy potępieniec kroczy,  
 I rzekłem: «Znam go, nie mylą mnie oczy».  
 Wstrzymałem kroku, a nie chcąc mnie smucić,  
 Wódz mój łagodny zatrzymał się ze mną,  
 Krok trochę na wstecz pozwolił mi zwrócić.  
 Lecz duch smagany wpadł na wybieg nowy,  
 Chciał mi się ukryć nachyleniem głowy;  
 Ja mówię: «Ty, co wzrok spuszczasz tak dziko,  
 Jeśli twych rysów wyraz nieklamany,  
 Poznaję ciebie, witaj Wenediko  
 Za jaką winę jesteś tak chłostany?»  
 «Ze wstrętem mówię, jaka moja wina,  
 Chociaż wstręt głos twój łagodzi srebrzysty,  
 Głos, co mi świat mój niegdyś przypomina.  
 Jestem ten, który jako duch nieczysty  
 Skusiłem piękną mą siostrę Gizolę,  
 Aby się zdała na margrafa wolę.  
 Różnie w powieściach brzmi ta historia!  
 Niejeden tutaj grzbiet biczami sieką,  
 Pełno tu moich ziomków Bolończyków;  
 Pomędzy Reno a Saweny rzeką,  
 Więcej nie spotkasz nawykłych języków  
 Do wymawiania *sipa* zamiast *sia*;  
 Gdy chcesz świadectwo mieć tej prawdy godne,  
 Wspomnij na nasze łakomstwo przyrodne.  
 Gdy mówił, szatan uderzył go biczem:  
 «Idź,» krzyknął, «z swoim gronem wszeteczniczem,  
 Tu nie ma targów na wdzięki niewieście!»  
 Ja do mojego wracam przewodnika;  
 Idąc znów za nim przyszedliśmy nareszcie,  
 Gdzie skała ramię kamienne wytyka.  
 I szliśmy lekko po skale i żwawo,  
 Dalszy nasz pochód zwracając na prawo.  
 Gdyśmy wstąpili na łuk jej arkady,  
 Pod którą duchów przechodzą gromady,  
 Mój wódz «Stój,» mówił, «daj folgę krokowi!  
 Patrz, oto idą potępieńcy nowi,  
 Jeszcześ ich widzieć nie mógł oko w oko,  
 Bo w tym kierunku idą pod opoką».  
 Z starego mostu, pod jego łukami,  
 Widzę, cug duchów przeciągał przed nami,  
 Biczem jak pierwszy zarówno smagany.  
 A dobry mistrz mój mówił niepytany:  
 «Patrz, wyższy głową nad wszystkich cień idzie,  
 A który mimo częstych razów bicza,

Zda się, łąą jedną nie zwilżył oblicza.  
 Jaka królewska w nim postać z powagą!  
 To Jazon, który mądrością, odwagą  
 Zmyliwszy strażę, skradł runo w Kolchidzie.  
 Przez wyspę Lemnos przechodził w tę chwilę,  
 Kiedy niewiasty do samych jej krańców,  
 Mszcząc się okrutnie za mężów rozpustę,  
 Wymordowały jej męskich mieszkańców.  
 Tam przez namowy słowa złotoustę,  
 Zwiódł i pogwałcił młodą Hipsypilę,  
 Która pleć swoją w całej okolicy  
 Zwiodła również zdradą niepowszedną,  
 I tam ją w ciąży zostawił i jedną.  
 Grzech ten go wtrącił w męki tej otchłani,  
 Aby w niej poczuć mógł zemstę Medei.  
 Z nim idą jemu podobni zwodnicy.  
 Poznałeś pierwszy tłumok, a z kolei  
 Tych, co są biczem szatanów smagani».

Byliśmy w miejscu, gdzie wąska drożyna  
 W krzyż drugą tamę kamienną przecina  
 I z drugą pierwszą połączą arkadę;  
 Tam nową duchów widziałem gromadę,  
 Płaczącą w jamie drugiego tłumoka.  
 Każdy duch bił się własnymi pięściami,  
 Zawracał głowę i dyszał nozdrzami.  
 Wilgotny wyziew buchając z dna jamy,  
 Jak ciasto pleśnią przylegał do tamy,  
 Odrażający dla nosa i oka;  
 Dna trudno dojrzeć, tak jama głęboka.  
 Widziałem jednak, stojąc na tej skale,  
 Na dnie ugrzęzły duchy w ludzkim kale:  
 Kiedym się wpatrzył, jakaś rudo-płowa  
 Sterczała kałem tak zbrukana głowa,  
 Że darmo w myśli sam siebie zagadłem,  
 Kto on był, świeckim czy mnichem? nie zgadłem.

Głowa ta rzekła: «Co tak pilno tobie,  
 Jednej się mojej przyglądać osobie?»  
 «Jeślim cię» rzekłem «w pamięci zachował,  
 Znałem cię niegdyś z włosami suchemi,  
 Aleksym z Lukki zwano cię na ziemi.  
 Dlatego pilniej jak drugich w około  
 Oglądam ciebie». On bijąc się w czoło:  
 «Pochlebstwo» rzekł «mnie wtrąciło w tę jamę,  
 Którym mój język tak dzielnie szermował!»  
 Wódz do mnie mówił: «Za kamienną tamę  
 Wyciągnij szyję, a spojrzysz w głębinę,  
 Tam ujrzysz na dnie stojącą dziewczynę  
 Z rozczochranymi jak wiedźma włosami;  
 Pierś swą aż do krwi szarpie paznokciami,  
 Ruchy jej ciała dzikie i gwałtowne,  
 To raz przysiada, to wstaje na nogi,  
 To dworka Tais! raz przez usta sługi,  
 Kiedy kochanek pochlebnie jej pyta:  
 Mam li ja wielkie w twych oczach zasługi?  
 Odpowiedziała: Zaiste cudowne!  
 Prędeż przechodźmy te skalne progi,  
 Tu wzrok się brudu napatrzył do syta».

## Pieśń XIX

(Krąg VIII. Tłumok III. Symoniacy. Mikołaj III i inni papieże).

Mistrzu Symonie! Wy, jego sektarze,  
Co rzeczy boże, o łakome dusze,  
Jako goniący za zyskiem kramarze,  
Cudzołożycie za srebro i złoto,  
Gdy być powinno żenione z szczodrocią:  
Teraz ja dla was zadać w trąbę muszę,  
Boście trzeciego tłumoka mieszkańce.  
Już wstąpiliśmy na same skał krańce,  
Skąd wzrok, jak stromą opoką kaskada,  
Na dno otchłani prostopadle spada.  
O jakże wielki twojej kunszt, o Panie,  
Arcymądrości, którą Tyś przyodziął  
Stosownie niebo, ziemię i otchłanie!  
Jak sprawiedliwy przez ciebie jej podział!  
Widziałem z brzegu i na dnie głąz szary,  
Pełen dziur krągłych, wszystkie jednej miary:  
Takie są w moim pięknym Świętym Janie,  
Gdzie kąpią dzieci przy chrzestnym obrzędzie;  
Jedną z nich stłukłem niewiele lat temu,  
Podając pomoc dziecku tonącemu;  
A co przynajmniej niech dowodem będzie,  
Aby człek każdy spostrzegał się w błędzie.  
Grzesznik wytykał z jamy każdej dziury  
Nogi po uda, resztę jego ciała  
Więziła w środku swego lochu skała.  
Dwie stopy płomień przypalał jaskrawy,  
Boleść tak silnie miotła nóg stawy,  
Że mógłby zerwać i więzy, i sznury.  
Jak napojone przedmioty oliwą  
Pochwycą płomień w sam wierzch wyciągnięty,  
Tak płomień sięgał ich palców od pięty.  
«Pojaśń mi mistrzu,» zagadłem go żywo,  
«Kto by w tej dziurze rzucał się jak wściekły,  
Czy mu tak ognie czerwone dopiekły?»  
«Jeśli chcesz» mówił «zejść na dno tej jamy,  
Dzieje ich zbrodni z ichże ust poznamy».  
A ja: «Ty pan mój, jam sługa twej woli,  
A sługa robi, co mu pan pozwoli».  
I wstąpiliśmy na łuk czwartej tamy,  
Tuż ponad fosę pokłutą dziurami.  
Mistrz na dno fosy sprowadzał mnie z góry  
I przyprowadził do otworu dziury,  
Skąd duch boleśnie skarżył się udami.  
«O kto bądź jesteś, jak pal w dziurę wbity,»  
Począłem mówić, «duchu nieszczęśliwy,  
Jeżeli możesz, miarkuj ból twój żywy».  
I stałem jak mnich kapturem zakryty,  
Spowiadający zbójcę w jego jamie,  
Co się ma nad nim za chwilę zawalić;  
Gdy spowiedź chytry złoczyńca odkłada,  
To woła mnicha, a ten go spowiada,  
Chciałby na chwilę bliską śmierć oddalić.

Duch krzyknął: «Ha, tu jesteś, Bonifacy?  
 Już mi od dawna przepowiednia kłamie:  
 Gdzie skarby twoje, owoce twej pracy?  
 Dla których zdradą, drogami krzywemi,  
 Śmiałeś odważny zaślubić na ziemi  
 Piękną niewiastę, dać ją na targ zysku,  
 Abyś ją wzgardą zbrukał w twym uścisku».  
 Jak ten, co słysząc niepojęte słowa,  
 Ze wstydu milczy, stałem jak niemowa.  
 «Mów, odpowiadaj»: zawołał Wirgili,  
 «Zupełnie inne, nie to noszę miano,  
 Jak się domyślasz». Nie zwlekając chwili  
 Odpowiedziałem, tak jak mi kazano.  
 Duch kręcąc stopy konwulsyjnym ruchem,  
 Mówił z westchnieniem głębokim i głuchem:  
 «O co mnie pytasz? Jeśliś wiedzieć chciwy,  
 Jaki w tej dziurze jest duch nieszczęśliwy,  
 Wiedz, że płaszcz wielki był moją odzieżą.  
 Jam syn, zaiste, niedźwiedzicy matki  
 Pragnąc wychować pokrewne niedźwiadki,  
 Aby na złotym wierzgały obroku,  
 W mój wór złożyłem z całej ziemi złoto  
 A w końcu siebie w tym ciasnym tłumoku.  
 Jeszcze tu drudzy pod mą głową leżą  
 Symonijacy, co w tę jamę ciemną,  
 Między jej lochy zapadli przede mną.  
 Tam ja zapadnę, gdy tu, o sromoto!  
 Przyjdzie i w lochach tych skał się zagrzenie  
 Ten, za którego mylnie wziąłem ciebie.  
 Lecz on nie będzie tak długo swej nogi,  
 Jak ja, wystawiał na ognia pożogi:  
 W ślad za nim przyjdzie pasterz od Zachodu  
 Nieprawościami obciążon od młodu,  
 Gdy mu ostatnia godzina wybije,  
 On tu mnie sobą i jego nakryje.  
 Będzie to nowy Jazon w pysze swojej,  
 O którym w Księdze Machabejskiej stoi;  
 W Filipie znajdzie swego Antyjocha».  
 Czy mnie uniosła żarliwość zbyt płocha,  
 Nie wiem, lecz jego zgromiłem w te słowa:  
 «Mów, czego Pasterz nasz i Pan żywota  
 Żądał od Piotra? Może skarbów, złota?  
 Nim zdał klucz, taka była jego mowa:  
 Idź i dopełniaj dzieła mego dalej.  
 Czyż Piotr i drudzy przekupić się dali,  
 Gdy los wyboru padł na Mateusza,  
 Miejsce swe chytra gdy straciła dusza?  
 Nie skarż, zaiste, słuszna twa katusza,  
 Zważ sam, do czego złoto cię przywiodło,  
 Twych walk z Karolem przyczyna i źródło.  
 Gdyby nie wzgląd mój, jak wiara poucza,  
 Poszanowania dla twojego klucza,  
 Któryś piastował w stolicy Piotrowej,  
 Dałbym ci uczuć większą gorycz mowy.  
 Pasterze, widział was Ewangelista,  
 W owej niewieście, co ciałem nieczysta  
 Cudzołożyła z ziemskimi królami.

Ona, zrodzona aż z siedmiu głowami,  
Moc swą czerpała z dziesięciu swych rogów,  
Póki wdzięk miała dla jej męża cnota.  
Wyście, o zgrozo! ze srebra i złota  
Bez liku ziemskich natworzyli bogów;  
Od bałwochwalcy w czym się wy różnicie?  
On czci jednego, wy ich ze sto czcicie.  
Ach! Źródło złego płynęło i płynie  
Nie z nawrócenia twego, Konstantynie,  
Lecz z twych posagów danych w dobrej wierze,  
Na których pierwsi stanęli papieże».  
Podczas gdy mój nucił pieśń tej nuty,  
Bądź gniew, bądź ostre sumienia wyrzuty  
Tak dojmowały boleśnie duchowi,  
Aż trząsł gwałtownie obiema stopami.  
Jam się podobał mojemu wodzowi,  
Który, pamiętam, zawsze rad mnie słuchał,  
Gdy duch mój w słowach szczerością wybuchał.  
I objął, wziął mnie na ręce po prostu,  
I szedł, jak zstąpił, drożyną tą samą,  
Do piersi mojej tulił się piersiami,  
Aż wyszedł ze mną na arkadę mostu,  
Gdzie czwarta z piątą połączą się tamą.  
Słodki swój ciężar tam powoli złożył  
Na skale śliskiej dla stóp podróżnika,  
Gdzie ledwo może skakać koza dzika —  
Skąd widok nowy oczom się otworzył.

## Pieśń XX

(Krąg VIII. Tłumok IV. Czarnoksiężnicy i wróżbici.)

Nowa męczarnia wierszem wyspiewana  
Da treść dwudziestej z mojej pierwszej pieśni,  
Która opiewa kary potępionych.  
Skłoniony zajrzeć do rozwartej cieśni,  
Co się czerniła wśród skał rozszczepionych,  
A cała we łzach bolesnych skąpana:  
Widziałem duchy; krągłą jej doliną,  
Cicho płaczące, wciąż idą i płyną,  
Jako na ziemi lud za procesyją.  
Ci potępieńcy z wykrzywioną szyją,  
Skrzywione brody wspierali na krzyżu,  
Twarz ich wyraźnie była wykręcona  
Między łopatki grzbietu za ramiona.  
A szli wstecz, tyłem, tak idą od chwili  
Gdy zmysł widzenia przed się utracili.  
Może się komu na ziemi zdarzyło  
Widzieć tak zgiętych kurczem paraliżu,  
Nie widząc, nie śmiem wierzyć, że tak było.  
Mój czytelniku! jeśli Bóg cię skłania,  
Zebrać tu owoc z twojego czytania,  
Jeśli masz serce na boleść niegłuche,  
Osądź, czy mogłem ja mieć oczy suche,  
Widząc nasz obraz, nasze podobieństwo,



Tak wykrzywione przez dziwne męczeństwo,  
 I widząc łzy ich (któż temu uwierzy!),  
 Jak z ócz spadały bruzdą ich pacierzy.  
 Zaiste, wsparty o skałę płakałem,  
 A wódz mój wołał: «Czyś rażon ich szalem?  
 Tu litość żyje wtenczas, gdy zamarła!  
 Gdzie tak zuchwali, co się nie zatrwożą,  
 Przesądzać żalem sprawiedliwość bożą?  
 Wznies wyżej głowę, patrz, oto duch kroczy,  
 Pod którym ziemia swą przepaść rozwarła.  
 Wobec Tebanów, ledwo w przepaść wskoczy,  
 »Amfiaraus zapadł!« Krzyk się szerzy  
 »Już on do szturmu jutro nie uderzy«.  
 Gdy go chłonęła w głąb ta przepaść dzika,  
 Minos, co sędzi każdego grzesznika,  
 Widzi, pierś jego z ramion się wytyka;  
 Za to, że w przyszłość zagłębiał się okiem,  
 Tutaj wstecz patrzy, wstecznym idzie krokiem.  
 Patrz, Tyrezyjasz, co czarów zakłębiam  
 Z męża w niewiaścę zmienił się, dziw nowy!  
 Przeobrażony od stóp aż do głowy.  
 I wprzódy musiał laską czarnoksiężką  
 Dwóch sprzęgłych węzłów zabić jednym cięciem,  
 Nim się na powrót oblekł w skórę męską.  
 Patrz, który idąc w zad zatacza brzuchem,  
 To Aruns, głośny niegdyś wieszczym duchem.  
 W góry od ludzi skrył się za żywota;  
 Biała z marmurów kararyjskich grota  
 Była mu domem, skąd mógł w każdej porze  
 Patrzeć na gwiazdy, to na pełne morze.  
 Ta, co włosami rozwianych warkoczy  
 Kryje pierś, której nie widzą twe oczy,  
 To Manto, niegdyś ziem i wysep siłą,  
 Niejedne lądy i morza zwiedziła,  
 Aż przyszła w stronę, która mnie zrodziła.  
 Młoda i piękna, w samym wieku kwiecie,  
 Przez swego ojca śmierć osierocona,  
 Gdy miasto Teby zdobył miecz Kreona,  
 Przeżyła młodość, wędrując po świecie.  
 Tam w pięknej ziemi, gdzie Alpy półkolem  
 Ściskają Niemcy wyżej za Tyrolem,  
 Tuż pod alpejską ścianą granitową,  
 Leży jezioro, Benako je zową.  
 Tysiąc strumieni, myślę, więcej może,  
 Pomiędzy Gardą a Apeninami  
 Kryształowymi leją się kruzami  
 W wodę, co drzemie w tym pięknym jeziorze.  
 Trzy pogranicza tworzą jej wybrzeże,  
 Gdzie z Trentu, z Bresci, z Werony pasterze,  
 Razem swym trzodom błogosławić mogą,  
 Jeśliby razem jechali tą drogą.  
 Niżej, gdzie woda nad brzegi się wzbiera,  
 Usiadła piękna twierdza Peskijera,  
 Zdolna od wrogów swą kamienną tamą  
 Bronić mieszkańców Bresci i Bergamo.  
 Z czary jeziora wody przepełnione  
 Wzbierają rzeką na łąki zielone,

Ta Mincio zwana, bieży po dolinie  
 Aż pod Gowno, gdzie w rzece Po ginie.  
 Dalej płaszczyzną nurtując krynice,  
 Z wód ścieku tworzą stęchłe trzęsawice,  
 Gdzie woda parą chorobliwą dysze.  
 Tam sobie Manto obrała zacisze,  
 Z dała od ludzi, nieznane nikomu,  
 Gdzie się czarami bawiąc po kryjomu,  
 Żyła lat wiele, aż wiekiem schyłoną  
 Taż sama ziemia przyjęła w swe łono.  
 Wkrótce w to miejsce lud ciągnął tłumami,  
 Obwarowane wokoło bagnami;  
 Na kościach zmarłej miasto zbudowane  
 Od miana Manty Mantuą nazwane.  
 Niegdyś to miasto było więcej ludne,  
 Nim Pinamonte przez rady obłudne  
 Zniszczenia jego pierwszy osnuł wątek.  
 To mówię tobie, gdyby się zdarzyło  
 Słyszeć ojczyzny mej inny początek,  
 Ażeby kłamstwo prawdy nie zaćmiło».

Ja na to: «Mistrzu! ty mówisz tak jasno,  
 Słowo twoje tyle ma dla mnie powagi;  
 Przy jego blasku wszelkie drugie słowa  
 Jak chłodne węgle przy zarzewiu gasną  
 Powiedz, czy jeszcze jaka postać nowa  
 Między tym tłumem jest godną uwagi?  
 Bo tym się tylko troska moja głowa».

Mistrz mówił. «Ten, co dno tej jamy depcze  
 A brodę zwiesza długą aż do pasa,  
 Był wieszczkiem greckim; gdy Grecja cała  
 Do broni wszystek lud męski wzywała,  
 Że ledwo który pozostał w kolebce,  
 Dał znak w Aulidzie za radą Kalchasa  
 Zerwać kotwice, łódź puścić na fale.  
 Że on Eurypil, któż się nie domniema?  
 Śpiewa go moje tragiczne poema,  
 Które ty całe znasz tak doskonale!

Drugi, co w żebra zapadłe ma boki,  
 Był to Skott Michał, astrolog głęboki,  
 Znał przy tym wszystkie czary i uroki;  
 Widzisz Gwidona Bonatę, Asdente,  
 Który by teraz wołał, zgadnąć łatwo,  
 Lecz żal za późny, mieć szydło zatknięte  
 W podeszwę buta i pociągać dratwę.  
 Patrz, oto niewiast nieszczęśliwych grono,  
 Które rzuciły igłę i wrzeciono,  
 Aby głośnymi stały się wrózkami,  
 Robiąc swe czary zaklęciem, ziołami.  
 Chodźmy, już gwiazda, na której Kaina  
 I ciernie widzą, zapadać zaczyna.  
 Już pod Sewillą muska wody czyste,  
 Zajmując rąbkiem półsferze dwoiste.  
 Ostatniej nocy księżyc był okrągły;  
 Aby on czasem, miej na to wzgląd ciągły,  
 Nie szkodził tobie w tym głębokim zmroku.  
 Mówił, a szliśmy nie wstrzymując kroku...

## Pieśń XXI

(Krąg VIII. Tłumok V. Przedajni.)  
Tak na most z mostu, mówiąc rzeczy inne,  
A których pieśń ta opiewać nie myśli,  
Przez skalne chrapy, progi niegościnne,  
Piąty z kolei, kiedyśmy już przyszli:  
Wytchnąwszy trochę, ciekawością ginę,  
Aby oglądać inną rozpadlinę  
Tych złych tłumoków, inne łzy daremne;  
Dno jej, widziałem, szczególnie jest ciemne.  
Jak w arsenale weneckim wśród zimy  
W dymiących kotłach war smoły widzimy,  
Aby nadpsute przez morskie odmęty,  
Już nieżeglowne naprawiać okręty;  
Ci smołę leją, ci tkają pakuły  
W szczel łodzi, którą podróże nadpsuły;  
Ci nowych statków budową zajęci,  
Ten struga wiosło, drugi linę kręci:  
Tak nie przez ogień, lecz przez bożą wolę  
Wrzały w tej jamie gęste wary smolne,  
Jak klejem lepiąc jej ściany okolne.  
Wydęte bąble na powierzchni waru,  
Ciągłe, widziałem, pękały od skwaru:  
Podczas gdy oczy utkwilem w tej smole,  
Wódz mówiąc: «Strzeż się! strzeż się!» — mnie z zapalem  
Do siebie z miejsca przyciągnął, gdzie stałem.  
Jam się odwrócił, jak ów nieroztropny,  
Co bieży widok oglądać okropny,  
A patrząc, ledwie nie mdleje od trwogi.  
I diabeł czarny biegł mostem za nami,  
O jakże jego była postać dzika!  
Jak groźne gesta! Ciężkimi skrzydłami  
Szumiał, a lekko biegł na obie nogi:  
Barki spiczaste, widzę, nowe cudo!  
Na ostrych barkach unosił grzesznika,  
Jak hakiem szponą trzymając za udo.  
Z naszego mostu wołał zaperzony:  
«Oto jest jeden z radców z Santa-Zita,  
Rzucaj go w jamę, panie Ostroszpony!  
Wracam, gdzie strona w takich dość obfita:  
Oprócz Bontura, tam każdy ladaco,  
*Nie w Tak* przemieni, gdy mu za to płacą».  
Rzucił go w jamę, a sam szybkostopy  
Biegł jak pies dworny za złodziejem w tropy.  
Grzesznik dał nurka i cały zbrukany  
Wyłynął na wierzch; ukryte szatany  
Za skałą, krzycząc taką groźbę gwarzą:  
«Tu cię nie zbawi obraz z świętą twarzą.  
Tu pływacz lekko jak w Serchio nie pierzchnie,  
Jeśli mieć nie chcesz od naszych szpon znaków,  
Nie marszcz daremnie tej smoły powierzchnie».  
I weń wrazili więcej jak sto haków,  
Mówiąc: «Tam na dnie tańczuj sobie w koło,  
Gdy możesz skraść co, to chyba pod smołą».

Tak kucharz swoim trójzębem w naczynie  
 Zatapia mięso, gdy na wierzch wypłynie.  
 A mistrz: «Oszukaj zgraję diabłów całą,  
 Chyłkiem pół zgięty skryj się za tą skałą.  
 Nie bój się o mnie, znam się z ich obrazą,  
 Już ja w tym zgiełku byłem inną razą».  
 I ledwo przeszedł przez mostu upusty,  
 Dochodząc śmiałym krokiem pod most szósty,  
 W krąg pogodnymi spoglądał oczyma.  
 Wtem jak huragan, jakby psiarnia jaka,  
 Co się obcesem rzuca na żebraka,  
 Gdy żebrząc chleba u drzwi się zatrzyma,  
 Szatany biegły ze dna skałoziemu,  
 Wszystkie swe haki zwróciły ku niemu,  
 A wódz mój wołał: «Stój, rodzie obrzydły:  
 Wpierw nim na wasze weźmiecie mię widły,  
 Przyjdź który do mnie, niechaj mnie wysłucha,  
 Może się gniew wasz nieco udobrucha».  
 Jakby zahuczał grom jeden i drugi,  
 Wszyscy krzyknęli straszliwymi wrzaski:  
 «Idź sam do niego, Przekłęty Ogonie!»  
 Jeden szedł, drudzy stali nieruchomie  
 Podchodząc: «Jestem» rzekł «na twe usługi».  
 — «Czyżbyś mnie widział na tej skały złomie  
 Zdrowym i całym, mimo wasze bronie,  
 Bez woli bożej i niebieskiej łaski?  
 Puść mnie! Bo niebo chce na twoją trwogę,  
 Abym jednemu wskazywał tu drogę!»  
 I na te słowa mistrza rozdasana  
 Tak silnie pycha zgięła się szatana,  
 Że z rąk mu widły upadły pod nogi  
 I rzekł do swoich: «Nie brać go na rogi!»  
 A mój wódz do mnie: «Ty, co między skałą  
 Siedzisz w pół zgięty, nie chyłkiem, chodź śmiało!»  
 Jam biegł do wodza jak więzień z swej celi,  
 A diabli wszyscy naprzód się pomknęli;  
 Widząc biegnących zdjął mnie przestrach nowy,  
 By nie złamali warunków umowy.  
 Tak drżąc Kaprony zdała się załoga  
 Na łaskę stokroć liczniejszego wroga.  
 Ja się tuliłem do wodza mojego,  
 Ich gesta, twarze wciąż mając na oku,  
 Którym patrzyło z oczu nic dobrego.  
 Spuścili haki; wtem jeden z natłoku:  
 «Chcecie?» rzekł, «ja go zadrasnę tym hakiem».  
 «Zgoda, idź!» całym krzyknęli orszakiem.  
 Szatan, co z mistrzem zagajał rozmowę,  
 Do razu zgłuszył ich pogróżki nowe,  
 Wołając: «Cicho! cicho, Sowizrzale!»  
 Potem rzekł do nas: «Dalej po tej skale  
 Wam iść nie radzę, most szósty w ruinie;  
 Jednak gdy dalej tak pilno wam w drogę,  
 Tym stromym brzegiem zawróćcie swe kroki,  
 Tam jest do przejścia drugi most z opoki.  
 Później o godzin pięć jak w tej godzinie  
 Wczora, o ile zapamiętać mogę,  
 Tysiąc dwusetny sześćdziesiąty szósty

Rok się zakończył, gdy mostu upusty  
 Runęły w gruzy i drogę przerwały.  
 Szlę mych szatanów, ażeby patrzyły,  
 Czy kto nie wytknął głowy na powietrze;  
 Idźcie więc z nimi, was ich moc nie zetrze,  
 Przy nich was żadna nie spotka przygoda.  
 A wam ja karność zalecam w pochodzie:  
 Waszym naczelnym będzie Jeżobroda,  
 Sam Łapiduszo, Psiakrwi, Smoczyplodzie,  
 Chodź Ostrohaku, Łasy, Drapigraco,  
 Z wami Zęboknur, Gniewożar ladaco.  
 Figlarzu, bierz mi za pas kurzą nogę,  
 Ich przeprowadzić sforą, jak przystoi,  
 Aż pod most, który jeszcze cało stoi».  
 «O mistrzu,» rzekłem, «cóż się stanie z nami?  
 Jeżeli tylko sam dobrze znasz drogę,  
 Bez tej piekielnej straży idźmy sami,  
 Gdy ciebie zwykły rozum nie opuszcza.  
 Patrzaj, jak strasznie zgrzytają zębami,  
 Złem nam widocznie przegraża ta tłuszcza».  
 A mistrz: «Dlaczego trwożysz się i o co?  
 Niech, jak chcą, pozwól, zębami klekocą,  
 To ich grymasy zwykłe i swawole  
 Z tymi, coś widział gorejących w smole».  
 I szli na lewo przez kamienne zęby  
 Na znak, że każdy ze swym wodzem zgodny,  
 A wódz ich tyłem trąbił marsz pochodny.

## Pieśń XXII

(Ciąg dalszy. Hulanka szatanów).  
 Widziałem jezdne na przeglądach roty,  
 Szyk ich łamany, natarcie, odwroty,  
 Widziałem w mieście Arezzo przed laty,  
 Jako rabują podjazdowe czaty,  
 Widziałem turniej, gdy na ostre gonią,  
 Gdy w kolej trąby, to dzwony gomonią,  
 Stosownie jakie hasła dają z wieży  
 Dla narodowych i obcych rycerzy.  
 Lecz nigdy trąba jazdę czy piechotę  
 Nie poruszała na tak dziką notę,  
 Nigdy tak spreczne tony, tak nieczyste,  
 Nie brzmiały razem na morzu, na ziemi.  
 Dziesięć szatanów szło w krok nasz za krokiem,  
 O, towarzystwo okropne zaiste!  
 Ale w kościele jestem ze świętymi,  
 W sądzie z jurystą, w garkuchni z żarłokiem.  
 Jednak badałem to smolne jezioro  
 Z całą uwagą i tych, co w nim gorą.  
 A jak grające delfiny przed burzą  
 Skaczą nad wody i majtkom źle wróżą,  
 Tak niejednego grzbiet nagi grzesznika  
 Dla ulgi w bólu nad smolne powierzchnie  
 Błyśnie, to na dno błyskawicą pierzchnie;

A jako w stawie, przy ścieku poników,  
 Trzoda żab z wody swe głowy wytyka,  
 Podobnie głowy sterczały grzeszników.  
 Lecz Jeżobroda gdy przyszedł, wespoły  
 Szybko do wrzącej rzucali się smoły:  
 Widziałem, myśląc teraz, czuję dreszcze,  
 Jeden się spóźnił, nie dał nurka jeszcze,  
 Jak widzimy żabę na cichym wód łonie  
 Zostaje jedna, kiedy druga tonie.  
 A Drapigraca stojąc przy nim z bliska,  
 Zahaczył jego osmolone włosy,  
 Na brzeg jak wydrę dobył w okamgnieniu.  
 Wiedziałem wszystkich szatanów nazwiska,  
 Bo wybór diabli szedł na żywe głosy,  
 I sami siebie zwali po imieniu.  
 Wtem zagrzmiął diablów krzyk i wrzask straszliwy:  
 «Sam, Gniewożarze, twym hakiem grzesznika  
 Ściągnij po grzbiecie i drzyj go na łyka!»  
 A ja: «Mów, mistrzu, kto ten nieszczęśliwy?  
 Mój wódz do niego zbliżył się i mówi:  
 «Skąd i kto jesteś?» On odrzekł wodzowi:  
 «Jam się urodził w królestwie Nawarry.  
 Matka do dworskiej oddała mnie służby;  
 Ojciec mój strwonił fortunę i zdrowie,  
 Z niej ledwo został kęs na życie wdowie.  
 Wkrótce mnie dworskie oślepiły blaski,  
 A dumny z króla Teobalda drużby,  
 Kryjomie pańskie frymarczyłem łaski;  
 Za grzech ten w smolne wrzucono mnie żary».  
 Zęboknur, który jak dzik wkoło pyska  
 Dwa kły zakrzywia, stojąc tuż przed nami,  
 Dał jemu uczuć, jak kaleczy kłami.  
 Lecz mysz trafiła na koty nieuki;  
 Już Jeżobroda potężnie go ściska  
 I mówi: «Odejdź, on nam nie uciecze».  
 A obrócony do wodza, tak rzecze:  
 «Pytaj go, jeśli co chcesz wiedzieć jeszcze,  
 Ja między nogi wziąłem go jak w kleszcze.  
 Niech mówi, nim go rezerwę na sztuki».  
 A wódz: «Mów, duchu, czy tu, w waszym kole  
 Jaki Łacinnik warzy się w tej smole?»  
 A on: «Niedawno rozstałem się z jednym,  
 Gdybym z nim skrył się, zwyczajem powszednim  
 Od tych by haków zakryła mnie smoła».  
 — «Dość cierpliwości,» tu Ostrohak woła  
 I widłą jego zahaczył o ramię,  
 Aż kość ramienną hak na druzgi łamie.  
 Chciał Drapigraca schwycić go za nogę,  
 Lecz na spojrzenie srogie dekuriona  
 Orszak dziewięciu uderzył na trwogę.  
 Gdy ścichła trochę gawiedź rozjuszona,  
 Mój wódz znów ducha kalekiego pyta:  
 «Kto jest ten, który ciebie rzucił w chwili,  
 Gdyśmy przy brzegu twą postać zoczyli?»  
 On odpowiedział: «Jest to mnich Gomita,  
 Rządca Gallury, urna zabrukana;  
 Mając w swym ręku wrogów swego pana,

Tych puszcza, drugich do więzienia sadi,  
 W sposób, że z niego wszyscy byli radzi;  
 Wielu dał wolność, ale brał ich złoto,  
 Jak sam powiadał, i różną niecotą  
 W różnych urzędach brukał się wiek cały,  
 Niemierny, był to szalbierz doskonały.  
 Z nim często gwarzy Zanke z Lagodoro;  
 O Sardyniji, choć im wargi gorą,  
 Dosyć się z sobą nagadać nie mogą.  
 Spójrzyj, ten drugi jak wytrzeszczył ślepie,  
 Zgrzyta zębami i biciem wygraża,  
 Lękam się, czy mi skóry nie wytrzepie».  
 «Wara, zły ptaku!» Tak stukał Figlarza,  
 Iskrząc oczyma naczelnik szatanów.  
 «Jeśli chcesz widzieć Lombardów, Toskanów,»  
 Przemówił znowu cień rażony trwogą:  
 «I ci, i owi przyjdą jak z rozkazu.  
 Lecz niech w bok zejdzie orszak Ostroszpony,  
 Strach mi ich zemsty; z miejsca niewzruszony  
 Gdy świsnę, siedmiu zjawi się do razu,  
 To nasze zwykłe hasło i nienowe,  
 Gdy z warów smolnych wytykamy głowę».  
 I na te słowa Psiakrew warknął pyskiem:  
 «O! Czy słyszycie,» tak mówił z przyciskiem,  
 «Jaką wymyślił złość ten nicdobrego,  
 Aby mógł wskoczyć do waru smolnego?»  
 Ale cień pełen figłów i wybiegów,  
 «Zaiste,» odrzekł, «złość knuję bezkarnie,  
 Chcę moich braci przywabić do brzegów,  
 By ich na większe narazić męczarnie».  
 Tu Łapidusza nie stawił oporu  
 I rzekł doń, mimo towarzyszków sporu:  
 «Jeśli w tę smołę przedsięwzięciem śmiałem  
 Wskoczysz, za tobą nie pogonię cwałem,  
 Tylko nad tobą skrzydła me zawarczą;  
 Brzeg i wysokość niech będzie twą tarczą,  
 Chcę tylko widzieć i przekonać siebie,  
 Czy od nas wszystkich chytrzejszy bies z ciebie».  
 Tu, czytelniku, poznasz figiel nowy:  
 Szatani na bok odwrócili głowy,  
 Nawarczyk wnet się rzucił do wybiegu,  
 Skorzystał z chwili, już stanął na brzegu  
 I jednym skokiem skacząc w smolne wary,  
 Na nice diable wywrócił zamiary.  
 Szatani stali z zasmuconą miną;  
 Lecz ilem dostrzegł, między ich drużyną  
 Stał najsmutniejszy sprawca ich kłopotu  
 I rączym skrzydłem, myśląc, że go złapie,  
 Poleciał krzycząc: «Już cię mam w swej łapie».  
 Daremnie, piętna wstydu już nie zetrze,  
 Strach skorsze skrzydła miał od diabła lotu,  
 Ten skrył się w smołę, on wzleciał w powietrze;  
 Tak czatujący jastrząb na kaczora,  
 Gdy ten nurkuje przed nim dnem jeziora,  
 Precz leci cały wściekły i znużony.  
 Łasy, gdy stali towarzysze smutni,  
 Gniewny pogonił skrzydłem rozdąsanem

I ciągle latał za drugim szatanem,  
O cień, co zniknął, szukając z nim kłótni.  
Podczas gdy oszust znikł wśród smolnej głębi,  
W grzbiet towarzysza zatopił swe szpony,  
Lecz Łapidusza, z czystej krwi Jastrzębi,  
Łasego wyzwał na oręż ten samy  
I oba padli wśród kipiącej jamy.  
Gorąca smoła rozjęła walczących,  
Lecz tam ich większa spotkała przygoda,  
Nie mogli podnieść piór do smoły lgnących.  
Nierad z wypadku ich wódz Jeżobroda,  
Śle czterech swoich, by krążąc brzegami  
W skok im na pomoc śpieszyli z hakami  
Ci brzegiem jamę obiegłszy w półkole,  
Na środek jamy haki wyciągnęli,  
Ratując wpadłych do smolnej topieli;  
Tak zostawiłem zagrzęźłych w tej smole.

## Pieśń XXIII

(Krąg VIII. Tłumok VI. Obludnicy: Kajfasz i inni.)

Szliśmy w milczeniu i bez towarzyszy,  
Jeden za drugim, jak dwa mnichy z celi;  
Diabli mi swoją kłótnią przypomnieli  
Bajkę Ezopa o żabie i myszy.  
Dwie części mowy, *teraz i w tej chwili*,  
Nie tyle z sobą podobne być mogą,  
Jak z ową bajką diabła bijatyka,  
Gdy zagajali bitwę i kończyli.  
Jak z jednej myśli myśl druga wynika,  
Strach pierwszy drugą przeraził mię trwogą;  
Myślałem sobie, ci diabli, zwiedzeni  
Z przyczyny naszej i okaleczeni  
Wzajem ranami i smolnym gorącem,  
Gdy ze złą chęcią ich gniew się ożeni,  
Polecą w trop nasz jak chart za zającem.  
Strach włos mój jeżył i ziębił mię mrowiem,  
Patrząc za się rzekłem: «Ledwo dyszę,  
I mnie, i siebie skryj, mistrzu, w zacisze,  
Za ścianę skały, lękam się zawziętych  
Szatanów na nas i ich szpon przeklętych:  
Już, już za nami szum ich skrzydeł słyszę».  
Mistrz: «Gdybym szkłem był podszytym ołowiem,  
Prędeż bym twego nie odbił obrazu,  
Jak w głąb twej duszy zajrzałem od razu:  
W tej chwili myśli twoje nie spostrzegły,  
Jak jednolice przez moje przebiegły,  
Tak że z nas obu jedną wziąłem radę.  
Jeśli ta skała tak na dół się kloni,  
Że po niej zstąpię na drugą arkadę,  
Umknij rojonej przez ciebie pogoni».  
Ledwo swe zdanie wyrzekł mistrz kochany,  
Biegły spragnione nas dognać szatany,  
A grzmiał skrzydłami ich legijon czarny.



Mistrz mnie co prędzej w objęcia porywa;  
 Tak matka w nocy, kiedy blask pożarny  
 Zaświeci w okna, z pościeli się zrywa,  
 Chwyta swe dziecko i w jednej koszuli  
 Wychodząc bosa, w swój rąbek je tuli.  
 Mistrz w dół ze skały, jak stoczona wstęga,  
 Śliznął się grzbietem do drugiego kręgu;  
 Nie jest tak szybki prąd wody u młyna,  
 Gdy ją na koło pędzi wąska rynna,  
 Jak on się stoczył, tuląc mnie jak syna.  
 Ledwo dotknąłem stopą dna otchłani,  
 Nad nami stali na skale szatani;  
 Lecz o nich mało dbała moja troska,  
 Bo dając w zarząd im Opatrzność boska  
 Krąg piąty, kres ich wskazała potęgi,  
 Aby nie śmieli w inne wkraczać kręgi.  
 Tam napotkałem nową trzodę ludu:  
 Duchy barwione szły leniwym krokiem,  
 Płakały, mdlały z boleści i trudu;  
 Głęboki kaptur zwisał nad ich okiem.  
 Na wzór kolońskich skrojony kapturów  
 Kapice zewnątrz lśnią od złotych sznurów  
 A poły olów podszywa ciężący.  
 Za Fryderyka kapica znajoma  
 Przy tych byłaby tak lekka jak słoma.  
 O, zbyt na wieczność płaszczu mordujący  
 Na lewo szliśmy z takimi duchami,  
 Słuchając jęków, cierpiąc nad ich łzami.  
 Ci nieszczęśliwi ciężarem zgarbieni  
 Szli tak leniwo i ślimaczym ruchem,  
 Że wciąż się z nowym spotykałem duchem.  
 Rzekłem: «Mój wodzu, może wśród tych cieni  
 Są jacy sławni czynem lub imieniem?  
 Idąc, nawiasem wskaż ich mi spojrzeniem».  
 Jeden, toskańskiej słysząc mowy brzmienie,  
 Zakrzyknął za mną: «Wstrzymajcie swe kroki  
 Wy, co tak szybko idziecie w tym ciemnie;  
 Ty zaś, co pytasz, możesz sam ode mnie  
 Słyszeć odpowiedź». I wódz mój bez zwłoki  
 Stanął i mówił: «Zaczekajmy chwilę,  
 Krok z jego krokiem zgadzaj ile tyle».  
 Krok mój wstrzymałem i widzę dwa cienie,  
 Chęć ich być ze mną zdradzało spojrzenie;  
 Poszedłszy ciężkim od ciężaru krokiem  
 Patrzyły na mnie zezowatym okiem,  
 Milcząc, a potem tak mówiły z sobą:  
 «On jest, zaiste, żyjącą osobą,  
 O ile wnoszę z ruchów jego garła;  
 Gdyby szła tędy para cieniów zmarła,  
 Jakiż przywilej ich, w tym miejscu zwłaszcza,  
 Iść upoważnił bez ciężkiego płaszcza?»  
 A potem do mnie: «Ty, co z gór twych szczytów  
 Zstąpiłeś w zbór nasz, smutnych hipokrytów,  
 Kto jesteś? Nie gardź, odpowiedz mi, proszę».  
 A ja: «Gdzie płyną pięknej Arny wody,  
 Tam życie wzięłem, spędziłem wiek młody,  
 Z całych Włoch może w najpiękniejszym mieście.

Wchodzę tu z ciałem, jakie zawsze noszę.  
 Ale wy, którym odwilża jagody  
 Boleść tak wielka, mówcie, kto jesteście,  
 Skąd blask szat waszych, co tak lśni źrenice?»  
 Jeden z nich mówił: «Te żółte kapice  
 Są ołowiane, ołów nas przywala,  
 Skrzypimy pod nim, jako skrzypi szala  
 Pod swym ciężarem; powiem prawdę całą:  
 W Bolonii bracią wesołą nas zwano,  
 On Loderyngo, jam jest Katalano.  
 Miasto nas twoje na urząd wezwało,  
 Abyśmy byli pokoju stróżami  
 Ileśmy dbali o ten pokój sami,  
 Świadczy Gardingo dymem i gruzami».  
 A ja mówiłem: «O bracia, zła wasza...».  
 I zamilczałem, bom spostrzegł w tej skale,  
 Że człowiek leżał jak kłoc suchej kłody,  
 Rozkrzyżowany pomiędzy trzy pale.  
 On gdy mnie zoczył, z pała zwiesił głowę,  
 Silnym westchnieniem dmuchnął w miotłę brody,  
 A Katalano tak ciągnął rozmowę:  
 «Patrz, ten przybity, to duch Kaifasza,  
 Nad którym ciąży świętej krwi przekleństwo:  
 Faryzeuszom wmówił, że należy  
 Za lud człowieka skazać na męczeństwo.  
 On, jak tu widzisz, w poprzek drogi leży,  
 Aby czuł ciężar tych, co tędy idą:  
 Z nim teść Ananiasz, wszyscy co z tej rady  
 Dla żydów byli ich nieszczęść nasieniem,  
 Skarani jedną karą i ohydą,  
 W jamie, pod jednym tym łukiem arkady».  
 Wtenczas Wirgili spojrzał z zadumieniem,  
 Gdzie leżał człowiek sromotnie deptany,  
 Na całą wieczność tak ukrzyżowany!  
 Potem w te słowa rzekł do Katalana:  
 «Czy jaki otwór ma w prawo ta ściana,  
 Abyśmy mogli wyjść z tych ciemnych dołów,  
 Nie przyzywając tych czarnych aniołów?»  
 On odpowiedział: «Stąd jak na rzut oka,  
 Bliżej jak myślisz wznosi się opoka,  
 Co od wielkiego kręgu nieprzerwanie  
 Idąc, przerzyna te ciemne otchłanie;  
 Lecz tu strzaskana, chyba wyłom tamy  
 Obejdiesz gruzem kryjącym dno jamy».  
 Mój wódz przez chwilę stał z spuszczoną głową  
 I rzekł: «O, jakże zwiódł nas ten obrzydły,  
 Który grzeszników rad bierze na widły!»  
 «Często w Bolonii» mówił Katalano  
 «O figlach diabła wiele mi bajano,  
 Ojcem go kłamstwa i oszustem zwano».  
 Natenczas wódz mój odszedł wielkim krokiem,  
 Z twarzą jak gniewu zaćmioną obłokiem:  
 Rzuciłem duchy zgięte ciężarami,  
 Idąc drogimi stóp wodza śladami.

## Pieśń XXIV

(Krąg VIII. Tłumok I. Złodzieje. Fuccio.)  
Gdy słońce w porze młodocianej roku  
Promiennym włosem po Wodniku brodzi  
A noc już dniowi nie narzuca zmroku;  
Jeśli ubieli ziemię zamróz ostry,  
Udając barwy swojej białej siostry,  
Lecz trwa niedługo i chłód swój łagodzi:  
Wieśniak, któremu braknie suchej paszy,  
Widząc wokoło bielące się błonie,  
Wraca do domu, załamuje dłonie,  
Jak nieszczęśliwy, co widmem się straszy;  
Potem wychodzi i pełen nadziei,  
Widząc weselszy świat po śnieżnej wiei,  
Pochwycą łaskę i na łąk zielenie  
Z obór wesołe swoje trzody żenie —  
Podobnie mistrz mnie przeląkł po niewoli,  
Gdym widział jego zachmurzone czoło,  
Podobnie maść on przyłożył, gdzie boli.  
Gdy nad strzaskaną przyszlismy arkadę,  
On patrzył na mnie słodko i wesoło  
Jak u stóp góry; sam z sobą wszedł w radę  
i opatrzywszy skałę z każdej strony,  
Mnie otwartymi pochwycił ramiony.  
Jak ten, co pracę poczyną z baczeniem,  
Wpierw, co ma zrobić, rozważa myśleniem,  
Tak on, podnosząc mnie na wierzch opoki,  
Wskazywał palcem drugi gładz wysoki  
I mówił: Trzymaj dłonie w pogotowiu,  
Obejmij gładz ten, lecz wprzód oczyma  
Rozpatruj pilno, czy twój ciężar strzyma».  
Jak się wpatrzyłem, nie była to droga  
Dla tych, co noszą kapice z ołowiu;  
Bo ja i wódz mój, tak lekki Wirgili,  
Ledwośmy z gładzów na gładz kroczyli;  
Gdyby nie krótsza ścieżka między skałą,  
Sam nie wiem, co by z mym wodzem się stało,  
Mnie by pokonał trud, a w końcu trwoga.  
Lecz jako skały zwane *Złe Tłumoki*  
Pochyło schodzą w zrąb studni głębokiej,  
Każda dolina, którą się przebiega,  
Tu ma wyniosłość, tam spadziłość brzega.  
W końcuśmy doszli do progu opoki,  
Gdzie gładz ostatni czołem prostopadłem  
W dół się powalił i w otchłań się rzuca:  
Już mi zabrakło oddechu na płuca,  
Już iść nie mogłem dalej i usiadłem.  
«Z wady lenistwa wyzuj się w tej dobie!»  
Mistrz mówił, «w puchu lub w pierzu kto lega,  
Temu do sławy za daleka droga;  
A kto na ziemi po krótkim przechodzie  
Bez wieńca sławy położy się w grobie,  
Ten tyle śladu zostawi po sobie,  
Co dym w powietrzu, co bańka na wodzie.

Wstań, wołaj ducha trud pokonasz snadnie,  
 Duch w każdej walce tryumfator wroga,  
 Gdy pod ciężarem ciała nie upadnie.  
 Mamy do przejścia jeszcze dłuższe wschody,  
 Nie dosyć przebyć skał tych wysep nagi,  
 Niech ta uwaga doda ci odwagi».

Wstałem z uczuciem rzeźwiącej ochłody,  
 A piersi moje swobodniej dyszały,  
 Mówiąc: «Idź dalej, jam krzepki i śmiały!»  
 Szliśmy, a głązy przed nami, pod nami,  
 Coraz wyższymi sterczały garbami,  
 Szedłem bez przerwy gwarząc to i owo,  
 Mocując wolę z słabymi siłami,  
 Gdy z drugiej fosy głos przemówił słowo.  
 Co mówił, nie wiem, choć byłem na szczycie  
 Arkady mostu, co w poprzek otchłani  
 Sklepić swe łuki zawisła tam na niej.  
 Głos mówiącego zdradzał gniew nieskrycie,  
 Jam wzrok w dół spuścił, ale żywe oko  
 Dna nie dościgło przez ciemność głęboką.  
 «Mistrzu!» tak rzekłem po chwili niedługiej,  
 «Przechodźmy most ten, zstępujmy w krąg drugi.  
 Bo stąd ja słyszę, a nic nie rozumiem,  
 Widzę, nic jednak rozpoznać nie umiem».  
 A mistrz: «Zadosyć słusznemu życzeniu,  
 Jako przystoi, odpowiem w milczeniu».  
 I wnet przeszliśmy łuk mostu ten samy,  
 Który przytyka aż do ósmej tamy;  
 Wtenczas ujrzałem cały otwór jamy  
 Dno jej zapełnia żmija, wąż, gadzina,  
 Gdy wspomnę, jeszcze krew się we mnie ścina!  
 Libijskie piaski nad brzegiem swych stoków  
 Nie rodzą tyle płazów, hyder, smoków,  
 Kraj ponad Morzem Czerwonym nie roni  
 Tyle zabójczych pomorów i jadów.  
 Przez te obrzydłe mnóstwa węzów, gadów  
 Wylekły, nagi oddział potępieńców  
 Biegł bez nadziei ujścia ich pogoni.  
 Ręce ich na tył związane węzami,  
 Wijąc się, węże w kształt ruchomych wieńców  
 Bodły ich nerki ogonem, głowami.  
 Z tych nieszczęśliwych jeden przerwał ciszę  
 Przeciąglým krzykiem, kłany od żmii  
 W miejscu, gdzie ramię przytyka do szyi:  
 I nikt tak szybko *O* lub *J* nie pisze,  
 Jak on się ogniem zajął w okamgnieniu,  
 I w proch się cały rozsypał w płomieniu.  
 Lecz proch, co płomień zgryzło i rozwiało,  
 Zebrał się w siebie i spoił się w ciało;  
 Tak Feniks kona, jak bają po świecie,  
 Tak się odradza co piąte stulecie,  
 Karmi się w życiu nie ziarnem, rośliną,  
 Lecz wonią, łzami, co z kadzideł płyną;  
 Z mirry i nardu na palmie wysokiej  
 Stos pogrzebowy przed zgonem układa,  
 I w ogniu z dymem wlatuje w obłoki.  
 Jak człowiek, który sam nie wie, jak pada,

Przez kurcz chorobny, czy przez moc szatana,  
 Gdy wstaje, wodzi wokoło oczami,  
 Dziwi go boleść, mdłość tak niespodziana:  
 Podobnie grzesznik wstał z prochu przed nami.  
 O, jak surowa sprawiedliwość Boga,  
 Gdy zemsta jego tak straszna i sroga!  
 Mój wódz, kto on jest, zapytał grzesznika.  
 On odpowiedział: «Widzisz Toskańczyka,  
 Wpadłem w tę jamę, jeszcze nie ma roku.  
 W życiu zwierzęcym całą rozkosz czułem  
 I nie człowiekiem, byłem istnym mułem.  
 Imię jest moje Fucci, a Pistoja  
 Była to godna mnie jaskinia moja.  
 A ja do wodza: «Niech nie rusza kroku!  
 Spytaj, w tę jamę wtrącono go za co?  
 Znałem go, był on krewki i ladaco».  
 Grzesznik to słysząc, nie unikał wzroku,  
 Zwrócił się do mnie z twarzą obojętną,  
 Na której smutne wstyd wycisnął piętno.  
 «W takiej mię nędzy» duch przemówił potem  
 «Widząc, o! większym nabawiasz kłopotem  
 Niż gdym się z moim rozstawał żywotem.  
 Zadość uczynić twojej chęci muszę,  
 Skradłem kościelne sprzęty i ozdobę,  
 Winę zwalając na drugą osobę;  
 Lecz wprzód nim wyjdiesz z tych piekielnych cieni,  
 Gdybyś nie patrzył rad na me katusze,  
 Daj ucho na głos nowej wieści mojej.  
 Czarnych jak miotłą wymiotą z Pistoï,  
 Lud i obyczaj Florencyja zmieni;  
 Dolinę Magry Mars dymem zachmurza,  
 Z jego obłoków zstąpi silna burza,  
 I szał swój wyrze na piceńskie błonie:  
 Z chmur błyskawicą zamigocą bronie,  
 Walczący muszą broń na ziemię rzucić,  
 I wszystkich *białych* huragan pochłonie.  
 Taką nowiną chciałem się zasmucić».

## Pieśń XXV

(Krąg VIII. Tłumok VII. Ciąg dalszy: Przemiana.)  
 To rzekłszy, złodziej podniósł pięści obie,  
 W każdej sterczała figa jak gwint w śrubie,  
 A krzyczał bluźniąc: «Boże, przyjm to sobie!»  
 Wtem wąż, i za to odtąd węzów lubię,  
 Ścisnął za szyję bluźniercę, oszusta,  
 Jakby rzekł: «Więcej nie zbłuźnią tve usta».  
 Drugi ramiona w węzły i pierścienie  
 Tak jemu związał i gryzł jego ręce,  
 Że stał, jak gdyby skamieniały w męce.  
 Pistojo! Zatlj zagwie w oka mgnieniu,  
 Spal sama siebie i zniknij w płomieniu,  
 Gdy w złym tak lubi pluć tve nasienie.  
 Pomiedzy piekła czarnymi kęgami

Duch takiej pychy nie był wobec Boga,  
 Nawet bluźnierca, co leżał pod Tebami.  
 Złodziej zmykając, nie przemówił słowa.  
 Biegł za złodziejem Centaur, pogoń nowa,  
 Krzycząc: «Gdzie pyszny? Krótka jego droga!»  
 Wątpię, czy tyle jest gadów w Maremmie,  
 Ile tam węzów krzyż dźwigał Centaura,  
 Skąd się poczyną człowiecza figura.  
 Na jego barkach z rozpiętymi skrzydły,  
 Buchając ogniem, siedział smok obrzydły,  
 Kto się doń zbliżał, trząsał żary na ziemię.  
 Mistrz rzekł: «To Kakus w Centaura postaci,  
 Z jego przyczyny awenturyńskie skały  
 Często się krwawą posoką zbrukały;  
 On się oddzielił od reszty swej braci,  
 Bo jak wilk chytrze pasterzy napadał,  
 Sąsiednie trzody rad po nocach kradł,  
 Lecz dożył końca, złe broił niedługo.  
 Sto razy ciął go Herkules maczugą,  
 Choć tych cięć nie czuł i dziesiątej części».  
 Już Centaur zniknął, gdy mistrz ciągnął mowę.  
 Wtenczas pod nami jakieś duchy nowe  
 Biegły samotrzeć, a każdy był nagi;  
 Wodza i mojej uszliby uwagi,  
 Gdy krzyk ich dziko w uszach nam zachrząści:  
 «Kto wy jesteście?» Mistrz z zapalem żywym  
 Mówiący, mowę przerwał w oka mgnieniu.  
 Ja ich nie znałem, lecz trafem szczęśliwym  
 Jeden drugiego nazwał po imieniu,  
 Gdy rzekł: «Cianfa, gdzieżeś? Ja tu jestem».  
 Uwagę mistrza chcąc zaostrzyć gestem,  
 Pod nos od brody przytknąłem mój palec.  
 Jeśli z pół wiarą będziesz, czytelniku,  
 Słuchał, co powiem, tych dziwów bez liku,  
 Nic w tym dziwnego, bo wyznam ci szczerze,  
 Ja, com to widział, sam zaledwo wierzę.  
 Gdym na te duchy oczy me obrócił,  
 Wąż sześcionożny, potworny padalec,  
 Z przodu jednemu aż na piersi wskoczył  
 I na nim cały sam sobą zawisnął.  
 Wnet mu średnimi łapami brzuch ścisnął,  
 Przednie jak uścisk na barki zarzucił,  
 Gryzł mu policzki i we krwi pysk broczył.  
 Potem, gdy tylne łapy uda gniotły,  
 Pomiedzy nogi wśliznął się ogonem,  
 Którym wzdłuż krzyża wodził przez pacierze;  
 Nigdy bluszcz silniej ramieniem zielonem  
 Nie splótł się z drzewem, jak z nim ten gad-zwierze.  
 Dwie te istoty tak razem się splotły,  
 Tak się stopiły z sobą dwa stworzenia,  
 Jak воск przygrzany gorącym płomienia,  
 I barwy swoje pospołu zmieszały:  
 Tak papier, upał gdy czuje pożarny,  
 Skręca się w zwoje, jeszcze nie jest czarny,  
 Więcej brunatny, ale już nie biały.  
 Dwaj drudzy patrząc, z podziwu krzyknęli:  
 «Jak ty zmieniony, spojrzysz, o Agneli!

Ni w dwóch, ni jeden!» Już ich obie głowy  
 Stały się jedną, patrzącym się zdało,  
 Że gad i człowiek tworzył jedno ciało:  
 Ze czterech ramion dwa tylko zostało;  
 Brzuch, tułów cały, lędźwie i golenie,  
 Tworzyły widok cudacki i nowy,  
 Takie potworne było przemienienie!  
 I kształt przyrodny tak przeobrażony,  
 Chwiejąc się krokiem w te i owe strony,  
 Odszedł leniwo, niestety, po czasie!  
 A jak jaszczurka, w skwarne dzień lipcowy  
 Gdy krzak przemienia, pełna zwinnych ruchów,  
 Skacząc przez drogę błyskawicą zda się;  
 Tak mała żmija jednemu z dwóch duchów,  
 Na brzuch skoczyła, świecąc na pół czarną,  
 Pół modrą skórą, jakby pieprzu ziarno.  
 I w tę część ciała żądłem go ujadła,  
 Kędy w żywocie człowiek swej macierze,  
 Nim wyjdzie na świat, pierwszy pokarm bierze,  
 Potem jak długa pod nogi mu padła.  
 Raniony żądłem żmii niżej żebra,  
 W milczeniu na nią spoglądał i ziewał,  
 Jakby go senność dręczyła lub febra.  
 Patrzyli na się, dymem na przemiany  
 Buchając ciągle, ta z pyska, ten z rany.  
 Niech milczy Lukan z pieśnią, gdzie opiewał  
 Zgon pośród gadów Sabella, Nazyda,  
 Ja nie zazdroszczę przemianie Owida  
 Kadmusa w smoka, Aretuzy w strumień;  
 Przemiano moja, te obie zarumień,  
 Dwóch natur wobec siebie, których ciało  
 Gotowe było zmienić treść swą całą.  
 Tak z człkiem gad się przeobrażał srogi,  
 Gad szczepał ogon swój na dwie odnogi,  
 A duch potężnie ścisnął obie nogi,  
 Że ich złączenia nie dojrzałyś śladu.  
 I w kolej ogon rozszczepiony gadu  
 Przybierał kształty wzięte od człowieka,  
 Ten z siebie ciało, a ten łuskę zwleka:  
 Ręce człowieka kryły się w podpasze,  
 Gad krótkie nogi nad zdziwienie nasze  
 Z przodu przedłużał, w miarę jak skrócona  
 Ręka grzesznika wchodziła w ramiona.  
 Plotąc się razem tylne nogi żmije  
 Tworzyły członek, jaki człowiek kryje,  
 Ten u grzesznika przyjął kształt dwunożny.  
 Podczas gdy z ran ich dym buchając różny,  
 Na przemian kształty ich krył barwą nową,  
 Tu puszczał włosy, tam łuskę węzową;  
 Ten padł, ów powstał z podniesioną głową,  
 I dziko na się patrzący zbrodniarze,  
 W oczach swych swoje zamieniali twarze:  
 Stojący twarz swą zaokrąglął z pyska,  
 Nawlekał ciałem, dwoje uszu tryska  
 Z płaskich policzków, z zbytej reszty ciała,  
 Co w tył nie schodząc tam się zatrzymała,  
 Nos ostry lepiał i wargi wydymał.

Ten, co się czołgał, pysk naprzód wysunął,  
Jak ślimak rogi, skrył uszy do głowy,  
Język człowieka skory do rozmowy  
Rozpadł się w widły z jednego kawała;  
Wąż skrył swój język i dym się zatrzymał.  
Pobiegła sycząc dusza w gad zmieniona,  
Drugi coś mówił i z góry nań plunął,  
Do gadu nowe wyciągnął ramiona  
I rzekł: «Buoso, teraz gadu ciałem  
Czołgaj się tutaj, jak się ja czołgałem».  
Tak w siódmej jamie natura z naturą  
Mieniały kształt swój; kto to czytać raczy,  
Przez wzgląd na nowość niechaj mi wybaczy,  
Jeśli kreśliło niemistrzowskie pióro.  
Choć z trwogi w oczach było mi aż ciemno,  
Żaden z tych duchów nie skrył się przede mną;  
Z trzech jeden tylko, Pucio Sciancato,  
Był niezmienionym: ten, co zbiegł przed chwilą;  
To Kawalkante, nad którego stratą  
Pomimo woli płaczesz, o Gawillo!

## Pieśń XXVI

(Krąg VIII. Tłumok VIII. Żli doradcy: Ulisses.)  
Ciesz się, Florencjo! Twe skrzydła olbrzymie  
Przez ląd i morze szeleszczą w tej dobie,  
Nawet do piekła zanosły twe imię.  
W kręgu złodziei, daj wiarę zakłęciu,  
Obywateli twych znalazłem pięciu,  
A co mnie wstydem rumieni i tobie,  
Zda się, nie robi wielkiego zaszczytu,  
Jeśli po ranu, w marzeniach przedświtu,  
Marzących sny są prawdziwsze niekiedy,  
Wkrótce się dowiesz, co ci życzy Prato  
Jeśli nieszczęście już cię nawiedziło,  
Co być musiało, nie przed czasem było;  
Bo w czas im dalej zajdzie moje lato,  
Więcej mi będą ciężać twoje biedy!  
Wódz szedł i tymi szczeblami, co skały,  
Gdyśmy schodzili, dla nas wykowały,  
Powraca, ciągnąc mnie za swoją nogą.  
I tak samotną pośród głazów drogą  
Stopa się płacząc, między skał ośeki,  
Postępowała za pomocą ręki.  
Jam się zasmucił i jeszcze się smucę,  
Po ile razy pamięć moją zwrócę  
Na dziwne, co tam widziałem, przedmioty,  
Zawściagam silniej wodze mego ducha,  
By swej nie stracił przewodniczki cnoty;  
I gdy mi gwiazda rai światłem błogiem  
Jakie bądź dobro, nie chcę być mu wrogiem.  
Jak w porze roku, gdy więcej palące  
Twarz swą najdłużej nam odkrywa słońce,  
Wieśniak na wzgórku wczasując przed nocą,



Gdy komar brzęczy, a zamilknie mucha,  
 Widzi w dolinie robaczki błyszczące,  
 Gdy w ciemnych liściach winnicy migocą:  
 Tak ja widziałem na dnie ósmej jamy  
 Mnóstwo płomyków patrząc z wierzchu tamy.  
 Jak ów pomszczony za się przez niedźwiedzi  
 Za lekkomyślną niewiarę gawiedzi,  
 Widząc ognisty rydwan Elijasza,  
 Gdy zaprząg wichru w niebo go unasza,  
 Tylko oczyma lekki płomyk tropił,  
 Co się jak obłok w powietrzu roztopił:  
 Tak na dnie jamy każdy kształt płomyka  
 Ruszał się, kryjąc w swym wnętrzu grzesznika.  
 Z mostu uwieźłem cały w tym widoku  
 I gdybym ręką nie chwycił się głazu,  
 Niepchnięty w otchłań upadłbym do razu.  
 Wódz widząc moje wytężenie w oku,  
 Rzekł: «Tu duch każdy żyć w ogniu skazany,  
 Chodzi płomieniem jak suknią odziany».  
 Odpowiedziałem: «Mistrzu, z twego słowa  
 Na to, co widzę, pada jasność nowa:  
 Mów, z tylu ogni migających w zmierzchu,  
 Jaki to płomień, co rozdzielon z wierzchu,  
 Jako ze stosu na dwie strony wionął,  
 Na którym z bratem swym Eteokl płonął?»  
 Mistrz: «Dyjomeda duch i Ulissesa  
 Za karę wspólnej ich zdrady po zgonie  
 W jednym płomieniu nierozdzielnie płonie;  
 W nim płaczą sławnej zasadzki trojańskiej,  
 Z której nam wyszedł piękny szczep rzymiański;  
 W nim za łzy cierpią córki Likomeda,  
 Co w swoim żalu ukoić się nie da,  
 Umarła skarży jeszcze Achillesa;  
 I w nim pokutę cierpią i karanie,  
 Za uwieszone Palladium kryjomie».  
 — «O! jeśli mogą przemówić z płomienia,  
 Niech ci ta prośba za tysiąc prośb stanie,  
 Pozwól mi czekać, nim dwoiste płomień  
 Zbliży się do nas, wszak po tośmy przyszli.  
 Patrz, z jaką żądzą ku niemu się chyle!»  
 A mistrz: «Rad spełnię chwalebne życzenia,  
 Lecz trzymaj język na wodzy milczenia;  
 Ja mówić będę, odgadłem twe myśli;  
 Bo ci grzesznicy w uprzedzeniu dzikiem  
 Może, jak Grecy, wzgardzą twym językiem?»  
 Gdy płomień do nas zbliżył się, mistrz chwilę  
 I miejsce k'temu wybrawszy stosowne,  
 W tych słowach usta otworzył wymowne:  
 «Wy, w jednym ogniu jak dwóch w jednym ciecie,  
 O, jeśli miła wam mało czy wiele,  
 Pisana, wielka moja pieśń na świecie!  
 Stójcie, niech jeden z was powie poecie,  
 Gdzie umarł, trudy skończywszy wędrownę?»  
 Starożytnego wierzchołek ogniska  
 Zaczął się ruszać, o dziw niepojęty!  
 Szumiąc jak płomień wiatrami rozdęty;  
 I wierzch zwężony w kształcie obeliska

Tam i sam wodząc, jak język gotowy  
 Przemówić słowo, zabrzmiał tymi słowy:  
 «Gdym zbiegł od Cyrcy, jej więzień niestety!  
 Z wyspy, skąd blisko do miasta Kajety,  
 Już ani słodycz pocałunków syna,  
 Ni stary ojciec, tęskniąca rodzina,  
 Miłość wzajemna czulej Penelopy,  
 Nie mogły wstrzymać wędrownika stopy:  
 Chciałem świat poznać i zwyczaje ludów  
 I opowiedzieć dzieje jego cudów.  
 Zebrawszy szczupłą, lecz wierną drużynę,  
 Na pełne morze w jednej łodzi płynę;  
 Wody, co brzegi marokańskie liżą,  
 Aż po hiszpański półwysep, ostrowy,  
 Ile ich patrzy w morskie wód zwierciadła,  
 Łódź białoskrzydła obleciała chyżo.  
 Już mnie i moich wiek nachylił długi,  
 Gdyśmy wpłynęli do morskiego gardła,  
 Gdzie stoi wbity słup jeden i drugi,  
 Jakby ostrzegał znak herkulesowy:  
 Człowieku, tutaj kres twojej żeglugi!  
 W prawo rzuciłem Sewilli wybrzeże,  
 Na lewo Septy mauretańskiej wieże.  
 — O bracia! rzekłem, po tylu przygodach  
 Rzucamy kotew na zachodnich wodach;  
 A więc użyjmy tej reszty żywota.  
 Zwiedzmy, wszak krótkim tu każdy z nas gońcem,  
 Świat niemieszkalny tam dalej za słońcem!  
 Myślcie, skąd człowiek swój początek bierze:  
 On nie stworzony, aby żył jak zwierze,  
 Cel jego trudów nauka i cnota.  
 Tą mową, jakbym polechtał ostrogą,  
 Zagrzani dalszą puszczają się drogą,  
 Gdzie morze szerzej roztacza wód łona.  
 Łódź ku wschodowi tyłem obrócona,  
 Na lewo zwraca tor zuchwałej jazdy,  
 Skrzydłami wioseł jak ptak upierzona;  
 Z drugiej półkuli wszystkie nocne gwiazdy  
 Patrzały na nas, gdy z pierwszej półsenne  
 Spadając oczy mrużyły promienne.  
 Księżyc pięć razy swe oblicze zmienne  
 Zmienił od czasu, jakieśmy pływali  
 Po tej bezbrzeżnej oceanu fali:  
 Wtem nam się góra pokazała w dali,  
 Tak wielkiej żywe nie widziało oko.  
 Pierś naszą radość wypełnia szeroko,  
 Lecz za radością w ślad rozpacz przychodzi:  
 Zrywa się burza od nowego lądu,  
 Uderza wichrem w sam przód naszej łodzi,  
 Trzy razy wirem okręca ją prądu,  
 Za czwartym... snadź tak chciały sądy boże,  
 Z szumem nad nami zamknęło się morze».

## Pieśń XXVII

(Krąg VIII. Tłumok VIII. Ciąg dalszy. Gwido z Montefeltro.)

Płomień prostując ostrze i milczący  
Odchodził od nas jak szermierz od mety,  
Za przyzwoleniem słodkiego poety.  
Gdy oto, widzę, drugi płomień kroczy,  
Na swoje ostrze zwrócił moje oczy,  
Głosem, co szumiał zeń z trzaskiem i sykiem;  
Jak sycylijski byk żarem ziejący  
Co po raz pierwszy, i słusznie zaiste,  
Ryknął swojego budownika krzykiem,  
A potem ryczał jękiem nieszczęśliwych,  
Których palono w jego wnętrzu żywych;  
To ciało z miedzi, niejeden w złudzeniu  
Myślał, że wiercą bóle rzeczywiste:  
Tak zamkniętego ducha głos w płomieniu  
Nie mając ujścia trzask ognia udawał,  
Lecz gdy przez ostrze utorował drogę,  
Dał mu ruch, jaki jemu język dawał,  
Słyszałem, w takie zamienił się słowo:  
«Ty, co lombardzką przemówiłeś mową,  
Mówiąc: Idź, dłużej pytać cię nie mogę,  
Chociaż przyszedłem za późno, nie w porę,  
O, nie odmawiaj, racz pomówić ze mną!  
Widzisz, że mówię, a jednak ja gorę.  
O, jeśli schodzisz w naszą otchłań ciemną  
Z słodkiej i pięknej Latynów krainy,  
Z której tu czynię pokutę za winy,  
Ciekawość ziomka przez litość uspokój,  
Mów, w Romaniji wojna jest czy pokój?  
Bo ja z latyńskiej matki życie wzięłem,  
W górach pomiędzy Tybrem a Urbinem».  
Słuchałem jeszcze z pochylonym czołem,  
Gdy mistrz mnie trącił i rzekł: «Mów z Latynem!»  
Mając odpowiedź już gotową w myśli,  
Bez zwłoki rzekłem: «Duchu, któż określi,  
Jak jest Romania twoja niespokojna!  
Gdym odszedł, jawna nie wrzała w niej wojna,  
Rząd po staremu tyrański w Rawennie,  
Orzeł z Polenty wziął ją w dziób swój orli,  
I nakrył Cerwie sąsiednią skrzydłami.  
Posoką Franków zbrozczony kraj Forli,  
Pod zielonego lwa leży szponami.  
Brytan z Werukio, on i jego szczenię,  
Co mogą śmiało Montagna zadławić,  
Rządzą w Rimini, tam jest ich siedzenie,  
Gdzie już przywykli swoje zęby krwawić.  
Ludem Faency rządzi starożytny  
Lew w gnieździe białym na tarczy błękitnej,  
Łaknący ciągłej w stronnictwach odmiany.  
Ludy osiadłe nad rzeką Sawijo,  
Podobnie jako gród ich zbudowany  
Pomiędzy górą a doliny szyją,  
Między niewolą a wolnością żyją.

Teraz kto jesteś? Mów, o, nie bądź twardy!  
 Względność umięję szanować Lombardy,  
 Mnie mówiącemu odpowiedz nawzajem».

Płomień szczerwienia trochę swym zwyczajem,  
 Wierch zaostrozony tam i sam obrócił,  
 Tchnął i wśród iskier te słowa wyrzucił:  
 «Gdybym ja mniemał, że tu z gościem gadam,  
 Który na ziemię stąd wróci szczęśliwy,  
 Płomień mój wnet by nieruchomym został;  
 Lecz jeśli prawdę mówią, że nikt żywy  
 Z tej się otchłani piekieł nie wydostał,  
 Mało się troszcząc o wstyd, odpowiadam.  
 Byłem żołnierzem, byłem franciszkanem,  
 Biorąc sznur, w moją poprawę wierzyłem  
 I mógłbym stanąć bez grzechu przed Panem;  
 Alem skuszony był przez Arcymnicha,  
 W grzech dawny jego wtrąciła mnie pycha,  
 Wiedz i dlaczego, i przez co zgrzeszyłem.  
 Gdym nosił ciało i kość wzięte z matki,  
 Przebiegłość głównym była moim rysem,  
 Z czynów mnie zwać by nie lwem, raczej lisem,  
 Wykrętów moich znajdziesz żywe świadki;  
 Mistrz w sztuce zdrady, zradami mojemu  
 Stałem się głośnym aż do krańców ziemi.  
 Lecz gdy dożyłem sędziwego wieku,  
 Gdzie każdy człowiek u dni swoich ścieku  
 Rad zwija żagiel, zbiera liny statku,  
 Co wprzód lubilem, zbrzydło mi w ostatku.  
 Pokutowałem za klasztorną kratą,  
 Płacząc na moje upłynione lato,  
 Jużem się cieszył, że do nieba zdążę!  
 Faryzeuszów nowych pan i książę  
 Grzmiał ciąglą wojną, siedząc w Lateranie;  
 Nie Saraceny, żydzi, nie poganie,  
 Wrogami jego byli chrześcijanie.  
 Żaden z nich rogów księżycy nie zniża,  
 Na ziemi pogan nikt nie utkwil krzyża.  
 On w sobie zniżył wielkie namiestnictwo,  
 Sam kalał ślubów zakonnych dziewictwo,  
 Sznur mój miał za nic, który w owej chwili  
 Więcej wychudzał tych, co go nosili.  
 Lecz jak Konstantyn, gdy go trąd kaleczył,  
 Wezwał Sylwestra, by z trądu uleczył,  
 Tak on mnie wezwał; leczyłem, mnich lichy,  
 Arcykapłana od gorączki pychy.  
 Pytał o radę, jam stał zasromany,  
 Bo mówił do mnie, jakby był pijany,  
 I dodał: »Z góry rozgrzeszam cię z winy,  
 Naucz, jak zburzyć mury Palestyny.  
 Ty wiesz, kto niebo otwiera, zamyka,  
 Wiesz, że dwa klucze są w ręku klucznika,  
 Lecz mój poprzednik nie znał ich użycia«.

Takie dowody niełatwe do zbicia  
 Mnie uderzyły; wszedłem w radę z głową,  
 Że lepiej mówić jak zostać niemową,  
 I rzekłem: »Jeśli gładzisz, ojciec święty,  
 Grzech w mojej myśli tej chwili poczęty,

Słuchaj, ja radzę ze szczerością całą:  
Wiele obiecuj, a dotrzymaj mało,  
Będiesz zwycięzcą na twojej stolicy».   
Kiedym umierał, w chwili mego zgonu,  
Wzywał mnie patron mojego zakonu,  
A wtem cherubin przyszedł czarnolicy,  
I rzekł do niego: »Zakonny patronie!  
Robisz mi krzywdę, ja praw moich bronię,  
On być powinien w potępieńców gronie.  
Gdy mu z ust wyszła taka rada dzika,  
Odtąd ja za czub rad trzymam grzesznika;  
Odpust bez skruchy to niepodobieństwo!  
Rzecz niepodobna, godna mego śmiechu,  
Razem chcieć grzechu i żałować grzechu.  
Czyn ten potępia samo przeciwieństwo».   
O! Jak szalałem obłąkaniem dzikiem,  
Gdy on mnie porwał i zawołał z krzykiem:  
»Możesz nie myślał, że byłem loikiem?«  
I przed Minosem stawiać mnie sam zniknął.  
Sędzia ten ogon skręcił z osiem razy,  
Potem go ugryzł, a wściekły z obrazy:  
»Oblec go w ogień wiekuisty!«, krzyknął.  
Za grzech ten w jamę wrzucony na mękę,  
Noszę, jak widzisz ognistą sukienkę».   
To rzekłszy, odszedł płomień potępiony,  
Kręcąc, miotając swój wierzch zaostrzony.  
Ja i wódz szliśmy na arkadę tamy,  
Pod którą cierpią karę na dnie jamy  
Ci, co sumienie na bliźniego szkodę  
Śmieli obciążyć, wzbudzając niezgodę.

## Pieśń XXVIII

(Krąg VIII. Tłumok IX. Siejący niezgodę. Mahomet i Bertran de Born.)

Nawet od więzów rymu w wolnej mowie,  
Raz, dwa rzecz jedną mówiąc, kto opowie  
Rany, krew całą, jaka tam się leje?  
Nie ma języka, co by wydał w słowie  
To, nad czym umysł tylko się dumieje.  
Gdyby zarazem zebrać w jednej chwili  
Wszystkich poległych Rzymian pod Kannami,  
Chcących fortunę przełamać odwagą,  
Gdzie dzieląc łupy zwycięska Kartago,  
Jak pisze Liwiusz, który się nie myli,  
Rzymskie pierścienie mierzyła korcami;  
I tych, co walcząc przeciw Guiskarda,  
Czuli po cięciach, jak stał jego twarda,  
I tych, co kości jeszcze dziś zbieramy,  
Pod Kaperano i Taglijakozzo,  
Gdzie Konradyna, dziwo niepojęte!  
Bez broni podstęp pokonał Alarda:  
Wszystkie te członki skłute lub odcięte  
Patrzących mniejszą razilyby zgrozą  
Jak straszny widok tej dziewiętej jamy.

Z dziurawej kadzi mniej wina wyciecze,  
Ile krwi ciekło z rozciętego ducha,  
Od samej brody aż poniżej brzucha;  
Z kolan drgające zwisały jelita;  
Widziałem serce, część wnętrza okryta  
Raziła oczy czerwonością nagą.  
Podczas gdy mój jego oglądał z uwagą,  
Spojrzał, rękoma pierś rozdarł i rzecze:  
«Patrz, ja, Mahomed, jak siebie kaleczę!  
Przedemną Ali cały we łzach kroczy,  
Twarz mu po czaszkę jedna rana broczy;  
Szatan tu stoi i z naszej gromady  
Każdego bierze na ostrze swej szpady;  
Gdy kończym obrót swej bolesnej drogi,  
Tu choć najszersza zamyka się rana  
W chwili, gdy staję przed mieczem szatana.  
Lecz ty, kto jesteś, co stoisz bez trwogi?  
Może niedługo skoczysz z tej wyżyny,  
Gdzie ciebie strąca twoje własne winy?»  
— «On nieumarły, nie lżyj go bezkarnie!  
On nie na męki wstąpił w wasze progi,  
Lecz aby wszystkie tu poznał męczarnie:  
Zmarły żywego, po nowej mu drodze,  
Przez całe piekło z wyższej woli wodzę».

Mistrz rzekł i dodał: «Prawdzie nie skłamałem».

A na dnie jamy wszyscy potępińce  
Stanęli, patrzą na mnie gronem całem,  
Zapominając z podziwu o męce.  
— «Jak ujrzysz słońce, powiedz Dulcynowi  
Jeśli tu prędko zstąpić nieochoczy,  
Niech skupi żywność, śniegiem się otoczy;  
Bo jak ci mówię, bez śniegu i głodu,  
Nowarczyk w górach niełatwo go złowi».  
Tak z podniesioną stopą do pochodu,  
Duch Mahometa mówił, potem nogę  
Na dłużej prostując poszedł w swoją drogę.  
Duch drugi z krtanią przebitą, kaleki,  
Z nosem rozciętym pod same powieki,  
I z jednym uchem od lewego oka,  
Stanął, z nim całe wstrzymało się grono:  
Duch patrząc na mnie z twarzą zadziwioną,  
Otworzył gębę jak jamę czerwoną,  
Którą broczyła świeża krwi posoka,  
I rzekł: «Schodzący tu gościu bez winy,  
Jeśli nie ludzi wielkie podobieństwo,  
Widziałem ciebie pomiędzy Latyny.  
Przypomnij sobie Piotra z Medycyny!  
Idąc z Wercelli smugiem do Markabo  
Ostrzeż ode mnie dwóch najlepszych z Fano,  
Andziolello i Gwido ich miano,  
Że niespodziane czeka ich męczeństwo.  
Gdy zmysł proroczy widzi tu niesłabo,  
Wrzucą ich w morze w porcie Katoliki;  
Bo od Majorki do Cypru zatoki  
Neptun nie widział nigdy takiej zbrodni,  
Gdzie wciąż koczują greckie rozbójniki.

Zdrajca rządzący, chociaż jednooki,  
 Krajem, którego duch, co za mną kroczy,  
 Nie chciałby nigdy widzieć w żywe oczy,  
 Sprosi ich w gości, zdradzi najniegodniej,  
 Czym ich uwolni od ślubów ofiary  
 Przeciw wiejącym wiatrom od Fokary».

— «Gdy chcesz,» odrzekłem, «abym tam wysoko  
 Mówił o tobie w twoim ziemskim raju,  
 Kto ten nieszczęsny, wskaż mi go na oko,  
 Któremu było tak gorzko w tym kraju?»  
 Do towarzysza duch wyciągnął rękę,  
 Na oścież jemu otwierając szczękę,  
 Krzyczał: «Patrz teraz, to on, lecz nie mówi:  
 On myśl wąpiącą uśpił Cezarowi,  
 Twierdząc, że zawsze niebezpiecznie czekać,  
 Zamiar dojrzały do czynu odwlekać».

Jakże przeraził mnie wrażeniem dzikiem,  
 Ze swoim w krtani uciętym językiem,  
 Ten Kurion niegdyś tak zuchwały w mowie.  
 Duch drugi obie miał ucięte ręce,  
 W zmroku wywijał tępych ramiony.  
 Krwią, co z nich ciekła, cały oczerniony,  
 I krzyknął, krzyk ten aż mi szumiał w głowie:  
 «Przypomnij Moskę, przebóg, ja to rzekłem:  
 »Koniec koroną powinien być czynów!«  
 Z tych słów urosły klótnie florentynów».

— «I śmierć twej całej rodziny!» dodałem.  
 On wtenczas z bólu łypiąc okiem wściekłem,  
 Odszedł jak gdyby już oszalał w męce.  
 Ja wciąż na trzodę piekielną patrzałem;  
 I to widziałem, czego bez dowodu  
 Nie śmiałbym w pieśni opowiadać mojej,  
 Gdyby nie dobry nasz świadek, sumienie,  
 Które pod zbroją nam czystości swojej  
 Serce umacnia, zagłusza zwątpienie.  
 Widziałem, wiercie na słowo poety,  
 Tułów bez głowy, jako inne cienie  
 Szedł równie dobrze sporym krokiem chodu,  
 A w rękę trzymał swą uciętą głowę;  
 Głowa na włosach na obraz latarni  
 Zwieszona, z gestem bolesnym męczarni  
 Patrzając na nas, mówiła: Niestety!  
 Tułów przejrzysty jak szkło kryształowe  
 Sam stał się lampą i razem w tej chwili  
 Dwoje ich w jednym, jeden w dwojgu byli.  
 Ile to widmo było rzeczywiste,  
 Pan nasz i mściciel wie o tym zaiste!  
 Tułów podszedłszy pod szyję mostową,  
 Wzniósł w górę rękę z całą swoją głową,  
 Ażeby do nas przybliżyć swe słowo,  
 Które tak brzmiało: «Gościu nieumarły,  
 Patrz, jakie męki na mnie się wywarły,  
 Patrz, czy jest większa od mojej tortura?  
 Jeśli mną zając chcesz ciekawość czyją,  
 Wiedz, że ja byłem Bertrandem z Bornijo  
 Dałem złe rady młodemu królowi,  
 Jątrzyłem syna przeciwko ojcowi:

Sam Architofel nie gorszym się wyda,  
Co Absalona jątrzył na Dawida.  
Za to żem dzielił, co łączy natura,  
Chodzę tu, przebóg, jak bezgłowa mara;  
I słusznie, jaka zbrodnia, taka kara».

## Pieśń XXIX

(Krąg VIII. Tłumok X. Falszerze. Alchemiści.)  
Rozmaitymi tłum ludu ranami  
Tak moje oczy upoił w tej chwili,  
Że pragnął spocząć i trzeźwić je łzami.  
«Co tak spoglądasz?» przemówił Wirgili,  
«Czemu tak pilno patrzą twe powieki  
Na tłum tych cieniów tak smutnie kaleki?  
Tegoś nie robił przy drugich tłumokach:  
Gdy chcesz policzyć, duchów tu jest ile,  
Pomyśl; ta jama wykuta w opokach,  
Ma w swym obwodzie dwadzieścia dwie mile.  
Księżyc już zaszedł pod nasze podnóże,  
Odtąd dość krótki (szanuj lot chwil czynnych,)  
Czas dozwolony do pielgrzymki twojej;  
Jeszcze masz widzieć wiele rzeczy innych,  
O których może myśl twa ani roi».  
Odpowiedziałem: «Gdybyś spojrzeć raczył  
Na powód, co tu wzrok mój tak zahaczył,  
Dłużej mi patrzeć pozwoliłbyś może?»  
Wódz szedł, ja za nim z wolna sunąc nogą,  
Dodałem jeszcze, wciąż mówić ochoczy:  
«Tam, skąd utkwione odjąłem me oczy,  
W jamie, co w skał tych zapadła krawędzie,  
Myślę, swej winy płacze duch mój krewny,  
Która tam jego kosztuje tak drogo!»  
Mistrz odpowiedział: «Hamuj pociąg rzewny,  
Dłużej tym duchem nie rozrzewniaj myśli,  
Marz o czym innym, gdzie on jest, niech będzie.  
Widziałem jego w chwili, gdyśmy przyszli  
Na łuk mostowy, on cię zauważał,  
Wskazywał, żywo palcem ci pograżał;  
Słyszałem, jak nań jeden duch przeklęty:  
Geri del Bello, po imieniu krzyknął,  
Lecz tyś był hrabią z Hetfortu zajęty,  
W to miejsce wtedy spojrzaleś, gdy zniknął».  
A ja: «Śmierć jego, której wstyd podziela  
Krew nasza, od nas wygląda mściciela;  
Dlatego, myślę, z uczuciem pogardy,  
Nie mówiąc do mnie, odszedł duch ten hardy,  
Co go w mej duszy jeszcze droższym czyni».  
Tak mówiąc szliśmy do pierwszej przystani,  
Skąd mógłbym widzieć dno innej otchłani,  
Gdyby być mogło świetlej w tej jaskini.  
Gdym już od mostu stał o kilka kroków,  
Gdzie był ostatni klasztor *Złych Tłumoków*,  
Krzyki boleści, co w mej czulej duszy,



Ile ich było, razem się zmieniły  
 W żelazne strzały, tak serce raniły,  
 Tak, że rękoma zatykałem uszy.  
 W miesiącu sierpniu społem tłum zebrany  
 Chorych z Maremmy i Waldikijany  
 I co w sardyńskich szpitalach się mieści,  
 Dałby nam chyba obraz tych boleści.  
 Z jamy buchały podobne wyziewy,  
 Jakimi dysze zgangreniałe ciało.  
 I zwróciliśmy krok nasz na brzeg lewy,  
 Który się długo jedną ciągnie skałą;  
 Spojrzałem w otchłań, gdzie na dnie jej łoża  
 Karze fałszerzy sprawiedliwość boża.  
 Nie mógł smutniejszy być widok w Eginie,  
 Gdzie tysiącami chory lud wymierał,  
 A mór zwierzęta i płazy pożerał;  
 Gdzie, jeśli wierzyć na poetów słowo,  
 Z nasienia mrówek wyległy na nowo  
 Lud ją zaludnił, zwany Mirmidony,  
 Jak widok duchów w tej ciemnej dolinie,  
 Jakby stos trupów bezładnie zrzucony.  
 Ten brzuchem cały do ziemi przypada,  
 Ów głowę skłonił na ramię sąsiada,  
 Ci na czworakach pełzają jak gady.  
 A szliśmy milcząc jako dwa niemowy,  
 Słuchając, patrząc na chore gromady,  
 Niezdolne dźwigać bezwładne tułowy.  
 Dwóch wzajem na się opartych siedziało,  
 Strupy im całe cętkowały ciało;  
 Jak zgrzeblem żywo pociąga stajenny  
 Przed przyjściem pana, choć ziewa półsenny,  
 Tak ci po strupach paznokciami wodzą,  
 Przez co bolesne swe świerzby łagodzą,  
 Przeciwno którym już nie było środka;  
 Jak pod kucharskim nożem pstrąg lub płotka  
 Miece łuskami, tak strupów kawały  
 Spod ich paznokci jak łuska leciały.  
 «Ty, co jak garbarz przez smutną konieczność,»  
 Rzekł wódz mój, «skórę chropawą pryszczami  
 Wyprawiasz, gładząc paznokcia ostrzami,  
 Mów, czy się spotkam tutaj z Latynami?  
 Oby twój paznokieć nie stępiał przez wieczność!»  
 — «Tutaj w nas obu dwóch Latynów witasz!»  
 Rzekł jeden z płaczem, «ktoś ty, co nas pytasz?»  
 Mój wódz tak mówił: «Jestem duch i oto  
 Schodzę tu razem z żyjącą istotą,  
 By całe piekło poznał chodząc ze mną».

Dwa cienie łamiąc podporę wzajemną,  
 Ze drżeniem ku mnie zwrócili się oba;  
 Na wieść tę wszyscy zerwali się społem.  
 Mistrz rzekł: «Mów teraz, co ci się podoba».

Rad z przyzwolenia tak mówić zacząłem:  
 «Niech pamięć o was czas, co wszystko gładzi  
 Wskrzesi od wschodu słońca do zachodu;  
 Kto wy jesteście, z jakiego narodu,  
 Że wśród mąk takich wam tu serce radzi  
 Przede mną z chęcią otworzyć się szczerą?»

Cień rzekł: «Arezzo jest moja kraina  
 Kazał mnie spalić z Syjeny Albero,  
 Chociaż tu inna wtrąciła mnie wina.  
 Wprawdzie z nim mówiąc napomknąłem żartem,  
 Że ze mnie dzielny powietrzny latawiec;  
 On człowiek małej głowy a ciekawiec,  
 Chciał, abym odkrył sztuki tajemnicę;  
 A że nie byłem Dedalem w praktyce,  
 Spłonąłem za to, żem kumał się z czartem.  
 A że był ze mnie alchemik imienny,  
 Minos niemylny w sędziego pojęciu,  
 Wtrącił mnie w Tłumok ostatni z dziesięciu».  
 «Oprócz Francuzów,» mówiłem poecie,  
 «Więcej próżnego narodu na świecie  
 Nie ma zaiste jako lud z Syjeny».  
 Wtenczas to słysząc, drugi trędowaty,  
 Mówił: «Z nich pierwszym wyjątkiem jest Strikka,  
 Który wydawał pieniądz przyzwoicie,  
 Trwonął kapitał, gdy brakło intraty;  
 Drugim Nikolo, co pierwszy użycie  
 Zbytkowne odkrył wonnego goździka  
 Mógłbym wyłączyć inne pasibraty,  
 Z tych Asciano winnicę bogatą,  
 Wielki las przejadł i Abbagliato  
 Dowiódł, że jemu w głowie niepstrokaty.  
 Lecz iżbyś wiedział, kto twoim wykrzykom  
 Taki wtór trzyma przeciw sieneńczykom,  
 Skieruj twe oczy do mojej figury,  
 A w twej pamięci rysy me odżyją.  
 Ja za pomocą alchemiji złoto  
 Rad fałszowałem, jam cień Kapokijo!  
 Możesz przypomnieć, że byłem niecnotą  
 A przy tym małpą wyborną z natury».

## Pieśń XXX

(Ciąg dalszy.)

Gdy za Semele gorączką obraży  
 Junona wrzała przeciw krwi tebańskiej,  
 Spędzając na nich gniew po wiele razy,  
 Widząc swą żonę Atamas szatański  
 Wchodzącą w progi z dwojgiem małych dzieci,  
 Krzyknął jak wściekły: «Rozciągajmy sieci,  
 Lwica z lwiatkami w ich przeguby wleci».  
 I jedno dziecko, Learkiem nazwane,  
 Porwał i cisnął o twardą skał ścianę,  
 A matka, myśl tę snadź rozpacz natchnęła,  
 Z drugim ciężarem swoim utonęła.  
 Kiedy Fortuna twarz swą odwróciła  
 Od wielkich Trojan, tak że jednej chwili  
 Społem królestwo i króla stracili,  
 Hekuba smutna, niewolnica chora,  
 Płacząc nad ciałem swego Polidora,  
 Jak pies szalona w swej boleści wyła,

Tak boleść wszystkie jej zmysły zmaciła!  
 Jednak Tebanie i Trojanie wściekli,  
 Choć tyle zwierząt i ludzi wysiekli,  
 Nie pastwili się z okrucieństwem takim:  
 Dwa cienie nagie biegły jednym szlakiem,  
 Gryząc się w biegu, jak wieprz wszystkim w oczy  
 Rzuca się, gdy z swej zagrody wyskoczy.  
 Jeden z nich, biegnąc, wpadł na Kapokiję,  
 W kark jemu pięścią grzmotnął ponad uchem,  
 Zwalił, po ziemi ciągnął go za szyję,  
 Gracując drogę Kapokija brzuchem.  
 A Griffolino, z przestachu wielkiego  
 Drżąc, mówił do mnie: «To duch Jana Skiki,  
 Tak wszystkich dręczy ten szaleniec dziki».  
 — «Jeśli ten drugi duch cię nie uszczyknie  
 Zębem lub szponą,» wołałem do niego,  
 «Powiedz mi wprzód, kto on jest, nim zniknie».  
 A on: «To Myrry starożytnej dusza,  
 Która do ojca czuła upał żywy,  
 Przeciwno prawu miłości uczciwej;  
 Pragnąc grzech ukryć w kryjonym niewstydzie,  
 Ojca pod cudzą postacią spokusza,  
 Podobnie jak duch, który oto idzie!  
 Znęcony zyskiem końskich stad królowy,  
 Wybieg zaiste cudacki i nowy,  
 Zamiast Donata w łóżko się położył,  
 Skłamał testament i znów z grobu ożył».  
 Gdy znikli z oczu mych ci dwaj okrutni,  
 Wnet odwróciłem ciekawe spojrzenie,  
 Patrząc na inne tam leżące cienie.  
 Jeden cień byłby podobny do lutni,  
 Gdyby miał otwór jego brzuch obrzydły,  
 W miejscu, skąd ciało rozdziela się w widły:  
 Puchlina wodna w jego ciele całem  
 Zmieniając kształty przez wilgoci chore,  
 Rozwarte usta zwiesiła do brody,  
 Jako suchotnik, gdy pragnieniem gore.  
 «Wy, których wita z podziwem ta jama,»  
 Cień mówił, «patrzcie na mistrza Adama!  
 Czegom zapragnął, żyjąc wszystko miałem,  
 Teraz, niestety, pragnę kropli wody.  
 Małe strumyki, co żywią nurt Arny,  
 Płynąc z pagórków zielonych Kasenty,  
 Z rzeźwiącą treścią, przejrzyste aż do dna,  
 Ciągną tam oczy tu z wieczności czarnej;  
 Bo ich obrazu marzone ponęty  
 Więcej mnie trawia jak puchlina wodna.  
 Tu Sprawiedliwość z swoim sądem w zgodzie,  
 Tym samym miejscem, gdzie grzeszył, mnie bodzie,  
 By więcej westchnień wydostać z grzesznika.  
 Tam jest Romena, gdzie oprócz psot wiele  
 Fałszował pieniądz z popiersiem Chrzyciciela,  
 Za co spalono żywcem fałszownika.  
 Lecz gdybym spotkał tu duchy Gwidona  
 I Aleksandra, i obu ich brata,  
 Jeszcze bym tego nie mieniał widoku  
 Na Fontebrandę, co stoi w mym oku.

Już jeden pono tu zstąpił ze świata,  
 Jeśli wieść do mnie doszła nieskazona  
 Z ust innych cieniów; ale co mi po tem,  
 Gdy ja tu leżę jak przybity młotem!  
 Gdybym tak lekki był, że zrobić mogę  
 W sto lat krok jeden, już poszedłbym w drogę,  
 Szukając jego w tej wielkiej przepaści.  
 Która w obwodzie ma mil jedenaście  
 A wszereż pół mili. Zły duch, co w nich siedzi.  
 Skusił mnie radą tych hrabiów Romeny,  
 Aby w mennicy bił takie floreny,  
 W których jest najmniej trzy karaty miedzi».

Rzekłem do niego: «Wskaż tych dwóch na imię,  
 Co tam na prawo leżą razem w dymie,  
 Jak zimną dymiąc parą z mokrej ręki?»

— «Tak ich znalazłem,» odpowiedział «wtedy,  
 Gdy mnie w tę otchłań wtrącono na męki,  
 I wątpię, z miejsca czy ruszą się kiedy?  
 To cień świadczącej krzywo Putyfary,  
 Drugi Grek Sinon, co oszukał Troję;  
 W zgnilej gorączce tu leżą oboje,  
 Z ciał swych cuchnące wyziewając pary».

Cień pierwszy zemstę warzący w milczeniu,  
 Że śmiał bezczelną nazwać po imieniu,  
 Pięścią w brzuch twardy Adama uderzył,  
 Który jak bęben huk daleki szerzył,  
 Mistrz Adam wzajem dłonią niemniej twardą  
 Odbił policzek mówiąc doń ze wzgardą:  
 «Choć mi puchlina poruszyć się broni,  
 O! do wybitej dość ruchu mam w dłoni».

Na to cień drugi: «Gdyś na stos wstępował,  
 Pewność tak żywo ręką nie szermował,  
 Lecz miałeś równie, może więcej, żywą  
 Rękę, gdy biłeś monetę fałszywą».

Opuchły tak rzekł: «Nie kłamie twe słowo,  
 Lecz gdzieś był z swoją prawdomówną mową,  
 Kiedy o prawdę pytano się w Troi?»

— «Jam fałsz powiedział,» Grek odparł na nowo,  
 «A tyś fałszował pieniądź najniegodniej.  
 Jam winny jednej, a ty mnóstwa zbrodni».

— «Czy koń drewniany na myśli ci stoi?»

Cisnął żart mówca, co miał brzuch wydęty,  
 «Świat za mną woła: bądź, kłamco, przeklęty!»

— «Niech ci nawzajem» tak Grek mówił w gniewie  
 «Język pragnienie spali jak zarzewie,  
 Niech zgniła woda tak twój brzuch wydyma,  
 By jak zagroda stał ci przed oczyma».

A mincarz: «Błuźnisz na twą gębę całą,  
 Bo jeśli pragnę i mam spuchłe ciało,  
 Tyś sam w gorączce i gore ci głowa.  
 Ażebyś liżał Narcyza zwierciadło,  
 Krótka by ciebie skłoniła przemowa».

Gdym był zajęty ich kłótnią zajadłą,  
 Mistrz rzekł: «Czas, abyś tę gawiedź porzucił,  
 Niewiele braknie, bym z tobą się skłócił».

Na głos ten jam się do mistrza obrócił,  
 Ogromnym wstydem spłoniony na twarzy;

Podobny temu, co nieszczęście marzy,  
A marząc życzy, by to, co się śniło,  
Snem się rozwiało, jakby nic nie było.  
Chciałem przemówić, wstyd mi uciał słowa,  
Choć wola z winy tłumaczyć się radzi,  
Ze wstydu przed nim stałem jak niemowa.  
Mistrz rzekł: «Wstyd mniejszy większe winy gładzi,  
Uspokój siebie i nie patrz tak smutnie:  
Gdy czasem trafisz na podobne klótnie,  
Gdzie ludzie w mowie nie dosyć są skromni,  
Że, wódz twój, jestem przy tobie, przypomnij!  
Bo chcieć łakomie słuchać lada bredni,  
Chętka ta zdradza umysł dość powszedni».

## Pieśń XXXI

(Do kręgu IX. Studnia. Olbrzymi. Anteus osadza poetów na dnie piekła.)

Język, co wprzód zranił mnie do tyła,  
Żem spłonął wstydem, wnet balsam żądany  
Podał i leczył jak włócznia Achilla,  
Co i raniła, i leczyła rany.  
I milcząc szliśmy od tej smutnej jamy,  
Brzegiem krążącej wokoło niej tamy;  
Tam nie noc, zmrok był pół nocny, pół dzienny,  
Widziałem tylko szary grunt kamienny,  
Lecz echo za mną dźwiękiem rogu grało,  
Dźwiękiem, co mógłby zagłuszyć trzask grzmotu.  
W stronę, skąd dźwięk ten pobrzmiwał za skałą,  
Oczy z uwagą obróciłem całą.  
Nie tak straszliwie Roland do odwrotu  
Dał w róg wojenny, gdy z chrześcijan żalem  
Karloman przegrał bój pod Ronsewalem  
Podniosłem głowę; nad poziom opoki,  
Zda się z jej gruntu, tłum wieżyc wyrasta,  
Dlatego rzekłem: «Widzę mur wysoki,  
Mistrzu, jakiego to widok jest miasta?»  
A mistrz: «Tyś w błędzie, bo patrzysz z daleka,  
Gdy przyjdiesz bliżej, uzna twa powieka,  
Jak oddalenie fałszuje zmysł wzroku,  
Więc trochę więcej przyspiesz twego kroku».  
Wziął mnie za rękę i czule ją ściska,  
I mówi: «Nim ten przedmiot ujrzysz z bliska,  
Aby mniej dziwnym zdał się, jak widzimy,  
Wiedz, że nie wieże to są, lecz olbrzymy,  
Od stóp po biodra sami i bezludni,  
Wokoło zrębów stoją w wielkiej studni».  
Jak wzrok wśród mglistej uwieźły ciemnoty  
Z wolna odkrywa ukryte przedmioty,  
Gdy mgła spadając ze światłem się zetrze;  
Tak przerzynając to ciemne powietrze,  
W miarę jak szedłem pod studni tej progi,  
Błąd mój się rozwił, a wzrastał chłód trwogi  
Jak wieże zamku Monterejone  
Tworzą okrągłych jego ścian koronę,

Tak nad zrąb studni pod same podpasy  
 Sterczały wkoło potworne Gigasy,  
 A którym zda się jeszcze groził z góry,  
 Piorunem Jowisz, gdy brzmi z ciemnej chmury,  
 Jeden stał twarzą do nas obrócony,  
 Barkami, piersią i dwoma ramiony;  
 Zaiste, jeśli natura przestała  
 Tworzyć olbrzymy, w tym loicznie działa,  
 Bo przez to, gwoli świata pokojowi,  
 Takich siłaczy odjęła Marsowi.  
 A gdy bez troski zapładza w swym łonie  
 Jeszcze ogromne wieloryby, słonie,  
 Łatwo w tym dojrzy ludzka przenikliwość  
 Mądrą ostrożność jej i sprawiedliwość.  
 Bo gdzie się rozum człowieka zespoli  
 Z siłą potęgi i chęcią złej woli,  
 Tam ludziom opór nigdy się nie uda.  
 Czaszka tak wielka była wielkoluda,  
 Jakby świętego Piotra szyszka w Rzymie.  
 I inne kości miał równie olbrzymie:  
 Tak, że począwszy od pasa w pół ciała,  
 Trzech Fryzów roślących, daremna ich chluba,  
 Ledwo by wzrostem doszli mu do czuba;  
 Bo jego wzrostu potworna wyżyna,  
 Mogła, jak studni kończyły się zręby,  
 Do miejsca, człowiek gdzie płaszcz swój zapina,  
 Mieć miar trzydzieści wielkiej rzymskiej palmy.  
*Rapho Lmaj Amec!* jakaś mowa brzmiała  
 Dzika, nam obca, z jego dumnej gęby,  
 Dla której słodsze niestosowne psalmy.  
 Mój wódz doń mówił: «Nieroztropny duchu!  
 Zadmij w róg, niech się rozlega w twym uchu  
 Łowczy dźwięk rogu; jeśli tobą miota  
 Gniew albo inna namiętność żywota,  
 Ulgi twej męce szukaj w jego brzmieniu:  
 Patrz, on z twej szyi zwisa na rzemieniu,  
 Który ogromną twoją pierś oplata».  
 Potem rzekł do mnie: «Patrz, to duch Nemroda,  
 Głupi, sam siebie oskarża w swej dumie,  
 Że przezeń znikła jedna mowa świata.  
 Zostawmy jego, tu słów naszych szkoda,  
 My go nie pojmiem, on nas nie zrozumie».  
 I szliśmy kołem, zwracając się w lewo.  
 Z dala sterczało jakieś wielkie drzewo,  
 Podchodzimy, widzimy olbrzym drugiego,  
 Jeszcze był dzikszy i wzrostu większego.  
 Jaki go siłacz łańcuchem skrepiwał,  
 Nie wiem, lecz obie miał związane ręce,  
 Łańcuch od szyi pięć razy zagięty  
 Ciało mu ścisnął żelaznymi pręty.  
 «Pyszny, z Jowiszem o władzę szermował,»  
 Tak mój wódz mówił, «a skończył na męce:  
 To Efialtes! w walce z olbrzymami  
 Przed nim zadrżeli i bogowie sami,  
 Myśląc, że pierwszy drzewi niebios wyłamię;  
 Teraz bezwładne to straszliwe ramie».  
 A ja do wodza: «Chciałbym na swe oczy

Widzieć potworny kształt Bryjareusza». Wódz rzekł: «Tu bliżej ujrzysz Anteusza. Nieskrępowany i mówić ochoczy, On nas jak piłkę na dno piekła stoczy. Lecz Bryjareusz dobrze dalej stoi, Jak ten podobnie skutą, prócz że dwoi Przestach wrażeniem okropności swojej». Nigdy tak wieżą gwałtownie nie chwiała Trzęsieniem ziemi poruszona skała, Jak Efiates wstrząsł się na te słowa; Wtenczas mnie trwoga przeszła grobowa, Strach by mnie dobił i padłbym bez ducha, Gdybym nie widział olbrzyma w łańcuchu. Anteusz, gdyśmy podeszli doń bliżej, Nad zrębem studni stał pięć łokci wyżej. —«O ty, co w owej szczęśliwej dolinie Przez którą imię Scypijona słynie, Gdzie Hannibala zmusił do odwrotu, Uprowadziłeś do swego namiotu Łup z lwów tysiąca; ty, co gdybyś zbrojnie Wsparł twoich braci w ich olbrzymiej wojnie, Mógłbyś zapewnić tryumf synom ziemi! Jeśli nie gardzisz prośbami naszymi, Znieś nas, gdzie Kocył chłód zamarzać zmusza, Lecz nie odsyłaj mnie do Tyfeusza. Stąd mój towarzysz, czego chce twa dusza (Tylko nam schył się i nie marszcz tak czoła), Sławne twe imię zanieś do świata; On żyw i przed nim jeszcze długie lata, Gdy go przed czasem Łaska nie powoła». Gdy mowa mistrza zamilkła skończona, Olbrzym już wodza wziął w swoje ramiona, Których sam Herkul czuł uścisk straszliwy! Z ramion olbrzyma rzekł do mnie Wirgili: «Chodź, ja do swego przytulę cię łona». Tak mnie i wodza Anteusz tej chwili Jak jeden ciężar na plecy zarzucił. Patrząc na wieży bolońskiej kąt krzywy Od strony, kędy ku ziemi się chyli, Widz drży, by czasem wiatr ją nie wywrócił: Tak mi się wydał olbrzym i tak strwożył, Gdy się nachylił i nas obu złożył Na dnie otchłani, co razem pożera Zdrajcy Judasza duch i Lucyfera; Tak pochylony olbrzym w tym momencie Podniósł się prosty jak maszt na okręcie.

## Pieśń XXXII

(Krąg IX. Wieczne lody. 1. Kaina. Zdrajcy krewnych. 2. Antenora. Zdrajcy kraju rodzinnego.)

Gdybym miał dzikie, tak chrapliwe rymy,  
 Co by do ciemnej tej studni przystały,  
 Na której stoją wszystkie inne skały,

Wydałbym pełniej całą treść mej myśli;  
 Lecz gdy tej władzy w sobie nie widzimy,  
 Ważę się podnieść głos nie bez bojaźni.  
 Nie jest to zamiar jak gra wyobraźni  
 Wylęgły w głowie, co dno świata kreśli,  
 Nie czyn języka, co ledwo szczebioce.  
 Muzy, przyzywam ja wasze pomoce,  
 Dajcie mi skrzydła Amfijona lotu,  
 Aby nie niższy był wiersz od przedmiotu.  
 Mieszkańce miejsca, o przekłete duchy!  
 Które opisać słowami najtrudniej,  
 Czemu was owcze nie kryją kozuchy  
 W tym chłodnym świecie albo kozie puchy?  
 Gdyśmy już byli w zrębach ciemnej studni,  
 Daleko niżej jak stopy olbrzyma,  
 Zrąb jej wysoki gdym mierzył oczyma,  
 «Ostrożnie stąpaj!» ktoś rzekł tymi słowy,  
 «Abyś omijał stopą nasze głowy».  
 Spojrzałem za się, zdziwion nie po mału,  
 Zmarzłe jezioro leżało pode mną,  
 Lśniące jak szyba ogromna kryształu.  
 Nigdy tak grubym lodem się nie ścina  
 Niemiecki Dunaj lub północna Dźwina;  
 Gdyby Tabernik albo Pietrapiana  
 Spadły przypadkiem w tę otchłań podziemną,  
 Szyba tych lodów stałaby jak ściana.  
 Jak żaby skrzeczając wystają znad wody  
 W porze, gdy myśli żniwiarka o żniwie,  
 Tak cienie blade, skarżące płaczliwie,  
 W lód pogrążone sterczały nad lody  
 Pół twarzą, gdzie wstyd czerwieni jagody.  
 Z dzikim hałasem jak klekot bociani  
 Brzmiał zgrzyt ich zębów po całej otchłani;  
 Skrzeple ich usta wzrok ponuro toczy,  
 Smutek ich serca zdradzały ich oczy.  
 Gdy spojrzę na dół, pod moimi stopami  
 Dwa cienie z sobą zwarły się piersiami,  
 Aż czub ich włosów przytykał do czuba.  
 «Kto wy jesteście?» krzyknąłem. Wtem cienie  
 Ukośne ku mnie zwróciły spojrzenie,  
 Łzy, co w ich oczach przed chwilą pływały,  
 Spadły na rzęsy i chłodem stężały.  
 Silniej nie ściska deskę z deską śruba,  
 Jak potępieńcy zwarli czoła swoje;  
 Jak dwa rogami bodące się byki,  
 Tak gniew ich obu był wielki i dziki.  
 Cień, co od mrozu stracił uszu dwoje,  
 Schylając głowę rzekł do mnie łaskawie:  
 «Dlaczego na nas patrzysz tak ciekawie?  
 Chcesz wiedzieć, ci dwaj jakiego są rodu?  
 Gdzie zdrój Bisencjo wypływa, dolina,  
 Własność Albertich, ojczyzną ich była,  
 Taż sama, jedna matka ich rodziła.  
 Nie znajdziesz w całym tym kręgu Kaina  
 Godniejszych siedzieć w bryłach tego lodu:  
 Nawet ten, którym wzdryga się natura,  
 Na wylot włócznie przebity Artura,



Ani Kancelieri, ani Maskeroni.  
 Jeśliś Toskańczyk, musisz znać, kto oni.  
 O jeśli głos mój uszu twych nie kazi,  
 Wiedz, że ja jestem Kamerione z Pazzi,  
 Że oczekuję tu jeszcze Karlina!»  
 Widziałem potem z tysiąc innych twarzy,  
 Na pół skostniałych, zsiniałych od chłodu  
 Myśl jeszcze z dreszczem o tych lodach marzy!  
 Gdy ku środkowi szukamy przechodu,  
 Gdzie każda ciężkość ciąży swoim ciałem,  
 W tym wiecznym zmroku z przerażenia drżałem.  
 Nie wiem, przypadkiem czy wyższym zrządzeniem  
 Śród głów sterczących stawiać stopy z trwogą,  
 Jednemu na twarz nastąpiłem nogą.  
 «Za co mnie depczesz?» rzekł duch z bólu blady,  
 «Czy mścisz się na mnie Montaperto zdrady?»  
 «Czekaj mnie, mistrzu,» mówiłem z wzruszeniem;  
 «Chcę mą wątpliwość objaśnić z tym cieniem,  
 Potem, jak zechcesz, jam śpieszyć gotowy».  
 Wódz stanął, a jam wyzwał do rozmowy  
 Ducha, co bluźnił, nie szczędząc klątw długich:  
 «Powiedz, kto jesteś, ty, co fukasz drugich?»  
 — «Ty sam kto jesteś? Za co w Antenorze  
 Idąc, twe stopy drugich twarze depcą?  
 Za co naciskasz krokiem tak bolącym,  
 Za ciężkim, nawet gdybyś był żyjącym?»  
 — «Ja żyję,» rzekłem, «miło ci być może,  
 Gdy kochasz sławę lub wspomnienie skromne,  
 Wśród wielu imion twe imię przypomnę».  
 On na to: «Odejdź, natrętny pochlebco!  
 Pochlebne słowa, żal twego zachodu,  
 Nic nas nie grzeją na tych falach lodu».  
 Wziąwszy go za kark, rzekłem: «Jak cię zową?  
 Mów, bo wnet łysą zaświecisz mi głową».  
 — «Rwij włos, nie powiem tobie, jak się zowie,  
 Choćbyś sto razy deptał mi po głowie».  
 Za czub schwyciłem jego w mgnieniu oka  
 I wrywałem z czaszki włos garściami;  
 On słowa żadnej skargi nie wyrzucił,  
 Tylko wył dziko i oczy wywrócił.  
 Drugi cień krzyknął: «Co tobie, mój Bokka?  
 Ty wyjesz, nie dosyć ci zgrzytać zębami,  
 Jakiż cię dręczy szatan tak zawzięty?»  
 — «Teraz,» mówiłem, «milcz, zdrajco przekłety!  
 Abyś twe imię powiedział, nie proszę,  
 Sam je na wieczną twą hańbę ogłoszę».  
 A on: «Baj sobie, co masz na języku,  
 Lecz nie zapomnij, idąc z Antenory,  
 Tego, co język miał w mowie za skory;  
 Tu złoto Franków wtrąciło młokosa,  
 Możesz powiedzieć: widziałem Buosa  
 Tam, gdzie grzeszników jest w lodach bez liku.  
 Gdy, kto jest więcej, spytają i za co?  
 Patrz, oto stoi Bekeria ładaco  
 Któremu głowę Florencyja ścięła,  
 A trochę dalej: Gianni, Ganello,  
 Otwierający wrogom Tribaldello

Faencę, kiedy snem głuchym usnęła».  
Gdy z miejsc okropnych szukamy przechodu,  
Dwóch potępieńców ujrzałem w parowie,  
Wyższy niższemu głowę legł na głowie;  
A jak łakomie szarpiemy chleb z głodu,  
Tak on zatopił kły w ciało sąsiada,  
Tam kędy czaszka do barków przypada.  
Nie z takim gniewem Tydej zemstą ślepy  
Menalipowej głowy gryzł czerepy,  
Jak on swą zdobycz żuje i wysysa.  
«Człowieku,» rzekłem, «co paszczą tygrysa  
Mścisz się nad wroga nienawistną głową,  
Powiedz mi, jakie masz zemsty powody?  
A ja ci moją odpłacę wymową,  
Kiedyś, pomiędzy ziemskimi narody,  
Jeśli mnie Pan Bóg żywcem stąd wydzwignie,  
A język w ustach moich nie zastygnie».

## Pieśń XXXIII

(Krąg IX. 2. Antenora — ciąg dalszy. 3. Ptolomea. Zdraycy przyjaciół.)

Od strawy dzikiej oderwał paszczkę  
Ów potępieniec i krew z ust ocierał  
Włosami czaszki, której mózg pożerał.  
I mówi: «Srogą chcesz odnawiać mękę,  
Serce mi pęka, nim usta otwieram.  
Lecz gdy ze słów mych jak z nasion dojrzeje  
Hańba dla zdraycy, którego pożeram,  
Słuchaj, wypowiem, wypłaczę me dzieje.  
Nie wiem, kto jesteś, przez jaki cud nowy  
Zaszedłeś do nas, lecz po dźwięku mowy  
Poznaję w tobie Włocha, florentyna.  
Widzisz przed sobą hrabię Ugolina  
A ten, co teraz jest mej zemsty łupem,  
Zwał się Rudźieri, był arcybiskupem.  
Jak mnie w zdradzieckie usidlono słowa,  
Jak nieostrożnie wpadłem w jego ręce,  
Nie warto mówić, bo rzecz nie jest nowa.  
Lecz o mym zgonie, o mej strasznej męce,  
Jeśli nikt wieścią uszu twych nie skaził,  
Słuchaj i osądź, czy on mnie obraził.  
Jest w głębi wieży podziemna pieczara,  
Sławna mym zgonem; dziś może w niej jęczy  
Na nowo jaka niewinna ofiara.  
Tam okiem witym z żelaznych obręczy,  
Widziałem mnogich księżyców oblicze,  
Aż mnie raz we śnie przywidziana mara  
Zdarła przyszłości chmury tajemnicze.  
Przyśniło mi się, że biskup zawzięty  
Polował wilka z małymi wilczęty,  
Na owej górze, co wzniosłymi szranki  
Z pizańską ziemią i Lukką graniczy.  
Już chudą psiarnię zemkniono ze smyczy,  
Hrabia Gwalandi, Sismondi, Lanfranki

Szcząją na czele, zdobycz będzie łatwa:  
 Już wilk znużone zatrzymuje kroki,  
 Upada wreszcie i ojciec, i dziatwa:  
 I widzę kłami rozprute ich boki.  
 Budzę się! Jeszcze noc nie zeszła z nieba,  
 Już moje dziatki, współniki niewoli,  
 Szlochają przez sen i wołają: »chleba!«.  
 O! Jeśli dotąd serce ci nie boli,  
 Kiedy pomyślisz, co się we mnie działo  
 I co me serce nadal przeczuwało,  
 Jeśli nie płaczesz, któż ci łzy wycisnie?  
 Budzą się dzieci, wkrótce chwila błysnie,  
 W której nam zwykle udzielano strawy,  
 Lecz na sen pomnąc truchlałem z obawy.  
 Wtem z bram więzienia łoskot mnie doleci,  
 Zamurowano! — spojrzałem na dzieci,  
 Spojrzałem z niemej wyrazem rozpacz;  
 A w głębi serca czułem mróz jak w grobie.  
 Gwido mój mały wołał: »Co to znaczy,  
 Tak dziko patrzysz? Ojciec mój, co tobie?«  
 Nie mogłem mówić, ni łzy z oczu dostać,  
 Milczałem długo — aż do nocy końca.  
 Nazajutrz do nas zbłądził promyk słońca  
 I w twarzach dzieci ujrzałem mą postać.  
 Natenczas z bólu gryzłem obie ręce.  
 Synowie myśląc, że mnie głód tak pali,  
 Łamiąc rączęta ze łzami wołali:  
 »Ojciec kochany, ulżyj twojej męce,  
 Zjedz twoje dzieci, tyś nas ubrał w ciało,  
 Tobie nas biednych rozebrać przystało«. —  
 Musiałem milczeć i ból w sobie morzyć,  
 Wkrótce i mowa w ustach nam zamarła!  
 Jęczeć nie śmiałem, by dzieci nie trwożyć.  
 O ziemio, czemuś ty nas nie pożarła!  
 Weszło czwartego dnia światło zabójcze,  
 Anzelmek mały przywlekl się pod nogi  
 I przerażony wołał: »Ojciec drogi!  
 Ach! Czemu ty nas nie ratujesz, ojciec?«  
 Wołał i skonał! — Jak mnie tu widzicie,  
 Tak ja widziałem wszystkie dzieci moje  
 Jedno po drugim — wszystkich było troje,  
 Wszystkie u nóg mych zakończyły życie.  
 Od zwłok jednego do drugiego biegłem,  
 Ślepy na trupach potknąwszy się ległem.  
 Dzień jeszcze siódmy do słońca zachodu,  
 Krzychałem z żalu, a na koniec — z głodu,  
 Bo głód był jeszcze sroższy od żałości».

Skończył i dziko wywróciwszy oczy,  
 Na nowo usta w krwawą czaszkę broczy,  
 I jak pies zębem zgrzytając, rwie kości.  
 O Pizo! hańbo pięknej ziemi włoskiej,  
 Kędy *si* dźwięczy tak miękkimi głoski;  
 Gdy cię nie karzą leniwe sąsiady,  
 Niechaj się nagle wzruszą z swej posady  
 Sąsiednie wyspy, Kapraja, Gorgona,  
 Zahaczą Arnę, gdzie jej ujście kona;  
 Niech tak szeroko roztoczy swe tonie,

Aż wszystkich twoich mieszkańców pochłonie.  
 Bo jeśli wrogom Ugolino hrabia  
 Zdał twoje zamki i winien tej zdrady,  
 O nowe Teby! Cóż twa złość wyrabia?  
 Jakaż twą zemstę czarna pamięć szpeci,  
 Głodem niewinne morzyć jego dzieci!  
 Widziałem drugich potępieńców z bliska,  
 Jak lód ich swymi bryłami naciska;  
 Nie stali w lodach, lecz wznak wywrócen  
 Na lodowatej leżeli przestrzeni.  
 Tam łza zamarza w chwili, gdy wybłyska,  
 Boleść jak robak po ich wnętrzach toczy,  
 Bo jej nie mogą wypłakać przez oczy.  
 Jak hełm z kryształu, skrzepla łez powłoka  
 Kryje pod rzęsą całą wklęsłość oka.  
 Choć jak stwardniała z mrozu skóra muła  
 Twarz moja prawie stała się nieczuła,  
 Wiatr jakiś, czułem, obwiał moje ciało.  
 «Mistrzu mój,» rzekłem, «mów, co tu powiało?  
 Czy wiatr w tym chłodzie jeszcze nie zastygnął?»  
 — «Dowiesz się wkrótce, skąd wiatr aż tu śmignął,»  
 Mówił, «przyczynę gdy wzrok twój wysledzi,  
 Oko wyręczy głos mej odpowiedzi».  
 Z tych nieszczęśliwych jeden tymi słowy  
 Do nas przemówił z skorupy lodowej:  
 «Dusze uwięzłe w swego grzechu matni,  
 Który was wtrąca aż w ten krąg ostatni,  
 Zerwijcie z twarzy mej twardą zasłonę,  
 Ulżyjcie bólem serce przepełnione,  
 Niechaj wyleję choć jedną łzę ciepłą,  
 Bo już mi oko i serce zakrzepło».  
 A ja: «Chcesz, abym ulżył ci w cierpieniu,  
 Kto jesteś, nazwij siebie po imieniu;  
 Gdy nie usunę twoich łez przeszkodę,  
 Bodajbym w lodach tych na wieki siedział!»  
 «Brat Alberigo jestem» odpowiedział,  
 Zły owoc z mego wyrasta ogrodu  
 I tu za figę mam daktyl w nagrodę».  
 — «Czy już umarłeś?» rzekłem drżąc od chłodu,  
 A on: «Nic nie wiem, odkąd tu drętwieję,  
 Co z moim ciałem na świecie się dzieje.  
 Bo Ptolomea ma te przywileje,  
 Że często dusza wpada w nią niebacznie,  
 Nim Parka przędzę rwać dni naszych zacznie.  
 A gdybyś chętniej zdjął lód z moich powiek,  
 Wiedz, że gdy zdrady dopuści się człowiek,  
 Ciało dyjabłu odkazuje dusza,  
 Który nim rządzi, władza najzupełniej,  
 Nim się czas kary cielesnej wypełni;  
 Dusza zaś wpada aż w tę chłodną studnię.  
 Może wam jeszcze jawi się w swym ciele  
 Cień, co tu ze mną w tych lodach się rusza:  
 Patrz, Branka d'Oria! Już lat przeszło wiele,  
 Odkąd tu siedzi, wśród brył tego lodu;  
 Musiałeś kiedyś znać jego za młodu».  
 «Kłamiesz!» doń rzekłem «lub świadczysz obłudnie,  
 Bo Branka d'Oria nie umarł, on żyje

Jeszcze na ziemi, dobrze je i pije».  
On odpowiedział: «W jamie *Złych Tłumoków*,  
Tam gdzie widziałeś war smolnych potoków,  
Mógł jeszcze nie być cień Sanchy Michała  
W chwili, gdy Branka d'Oria szatanowi  
Ustał swego pomieszkanie ciała  
Jako wiernemu zdrady spółnikowi.  
Teraz gdym całą ufność w tobie złożył,  
Otwórz me oczy!» Jam ich nie otworzył,  
Bo względem jego nieszczerłość tą razą  
Nie była żadną szczerłości obrazą.  
Wrogi cnót wszystkich, o genuńczyki!  
Wstyd wam, pomiędzy takimi grzeszniki  
Jednego ziomka waszego spotkałem,  
Który, co czyny jego świadczyć muszą,  
Na dno Kocytu pogrążył się duszą,  
Gdy jeszcze życie kłamię swoim ciałem.

## Pieśń XXXIV

(Krąg IX. 4. Judekka. Najwięksi zdrajcy: Judasz, Brutus, Kasjusz, Szatan. Powrót do światła.)

«*Vexilla regis prodeunt inferni*  
Wprost ku nam! Jeśli widzisz za pomroką»  
Mistrz mówił, «patrzaj, wyteżaj twe oko».  
Kiedy noc naszą półsferę zaczerni  
Lub ciemny tuman przedmioty powleka,  
Myślim, że widzimy młyn wietrzny z daleka;  
Tak, zdało mi się, oko me postrzegło  
Stojącą jakąś budowę odległą.  
Wtenczas od wiatru szukając ochrony,  
Stałem za mym wodzem, bo zasłony  
Nie było innej; tam wśród wiecznej zimy,  
Już byłem w miejscu, gdzie cienie widziałem,  
A co z przestrachem wpisuję w te rymy  
Oblane lodem jak ździebło kryształem.  
Ten w lodach leży na wznak rozciągnięty.  
Ci prosto stoją, drudzy wspak na głowie,  
Ten łukiem twarz swą nagina do pięty.  
Gdyśmy do tyła zaszli w to pustkowie,  
Że już mojemu mistrzowi się zdało,  
Pokazać szpetne, niegdyś piękne ciało,  
Zwrócił się do mnie i mówił z powagą  
«Oto Lucyfer, oto krąg przeklęty!  
Teraz się cały uzbraja odwagą».  
Jakiem ja wtedy osłabnął i skołał,  
Mój czytelniku, zamilczeć bym wołał,  
Pod piórem moje zastygłoby słowo.  
Jeśli najmniejszy masz kwiat wyobraźni,  
Wyobraź sobie, jak dręczy i drażni  
Stan, w jakim całą duszą się zawarłem,  
Zda się, pół żyłem, na pół umarłem.  
Król piekielnego państwa jakby kawał  
Głazu nad lody pół piersią wystawał;

Jak wzrost mój dosyć ogromny, nie kłamię,  
 Tak wielkie było jego jedno ramię.  
 Zważ, jaka całość mogła być niemała,  
 Zastosowana do tej części ciała.  
 Jeśli tak piękny był, jak teraz szpetny,  
 Kiedy od Stwórcy odwrócił wzrok świetny,  
 Grzew, wszelki zakał musi iść od niego.  
 Dziw! Głowa jego kształtu potwornego,  
 Na trzech obliczach razem osadzona:  
 Pierwsza twarz była jako żar czerwona,  
 Dwie zaś policzkiem do pierwszej przypadły;  
 Obie na środku dwóch ramion usiadły,  
 Schodząc się z sobą aż pod wierzchem głowy;  
 Oblicze prawe białe-żółtej barwy,  
 Jaką mieszkanię dziwi nadnilowy.  
 Pod każdą twarzą tej potwornej larwy,  
 Jak z okrętowych żagli płachta jaka,  
 W miarę wielkości tak dziwnego ptaka,  
 Sterczą dwa skrzydła, lecz bez piór, bez pierza,  
 Całe skórzane jak u nietoperza.  
 I nieustannym swych skrzydeł trzepotem  
 Wiał na trzy strony trzy wiatry z łoskotem,  
 Od których marzły kocytowe lody.  
 Sześcioro oczu miał, z tych każde oko  
 Nie łzami, krwawą płakało posoką,  
 Która spływała jak łza na trzy brody.  
 I trzech grzeszników przeżuwał jak zwierze,  
 Każdego żuła osobna paszczęka,  
 Jako cierlica drze lniane paździerze.  
 Lecz ząb łagodniej kąsał porównany  
 Z szponami, jakie zadawały rany,  
 Zdało się, skóra aż do kości pęka.  
 «Duch, co największe bodaj cierpi męki.  
 Którego wewnątrz czarnej paszczy głowa,  
 A sam na zewnątrz jej nogami miota»  
 Mistrz mówił, «oto Judasz Iskariota!  
 Dwaj, co głowami zwisają z paszczęki,  
 Pierwszy to Brutus! choć ból rzeczywisty  
 Szarpie go, jednak milczy jak niemowa;  
 Drugi, patrz dobrze, to Kasjusz barczysty.  
 Noc już powraca, teraz czas iść dalej,  
 Bośmy już w piekle wszystko oglądali».  
 Jak chciał, jam jemu na szyi zawisnął.  
 W chwili, gdy potwór swe skrzydła roztacza,  
 Szybki jak piorun, co już spadł, nim błysnął.  
 Mistrz się uczeplił do boków kudłacza,  
 Z kudłów na kudły śliznął się pięściami,  
 Między ich runem spadał a lodami.  
 Gdyśmy już doszli do miejsca, o cudo!  
 Tam, gdzie pod biodra rozszerza się udo,  
 Mój wódz, jak gdyby wpadł na fortel nowy,  
 Gdzie były nogi, przewrócił wierzch głowy,  
 Piął się po kudłach, aż trzęsły mną dreszcze,  
 Myśląc, że nazad idę w piekło jeszcze.  
 «Trzymaj się dobrze, tą chyba drabiną»  
 Mówił wódz, dysząc z trudu i pośpiechu,  
 «Możemy zstąpić z tego gniazda grzechu».

I wkrótce wyszedł skały rozpadliną,  
 Stanął, odetchnął piersią i co żywo  
 Roztropną stopę podstawił, i na nią  
 Rad mnie wysadził nad samą otchłanią.  
 Podniosłem oczy i widziałem dziwo!  
 Wspak przewróconą postać Lucyfera,  
 Rzekłbyś, nogami w powietrze się wpiera.  
 Czy byłem w strachu, niechaj ludzie prości  
 Zgadną, co nigdy z takiej wysokości  
 Schodzić nie mogli! Gdym ochłonął z trwogi,  
 Mistrz mówił do mnie: «Teraz wstań na nogi;  
 Droga daleka, a ścieżki nużące,  
 Już gwiazdy nocne, wschodząc, płoszy słońce».  
 Tam droga, którą miałem iść na nowo,  
 Nie była prostą ulicą zamkową,  
 Raczej jaskinią, co ma wejście krzywe,  
 Ściany chropawe, a światło wątpliwe.  
 «Mistrzu mój,» rzekłem, «gdym wart twego względu,  
 O przemów do mnie, wyprowadź mnie z błędu,  
 Gdzie są te lody? Ich grubą powłoką  
 Jak tam Lucyfer zapadł tak głęboko?  
 I jak to słońce, szybkość niesłychana,  
 Przebiegło drogę od wczoraj do rana?»  
 A mistrz: «Myśl twoja jeszcze za punkt lata,  
 Gdzie stoi szczecią potwora kudłata,  
 Robak, co wierci i toczy rdzeń świata.  
 Ilem w dół schodził, byłeś tam o tyle,  
 Gdym się obrócił, przeszedłeś w tę chwilę  
 Punkt, do którego ze wszech stron zebrane  
 Wszystkie ciężary ciężą pociągane.  
 Ty pod półkulę zstąpiłeś z kolei,  
 Co przeciwległą jest względem Judei,  
 Wielkiej pustyni, wśród której oazy  
 Poczęty człowiek żył i zmarł bez zmazy.  
 Gdy tam jest wieczór, tu nam ranek świeci:  
 Ten, po którego szczeblowałem szczeci,  
 Jak stał, tak stoi wbity między lody.  
 Strącony, tędy snadź on z nieba spadał,  
 Łąd, co z tej strony pokazał się wprzód,  
 Ze strachu pasem otoczył się wody;  
 Od Lucyfera uciekając może,  
 Gdy bliżej naszej półkuli osiadał,  
 Zostawił tutaj to próżne wydroże.  
 Jest tam nieznane miejsce dla nas obu,  
 Stąd tak odległe, wzniesione wysoko,  
 Jak cały przestwór Belzebuba grobu.  
 Kędy jest, trudno go poznać na oko,  
 Chyba po szmerze małego strumyka,  
 Który otworem przez siebie wyrżniętym,  
 Środkiem tej skały swe fale pomyka,  
 Płynąc korytem pochyłym i krętym».  
 Wódz i ja w otwór wstąpiliśmy ciasny;  
 Zniecierpliwieni oglądać świat jasny,  
 Nic się nie troszcząc o trud naszej jazdy,  
 Szliśmy bez przerwy, on pierwszy, ja drugi;  
 Przez otwór błysły niebios piękne smugi,  
 W końcu wychodząc, witaliśmy gwiazdy.

# Czyścić

## Pieśń I

(Wstęp. Katon. Przygotowania. Wejście.)  
Do żeglowania przez weselsze wody  
Zwraca ster łódka mego geniusza,  
Straszne za sobą zostawiając brody.  
Chcę śpiewać drugie królestwo, gdzie dusza  
Czyści się z grzechu przed swym wniebowzięciem.  
Zmartwychwstań, pełna poezjo życia!  
O święte Muzy! gorącym zaklęciem  
Tu was przyzywam, ja, wasz od powicia!  
Niech Kaliope wtóruje mej pieśni,  
Głosem, co w rozpacz biedne wpędził sroki.  
Jasne wschodniego szafiru obłoki,  
Zlane z błękitem powietrznej przezroczy,  
Aż do najpierwszej sfery sięgającej,  
Oswobodzone z martwej piekiel cieśni,  
Rozweseliły moją pierś i oczy.  
Już piękna gwiazda, co w nas miłość budzi,  
Ryb w jej orszaku blask chłodno świecący  
Gasi; wschód cały w jej uśmiechu płonie.  
Ku drugiej osi gdy spojrzę na prawo,  
Samoczwart gwiazdy świeciły jaskrawo,  
Jakie widziała pierwsza para ludzi.  
W ich blasku niebios rozedniało błonie:  
Prawdziwieś wdowi, o septentryjonie,  
Boś pozbawiony widoku gwiazd takich!  
Gdym wzrok odrywał od tych gwiazd czworakich  
Ku innej osi, gdzie wóz gwiazdy zniknął,  
Patrzę, aż przy mnie starzec jeden stoi.  
Powagą ruchów, sędziwością lica  
Poszanowaniem dziwnym mnie przeniknął;  
Więcej by nie mógł czuć syn dla rodzica.  
Broda mu długa, jak włos głowy biała  
Dwoistą miotłą na piersi spadała,  
Blask, co od czterech świętych gwiazd się roi,  
Tak mi oświecił jego postać całą,  
Jakby już przed nim samo słońce stało.  
Starzec tak mówił, trzęsąc brodą białą:  
«Kto wy? i jak wy z wiecznego więzienia  
Uszliście ślepym korytem strumienia?  
Kto wam prostował, kto oświecał drogi?  
Jakaście śmieli przez wieczne ciemnoty  
Przestąpić piekiel zakazane progi?  
Czy już otchłani prawo jest złamanem,  
Że potępieni wchodzicie w me groty?»  
Wódz mi zalecał i gestem, i słowy,  
Abym go uczcił pochYLENIEM głowy,  
Spuszczonym wzrokiem i niższym kolanem.  
I mówił: «Ja tu nie jestem sam z siebie,  
Na prośbę pani mieszkającej w niebie



Stałem się jego przewodnikiem, sługą.  
 Chcesz, jam twej woli posłuszny poddany.  
 Skąd i jak idziem? mówić o tym długo.  
 Jeszcze nie dogasł jego dzień ostatni;  
 Lecz tak w swych błędów zawikłał się matni,  
 Że mu niewiele chwil życia zostało.  
 Jak wyżej rzekłem, byłem doń posłany,  
 Aby go zbawić; odtąd wciąż z nim chodzę:  
 Już potępionych widział tłuszcze całą,  
 Teraz chcę jemu pokazać po drodze  
 Tych, co się czyszczą tu pod twoją strażą.  
 Jak tu on zaszedł, słowa nie wyrażą;  
 Moc z góry wiodła nas przez to rozdroże,  
 Dość, że cię widzieć tu i słyszeć może.  
 Ułomna jego dusza, lecz szlachetna,  
 Szuka wolności, która jak jest miła,  
 Ty wiesz, boć dla niej śmierć gorzką nie była.  
 Świadczy Utyka twą oponą krwawą,  
 Która w dzień wielki zabłyśnie tak świetna!  
 Nieodwołane dla nas wieczne prawo,  
 On żyw, mnie Minos w swe kręgi nie tłoczy,  
 Ja jestem z kręgu, gdzie lśnią skromne oczy  
 Twej wiernej Marcji, której miłość cicha,  
 O święte serce! wciąż do ciebie wzdycha.  
 O! przez jej miłość błagamy z pokorą,  
 Pozwól nam zwiedzić twych królestw siedmioro,  
 Za co jej moje dziękczynienie zrobię,  
 Jeśli pozwolisz tam mówić o tobie».

On odpowiedział: „Tak oczyma memi  
 Marcję kochałem, pókim był na ziemi,  
 Że wszystkie łaski, ledwo pomyślała,  
 Co mieć pragnęła, już ode mnie miała.  
 Teraz gdy mieszka za rzeką jej dusza,  
 Za krańcem piekła, jej los mię nie wzrusza  
 Z powodu, który jest prawem dla cieni,  
 Odkąd wyszedłem z piekielnej przedsieni.  
 Jeśli szle ciebie Niebieska Królowa,  
 Po co te słodkie i pochlebne słowa?  
 Dość rzec jej rozkaz, a ja ci odpowiem.  
 Idź więc i wiotkim opasz go sitowiem,  
 Brud mu zmyj z twarzy, aby jak przystoi  
 Wszedł za aniołem do rajskich podwoi.  
 Jest mała wyspa, tam, tam, nieco w dali,  
 O której brzegi wciąż bije prąd fali,  
 Gdzie tylko rośnie sitowie i trzcina,  
 A grunt jej cały jest miękki i grząski.  
 Bo jakaż z twardą lodygą roślina  
 Ubrana w kruche liście i gałązki,  
 Przed szturmem wodnym gnie się i odgina?  
 Nie powracajcie, radzę wam, tą stroną,  
 W tej chwili oto, podnosząc się, słońce  
 Wskaże pod górę ścieżki mniej nużące,  
 Jej pochyłością łagodniej skłonioną».

Tak rzekł i zniknął: nic nie mówiąc wstałem  
 I w oczy wodza mojego spojrzałem.  
 Wódz rzekł: «Mój synu, posłuchaj mej rady,  
 Wracajmy nazad, a idź w moje ślady,

Bo tam, uważam, pochyłość tej błoni  
Aż do swych krańców wyraźnie się kloni».  
Ranną godzinę już gonila zorza,  
Z dala widziałem blask i drzenie morza.  
Płaszczyną pustą szliśmy nie bez trwogi,  
Jako podróżny szukający drogi.  
Widziałem rosę walczącą ze słońcem,  
Ta w cieniu góry skryta przed gorącym  
Parą nie mogła wznieść się ponad błonie.  
Mistrz mój na trawach złożył obie dłonie,  
Odgadłem zamysł i lżę, co przecieka  
Z duszy skruszonej przez oczy człowieka,  
Spłukane lic mych daję mu jagody.  
W ten czas mistrz krytą pod piekła zasłoną  
Ujrzał mej twarzy barwę przyrodzoną.  
I wnet przysliśmy nad brzeg pusty wody,  
Co nie widziała snadź nigdy żeglarzy,  
Którym powrócić na ziemię się marzy.  
Tam on stosownie do starca rozkazu  
Dla mnie ze trzciny pas zrobił do razu:  
O dziwo! trzcina znów rosła pozioma,  
Tam nawet, gdzie ją wyrwał rękoma.

## Pieśń II

(Oddział I. Przedczyściec. Przewoźnicy. Kassela.)

Słońce w pół drogi do swojego kresu,  
Już na sam zenit weszło południka,  
Pod którym święta Jeruzalem leży.  
Przeciwległymi noc idąca tory,  
Trzymając Wagę wychodzi z Gangesu,  
Lecz ta ku słońcu z jej rąk się wymyka:  
Przeto gdzie byłem, gdzie dzień błysnął biały,  
Ze zbytku wieku pięknej Aurory  
Biało-różowe jagody zżółkniały.  
Jeszcześmy stali wśród morskich wybrzeży,  
Jak ten, co myśląc o podróży swojej,  
Myślą już idzie, ciałem w miejscu stoi.  
Oto, jak ranna przybliża się zorza,  
Mars szczerwieniały zapada do morza  
Owiany mgłami, tak przez mgłę rozwisła  
Błysnęło światło: — oby jeszcze błysło!  
Nigdy tak szybko cień się nie prześlizgnie  
Od skrzydeł ptaka po wodnej płaszczyźnie.  
I nim zwróciłem oczy pytające  
Na mego mistrza, to światło wschodzące  
Ponad wodami rosło coraz wyżej;  
Naprzód zbiegały oba światła końce,  
Skąd potem inna białość błysła niżej.  
Mistrz stał w milczeniu z pochylonym czołem:  
Z pierwszej białości gdy skrzydła wybłyśły,  
Z drugiej gdy szata mignęła rozwiana,  
Poznał żeglarza po białej sukience  
I woła: «Kłękaj, padaj na kolana,

Patrz, boży anioł! składaj obie ręce,  
 Odtąd z niejednym spotkasz się aniołem.  
 Patrz, jak ludzkimi on gardzi przemysły,  
 Bez żaglu, wiosła, tylko skrzydeł dwoje,  
 A do tych brzegów płynie z tak daleka!  
 Prosto ku niebu wzniosł skrzydeł oboje,  
 Patrz, jakim piórem świeci przeźroczystym,  
 Krając powietrze pierzem wiekuistym,  
 Co się nie zmienia jako włos człowieka».

Już ptak niebieski, widzę, skrzydłem błyska,  
 Migoce ku nam piórami jasnemi,  
 Aż moje oczy, znieść nie mogąc z bliska  
 Takiego blasku, opadły ku ziemi.

On lekką łódką, co zdało się, chodzi  
 Po fal wierzchołkach, do brzegu się zbliża:  
 Niebieski sternik stał pełen wesela,  
 Na twarzy jego była wypisana  
 Zdaje się cała szczęśliwość niebiana!  
 Więcej sta duchów siedziało w tej łodzi.

*Kiedy z Egiptu szedł lud Izraela:*  
 Wszyscy społecznie, z zachwytu wyrazem  
 Ten psalm tak wzniosły śpiewali zarazem.  
 Anioł ich żegnał świętym znakiem krzyża,  
 Każdy co żywo do brzegu się kinał,  
 On jak przy płynął, tak, lekki, odpłynął:  
 Tłum wysadzony na brzeg przez anioła,  
 W przerwach ciekawie poglądał dokoła,  
 Jak ten, co widzi rzecz obcą wzrokowi.  
 Już słońce siało dzień po bożym świetle,  
 Słoneczna strzała trafnie celująca  
 Ze środka nieba Koziorożca strąca.  
 Z przybyłych duchów nas i ci, i owi  
 Podnosząc czoła zagadli rozmową:  
 «Droge do góry wskażcie nam, gdy wiecie».

I odpowiedział Wirgili w te słowo:  
 «Może myślicie, że to miejsce znamy  
 Jak wy, my obcy tutaj przybywamy,  
 Na chwil niewiele przyszedliśmy przed wami,  
 Tak nużącymi i złymi drogami,  
 Że tędy lubo znużeni bezdrożem,  
 Jakby igraszką dojść pod górę możemy».

Duchy spostrzegłszy po moim oddechu,  
 Że jak żyjący oddycham piersiami,  
 Zbladły zarazem, widząc rzecz tak dziwną!  
 Jak posła, gałąź gdy niesie oliwną,  
 Ciekawe tłumy jak wałem otoczą,  
 On co tchu śpieszy, lecz zamiast pospiechu  
 W nacisku zgrai nieraz krok zatrzyma;  
 Tak ciekawymi mierząc mnie oczyma,  
 Duchy wkoło mnie cisną się i tłoczą,  
 Zapominając drogi oczyszczenia.

Wystąpił jeden i ku mnie uprzejmie  
 Wyciąga ręce, zda się, że obejmie,  
 Chcę z nim zamienić moje uściśnienia.  
 O cienie! kształt wasz to mara znikoma,  
 Trzy razy chciałem go objąć rękoma,  
 Trzy razy próżne opadły na piersi.

Podziw snadź w mojej twarzy się malował,  
 Bo się uśmiechnął cień i cofnął kroku;  
 Widząc, że jeszcze jam za nim szlakował,  
 Abym stał w miejscu, ze słodyczą w oku  
 Rzekł do mnie — wtenczas, kto on był, poznałem,  
 By ze mną mówił, prosiłem z zapalem  
 I odpowiedział: «Gdzież są od nas szczerzi?  
 Ja kocham ciebie, tak jak niegdyś w ciele,  
 Niemniej i teraz wyzwolony z ciała,  
 Lecz gdzie i po co wędrujesz tą drogą?»  
 — «Ja, mój Kasselo, tu tylko przychodzę,  
 Abym, gdzie mieszkam, wypoczął po drodze;  
 Lecz ty gdzieś czasu zmarnował tak wiele?»  
 A on: «Stąd żadna krzywda się nie stała;  
 Ten, co w łódź bierze kiedy chce i kogo,  
 Długo spóźniając tu moją wędrówkę,  
 W sprawiedliwości miał woli wskazówkę.  
 Od trzech miesięcy on zbierał, zaiste,  
 Duchy tych, którzy przez modły strzeliste  
 Zstąpić tu chcieli z miłosierdziem bożem.  
 I mnie podobnie, gdy stałem nad morzem  
 W miejscu, gdzie z jego wodami się spotka,  
 Staje się słona fala Tybru słodka,  
 Jak najuprzejmiej zaprosił do łodzi.  
 Jeszcze on lata nad ujściem tybrowym,  
 Bo tam codziennie tłum się duchów schodzi,  
 Co nie zstępują na dno Acheronu».  
 A ja: «Jeśli tu rządzon prawem nowym,  
 Nie zapomniałeś miłosnej piosenki,  
 Jaką koileś mego serca męki  
 Po tyle razy, o pociesz jej nutą  
 Duszę w swym ciele troskami zatrutą!»  
 Cień jął pieśń śpiewać słowiczego tonu:  
 «Miłość, co mówi do mojego ducha»  
 Z taką słodyczą dla serca i ucha,  
 Jeszcze mi w duszy drży to jego pienie!  
 Mój wódz, ja, wszystkie obecne tam cienie,  
 Otoczyliśmy śpiewaka dokoła,  
 W stan zachwycenia pogrążeni błogi,  
 Zapominając celu naszej drogi.  
 Wtem stanął starzec szlachetny i woła:  
 «Leniwe duchy! jak wasz chód niespory,  
 Czy licha pieśni wstrzymuje was władza?  
 Śpieszcie pod górę, by pozbyć się kory,  
 Co Bogu wnikać w rdzeń waszą przeszkadza!»  
 A jak gołębie w porze zbożobrania,  
 Zapominając zwykłego gruchania,  
 Spokojnie żer swój biorą podle wioski;  
 Lecz gdy coś nagle ich w polu wystraszy,  
 Na trwogę w skrzydła uderzą od paszy,  
 Bo już ich kole bodzić większej troski:  
 W takim popłochu zatopione w śpiewie  
 Ku brzegom duchów śpieszyły gromady,  
 Jak ten, co bieży, ale gdzie? sam nie wie.  
 My niemniej spieszenie biegliśmy w ich ślady.

## Pieśń III

(Tacy, co umarli w klątwie kościelnej. Manfred.)  
Gdy uciekając w rozsypce przez pole,  
Znowu ku górze zwracały się cienie,  
Tam gdzie pociąga rozum naszą wolę;  
Ja się zbliżyłem do wodza wiernego,  
Czyżbym tę podróż mógł odbyć bez niego?  
On zda się czegoś żałował jak grzechu;  
O czysta duszo! jak lada zboczenie  
Goryczą bodzie twe czułe sumienie!  
Gdy zwolnił pochód nagłego pośpiechu,  
Co odejmuje ruchom ich powagę,  
Myśl moja śmielej zwróciła uwagę  
I oczy moje w stronę owej góry,  
Co szczytem w niebo wznosi się nad chmury.  
W czerwonym ogniu za mną słońce stało,  
Przedemną tylko swój promień łamało,  
Bo mu na wstręcie było moje ciało.  
Gdy tam mój jeden cień na ziemię padał,  
Myśląc, że byłem rzucony w pól drogi.  
Oczyrna za się obracałem z trwogi.  
Mój pocieszyciel, co mój przestrasz zbałał,  
Przemówił do mnie: «Co roisz w tej dobie?  
Myślisz, że, wódz twój, nie jestem przy tobie.  
Ciało me, którym cień słałem po polu,  
Gdzie teraz wieczór, leży w Neapolu.  
Jeśli przede mną cień teraz nie pada,  
Cóż za dziw, spojrzysz na niebios sklepienia,  
Gdzie jedno światło drugie nie zacienia.  
Jak ciała wasze, my treścią czującą  
Czuję podobnie ból, chłód i gorąco:  
Jak to się robi, Bóg nam odkryć nie chce.  
Głupi, którego rozum pycha łechce,  
Że nieskończoność tajemnicy zbada,  
Jak się treść jedna ze trzech osób składa.  
Rodzaju ludzki, przestań na twym *Quia*,  
Gdybyś mógł zbadać tajnie wszystkie nieba,  
O! czyżby była konieczna potrzeba,  
Aby przeczysta rodziła Maryja?  
Tak wielu żądza niezaspokojona  
Jest wiekuiłą karą ich żywota  
Wiekuiłego! To mówiąc, Platona  
Stoi mi w myśli duch i Arystota,  
I wielu innych». Mistrz zamilkł i czoło  
Schyliwszy w ziemię, patrzył niewesoło.  
Przyszliśmy w końcu pod góry podnoże,  
Widzim, że idąc przez jej skał bezdroże,  
Najszybsza stopa nic nam nie pomoże.  
Znane z dróg ciasnych genueskie skały  
Przy nich jak schody szerokie się zdały:  
Wstrzymując krok swój, mistrz ozwał się: «Kto tu  
Zgadnie, gdzie głaz ten swą pochyłość stoczy?  
Któż by śmiał iść tam bez skrzydeł do lotu?»  
Gdy mistrz, spuściwszy oczy w ziemię, stoi,

Z troską szukając drogi w myśli swojej,  
 A ja wzrok w głązy utkwilem sterczące:  
 Na lewo duchy spostrzegłem idące,  
 Schodziły ku nam, a jednak, o dziwo!  
 Zdało się, stały, snadź tak szły leniwo.  
 Mówię do mistrza: «Podnieś twoje oczy,  
 Patrz, oto rada schodzi nam w potrzebie,  
 Jeśli nie możesz jej wysnuć sam z siebie».  
 A mistrz spojrzawszy weselszą powieką,  
 Rzekł: «Z wolna idą, zachodźmy z ich strony,  
 Lepsza nadzieja błyska ci w tej chwili».  
 Duchy te były od nas tak daleko,  
 Choć z tysiąc kroków jużśmy zrobili,  
 Jak kamień ręką procnika rzucony.  
 Nad brzeg spadzisty tłum się duchów cisnął,  
 Stanął, jak gdyby na skale zawisnął.  
 «Wybrane duchy» przemówił Wirgili:  
 «Na słodki pokój zaklinam wezwaniem,  
 Które was wszystkich jest oczekiwaniem,  
 Mówcie, na górę kędy się dostaniem?  
 Gdzie spad pochywszy głazów i kamieni?  
 Smutno czas tracić temu, kto go ceni».  
 A jak gdy owce wychodzą z zagrody,  
 Jedna, dwie i trzy, a trzoda w tej chwili  
 Stoi nieśmiała, na dół głowy chyli,  
 Gdy pierwsza bieży, drugie lecą pędem,  
 Z przodu stojące naczekują rzędem,  
 Cierpliwie znosząc nacisk całej trzody:  
 Tak z tej gromady szczęśliwej biegł żwawo  
 Ku nam duch pierwszy, dość skromny postawą.  
 Lecz gdy spostrzegli, że ode mnie w prawo,  
 Jak od żyjącej w swym ciele istoty,  
 Łamiący światło cień wpadał do groty,  
 Za pierwszym ciżbą wstrzymali się całą,  
 Sami nie wiedząc, co się przed nim stało.  
 — «Choć niepytany, całe wasze grono  
 Ręczę mym słowem, cień, co się powleka  
 Po ziemi, to cień żywego człowieka.  
 Zamiast podziwu uwierzcie mi lepiej,  
 Snadź go w tej drodze moc niebieska krzepi»  
 Wódz rzekł; a duchów szlachetna gromada:  
 «Przodem przed nami idźcie!» odpowiada,  
 Dając nam znaki dłonią odwróconą.  
 Jeden duch do mnie rzekł słowami temi:  
 «Spojrzyj, przypomnij, znałeś mię na ziemi».  
 Spojrzałem, świecił włosami jasnymi,  
 W ruchach, w postawie zacność niepowszedna,  
 A kresą na wpół rozcięta brew jedna.  
 «Nie znam cię, panie!» odrzekłem z pokorą.  
 «Patrz!» tu na piersi wskazał ranę sporą,  
 Potem z uśmiechem mówił: «Od Manfreda  
 Pozdrów mą córkę, jak wrócisz na ziemię,  
 Matkę dwóch króli, jej królewskie plemię  
 Zna Sycylija, zna i Aragonia.  
 Prawda z ust twoich wieści skłamać nie da.  
 Gdy pierś mi przebił dwa razy miecz wroga,  
 Skonałem z wiarą w miłosierdzie Boga.

Grzech mój był wielki, lecz bożej dobroci  
Nieogarnione, tak wielkie ramiona  
Wszystkich obejmą, kto się do nich zwróci.  
Gdyby z Konsency pasterz przez papieża  
Wysłany proch mój polować jak zwierza,  
Chciał widzieć w Bogu twarz jego miłości,  
Dziś Benewentu szaniec przedmostowy  
Jeszcze by dźwigał mój pomnik grobowy.  
Teraz deszcz bieli, wiatr suszy me kości  
W dolinie Werdy, gdzie mnie najniegodniej  
Rzucił pod klątwą zgaszonych pochodni.  
Wygnałe klątwą miłosierdzie boże  
Powraca czasem, gdy nadzieja w duszy  
Jeszcze zielona i kwiat wydać może.  
Wprawdzie, kto w klątwie świętego kościoła  
Umiera, choć go żal na końcu skruszy,  
Dojść na wierzchołek tej skały nie zdoła:  
Odkąd go kościół od siebie odrzuci,  
Trzydzieści razy iść będzie i wróci,  
Jeśli modlitwa drogi mu nie skróci.  
Jeśli chcesz radość przywrócić mej twarzy,  
Objaśń mą córkę na wiarę pielgrzyma,  
Jak mię widziałeś i co mię tu trzyma.  
Bo tu modlitwa wasza wiele waży».

## Pieśń IV

(Tacy, co dopiero na łożu śmiertelnym pokutę czynili. Belakwa.)

Kiedy rozkoszy skutkiem czy boleści  
Jedna z władz naszych żywo się porusza,  
W tej władzy cała zatapia się dusza,  
Na inne zda się nie zwraca uwagi:  
Stan ten wewnętrzny wykrywa błąd nagi,  
Co w nas dusz tyle, ile władz jest, mieści.  
Gdy wzrok lub ucho łechcące przedmioty  
Pochłoną całą treść naszej istoty,  
Dla tej przyczyny czas, co nam ucieka,  
Niepostrzeżony mija dla człowieka.  
Bo z nich jest jedna władzą, która słucha,  
A druga trzyma całego nam ducha;  
Pierwsza jest jakby związana, ta wolna.  
Co rad sprawdziłem własnym doświadczeniem,  
Słuchając rozmów duchów z zachwyceniem.  
Już słońce stopni pięćdziesiąt ubiegło,  
A moje oko tego nie postrzegło,  
Aż gdy doszliśmy punktu, idąc z wolna,  
Gdzie duchy gronem całej swojej trzody  
Do nas wołały: «Oto wasze schody!»  
Wieśniak, gdy winne grona ściemni lato,  
Często nie szersze, ciernią rosochatą  
Przejdzie zamyka, jak między skałami  
Ścieżka, po której z mistrzem szliśmy sami,  
Gdy duchy w tyle zostały za nami.  
Skałę pod Noli, górę Bismantowa,

Przejść dla podróżnych pieszo rzecz nienowa  
 Ale tam lecieć trzeba było górą,  
 Mieć wielkiej żądz i skrzydło, i pióro,  
 By zdążyć za tym, co kojąc mą trwogę,  
 Budził nadzieję, torował mi drogę.  
 Wiódł nas jar wąski w skali rozszczepany,  
 Nas z każdej strony ściskały jej ściany.  
 Ścieżka dla stopy zbyt śliska i stroma  
 Radziła nogom pomagać rękoma.  
 Gdyśmy już byli na błoni odkrytem,  
 «Mistrzu mój,» rzekłem, «gdzie jest twoja droga?»  
 A on: «Niech kroku nie cofa twa noga;  
 Idź ciągle za mną, pod tej skały szczytem  
 Jak iść i kędy, dostaniem języka».  
 A tam szczyt skały obłoków dotyka,  
 Wierzchu jej oko nie doścignie, zda się:  
 Bok jej był prostszy niż narysowana  
 Od pół do środka linia na kompasie.  
 Mdlejąc od trudu krzyknąłem w zapale:  
 «Zwróć się, mój ojczy! patrz, drżą mi kolana!  
 Jeden zostanę, gdy nie wstrzymasz kroku».  
 — «Gdy iść nie możesz, czołgaj się po skale!»  
 Rzekł, głaz wskazując sterczący z jej boku.  
 Mistrz tak mię słowa polechtał ostrogą,  
 Że śladem za nim pod głaz przypełznąłem,  
 Głaz, co tę górę opasywał kołem.  
 Tam razem oba siedliśmy znużeni,  
 Skąd najpierw szliśmy na wschód obrócenie,  
 Bo szlak przebyty mierzyć okiem błogo!  
 Naprzód w dół, potem spojrzałem na słońce,  
 Blask z lewej strony na nas rzucające.  
 Wirgili widząc, żem się mocno zdziwił,  
 Że wóz słoneczny od nas tor swój skrzywił,  
 Schylony więcej pod biegun północy,  
 Rzekł: «Gdyby Kastor i Polluks był bliżej  
 I gdyby oba szli razem w orszaku  
 Tego zwierciadła wiekuistej mocy,  
 Co rzuca blask swój i wyżej, i niżej;  
 Widziałbyś cały okrąg zodyjaku  
 Zarumieniony blisko Niedźwiedzicy,  
 Gdyby nie zbaczał z swojej starej drogi.  
 Wyobraź sobie, chcąc pojąć te słowa,  
 Że święty Syjon i góra czyścowa,  
 Graniczą wspólną widnokregu miedzą,  
 Choć na półkulach różnych obie siedzą.  
 Tor Faetona, jak przez nieb rozłogi  
 Błądził wóz jego, mógłbyś w okolicy  
 Widzieć zarazem tej i drugiej góry,  
 Gdyby go oczom nie zakryły chmury,  
 Jeśli rzecz zgłębisz rozważy nieciasną».  
 — «Mistrzu, twój wykład jasności jest wzorem,  
 Czegom nie widział, widzę teraz jasno,  
 Że ten wyższego ruchu krąg środkowy,  
 Przez astronomów zwany ekwatozem,  
 Pomiedzy zimą wciąż krąży a słońcem.  
 I z tej przyczyny, co wiem z twojej mowy,  
 Krąży na północ od góry czyścowej,



Gdy od Hebreów ten krąg jest widziany  
 W stronie południa, co zieje gorącem.  
 Lecz jeśli łaska, wodzu mój kochany,  
 Mów, droga nasza jak idzie wysoko?  
 Wierzchu tej góry nie dościga oko».

A on: «Ma taką własność jej wyżyna:  
 Wstęp pierwszy po niej z trudem się poczyną,  
 Lecz idąc dalej w miarę trud ci zmniejszy.  
 Gdy krok twój rzeźwy poczujesz i lżejszy,  
 Gdy ci jej stromość zda się tak łagodną,  
 Że jako łódka pochyłością wodną,  
 Będziesz tak szybko śliznął się jej ścianą,  
 Natenczas staniesz u kresu twej drogi:  
 Tam ciebie czeka wypoczynek błogi,  
 A miej, co mówię, za rzecz nieklamana».

Mistrz kończył mówić, a wtem głos od razu  
 Od skał odbity te słowa wyrzucił:  
 «Siadźcie, znużonym odpocząć przystoi».

Widzę, na lewo sterczał kawał głazu,  
 Co zszedł z uwagi i mistrza, i mojej.  
 Gdyśmy tam przyszli, o, któż mi uwierzy,  
 Widziałem duchy, które w cieniu skały,  
 Wzdłuż wyciągnięte na głazie leżały,  
 Jak stać niechcący przez lenistwo leży.  
 Z nich jeden zgięty jak trzcina złamana,  
 Rękoma oba objąwszy kolana,  
 Siedział, trzymając na nich twarz schyloną.

«Mistrzu mój!» rzekłem: «daj jeden krok wsteczny  
 Patrz, ten duch więcej zda się być niedbały,  
 Niźby w lenistwie miał siostrę rodzoną».

Duch spojrzał na nas, wzrok ukosem toczy,  
 Niżej swych kolan podniósł na nas oczy  
 I rzekł: «Idź wyżej, jeśliś tak waleczny!»  
 Poznałem ducha, choć brakło oddechu  
 W znużonej piersi, podszedłem do niego;  
 Wtedy od kolan podniosła się głowa,  
 Leniwiec ledwo wyjąkał te słowa:

«Czy uważałeś, dlaczego tu łamie  
 Słońce swój promień o tve lewe ramię?»  
 Na gest, na słowa ducha leniwego  
 Przygryzłem usta skłoniłone do śmiechu.

«Belakwa!» rzekłem, «czy tu czekasz kogo?  
 Czy moc dawnego trzyma cię nałogu,  
 Że i tu tobie próżnować tak błogo?»

On: «Iść pod górę nie braknie mi woli,  
 Lecz do pokuty dojść mi nie pozwoli  
 Tam boży anioł siedzący na progu.  
 Za niebem tyle tu mi lat żyć trzeba,  
 Ile tam w życiu przeżyłem bez nieba.  
 Bo odłożyłem, lenistwem zatruty,  
 Na kres ostatni żal mojej pokuty.  
 Chyba, że serce tam w łasce żyjące,  
 Przyszle tu za mną modlitwy gorące;  
 Bo tu daremny pacierz mego ducha  
 Lub jaki inny, gdy niebo nie słucha».

Wirgili pnać się po skałach wysoko,  
 Wołał: «Chodź za mną, widzisz jak dotyka

Idące słońce łuku południka.  
A noc swym płaszczem nakrywa Maroko».

## Pieśń V

(Tacy, co w ostatniej chwili pragnęli łaski bożej, za późno. Kassero. Buonkonte.)

«Śpiesząc za wodzem rzuciłem te cienie,  
Gdy oto jeden palcem mnie wytyka,  
Wołając za mną, tak przerwał milczenie.  
«Patrzcie, na lewo od tego grzesznika  
Słońce się łamie i cień przed nim ściele,  
Jakby tu chodził jeszcze w żywym cielem».  
Na głos ten zwracam oczy i widziałem,  
Jak wszyscy na mnie patrzali w tej chwili  
I na złamane światło moim ciałem.  
«Co tak się troskasz?» rzekł do mnie Wirgili,  
«Czy tyle szeptów ich u ciebie ważą?  
Idź prędzej za mną, zostaw ich, niech gwarzą.  
Bądź jak ta wieża, którą nie zachwieje  
Wiatr, co wciąż po niej ślizgając się wieje:  
Bliski ujęcia cel wymyka z dłoni,  
Gdy w nas bezładnie myśl za myślą goni,  
Gwałtowność jednej osłabia myśl drugą».  
«Idę!» odrzekłem, nie myśląc zbyt długo,  
Twarz mi rumieniec lekki zapłomienia,  
Co robi wstyd nasz godnym przebaczenia.  
Wtem pochyłością góry nowe duchy  
Sunąc się rzędem, leniwymi ruchy,  
Wiersz w wiersz śpiewały idąc *Miserere*.  
Lecz gdy postrzegły żywą twarzy cerę,  
Promień o moje łamiący się ciało,  
Nie psalm, lecz jedno przeciągłe *O* brzmiało.  
Od nich jak posły dwaj ku nam bieżeli,  
Z dala wołając: «Mówcie, kto jesteście?»  
A mistrz: «Tym, co was posłali, odnieście,  
Że ciało jego jest prawdziwym ciałem.  
Jeśli, by jego cień widzieć, stanęli,  
Ja myślę, na to już odpowiedziałem.  
Lepiej niech cześć mu oddadzą w pokorze,  
Bo on dość droгим dla nich stać się może».  
Nigdy tak szybko w sierpniową noc jasną  
Z chmur meteory spadają i gasną,  
Jak te dwa duchy do swoich wrócili  
I do nas z swoją gromadą gonili,  
Jak jeźdźców rota, gdy naciera cwałem.  
Wirgili mówił: «Duchy całą rzeszą  
Snadź z jakąś prośbą do ciebie tak spieszą.  
Ty idź, a na głos mówiącego ducha  
Przechodząc tylko nadstawuj mu ucha.  
— «O! wstępujący na górę zbawienia,  
Z ciałem tym samym, coś wziął z urodzenia!»  
Wołali idąc, «zahamuj tu kroku,  
Może znajomych znajdziesz w tym natłoku,  
Od nich żyjącym chciej zanieść nowiny.

Gdzie to? o postój, nasz gościu jedyny!  
 Wszyscyśmy śmiercią gwałtowną pomarli,  
 Przy śmierci padła na grzeszników trwoga  
 I w blasku wiary oczyśmy zawarli.  
 I żałujący w przebaczeniu błogiem,  
 Wyszliśmy z życia już w pokoju z Bogiem,  
 I płoniem żądzą oglądania Boga!  
 — «Nie przypominam» rzekłem «was w tej dobie,  
 Szlachetne duchy! ale w waszym gronie  
 Kto chce, niech prosi, co mogę, ja zrobię.  
 W imię pokoju, co i mnie grzesznika  
 Ciągnie iść śladem tego przewodnika,  
 Za tym pokojem z świata w świat ja gonię!  
 — «O! bez zaklęcia my ufamy tobie» —  
 Mówił z nich jeden, «jeśli ci pozwoli  
 Możnaść wykonać czyn twej dobrej woli.  
 Gdy kiedy zwiedzisz me rodzinne strony,  
 Kraj położony w pobliżu Ankony,  
 Zechciej tam za mnie pomodlić się w Fano,  
 Abym zmył duszę grzechami zmazaną.  
 Jam się urodził w tym mieście, lecz rana,  
 Z której krew, co mnie żywiła, wylana,  
 W Antenorydzie była mi zadana.  
 Tam Este, w którym złość przeciw mnie wrzała  
 Więcej niżeli sprawiedliwość chciała,  
 W skok w pogoń za mną płatne wysłał zbiry.  
 O, gdybym uciekł w okolice Miry,  
 Byłbym tam jeszcze, gdzie pierś dysze sporo.  
 Przy Oryjako zagrzęziony w bagno  
 Padłem i z żył mych trysło krwi jezioro».  
 Drugi duch mówił: «Jak tve chęci pragną  
 Dojść co najprędzej na szczyt tej opoki,  
 Tak skróć modlitwą mój ucisk głęboki.  
 Jam Buonkonte, starszy syn Gwidona.  
 Lecz w Montefeltro ni Joanna żona,  
 Nikt się nie modli tam za mnie na ziemi,  
 Dlatego dotąd przebywam tu z niemi».  
 «Jakaż przygoda» rzekłem «niezgadniona  
 Z pól Kampaldino przeniosła twe łoże,  
 Że nikt twych kości wyszukać nie może?»  
 Duch mówił dalej: «U stóp Kasentinu,  
 Gdzie Archiano z śniegów Apeninu  
 Żywą krynicą spada przy klasztorze  
 I w falach Arna bezimienny ginie,  
 Przyszedłem z grotem uwieźlony w mej szyi  
 I tam, krwią z rany brocząc po dolinie,  
 Skonałem w ustach z imieniem Maryi.  
 Co powiem, odnieś ludziom prawdę całą;  
 Gdy ducha mego przyjął anioł boży,  
 »Ty mi go bierzesz?« tak szatan się sroży.  
 »Gdy duszę jedną odkupił łzą małą,  
 Do mnie należy jego trupie ciało».  
 Wiesz, gdy wilgotna mgła pierzchnie ku słońcu,  
 Owiana chłodem w podobłocznej sferze,  
 Na ziemię deszczem opada na końcu.  
 Ten, co obmyśla zło stale i szczerze,  
 Z pojętną wolą i na cudze szkody

W chmurach pobudza wichry, niepogody,  
 Ledwo dzień zagasł, był tam i ćmy czarne  
 Na Protomagno narzucił dolinę.  
 Z gór Apeninu ciemność się stoczyła,  
 Opadły chmury powodzią ciężarne,  
 To, czego sucha ziemia nie wypila,  
 Spłynęło w jary lub w jezior kotlinę.  
 Jak wielka rzeka strumień Archiano  
 Do rzek królowej biegł falą wezbraną,  
 Głazy i drzewa unosząc w swym biegu.  
 I skrzepły trup mój leżący przy brzegu,  
 Porwany leciał z powodzią w przegony:  
 Krzyż na mej piersi pobożnie złożony  
 W chwili, gdy boleść skonania uczułem,  
 Rozbiła fala; do Arna wrzucony,  
 Trup do dziś leży zasuty jej mułem».  
 — «Znużony trudem twej pielgrzymki długim,  
 Kiedy wypoczniesz wróciwszy na ziemię,»  
 Mówił duch trzeci z kolei po drugim,  
 «Chciej mię przypomnieć, jam Pia; w Sijenie  
 Jam urodzona, zginęłam w Maremie;  
 O czym wie dobrze, lat przedtem niewiele,  
 Ten, co ślubując mi wiarę w kościele,  
 Sam ze mną ślubne zamienił pierścienie».

## Pieśń VI

(Sordello. Poeta biada nad losem Italii.)  
 Gdy od gry w kości grono graczy wstaje,  
 Przegrani długo jeszcze poza stołem  
 Próbuja rzutów, z nachmurzonym czołem  
 Złorzecząc w myśli doświadczonej doli;  
 Lecz szczęśliwego tłum wkoło otacza:  
 Ten go spotyka, ten staje przy boku,  
 Ten się pamięci i łasce poleca;  
 On wszystkich słucha — temu dłoń podaje,  
 Na tego spojrz, temu coś obieca,  
 Ale jak może, umyka powoli:  
 Tak i ja byłem na kształt tego gracza,  
 I chcąc się z duchów wydostać natłoku,  
 Obietnicami ich prośby zbywałem.  
 Tam Beninkasa z Arezzo widziałem,  
 Co poległ z Dżina zuchwałego dłoni:  
 Tam był Cione, co sam wśród pogoni  
 Wroga spadł z konia i utonął w rzece.  
 Frydryk Novello błagał tak dalece,  
 Że mi z litości łzy musiały pociec.  
 Toż ów Pizańczyk, co go płacząc ojciec,  
 Pokorą wiary tak przemógł swe serce,  
 Że syna swego uściskał mordercę.  
 Tam hrabia Orso, który jak się skarży,  
 Zniósł kaźń nie z winy swojej, lecz z potwarzy,  
 Za co dziś ciężkie sumienia wyrzuty  
 Pani Brabantu koi w łzach pokuty.

Gdym się uwolnił od tych wszystkich, którzy  
 Prosili tylko, aby za nich prosić,  
 Iżby w tych miejscach nie cierpieli dłużej  
 I mogli wieczne osiągnąć wesele,  
 Rzekłem do mistrza: «Ucz mię, co mam wnosić?  
 Ile pamiętam, rzekłeś w twoim dziele,  
 Że prośba niebios wyroków nie wzrusza,  
 A tu mię o to każda prosi dusza.  
 Czyż więc nadzieja ich ma być daremna,  
 Czy tylko dla mnie myśl twa była ciemna?»  
 A mistrz mi na to: «I myśl moja jasna,  
 I ich nadzieja bynajmniej nie myli.  
 Rzecz tylko zdrowo rozważyć potrzeba.  
 Iści się bowiem, nie zmienia sąd nieba,  
 Gdy miłość za nich spełni w jednej chwili,  
 Co spełnić miała ich tu męka własna,  
 W owych zaś czasach, gdym ja myśl mą głosił,  
 Grzech nie mógł cudzym gładzić się pacierzem.  
 Bo i proszący, i ten, za kim prosił,  
 Nie byli z Bogiem złączeni przymierzem.  
 Lecz przestań zgłębiać myśli tajemnicze,  
 Aż ci to powie ta, której oblicze  
 I twój ci umysł, i prawdę rozjaśni,  
 Chcę mówić — aż cię spotka Beatrycze.  
 Ujrzysz ją wkrótce na szczycie tej góry,  
 Gdzie jako słońce wiosenne bez chmury,  
 Wieczną pogodą i weselem świeci».  
 — «O! wodzu!» rzekłem, «idźmy tam co skorzej,  
 Nic już nie czuję trudu, com czuł pierwiej,  
 A cień, jak widzę, dłużej od wzgórzy».  
 A mistrz: «Ujdziemy dziś, ile ująć możemy,  
 Bo chcąc czy nie chcąc iść musim bez przerwy,  
 Lecz snadź wprzód słońce zgaśnie za tym wzgórzem  
 I z drugiej strony znów wejdzie na nowo,  
 Nim dojść zdołamy na sam szczyt tej góry.  
 Lecz oto patrzaj! duch jakiś ponury,  
 Samotny, ku nam spogląda surowo.  
 On nam najbliższą wskazać może drogę».  
 — «Duchu lombardzki!» rzekłem — «ile mogę  
 Wnosić z twej twarzy i dumy w spojrzeniu,  
 Gdyś patrzył ku nam». — On na to ni słowa  
 Nie odrzekł wzajem i tylko w milczeniu  
 Spoglądał na mnie jak lew, gdy spoczywa.  
 Mistrz się też k'niemu zbliżył i odzywa  
 Pytając drogi, jeśliby ją wiedział.  
 Lecz on i na to nic nie odpowiedział  
 I twarz wciąż była dumna i surowa.  
 Aż sam nas w końcu spytał, ktośmy byli,  
 Z jakiego kraju i miasta. Wirgili  
 Zaczął: «Mantua...», lecz zaledwo zdołał  
 Wyrzec to słowo; ów duch nieznajomy  
 Porwał się z miejsca, gdzie stał nieruchomy,  
 Skoczył ku niemu: — «Mantua twym krajem?  
 Jam jest Sordello, twój ziomek!» zawołał  
 I obaj czule ściskali się wzajem.  
 O! Italio! kraju nieszczęśliwy!  
 Łodzi bez steru wśród burzy straszliwej!

Z królowej morza i ozdoby lądu,  
 Dziś niewolnico, gospodo nierządu!  
 Na samo imię kraju piękna dusza  
 Ściska się ziomka, współczuciem się wzrusza.  
 A żywi twoi synowie, choć siedzą  
 W społecznych murach lub granicząc miedzą  
 Chleb swój powszedni z jednej niwy jedzą,  
 Gryzą się wzajem obyczajem zwierza!  
 Rzuć tylko okiem w krąg twego nadbrzeża  
 A potem zajrzyj w głąb twojego łona!  
 Jest li w nim cząstka, co krwią niezbroczona?  
 I cóż ci nada, że dla cię wędzidło  
 Z mądrych praw swoich Justynian ukował,  
 Z praw, co świat bierze za wzór i prawidło,  
 Gdy nie masz jeźdźca, co by nim kierował?  
 O! gdybyś dobrze czuła i pojęła,  
 Co ci potrzeba i co Bóg ci mówi,  
 Sama cezara za pana byś wzięła!  
 A teraz, patrzaj, jako się narowi  
 Motłoch, nie czując lejca ni ostrogi.  
 Lecz ty Albrechcie, germański cesarze!  
 Ty, coś opuścił ten lud, co dziś z drogi  
 Zbacza bez ciebie: niebo cię ukarze  
 W następach twoich, żeś współ z twym ojcem  
 Łupem się tylko chcąc indziej spanoszyć,  
 Dozwolił wrogom piękny kraj spustoszyć,  
 Kraj, co był rajskim waszych państw ogrojcem.  
 Przyjdź i spójrz teraz, człowieku bez serca,  
 Spójrz na Montekich i na Kapuletów,  
 Na ród Monaldich i na Pilipisków,  
 Przyjdź twych przyjaciół bronić od sztyletów  
 I od publicznych ich krzywd i ucisków.  
 Patrz! jak bezpieczny rząd w Santafiorze!  
 Słuchaj! jak Roma we wdowiej żałobie  
 Dzień i noc płacze i woła ku tobie!  
 Jak wszędzie wszyscy kochają się z duszy!  
 A gdy już litość wzruszyć cię nie może,  
 Niech cię przynajmniej wstyd twej chwały wzruszy!  
 O! Zbawicielu świata! coś na ziemi  
 Umarł na krzyżu za nas! gdzież w tej porze  
 Snadź od nas oczy odwróciłeś boskie,  
 Dla grzechów naszych? Czy też tylko może  
 W przeznaczeń twoich głębi tajemniczej,  
 Której nie przejrzeć oczyma ludzkimi,  
 Dobro ze złego wywieść jest twym celem?  
 Że tak dopuszczasz, aby kraje włoskie  
 Gnietli tyrani! a lada stronnicy  
 Przewódca tłumu już był zwan Marcellem!  
 O! Florencyjo! tyś zapewne rada  
 Z tej mowy mojej! bo czyż ona tyczy  
 Ludu twojego — co tak pięknie gada!  
 Gdzie indziej czują sprawiedliwość w duszy,  
 Lecz w czynach tylko lub w radzie ją głoszą;  
 U ciebie wszyscy na ustach ją noszą,  
 Jeden drugiemu wciąż nią trąbi w uszy.  
 Gdzie indziej stronią urzędów publicznych,  
 Niepewni swoich czy sił, czy przymiotów:

U ciebie każdy na najwyższe gotów;  
Wszystko wie, umie, wszystkiego dokaże!  
Byle miał głosy wyborców ulicznych!  
Ciesz się więc, ciesz się, chęć się sama sobą,  
Ty tak cnotliwa, wierna i bogata!  
Czy prawdę mówię — skutek to okaże.  
Ateny, Sparta, te starego świata  
Prawodawczynie, cóż są obok z tobą,  
Co tyle nowych praw tworzysz bez liku  
I tak je cienko przedziesz w twojej radzie,  
Że coś zaledwo sprzedła w październiku,  
Jak nie pajęcza rwie się w listopadzie!  
Przypomnij tylko, na twoją zaletę,  
Ileś to razy zmieniła w tym czasie  
Prawa, zwyczaje, ubiór i monety;  
Sam twój rząd nowym wciąż jest — lub być zda się  
I jeśli jasno widzisz sama w sobie,  
Zaprawdę jesteś jak ów bliski śmierci,  
Co ulgi znaleźć nie może w chorobie,  
W łożu swym tylko miota się i wierci.

## Pieśń VII

(Tacy, którzy zajęci sprawami politycznymi zaniedbali pokuty. Łąka kwiecista.  
Rudolf i inni monarchowie.)

Gdy witające uściski, objęcia,  
Czule trzy, cztery razy powtórzyli,  
Sordello jednym w tył cofnął się krokiem,  
«Kto jesteś?» spytał z wzruszeniem głębokiem.  
— «Wprzódym nim dusze godne wniebowzięcia  
Na wierzch tej góry zaczęły wędrować,  
Oktawian Cezar kazał mnie pochować  
W uczciwym grobie; ja jestem Wirgili,»  
Mówił, «dla nieba umarłem na wieki,  
Nie z winy grzechu, lecz żem nie miał wiary».  
Jak ten, którego rzecz dziwna uderzy,  
Widzi i patrzy jak na widmo mary,  
Woła: jest, nie jest! na końcu uwierzy,  
Takim Sordello był w ciągu rozmowy;  
Podszedł, pokornie w dół spuścił powieki  
I Wirgiliusza objął za kolana,  
Jak gdy uściska sługa swego pana.  
— «Chlubo Latynów!» mówił, «skarbie nowy  
Siły, bogactwa, wdzięku naszej mowy,  
Mojej ojczyzny celu wiecznej cześci,  
Jakaż zasługa czy łaska sprawiła,  
Że oto witam poetę wielkiego!  
O! jeśliś godnym słyszeć cię w tej chwili,  
Mów, z piekła idziesz, i z kręgu jakiego?»  
«Przeszedłem tutaj,» tak mówił Wirgili:  
«A wciąż niebieska prowadzi mnie siła;  
Nie, żem co zdziałał, że nic nie zdziałiałem,  
Straciłem widok ogniska słońc Słońca,  
Za którym tęsknisz ty z takim zapalem,

A które z wieści za późno poznałem.  
 Jest miejsce smutne, nie męki bez końca,  
 Tylko ciemności, gdzie skargi, cierpienia  
 Nie brzmią jak jęki, lecz tchną jak westchnienia  
 Tam z niewinnymi mieszkam niemowlęty,  
 Którym zmaza ciała nie obmył chrzest święty:  
 Tam społem mieszkam z takimi istoty,  
 Co się w trzy święte nie ubrały cnoty,  
 Choć w innych cnotach ćwiczyły się pilnie.  
 Wskaż, jeśli możesz, błagam cię usilnie,  
 Kędy dojść prościej do czyścicowej bramy?»  
 A on: «My stałych tutaj miejsc nie mamy.  
 A wolno tylko posuwać nam nogę,  
 Tu w krąg i wyżej; wszędzie, gdzie iść mogę,  
 Jako przewodnik rad wskażę ci drogę.  
 Lecz patrz, dzień w swoim nachyla się biegu,  
 Iść tam wysoko i nocą nie radzę,  
 Lepiej pomyśleć o dobrym noclegu.  
 Tu od nas w prawo zebrane są duchy  
 W pustym ustroniu, kąt cichy i głuchy;  
 Jeśli się zgadzasz, do nich zaprowadzę,  
 A będziesz rad z ich uprzejmej gościny.  
 — «Jak to?» mistrz mówił, «czy w nocne godziny,  
 Nie wolno wchodzić na skał tych wyżynę?  
 Czy siłę traci w noc stopa idąca?»  
 Sordello wodząc swój palec po ziemi,  
 Rzekł: «Tu nie przejdiesz stopami twojami  
 Tej jednej kreski po zachodzie słońca.  
 Tutaj gdy ciemność tę górę okoli,  
 Niemożność iścia hamuje chęć woli.  
 Trudno iść nocą na same jej szczyty,  
 Póki widnokrąg dzień trzyma ukryty».  
 Natenczas mistrz mój jakby zadziwiony:  
 «Prowadź nas» mówił «do owej zachrony,  
 Gdzie nas ma spotkać uprzejma gościna».  
 I szliśmy; blisko leżała dolina,  
 Wkłęśłością swoją w bok skały werznięta.  
 «Tam krok wstrzymamy naszego pochodu,»  
 Duch rzekł, «tam będziem czekać słońca wschodu».  
 Wiodła nas ścieżka pochyła i kręta,  
 Schodząc w dolinę krańcem jej wybrzeży,  
 Złoto i srebro, rubinu czerwieni,  
 Szafiru barwa, blask szmaragdu świeży,  
 Zgasły wszech kruszców połysk i kamieni  
 Przy tej doliny kwiatach i zieleni;  
 Jak wszelka małość przy wielkości znika.  
 Nie tylko pędzel natury bogaty  
 Tę grootę w zioła malował i kwiaty;  
 Ziejąc tysiącem zapachów dolina  
 Nieznanych woni lubością przenika.  
 Widziałem duchy, pomiędzy kwiatami  
 Siedząc nuciły pieśń: *Salve Regina*.  
 «Wprzódym nim słońce zapadnie przed nami,»  
 Rzekł Mantuańczyk, który nas prowadził,  
 «Zstąpić tam do nich ja bym wam nie radził.  
 Tu z brzegu stojąc na tych skał urwisku,  
 Widzieć będziecie ich gesta i twarze



Lepiej niż w grocie, w ich tłumnym nacisku.  
Ten duch, co patrzeć sam na siebie każe,  
Siedząc najwyżej, troską sfrasowany,  
Co ust do chóru pieśni nie otwiera,  
Był cesarz Rudolf; Italiji rany  
Mógł jeszcze leczyć, z których dziś umiera:  
A teraz długi czas upłynie, długi,  
Nim ją do życia powróci kto drugi.  
Duch, którym Rudolf rad wzrok swój napawa,  
To był Ottokar, królewski wielmoża!  
A rządził krajem, skąd płynąc Mołdawa  
Wpada do Elby, a Elba do morza.  
On był od pieluch większym wojownikiem  
Niżli syn jego Wencesław brodaty,  
Co płodził nierząd ze swymi gamraty.  
Ten płaskonosy, co z dobrym Henrykiem  
Jakieś poufne prowadzi rozmowy,  
Umarł zmykając przed swym przeciwnikiem,  
Na wstyd i skazę liliji herbowej;  
Patrz, jak pierś tłucze z zgryzoty i bólu!  
Patrz, drugi wzdycha, i na pięść swej dłoni  
Jak na wezglowie skroń poważnie kloni;  
Widząc wcielone zło w Filipie królu,  
Nad każdym jego bolejąc złym czynem,  
Smucą się oba, ów zięciem, ten synem.  
Patrz, to Piotr mężny, Karol Orlonosy,  
Słuchaj, jak nucą pieśń zgodnymi głosy!  
Pierwszy był sławnym królem za żywota;  
Gdyby ten drugi młodzieniec od młodu  
Tron odziedziczył ojca, jeszcze cnota  
Szłaby bez przerwy od rodu do rodu.  
Jakub z Frydrykiem, drudzy spółdziedzice,  
Posiedli tylko ojcowskie stolice,  
Lecz przykład z ojca ich do cnót nie budzi:  
Tak chce sąd boży, rzadko prawość ludzi  
Ze szczepu nową latoroślą strzela,  
Bóg prawość tylko proszącym udziela.  
Choć Orlonosy, jak Piotr, co z nim śpiewa,  
Cześć otrzymali dobrego wspomnienia,  
Jednak Prowensał skarży, że z nasienia  
Jego tak wiele złych kłosów dojrzewa;  
Bo mąż Konstancji miał więcej zalety  
Niż Beatrycy mąż i Margarety.  
Patrz, skromny w życiu, a wielki na tronie,  
Angielski Henryk siedzi sam na stronie:  
Uradowany, że Anglicy wzrośli  
Pod cieniem godnej szczepu latorośli.  
A ten, co rzuca spojrzenie ponure,  
I siedząc niżej wznosi oczy w górę,  
To markgraf Wilhelm, po którego stracie,  
Spokojnych rządów płaczą w Montferracie.

## Pieśń VIII

(Wieczór w dolinie książęcej. Trzy gwiazdy. Wąż. Malaspina.)

Była godzina, w której żeglarzowi  
Tęsknota serca pamięć dnia odnowi,  
Gdy do przyjaciół mówi: Bądźcie zdrowi!  
Godzina, w której oko lży nie wstrzyma,  
Płynącej z duszy nowego pielgrzyma,  
Gdy dzwon wieczorny słyszy niespodzianie  
Smutnie dzwoniący jak na dnia skonanie:  
Gdy ja na śpiewy mało dając ucha,  
Spostrzegłem w tłumie stojącego ducha,  
Co dłonią błagał tłum o posłuchanie.  
Duch złożył, podniósł w górę ręce obie,  
Patrząc na wschód, jak gdyby w tej dobie  
Mówił do Boga: Tyś mój Pan na niebie!  
*Te lucis ante*, z jego ust pieśń brzmiała  
Pobożnie, taką słodką nutą wiała,  
Że myślą, duszą wyszedłem sam z siebie.  
Za nim tłum duchów całym chórem nucił  
Ten hymn i oczy na gwiazdy wyrzucił.  
Tu, czytelniku, utkwij w prawdę oczy,  
Zasłona lekka, przejrzyś w jej przeźroczy.  
Widziałem potem, ta duchów gromada,  
Myślą w pobożnym tonąc rozmyśłaniu,  
Patrzała w niebo; jak w oczekiwaniu  
Stała milcząca, pokorna i błada.  
A potem z góry do skalnych rozdołów,  
Dwóch zstępujących widziałem aniołów,  
Z dwoma mieczami, jak z ognia kowane,  
Tak płomieniste, lecz ostrza złamane.  
Jak liście w pączkach ich szaty zielone,  
Zielonym pierzem ich skrzydeł wzruszone  
Spływając z tyłu igrały z wiatrami.  
Jeden z nich stanął blisko ponad nami,  
A drugi zstąpił na brzeg przeciwległy.  
Tak stał tłum duchów między aniołami.  
Oczy włos jasny ich łatwo postrzegły,  
Lecz po ich twarzy zbłądziło spojrzenie,  
Jak siła słabnie przez swe natężenie.  
«Z Maryi kręgu,» rzekł Sordello, «oni  
Przychodzą trzymać straż wkoło tej błoni  
Od węża, który ma przyjść w okamgnieniu».  
Ja nic nie wiedząc, jaką przyjdzie drogą,  
Spojrzałem za się i skolały trwogą  
Na mistrza wiernym wsparłem się ramieniu.  
Znów rzekł Sordello: «Gdzie są duchy owe,  
Zejdźmy i z nimi zawiążem rozmowę;  
Tu ciebie widzieć będzie im przyjemnie».  
Zstąpiłem na dół trzy kroki, zda mi się,  
Gdy wtem duch jeden wpatrywał się we mnie,  
Snadź chciał mię poznać po twarzy zarysie.  
Już tam powietrze tonęło w swym ciemnie,  
Lecz jeszcze między jego a moim okiem,  
Dość przyświecało wątpliwym półzmrakiem.

I cień szedł do mnie, ja szedłem do cienia:  
 «Miło mi, Nino! nie w grzeszników rządzie,  
 Witaj tu ciebie, tak zacnego sędzie!»  
 Gdyśmy skończyli czule pozdrowienia,  
 On pytał: «Czy już czas upłynął długi,  
 Jak tu przybyłeś przez dalekie wody?»  
 — «Zaiste, szedłem przez smutne przechody,  
 Nim pod tą górą stanąłem o świcie.  
 Choć w sobie noszę jeszcze pierwsze życie,  
 Nabywam drugie wędrując tą drogą».  
 On i Sordello, ledwom odpowiedział,  
 W tył się cofnęli jak rażeni trwogą.  
 Jeden do mistrza zwrócił się, a drugi  
 Do ducha, który w głębi groty siedział.  
 «Chodź, patrz, Konradzie!» wołał, «co za dziwo!  
 Patrz, co Bóg zdziałał przez łaskę prawdziwą».  
 Potem rzekł do mnie: «Przez wdzięczność szczególną,  
 Coś winien Temu, który w tajemnicę  
 Tak dobrze ukrył swą arcykrynicę,  
 Że nam wprost do niej dojść samym nie wolno!  
 Gdy nazad morze przepłyniesz olbrzymie,  
 Powiedz mej córce, Joannie na imię,  
 Niechaj w tym miejscu za mną się przyczyni,  
 Gdzie wysłuchani są wszyscy niewinni.  
 Wątpię, jej matka czy jeszcze mnie kocha,  
 Wdowią zasłonę już zrzuciła płocha.  
 Przez nią wiem, ile kobiece kochanie  
 Trwać może, jeśli wzrok i dotykanie  
 Żaru jej uczuć często nie poddyma.  
 Znany herbowy wąż w Medyjolanie  
 Czy jej nagrobne okrasza marmury  
 Świetniej niżeli mój kogut z Gallury?»  
 Kiedy to mówił, czytałem oczyma  
 Prawą żarliwość z całej jego twarzy,  
 Co na dnie serca, miarkując się, żarzy.  
 Gdy wzrok mych oczu pod gwiazdy się wznosi.  
 Tam gdzie leniwiej po niebie się wloką,  
 Jak części koła najbliższe od osi.  
 Wódz mówił: «Co ty widzisz tam wysoko?»  
 A ja: «Poglądam na trzy światła spore,  
 Od których w ogniu cały biegun gore».  
 Mistrz: «Cztery gwiazdy, coś widział dziś rano,  
 Zstały niżej, jak idzie ich droga,  
 A te trzy weszły w kolej im wskazaną».  
 Sordello mistrza za rękę pociągnął,  
 Mówiąc: «Czy widzisz tam naszego wroga?»  
 I wskazujący doń palec wyciągnął.  
 W ujściu doliny jest małe wydroże,  
 Jak otwór w starym i nadgniłym drzewie  
 Na skroś otwarty, tam leżał wąż, może  
 Ten sam, co podał gorzki owoc Ewie.  
 I zły gad pełznął trawami, kwiatami,  
 Czasem na grzbiet swój błyszczący łuskami  
 Zawracał głowę, liżąc się jak zwierze,  
 Gdy chce językiem lizać swe pacierze.  
 Stojąc wylekły i prawie bez duchu,  
 Nie mogłem widzieć, a dziś nie wyrażę,

Jak się ruszyły te niebieskie strażę.  
 Lot ich odgadłszy po powietrza ruchu,  
 Gdy w nim szumiało ich zielone pierze,  
 Wąż uciekł w jamę, aniołowie potem  
 Na miejsce równym spuścili się lotem.  
 Cień, co się zbliżył do sędziego Nina,  
 Wciąż patrząc na mnie, tak mówić zaczyna:  
 «Pochodnia, co tu przyświeca twej doli,  
 Niech tyle wosku znajdzie w twojej woli,  
 Ile go tobie do światła potrzeba,  
 Wejść na tę górę, z tej góry do nieba.  
 Udziel mi, jeśli masz jakie nowiny  
 Znad Magry, byłem panem tej krainy,  
 Nazwisko moje Konrad Malaspina.  
 Kochałem krewnych bez ziemskiej zawiści,  
 Czułą miłością, która się tu czyści».  
 — «Kraj twój,» odrzekłem, «obcy dla mej stopy,  
 Lecz któż nie słyszał o nim wśród Europy?  
 Sława, przez którą dom się twój podnosi,  
 Rozgłasza panów i ziemię ich głosi,  
 Że kto tam nie był, już ją poznał z wieści:  
 Klnę się, jak pragnę wejść na wierzch tej góry,  
 Ród twój nie zbacza od dziedzicznej cześci,  
 Tej sławy, jaką winni twe naddziady  
 Hojnej kieszeni, hartowi swej szpady.  
 Taką moc nałóg ma dobrej natury,  
 Kiedy wódz świata złe daje przykłady,  
 Którymi ludzie obłąkać się mogą,  
 On idzie prosto i gardzi złą drogą».  
 A on: «Idź teraz, wprzód nim słońce z drogi  
 Siedm razy zejdzie pod Barana rogi,  
 To grzeczne zdanie z cukrowymi słowy  
 Większym ci ćwiekiem wbije się do głowy,  
 Jakie bądź kiedy z drugich ust wyjść może,  
 Jeśli się sądy nie zawieszą boże».

## Pieśń IX

(Dante we śnie przeniesiony przed bramę właściwego czyścica. Otrzymuje absolucję i wchodzi. Łucja. Siedem P.)  
 Starożytnego kochanka Tytona,  
 Uchodząc z objąć swego nałożnika,  
 Już białym rąbkiem w wschodniej wiała bramie:  
 Dyjamentami swe czoło natyka,  
 Na podobieństwo kształtu skorpiona,  
 Który ogonem jako żądłem bodzie.  
 Tam, gdzieśmy byli, już noc w swym pochodzie  
 Dała dwa kroki, a za trzecim krokiem  
 Z obwisłych skrzydeł potrząsała mrokiem.  
 Włócząc proch z sobą wzięty po Adamie,  
 Snem zwyciężony przyległem na trawie,  
 Gdzie nas samopieć siedziała drużyna.  
 Była to bliska przedświtów godzina,  
 Gdy smutnie kwilić jaskółka zaczyna,

Godzina, w której wyzwolony prawie  
 Duch nasz od ziemskich myśli, dziennej troski,  
 W swoich widzeniach jest nieledwo boski.  
 Widziałem we śnie, orzeł złotopióry  
 Wisiał pod niebem i skrzydła otwierał,  
 Jakby się spuścić na ziemię zabierał.  
 Zda się, tam byłem, skąd on niespodzianie  
 Wzniósł Ganimeda w niebieskie zebranie.  
 Myślałem sobie: może ten król ptaszy  
 W tym miejscu tylko rój lataczów straszy?  
 Wkrótce z łoskotem spadł jak piorun z chmury  
 I w sferę ognia uniósł mię zarazem:  
 Żar piekła mię jakby gorącym żelazem,  
 Aż sen mój cały znikł z swoim widziadłem.  
 Nie mniej Achilles drżał, gdy przebudzone  
 Oczy obracał w tę i ową stronę,  
 Kiedy śpiącego skradłszy od Chirona,  
 Na Scyros matki zanosły ramiona,  
 Gdzie jego bystre wysledziły Greki:  
 Jak ja zbudzony tam drżałem i zbladłem,  
 Gdy sen w popłochu pierzchnął z mej powieki.  
 Mój wódz ode mnie stał tam niedaleki.  
 Słońce już weszło od dwóch godzin może,  
 Zwrócony twarzą patrzałem na morze.  
 Mistrz mówił: «Hamuj próżne niepokoje,  
 Jużemy przyszli w bezpieczną ostoję.  
 Tu zbierz, wyteżaj wszystkie siły twoje.  
 Patrz, oto czyścić! wał, co go zamyka,  
 W skale otwiera drzwi dla podróżnika.  
 W chwili, gdy przedświt brzask dzienny spotyka,  
 Gdy w śnie na kwiatach twa dusza marzyła,  
 Przyszła niewiasta do mnie i mówiła:  
 »Jestem Łucyja, pozwól mi wziąć jego,  
 Ulżę mu drogi, zaniosę sennego«.  
 Sordello został wśród duchów gromady,  
 Ona szła wyżej, ja za nią w jej ślady.  
 Gdy dzień zaświtał, oto pod tym głazem  
 Złożyła ciebie niebieska istota,  
 Piękne jej oczy wskazały te wrota,  
 Ona i sen twój zniknęły zarazem».  
 Jak człowiek walką znużony wątpienia,  
 Gdy widzi prawdę, strach w pokój zamienia,  
 Tak się zmieniłem; gdym ochłonął z trwogi,  
 Wódz mię prowadził na wyższe skał progi.  
 Mój czytelniku, zwróć uwagę wcześniej,  
 Niech cię nie dziwi, że treść mojej pieśni  
 Podnosząc, do niej dostrajam jej nutę.  
 Podszedłszy bliżej, ciekawością ginę,  
 Zrazu widziałem jak w murze szczelinę,  
 Był to wprost otwór, drzwi w skale wykute:  
 Gdy mi wyraźniej odnosił wzrok wierny  
 Bliższe przedmioty, widziałem trzy stopnie,  
 Nad nimi siedział milczący odźwierny.  
 Patrzeć mu w oczy nie miałem odwagi,  
 A w jego rękę połyskał miecz nagi,  
 Odbitym blaskiem wzrok raził okropnie.  
 Niemy odźwierny przemówił nareszcie:

«Stąd gdzie stoicie, mówcie, kto jesteście?»  
 A mistrz: «Niewiasta, niebieska istota,  
 Nam powiedziała: idźcie, oto wrota!»  
 Odźwierny mówił łagodnymi słowy:  
 «Oby krzepiła ona wasze kroki,  
 Idźcie po stopniach tej mojej opoki!»  
 Szliśmy przez stopień pierwszy marmurowy,  
 Białe i gładkie, patrząc prostopadle,  
 W nim się przejrzałem cały jak w zwierciadle.  
 Drugi był z gładkiego ciemniejszego kamienia,  
 Jakby pożarem wzdłuż i w szerz rozkłuty.  
 Trzeci był, zda się, z porfirowej bryły,  
 Jak krew czerwona, gdy wytryska z żyły.  
 Ten odźwiernemu służył za podnóże,  
 Sam zaś na progu siedział z dyjamentu.  
 Promienny wieniec skroń jego okola,  
 Przez stopnie wiodła moja dobra wola.  
 Mistrz mówił: «Proś go, korzystaj z momentu,  
 Drzwi te otworzyć pokora ci może.  
 I do stóp świętych upadłem w pokorze.  
 Trzy razy w piersi uderzywszy moje,  
 Mówiąc «Przez litość otwórz te podwoje!»  
 On ostrzem miecza śmignąwszy w półkole,  
 Siedem *P* krwią mi wypisał na czole  
 I rzekł: «Tam idąc, zmaż wszystkie litery».  
 Jak popiół lub jak ziemia upalona  
 Podobnej barwy kryła go opona  
 I wnet dwa klucze dobył spod jej poły,  
 Jeden był złoty, drugi srebro-szczery.  
 Wprzód białym, w kolej żółtym wiercił zamek,  
 Aż drzwi wzruszone zaszczęły od klamek.  
 Czulem się w sobie rzeźwy i wesoły.  
 — «Jeden z tych kluczy gdy źle wierci piorem,»  
 On mówił, «drzwi te nie staną otworem:  
 Jeden z tych kluczy jest droższy, lecz drugi  
 Wymaga sztuki i nauki długiej,  
 Albowiem zamku sprężynę odgina.  
 Piotr mi je dając, tak mnie upomina:  
 »Lepiej z pomyłką otwieraj drzwi święte,  
 Niż gdybyś trzymał drzwi te wciąż zamknięte,  
 Niech tylko grzesznik do stóp mych upada«».  
 I pchnąwszy do środka drzwi święte, powiada:  
 «Idźcie! niech w posłuch pójdzie rada szczerza,  
 Ten już wstecz idzie, kto się w tył obziera».  
 Drzwi kute z twardych i dźwięcznych metali  
 Na swych wrzciędźkach skrzypnęły z łoskotem  
 Jak drzwi tarpejskie pod Cezara młotem,  
 Kiedy Metella od nich odegnali,  
 Aby wypróżnić skarb ładowany złotem.  
 Wehodząc, słyszałem, zda się, słodkie psalmy,  
 W kolej śpiewano: Ciebie, Boże, chwalmy!  
 Lecz psalm chór pieniem zagłuszał zmieszaniem  
 Jak gdy w kościelnej uroczystej ciszy  
 Grzmi pieśń swą nutę żeniącą z organem,  
 Raz ucho słyszy, to znów słów nie słyszy.

## Pieśń X

(Oddział II. Krąg I. Dumni.)

Kiedyśmy za próg już przeszli drzwi święte,  
Których tak rzadko próg otworem stoi,  
Z powodu ludzi złej woli, co roi,  
Że najprostszymi widzi drogi kręte,  
W ich dźwięku czułem, że były zamknięte.  
Gdybym tam do nich obrócił me oczy,  
Gdzież jest wymówka takiej winy godna?  
I szliśmy środkiem rozklutej opoki,  
Co nam z obu stron zwężała swe boki,  
To roztaczała jako fala wodna,  
Gdy o brzeg trąci, a potem odskoczy.  
«Tu» wódz rzekł «trzeba nieco użyć sztuki,  
Tam i sam szersze stopą kreśląc łuki,  
Idźmy, gdzie głębsze ma skała wydroże».  
Ta troska nasze tak spóźniła kroki,  
Że zachodzący księżyc o tej porze  
Już do snu głowę skłonił na swe łoże,  
Wprzód nim wyszliśmy z wąskiej rozpadliny.  
Lecz gdyśmy przyszli na plac otworzysty,  
Tam, gdzie ma góra bok więcej spłaszczony,  
Oba niepewni drogi, ja znużony,  
Staliśmy chwilę na jej płaskim sklepie,  
Pustym i dzikim jak droga na stepie.  
Z brzegu otchłani do wyższej drożyny,  
Która po skałach pięła się wysoko,  
Był plac jak na wzrost człowieka troisty;  
W lewo, na prawo, ile mogło oko  
Sięgać, widziałem, płaski głazu kawał  
Równoodlegle od skały wystawał.  
Wnętrzna z białego marmuru jej ściana  
Prosta, pod samo jej ostrze ściosana,  
Płaskorzeźbami wciąż była rzezana,  
Na wstyd arcydzieł natury i dłuta.  
Anioł, co zstąpił na ziemskie padole  
Z wieścią pokoju, którego wespoły  
Świat we łzach wzywał przez tak długie lata,  
A który niebo otworzył dla świata;  
Tam postać tego anioła wykuta  
Taką dyszała prawdą i naturą,  
Że się nie zdawał być niemą figurą,  
Każdy by przysiągł, że on mówił: *Ave*.  
Bo i Tej snycerz tam wyrzył postawę,  
Co wymodliła klucze, aby niemi  
Wszechmocną miłość otworzyć na ziemi,  
Tam wyraziły jej postać, jej lica,  
Odpowiedź: *Otom Pańska służebnica!*  
Wiernie jak pieczęć woskowa tablica.  
«Niech w jednym punkcie twoja myśl nie tonie,»  
Słodki mistrz mówił, mając mię na stronie,  
Tuż blisko siebie, gdzie nam serce bije.  
Podszedłem patrzeć, widziałem Maryję;  
Potem zachodząc z drugiej mistrza strony

Widziałem w rzeźbie drugą historję,  
 Z bliska w niej topiąc wzrok mój zachwycony.  
 Tam rydwan byków sprzężajem ciągniony  
 Wiózł arkę świętą; śmierć tego uderza,  
 Komu jej straży sam Bóg nie powierza.  
 Lud biegał tłumem przed arką przymierza,  
 Siedmiu chórami dwa mi zmysły klóci,  
 Między *Tak*, nuci, i *Nie*, on nie nuci.  
 I dym kadzidel w podobne złudzenie  
 Wtrącił dwa zmysły, wzrok i powonienie,  
 Taka w nim prawda była rzeczywista!  
 Od długiej sukni z połą zachyloną,  
 Wodząc rej tańca pokorny Psalmista  
 Przed ową urną biegł błogosławioną,  
 A był tam wyższym i niższym od kroli.  
 Z okien pałacu szydła twarz Micholi  
 Nań poglądała wzdłuż ulicy miasta,  
 Jak pełna wzdargi i smutku niewiasta.  
 Z miejsca, gdzie stałem, stopy oderwałem,  
 By bliżej widzieć historję nową,  
 W której utkwilem me oczy z zapalem.  
 Tam uwieczniony rzeźbą marmurową  
 Był ten, którego cnotami ujęty,  
 Z piekła wymodlił duszę Grzegorz święty  
 Imperatora rzymskiego Trajana.  
 Przy trzęzlu jego rumaka w żalobie  
 Stała tam wdowa łzami upłakana;  
 Cezar tłum wielki jeźdźców miał przy sobie,  
 A złote orły nad cezara głowę  
 Grały z wiatrami. Wdowa nieszczęśliwa  
 Wśród tłumu zda się w te słowa odzywa:  
 — «Zemścij się, panie, syna mi zabito,  
 Serce mi pęka». A cesarz: «Kobieto,  
 Czekaj, nim z wojny powrócę». A ona,  
 Jak ten, którego bodzie boleść żywa,  
 — «Jeśli nie wrócisz? umrę niezemszczona».  
 A on: «Namiestnik mój w imię cezara  
 Ukość twoją zemstę się postara».  
 A ona: «Dobro bez twojej zasługi  
 Spełni się, jeśli spełni je kto drugi».  
 On w końcu: «Biorę w posłuch twoją radę;  
 Abym powinność spełnił, nim odjadę,  
 Chce sprawiedliwość, wstrzymuje mię litość».  
 Ten, co przenika wszystkich rzeczy skrytość,  
 W usta ich wkładał te nam nowe słowa,  
 Bo gdzież na ziemi dziś jest taka mowa?  
 Podczas gdy wzrok mój nasycił łakomy  
 Wizerunkami tak wielkiej pokory.  
 Tym chętniej, gdy ich sztukmistrz nam znajomy,  
 Poeta szepnął: «Duchów korowody  
 Ciągną tu z dala, lecz ich krok niespory;  
 Oni na wyższe nas wprowadzą schody».  
 Wzrok mój nowości oglądania chciwy,  
 Oczy ku niemu zwrócił nieleniwy.  
 Zważ czytelniku raz jeden i drugi,  
 Jak z bożej woli tu płacą się długi.  
 Nie uważając na formę męczeństwa,



Myśl, jaka palma czeka ich zwycięstwa;  
 Że czas ich kary słusznej a koniecznej  
 Nie przejdzie kresu za sąd ostateczny.  
 Począłem: «Mistrzu, widzę cieniów ruchy,  
 Lecz wątpię, czy to rzeczywiste duchy,  
 Tak mi ich w oczach mgli się wizerunek».  
 Mistrz do mnie: «Ciężki ich kary warunek  
 Tak ich do ziemi nagina i tłoczy,  
 Że zrazu o nich zwątpiły me oczy.  
 Lecz patrzaj bystro, własnymi oczami  
 Poznasz te zgięte duchy pod głazami,  
 A sąd twój zgadnie mąk ich tajemnicę.  
 O dumni, nędzni, słabi chrześcijanie!  
 W których pojęcia tak mdły ogień świeci,  
 Jak błahe wasze w swój postęp ufanie.  
 Czyż nie widzicie, żeśmy gąsienice,  
 Poczwarki, z których lęgnie się i tworzy  
 Anielski motyl, motyl, który leci  
 Bezbronny na sąd, przed majestat boży.  
 Waszych rozumów na cóż ślepa buta  
 Zadziera głowę na obraz koguta,  
 Kiedy z was każdy jest płaz urodzony,  
 Robactwo, jego plód niedonoszony!  
 Jak zamiast gzymsów widzimy figury  
 Dach dźwigające wystają nad mury,  
 Gdy w skurczu z piersią stykając kolano,  
 Budzą w nas litość boleścią udaną,  
 Tak wykrzywione w postaci szkaradne,  
 Szły duchy, twarze ku ziemi zwiesiwszy:  
 Wprawdzie nierówno gład ich barki gniecie,  
 Podług ciężaru, co kto niósł na grzbiecie;  
 Jeden w swej męce bodaj najcierpliwszy,  
 Skarżąc, zdało się, mówił: «Ja upadnę!»

## Pieśń XI

(*Ojciec nasz. Malarz. Oderisi i inni.*)  
 «Ojciec nasz, niebem nieobjęty twojem,  
 Przez miłość, z jakąś ukochał głęboko  
 Pierwsze istoty, co są tam wysoko,  
 Święć się Twe imię przez wszelkie stworzenie,  
 Moc, mądrość Twoja przez ich dziękczynienie:  
 Przyjdź Twe Królestwo, gdy to z swym pokojem  
 Nie znijdzie do nas, nasz duch mdły, o Boże!  
 Sam doń o własnej sile dojść nie może.  
 Jak aniołowie ofiarę Ci w niebie  
 Robią z swej woli, śpiewając Hosannę,  
 Oby tak ludzie robili dla Ciebie!  
 Dziś nam, błagamy, daj powszechną mannę,  
 Bez której na tej pustyni żywota  
 Wstecz idzie, kto się więcej naprzód miota.  
 Jak winy drugich przebaczymy sami,  
 Ty na karb łaski policz nasze długi,  
 Przebacz, a nie patrz na nasze zasługi.

Spraw, nasza wola tak ułomna, oby  
 Starego wroga uniknęła próby!  
 Zbaw ją od złego, niech z pokus powstanie.  
 A tę ostatnią modlitwę, o Panie!  
 Nie mówim za nas, tu złe nas nie mami,  
 Lecz za tych, którzy zostali za nami».

Modląc się za się i za nas zarazem,  
 Szły duchy, każdy ugięty pod głazem,  
 Podobne temu, co w śnie marząc mniema,  
 Że dźwiga ciężar barkami obiema.  
 A idąc, mdlały z trudu i żałości,  
 W krąg pierwszym gymsem, co górę okola,  
 By się oczyścić z światowych ciemności.  
 Jeśli tam za nas modlą się tak szczerze,  
 Słusznie tu za nich ślać modły, pacierze,  
 Tym, których dobrą zasadę ma wola.  
 Trzeba im pomóc obmywać te plamy,  
 Jakie tam wszyscy ze świata wnaszamy;  
 Aby te dusze, już lekkie i czyste,  
 Mogły ulecieć pod kręgi gwiazdziste.

— «Prawo i łaska ulżą wam zaiste,  
 I wasze skrzydła lekkie, jako trzeba,  
 Podług żądz waszych wzniosą was do nieba.  
 Wskażcie, skąd prędzej na schody dojść można.  
 Gdzie ścieżka do nich jak najmniej bezdrożna.  
 Bo mój towarzysz wędrując tą skałą,  
 Ze krwi i kości Adamowe ciało  
 Dźwigając, za mną sunie krok powoli  
 Po złomach skał tych, mimo dobrej woli».

Zgodnie do wodza mojego przemowy,  
 Nie wiem, duch jaki odrzekł tymi słowy:  
 «Brzegiem na prawo wstępujcie tu z nami,  
 Znajdziecie przejście pomiędzy skałami,  
 Którędy może iść człowiek żyjący.  
 Gdyby nie kamień na barkach ciężący,  
 Co mi do ziemi twarz i czoło chyli,  
 Spojrzałbym, może poznałbym w tej chwili  
 Tego, co nie chce zwać się po imieniu,  
 By litość jego wzbudzić w mym cierpieniu.  
 Z możnych Toskanów ja byłem Latynem,  
 Aldobrandeska pierworodnym synem.  
 Nie wiem, czyś kiedy znał nasze nazwisko?  
 Z mych antenatów pełen próżnej chluby,  
 Wzbiłem się w pychę, a pycha nie wierzy,  
 Że pochodzimy ze wspólnej macierzy.  
 Gardziłem ludźmi, z nikim ani blisko,  
 Ta wgarda była przyczyną mej zguby.  
 Jak mię w Maremmie zabito zdradziecko,  
 W Kampognatiko powie lada dziecko.  
 Jestem Omberto, grzech mój w oczach stoi,  
 Pychą zgiąłem ja i wszyscy moi.  
 Za grzech ten ciężar zgina barki moje,  
 Aż nim tą karą Boga zaspokoję.  
 Czegom nie robił między żyjącymi,  
 Tu robię teraz między umarłymi».

Słuchając jego w dół zwiesiłem głowę.  
 Wtem drugi, nie ten, co uciał rozmowę,

Ledwo się zwrócić pod ciężarem zdołał,  
 Spojrzał, mnie poznał, po imieniu wołał,  
 Z męką trzymając wzrok we mnie utkwiony;  
 Szedł obok drugich cały pochylony.  
 — «Ty Oderisi?» rzekłem doń, «O, chlubo  
 Ziemi Urbino, jak cię witać lubo!  
 Zaszczycie sztuki pod nowym nazwaniem,  
 Co zwą w Paryżu: *illuminowaniem*».  
 — «Bracie» rzekł: «teraz Franczesko z Bolony  
 Kość, papier barwi w świetniejsze kolory.  
 On wieńcem chwały promienieje wszystkich,  
 Z której mi został ledwo mały listek.  
 W życiu do pochwał nie byłbym tak skory,  
 Bom chciał prześcignąć drugich pędzla prace;  
 Tej dumy cło tu pogrobowe płacę.  
 Byłaby jeszcze nie tu moja droga,  
 Gdybym się w końcu nie zwrócił do Boga.  
 O jakżeś marna, ludzkiej władzy chwało!  
 Roślino wiotka, z krasą krótkotrwałą,  
 Szybko zieloność z jej wierzchołka znika,  
 Gdy barbarzyństwa czasów nie dotyka.  
 Pierwszy z malarzy Cimabue, oto,  
 Blask jego sławy przygasza Giotto.  
 Tak Gwido wydarł drugiemu Gwidowi  
 Palmę nadania prawa językowi:  
 A może gdzieś już narodził się trzeci,  
 Co spędzi obu i w gniazdo ich wleci.  
 Bo rozgłos świata, to poświst wichrowy,  
 Który przychodzi z strony tej i owej,  
 Wiejąc imieniem raz tym, znowu innym.  
 O czybyś większą przyodział się chwałą,  
 Kładąc w grób wiekiem potyrane ciało,  
 Czy mrąc na ustach z szczebiotem dziecinny?  
 Mów, będziesz więcej mieć imię błyszczące,  
 Nim lat przeżyjesz jakie trzy tysiące?  
 Wiek ten z wiecznością porównany zda się  
 Krótszym niż jedno okamgnienie w czasie,  
 Do księżycowej porównane jazdy,  
 Na niebie bodaj najłeniwszej gwiazdy.  
 Ten, co krok ciężki sunie przez kamienie,  
 Wśród Włoch miał głośnie imię bohatera.  
 Dziś o nim ledwo kto wspomni w Sijenie.  
 Będąc jej władcą, syt świetnych wawrzynów,  
 Pod Montaperto pobił florentynów,  
 O których wtenczas tak dumną stolicę  
 Dzisiaj targ robią jak o nierządnicę.  
 O! wasza chwała to trawa zielona,  
 To, co jej barwę daje i odbiera,  
 Pod słońcem wzrosła, w słońcu upalona».  
 Ja na to: «Pełne prawdy twoje słowa  
 Szczepią w mym sercu niemałą pokorę,  
 Wielką mą pychę ty uniżasz w porę:  
 Kto on, o którym nadmienia twa mowa?»  
 — «To Prowencano! zwykły pychę błądzić,  
 Jak samodzierżca chciał Sijeną rządzić:  
 I odkąd jemu śmierć zamknęła oczy,  
 Bez odpoczynku jak kroczył, tak kroczy.

Taką monetą tu swe długi płaci  
 Ten, co za wiele śmiał wzniesć się nad braci».

A ja: «Jeżeli dochodzące duchy  
 Kresu dni swoich bez żalu i skruchy  
 Stoją na dole, iść wyżej nie mogą,  
 (Chyba zbawienne modły im pomogą,  
 Aż nim czas równy ich życiu upłynie,  
 Skądże mu wolno iść po tej wyżynie?»

«Za dni swej chwały» cień rzekł «on w Sijenie  
 Sam z dobrej woli na rynku przyklękał,  
 Żebrząc jałmużny, wstydu się nie lękał,  
 Aby wykupić więźnia przyjaciela,  
 Którego Karol więził od lat wiele,  
 I czuł w swych żyłach wszystkich pulsów drzenie!  
 Dość mówić o tym; ciemne są me słowa,  
 Lecz wkrótce myśl, co pod nimi się chowa,  
 Postępkiem ziomek twoich oświecony,  
 Ujrzysz wyraźnie spod tych słów zasłony.  
 Czyn ten wycofał z woli niebios Pana  
 Z krańców czyścicowych duszę Prowencana».

## Pieśń XII

(Ku kołu II. Obrazy u wyjścia. Anioł zdejmuje z czoła poety pierwsze P.)

Jak pług ciągnące woły równym ruchem,  
 Nim słodki mistrz mię nie ostrzegł słowami,  
 Krok w krok stąpałem z tym przygiętym duchem.  
 Lecz kiedy rzekł mi: «Rzuć go a idź dalej,  
 Bo tu jest dobrze żaglem i wiosłami  
 Gnać, ile można, swą łódkę po fali».

Wyprostowałem całe moje ciało,  
 Jako chcącemu iść prędzej przystało,  
 Choć myśli miałem przygięte w tej chwili:  
 I szliśmy szybko, ja i mistrz Wirgili,  
 Dowodząc oba, jak lekcyśmy byli!

W końcu rzekł do mnie: «Spuść na dół twe oczy,  
 A lżej ci będzie wędrować tą drogą,  
 Widząc grunt, jakim twoja stopa kroczy».

Jak nad sklepioną kościołów podłogą  
 Dla przedłużenia umarłych pamięci  
 Płaskorzeźbami wyrażają groby  
 Zeszyłych ze świata popiersia osoby;  
 Obraz ich w sercach pobożnych żal budzi,  
 Rozpamiętując pamięć zmarłych ludzi,  
 Często nam w oczach, aż łza się zakręci:  
 Tak droga między otchłanią i górą  
 Wzrok mój nęciła niejedną figurą,  
 A każda z stokroć większym życiem kuta  
 I podobieństwem podług sztuki dłuta.  
 Widziałem tego, co piękniej stworzony  
 Od wszystkich stworzeń, które z nim na głowę  
 Spadały z nieba jak skry piorunowe.  
 Tam Bryjareusz leżał z drugiej strony,  
 W pierś Jowiszowym grotom ugodzony;

Przytłaczał ziemię swoim skrzeplym ciałem.  
 Wokoło ojca stoją Mars, Pallada,  
 W ich rękę jeszcze broń tryumfu świeci,  
 Patrzę, jak olbrzym na proch się rozpada.  
 U stóp Babelu Nemroda widziałem,  
 Stał, poglądając jako obłąkany  
 Na tłum narodów w Sennarze zebrany.  
 Niobe! wzrok mi zabiegł łzą gorącą,  
 Pośród tej drogi widząc cię płaczącą  
 Między siedmiorgiem twych umarłych dzieci.  
 Saulu! tam własny miecz w twe piersi wbity,  
 Jak na Gilboe; odtąd gór tych szczyty  
 Schną niezwilżane ni rosą, ni deszczem.  
 Arachne! jak tam tyś wyszła i zwiędła!  
 Widziałem ciebie zmienioną w pająka,  
 Smutny po niciach twych się krosien błąka,  
 Któreś, niestety, na swą zgubę sprzędła.  
 Twój, Raboamie, strach mię wstrząsał dreszczem,  
 Gdy tam uciekasz jak zbieg w twym rydwanie,  
 Nim cię lud własny skazał na wygnanie.  
 Rznięta marmuru wyrażała szyba,  
 Jako Alkmeon własną matkę zmusza  
 Przyplacić drogo zgon Amfiarausza;  
 Jako synowie wściekli Sanheriba  
 W świątyni głowę ojcowi ucięli  
 I samotnego trupa odbieżeli;  
 Jak Asyryjczyk, gdzie go popłoch niesie,  
 Pierzchał po zgonie twym, Holofernesie!  
 I Cyrus dłutem był rznięty w marmurze,  
 Od Massagetów zabity królowej;  
 Ta zda się mówi do odciętej głowy:  
 «Tyś krwi łaknęła, we krwi cię zanurzę».  
 Widziałem Troję w gruzach i w popiele:  
 O Ilijonie dumny! jak niewiele  
 Miejscaś tam zajął w płaskorzeźby ramach,  
 W dymie twych gmachów i w skruszonych bramach.  
 Arcymistrz pędzla i dłuta do razu  
 Snadź tam malował i dłutował z głazu  
 Wszystkie postaci tak pełne wyrazu.  
 Żywi jak żywi, zmarli jak umarli,  
 Wszyscy się zdali, gdy ich depcąc nogą  
 Z schylonym czołem szedłem ową drogą.  
 Wy, coście w pysze swe głowy zadarli,  
 Synowie Ewy! nie zniżajcie czoła,  
 Idąc, niech дума, co was tak unasza,  
 Ujrzy na końcu, jak zła droga wasza!  
 Już wkoło góry uszliśmy niemało,  
 I słońce wyżej ponad nami stało,  
 Czego zajęty wzrok nie dostrzegł zgoła:  
 Kiedy idący ciągle wprzód tą skałą  
 Rzekł: «Podnieś głowę, a idź sporszym krokiem,  
 Patrz, oto ku nam idzie anioł gończy,  
 Szósta dnia sługa już swą służbę kończy.  
 Uczcij go całą osobą i wzrokiem,  
 Niech go z pokorą dusza twoja wita,  
 Myśl, że dzień taki więcej nie zaświta».  
 Nie ciemną dla mnie zdała się ta mowa,

Korzystaj z czasu, chciał rzec przez te słowa.  
 Biało odziana szła piękna istota,  
 Twarz jej jak gwiazda poranna migota.  
 Anioł otworzył ramiona, a potem  
 Wpół otworzonym powiał skrzydłem złotem,  
 Mówiąc: «Tu chodźcie, oto bliskie schody,  
 Tu oczyszczeni idą jak na gody».  
 Jak odpowiedzieć niewielu jest w stanie  
 Na tak urocze i święte wezwanie!  
 Przecz ludzie wzlatać tam wyżej stworzeni,  
 Spadają lada wiatrem potrąceni?  
 Anioł wprowadził nas w skały wydroże,  
 Przy wejściu skrzydłem uderzył mię w czoło;  
 I przyrzekł podróż lekką i wesołą.  
 Jak na tę górę stopa łatwiej wschodzi,  
 Gdzie święty kościół i krzyż, godło boże,  
 Nad florenckimi panują murami;  
 Bo ściana góry porznięta schodami,  
 W czasach szczęśliwszych, gdy obyczaj stary  
 Szanował wagi, rachunki i miary,  
 Tak się przez schody pochyłość łagodzi  
 Stoczona z kręgu drugiego opoki,  
 Choć ją z obu stron ściska głaz wysoki.  
 Gdyśmy wchodzili w skał ciasne wąwozy,  
 Z uroczych głosów zabrzmiał śpiew w mym uchu:  
*Błogosławieni są ubodzy w duchu.*  
 O jak te ścieżki różne od piekielnych!  
 Gdy tu wchodzimy wśród pieśni weselnych,  
 Tam pośród jęków i okrzyków zgrozy.  
 Ledwo wstąpiłem na te schody święte,  
 Zda się, że ciało było ze mnie zdjęte,  
 Stokroć lżej po nich szedłem niż płaszczyzną.  
 — «Mistrzu, mów, jaki tu ciężar spadł ze mnie,  
 Że mi tak lekko stąpać i przyjemnie?»  
 On odpowiedział: «Gdy skrzydło anioła  
 Wszystkie P w końcu zetrze z twego czoła,  
 W ślad dobrej woli stopy się poślizną,  
 Nie czując trudu, jaki teraz znoszą,  
 Im wyżej, z większą wstępując rozkoszą».  
 Na wzór rzecz jakąś na głowie niosących,  
 Którą, nie mogąc domyśleć się sami,  
 Podejrzewają z gestów przechodzących;  
 Domyśl co prędzej chcąc sprawdzić rękami,  
 Póty szukają, aż nim rąk ich czynność  
 Wypełni wiernie ich oczu powinność;  
 Zaraz do czoła sięgnąłem palcami,  
 I gdy znalazłem mniej jedną literą,  
 Jakimi anioł me czoło naznaczył,  
 Ten, co gest nowy zauważać raczył,  
 Wódz mój radością uśmiechnął się szczerą.

## Pieśń XIII

(Koło II. Zazdrośni. Sapia.)

Na wierzchu schodów byliśmy, gdzie skała  
 Drugim wypustem górę zamykała,  
 Kędy wstępując czyszczą się grzesznicy.  
 Tam jako pierwszy jest krąg wkoło góry,  
 Wzwyż podniesiony, bez żadnej różnicy,  
 Tylko łuk jego prędzej się zagina.  
 Tam płaskorzeźbą rzezane figury  
 Nie nęcą oczu, a oczu uwaga:  
 Brzeg równy, droga jednostajnie naga,  
 A barwa skał jej ołowianosina.  
 Wódz mówił: «Jeśli będziem czekać kogo,  
 Aby zapytać, jaką tu iść drogą,  
 Czas nazbyt długą zmitrzymy zwłoką».  
 Na koniec w słońce zatopił swe oko,  
 Środek swych ruchów wsparł na prawej nodze  
 I całą lewą obrócił się stroną.  
 «O słodkie światło! pod którym ja wchodzę  
 Na nową drogę z ufnością natchnioną,  
 Prowadź nas» mówił «tym kręgiem, jak trzeba.  
 Ty świat ogrzewasz i świecisz nam z nieba,  
 Jeśli przyczyna jaka nie zawadzi,  
 O! niech twój promień zawsze nas prowadzi».  
 Przestrzeń, co miłą zwą na tym padole,  
 Przeszliśmy szybko zbrojni w czynną wolę.  
 I oto czułem, jak ku nam bieżeli,  
 Bo nie widziałem, duchy czy anieli?  
 Mówiąc, wzywając uprzejmie, by społem  
 Ucztować z nimi za miłości stołem.  
 Głos pierwszy lecąc szeleścił słowami:  
*Vinum non habent* i przeszedł za nami,  
 Wtórzając te słowa jak dźwięk echa długi.  
 Nim ścichł, przechodził, wołając, głos drugi:  
 «Jam Orest!» i znikł jak pierwszy w tej chwili.  
 «Czyje to głosy, skąd ich echo leci?»  
 Gdym pytał, lecąc przemówił głos trzeci:  
 «Miłujcie bliźnich, co wam źle robili».  
 Dobry mistrz mówił z słodyczą oblicza:  
 «Krąg ten biczuje, smaga grzech zawiści,  
 Dlatego Miłość potrząsa sznur bicia.  
 Wędzidło grzechu dźwięk wydaje inny,  
 Dźwięk ten posłyszysz, gdzie tej zmaży winny  
 W pokucie duch się przebaczeniem czyści.  
 Teraz w tę stronę wyteżaj spojrzenie,  
 A ujrzysz duchy leżące na skale,  
 Każdy o ścianę jej leży oparty».  
 I czujne oczu podwoilem warty,  
 Patrzałem bystrzej i widziałem cienie,  
 Jak głąz sinymi okryte płaszciami.  
 Gdy coraz dalej i dalej stąpałem,  
 «Maryjo! módl się za nami!» słyszałem;  
 Potem wołali: «Pietrze i Michale!  
 I wszyscy święci, módlcie się za nami!»  
 Gdzieżby był człowiek tak zimnym kamieniem,  
 Co by się moim nie wzruszył widzeniem?  
 Bo gdy patrzałem z bliska na te duchy,  
 Widząc wyraźniej ich rysy i ruchy,  
 Z boleści łzą mi nabiegła źrenica.

Ciało ich kryła licha włosienica,  
 Jeden na drugim opierał mdłe ciało,  
 A wszyscy byli podpierani skałą.  
 Jak ślepi co dzień łaknąc manny z nieba,  
 Siedzą przy kruchcie i wołają: chleba,  
 Jeden na drugim zwisłą głowę trzyma;  
 By litość w sercu poruszyć człowieka,  
 Żebrzą nie tylko słowem, lecz oczyma,  
 Gdzie jej skra niemniej żywe ognie nieci;  
 A jako słońce dla ślepych nie świeci  
 Równie tym ceniom, o których się mówi,  
 Niebo odmawia światła ich wzrokowi.  
 Cieniów tych drutem sposzyta powieka,  
 Jako dzikiemu robią sokołowi,  
 Gdy niepowolny na łowca wołania.  
 Myśląc, że drugim obelgę zadaję,  
 Widząc ich, od nich niewidziani wzajem,  
 Stałem twarzą wprost do poradnika.  
 On, co chcę mówić, gdy milczę, przenika,  
 Rzekł, nie czekając mojego pytania:  
 «Mów, lecz twe słowa w trzeźwe ujmij pęta».  
 Wirgili z wolna szedł z tej strony drogą,  
 Skąd łatwo w przepaść uśliznąć się nogą,  
 Bo droga żadnym zrębem niezamknięta.  
 A cienie zaś z drugiej były strony,  
 Tak ich bolało drucziane sposzycie,  
 Że łyż z ich oczu lały się obficie.  
 — «O! pewni» rzekłem do nich obrócony,  
 «Oglądać światłość wiekuiście boską,  
 Co waszej żądz jedyną jest troską!  
 Niech Łaska na karb drugiego cierpienia  
 Rozproszy męty waszego sumienia.  
 O, niechaj przez nią waszych myśli rzeka,  
 Czysta i jasna jako źródło przecieka!  
 Mówcie (czym rozkosz sprawicie mi wielką),  
 Czy między wami spotkam duszę włoską?  
 Bo widok ziomka współczucie w nas wzrusza».  
 — «Bracie! z nas każda jest obywatelką  
 Bożego miasta; chcesz mówić, czy dusza  
 Jest między nami, która od powicia  
 Wśród Włoch odbyła swą pielgrzymkę życia?»  
 Taką odpowiedź słyszeć mi się zdało.  
 Trochę wprzód, w miejscu nie nazbyt odległym,  
 Tym więcej prawdę jej uczułem całą.  
 Widziałem, jeden z tłumu, co tam siedzi,  
 Zdawał się czekać mojej odpowiedzi.  
 Gdy kto zapyta, po czym to postrzegłem,  
 On stał jak ślepy z podniesioną brodą.  
 «Duchu,» mówiłem «co z tą ślepą trzodą  
 Sam się poniżasz, abyś wyżej siedział,  
 Jeśli tym jesteś, co mi odpowiedział,  
 Mów, jaki kraj twój, jakie twoje miano?»  
 — «Byłam Sienką,» niewiasta odrzekła:  
 «Brud mego życia tu czyszczę z drugimi,  
 Żebrząc o Łaskę łzami gorącymi.  
 Byłam niemądrą, choć *Sapią* mię zwano.  
 W nieszczęściu drugich czułam radość piekła,



Gdybyś nie myślał, że ja ciebie zwodzę,  
 Słuchaj, zawiścią jak szalałam srodze!  
 Już łuk dni moich zniżał się powoli,  
 Wtenczas, gdy moi ziomkowie przy Kolii  
 Stanęli zbrojno wobec swego wroga;  
 Prosiłam o to, co Bóg chciał, u Boga;  
 Za danym hasłem gdy bitwę zaczęli,  
 Nasi złamani wśród bitwy pierzchnęli,  
 Gnani w ucieczce; widząc takie łowy,  
 Z radości szal mię opanował nowy:  
 Wołałam wodząc oczyma po niebie,  
 »Teraz, o Boże, nie lękam się ciebie!«  
 Tak kos zdradzony ciepłym dniem zimowym,  
 Śpiewa, nie myśląc o zamrozie nowym.  
 Przy schyłku życia nad grobowym progiem,  
 Chciałam w pokoju pojednać się z Bogiem:  
 Jeszcze by dług mój nie zmniejszył się może  
 Pokutą, gdyby nie Piotr Petinagno,  
 Który litością nad mym grzechem zdjęty,  
 Codziennie wołał na modlitwie świętej:  
 »O, nad grzesznicą ulituj się, Boże!«  
 Lecz skąd twe chęci tak nas badać pragną?  
 Kto jesteś? zda się otwarte masz oczy,  
 Gdy mówisz, głos twój pełny i uroczy».  
 »Oczy me» rzekłem «tu poszyją druty,  
 Lecz nie na długo; bo każń tej pokuty  
 Prędko mą duszę z tej skazy oczyści,  
 Mało zgrzeszyłem spojrzeniem zawiści.  
 Więcej mnie trwoży tu, pod tą opoką  
 Noszących wielkie ciężary katusza,  
 Jak one ciężą, czuje moja dusza».  
 Duch: «Kto wprowadził ciebie tak wysoko,  
 Ciesząc powrotu wiarą nadaremna?»  
 Ja: «Ten, co milczy i stoi tu ze mną.  
 Ja żyję, naucz mię, duchu wybrany,  
 Czy chcesz, bym jeszcze stopy śmiertelnemi  
 Zwiedził dla ciebie twój kraj ukochany?»  
 Duch rzekł: «To słyszeć dla mnie rzecz tak nowa,  
 Widać, że ciebie Bóg w swej łasce chowa;  
 Więc mi dopomóż modlitwą na ziemi.  
 Na święte imię zaklinam cię Pańskie,  
 Gdy kiedy wstąpisz na ziemie tokańskie,  
 Chciej przed moimi oczyścić mię z brudu.  
 Tam ich zobaczysz wśród próżnego ludu,  
 Co swe nadzieje wiatrami karmione  
 Utkwił jak kotew w porcie Talemone.  
 Więcej on straci, jak ci, co szukali  
 Dyjany w piasku zagrzebanej fali;  
 Lecz jeszcze więcej stracą admirałi».

## Pieśń XIV

(Gwido del Duka i Renier de Kalboli. Przeciw Florencji i Pizie.)

«Nie wiesz, kto wkoło naszej góry kroczy,  
 Wprzód nim śmierć jemu dała polot chyży,  
 Co jak chce, mruży i otwiera oczy?»  
 «Wiem, że tu idą jacyś dwaj przychodnie;  
 Kto on, ja nie wiem: ty, co stoisz bliżej,  
 Aby rad odrzekł, zapytaj łagodnie».  
 Tak wsparte jeden na drugim dwa duchy,  
 Ode mnie w prawo między sobą gwarzą.  
 Jeden z nich bliższy, z podniesioną twarzą,  
 Rzekł do mnie: «Duchu, co w ciele zamknięty  
 Idziesz ku niebu jak wpół wniebowzięty,  
 Pociesz nas, nie bądź naszym prośbom głuchy,  
 Mów, skąd i ktoś jest? widna łaska boża,  
 Jaka twą duszę w tobie uwielmoża,  
 O tyle sobą nas tu zachwyciła,  
 Jak chce rzecz nowa, co nigdy nie była».  
 A ja: «Przez środek Toskaniji płynie  
 Niewielka rzeka, co krynica małą  
 Ledwo się sączy z góry Falterona,  
 A stumilowym ujściem nieznużona.  
 Przy jej wybrzeżu oblokłem się w ciało.  
 Mówiąc, kto jestem, rzekłbym słowa marne,  
 Bo imię moje jeszcze dość nie słyńie».  
 Duch odpowiedział, ten co pierwszy pytał:  
 «Jeślim rozmowy twojej myśl wyczytał,  
 Pod jej zasłoną widzę rzekę Arnę».  
 A drugi rzekł doń: «Dlaczego nazwisko  
 Ukrył tej rzeki jak na pośmiewisko?»  
 Cień zagadnięty na to odparł żywo:  
 «Nie wiem, lecz żadne nie będzie w tym dziwo,  
 Gdy takiej rzeki nazwisko zaginie.  
 Bo od jej źródła, kędy Apeniny,  
 Od których morzem odcięte Peloro,  
 Toną w powietrzu jako obłok siny,  
 Aż do jej kresu, gdzie powraca szkody  
 Zrządzone morzu przez ubytek wody,  
 Jaką zeń chmury w dni słoneczne biorą,  
 Wszyscy od cnoty stronią jak od węża,  
 Tak lud w tym kraju zły nałóg zwycięża!  
 Tam ludzie tak swą naturę zmienili,  
 Jakby się Cyrcy karmią utuczyli.  
 Pośród tych wieprzów, o wspomnieć bolesno!  
 Godnych przeżuwać chyba żołędź leśną,  
 Nie owoc dany na pokarm człowieka,  
 Zrazu nurt wąski toruje ta rzeka,  
 W kolej zstępując korytem pochyłem,  
 Spotyka małe kundle, które warczą,  
 Więcej niż siły na ich wark wystarczą:  
 Ze wżgardą do nich obraca się tyłem  
 I szybko płynie; im bystrzej przecieka  
 Ta nieszczęśliwa i przekłeta rzeka  
 Wita psy, co się mianują wilkami;  
 Potem głębszymi werznięta brzegami,  
 Spotyka lisy, co chytrzy i zradni  
 Odwietrzą łatwo przynętę w zapadni.  
 Rad prorokuje, choć wobec słuchacza,  
 W korzyść mu pójdzie widzieć obraz czasu,

Jaki duch prawdy przede mną roztacza.  
 Widzę synowca twego, bohatera,  
 Który tych wilków staje się myśliwcem;  
 Rzęże jak bydłę, ścierw ich kupczy żywcem,  
 Biorąc im życie sobie cześć odbiera.  
 Wychodzi krwawy ze smutnego lasu,  
 Który od dzisiaj wyschłych aż do rdzeni  
 Drzew i za tysiąc lat nie zazieleni».  
 Jak na wieść smutną proroczego ducha,  
 Miesza się, blednie twarz tego, co słucha,  
 Z jakiej bądź strony nań godzi nieszczęście:  
 Podobnie drugi cień, który, jak sędzę,  
 Ażeby słuchać, ku nam się obrócił,  
 Wyraźnie w twarzy mieszał się i smucił,  
 Pocierał czoło i zaciskał pięście,  
 Gdy te do niego dochodziły słowa.  
 Postać drugiego i pierwszego mowa,  
 Wiedzieć, kto oni, wzbudziła mą żądzę.  
 Modląc się prawie błagałem ich o to:  
 Przeto duch pierwszy jął mówić z ochotą:  
 «Ty chcesz to wymóc na mojej osobie,  
 Czegoś nie zrobił dla mnie; lecz gdy w tobie  
 Znak bożej łaski tak widomie pała,  
 Dla cię nie będą skąpe usta moje:  
 Gwido del Duka tu przed tobą stoję;  
 Krew niegdyś we mnie tak zawiścią wrzała,  
 Że gdybym spotkał wesołość człowieka,  
 Widziałbyś bladość, jak mą twarz powleka.  
 Patrz, z mojej siejby jaką żnę tu słomę!  
 Przecz w to, o ludzie, kłaść serce łakome,  
 Gdzie jedno dobro, łechcąc wasze chcenia,  
 Drugiego dobra pragnie wyłączenia?  
 Patrz, Rinieri, skarb Kalbolich domu,  
 Spadek cnót jego nie dany nikomu.  
 Przebóg! Nie tylko ich następcy sami  
 Pomiedzy morzem a Apeninami  
 Tak znikczemnieli, że tam ziemia dzika,  
 Pasożytnymi pokryta chwastami,  
 Dziś by zawiodła nadzieje rolnika.  
 Gdzież jest Arigo, gdzie Piotr Trawersaro?  
 Romański szczepie! jak twą szlachtę starą  
 Ty znikczemniłeś; gdzie jej blask obaczę?  
 Kowal w Bolonii, a Fosko w Faency,  
 Wykluty z ziarka drobnego, nic więcej,  
 Z pniów swych puszczaają gałęzie rodowe.  
 O Toskańczyku! nie dziw się, że płaczę,  
 Gdy przypominam sławne rody owe.  
 Gwidona z Prato, Ugolina d'Azzo,  
 Co żyli z nami: o rodowa skazo!  
 Ich potomkowie bodajby nie byli  
 Dziedzictwo cnót ich tak marnie strwonili.  
 Płaczę, gdy wspomnę rycerze i damy,  
 Ich gry, turnieje, jakich dziś nie mamy:  
 W piersi, gdzie wrzała miłość i zalotność,  
 Dziś tylko chłodna gnieździ się przewrotność.  
 Czemuś nie runął, zamku Brettinaro,  
 Odkąd tve pany bez skazy poległy,

By się nie zbrukać jak ścian twoich cegły!  
W Bagnokawallo gmach stoi bezdzietny,  
Nikczemnych hrabiów płodzi Kastokaro.  
Dziś Ugolina z Fantoli ród świetny  
Bezpiecznie może świecić na cześć ziomków,  
Bo już zepsutych nie wyda potomków,  
Idź, Toskańczyku, gdzie cię żądza niesie,

Dziś więcej płakać mi jak mówić chce się,  
Tak wasz kraj serce zakrwawił mi srodze».   
Byliśmy pewni, że te słodkie duchy  
Z miłością śledzą wszystkie nasze ruchy,  
Skazówką dla nas było ich milczenie.  
Podczas gdy jedni szliśmy po tej drodze,  
Jak piorun, gdy się chmura z chmurą zetrze,  
Spadł głos z wysoka, mówiąc przez powietrze:  
«Kto bądź mię spotka, powinien mię zabić!»  
I znikł jak gromu dalekiego grzmienie.  
Gdy w naszym uchu hałas jał się słabić,  
Głos drugi zagrział z tak wielkim łoskotem,  
Jakby raz po raz huczał grzmot za grzmotem:  
«Jestem Aglaurą zastygłą kamieniem!»  
Tuląc się z trwogą do poety boku,  
W tył, a nie naprzód posunąłem kroku.  
Powietrze, głos ten gdy przebrzmiał z daleka,  
Wkoło nas cichym dyszało milczeniem.  
Wódz mówił: «Oto masz twarde wędzidło,  
Które by swoim żelazem powinno  
Zawściągać, trzymać w granicach człowieka.  
Lecz wam przynęta tak drażni myśl czynną,  
Że wróg, co z dawna z tej krewkości szydzi,  
Was jako wędą przyciąga w swe sidło.  
Przeto wędzidła hart i napomnienie  
Tracą moc swoją przez lekceważenie.  
Niebo kołując nad głowy waszymi  
Was pięknościami pociąga wiecznymi,  
A jednak wasze oko lgnie do ziemi:  
Za to was chłosta On, co wszystko widzi!»

## Pieśń XV

(Drugie P znika. Krąg III. Gniewni w dymie. Widzenie łagodności. Wieczór.)

Ile od świtu do godziny trzeciej  
Upłynie czasu, nim sfera obleci  
Jak żywe dziecko zawsze igrająca;  
Snadź tyle czasu zostało dla słońca  
Ubiec nad czyścem kres dziennego toru:  
Tu była północ, tam gwiazda wieczoru.  
Promienie na nas w samą twarz padały,  
Bośmy obesзли krąg góry obwodu,  
Kierując nasze kroki do zachodu.  
Gdym poczuł, jak mi upaliła czoło  
Światłość daleko większa jak słoneczna,  
Na tę rzecz nową zdumiałem się cały,

Z trwogi oczyma zataczając wkoło.  
 Wzwyż nad powieki wzniosłem obie ręce,  
 Robiąc dla oczu zasłonę naprędce,  
 Kędy się jasność łamała zbyt uczona.  
 Jak w przeciwległe wznosi się przestrzenie  
 Promień odbity w wodzie lub zwierciadle,  
 Pod jednym kątem wznosząc się, jak zstąpił;  
 Wtedy gdy kamień spada prostopadle,  
 Jak uczy sztuka nas i doświadczenie:  
 Tak byłem rażon światłością tajemną,  
 Która swój promień odbiła przede mną,  
 Aż wzrok mój przed nim w głąb oka ustąpił.  
 «Jaka to światłość, ojczy, co me oko»,  
 Rzekłem, «jak strzałą przebija głęboko,  
 Zda się wprost ku nam pomyka się bliżej?»  
 «Nie dziw się» odrzekł, «że widok uroczy  
 Niebieskich gońców jeszcze lśni twe oczy.  
 Goniec ten wzywa, by człowiek szedł wyżej.  
 Na światło, co go znieść wzrok twój nie zdoła,  
 Patrzeć z rozkoszą przywykniesz powoli,  
 Ile ci czuć ją natura pozwoli».  
 Kiedyśmy byli już blisko anioła:  
 «Idźcie!» rzekł pełen anielskiej pogody;  
 «Od dwóch poprzednich tu mniej strome schody.  
 Jużemy zeszli z kręgu, gdy za nami  
*Misericordes beati* śpiewano,  
 I: «*Bądź tu, duszo zwycięzcy, wesola!*»  
 Mój wódz, ja, szliśmy samotni schodami:  
 A idąc krokiem dość sporym, myślałem  
 Z jego słów korzyść wyciągnąć żadaną.  
 Więc go zaszedłem z boku i spytałem:  
 «Co duch romański chciał rzec, mówiąc ciemno  
 O dobrach, które zawiścią wzajemną  
 Jedne od drugich wyłączać się rade?»  
 A wódz: «On teraz zna niebezpieczeństwo  
 Grzechu, co ściągnął nań czyśćca męczeństwo:  
 Potępią zawiść, duchową szkaradę,  
 Która was brudem tak powszednim kali,  
 Aby mniej drudzy na ten grzech płakali.  
 Bo gdy lgną wasze żądze i nadzieje  
 Do tych dóbr, z których część każda maleje  
 Gdy się ich *całość* na wielu rozrzuca,  
 Zawiść wzdychaniem morduje wam płuca.  
 Gdybyście w niebo wzniesli żądze wasze,  
 Które na ziemi lada fraszka drażni,  
 W sercach by takiej nie było bojaźni.  
 Bo tam kto więcej mówi: *Oto nasze!*  
 Ten większą częśćkę posiada z dóbr ducha,  
 W nim miłosierdzie większym ogniem bucha».  
 — «Twych odpowiedzi ja łaknę bez końca»,  
 Rzekłem, «bo duch mój trawi myśl wątpiąca.  
 Jakżeby mogło dobro podzielone  
 Więcej bogacić licznych posiadaczy,  
 Niż gdyby było w jednostce skupione?»  
 A mistrz: «Twej myśli ruch zawsze ślimaczy,  
 Tkwi w rzeczach ziemskich, w ciasnym kółku chodzi,  
 Ze światła prawdy w niej się ciemność rodzi.

Najwyższe dobro i niewysłowione  
 Spada, gdzie miłość ku niemu drży cała,  
 Jak schodzi promień do jasnego ciała,  
 Gdzie większy zapal większym blaskiem pała.  
 Duch ile więcej ukochał miłośnię,  
 O tyle wieczna jego wartość rośnie;  
 Tam dusz społecznych im większe zebranie,  
 Tym większa jest ich miłość i kochanie;  
 Jak jedna drugą szyba zwierciadlana,  
 Treść kochającą odbija kochana.  
 Jeśli za skąpo twoją żądzę syce,  
 Jeśli głód czują twoje myśli czynne,  
 Tam wyżej wkrótce twoja Beatryce  
 Ukoi żądzę tę i wszystkie inne.  
 Postępuj dalej, bo co prędzej warto  
 Pięć plam ci zetrzeć, jako dwie już starto,  
 A które łzami Bóg zmywać pozwolił».

Gdy chciałem mówić: «Tyś mnie zadowolił»,  
 Wszedłem w krąg inny; oczy moje głodne  
 Widzieć przedmioty oglądania godne  
 Skazały moje usta na milczenie.  
 Tam śniły mi się sny zachwycające:  
 W świątyni ludu widziałem tysiące,  
 Niewiasta stojąc w drzwiach domu bożego,  
 Z słodyczą matki mówiła: «Dlaczego,  
 Mój synu, ty nam nie wracasz do domu,  
 Płacząc my ciebie szukamy dzień trzeci».

Gdy zmilkła, znikło me pierwsze widzenie,  
 Potem się druga zjawiała niewiasta,  
 W cieniu jej rzęsów kropla wody świeci,  
 Ta, jaką czasem z oczu ból wyciska,  
 Draśnięty wielkim gniewem przeciw komu.  
 Łkając mówiła: «Jeśliś ty pan miasta,  
 Które jak nazwać spór wiedli bogowie,  
 A skąd ognisko wszystkich nauk błyska:  
 O Pizystracie! Skarż śmiało ramiona,  
 Co naszą córkę tuliły do łona».

Pan ten łaskawy i pełen słodyczy,  
 Z pogodną twarzą odrzekł białogłowie:  
 «Zaiste, skargi twej zasada płocha,  
 Cóż zrobim temu, który źle nam życzy,  
 Gdy potępiamy tego, co nas kocha?»

Potem widziałem, ludzie rozsrożeni,  
 Którym gniew piersi jak zarzewiem pali,  
 «Ukamienować młodzieńca!» wołali.  
 «Ukamienujem,» każdy w tłumie krzyczy.  
 Młodzian padając pod gradem kamieni,  
 Nim wpół zgiętego cios ostatni dobił,  
 Wciąż ze swych oczu drzwi do nieba robił;  
 I przebacząc ślepą wściekłość wroga,  
 Za prześladowców modlił się do Boga,  
 W postaci takiej, co litość porusza.  
 Do rzeczywistych przedmiotów gdy dusza  
 Zeszła z tych widzeń, co zewnątrz jej były,  
 Poznałem, gdy się zmysły rozbudziły,  
 Że treść mych złudzeń nie była fałszywa.  
 Mój wódz, co na mnie mógł patrzeć w tej chwili

Jak na człowieka, co ze snu się zrywa:  
 «Czego się ślaniaasz?» mówił mi, «co tobie?  
 Zamknąwszy oczy, tyś uszedł z pół mili,  
 Chwiejąc się na wzór nocnego błakacza,  
 Co się od wina lub od snu zatacza».  
 «Ojczy mój,» rzekłem, «powiem prawdę całą,  
 Co mi się w duszy jak w śnie przywidziało,  
 Kiedy pode mną drżały nogi obie».  
 A wódz: «Sto masek włóż na twoje lica,  
 Wszystkie twe myśli przejrzy ma żrenica.  
 Twoje widzenia na to objawione  
 Były w twym duchu, byś serce spragnione  
 Rzeźwił słodkimi wodami pokoju,  
 Z wiekuistego jakie płyną źródłu.  
 Jam ciebie zgoła nie pytał: co tobie?  
 Jako ten, który tylko widzi okiem,  
 Przestaje widzieć, gdy trupem legł w grobie.  
 Chciałem ci nadać więcej ruchów żywych,  
 Tym środkiem trzeba pobudzać leniwych,  
 Którzy się lenią dnia użyć przed zmrokiem».  
 Przez ten zmrok szliśmy bez szlaku i toru,  
 Patrząc daleko, ile mogły oczy,  
 Przeciw błyszczącym promieniom wieczoru;  
 Dym jak noc czarny wprost ku nam się toczy;  
 Z wolna kłębam się sunął na wietrze,  
 Nie było miejsca stanąć gdzie w uboczu,  
 A mroczył wzrok nasz i czyste powietrze.

## Pieśń XVI

(Marko Lombardo mówi o dwu słońcach. Dantego zapatrywania polityczne.)

Ciemność piekielnej nocy pozbawionej  
 Gwiazd i księżyca, grubszej, o nie kłamie!  
 Na wzrok nie mogła narzucić zasłony,  
 Jak dym, co wtenczas skrył nas w swej omroczy:  
 Gryzące dymy zamykały oczy.  
 Wódz podszedł do mnie i podał mi ramię.  
 Jak ślepy, aby nie zbłąkać się z drogi  
 Lub o głaz ostry nie obrazić nogi,  
 Krok w krok za swoim przewodnikiem kroczy:  
 Podobnie szedłem w tym straszliwym ciemnie,  
 Wciąż nasłuchując, co mi wódz mój powie;  
 Wódz mówił: «Strzeż się, nie odchodź ode mnie».  
 Słyszałem głosy, jak słowo po słowie  
 Śpiewały, żebrząc łaski i pociechy:  
 «Baranku Boży, który gładzisz grzechy!»  
 Od słów tych zwrotek poczynając śpiewu.  
 — «Słyszeliście duchów głosy uroczyste?» —  
 A mistrz: «Głos duchów ty słyszysz, zaiste,  
 Tu one węzeł rozwiązują gniewu».  
 — «Przerzynający nasze dymy, witaj!  
 Ktoś jest? Gdy mówisz, widzę z twojej mowy,  
 Czas jeszcze liczysz na bieg księżycowy?»  
 Tak rzekł głos jeden; więc mistrz mówił do mnie:

«Odpowiedz jemu uważnie a skromnie;  
 I kędy tu nam iść wyżej, zapytaj».  
 A ja: «Czyszczące swą zmazę stworzenie,  
 By pięknym, obym ja czei takiej dożył!  
 Wrócić do Tego, który ciebie stworzył:  
 Dziwy posłyszysz, chciej tylko iść ze mną».  
 — «Pójdę, o ile pozwoli to ciemno»,  
 Duch odpowiedział, «a jeśli zaćmienie  
 Dymu obląka ślad naszego kroku,  
 Zbliżym się głosem w niedostatku wzroku».  
 — «Tam wyżej niosę ciało skazitelne,  
 A tu przyszedłem przez kręgi piekielne,»  
 Rzekłem, «a jeśli łaska niebios Pana  
 Daje mi widzieć blask swojego dworu  
 I dojść tam drogą niezwykłego toru,  
 Podróż w dzisiejszych czasach niesłychana!  
 Nie kryj mi twego przedśmiertnego miana  
 I czy tu idę dobrze, mów zarazem,  
 Słowa twe będą naszym drogokazem».  
 — «Mnie, Marka, matka ma w Lombardii zległa,  
 Mądrość ma była w sprawach świeckich biegła,  
 A prawość moja, cnota z cnót jedyna,  
 Do której nikt dziś łuku nie napina.  
 Chcąc iść tam wyżej, prosto idź opoką»,  
 Duch odpowiedział i dodał po chwili:  
 «Przyczyń się za mną będąc tam wysoko!»  
 A ja: «Na wiarę prośba cię nie zmyli,  
 Ale wątpieniem myśl się moja gmatwa,  
 A jej dwoistość zgodzić rzecz niełatwa;  
 Gdy twoje zdanie obecne rad godzę  
 Ze zdaniem, co gdzieś słyzałem po drodze.  
 Więc świat bez cnoty, w swoich sądach zmienny,  
 Jak mi powiadasz, a złością brzemienny:  
 Chciej tę przyczynę wyłuszczyć tak jasno,  
 Aby mógł drugich oświecić przez ciebie,  
 Ten jej na ziemi, drugi szuka w niebie».  
 Duch tchnął boleścią w głębokim westchnieniu  
 I tak jął mówić po krótkim milczeniu:  
 «Bracie, świat ślepy, zdradzasz mową własną,  
 Że stamtąd idziesz: wy, którzy żyjecie,  
 W niebie szukacie wszech przyczyn na świecie,  
 Jakby rzecz każda, jak wielka, tak mała,  
 Koniecznie z jego woli się ruszała:  
 Gdyby tak było, w złu, co was okala,  
 Mogłaby zginąć wasza wolna wola.  
 Sprawiedliwości czyżby było zadość  
 Za złe czuć boleść, a za dobro radość!  
 Niebo skłonności szczepi w sercu ludzi,  
 Nie mówię, wszystkie; z nieba światło macie,  
 Przez co od złego dobro odróżniacie,  
 I wolną wolę; zrazu bój ją trudzi,  
 W pierwszym natarciu gdy się skłonność budzi:  
 Lecz wykarmiona dobrze w sercu męża,  
 Złamię wpływ sfery i wszystko zwycięża.  
 Jako wolnymi tylko Arcysiła  
 Zarządza wami, jej natura boska  
 Na własny obraz w was duszę stworzyła,



Której opieką sfera się nie troska.  
 Więc gdy świat błędem obecność porywa,  
 Przyczyna błędu wewnątrz was spoczywa:  
 Przejrzyj tę prawdę w słów moich powłóce.  
 Bo z ręki tego wymyka się dusza,  
 Który ją w duchu jak swoje kochanie  
 Pieści, kołysze naprzód, nim się stanie  
 Podobna dziecku, co ledwo się rusza,  
 Śmiejąc się, płacząc, igra i szczebioce.  
 Dusza prostaczka i nic niewiedząca  
 Prócz że ją miłość stworzyła bez końca,  
 Zwraca się do niej jako kwiat do słońca.  
 Zrazu ku dobrom znikomym się kloni,  
 Zwiedziona, za ich błyskotkami goni,  
 Jeśli przewodnik jej albo wędzidło  
 Nie nakierują gdzie indziej jej skrzydło.  
 Przeto wędzideł było nam potrzeba,  
 Prawa i króli, co by z wyżyn nieba  
 Społecznych grodów mogli widzieć wieże.  
 Prawa są, lecz któż z miłością je strzeże?  
 Pasterz idący na czele swej trzody,  
 Przeżuwać może karmę rozmałą,  
 Lecz nierozkłute jego jest kopyto.  
 Dlatego cała trzoda nań pogląda,  
 Czy jej przewodnik nasyci swe głody  
 Rzeczami, jakie żre sama żarłocznie,  
 I tym się karmiąc nic więcej nie żąda,  
 Tak zły kierunek świat zepsuł widocznie,  
 Lecz nie naturę waszą, co odtrąca  
 Zło nieustannie pragnące jej szkodzić.  
 Rzym, co ulepszył ludy, miał dwa słońca,  
 Przez które były oświecone, droga,  
 Co przez świat idzie, a druga do Boga.  
 Lecz z dwóch słońc jedno już drugie zaćmiło:  
 Z łaską pasterską miecz spoił się siłą,  
 I jedno z drugim nie mogą się zgodzić,  
 Bo tak złączone nie boją się wzajem.  
 Nie wierzysz? Pomyśl, po czym kłós poznajem;  
 Każdą roślinę poznasz po jej ziarnie.  
 W kraju Lombardów, jak pamięć ogarnie,  
 Każdy był prawym, dzielnym wojownikiem,  
 Nim się zatliły kłótnie z Fryderykiem.  
 Dziś tam bezpiecznie ten wchodzi do domu,  
 Co by wprzód nie mógł być gościem dla sromu.  
 O! trzech tam jeszcze żyje po staremu,  
 W których wiek stary przygania nowemu:  
 A im leniwo, zda się, cieką lata,  
 Nim Bóg ich wezwie do lepszego świata.  
 Ci starce, Konrad Palazzo z Gerardem,  
 Gwido, którego Frank zowie Lombardem.  
 Jak rzekłem wyżej, o! źle się sprzymierza  
 W kościele rzymskim miecz z łaską pasterza;  
 Kiedy dźwignieniem dwóch rządów się strudził,  
 Wpadł w błoto, siebie i swój ciężar zbrudził».

«Mój Marko!» rzekłem, «smutnych czasów świadek,  
 Obraz ich jasno przez twe słowa świeci;  
 Teraz pojmuje, dlaczego od spadku

Usunął Mojżesz Lewitowe dzieci.  
 Lecz ten Gerardo, ów mędrzec z przydomka,  
 O którym słyszeć tak miło z ust ziomka,  
 Kto on? przygana tego wieku żywa,  
 Ta zgasłych rodów ruina sędziwa!»  
 A Marko odrzekł: «Albo twoja mowa  
 Zwodzi mię, albo kuszą mię twe słowa,  
 Gdy mówiąc ze mną zdajesz się, Lombardzie,  
 Sam nic nie wiedzieć o dobrym Gerardzie.  
 Ten mu przydomek rad każdy nadaje,  
 Pomnąc cnót pełną jego córkę Gaję.  
 Bóg z tobą! żegnam, nie mogę iść dalej.  
 Patrz, już wokoło dym przestaje buchać,  
 Już świt bieleje i ogniem się pali,  
 Anioł w tej chwili zstępuje tu z nieba,  
 Przed jego przyjściem odejść mi potrzeba».  
 To rzekł i więcej już nie chciał mię słuchać.

## Pieśń XVII

(Widzenia obrazów gniewu. Krąg IV. Gnuśni chrześcijanie w szybkim pędzie.  
 Wieczór. Moralny podział czyśćca.)

Przypomnij sobie, czytelniku miły,  
 Jeśli cię kiedy w Alpach mgły zgęszczone  
 Nagle wilgotnym obłokiem nakryły,  
 Patrzałeś jak kret przez skórzaną błonę;  
 Mgła zaś gdy rzadziej swoje kłęby zwija,  
 Przez nią słoneczny blask słabo przebija;  
 A wyobrazisz, jak ja mimochodem  
 Ujrzałem słońce przed jego zachodem.  
 Tak równo z wodzem gdy stanąłem w kroku,  
 Na koniec z dymu wyszedłem obłoku  
 W chwili, gdy góry tej poziomsze skały  
 Promienie dla się zmarłe pożegnały.  
 Imaginacjo! czasem tak daleko  
 Skrzydło twe z sobą człowieka porywa,  
 Że on nie słyszy, nie widzi powieką,  
 Jak wkoło niego z tysiąc trąb przegrywa.  
 Cóż cię ożywia, gdy nie bodą zmysły?  
 Oto ożywia cię promień wyblęśły  
 Aż z wysokości nieba, gdzie się tworzy,  
 Schodząc sam przez się albo z woli bożej.  
 Synobólczyńni widziałem oblicze  
 Którą żal w piórka przyodziął słowicze,  
 Ptak, co swą boleść tak rozkosznie kwili!  
 Duch mój sam w siebie zebrał się w tej chwili,  
 Nic nie przyjmując z zewnętrznego świata:  
 Fantazja moja, co pod gwiazdy lata,  
 Spadła obrazem aż na krzyż Hamana,  
 Którego dumą twarz napiętnowana;  
 Przy nim widziałem króla Ahaswera,  
 Tuż stała żona królewska Estera  
 I Mardocheusz, twarz pełna pogody,  
 W słowach i w czynach mąż prawy, bez zmayı.

Gdy z ócz mych prysły te oba obrazy,  
 Jak bańka z braku, co ją tworzy, wody,  
 Wtem przystąpiła płacząca dziewica  
 Na tło mych widzeń i ku mnie swe lica  
 Zwraca, i mówi: «Czemu, o królowo!  
 Gniew ciebie w ziemię zakopał surową?  
 Siebie zabiłaś, nie chcąc córki zgubić,  
 Jednak tyś swoją Lawinię zgubiła.  
 Matko! mnie więcej boli twa mogiła  
 Niż tego, który pragnął mię zaślubić».  
 Senne powieki gdy blask draśnie we dnie,  
 Sen wnet się łamie, lecz nim się dokruszy,  
 Jeszcze się ślizga po marzącej duszy.  
 Podobnie moje widzenia wokoło  
 Pierzchając znikły, gdy mi twarz i czoło  
 Drasnęło światło większe niż powszednie.  
 Spojrzałem za się, chcąc widzieć, gdzie byłem,  
 Gdy głos przemówił: «Wstępujcie na schody!»  
 I w ten głos całą uwagę utkwilem.  
 Czułem się skorszym i lżejszym niż wprzód  
 I niecierpliwą wolą cały drżałem,  
 Aż w mówiącego twarzą w twarz spojrzałem.  
 Lecz jak powieki nasze mruży słońce  
 Kształt swój zbyt czystym swym blaskiem kryjące,  
 Tak blask tę siłę odebrał wzrokowi.  
 — «Oto jest boży anioł», mistrz mój mówi:  
 «Co nas prowadzi tędy nieproszony,  
 A sam się kryje w blasku swej zasłony.  
 On robi z nami, co człowiek na ziemi  
 Na wzór ten robić powinien z bliźniemi:  
 Bo ten, kto prośby proszącego czeka,  
 Widząc potrzebę, nie śpieszy z pomocą,  
 Nie liczy na serce takiego człowieka.  
 Bądźmy posłuszni anioła wezwaniu,  
 Szybko te schody szczeblujmy przed nocą,  
 Bo je przejdziemy chyba na zaraniu».  
 Tak wódz mój mówił i w szyję opoki  
 Ku schodom nasze zwróciliśmy kroki.  
 Pierwszy ich stopień gdym dotknął stopami,  
 Poczułem jakby od skrzydeł powiewu  
 Wiatr na mym czole; głos mówił za nami:  
 «Błogosławieni, co wolni od gniewu!».  
 Promienie słońca uchodząc przed nocą,  
 Wstawały proste z brzegów widnokreśła,  
 Patrząc, już gwiazdy tu i tam migocą.  
 Odwaga moja, gdzie jest twa potęga?  
 Myślałem w sobie, bo czułem, jak nogi  
 Mdlały pode mną na pośrodku drogi.  
 Z mistrzem stanąłem, przebiegłszy te schody,  
 Jak łódź zaryta na mieliźnie wody.  
 W tym nowym kręgu natężyłem ucha,  
 Chcąc coś posłyszeć, była cisza głucha:  
 Potem do mistrza mówiłem w te słowa:  
 «Z jakiej się czyści duch obrazy Boga  
 Tu, gdzie jesteście? gdy spoczywa noga,  
 Niech się z letargu przebudzi twa mowa» .  
 A mistrz: «Tu miłość leniwa łączy leje,

Płacząc lenistwa dobrego uczynku.  
 Tu ruch jest żywszy leniwego wiosła.  
 Lecz prawda jaśniej w tobie rozednieje,  
 Zwróci myśl do mnie, aby ci przyniosła  
 Dojrzały owoc z tej chwili spoczynku.  
 O! bez miłości Stwórcy i stworzenie  
 Nigdy nie byli: jest w ludziach wrodzona  
 I dobrowolna miłość, ty wiesz o tym:  
 Miłość przyrodna, błędem nieskażona,  
 A druga błędzi występny przedmiotem,  
 To przez zbyt silne, to zbyt mdłe pragnienie.  
 O ile prądy tej miłości płyną  
 Ku pierwszemu dobrom lub z widoków względnych  
 Kieruję pociąg jej do dóbr podrzędnych,  
 Miłość nie będzie zła swego przyczyną.  
 Lecz gdy ku złemu obraca się cała  
 Lub gdy za dobrem w żądz swoich pogoni  
 Więcej, jak trzeba, lub leniwiej goni,  
 Wtenczas stworzenie przeciw Stwórcy działa.  
 Stąd miłość wasza, zważ głębszym myśleniem,  
 Jest i cnót wszystkich, i błędu nasieniem,  
 Za którym idzie zasłużona kara.  
 A jako miłość przyciągać się stara  
 Przedmioty, które zajęła zbawieniem,  
 Wszystkie stworzenia czuć i kochać zdolne  
 Żyją od własnej nienawiści wolne.  
 Jak swego bytu istota osobna  
 Pojąć nie może i żyć w rozłączeniu  
 Z Arcyistotą, tak w każdym stworzeniu  
 Nienawiść Stwórcy jest rzecz niepodobna.  
 Podział ten jeśli dość jasny poznamy,  
 Że przeciw bliźnim jest zło, co kochamy.  
 Miłość ta źródło mając w waszej glinie,  
 W trojaki sposób ze wnętrza was płynie.  
 Ten chce się podnieść upadkiem sąsiada,  
 Bo na nim zrąb swej wielkości zakłada;  
 Drugi się lęka, że cześć, władzę straci,  
 Gdy jego bliźni szczęśliwszy od braci;  
 Przyczyna jego smutku i goryczy  
 Jest w tym, że jemu przeciwieństwa życzy.  
 Trzeci obrazą swej krzywdy wybucha,  
 Zemstę jej cicho warzy w głębi ducha.  
 Ta błędna miłość trojakiej natury  
 Kaja się w niższych trzech kręgach tej góry.  
 Jeszcze o jednej miłości rzecz chciałem,  
 Co szuka dobra ze ślepym zapalem.  
 Każdy po ciemnie uganiania omackiem  
 Za jakimś dobrem jak dziecko za cackiem;  
 Każdy dla tego mniej więcej z wytrwaniem,  
 By je posiadać, upędza się za niem.  
 Gdy cię pociąga miłość zbyt leniwa  
 Ku dobru, w którym duch wiecznie spoczywa,  
 Krąg ten, jeżeli żal szczerzy cię skruszy,  
 Miejscem pokuty będzie dla twej duszy.  
 Jest inne dobro, błyskotne z daleka,  
 Które nie robi szczęśliwym człowieka,  
 Zwodna szczęśliwość! bo jego treść marna

Nie jest owocem z dóbr wieczystych ziarna.  
Miłość ujęta dóbr wiotkich więzami,  
Czyni pokutę w trzech kęgach nad nami.  
Lecz jak ten podział trojaki jest jasny,  
Zamilknę, wydasz o nim sąd twój własny».

## Pieśń XVIII

(O miłości. Cienie. Opat Albert.)  
Rozumowanie skończył mistrz uczony,  
I bystro na mnie patrzył, czy rad byłem;  
Ja nowym jeszcze pragnieniem drażniony,  
Milczałem zewnątrz, a wewnątrz mówiłem:  
«Może go zbytkiem zapytań morduję».  
Lecz ten prawdziwy ojciec, gdy chęć całą  
Odkrył, co serce z bojaźni skrywało,  
Mówiąc sam, skłonił przemówić doń śmiało.  
«Mistrzu, twym światłem do tyła się krzepi  
Wzrok mój, że jasno myśl twych słów pojmuję,  
Proszę, mój ojcie, w jaśniejszej przeźroczy  
Pokaż tę miłość, do której przyczyny  
Odnosisz wszelkie dobre i złe czyny».  
«Zwróć ku mnie» mówił «przenikliwe oczy.  
Twego rozumu, a ujrzysz błąd lepiej  
Tych, co chcą drugich prowadzić, choć ślepi.  
Serce, stworzone z skłonnością kochania,  
W czym upodoba, za tym się ugania  
W chwili, gdy czuje pociąg podobania.  
Pojęcie wasze, co w lot wszystko łowi,  
Schwycony przedmiot przedstawia duchowi:  
W nim takim blaskiem ten przedmiot pozłaca,  
Że wprost ku niemu dusza się obraca:  
I gdy się wznosi doń z żywą skłonnością,  
Jest przyrodzoną ta skłonność miłością,  
Która przez rozkosz z wami się tak splata.  
I jako płomień, co w powietrze wzłata,  
Spełniając ślepą swej natury wolę,  
Gdzie się przepala dłużej w swym żywiole,  
Tak nakłoniona poddaje się dusza  
Żądzy, ten bodziec duchowy porusza  
Serce człowieka nieustannym biciem,  
Nim rzecz kochana stanie się użyciem.  
Widzisz, jak prawdzie błąd kłamstwo zadaje,  
Twierdząc, co dłużej zbijać niepotrzebna,  
Że każda miłość jest w sobie chwalebna.  
Treść jej, być może, dobrą mu się zdaje;  
Że воск jest dobry, czyś przyznać gotowy,  
Że dobrym każdy jest odcisk woskowy?»  
«Jasno mi rozum przy świetle twej mowy»,  
Odpowiedziałem «wytlumaczył miłość,  
Lecz sam uwięzł w zwątpienia zawilość.  
Bo jeśli miłość w nas ostrzem swych grotów  
Ugadza z łuku zewnętrznych przedmiotów,  
Żadnej zasługi dusza mieć nie może,

Czy idzie prosto, czy schodzi w rozdroże».
 Mistrz: «Ile zdolna rozumu potęga,  
 Punkt ten objaśnię, dalej on nie sięga,  
 Czekaj, aż dojdiesz sam do Beatrycy,  
 Bo wiara klucz ma od tej tajemnicy.  
 Każdy duch z treści swojej niewcielony,  
 Różny od ciała, jednak z nim złączony,  
 Zamknięty w sobie ma własność szczególną,  
 Której nam uczuć i dowieść nie wolno:  
 Lecz się objawia przez skutki i czyny  
 Jak przez zielony liść życie rośliny.  
 Człowiek nic nie wie, skąd się w nim lgnie miłość,  
 Jaka pociągów pierwszych jest pochyłość,  
 Które podobnie są w nas jako w pszczole,  
 Dla miodobrania latającej w pole.  
 Ta pierwsza wola, co skłonność prowadzi,  
 Ni do pochwały jest, ni do zganienia.  
 Więc gdyby wszystko zlać w tę arcywolę,  
 Macie wrodzony przymiot, który radzi,  
 Który stać winien w progu przyzwolenia.  
 Rozum jest gruntem, skąd dla was wypływa  
 Powód zasługi, zasługa prawdziwa,  
 Podług jak waszej panując krewkości,  
 Uprawnia dobre albo złe skłonności.  
 Mędrcy zgłębiając treść rzeczy aż do dna,  
 Przyznali, że jest ta wolność przyrodna,  
 I jako owoc swoich myśli kwiatu,  
 Księgę morału zostawili światu.  
 Przypuśćmy, miłość, co iskrą z was błyska,  
 Że z konieczności wynika ogniska,  
 Lecz w was jest władza, co ją, gdzie chce, kloni.  
 Szlachetny przymiot, który Beatryce  
 Zwie wolną wolą; jej ci tajemnicę  
 Ona rozwiąże, z tobą mówiąc o niej».
 Księżyc jak w północ, wznosząc się powoli,  
 Coraz nam rzadsze pokazywał gwiazdy,  
 Idąc przez obłok to ciemny, to biały,  
 Jak pieczęć w ogniu czerwienił się cały.  
 Księżyc przebiegał tor słonecznej jazdy  
 W chwili, gdy widział Rzym już zachodzące  
 Między Sardinia a Korsyką słońce.  
 Ten, przez którego gródek Pietoli,  
 Więcej od miasta Mantuanów słynny,  
 Ciężar z mych myśli zdjął mistrz dobroczynny.  
 W rzeczy wywodach przeglądając jaśnie,  
 Byłem jak człowiek marzący, gdy zaśnie:  
 Lecz z tej senności zbudziły mię duchy,  
 Bieżąc za nami gwałtownymi ruchy.  
 Jak niegdyś Asop widziała w Achai  
 Bezładny pochód szalejącej zgrai,  
 Kiedy Tebanie z pochodniami w nocy  
 Idąc, Bachusa wzywali pomocy;  
 Równie w tym kręgu szybkimi krokami  
 Biegli, swym biegiem wiatr czyniąc za nami,  
 Ci, których gnała miłość dobrej woli.  
 Gdy nas tłum duchów na końcu okoli,  
 Dwa pierwsze duchy wołały ze łzami:

«Szybko na górę pobiegła Maryja.  
 Cezar pod grodem marsylskim nie leżał,  
 Szybko namioty obozowe zwija,  
 Jak błysk piorunu do Hiszpanów bieżał».  
 Drugie wołały: «Miłość czas tak ceni,  
 Nie traćmy czasu przez brak jej płomieni,  
 Żarliwość w dobrym łaskę zazieleni».  
 — «O duchy, których żarliwość gorąca  
 Dziś wynagradza może w roztargnieniu  
 Waszą ostygłą chęć w dobrze czynieniu,  
 Oto żyjący, wierście, was nie zwodzę,  
 Chce na tę górę wejść przed wschodem słońca.  
 Najbliższe przejście wskażcie nam po drodze».  
 Tak mówił wódz mój, a jeden z gromady  
 Duch odpowiedział: «Idźcie w nasze ślady.  
 My śpieszym nie chcąc nic stracić na czasie,  
 Przebaczą, że wola nas wstrzymać nie może,  
 Gdy ci nasz pośpiech niegrzecznością zda się.  
 Byłem opatem w zenońskim klasztorze,  
 A Rusobrody panował w tej dobie,  
 Z bólem łagodne jego królowanie  
 Rozpamiętują dzisiaj w Mediolanie.  
 O! już ten stoi jedną nogą w grobie,  
 Który zapłacz, że w miejsce pasterza,  
 Synowi zwierzchność klasztoru powierza,  
 Który miał ciała budowę kaleką,  
 A rozum jeszcze więcej wykrzywiony,  
 A był ze złego związku urodzony».  
 Czy na tym znikła ucięta rozmowa,  
 Nie wiem, bo duch był ode mnie daleko:  
 Rad zatrzymałem w pamięci te słowa.  
 On, moja tarcza, moc w każdej potrzebie,  
 Przemówił do mnie: «Obróć się tam twarzą,  
 Patrz, jak dwa duchy idąc koło ciebie,  
 Bodą lenistwo słowami i gwarzą:  
 Lud, co przez morze suchą przeszedł nogą,  
 Ciężko lenistwem zgrzeszywszy przed Panem,  
 Nie złożył swoich kości nad Jordanem.  
 Ci się niemęską znikczemnil trwogą,  
 Co Eneasza w pół drogi odbiegli,  
 Gdy sycylijski piękny ląd postrzegli».  
 Kiedy sprzed oczu zniknęły te cienie,  
 Jedna za drugą biegły myśli czynne,  
 A z tych się snuły nowe myśli inne;  
 I tak wirując nieustannym kołem,  
 Nieznacznie w senne zwały się marzenie,  
 Aż rad zamknąłem oczy i usnąłem.

## Pieśń XIX

(Widzenie rozkoszy doczesnych i łaski. Krąg V. Skąpcy i marnotrawcy. Piąty poranek drogi. Czwarte P znika. Papież Hadrian V.)  
 W godzinie, kiedy gasnące dnia żary,  
 Wystygłe zimnem ziemi lub Saturna,

Księżycowego już nie grzeją chłodu:  
 Gdy geomanta swoje szczęście czyta  
 W gwieździe, co jemu wyblyska od Wschodu  
 W chwili przedświt, nim zorza bezchmurna  
 Rozwidni wkrótce gościniec nieb szary;  
 Przyśniła mi się zajękła kobieta,  
 Z odciętą ręką, wzrok jej zezem pada,  
 Krzywa, a twarz jej jak tynk muru biała.  
 Patrzałem na nią, a jak słońce ciepłe  
 Ożywia członki nocnym chłodem skrzepłe,  
 Wzrok mój jej język rozwiązał, jej ciało  
 Z wolna zagrzewał, prostował ją całą  
 I zarumieniał trupio blade lica,  
 Jak gdy miłości wzrok czuje dziewica.  
 Tak rozwiązany język dźwięcznie nucił,  
 Dziś bym ją słuchać z trudnością porzucił.  
 «Jestem» śpiewała: «ta syrena słodka,  
 Którą gdy żeglarz wędrujący spotka,  
 Staje wśród morza i nadstawia ucha,  
 Z taką rozkoszą mojej pieśni słucha!  
 Śpiew mój z pół drogi Ulissesa zwrócił,  
 Rzadki odchodzi, kto wszedł w progi moje,  
 Rzadki się trzeźwi, kogo ja upoję».  
 Jeszcze syrena ust swych nie zamknęła,  
 Gdy przy mnie święta niewiasta stanęła,  
 A pragnąc pierwszą zmieszać swą pogardą,  
 «Kto ta kobieta?» zapytała hardo.  
 Wirgili z cześcią w swym sercu poczętą  
 Podszedł i patrzył na niewiastę świętą.  
 A ta, gdy pierwszą za piersi schwyciła,  
 Darła jej szatę, jej brzuch mi odkryła,  
 Skąd do mnie buchnął taki swąd w tej chwili,  
 Aż się zbudziłem; a dobry Wirgili  
 Mówił z słodyczą nad wszelkie wyrazy:  
 «Już cię wołałem najmniej ze trzy razy,  
 Wstań, idźmy szukać w tych skałach przechodu».  
 Wstałem, już kręgi pozłacał blask wschodu  
 Tej świętej góry; dzień świtał wesoło,  
 Gdy szedłem, słońce miałem poza sobą.  
 Idąc za wodzem schyliłem me czoło,  
 Podobny temu, co dźwiga na głowie  
 Myśli tysiące, a swoją osobą  
 Udaje ścięty łuk mostu w połowie.  
 Kiedym postyszał: «Idźcie, tu iść trzeba!»  
 Słowa te wiały melodyją z nieba;  
 Ten, który mówił, jak łabędzia białe  
 Otworzył skrzydła i prowadził w skałę.  
 Z obu stron twarda ścisnęła nas góra.  
 Musnął mi czoło wstrząsając swe pióra,  
 «Ci, którzy płaczą» rzekł, «błogosławieni,  
 Łzy ich pociecha w wesele zamieni».  
 — «Po co tak w ziemię spuszczasz twe spojrzenie?»  
 Przemówił wódz mój, gdy anioł skrzydłami  
 Cicho w powietrzu wznosił się nad nami.  
 A ja: — «Tak ściga mię nowe widzenie,  
 Wtrąca w niepokój, zachodzi mi drogę,  
 Że odeń myśli oderwać nie mogę».



— «Starą guślarzę» rzekł «widziałeś z bliska,  
 Co w niższych kręgach tyle łez wyciska.  
 Widziałeś, człowiek przez jakie pochopy  
 I środki od niej oderwać się może.  
 Dość o tym: w ziemię zarywszy twe stopy,  
 Spójrz w niebiosy, na te cuda boże,  
 Jakimi wzrok twój przynęca król wieczny,  
 Tocząc tak wielki po nich krąg słoneczny».

Jak sokół naprzód nogom się przygląda,  
 Nim na głos łowca podniesie swe oczy,  
 A potem skrzydła do lotu roztoczy,  
 Polować zdobycz, której tak pożąda:  
 Tak ja, o ile rozszczepia się skała  
 Dla stopy, aby po niej wzwyż stapała,  
 Szedłem bez przerwy długą szyją lochu,  
 Aż do piątego kręgu; tam widziałem  
 Leżące duchy twarzami do ziemi,  
 Płacząc, mówiły, zda się, słowy temi:  
 «Ach! dusza moja przyłgnęła do prochu».

I tak wzdychały piersiami całemi,  
 Że ledwo uchem kilka słów schwytałem.

— «Wybrani Pańscy! w których sprawiedliwość  
 Z nadzieją słodzi waszych mąk dotkliwość,  
 Wskażcie, jak dalej iść na wyższe stopnie».

— «Gdy przychodzicie nie leżeć tu z nami,  
 Lecz pielgrzymując tej góry kręgami  
 Tylko szukacie drogi; więc roztropnie,  
 Idąc półkolem jak krąg zatoczony,  
 Od brzegu prawej trzymajcie się strony».

Poeta pytał, a duch odpowiedział;  
 Z tych słów poznałem, że duch i połowy  
 Wieści, skąd idę i dokąd, nie wiedział.

Ja do ócz mistrza obróciłem oczy,  
 Mistrz na chęć moją przyzwolił ochoczy,  
 Czym ośmielony poszedłem do ducha,  
 Którego z pierwszej poznałem przemowy,  
 Mówiąc: «Gdy we łzach dojrzewa twa skrucha,  
 Bez której żaden duch z grzechu nie wstanie,  
 O zawieś dla mnie twe większe staranie.  
 Powiedz, kim byłeś? skąd na skał tych szczyty,  
 Wszyscy grzbietami do góry leżycie?  
 Może chcesz, bym się przyczynił za tobą,  
 Tam, skąd tu wchodzę żyjącą osobą».

A on: — «Dlaczego nie twarz, jak trzeba,  
 Ale tu leżym grzbietami do nieba,  
 Dowiesz się o tym; lecz wprzód wiedź, oto  
 Byłem ja niegdyś następcą Piotrowym!  
 Przy Kiawari piękna rzeka płynie,  
 Imię jej dało tytuł mej rodzinie:  
 W miesiąc poczułem, w tak niedługim czasie,  
 Jak ciężko chodzić w płaszczu barankowym  
 Temu, kto nie chce zaszargać go w błoto:  
 Ciężar mu inny jak puch lekki zda się.  
 Skrucha ma była, niestety, leniwa!  
 Będąc pasterzem chrześcijańskich ludów,  
 Poznałem, marność życia jak fałszywa,  
 Jak marny jego cel starań i trudów;

Widziałem, jak tam troska sercem miota,  
 Nie mogąc wyżej wznieść się, moją duszę  
 Zatlilem żądzą wiecznego żywota.  
 Aż do tej chwili, z wstydem wyznać muszę,  
 Grzech ją łakomstwa odwracał od Boga,  
 Za co, jak widzisz, kara jej tak sroga!  
 Z grzechu chciwości tak czyszczą się duchy,  
 Tu dopełniając czyn poczętej skruchy:  
 W czyścicu ich bodaj największe katusze.  
 Jak w ziemskich rzeczach zatopione oko,  
 Spojrzeć ku niebu nie mogło wysoko,  
 Chce sprawiedliwość, abyśmy naszymi  
 Oczyma lgnęli jak krety do ziemi.  
 Jak w nas łakomstwo miłość dobra studzi,  
 W zawiązku morząc współczucie dla ludzi,  
 Grzech ten gładzimy w sprawiedliwej męce.  
 Więżnie, związani za nogi i ręce,  
 Nim się gniew boży przebłaga widomie,  
 Póty tu będziem leżeć nieruchomie».  
 Ukląknę, jeszcze nim mówić zacząłem,  
 Duch poczuł uchem znak uszanowania:  
 «Co ciebie» mówił «tak do ziemi skłania?»  
 A ja: — «Sumienie moje słusznie radzi  
 Przed majestatem twym uderzyć czołem».  
 «Wstań, bracie!» mówił «wyprostuj kolana,  
 Ja, ty i drudzy z społecznej czeladzi,  
 Wszyscyśmy słudzy jedynego Pana.  
 Jeśli pojąłeś z Ewangelii świętej,  
 Tekst: *Neque nubent* w tych słowach zamknięty,  
 On ci zrozumieć moją myśl posłuży.  
 A teraz odejdz, nie chcę, byś stał dłużej;  
 Obecność twoja przerywa łączy ducha,  
 W których dojrzeła, jak mówiłeś, skrucha.  
 Jest tam Aglaja, domu mego chwała,  
 Dobra z natury, jeśli ją do winy  
 Nie wciągnie przykład zły naszej rodziny,  
 Ona mi jedna krewna pozostała».

## Pieśń XX

(Hugo Kapet. O godności papieża.)  
 Naprzeciw lepszej woli nie bez szkody  
 Wola bój toczy; przeto dając ucha,  
 Kosztem mej chęci, zgodnie z chęcią ducha,  
 Wpół suchą gąbkę wydobyłem z wody.  
 I szliśmy z wodzem miejscem w skale wolnym,  
 Jak gzymsowaniem wąskim i okolnym;  
 Bo duchy łzami, co z ich ocz spadały,  
 Miękcząc zło, które owładło świat cały,  
 Na dłuż zajęły brzeg drugi tej skały.  
 Bądź, starożytna wilczyco, przeklęta,  
 Chciwsza w twym głodzie nad wszystkie zwierzęta.  
 O niebo! które swym ruchem, jak zda się,  
 Wszystko, co ziemskie, odmieniasz nam w czasie.

Mów, pożądanym, o, kiedyż się zjawi,  
 Co tę wilczycę spłoszy lub zadławi?  
 A szliśmy wolnym i mierzonym krokiem,  
 Na cienie baczynym poglądałem okiem,  
 Bolejąc nad ich płaczem i żałami.  
 «Słodka Maryjo!» głos jęknął przed nami,  
 Jakby rodzącej niewiasty jękami.  
 Głos dalej mówił: «Ty byłaś ubogą,  
 Ile ze żłobu ludzie sądzić mogą,  
 W którym złożyłaś twój ciężar tak święty!»  
 Głos potem dodał: «Fabrycjusz nad złoto  
 Przeniósł ubóstwo ożenione z cnotą».  
 W tych słowach czułem urok niepojęty.  
 Więc krok mój naprzód pomknęła chęć nowa,  
 By poznać ducha, co mówił te słowa.  
 Duch się unosił jeszcze nad szczodrota  
 Biskupa z Miry, co ubogie panny  
 Wspierał, by wiodły żywot nienaganny.  
 «Duchu, co mówisz tak dobrze!» do niego  
 Rzekłem, «kim byłeś, powiedz, i dlaczego  
 Tu jesteś jeden, co w pamięć bogaty,  
 Tak zasłużone odnawiasz pochwały?  
 Nie będą słowa twoje bez zapłaty,  
 Jeśli powrócę kończyć krótkie życie,  
 Które do kresu swojego tak leci!»  
 — «Odpowiem tobie», duch mówił w zachwycie;  
 «Nie dla pomocy, darmo jej życzyście,  
 Lecz że tak rzadka łaska w tobie świeci  
 Przed śmiercią jeszcze, gdy w ciele twa dusza.  
 Byłem ja ziarnem drzewa, które cały  
 Świat chrześcijański swym cieniem zagłusza,  
 Że rzadko owoc tam znajdziesz wystały.  
 Gdyby poczuli swą moc Flandryjczycy,  
 Piorun ich zemsty ujrzałbym niedługo.  
 Co oby zdarzył Ten, co wszystkich sądzi!  
 Nazwisko moje było Kapet Hugo,  
 Zrodzeni ze mnie Filipy, Ludwicy,  
 Ród mój bez przerwy ziemią Franków rządzi.  
 Syn ubogiego w Paryżu rzeźnika,  
 Gdy dawnych króli szczep usychał stary,  
 Prócz latorośli jedynej, Ludwika,  
 Który na pośmiech chodził w sukni szarej,  
 Odważnie rządu pochwyciłem wodze.  
 Tłum mnie przyjaciół wiódł po nowej drodze  
 I syna na tron wprowadziłem wdowi,  
 Z krwi jego wyszli pomazańce nowi.  
 Póki prowaukie wiano w moim domu,  
 Z krwi mej nie zdjęło przyrodzonego sromu,  
 Zła, znacząc mało, nie robił nikomu.  
 Potem gdy w moc swej potęgi uwierzył,  
 Kłamstwem i gwałtem na przemian grabieżył;  
 W chwili, gdy skrucą sumienie swe koil,  
 Ziemię Normandów, Gaskonów przyswoił.  
 Karol wszedł do Włoch, a w żalu i skrusze  
 Ściał Konradyna i Tomasza duszę  
 Posłał do nieba w pokucie i skrusze.  
 Przyjdzie czas wkrótce, co na włoskie pola

Od Franków wpędzi drugiego Karola.  
 Pozna go lepiej włoska ziemia wasza:  
 Bez broni, tylko sam włóczęgą Judasza  
 Zręcznie szermując przy waszej niezgodzie,  
 Pierś Florencyji na wylot przebodzie.  
 Ale tam zamiast cudzych ziem zaboru,  
 Na grzech zarobi i stratę honoru,  
 Grzech, co mu zgoła ciężaru nie zmniejszy,  
 Że na sumieniu wyda się mu lżejszy.  
 Trzeci, co wyszedł jak więzień z okrętu,  
 Widzę, jak córkę sprzedaje bez wstrętu,  
 Jako kupczący korsarz niewolnice.  
 Łakomstwo! gdzież są twej chuci granice?  
 Jeśliś do tyła w mojej krwi zawrzało,  
 Że targ śmie robić o swe własne ciało.  
 Lecz gdyby przyszłe, przeszłe i dzisiejsze  
 Zło w twoich oczach wydało się mniejsze,  
 Widzę w Anagni, jak w bojowym szyku  
 Franków sztandary wieją lilijami,  
 Więźnia Chrystusa w jego namiestniku.  
 Lud po raz drugi z niego szatę zdziera,  
 Biczuje groźbą i na nowo poi  
 Octem i żółcią; widzę, jak umiera  
 Pomiedzy dwoma żywymi łotrami.  
 Widzę nowego Pilata z Zachodu,  
 Co krwią duchowną nie nasycy głodu  
 I bez wyroku kościoła stolicy  
 Jej bojowników obnaża z kapicy.  
 O Panie! kiedyż doczekam się twojej  
 Zemsty, co skryta w chmurze tajemnicy,  
 Gniew twój łagodzi i osładza w niebie?  
 Com o jedynej rzekł oblubienicy  
 Świętego Ducha, co skłoniła ciebie  
 Zasięgnąć moich objaśnień i rady,  
 Póki dzień świeci, modlimy się do Niej;  
 Lecz gdy noc zmrokiem tę górę osłoni,  
 Rozpamiętujęm przeciwne przykłady:  
 Pigmaliona żarłoczność do złota,  
 Ile zła przez nią zbroił ten niecnota.  
 Nędzę Midasa, głupią chciwość jego,  
 Achana kradzież łupów przy Jerycho,  
 Który do dzisiaj swoją duszą lichą  
 Zda się czuć żądło gniewu Jozuego.  
 Rozpamiętujęm los Helijodora,  
 Jak był końskimi zdeptany kopyty,  
 Ananijasza i Polimnestora».

Wtem zagrział okrzyk aż pod niebo wzbity:  
 «Krassusie! skarbów łakomych niesyty,  
 Gdy ci Partowie złoto w usta leli,  
 Mów, jaki złota smak był w twej gardzieli?»  
 «Czasem ten głośno, drugi ciszej gada,  
 Podług zapалу, w jaki, mówiąc, wpada.  
 W dzień nie ja jeden, naszym gronem całem  
 Rozpamiętujęm o cnotach z zapalem,  
 Lecz tu głos drugich nie wpadł ci do ucha».

Ledwośmy tego pożegnali ducha,  
 Skwapliwe naprzód pomykając kroki,

Góra aż do dna zadrżała opoki;  
 Poczułem w sobie mimowolne drzenie,  
 Jako idący człowiek na stracenie.  
 Zaiste Delos nie drżał tak wstrząśniony,  
 Gdy został gniazdem położnym Latony,  
 Nim porodziła dwoje oczu nieba  
 W jednym połogu, Dyjanę i Feba,  
 Potem ze wszystkich stron potężnym krzykiem,  
 Śpiew: *Gloria Deo in excelsis* szumiał,  
 O ilem słowa w tym krzyku zrozumiał,  
 Najbliżej odeń stojąc na mą trwogę:  
 «Nie bój się» mówił mistrz do mnie zwrócony:  
 «Póki ja jestem twoim przewodnikiem.»  
 Tam nieruchomi, jak ci pastuszkowie,  
 Którym nucili śpiew ten aniołowie,  
 Staliśmy póty, aż chwiejące skałą  
 Trzęsienie ziemi z tym śpiewem ustało.  
 I szliśmy dalej w naszą świętą drogę,  
 Patrząc na cienie leżące na skale,  
 Co znów szerzyły swe powszednie żale.  
 Nigdy, o jeśli pamięć mię nie myli,  
 Nieświadom rzeczy, nie drżałem tak cały,  
 Aby ją poznać, zbadać, jak w tej chwili.  
 W nagłym pochodzie pytać go nie śmiałem,  
 A sam w treść rzeczy spojrzeć nie umiałem  
 Tak zamyślony szedłem i nieśmiały.

## Pieśń XXI

(Krąg V. Dlaczego góra się zatrzęsła. Stacjusz.)  
 Pragnienie, co się nigdy nie ugasza,  
 Chyba tą wodą, o którą stroskana  
 Samarytanka błagała u Pana,  
 Bodło mię; ledwo krok sunąłem nogą.  
 Politowaniem wzruszał obraz żywy  
 Za grzechy nasze zemsty sprawiedliwej.  
 I oto, pióro co pisze Łukasza,  
 Jak niespodzianie dwom idącym drogą  
 Jawił się Chrystus z grobu zmartwychwstały,  
 Cień się pokazał i szedł poza nami.  
 Patrząc na stopy leżących wzdłuż skały;  
 Niepostrzeżony, nim tymi słowami  
 Przemówił: «Bracia moi, pokój z wami!»  
 Nagleśmy oczy za się obrócili,  
 Gestem go wzajem pozdrowił Wirgili,  
 I mówił: «Witaj pozdrowieniem twojem,  
 Obyś w królestwo prawdy wszedł z pokojem,  
 Co mnie na wieczne wygnanie skazało».  
 «Jak to?» duch mówił, «Cóż wasz pośpiech znaczy,  
 Gdy was tam wyżej Bóg przyjąć nie raczy.  
 Kto was prowadził tak wysoką skałą?»  
 A mój mistrz: «Znaków gdy ujrzysz niemało,  
 Jakimi Anioł znaczył go na czole,  
 Przyznasz mu prawo być w wybranych kole,

Że przed nim niebios rozemknie się brama.  
 Lecz gdy mu życia nie niedoprzędzoną  
 Przędka nie zwiła jeszcze na wrzeciono,  
 Więc jego dusza, wspólna siostra nasza,  
 Wejść by nie mogła tak wysoko sama,  
 Bo jej piór lot nasz jeszcze nie podnasza.  
 Przeto wyszedłem z piekielnej otchłani,  
 Za wyższą wolą wskazywać mu drogę.  
 I wskażę, ile znam i znać ją mogę.  
 Lecz, proszę, powiedz, dlaczego w tej chwili  
 Trzęsła się góra i dlaczego na niej,  
 Z wierzchu do stóp jej, które płucze morze,  
 Krzyknęły duchy w jednym wielkim chorze».

To mówiąc, spotkał jak w igle Wirgili  
 Ucho mej żądy; czułem, jak kolejną  
 Głód mi pragnienia łagodził nadzieją.  
 Duch rzekł: «Ta góra od świata początku  
 Rządzi się prawem wiecznego porządku,  
 Wolna od wszelkich zaburzeń natury.  
 Hałasu tego powód był jedyny,  
 Że duszę niebo przyjęło z tej góry.  
 Tu nie ma żadnej przygodnej przyczyny.  
 Deszczowe, śnieżne i gradowe chmury,  
 Szrony, co rosę na powietrzu mrozą,  
 Za trzystopniowym progiem się nie tworzą.  
 Tu chmur nie widzimy, błyskawic i tęczy,  
 Co zmienia u was barwę swych obręczy,  
 Tu suchy wyziew za próg nie przenika  
 Zajęty stopą bożego klucznika.  
 Być może, niżej zrąb tej góry świętej  
 Mniej więcej wstrząsa przyczyna podziemna;  
 Czemu jej wyżyn wiatr w ziemi zamknięty  
 Nie zachwiał nigdy, to zagadka ciemna.  
 Góra ta drżeniem wtenczas się porusza,  
 Gdy oczyszczona ze zmaz wstaje dusza  
 I wzlata wyżej, głośno, potem ciszej,  
 Jej wniebowzięciu ten krzyk towarzyszy.  
 Wola jest tylko próbą oczyszczenia,  
 Dusza gdy siebie ze swych zmaz wyzwoli,  
 Wola ją bodzie, że swój pobyt zmienia;  
 Tak duch używa sprawiedliwej woli.  
 Duch rad by zbliżyć chwilę wyzwolenia,  
 Lecz żądza skrucy na to nie przyzwoli;  
 Bo sprawiedliwość, jaką się tu rządzi,  
 Chce po grzeszniku, aby z równą żądzą,  
 Jak lgnął do grzechu, tęsknił do pokuty.  
 Ja, com lat pięćset i więcej przykuty  
 W mękach przeleżał, gdyście tu wkroczyli,  
 Oto, zaiste, poczułem w tej chwili  
 Tę wolną wolę lepszego pobytu.  
 Dlatego słyszał od góry tej szczytu  
 Do jej podnóża takie drżenie skały,  
 Krzyk, z jakim duchy cześć Panu śpiewały,  
 Aby je prędzej wziął do swojej chwały».

Tak mówił: a jak miłsze ochłodzenie  
 Czuję w napoju, im większe pragnienie,  
 Czułem, to mówiąc, jak rzeźwił me chcenie.

A wódz mój: «Widzę was łowiące sieci,  
 Jak z nich wyzwala siebie, kto w nie wleci;  
 Widzę, dlaczego drży ta góra święta  
 I przez co wasza radość jest poczęta.  
 Lecz mów, kim byłeś? Na tej skały bryle  
 Dlaczego wieków przeleżałeś tyle?»  
 — «Gdy dobry Tytus był z nieba wybrany,  
 By w Jeruzalem wśród dymiących zgłiszczy,  
 Krwi przez Judasza zemścił się przelanej,»  
 Duch odpowiedział «żyłem w one lata,  
 Świecąc tytułem, który wobec świata  
 I trwa najdłużej, i najwięcej błyszczy.  
 Kiedym się wstawił słodkimi pieśniami,  
 Mnie, Tolozana, spotkał tryumf w Rzymie,  
 Tam skronie moje wieńczono laurami:  
 Lecz promień wiary nie świecił mi jeszcze.  
 Na ziemi noszę Stacyjusza imię;  
 Śpiewałem Teby, a potem Achilla,  
 Lecz wielki przedmiot znużył mię do tyła,  
 Żem padł w pół drogi pod drugim ciężarem.  
 Zapał mój spotkał to ognisko wieszczce,  
 Którego grzał się iskrami i żarem.  
 O *Eneidzie* mówię, która długo  
 Była mi matką poezji drugą;  
 Bez niej myśl moja, co z niej pokarm ssala,  
 I jednej drachmy wagi by nie miała.  
 Gdybym z Wirgilim żył w spółczesnej porze,  
 O rok tu jeden, choć wola mi wzbrania,  
 Rad bym przedłużył czas mego wygnania».

Mistrz na mnie spojrzał ze wzroku wyrazem  
 Takim, co milcząc, «milcz» mówił zarazem.  
 Wola choć wiele, lecz nie wszystko może:  
 Śmiech jak płacz, jeśli go skłonność w nas budzi  
 Lub doń zewnętrzny przedmiot usposobi,  
 Woli najszczerzych nie usłucha ludzi.  
 Jam się uśmiechnął, jak ten, co znak robi:  
 Cień to postrzegłszy zamilkł w tym momencie  
 I patrzył bystro oczyma w me oczy,  
 Gdzie skłonność duszy widna jak w przeźroczy.  
 I rzekł: «O, gdybyś oczyszczony z grzechu  
 Spełnił z twym dobrem wielkie przedsięwzięcie!  
 Lecz za co twarz twą przebiegł błysk uśmiechu?»  
 Na obie strony chwiałem się jak trzcina,  
 Ów każe milczeć, ten mówić zaklina,  
 Westchnąłem, kłopot mój pojął Wirgili.  
 Mnie pojmujący mówił mistrz tej chwili:  
 «Mów, odpowiadaj, patrz, on cały w uchu!»  
 — «Może się dziwisz, starożytny duchu,  
 Żem się uśmiechnął?» rzekłem «Nie sądz krzywo,  
 Ciebie zadziwi jeszcze większe dziwo.  
 Ten, co prowadzi mię do rajów progów,  
 Patrz, oto stoi duch Wirgilijusza;  
 Od niego twoja uczyła się dusza  
 Śpiewać potężnie i ludzi, i bogów.  
 Wierz, mego śmiechu był powód niewinny,  
 Nie podejrzejawaj, powód ten, nie inny;  
 Wobec mojego wodza twe pochwały

Same z lic moich uśmiech wywołały». Stacyjusz zgiął się jak trzcina pochwiana, Chcąc mego mistrza objąć za kolana. A mistrz: «Stój, bracie, czyn twój jest złudzeniem Bo i ja jestem takim jak ty cieniem». A duch powstając: «Tu poznać masz porę, Jaką miłością ja do ciebie gorę! Gdy mimo nasze próżności niemałe, Chciałem uścisnąć cień jak ciało stałe».

## Pieśń XXII

(Stacyjusz i Wirgiliusza Ekloga 4. Krąg VI. Żarłocy, głodni, leżący pod drzewem życia. Piąte P znikło.)

Wprowadzający nas w krąg szósty góry,  
Znak z mego czoła zmazawszy skrzydłami,  
Już był odleciał anioł białopióry.  
W sprawiedliwości zatopionych cieni,  
Zwróconych do niej wszystkimi żądzami  
Cały chór mówił nam: «Błogosławieni»  
I na tym słowie «łaknący» głos słodki  
Zamilkł, i reszty nie domówił zwrotki.  
Po schodach, czując większą lekkość ruchów,  
Bez trudu szedłem śladem lekkich duchów.  
Wirgili zaczął: «Miłość w głębi ducha  
Zatłona cnotą, gdy na zewnątrz bucha,  
W lot drugą miłość swą iskrą zapala.  
Odtąd gdy do nas zszedł cień Juwenala  
W przedsięń piekielną i skłonność twą dla mnie,  
W słowach strzelistych objawił niekłamnie,  
Takie spółczucie poczułem ku tobie,  
Jakiegoś nie czułem ku obcej osobie,  
Że z tobą spieszno iść mi po tej skale.  
Jeślim mój język rozwiązał za wiele,  
Przebac mi, odtąd jako przyjaciele  
Nawzajem z sobą mówmy poufale.  
Mogli zgrzeszyć łakomstwem twa dusza,  
Którą zmysł piękna zachwyca i wzrusza  
Tak ukształcony przez ciebie?» Te słowa  
Wzbudziły lekki uśmiech Stacyjusza.  
Wtem odpowiedział: «Szczerość mię nie drażni,  
Widzę w niej drogi znak twojej przyjaźni.  
Zaiste, pozór rzeczy mylny bywa,  
Bo nam zakryta przyczyna prawdziwa:  
Zaiste, mniemasz, co zdradza twa mowa,  
Żem był do ziemi łakomstwem przykuty,  
Może z powodu miejsca mej pokuty?  
Jam się łakomstwem brzydził za żywota,  
Czasu tysiąca księżyców za mało,  
By zmyć pokutą jego plamę całą.  
I gdyby żądz mi nie hamował z góry  
Wiersz twój gromiący brud ludzkiej natury:  
»Czegóż nie zbroi chciwość głodna złota?«  
Musiałbym toczyć głązy wpół schylony,



Z potępieńcami biegając w przegony.  
 Wtenczas postrzegłem, że rozrzutnym szaleem  
 Często zanadto dłoń mą otwierałem:  
 I żalem, skruchą, w modlitwach przyczynnych,  
 Grzech ten zgładziłem jak i wiele innych.  
 Ileż głów łysych z grobów się podniesie  
 W straszny dzień Sądu tych, co zapomnieli,  
 Że grzech ten skruchą z swej by duszy zdjęli,  
 Bądź w ciągu życia, bądź przy jego kresie.  
 Wiedz, te dwa grzechy, których względna sprzeczność  
 Łączy je z sobą przez ich ostateczność,  
 Tu jad swój tracą już na całą wieczność.  
 Więc jeśli w jednym kręgu z łakomcami,  
 Duch się mój czyścił pokutą i łzami,  
 To się trafiło przez grzech mój przeciwny».

A sielskich wierszy rzekł śpiewak przedziwny:  
 «Gdyś bratnich wojen piał śpiew uroczysty,  
 A w nim Jokasty żal, smutek dwoisty,  
 Z dźwięków, jakimi przez twe usta brzmiała  
 Poważna Klio, ani mogłem wnosić,  
 Że ci wśród wiernych Wiara miejsce dała,  
 Bez której dobrze czynić to nie dosyć.  
 Gdy prawdę mówisz, powiedz, światłość jaka  
 Tak rozproszyła twe dawne ciemności,  
 Że swoją łódkę z morskich nawałności  
 Rad skierowałeś do łodzi rybaka?»

A on: — «Tyś pierwszy we mnie zapał wzniecił  
 Chodzić w twe ślady drogą ścieżek nowych  
 I pić ze źródeł jak ty parnasowych;  
 Pierwszyś w miłości bożej mię oświecił.  
 Ty jak ów byłeś, co latarkę w nocy  
 Niesie za sobą, sam żadnej pomocy  
 Nie ma z jej światła, lecz za nim idącym  
 Oświeca drogę blaskiem migającym.  
 Odkąd wyrzekłeś: »Świat się nasz odmładza,  
 Z nieba wiek złoty, nowe ludzi plemię  
 Z sprawiedliwością zstępują na ziemię«.

Przez ciebie, gdy mnie duch twój wieszczy krzepi,  
 Byłem poetą i chrześcijaninem.  
 Lecz mój rysunek gdybyś widział lepiej,  
 Pędzel ten zarys farbą naprowadza.  
 Już ziarno wiary słowami i czynem,  
 Po całej ziemi, aż po świata krańce  
 Sieli wiecznego królestwa posłańce.  
 Jak w twojej wieszczbie, widząc, że duch wieje,  
 W tym, co kazali nowi kaznodzieje,  
 Stałem się pilnym ich słowa słuchaczem;  
 Przed ich świętością padłem na kolana.  
 A gdy je ścinał miecz Domicyjana,  
 Łzy moje z krwią ich mieszałem i płaczem.  
 Niosłem im pomoc, życie ich niewinne  
 Kazało zbrzydzić wszystkie sekty inne.  
 Wprzód nim pieśń moja wojujące Greki  
 Zaprowadziła nad tebańskie rzeki,  
 Chrzeszt już przyjąłem, lecz dla głupiej trwogi  
 Długo pozornie czciłem fałszu bogi.  
 Za tę oziębłość z górą cztery wieki

Biegałem ciągle, nie zażywszy wczasu,  
 Po kręgu czwartym: ty, coś zdjął zasłonę  
 Ćmiącą mym oczom dobro nieskończone;  
 Ponieważ mamy jeszcze dosyć czasu,  
 Jeśli wiesz, powiedz, cień Terencyjusza,  
 Plauta, Warrona, gdzie, czy potępieni?  
 Po jakim kręgu ich błąka się dusza?»  
 — «Oni, ja, Persy, wiele innych cieni,  
 Mieszkamy razem» rzekł wódz «z ślepym Grekiem,  
 Którego Muzy karmiły swym mlekiem  
 Dłużej od wszystkich; jest krąg w piekle wielki,  
 Tam często gwarzym, wlekąc czas w tęsknotach,  
 O pięknej górze, o jej chłodnych grotach,  
 W których mieszkają nasze karmicielki.  
 Symonidesa cień, Anakreona  
 I wielu Greków mieszka w kręgu owym,  
 Którzy zdobili skroń liściem laurowym.  
 Tam są wślawione twej Muzy pieśniami  
 Smutna Izmena, mężna Antygona,  
 Deidamia ze swymi siostrami».  
 Zamilkli oba, Stacyjusz, Wirgili,  
 Przebiegłszy schody w krąg oczy zwrócili:  
 Cztery dnia sługi odeszły, a piąta  
 Stojąc przy wozie służebna się krząta,  
 Kierując dyszla wierzch zapłomieniony.  
 A wódz mój mówił: «Ja myślę, że teraz  
 Prawej od brzegu trzymajmy się strony,  
 Obchodząc górę, tak szliśmy już nieraz».  
 Zwyczaj ten był więc naszym drogoscazem  
 I szliśmy dalej z mniejszym utrudzeniem,  
 Śmielsi drugiego ducha przyzwoleniem.  
 Z tyłu ja, cienie po przedzie szły razem,  
 A z ich rozmowy czerpałem naukę,  
 Poznając głębiej poezji sztukę.  
 Rozmowę słodką przerwał widok drzewa,  
 Którego owoc wonny i uroczy  
 Na środku drogi nęcił nasze oczy.  
 Jak jodła wierzchem, co w niebo powiewa,  
 Stopniowo zwęża gałęzi koronę;  
 Drzewo to rosło od ziemi zwężone,  
 Aby nikt, myślę, nie czepiał się po niem.  
 Jak strumień z góry wytryska nad błoniem,  
 Z głązu, co nasze zamykał nam iście,  
 Tryskała wilgoć i dżdżyła na liście.  
 Dwaj się poeci ku drzewu zbliżyli,  
 Wtem głos ze środka liści zaświergoce:  
 «Nie wam pożywać te piękne owoce!»  
 Znów głos w te słowa zaszumiał po chwili:  
 «Maryja więcej troszczyła się o to,  
 Jak przyjąć gości sproszonych na gody,  
 Niż o swe usta łaknące, któremi  
 Modli się w niebie za grzesznych na ziemi.  
 Dawne Rzymianki słynące prostotą  
 Lubily napój ze zdrojowej wody,  
 Daniel stołem królewskim pomiata,  
 I jako mędrzec zasłynął skroś świata.  
 Pierwszy wiek świata był piękny jak złoto,

Żołądz najmiłszym pokarmem o głodzie,  
Pragnący znalazł nektar w czystej wodzie.  
Miód i szarańcza karmiły Chrzyciela  
W puszczy bezludnej; stąd jego tak zgodnie  
Wielkim i sławnym zwał lud Izraela,  
Co z Ewangelii poznałeś dowodnie».

## Pieśń XXIII

(Cienie. Foreze Donati mówi o rozpuszcie niewiast florenckich.)

Gdy między gęste i zielone liście  
Wcisnąłem oczy, podobny chłopcowi  
Co z próżnowania w lesie ptaszki łowi,  
Wódz mój jak ojciec zbliżył się i mówi:  
«Idź, synu, daru chwili źle nadużyć,  
Tu trzeba czasu użyteczniej użyć».  
Zważywszy radę mądrą rzeczywiście,  
Ku mędrcom krok mój zwróciłem i oczy,  
Idąc ich śladem lekki i ochoczy.  
Oto słyszałem i płacz, i śpiewanie:  
Psalm «Usta moje otwórz mi, o Panie!»  
Pobudzał we mnie radość i cierpienie.  
«Co za głos» rzekłem: «Brzmi w żalonym echu?»  
A mistrz: «Być może, nowe idą cienie,  
Tu rozwiązywać węzeł swego grzechu».  
Zamysłonego obyczaj pielgrzyma,  
Gdy nieznajomych spotyka podróżnych,  
Zwraca się do nich, lecz się nie zatrzyma;  
Tak orszak cieniów niemych i pobożnych,  
Szybkim za nami postępując krokiem,  
Szedł, a przechodząc rzucał na nas okiem.  
A cienie były straszliwej chudości,  
Żrenica ciemna, w twarz głęboko wpadła,  
Pod skórą widne zarysy ich kości.  
Nie sądzę, aby na swojej osobie  
Miał więcej suchą Erizychton skórę,  
Gdy wewnątrz głodu upaleniem gore.  
Oto był takim, pomyśliłem w sobie,  
Lud, gdy wychodził przez zgłiszcza i dymy,  
Tracąc zburzonej gród Jerozolimy,  
Gdzie matka z głodu własne dziecko zjadła.  
Oczy ich były jak wklęsłe pierścienie,  
Z których wyjęto błyszczące kamienie.  
Kto w twarzach ludzkich przywykł czytać OMO  
Złożyłby z lic ich głoskę M widomą.  
Któż by uwierzył, jeśli by sam wprzód  
Nie wiedział skutku owoców i wody  
Drażniących żądze cierpieniem tak żywym?  
Nie mogąc znaleźć sam przyczyny na to,  
Na twarze kryte łuską trędowatą,  
Na taką chudość patrzałem z podziwem.  
Cień jeden oczy z jam czaszki wyrzucił  
I spojrzał na mnie; potem z ust wyrzucił  
Te słowa: «Jakaż łaską Bóg mię darzy!»

Nie mógłbym nigdy jego poznać z twarzy,  
 Wyszły jak trzaska, poznałem po głosie;  
 Iskra przeze mnie przebiegła, zdało się,  
 I przy jej świetle zdołałem wydostać  
 Z dna mej pamięci Forezego postać.  
 — «Nie zważaj» błagał «na ten trąd tak suchy.  
 Na brak wyraźny ciała w mej osobie,  
 Lecz nie odmawiaj, mów, kto jest przy tobie?  
 Jakie dwa ciebie prowadzą tu duchy?»  
 — «Kiedy nad tobą umarłym płakałem,  
 Nie mniej bolesne lzy» odpowiedziałem  
 «Leję nad twoim tak zmienionym ciałem.  
 Powiedz, dla Boga, co się z tobą stało,  
 Co tak cię nagle z ciała rozebrało?  
 Póki z podziwu myśli nie wyzwolę,  
 Milczę; źle mówi, kto ma inną wolę».  
 A duch: «Tajemna siła z wiecznej rady  
 Schodzi w tę wodę i w rdzeń tego drzewa,  
 Które za nami oto stoi z dala;  
 Przez nią ja jestem tak chudy i blady.  
 Ten lud szkieletów, który płacząc, śpiewa,  
 Będąc bez miary posłusznym swej gębie,  
 Tu się uświęca przez głód i pragnienie.  
 Woń, co z owoców i wody wynika,  
 Rozwiana wiatrem wzdłuż tego trawnika,  
 Jadła, napoju w nas żądzę zapala.  
 Chodząc tu w kółko po skały tej zrębie  
 Nieraz poczułem mękę, mękę mówię,  
 Gdy powinienem był rzec: pocieszenie.  
 Bo wola, która iść przez to pustkowie  
 Do tego drzewa bodzie nasze siły,  
 Jest tą, co bodła Chrystusa rzec: »Eli!«,  
 Gdy nas wyzwalał krwią ze swojej żyły».  
 A ja: «Foreze, od dnia, gdy z pościeli  
 Śmiertelnej w lepsze tu życie wstąpiłeś,  
 Pięciu lat spełna jeszcze nie przeżyłeś.  
 Jeśli się w tobie kończy grzechu władza  
 Wprzód, zanim w ciebie wsiąknęła głęboko  
 Boleść zbawienna, co nas jedna z Bogiem:  
 Jak tu zaszedłeś jeszcze tak wysoko?  
 Myślałem spotkać cię za czyścica progiem,  
 Tam niżej, gdzie czas czasem się nagradza.  
 A on: «Winienem czulej Nelli mojej,  
 Że słodki piołun boleści mię poi;  
 Jej lzy, westchnienia i pobożne modły  
 Z miejsc, gdzie duch czeka, prędeż mię wywiodły.  
 Tym miłsza Bogu moja dobra wdowa,  
 Że wśród zepsucia ślub swój wiernie chowa.  
 W dzikich sardyńskich górach, ile pomnę,  
 Niewiasty więcej wstydlive i skromne  
 Niż tam, gdzie Nella lzy leje w żałobie.  
 Czegóż chcesz, bracie? Oto powiem tobie,  
 W duchu już widzę czas przyszły na ziemi,  
 Z którym obecna godzina się zleje,  
 Gdy z ambon gromić będą kaznodzieje,  
 Głośnie z bezwstydných strojów florentynki,  
 Co rade świecić piersiami nagiemi.

Kto Saracenki zmuszał lub Turczynki  
 Aż przez zakazy świeckie lub duchowne,  
 Ażeby stroje nosiły stosowne?  
 Gdyby bezwstydnym zgadły wieszczym duchem,  
 Jaki gniew nieba ściąga ta rozpusta,  
 Już by do wycia otworzyły usta.  
 Gdy się nie mylę, ich lament posłyszę  
 Wprzód nim twarz dziecka pokryje się puchem,  
 Które dziś do snu pieśń mamki kołysze.  
 Lecz mów, kto jesteś? O, nie bądź nam głuchy!  
 Widzisz, nie jeden ja, lecz wszystkie duchy  
 Patrzą w to miejsce z ciekawym zapalem,  
 Gdzie stojąc słońce zakrywasz swym ciałem».

A ja: «Gdy sobie przypomnisz, jakimi  
 Byliśmy oba spół żyjąc na ziemi,  
 To przypomnienie myślami smutnymi  
 Duch twój obciąży jako smutek ciągły.  
 Ten oto mędrzec z tego życia lasu  
 Mnie wyprowadził, gdy onego czasu  
 Tego brat wschodził na niebie okrągły».

I pokazałem słońce: «on zaiste,  
 Do rzeczywiście zmarłych zstąpił ze mną,  
 Wiódł mię przez noc ich głęboką i ciemną;  
 Wodzi przez kręgi i schody łamane  
 Tej góry, która, któż by się nie zdziwił?  
 Tak was prostuje, was, których świat skrzywił,  
 On mnie prowadzi w wyższe okolice,  
 Tam, kędy spotkam moją Beatrycę:  
 Wtenczas bez niego sam jeden zostanę.  
 Tak mi powiadał oto on, Wirgili  
 (Palcem wskazałem idącego skałą).  
 Drugi jest cieniem, dla którego w chwili,  
 Gdy się rozstawał z waszą rzeszą całą,  
 Wasze królestwo po wszech kręgach drżało».

## Pieśń XXIV

(Papież Marcin IV i inni. Przedostatnie P znika z czoła.)

Gdy tak wciąż idziem i wciąż rozmawiamy,  
 Szliśmy wypustem granitowej ściany,  
 Szybko jak okręt dobrym wiatrem gnany.  
 A zmarłych zda się po dwa razy cienie,  
 Wiedząc, że żywy, przez oczu swych jamy  
 Pokazywały swoje zadziwienie.  
 «Ten cień» mówiłem «z naszego powodu,  
 Snadź w niebo swego nie nagli pochodu.  
 Mów, gdzie Pikarda? Mów, gdy łaska twoja,  
 W tłumie, co na mnie zwraca wzrok tak głodny,  
 Czy jest choć jeden mąż uwagi godny?»  
 Foreze mówił: «Piękna siostra moja  
 I taka dobra! Duch jej w zachwyceniu  
 Cieszy się w raju tryumfu koroną».

I dodał potem: «Tu nam nie wzbroniono  
 Wzajem nazywać siebie po imieniu,

Tak podobieństwo nasze głód sfalszował». Wskazując palcem: «Patrz, jak wyschły głodem Buonadżunta, z miasta Lukki rodem. Patrz, ten najchudszy, jakby z krzyża zdjęty, W ramionach swoich trzymał kościół święty, Frank ten węgorze warzył w słodkim winie, Nie myślił, kładąc je żywcem w naczynie, Że będzie takim postem pokutował». Koleją wielu po imieniu woła, Z nazwanych żaden ani zmarszczył czoła. Widziałem między tylu żarłokami Ubalda, jak żuł powietrze zębami, Bonifacego, co na uczty, gody, Arcybiskupie marnował dochody. Markiza z Forli, co z pełnego dzbana Pragnienie gasił do zmroku od rana. Podobny temu, co w tłumie rad bada, Kto jemu więcej do serca przypada, Wybrałem sobie znajomego z Lukki: On imię jakiejś wyjąkał Gentuki Gardłem zranionym przez ogień suchotny. «Duchu,» doń rzekłem «jeśliś tak ochotny Rozmawiać ze mną, gdy ci głos nie drażni Wschlej gardzieli, chciej mówić wyraźniej». Duch zaczął mówić: «Niewiasta zrodzona, Której lic jeszcze nie kryje zasłona, Przez nią podobasz mieszkać w moim mieście; Z tą przepowiednią pójdziesz tam nareszcie. Jeśli co błędnie usta moje mruczą, Przyszłe wypadki same cię pouczą. Lecz mów, azali w tobie nie widzimy Tego, co wydał na świat nowe rymy, Gdzie na początku jest wiersz: »Piękne panie! Co pojmujecie tak żywo kochanie«?» A ja: «Gdy miłość natchnie mego ducha, Co myśl z jej mowy wewnętrznej podsłucha, Co ona mówi, ja tylko to piszę». «O bracie!» rzekł on «z tego, co ja słyszę, Postrzegam węzeł, co poetów tylu Zatrzymał z dala od twojego stylu, Zwłaszcza Notera, mnie i Guitona. Spod pióra twego tryska pieśń natchniona, Kogo natchnienia lot wyżej porywa, Dwóch stylów z sobą ten nie porównywa». Rad w sobie, zamilkł: jak jeden za drugim Ptak zimujący nad brzegami Nilu Zrywa się, leci, ciągnie pasem długim, Tak wszystkie duchy, wszystkie, co tam były, Zwracając twarze swój pochód nagliły, Lekkie zarazem chudością i wolą. Jak biegącemu gdy nogi zabolą, Znużony swoich spółbiegaczów rzuca, Zanim odetchną zmordowane płuca: Tak i Foreze za trzodą szczęśliwą, Z tyłu, opodal szedł za mną leniwo, I mówił do mnie: «Kiedyż cię zobaczę?» — «Nie wiem,» odrzekłem «jak żyć będę długo,

Lecz w chęci rad bym tu pielgrzymkę drugą  
 Odbyć co prędzej: bo moja kraina,  
 Gdzie pędzą życie z dnia na dzień tułacze,  
 Smutna jest, bliska grozi jej ruina».  
 «Idź!» rzekł «już widzę zwierzę, jak Donata,  
 Ogonem wlecze w otchłań zatracenia,  
 Gdzie żadnym grzechom nie ma przebaczenia.  
 Koń jak wiatr pędzi, kurz trupem zamiata,  
 Wstrząsł się, trup wagą swojego ciężaru  
 Okaleczały runął w przepaść jaru.  
 Tym sferom krążyć maluczko po niebie,  
 (I spojrział w niebo) aż sam ujrzysz z trwogą  
 To, co me słowa jaśniej rzec nie mogą.  
 Czas w tym królestwie drogi, żegnam ciebie!  
 Idąc tak we dwóch, choć się chętnie dzielę  
 Z tobą mym czasem, tracę go za wiele».  
 Jak kiedy jazda na jazdę naciera,  
 Jeździec rycerskim uniesion zapałem,  
 Z szeregu naprzód pomyka się cwałem,  
 I cześć pierwszego natarcia odbiera;  
 Foreze od nas wielkim skoczył krokiem.  
 Jam tylko z dwoma pozostał na drodze,  
 Oba tak wielcy w poezji wodze!  
 Gdy już nie mogłem doścignąć go okiem,  
 Tak jak ścigałem myślą jego słowa,  
 Spostrzegłem, oto stała jabłoń nowa,  
 Pełna owoców; a duchów gromada  
 Tworząc ruchome koło drzewa wieńce,  
 Z krzykiem ku liściom wyciągała ręce;  
 Jak małe dzieci próżnych pełne chęci,  
 Gdy je nadzieja podarunku nęci,  
 Każde swe prośby strzeliste przekłada;  
 Proszony od nich, nic nie odpowiada,  
 Tylko nad nimi trzyma cacko w dłoni  
 Drażniąc ich żądze jak owoc jabłoni.  
 Od tego drzewa duchy w skok odbiegły,  
 Jak gdyby swego błędu nie postrzegły;  
 Pod jabłoń głuchą na ich łzy i prośby  
 Myśmy podeszli: — «Ani kroku bliżej!  
 Przechodźcie dalej, jabłoń jest tam wyżej,  
 Z której owocu skosztowała Ewa,  
 Ta latoroślą jest tamtego drzewa».  
 Liść szumiał głosem, nie wiem czyje, groźby.  
 Samotrzcę szliśmy, krocząc bliżej strony,  
 Gdzie brzeg był skały więcej podniesiony.  
 «Pomnijcie» mówił głos «na płód nieczysty  
 Z chmury poczęty, o piersi dwoistej,  
 Co po pijanu napadł Tezeusza.  
 Miętkość Hebreów niech zgrozą porusza,  
 Czerpaniem wody z potoku zdradzona,  
 Gdy w Madyjanie grzmiał miecz Gedeona».  
 Tak wyższym brzegiem kamiennych pokładów  
 Idąc, słuchałem dość licznych przykładów  
 Grzechu obżarstwa; jego plagi srogiej.  
 Potem wychodząc na pośrodek drogi,  
 Na tysiąc kroków szliśmy zamyśleni,  
 Milcząc i tonąc w domysły wątpliwe.

«Gdzie to idziecie, myśląc, wszyscy troje?»  
 Głos rzekł; ja czoło uchyliłem moje,  
 Jak robią w strachu zwierzęta lękliwe;  
 Chcąc wiedzieć, kto to był, podniosłem głowę.  
 Nigdy szkło w ogniu tak się nie czerwieni,  
 Nie więcej błyszczą roztopy kruszcowe,  
 Jako duch, który tak kończył przemowę:  
 «Tędy, gdy chcecie, idźcie w imię Boga,  
 Tędy idących do pokoju droga».  
 A widok jego pozbawił mię wzroku.  
 Ku mistrzom moim przybliżyłem kroku,  
 Jak człowiek uchem pytający ciszy,  
 Idzie w kierunku głosu, jaki słyszy.  
 Jako majowy powiew, poseł zorzy,  
 Wonią traw, kwiatów przewiewa świat boży,  
 Taki wiatr, czułem, uderzył mi w czoło,  
 Poczułem lekkie poruszenie skrzydła,  
 Pióra wiejące wonnością kadzidła.  
 I głos poczułem mówiących wokoło:  
 «Błogosławieni, łaska boża z tymi,  
 Których krew w sercu zbytkiem żądz nie dymi.  
 Co tyle łakną powszedniego chleba,  
 Ile rozsądnie głód nasycić trzeba».

## Pieśń XXV

(W drodze do kręgu VII. Rozprawa o powstaniu duszy, o śmierci i cieniach.

Krąg VII. Rozpustnicy wśród płomieni i burzy.)

Była godzina niecierpiąca zwłoki,  
 Bo ustąpiły kręgu południka  
 Noc dla Skorpiona, a słońce dla Byka.  
 Jak robi człowiek naglący swe kroki,  
 Co bądź napotka, idzie swoją drogą,  
 Jeśli potrzeba, bodzie go ostrogą.  
 Jakiśmy weszli w sklepiony loch skały,  
 Jeden za drugim, bo w chwili przechodu  
 Nas rozdzieliła zbytńia ważkość schodu.  
 Jak chęć latania czując bocian mały,  
 Podnosi skrzydła, to spuszcza koleją,  
 Gdy te już gniazda porzucić nie śmieją:  
 Tak zapytania chęć we mnie paliła,  
 To zapalała siebie, to gasiła,  
 Ażem poruszył wargą, jak gotowy  
 Człowiek przemówić gorącymi słowy.  
 A chociaż szliśmy dość szybko tą razą,  
 Ojciec mój rzekł mi: «Puszczaj strzałę słowa,  
 Widzę nagiąłeś łuk aż po żelazo».  
 Wtedy ja usta otworzyłem śmiało:  
 — «Jak można schudnąć, tam gdzie was nie bodzie  
 Potrzeba łaknąć pokarmu o głodzie?»  
 A mistrz: «To dla cię zaiste rzecz nowa,  
 Lecz gdybyś żywiej w swej myśli przedstawił,  
 Jak się trawiło Meleagra ciało,  
 W miarę jak ogień suche drewno trawił;



Gdybyś uważał, jako w jednym czasie,  
 Ledwo twa postać po zwierciadle wionie,  
 Cały twój obraz w jego szkle już tonie,  
 Co było twardym, wnet ci miękkim zda się.  
 Oto przeze mnie Stacyjusz wezwany  
 Raczy lekarzem być na twoje rany».

Stacjusz: «Jeśli widzisz być koniecznym,  
 Bym wobec ciebie o karaniu wiecznym  
 Rozprawiał przed nim, niech to mię wymówi,  
 Że, uczeń, nie śmiem zaprzeczać mistrzowi».

A do mnie: «Synu, słuchaj, moje słowo  
 Na twe pytanie rzuci światłość nową.  
 Krew niewypita przez spragnione żyły,  
 Która zostaje jak zbytńia potrawa,  
 Gdy syty ucztą gość od stołu wstawa,  
 Przeczysta, w sercu bierze treść tej siły,  
 Która ukształca wszystkie członki wasze  
 Jak ta, co wsiąkać w te członki stworzona,  
 Krąży po żyłach. A lepiej strawiona  
 Schodzi w część ciała, którą tu w mym rymie  
 Lepiej przemilczeć niż nazwać na imię.  
 Stamtąd kroplami na krew drugą wpływa  
 Drugiej istoty, w przyrodzoną czasę.  
 Tam wspólny pociąg dwie treści ożenią,  
 Jedną skłonioną przyjmować wrażenia,  
 A drugą działać, gdy ta oddziaływa.  
 Wtenczas ojcowska krew działać zaczyna,  
 Zrazu tężając, w kolej treść stężałą  
 Ożywia jako mające żyć ciało.  
 Krew rodzicielska swoją treścią czynną,  
 Kiedy już duszą staje się roślinną  
 I żyć, i rosnać pocznie jak roślina,  
 (Lecz z tą różnicą, gdy ta jest już w brzegu,  
 Tamta na drogę wchodzi w pełnym biegu),  
 Zrazu tak działa, że już się mocuje  
 Jak morska gąbka rusza się i czuje;  
 I wnet rozwija dane przyrodzeniem  
 Władze człowieka, których jest nasieniem.  
 Szerzy się, to się rozciąga, mój synu,  
 Siła, co z serca rodzica pochodzi,  
 A skąd natura skład członków wywodzi.  
 Lecz dalszy rozwój zważając jej czynu,  
 Jak ten zwierzokrzew mający żyć mlekiem,  
 Jak ssące zwierzę, staje się człowiekiem,  
 Nie widzisz jeszcze; oto jest punkt główny,  
 Gdzie mędrszy od cię wpadł w błąd niewymowny;  
 Umysł od duszy oddzielając w błędzie,  
 Że widnym jego nie było narzędzie.  
 Otwórz twe serce, bo doń z prawdą dążę.  
 Gdy już tkań mózgu w płodzie się zawiąże,  
 Stwórcą, któremu swój twór uznać miło,  
 Wesół się zwraca i zstępuje z góry  
 Ku arcydziełu takiemu natury,  
 Tchnie weń duch nowy, który z taką siłą  
 Czynność mózgową jeszcze pół roślinną  
 Łączy, zespała ze swą treścią czynną,  
 Aż jedna dusza z nich się przeobraża,

Ta żyje, czuje i siebie rozważa.  
 Gdybyś ze słów mych sąd pogodził spreczny  
 I mniej się dziwił, zważ upał słoneczny,  
 Który złączony z sokami, co płyną  
 Z winnej jagody, przemienia się w wino.  
 Z prządków wrzeczona gdy nie życia rwie się,  
 Wnet z ciałem rozwód bierze dusza nasza,  
 Z sobą co ludzkie, co boskie, unasza;  
 Czujące władze krzepną w tym momencie,  
 Lecz za to pamięć, wola i pojęcie  
 Bystrzej działają i w szerszym zakresie.  
 Dusza z doczesnych na ziemi noclegów,  
 Z natchnienia woli, tej skazówki nieba,  
 Schodzi cudownie do jednego z brzegów,  
 Tam wieść odbiera, kędy iść jej trzeba.  
 Gdy wstąpi w miejsce swego pomieszkania,  
 Ją opromienia siła kształtowania,  
 Zarówno czynna gdy żyła w swym ciele.  
 A jak powietrze, gdy mży obłok dżdżysty,  
 Chłonąc od słońca odbłask promienisty,  
 W rozlicznych barwach tęczę maluje wiele;  
 Podobnie kędy zatrzyma się dusza,  
 Otaczająca ją w krąg atmosfera,  
 Kształt, jaki na niej wycisnie, przybiera.  
 A jak z ogniska buchające płomie  
 Za ruchem jego w ślad idzie widomie,  
 W kierunku duszy nowy kształt się rusza.  
 A że kształt tylko jest wyobrażeniem  
 Samego ducha, zowiemy go cieniem:  
 Dusza przez związek ze swym kształtem ścisły  
 Urządza wszystkie aż do wzroku zmysły.  
 Dlatego kiedy chcemy, rozmawiamy,  
 Śmieję się, płaczem i głośnie wdychamy,  
 Co mogłeś słyszeć, idąc w krąg tej góry.  
 Według żądz naszych, jak słabiej lub żywiej  
 Czuję boleści żądło jadowite,  
 Ciebie bierze na się kształty rozmaite;  
 Toć jest przyczyna, co ciebie tak dziwi!»  
 Już do ostatniej przyszliśmy tortury,  
 Zwracając w prawo krok nagłym zawrotem,  
 Szliśmy już innym zajęci przedmiotem.  
 Tam z brzegu góry płomień słupem buchał,  
 Z brzegu otchłani wiatr na płomień dmuchał,  
 A wiatr wciąż płomień odpychał uparty;  
 Więc trzeba było od strony otwartej  
 Iść nam osobno i szedłem strwożony,  
 Tu mając ogień, otchłani z drugiej strony.  
 Mistrz mówił: «Trzymaj krótko wodze wzroku,  
 Tu łatwo, idąc, uśliznąć się w kroku!»  
 «*Deus clementiae*» przez płomień wijące,  
 Słyszałem, głosów śpiewało tysiące,  
 Nie mniej płomienne jam oczy obrócił,  
 Widziałem duchy przez ogień idące,  
 Dlatego patrzyłem, myśl wążąc na dwoje,  
 To na ich stopy, to na stopy moje.  
 Z ostatnią hymnu dośpiewaną głoską  
 Chór w głos wykrzyknął: «*Virum non cognosco*».

Potem chór wolniej, coraz ciszej nucił.  
Hymn ten skończywszy, chór zakrzyknął cały:  
«Dyjana z gajów wyгнаła Helicę,  
Wenery jadłem zatrutą dziewicę».  
Na koniec w kolej śpiewano pochwały  
I żon, i mężów czystego żywota,  
Co żyli, jak chce małżeństwo i cnota.  
I to jest ciągłym ich zajęciem zda się,  
Nim z nich rdzy płomień nie opali w czasie,  
Nim z ran czyścicowych przez takie to leki  
Ostatnią ranę wygoją na wieki.

## Pieśń XXVI

(Krąg VII. Wieczór. Poeci prowansalscy.)  
Jeden za drugim gdy szliśmy w krąg skały,  
Mistrz dobry mówił często na pół z trwogą:  
«Strzeż się, ostrożnym bądź moją przestrogą».  
Słońce padało mi na prawe ramię,  
Opromieniony słońcem zachód cały  
Błękit swój zmienił w jeden obłok biały.  
Tłum dusz idących widząc, że się łamie  
Od mego cienia blask więcej czerwony,  
Na to zjawisko poglądał zdziwiony.  
I o mnie z tego powodu mówiły.  
W kolej duch ducha pytał na przemianę:  
«Ten cień ma, zda się, ciało nieudane?»  
Sprawdziwszy domysł, do mnie się zbliżyły,  
Strzegąc się jednak, by nie zejść tak w stronę,  
Gdzie by nie mogły być ogniem palone.  
«O ty za dwoma idący na końcu,  
Nie przez lenistwo, może przez pokorę,  
Mów, bo pragnieniem i ogniem ja gorę.  
Twych słów pragniemy całą naszą trzodą,  
Arab nie tęskni tak za chłodną wodą.  
Mów, jak twym ciałem robisz mur ku słońcu,  
Że promień jego skroś ciebie nie wierci,  
Jak gdybyś jeszcze nie wstąpił w sieć śmierci?»  
Jeden duch do mnie tak przemówić raczył.  
Ja bym się przed nim jasno wytłumaczył,  
Gdyby mię nowy przedmiot nie zahaczył.  
Środkiem zajętej drogi przez płomienie  
Szły drugie, pierwsze wymijając, cienie,  
Co mię wtrąciło w podziw i zwątpienie.  
I ci, i owi gdy się spotykali,  
Przechodząc mimo wzajem się ściskali,  
Uweseleni z krótkiego uścisku.  
Tak mrówek czarne roty na mrowisku  
Gdy się spotkają, stykając nos z nosem,  
Snadź sobie wzajem zadają pytania,  
O swoich łupach, drogach między wrzosem.  
Cienie te kończąc czułe powitania,  
Każdy nim odszedł i biegł, ile zdołał,  
Każdy na przemian wniebogłosy wołał:

Jeden: «Sodoma, Gomora!» wykrzyka,  
 A drugi woła: «Pazyfae w skórę  
 Wstąpiła ciołki i jak bydlę gore  
 Lubieżną żądzą, drażniąc upał byka.  
 A jak lecące naprzeciw żurawie,  
 Jedne w kraj piasków, drugie w góry lodu,  
 Jedne z bojaźni słońca, drugie chłodu,  
 Mijają siebie w nadpowietrznej wrzawie;  
 Podobnie w ogniu obie duchów trzody,  
 Szły, odchodziły ciąglými przechody,  
 A każda płacząc, swoją piosnkę śpiewa  
 Znów pierwsze duchy słuchać mię gotowe,  
 Podeszły do mnie zawiązać rozmowę.  
 Widząc, jak pragną słów moich napoju,  
 Mówilem: «Duchy, z których się spodziewa  
 Każdy dojść kiedyś do źródła pokoju,  
 Ani zielone, ni jeszcze przejrzałe,  
 Jako widzicie, członki moje całe  
 Tu noszę z sobą, z krwią i kością całą.  
 Idę tam wyżej, by przestać być ślepym;  
 Tam czeka na mnie łaskawa niewiasta,  
 Łaską jej idę do bożego miasta.  
 Oto dlatego w świecie waszym śmiało  
 Wlokę na sobie to śmiertelne ciało.  
 Największą z żądz swych ukóście w radości,  
 Oby was niebo pod swym wielkim sklepem,  
 Bez dna i brzegów, a pełne miłości,  
 Raczyło przyjąć za swych wiecznych gości!  
 Lecz mi powiedzcie sami, kto jesteście,  
 I ci, co idą za wami w płomieniu,  
 Bym was mógł jeszcze spisać po imieniu».  
 Góral raz pierwszy będąc w wielkim mieście,  
 Błądzi jak zwierzę wypłoszone z boru;  
 Nie tak się wielkim zdziwieniem zapala  
 Na widok miasta dziki wzrok górala,  
 Jako te duchy, sądząc z ich pozoru.  
 Lecz kiedy z trwogi ochłonęły swojej,  
 Która się szybko w wyższych sercach koi,  
 Tak odpowiedział znajomy głos cienia:  
 «Błogo ci, jeśli na korzyść sumienia  
 Przychodzisz do nas szukać doświadczenia.  
 Duchy, co przeszły w nagłonym pośpiechu,  
 Czyszczą w tym ogniu skazę tego grzechu,  
 Za który Cezar szydną Gallów mową  
 Wśród swych tryumfów zwany był: *Królową*.  
 Krzycząc: »Sodoma!« czerwieni swe lica,  
 A ich wstyd siłę płomienia podsyca.  
 Nasz grzech podwójny był przeciw naturze;  
 Lecz żeśmy wstydu potargawszy pęta,  
 Szli za krewkością żądz jak zwierzęta,  
 Na hańbę naszą, kiedy się tu znidą  
 Nasze dwie trzody, tej imię wzywamy,  
 Co się bydlęciem stała w jego skórze.  
 Wiesz, jakie czyścim tu brudy i plamy;  
 Jeżeli nasze nazwiska chcesz wiedzieć,  
 Ja nie mam czasu, nie mogę powiedzieć.  
 Imię zaś moje Gwincelli Gwido,

A tu się czyszczę, bom w żalu i skrusze  
 U kresu życia oddał Bogu duszę».

Gdy sam się Gwido nazwał po imieniu,  
 Mój wzór i lepszych ode mnie poetów,  
 Miłosnych pieśni i dźwięcznych sonetów,  
 Nie słysząc, milcząc, siedłem w zamyśleniu,  
 Patrząc na niego; lecz że stał w płomieniu,  
 Płomień buchając coraz to goręcej,  
 Ostrzegł, ażeby nie zbliżał się więcej.  
 Gdym się napatrzył, tak patrząc nań długo,  
 «Odplacę» rzekłem «moją ci posługą»,  
 Z zakłęciem, jakie obudza w nas wiarę  
 I w oświadczeniu drugich, i w ofiarę.  
 On rzekł: «Głęboko wryły się twe słowa  
 W mą duszę, nawet nie zmaże ich Lete:  
 Lecz jeśli prawda rządzi twym mówieniem,  
 Mów, za co zdradzasz słowem i spojrzeniem,  
 Żeś na byłego tak łaskaw poetę?»  
 A ja: «Dopóki trwa współczesna mowa,  
 Pamięć w niej słodycz twych rymów przechowa».

— «Patrz,» mówił «ten cień z postaci surowy»  
 (Tu wskazał palcem idącego ducha)  
 «Lepszym był swojej mowy robotnikiem.  
 Pisząc rymowym i prozy językiem,  
 Prześcignął wielu: rój głupców zaczyna  
 Wynosić nadeń imię Simmussyna;  
 Pozwól im bajać, wiatr im ten lub owy,  
 Hałas, nie prawda, zawraca im głowy,  
 Sąd ich rozumu i sztuki nie słucha.  
 Z podobną wrzawą Guitona dawniej  
 Wznosili w niebo ci krytycy sławni,  
 Aż w końcu zdrowszym sądem czytelników  
 Prawda zgłuszyła chwalców i krytyków.  
 Teraz jeżeli masz przywilej z nieba,  
 Z którym ci wolno stanąć przed klasztorem,  
 Gdzie jest sam Chrystus zakonu przeorem,  
 Zmów tam: *Ojcze nasz!* tyle tylko trzeba  
 Dla mnie w tym świecie, gdzie pokutą śpieszym  
 Gładzić grzech przeszły, a więcej nie grzeszym».

Duch potem miejsca chcąc ustąpić może  
 Drugiemu, który za nim siedł w pokorze,  
 Zniknął w płomieniu, gdzie? oczy nie zgadną,  
 Jak ryba w wodzie, kiedy idzie na dno.  
 Widząc cień palcem wskazany, do cienia  
 Podszedłem mówiąc: «Dla twego imienia  
 Znajdziesz w mym sercu miejsce honorowe».

A cień uprzejmie tak zaczął przemowę:

«Tak się mi twoja cała osoba,  
 I twe pytanie grzeczne podoba,  
 Że kryć się nie chcę, milczeć nie mogę.  
 Arnold me imię, wciąż po kolei  
 Płacząc, to nucąc, idę w swą drogę:  
 Patrząc w mą przeszłość lżą się zalewam;  
 Gdy spojrzę w przyszłość okiem nadziei,  
 Idąc co spieszniej, wesoło śpiewam.  
 Ty, co dla wiecznych ducha korzyści,

Idziesz, nie czując chłodu, gorąca,  
Tam, gdzie cię wzywa Moc wszechmogąca,  
Wspomnij, że moja dusza cierpiąca».   
Tak rzekł i zniknął w ogniu, co ich czyści.

## Pieśń XXVII

(Pochód przez ogień do raj. Noc, Sen Dantego o Lei i Racheli. Wirgiliusz odchodzi.)

Punkt, skąd promienie pierwsze słońce miota  
Na Jeruzalem, na krwawe Golgota,  
(Kiedy nad Ebro stoi Waga złota  
W samym zenicie, a Gangesu fale  
Grzeją się, płynąc w południm upale,)  
Punkt ten był wtenczas zajęty przez słońce;  
Więc dla nas nikło dnia światło gasnące,  
W chwili, gdy anioł zjawił się wesół.  
Na zewnątrz ognia wystając na poły,  
Stał i: *Beati mundo corde* śpiewał,  
A z piersi głosu strumienie wylewał.  
Potem: «Iść wyżej nie wolno wam, duchy,  
Póki was płomień nie ugryzie zrazu;  
Idźcie w płomienie, biada, kto jest głuchy  
Na pieśń, co śpiewa z bożego rozkazu».  
Tak mówił anioł: stojąc blisko niego,  
Takem się uląkł głosu potężnego,  
Jakby kto grzebał mnie za życia w grobie.  
Patrząc na ogień wzniosłem ręce obie,  
Myśl wystraszona wciąż wyobrażała  
W ogniu, com widział, gorejące ciała.  
Wtem do mnie oba wodze się zwrócili:  
«Synu, tu nie ma śmierci!» rzekł Wirgili,  
«Tylko jest męka czasem określona.  
Jeśli, przypomnij, nie zdjęła mię trwoga,  
Gdym cię na barki wsadził Geryjona,  
Czegóż się lękać będąc bliżej Boga?  
Gdybyś lat tysiąc stał wśród tych płomieni,  
Jednego włosa żar ci nie wyleni.  
Sprawdź to, co mówię, próbą doświadczenia,  
Połącz twej sukni przytknij do płomienia.  
Śmiało, przez ogień bezpieczna twa droga».  
Lecz ja pomimo przekonania w duchu,  
Stałem jak wryty w ziemię głaz, bez ruchu.  
Upór mój z mojej czytając źrenicy,  
Wirgili do mnie rzekł trochę zmieszany:  
«Jeden mur tylko, wierzaj, mój kochany,  
Przedziela ciebie tu od Beatrycy».  
Jak na głos: «Tisbe!» Pyram konający  
Otworzył oczy i obraz jej mżący  
Widział pod morwą, która odtąd nowe  
Jęła owoce rodzić rubinowe;  
Głos mego wodza, czułem, jak mi kruszy  
Kamienny upór wspomnieniem imienia,  
Co zawsze iskrą wybłyska z mej duszy.

Wódz potrząsł głową, mówiąc: «Czyliż mamy  
 Stać tu, tak blisko będąc raju bramy?»  
 Wtem się uśmiechnął jak matka troskliwa,  
 Co dziecka upór jabłkiem pokonywa.  
 I wszedł przede mną w pośrodek płomienia,  
 A Stacyjusa, który nas rozdzielał  
 W tej drodze, prosił, aby mię ośmielał  
 Idąc w krok za mną i robił zasłonę.  
 W tym ogniu usta tak czułem spalone,  
 Że chętnie piłbym szkło warem stopione,  
 Takim upałem płomień mię dogrzewał.  
 A mistrz mnie ciesząc wesół i ochoczy,  
 O Beatrycze wciąż rozmowę toczy,  
 I mówił: «Zda się, już widzę jej oczy!»  
 Głos nas prowadził i nad nami śpiewał;  
 Wyszliśmy z ognia na schody odkryte.  
*Benedicti Patris mei, venite!*  
 Głos mówił z światła takiego, co przemógł  
 Wzrok mój, że dłużej nań patrzeć już nie mógł.  
 «Zniża się słońce!» mówił, «blisko zmroku,  
 Nie zatrzymujcie, lecz przyśpieszcie kroku,  
 Nim jeszcze zachód nie jest zaczerniony».  
 Ścieżka przez skałę szła od wschodu strony,  
 Więc przerywałem przed sobą w tę stronę  
 Promienie słońca niskie i zniżone.  
 Jeszcześmy szczebli przebiegli niewiele,  
 Zgadłem po moim cieniu, jak się ściele,  
 Że już za nami zagasał blask słońca.  
 I nim widnokrąg od końca do końca  
 Noc osiągnęła sieciami ciemnoty,  
 Każdy z nas, jakby zmrok do snu już morzył,  
 Jak stał, na szczeblu swoim się położył;  
 Iść dalej brakło siły, nie ochoty.  
 Jak głodne kozy, wesole i śmiałe,  
 Rwąc trawę skaczą ze skały na skałę,  
 A w żar południ leżąc przy strumieniu,  
 Spokojnie żują, albo w groty cieniu:  
 A pasterz, stojąc na swej lasce wsparty,  
 Od zwierza trzyma wokoło nich warty;  
 I jako pasterz w noc u drzwi zagrody,  
 Czuwa, by zwierz mu nie rozegnął trzody;  
 Ja byłem kozą, oni pasterzami,  
 Skały zagrody naszej ostrokołem.  
 Przez błękit widny pomiędzy skałami  
 Widziałem gwiazdy jaśniejsze daleko  
 Od tych, co widzimy śmiertelną powieką.  
 Tak rozważając i patrząc usnąłem  
 Snem, który często ma wieści uprzednie  
 O tym, co być ma, jakby przepowiednie.  
 W godzinie, myślę, gdy Wenus płomienna  
 Ogniem miłości od wschodu przez chmurę  
 Pierwsze promienie rzucała na górę,  
 Przyśniła mi się cudna mara senna:  
 Niewiasta młoda idąca przez błonie,  
 Zbierała kwiaty, to wieńce z nich wiała,  
 A śpiewającą pieśnią tak mówiła:  
 «O! jeśli wiedzieć chce ciekawość czyja,

Kto jestem? powiedz, nazywam się Lia,  
 Że idąc, gdzie mię woń kwiatów owionie,  
 Wszędzie wyciągam moje białe ręce,  
 Aby je uszczknąć dla siebie na wieńce.  
 Chcąc się podobać przed zwierciadłem sobie,  
 Tu zbieram kwiaty i wieńce z nich robię;  
 Lecz moja siostra Rachela dzień cały  
 Siedzi i patrzy w zwierciadła kryształę:  
 Ona swe piękne lubi widzieć oczy,  
 Ja pracę rąk mych, lubię strój uroczy;  
 Ją pogładanie, mnie czyn zadowolą».

Już brzask, dnia goniec, powietrze przeniknął,  
 (Dla wracających tym miłszy pielgrzymów,  
 Blisko ich kraju, gdy rodzinne pola  
 Brzask ten oświeci, kłęb rodzinnych dymów).  
 Ciemność pierzchała, a z nią sen mój zniknął.  
 Wstałem, przede mną wstali mistrze moi:  
 «Ten słodki owoc, za którym wciąż ludzie  
 Po tylu drzewach gonią w takim trudzie,  
 Dzisiaj zupełnie twój głód zaspokoi».

Wirgili do mnie mówił tymi słowy.  
 Żadne kolędne, podarek gotowy,  
 W pociesze słowom takim nie wyrówna.  
 A chęć iść wyżej tak była gwałtowna,  
 Że z każdym krokiem stóp moich łoskotu,  
 Czulem, jak rosły mi skrzydła do lotu.  
 Gdy całe schody przeszliśmy pod nami,  
 Najwyższy stopień dotknąwszy stopami,  
 Wirgili mówił, wzrok utkwivszy we mnie:  
 «Ogień mający czas i ogień wieczny  
 Widziałeś synu; to kres ostateczny  
 Drogi przebytej z tobą tak przyjemnie,  
 To punkt, za którym nic widzieć nie mogę.  
 Aż tu mój rozum wskazywał ci drogę,  
 Teraz sam musisz próbować sił własnych,  
 Za przewodniczkę obierz własną wolę;  
 Ty już wyszedłeś z dróg stromych i ciasnych.  
 Patrz, oto słońce błyszczy na twym czole,  
 Patrz, krzewy, trawy kwiatem szachowane  
 Same z tej ziemi wschodzą niezasiane  
 Nim ci radością błysną piękne oczy,  
 Co przyjsć do ciebie znagiły mię łzami,  
 Tymczasem siadaj, chodź między kwiatami,  
 Niech cię pieszczota ich woni otoczy.  
 Odtąd nie słuchaj mych rad i rozmowy,  
 Masz wolnej woli sąd prosty i zdrowy:  
 Byłby zaiste w tym błąd rozumowy,  
 Gdybyś nie działał, jak chce twoja wola;  
 Więc koronuję cię na twego króla.

## Pieśń XXVIII

(Oddział III. Raj ziemski. Szósty poranek podróży. Gaj. Strumień. Matyllda.)



Żądny obejrzyć wewnątrz i wokoło  
 Wdzięk boskiej, wonnej i gęstej dąbrowy,  
 Co łagodziła blask dnia porankowy,  
 Z niecierpliwością rzuciłem brzeg skały  
 I szedłem z wolna przez pole i z wolna,  
 Aż mię owiała woń kwiatów okolna.  
 Powietrze słodkie musnęło mi czoło,  
 Niezmienne, świeże jak powiew majowy;  
 Liście drzeń skore w tym lubym powiewie,  
 Wszystkie się na wstecz w tę stronę skłaniały.  
 Gdzie pierwszy cień swój rzuca góra święta.  
 Jednak zagięte gałęzie i chrusty  
 Tak nie zboczyły od linii prostej,  
 Ażeby na ich wierzchołkach ptaszęta  
 Przestały śpiewać i ćwiczyć się w śpiewie.  
 Wesole siedząc i nucąc na drzewie,  
 Witały ranek pomiędzy liśćmi,  
 Mieszającymi swój szmer z ich pieśniami.  
 Taki szmer szumi na pola i lasy,  
 Z gałęzi sosen nad brzegiem Chiassy,  
 Kiedy dmie Eol duszące Siroko.  
 Choć z wolna idąc, w las wszedłem głęboko,  
 Aż w leśnych błędach gubiło się oko.  
 I oto krok mój w chaosie zadumień  
 Nie mógł iść dalej, zatrzymał mię strumień,  
 Którego drobne fale w lewą stronę  
 Zginały trawy przy nim urodzone.  
 Najczystsze wody po ziemi rozlane

Byłyby mętne z wodą porównane,  
 Która nie kryje żadnej rzeczy na dnie:  
 Chociaż jej przeźroczeń cień osłania wieczny,  
 Przez który księżyc i promień słoneczny  
 Do jej fal jasnych nigdy się nie wkradnie.  
 Stałem, oczy za strumień posłałem,  
 Drzew rozmaitość podziwiać z zapalem.  
 I tam (jak przedmiot gdy się zjawi nowy,  
 Każdą myśl inną wywietrza nam z głowy),  
 Widziałem damę, po kwietnych zieleniach  
 Idąc, nuciła i kwiaty zbierała,  
 Jakimi łąka jej drogę dzierzgała.  
 «Ty, co się grzejesz w miłości promieniach,  
 O piękna!» rzekłem: «jeśli z lic twych zgadłem,  
 Zbliż się do źródła, śpiewaczek królowo,  
 Abyś, co śpiewasz, mógł słyszeć twe słowo.  
 Ty przypominasz mi ową dolinę,  
 Z której porwano piękną Prozerpinę,  
 I chwilę, gdy ją straciła jej matka  
 A ona świeżość wiosnianego kwiatka».  
 Gdy tanecznicę skoczne kręgi toczy,  
 Sama na sobie obraca się długo,  
 Zaledwo jedną mknie stopą przed drugą:  
 Tak się na kwiatach lotem błyskawicy  
 Zwróciła ku mnie, podobna dziewczycy,  
 Która w dół spuszcza swoje skromne oczy.  
 Ona odmową prośby mej nie drażni,  
 Tak blisko smugiem podeszła murawy,

Żem mógł jej słowa słyszeć najwyraźniej.  
 Ledwo stanęła nad pięknym strumieniem,  
 Tam, gdzie nadbrzeżne w nim kąpią się trawy,  
 Już mię darzyła oczu podniesieniem.  
 Wątpię, czy żywszym spod rzesów promieniem  
 Wenus błysnęła, czując ból od strzały,  
 Gdy ją niebacznie ranił syn jej mały.  
 Z prawego brzegu wciąż się uśmiechały  
 Jej usta do mnie, kwiaty, jakie zrywa,  
 Bez nasion rodzi ta ziemi szczęśliwa.  
 Strumień nas dzielił ledwo o trzy kroki,  
 Lecz Hellespontu rozdąsana fala,  
 Gdzie most Kserksesa w swe tonie zawala,  
 (Dla dumy ludzkiej dziś jeszcze wędzidło),  
 Tak Leandrowi nie była obrzydłą,  
 Gdy między Sestos a Abidos pływa:  
 Jako był dla mnie ten strumień głęboki,  
 Który natenczas mój przechód zapierał,  
 A sam przede mną swych wód nie otwierał.  
 «Jesteś» mówiła «tu jeszcze gość nowy,  
 Może mój uśmiech, coś dostrzegł z daleka,  
 W miejscu wybranym na gniazdo człowieka,  
 Dziwi cię, wzbudza jakieś podejrzenie?  
 Lecz światło z psalmu: »Boś ucieszył, Panie«,  
 W zmroku twej myśli wejdzie jak zaranie.  
 Ty, coś mię prośbą wyzwiał do rozmowy,  
 Gdy chcesz ode mnie o czym innym wiedzieć,  
 Przyszłam gotowa tobie odpowiedzieć,  
 Wszelkich zapytań rozwiązać zwątpienie».  
 — «Woda,» mówiłem «szelest tej dąbrowy,  
 Z jedną mi rzeczą nie godzą się dziwnie,  
 O której naprzód słyszałem przeciwnie,  
 I nową wiarę wyzywa do boju».  
 — «Powód tej rzeczy gdy objaśnię lepiej,»  
 Rzekła, «rozproszę mgłę, co ciebie ślepi.  
 On arcydobro, gdy zrab światu złożył,  
 Człowieka dobrym i dla dobra stworzył:  
 Jako zadatek wiecznego pokoju  
 Dał mu to miejsce; człowiek z własnej winy  
 Krótkie, nie długie liczył tu godziny;  
 Uczciwe śmiechy i słodkie wesele  
 Na łzy wymienił i smutków tak wiele!  
 Aby wyziewy, co z wody i ziemi  
 Wznosząc się w chmury stają się ciepłemi,  
 Nie przyczyniły człowiekowi wojny,  
 Góra ta w niebo wznosi wierzch spokojny  
 I żadna burza jej skał nie dotyka  
 Od punktu, w którym na drzwi się zamyka.  
 Więc jak powietrze po koła obwodzie  
 Wiruje pierwszym ruchem popychane,  
 Jeśli to koło zniskąd nieprzerwane:  
 Skał tych wyżynę ruch podobny bodzie,  
 Choć od burz wolna w tym eterze czystym;  
 Kołysze las ten szumem uroczystym,  
 Dlatego właśnie, że jest gęstolistym.  
 I tymże ruchem kwiaty kołysane  
 Sycą powietrze swej treści przymiotem,

Powietrze wzajem wirowym obrotem  
 Kołując wonne ich treści rozwiewa,  
 I wasza ziemia, o ile jest godna  
 Płodniejszej strefy, ile sama płodna,  
 Kwiaty, rośliny, rozmaite drzewa  
 Zapładza, krzewi dla bożego ludu.  
 I tam, zaiste, żadnego w tym cudu  
 Nie będziesz widział, jeżeli roślina  
 Bez widnych nasion kiełkować zaczyna.  
 Wiedz, tu, gdzie jesteś, że ta święta rola  
 Różne nasiona w swym łonie zespola,  
 Że rodzi takie owoce i kwiecie,  
 Jakich nie uszczknął nikt na waszym świecie.  
 Woda, co widzisz, nie tryska z tej żyły,  
 Którą tumany i deszcze poiły,  
 Jak źródło, co wzbiera nad brzegi i ginie;  
 Ona z krynicy wiekuistej płynie  
 I z woli bożej kruż napelnia cały,  
 Ile wylewa przez te dwa kanały.  
 Pierwszy, z którego wszyscy piją radzi,  
 Ma moc, że zaraz pamięć grzechu gładzi;  
 Drugi powraca żywe przypomnienie  
 Dobrodziejstw ducha i jego zasługi.  
 Ten zwie się Lete, a Eunoe drugi,  
 On wtenczas działa, kto pił wód tych dwoje.  
 Smak jego wody jest nad wszystkie zdroje:  
 Choć masz, zaiste, dość syte pragnienie,  
 Z szczególnej łaski dam przydatek nowy,  
 Wierząc, że tobie nie braknie ochoty,  
 Słuchać, co powiem nad zakres rozmowy.  
 Poeci dawniej śpiewając wiek złoty,  
 Stan jego błogi, może w swoim czasie  
 Marzyli o tym miejscu na Parnasie.  
 Tu szczep człowieka wzrósł czysty, bez plamy,  
 Tu wieczna wiosna, tu wszelkie owoce,  
 Nektar, o którym wciąż ich pieśń świegoce,  
 O którym ludzie tak wiele bajali».

Wtem się zwróciłem do poetów moich  
 I uśmiech z lic ich widziałem oboich,  
 Z jakim ostatnich objaśnień słuchali:  
 Potem zwróciłem wzrok do pięknej damy.

## Pieśń XXIX

(Pochód zwycięski prawdziwego Kościoła objawia się na przeciwnym brzegu strumienia.)

Jak zakochana, co słodką rozmową  
 Albo przegrawką swoją pieśń przeplata,  
 Ona tak zwrotkę zanuciła nową:  
*Beati, quorum tecta sunt peccata.*  
 Potem jak nimfy samotnie błądzące  
 W cienistych gajach, brzegami potoków,  
 Ta szuka cienia, ta chce widzieć słońce,  
 Ona szła z wolna przeciw rzeki biegu;

Według niej szedłem drugą stroną brzegu.  
 Jeszcześmy może nie uszli stu kroków,  
 Gdy oba brzegi swój zakręt złamały  
 W sposób, żem na wschód obrócił się cały.  
 Krótko tak szliśmy przeciw wschodu słońca,  
 Gdy piękna dama do mnie się zwróciła,  
 «Mój bracie, patrzaj i słuchaj» mówiła.  
 Wtem las jak wielki, od końca do końca  
 Blask nagły przebiegł; złudzona żrenica  
 Kazała wierzyć, że to błyskawica.  
 Lecz gdy ta szybko przepada jak wschodzi,  
 A blask ten coraz żywsze ognie niecił,  
 Którymi w końcu cały las oświecił,  
 Mówilem w myśli: «Skąd ten blask pochodzi?  
 W powietrzu jasnym słodkie wiały śpiewy,  
 Wtedy ja z dobrej żarliwości ducha  
 Jąłem wyrzekać na zuchwałość Ewy;  
 Bo tam, gdzie ziemia i gdzie niebo słucha,  
 Jedna niewiasta, ledwo że wyrosła,  
 Już być pod jakąś zasłoną nie zniosła:  
 A gdyby pod tą została zasłoną,  
 Mógłbym i prędeż, i dłużej zaiste  
 Uciech tych słodycz czuć niewysłowioną.  
 Wielkim zadatkiem uciech kołysany  
 Wiecznych, mających trwanie rzeczywiste,  
 Gdy szedłem z wolna i cały zmieszany,  
 Powietrze jakby ogniem zapalone  
 Buchnęło światłem przez liście zielone:  
 Dźwięk słodki, cośmy słyszeli już wcześniej,  
 Stał się wyraźną, czystą nutą pieśni.  
 O! jeśli cierpiał dla was, święte panny,  
 Głód, chłód, bezsenność i trud nieustanny,  
 Waszej pomocy ja tu wezwać muszę;  
 Niechaj Helikon zaleje mi duszę,  
 Niech Uranija z siostr swych gronem całem  
 Łaskawie mojej pieśni nie zaprzeczy,  
 Włożyć w rym trudne do pojęcia rzeczy.  
 Zdało się, złotych siedem drzew widziałem,  
 Będąc złudzoną zbyt wielką przestrzenią,  
 Pomędzy nami a nowym przedmiotem:  
 Lecz gdy do tyła zbliżyłem się potem,  
 Że przedmiot zmysłom kłamiący złudzeniem  
 Zaprzestał zwodzić oczy oddaleniem,  
 Władza, co wiąże z rozumem rozmowę,  
 Rzeczywistością rozwiała błąd cały:  
 Widzę, świeczniki złotem się promienia,  
 Słyszałem, głosy: «Hosanna!» śpiewały.  
 Z świeczników w sklepy niebios lazururowe  
 I czyste biła światłość więcej lśniąca  
 Niż w północ w środku pełni od miesiąca.  
 Pełen podziwu, gdzie stał mój Wirgili,  
 Zwróciłem oczy, lecz i on w tej chwili  
 Odrzekł mi nie mniej zadziwionym wzrokiem.  
 Znów na wysokie spojrzałem świeczniki,  
 Które szły do nas powolniejszym krokiem,  
 Niżli do ślubu idzie panna młoda.  
 «Przecż» rzekła dama «w te złote ozdoby

W te żywe światła tak wraziłeś oczy,  
 Że nic nie widzisz, kto za nimi kroczy?»  
 I jakby z tyłu szły ich przewodniki,  
 Widziałem w bieli ubrane osoby,  
 A taka białość, jaka szat ich była,  
 Nigdy na ziemi oczom nie świeciła.  
 W lewo błyszczała taka jasna woda,  
 Gdyby żrenica gdzie indziej zwrócona  
 Mogła w nią spojrzeć, moja lewa strona  
 Jak we zwierciadle w niej by się odbiła.  
 Gdy już doszedłem, gdzie z tym gronem całem  
 Dzielił mnie tylko wąski nurt potoku,  
 Chcąc lepiej widzieć, zatrzymałem kroku.  
 Przodem idące płomienie widziałem  
 I jak powietrze w tyle malowały  
 W barwiste pręgi, które pozór miały  
 Pędzłów ciągnących na dłużej linijami:  
 Gdy w górze błyszczał łuk z siedmiu pręgami,  
 Jakimi dla nas zdobi niebo czasem  
 Słońce swym łukiem, księżyc swoim pasem.  
 Gdy te sztandary już nikły w oddali,  
 Jakby ich pochód wódz urządził biegły,  
 W przedziałach świecznik każdy postępuje  
 O dziesięć kroków od siebie odległy.  
 Pod pięknym niebem, które opisuję,  
 Dwudziestu czterech starców szło parami,  
 W wieńcach z liliji, a wszyscy śpiewali:  
 «Między córkami Adama zrodzona,  
 Piękna, na wieki bądź błogosławiona!»  
 Gdy z brzegów kwieciami i murawą słanych  
 Odeszły dalej stopy tych wybranych,  
 Jak wschodzą gwiazda za gwiazdą i gorą,  
 W ślad za starcami szło znów zwierząt czworo;  
 A liść zielony każde wieńczył zwierze,  
 A każde miało aż skrzydeł sześcioro,  
 A mnóstwem oczu pokryte ich pierze.  
 Oczy Argusa tak by przenikliwe  
 Miały spojrzenia, gdyby były żywe.  
 Na opisanie kształtów ich postaci  
 Rymów oszczędna moja pieśń nie traci;  
 Trudno być datnym, daruj czytelniku,  
 Kto ma przed sobą wydatków bez liku.  
 Ezechijela czytaj, jego karty  
 Tak je malują, jak widział widzeniem  
 Ze stref dalekich lodowatej ziemi  
 Idących z wichrem, śniegiem i płomieniem.  
 Jak są w tych księgach, tam były takiemi,  
 Prócz liczby skrzydeł, o których rzekł ciemno;  
 Jan, co mu przeczy, w tym zgadza się ze mną.  
 Pomiedzy czworgiem zwierząt plac otwarty  
 Wóz tryumfalny zamykał, toczony  
 Na swych dwóch kołach, gryf był doń wprzężony.  
 Gryf w niebo wznosił swoje skrzydła długie,  
 Przez pas środkowy, przez trzy i trzy drugie,  
 A wszystkie siedem bez szkody przecinał:  
 Wierzch skrzydeł niknął, tak je wzwwyż rozpinał  
 Gryf, gdzie był ptakiem, w części swego ciała

Miał członki złote, w innych się mieszała  
Z barwą czerwoną barwa srebra biała.  
Wozem tak pięknym nie woził Rzym stary,  
Tryumfatory swoje i cezary:  
Przy nim ubogim byłby rydwan słońca,  
Który zbłąkany zgorzał od gorąca  
Na prośbę Ziemi, jej modlitwy tkliwej:  
Tak chciał Jowisza wyrok sprawiedliwy!  
A trzy niewiasty z prawej wozu strony  
Biegły, krąg wiążąc tańcem zatoczony;  
Jedna tak była czerwona z wejrzenia,  
Ledwo ją mógłbyś ujrzeć wśród płomienia.  
Druga zielona, jakby jej budowa  
Ciałem i kością była szmaragdowa;  
A trzecia biała jak śnieg spadły świeżo.  
Niewiasta biała na przemian z czerwoną,  
Zda się wodziły tańczące grono;  
Na pieśń z nich trzeciej w takt różny nuconą,  
Tancerki wolniej albo prędzej bieżą,  
W lewo od wozu, poza jego kołem,  
Tanecznym kręgiem przemykały społem  
Cztery niewiasty całe w czerwień strojne,  
Taktem z nich jednej mierząc kroki swoje,  
Tej, co na czole miała oczu troje.  
W ślad za tym chórem, który pokazałem,  
Idących z tyłu dwóch starców widziałem,  
Chód ich poważny, spojrzenia spokojne.  
Pierwszy, wielkiego uczeń Hipokrata,  
Co od natury wziął pociąg i wzory,  
Jak darzyć zdrowiem najmiłsze jej twory.  
Drugi gdzie indziej, zda się, myślą lata,  
Miecz jego ostry błyszczał tak daleko,  
Ażem się uląkł, choć stałem za rzeką.  
W kolej szli czterej pokornej postaci:  
A za orszakem swych w Chrystusie braci  
Poważny starzec szedł jeden i śpiący;  
Lecz we śnie twarz miał bystrą i natchnioną.  
Siedmiu ostatnich, jako pierwsze grono  
Równe ubrani; w tym różnica cała,  
Że głów równianka nie wieńczyła biała,  
Lecz róże, kwiaty barwy gorejącej.  
Przysiągłbyś patrząc z daleka oczami,  
Że płomień już ich pali nade brwiami.  
Gdy wóz przede mną zatoczył się kołem,  
Grzmot dał się słyszeć; wszyscy, co szli społem,  
Jak gdyby iść im zakazano dalej,  
Ze świecznikami swój pochód wstrzymali.

## Pieśń XXX

(Pochód staje. Beatrycze, jeszcze zasłonięta, mówi o Dantego miłości ku niej i sprzeniewierzeniu się jej: główna myśl *Boskiej komedii*, analogicznie do pieśni II *Piekle*.)

Kiedy pierwszego ten siedmiogwiazd nieba,  
 (Który nie wschodzi, nigdy nie zachodzi  
 I nie znał innej chmury prócz zasłony  
 Przez grzech na jego światłość narzuconej,  
 Który świat uczył, jak żyć i strzec trzeba  
 Swych powinności, jak *nasz* sterem łodzi  
 Zręcznie obraca, że łódź w port swój wchodzi),  
 Wstrzymał swój pochód; ci, co pierwsi przyszli  
 Przed gryfem, oczy zwrócili i myśli  
 Do wozu jako do swego pokoju.  
 Jeden z tych starców jak niebieski goniec  
 Potężnym śpiewem wykrzyknął na koniec,  
 Trzy razy wtórzając: — «Przyjdź w godowym stroju,  
 Oblubienico! rzuć cedry libańskie!»  
 I wszyscy po nim kolejną nucili.  
 Jak szybko w sądny dzień błogosławieni  
 Powstaną z grobów, nucąc alleluja  
 Odzyskanymi na koniec głosami;  
 Tak na śpiew starców z wozu tejże chwili  
 Ze stu posłańców wieczności powstało:  
 «Błogosławiony! który w imię Pańskie  
 Przychodzisz», wszyscy rzekli zachwyceni.  
 Gdy krzyk ten wzleciał i w powietrzu buja,  
 Potem wzwyż wkoło rzucając kwiatami:  
 «Sypcie lilije pełnymi garściami».  
 Widziałem przedświt, jak wschodnią część całą  
 Niebo rumieni, a ile wzrok sięga,  
 Stroi pogodą resztę widnokreśła.  
 Widziałem, z cieniów jak wyblyska słońce,  
 Rannymi mgłami blask swój łagodzące  
 W sposób, że mogłem na to świata oko  
 Poglądać długo; tak w nim zatopiony  
 Przez obłok kwiatów, dziw nad wszystkie dziwy!  
 Co z rąk anielskich wznosił się wysoko,  
 A potem spadał na wóz i wokoło,  
 Świętą niewiastę postrzegłem szczęśliwy.  
 Twarz jej świeciła spod białej zasłony,  
 Oliwny wieniec oplatał jej czoło,  
 Płaszcz wiał z jej ramion jak szmaragd zielony,  
 Suknia czerwona jako płomień żywy.  
 Duch mój, co z dawna i długo odwykał  
 Podziwem, trwogą drzeć w jej obecności,  
 Poznał ją łatwo bez pomocy oka  
 I poczuł dawnej potęgę miłości  
 Przez skryty pociąg, jaki z niej wynikał.  
 Ledwo przez oczy tajemniczy skutek  
 Poczułem siły, co jak błysk z wysoka  
 Jeszcze zraniła mię w dzieciństwie mojem;  
 W lewą zwróciłem oczy z niepokojem,  
 Jak małe dziecko, co bieży i łowi  
 Matkę za rękę, czując strach lub smutek,  
 Aby te słowa rzec Wirgiliuszowi:  
 «Każda krwi kropla drży we mnie i pali,  
 Poznaje ślady dawnego płomienia».  
 Lecz już Wirgili znikł i był w oddali,  
 Wirgili, wódz mój i ojciec zarazem,  
 Który skłoniony jej słodkim rozkazem,

Aż tu mię przywiódł dla mego zbawienia.  
 Nawet raj ziemski po takim rozstaniu  
 Nie zmniejszył smutku; w łez moich wezbraniu  
 Twarz chociaż rosą omyta czyśćcową,  
 Z goryczy płaczu szerniała na nowo.  
 — «Dante! że ciebie porzucił Wirgili,  
 Czegóż masz płakać? płacz hamuj tej chwili,  
 Łzy twe zachowaj na ból innej rany».  
 A jak admirał dbały o cześć flagi  
 Sam robi przegląd swej floty zebranej,  
 Nowotnym majtkom dodając odwagi,  
 Patrzy, jak wiążą kotew do powrozu;  
 Tak, gdy na brzmienie mojego imienia  
 Jam się odwrócił, a które tu wzmienia  
 Pieśń przez konieczność; z lewej strony wozu,  
 Już z uprzedniego znajoma widzenia,  
 Pośród aniołów godowego koła  
 Stała niewiasta i ku mnie bez przerwy  
 Z tej strony rzeki swe oczy zwracała,  
 Chociaż zasłona, spadając z jej czoła,  
 Gęsto dzierzgana liśćmi Minerwy  
 Większą część rysów jej twarzy skrywała;  
 Z gestem pogardy jak gniewna królowa,  
 Mówiła dalej, jak mówca, co chowa  
 Na koniec mowy najgorętsze słowa:  
 — «Patrz, a mnie poznasz, jam jest Beatryce!  
 Jak śmiałeś wstąpić na tę górę żywy,  
 Tu, kędy mieszka tylko duch szczęśliwy?»  
 Na jasne wody spuściłem źrenice,  
 Lecz je po chwili podniosłem od wody,  
 Patrząc w nią, wstyd mi czerwienił jagody.  
 Jak matka dziecku, tak ona surową  
 Wydała mi się, choć pełna słodyczy,  
 Czulem w pieszczocie jej słów jad goryczy.  
 Ona umilkła, a wzwyż nad jej głową  
 Poczuli nagle śpiewać aniołowie:  
 «W tobie ja, Panie, położył nadzieję!»  
 Aż psalm na wierszu ucięli w połowie!  
 «Tyś mię postawił na miejscu przestronnem».  
 Jak śnieg na górach osiwiących szronem,  
 Co od północy grodzą ziemię włoską,  
 Gdy tchnie słowacki wiatr, nagle twardnieje,  
 Potem promieniem rozmiękczonej słońca  
 Płynie jak świeca w ogniu topniejąca;  
 Podobnie stałem z suchymi oczyma,  
 Przed posłyszeniem pieśni, której nuta  
 Zawsze wtór nutom sfer niebieskich trzyma.  
 Gdy się wsłuchawszy w melodyję boską,  
 Pojąłem w końcu, że ta pieśń współczuta  
 Zdradza współczucie ich nad moją troską  
 Większe, niż gdyby powiedzieli: «Siostro!  
 Dlaczego z nim się obchodzisz tak ostro?»  
 Lód, co me serce owiał chłodem mrozu,  
 Z zakrzepłym bólem, oczyma, ustami,  
 Topniejąc płynął westchnieniem i łzami.  
 Lecz ona w prawą obrócona z wozu,  
 Rzekła do istot litościwych nieba:



«Wasze w dniu wiecznym tak wielkie czuwanie,  
Że wam nie kryje ni noc, ni zaspanie  
Jednego kroku, co robi stulecie  
Pielgrzymujące po doczesnym świecie.  
Z większym staraniem i dłuższą daleko  
Dam wam odpowiedź, jak dla was potrzeba,  
Aby mię pojął płaczący za rzeką;  
By błąd i boleść w nim jak dwa ciężary  
Na jednej szali były jednej miary.  
Nie tylko wpływem wielkich sfer i słońca,  
Co każde ziarno prowadzą do końca,  
Według gwiazd biegu; lecz przez łaski boże,  
Których deszcz w duszę wsiąkając głęboko,  
Lotne jej treści wznosi tak wysoko,  
Że się wzrok do nich przybliżyć nie może,  
On był w swym życiu nowym tak szczęśliwy,  
Że wszelki nałóg prawy i godziwy  
Mógłby w nim skutki wyrodzić cudowne.  
Ale zły siewca ma plony nierówne,  
Grunt złą uprawą często chwasty kryły,  
Im więcej w sobie ma rodzajnej siły.  
Czas jakiś, póki, a był to czas błogi,  
Moje dziecinne świeciły mu oczy,  
Wodziłam jego na tor prostej drogi:  
Ale stanąwszy w progu mej młodości,  
Gdy z ciała w życie wstąpiłam duchowe,  
On mnie zapomniał dla innych piękności.  
Gdy duch mój w piękność rósł i cnoty nowe,  
W nim ciągle płówał mój obraz uroczy.  
Potem samochcąc zszedł na drogi krzywe,  
Gonić dóbr ziemskich obrazy kłamliwe,  
Co swych obietnic dotrzymać nie mogą.  
Daremnie jego przez sny i natchnienia  
Chciałam odwołać w przeszłość dlań tak błogą,  
On spadł tak nisko! z środków wyczerpionych  
Pozostał jeden dla jego zbawienia,  
Dać jemu poznać męki potępionych.  
Dlatego otchłań zwiedziłam głęboką  
Śmierci i grzechu! o czym wiecie sami,  
By skłonić wodza prośbami i łzami,  
Aby wprowadził jego tu wysoko.  
Przedwieczny zakaz boży przez poetę  
Byłby złamanym, gdyby przeszedł Letę  
I chciał kosztować takich wód do syta,  
Nie zapłaciwszy łzami skruchy myta».

## Pieśń XXXI

(Dante spowiada się przed Beatrycze. Zanurza się w strumieniu i przekracza go.  
Beatrycze zdejmuje zasłonę.)

«Ty, który stoisz poza świętą rzeką»,  
Tymi mówiła Beatrycze słowy,  
Zwracając do mnie samo ostrze mowy,  
A której cięcia tak bolą i pieką.

«Mów, czy to prawda? wielkie oskarżenie,  
 Spowiedzią twoje oczyszczaj sumienie».  
 Stałem zmieszany, ze zbytku wzruszenia  
 Głos mój, nim wyszedł, stracił siłę brzmienia.  
 Czekala trochę, potem tak mówiła:  
 «Mów, nie myśl długo, twych błędów wspomnienia  
 Jeszcze ci woda Lety nie zgładziła».  
 Strach tak potężnie głos we mnie zatłumiał,  
 Że ledwom ciche *Tak* wymówić umiał,  
 Że trzeba było patrzeć okiem umieć,  
 Chcąc po ust ruchu jego dźwięk zrozumieć.  
 Majdan gwałtownie gdy naciągnie ręka,  
 Zarazem struna i łuk cały pęka,  
 Strzała mniej szybko dobiega do celu;  
 Takem złamany był od wrażeń wielu,  
 Tyle wzdychałem i płakałem tyle,  
 Że głos w swym przejściu spóźnił się o chwilę.  
 Wtem ona: «Kiedy iskrę po iskierce  
 Wciąż dorzucając do twych żądź niewinnych,  
 Miłością dobra zatliłam twe serce,  
 Po którym żądza nie widzi dóbr innych;  
 Mów, jaki łańcuch lub przekop głęboki  
 Na drodze dobra zatrzymał twe kroki,  
 Żeś musiał stracić nadzieję iść dalej?  
 Jakie korzyści i jakie pieszczoty  
 Urzekły ciebie, że wstyd cię nie pali  
 Ciągłe uganiać tak błędne przedmioty?»  
 Westchnąłem gorzko, usta zmordowane,  
 Jąkając słowa krótkie i urwane,  
 Ledwo dość miały sił do odpowiedzi.  
 Płacząc, mówiłem: «Obecne rozkosze  
 Dawny mój zapal studziły po trosze,  
 Odkąd twarz twoja skryła się przede mną».  
 A ona: «Szczerym bądź w twojej spowiedzi,  
 Nie zmniejszysz winy, tłumaczając ją ciemno,  
 Gdy ją skroś widzi oko spowiednika.  
 Wiedz, gdy wyznanie grzechu się wymyka  
 Ze skruszonego żalem ust grzesznika,  
 Tu kamień młyński z wiekuistej rady  
 W obrocie swoim tępi ostrze szpady.  
 Jednak chcąc wstydu oszczędzić dla ucha  
 I gdybyś potem uznając rzecz marną,  
 Słuchać mógł syren z większym hartem ducha,  
 Słuchaj, a odsuń wszelkie łez twych ziarno.  
 Tam ciało moje w mogile zamknięte  
 Mogłoby natchnąć cele życia święte;  
 Nigdy natury albo sztuki dzieło  
 Większą rozkoszą ciebie nie natchnęło,  
 Jak moje piękne, gdzie żył duch mój, ciało,  
 A które teraz w proch się rozsypało.  
 Gdy przez śmierć moją arcyrozkosz taka  
 Znikła dla ciebie, czyż piękność czasową  
 Po mojej mogłeś pożądać na nowo?  
 Na pierwszy postrzał kłamliwych słodocy  
 Tyś był powinien wzrok zatopić w niebie,  
 Wiedzieć, że stamtąd ja patrzę na ciebie,  
 Ja, duch wcielony w byt już niezwodniczy.

Nie powinienes był zwyczajem ptaka  
 Spuszczać twych skrzydeł, by czekać ran nowych  
 Z oczu dziewczyny lub z jej ust różowych,  
 Lub od uciechy równie krótkotrwałej.  
 Ptak dziecię czeka na dwa, trzy wystrzały,  
 Lecz w oczach ptaka, co z dawna porosły  
 W pierze i pióra, może mieć lot wzniosły,  
 Daremnie łowiec nastawuje sieci.  
 Darmo łuk ciągnie, strzała nie doleci».

Jak gdy do winy przyznają się dzieci,  
 Milczą i prosto stoją przed starszemi,  
 Tylko ich oczy wstyd spuszcza do ziemi;  
 Podobnie stałem, a ona tak pocznie:  
 «Gdy mnie słuchając bolejesz widocznie,  
 Podnieś twą brodę, boleść, co cię tłoczy,  
 Poczujesz żywiej patrząc w moje oczy».

Dąb czerstwy z mniejszym upada oporem  
 Przed huraganem albo pod toporem,  
 Jak ja podniosłem brodę z jej rozkazu:  
 Gdy twarz przez brodę, całość przez część zowie,  
 Słów gorzkich żądło poczułem do razu.  
 W chwili, gdym moje podnosił źrenice,  
 Przestali rzucać kwiaty aniołowie,  
 Wzrok mój nieśmiały padł na Beatrycę  
 Patrzącą w gryfa postać promienistą,  
 W jednej osobie z naturą dwoistą.  
 Choć pod zasłoną stała poza rzeką,  
 Od siebie samej piękniejsza daleko  
 I tym piękniejsza, że wdziękami swemi  
 Drugich piękności nie ćmiła na ziemi.  
 Żal ją boleśnie piec mię jak pokrzywą,  
 Żem ją zapomniał, kochając tak żywo,  
 Dla marnych uciech, światowej głupoty.  
 W serce me żądło ukłuło zgryzoty,  
 Padłem omdlały; co się we mnie działo,  
 Ona, przyczyna, znała boleść całą.  
 Potem zewnętrzne gdym odzyskał zmysły,  
 Nade mną stała ta samotna dama,  
 Której mi oczy uprzednio zabłysły.  
 I jakby biorąc mię w swoją opiekę,  
 «Wstań, wstań,» mówiła «a idź za mną dalej».

Po same usta wciągnęła mię w rzekę,  
 Ręką mnie wlokąc za sobą, a sama  
 Jak lekka łódka szła lekko po fali.  
 Gdyśmy do brzegu szczęśliwego przyszli:  
 «Oczyść mię!» słodki psalm dźwięczał przez chwilę,  
 Słodyczy nuty pióro nie określi.  
 Głowę mą piękna objęła kobieta  
 I zatopila mnie w wodę o tyle,  
 Żem się przez usta jej napił do syta.  
 Tak skąpanego przedstawiła z wody  
 Czterem tancerkom precudnej urody,  
 Które mię swymi oplotły rękami,  
 Mówiąc i nucąc zgodnymi głosami:  
 «Tu nimfy, w niebie jesteście gwiazdami;  
 Pierwej nim przyszła na świat Beatryce,  
 Nas przeznaczono na jej służebnice.

My zaprowadzim ciebie przed jej oczy;  
 Gdybyś ich światła mógł znieść ogień żywy,  
 Oto na stronie stoi niewiast troje,  
 Które wzrok mają więcej przenikliwy,  
 Ich wzrok zaostrzy mdle spojrzenie twoje».

Tak głosem brzmiącym jako śpiew uroczy,  
 Zarazem wszystkie śpiewając mówiły:  
 Mnie przed popiersiem gryfa postawiły,  
 Gdzie Beatrycze stała ku nam twarzą.

I rzekły: «Nie szczędź wzroku, bo tu z nami  
 Przed znajomymi stoisz szmaragdami,  
 Skąd już ci miłość ciskała swe strzały».

Wtem żądz tysiące, co jak skry się żarzą,  
 Wzrok mój w promiennych oczach zatapiały,  
 Które bez przerwy na gryfa patrzyły.

Jak słońce w szklanych lub wodnych przeźrocach,  
 Postacią jedną, to drugą widomie  
 Gryf się promienił w Beatrycy oczach.

Zważ, czytelniku, moje zadziwienie,  
 Gdy gryf, widziałem, stojąc nieruchomie,  
 Sam się przekształcał w swój obraz obfity:

Podczas gdy pełna wesela i trwogi  
 Dusza ma pokarm kosztowała błogi,  
 Który nas sycąc pobudza łaknienie.

Snadź z wyższych szczebli znowu trzy kobiety  
 Zstąpiły na brzeg lekkimi stopami,  
 Na wzór aniołów z tańcem i pieśniami.

Pieśń była taka: «Pojrzyj, Beatryce,  
 Twój wierny patrzy w tve święte źrenice,  
 Przeszedł mil tyle, aby cię oglądać.

Przez łaskę, jeśli mogę łaski żądać,  
 Odsłoń mu usta, niech twą piękność drugą  
 Pozna na końcu, nie kryj jej tak długo!»

O! ty, światłości blasku wiekuistej,  
 Kto pił z Parnasu studni przeźroczystej,  
 A pijąc ciągle, zbladł, wysechł z pragnienia;

Któż by nie zadrżał bojaźnią tajemną,  
 Wążąc się kreślić ciebie, gdy przede mną,  
 Gdzie sfer melodią niebo się ocienia,  
 W powietrzu jasnym, spod kwiatów obłoku,  
 Siebie odkryłaś, błysnęłaś mi w oku!

## Pieśń XXXII

(Widzenie się z Beatrycze — połączenie z łaską bożą. Pochód zwraca się na prawo, ku drzewu poznania. Rydwan pozostaje tu — Chrystus i Święci znikają. Beatrycze zstępuje. Widzenie dziejów widomego walczącego Kościoła.)

Tak były moje oczy wyteżone,  
 Dziesięcioletnie gaszące pragnienie,  
 Że inne zmysły wtrąciły w uśpienie;  
 Oczy jak murem z dwóch stron zasłonięne,  
 Na wszystko inne patrzyły bez troski:  
 Tak silnie uśmiech mojej pani boski  
 Ciągnął mnie do się dawnymi sieciami.

Wtenczas twarz moją gwałtownie rękami  
 Zwracały w lewo nimfy i mówiły:  
 «Oczy się jego zanadto wpatrzyły».  
 Stan przykry, jaki czuję w naszym oku,  
 Gdy uderzona powieka przez słońce  
 Wzrok mruży, na czas pozbawił mię wzroku.  
 Lecz wzrok przed światłem gdy wypoczął małym  
 (Mówię, równając do wielkiej światłości,  
 Od której gwałtem oczy oderwałem),  
 Spostrzegłem w prawą zastępy idące  
 Okrytych wieczną chwałą bojowników,  
 Twarzą ku słońcu i siedmiu świeczników,  
 Jak pod zasłoną swojego obozu,  
 Bojowym szykiem postępując rota,  
 Zwraca się, kędy jej sztandar migota;  
 Tak cały zastęp królestwa wieczności,  
 Co siedł przed wozem, przeciągał pochodem,  
 Nim wóz na prawą zawrócił się przodem.  
 Niewiasty stają tuż przy kołach wozu,  
 A gryf wóz święty targnął siłą całą,  
 Choć na nim żadne pióro nie zadrżało.  
 Dama, co dla mnie w bród ze mną szła rzeką,  
 Stacyjusz i ja szliśmy niedaleko  
 Za kołem, które łuk mniejszy pisało,  
 I szliśmy wielką, dziś pustą dąbrową,  
 Przez błąd wierzącej w poradę węzową,  
 Pieśnią aniołów mierząc swoje kroki.  
 Gdyśmy do tyła zaszli w las głęboki.  
 Jak na potrójny rzut strzały w strzelnicę,  
 Z wozu zstąpiła na dół Beatryce.  
 Wtem «Adam! Adam!» szmer zamruczał głuchy,  
 Wszyscy pień drzewa otoczyli suchy,  
 Z liści i kwiatu z dawna obnażony;  
 Czub drzewa tylko liśćmi odziany,  
 Wzwyż rozszerzając obwód swej korony  
 Mógłby zadziwić leśne Indiany.  
 «Dwoisty gryfie, bądź błogosławiony!  
 Że nie rozdarłeś dziobem tego drzewa:  
 Słodki smak jego, lecz Adam i Ewa  
 Czuli, jak jadłem paliło ich trzewa!»  
 Wokoło drzewa tłum szemrał tym śpiewem,  
 Gryf odpowiadał na ten szmer w te słowa:  
 «Tak się nasienie wszelkiej prawdy chowa».  
 I zaraz po tej uciętej przemowie,  
 Wóz pod to drzewo, po swych liściach wdowie,  
 Zatoczył dyszlem i rzucił pod drzewem,  
 Z którego wóz ten zrobiony był rdzeni.  
 A jak rośliny nasze, gdy stojące  
 Za znakiem Ryby wyiskrza się słońce,  
 Z nią blaski wspólnych miesząc promieni,  
 Nim swe rumaki, co ogniami zieją,  
 Pod inną gwiazdą zaprzęże koleją,  
 Zmieniają barwy i kwiatem pęcznieją;  
 Tak odzyskując barwy aż z wierzchołka,  
 Bledsze od róży, żywsze od fiołka,  
 Bezlistne drzewo odżyło na nowo.  
 Wtenczas tłum śpiewał jakąś pieśń godową,

Nuty tej pieśni na ziemi nie brzmiały,  
 A ja nie mogłem dosłuchać jej całej.  
 Gdybym mógł skreślić, jak bazarz uroczy  
 Uśpił bajaniem Argusowe oczy,  
 Którym czuwanie zbytnie jest przestrogą,  
 Bo wzrok ich czujny kosztował tak drogo!  
 Jak malujący malarz według wzoru,  
 Skreśliłbym sen mój barwą słów doboru;  
 Maluj, kto sen mój pędzlem uosobisz,  
 Ja schodzę w moment, który wspomnieć miło,  
 Gdy światło snu mi zasłonę przebiło,  
 Gdy do mnie krzyknął głos: «Wstań! co ty robisz?»  
 A jak na Tabor woń jabłoni luba,  
 Której owocu aniołowie chciwi  
 Bez przerwy w niebie uczują szczęśliwi,  
 Znęciła Piotra, Jana i Jakuba,  
 Gdzie przed niebieskim blaskiem wywróceni,  
 Wstali na słowo, co z grobowych cieni  
 Budzi umarłych i wtenczas widzieli  
 Jak Elias, Mojżesz w obłokach zniknęli;  
 I jak ich mistrza, który w niebo wzłata,  
 Czerwona z białą zmieniła się szata;  
 Taki głos ze snu przetał mi źrenice.  
 Widzę nade mną stoi pochylona,  
 Pełna współczucia niewiasta, to ona,  
 Co mnie pod skrzydłem swej czulej opieki,  
 Przeprowadziła dnem letejskiej rzeki.  
 Z trwogą ją pytam: «Gdzie jest Beatryce?»  
 — «Patrz, ona siedzi na korzeniach drzewa,  
 Co świeżym liściem i kwieciem powiewa;  
 Patrz, jakie grono otacza ją kołem,  
 Drudzy ku niebu z gryfem lecą społem,  
 I nuć pieśni, których nut słodczy  
 Coraz to słodsze, więcej tajemnicze».  
 Jaki był dalszy ciąg jej odpowiedzi,  
 Ja nie wiem, bo już w mych oczach błysnęła  
 Ta, co uwagę całą pochłonęła.  
 Na ziemi nagiej Beatrycze siedzi,  
 Jakby dla straży wozu gryf ją rzucił,  
 Gdy pod to drzewo wóz dyszlem zawrócił.  
 Siedem nimf wieńcem wokoło niej stoi,  
 A każda świecznik trzyma w dłoni swojej,  
 Który podmuchu wiatrów się nie boi.  
 — «Dziś gaj ten zwiedzasz jako gość znikomy,  
 Nim wstąpisz ze mną w wieczności przybytek,  
 Jak obywatel tej niebieskiej Romy,  
 Gdzie Chrystus pierwszym jest obywatelem!  
 A więc na świata grzesznego pożytek,  
 Ten wóz szczególnież zrób uwagi celem;  
 Abyś wróciwszy, farbami żywymi  
 To, co widziałeś, opisał na ziemi».  
 Tymi mówiła Beatrycze słowy.  
 Chętnie jej rozkaz wypełnić gotowy,  
 Gdzie chciała, oczy zwróciłem i myśli.  
 Tak szybko ogień jasných prąg nie kryśli,  
 Gdy piorunowa wyrzuca go chmura,  
 Jak na to drzewo spadł ptak jowiszowy,

Zakrakał dziko i nastrzępił pióra,  
 Korę i liście, kwiat, co się rozwijał,  
 Z zielonych pączków swym dziobem obijał  
 I z całej siły uderzył piersiami  
 W pośrodek wozu, wóz wrył się kołami,  
 Zgiął się jak okręt tłuczony falami.  
 Lis długo, długo pełznąc niewidzialny,  
 Ukradkiem wskoczył na wóz tryumfalny,  
 Chudy, snadź łaknął tuczniejszego chleba.  
 Lecz moja pani zgromiła go srogo,  
 Uciekł, choć z głodu ledwo iść mógł drogą.  
 Orzeł, widziałem, spadł z zachodniej strony  
 I wóz, gdy odeń krzywe podniósł szpony,  
 Zostawił swoim piórem upierzony.  
 Wtem głos przemówił wychodzący z nieba  
 Jak głos, co z piersi zbolelej wychodzi:  
 «Zły jest ładunek twój, o moja łodzi!»  
 Między kołami wozu w mgnieniu oka  
 W ziemi się przepaść rozwarła głęboka,  
 Wychodzącego z niej widziałem smoka,  
 Który ogonem na skroś wóz przeszywa:  
 Potem jak osa, gdy żądło wyrywa,  
 Cofając ogon zarwał wozu kawał,  
 Idąc, rad z łupu uśmiechać się zdawał.  
 Wóz uszkodzony jak rodzajna niwa,  
 Którą puszyste okrywają zioła,  
 Okrył się pierzem z piór ptaka cesarów.  
 Czystą być mogła myśl jego zamiarów;  
 Pióra przykryły dyszel, oba koła,  
 W tak krótkim czasie, że dłużej westchnienie  
 Z ust półotwartych wyrywa cierpienie.  
 Z tak przekształconej tej świętej budowy  
 Z różnych jej części wyglądały głowy;  
 Z dyszla trzy tylko, tych rogi bawole,  
 Gdy czterem sterczał jeden róg na czole.  
 Któż taki potwór mógł widzieć w naturze?  
 Pewna jak twierdza na wysokiej górze  
 Na wóz, widziałem, siadła wszetecznicą;  
 Piersią pół nagą świecąc przez koszulę,  
 Wokoło siebie wodziła oczyma.  
 Przy niej stał olbrzym, wzrok bystry olbrzymia  
 Poglądał na nią z trwogą podejrzaną,  
 Snadź aby jemu branki nie porwano.  
 Kiedy niekiedy ściskali się czule.  
 Dziki zalotnik spostrzegłszy jej lica  
 Zwrócone ku mnie, widząc jak z uboczy  
 Chciwe i błędne obracała oczy,  
 Chłostał ją różgą aż do stóp od głowy.  
 Gdy tak w nim zawiść żar gniewu zagrzewa,  
 W skok wóz potworny odwiązał od drzewa  
 I precz daleko ciągnął w głąb dąbrowy,  
 Która jak puklerz swoją gęstwą ciemną  
 Brankę i zwierzę zakryła przede mną.

## Pieśń XXXIII

(Beatrycze i inne niewiasty powstają, Beatrycze prorokuje ocalenie Kościoła i przywrócenie ładu bożego. Eunoe i zanurzenie się w niej. Zakończenie.)

*Deus, venerunt gentes*: na przemianę,  
Zmieniając w kolej chór swój z każdą zwrotką,  
To trzy, to cztery głosy nimf dobrane,  
Płacząc, poczęły psalmodyję słodką.  
A Beatrycze, wzdychając, jej słucha,  
Współczuciem łez ich zmieniona i drżąca;  
Rzekłbyś, Maryja pod krzyżem stojąca,  
Niewiele więcej była od niej blada.  
Lecz gdy spostrzegła, że mówić wypada,  
Powstała prosta, z żarliwości ducha  
Zaczerwieniona jak ogień, mówiła:  
«Siostry, maluczko już mnie tu widzicie,  
Maluczko zasię, a znów mnie ujrzyście».  
Wszystkie siostr siedm przed się postawiła,  
Damę, mnie, mędrca, który został z nami,  
Za sobą, tylko znak dając gestami.  
Tak szła i prawie za dziesiątym krokiem,  
Gdy oczy moje przebiła swym okiem,  
Rzekła spokojna: «Chodź sam bliżej, śmiało,  
A stań tak do mnie zwrócony w połowie,  
Abyś mógł słyszeć, gdy do cię przemówię».  
Gdym stanął przy niej, jak mi stać przystało,  
«Bracie,» mówiła, «tak idąc, dlaczego  
Nie śmiesz mi zadać pytania jakiego?»  
Jak ten, co nie śmie wyjść z pewnych obrębów  
Przyzwoitości przed swoim zwierzchnikiem,  
Mówiąc, nie może przez pokory zbytek,  
Żywego słowa wyrwać spoza zębów,  
Począłem jąkać nieśmiałym językiem;  
«Pani, znasz lepiej sama mój pożytek».  
A ona: «Wstydem nie czerwień twej twarzy,  
Abyś nie mówił jak człowiek, gdy marzy.  
Wiedz, że spód wozu strzaskany przez smoka  
I był, i nie jest zarazem dla oka,  
Lecz żeby grzesznik nie roił, jak roi,  
Że bożą zemstę potrawą ukoi.  
Orzeł, co tyle ronił piór, nie będzie  
Zawsze bezdzietny! Choć wóz w ślepym błędzie  
Złudzony piór tych ozdobą zwodniczą,  
Stał się potworą, a potem zdobyczą.  
Bo widzę jasno przyszłość tajemniczą,  
Pomimo przeszkód, co się nagromadzą,  
Już idą gwiazdy, które czas sprowadzą,  
Gdy wszetecznicę i jej spółgrzesznika  
Liczba, co pięćset, pięć, dziesięć zamyka,  
Zesłana z nieba, jak proch marny zniszczy.  
Może ta wróżba jak Sfinks lub Temida,  
Niezrozumiałą i ciemną się wyda,  
Bo miesza rozum światłem, co zbyt błyszczący:  
Lecz wam rozwiążą węzeł tej zagadki  
Najady, które wciela się w wypadki,



Plaga ich trzody ocali i zboża.  
 Zapisz i odnieś żyjącym te słowa,  
 Których dni kresem jest deska grobowa:  
 Przeze mnie bowiem mówi prawda boża.  
 Pomnij, spisując wiernie te wyrazy,  
 Nie zakryć drzewa, które wobec ciebie  
 Już znieważonym było po dwa razy.  
 Kto bądź je łamie, a z liści obnaża,  
 Bluźnierstwem czynu ten Boga obraża,  
 Bo On to drzewo stworzył świętym w niebie  
 Na swój użytek. Przeto pierwsza dusza  
 Za grzech, co z niego zjeść owoc pokusza,  
 W mękach i żądz przez lat pięć tysięcy  
 Oczekiwała Tego najgoręcej,  
 Który ukarał jej płocze łaknienie  
 Na sobie samym przez śmierć i cierpienie.  
 Duch twój śpi, jeśli zrozumieć niezdolny,  
 Że dla przyczyny to drzewo szczególnej  
 Tak jest wyniosłe, a wierzch swój zieloną,  
 Coraz to szerszą rozwija koroną.  
 Jeżeli duch twój jak w Elsy strumieniu  
 Nie okamieniał w daremnym myśleniu:  
 Jeśliś nie splamił szperaniem twej głowy  
 Ducha, jak Pyram krwią owoc morwowy,  
 Wtenczas zrozumiesz z pożytkiem dla siebie  
 Myśl rządów Boga na ziemi i w niebie  
 W zakazie, jakim to drzewo otoczył.  
 Lecz gdy grzech rozum do tyła zamroczył,  
 Że ciebie razi słów mych światłość nowa;  
 Chcę, abyś w sercu wszystkie moje słowa  
 Jeśli nie spisał, to choć odmalował:  
 Jak pielgrzym kij swój, z którym pielgrzymował,  
 Ubrany w palmy na pamiątkę chowa».

A ja: «Jak odcisk na wosku pieczęci,  
 Pieczęć twa w mojej zostanie pamięci:  
 Lecz za co wznosisz lot słów tak wysoko,  
 Że najbystrzejsze nie dojrzy ich oko?»

— «Abyś» mówiła «poznał, w jakiej szkole  
 Styrałeś myśli po próżnym mozole,  
 I abyś jasno widział w świetle nowem,  
 Ile nauka jej zgodna z mym słowem,  
 I że od bożych dróg droga człowieka  
 Jest tak jak ziemia od nieba daleka».

— «Nie przypominam,» jej odpowiedziałem,  
 «Czym się oderwał od cię sercem całem,  
 Nic nie wyrzuca głos mego sumienia».

— «Twoja niepamięć przestaje być grzechem;  
 Przypomnij sobie,» mówiła z uśmiechem,  
 «Wszakżeś niedawno pił z Lety strumienia.  
 A jak po dymie poznajemy płomie,  
 To zapomnienie dowodzi widomie,  
 Że twoja wola ze ślepych popędów  
 Mogła popełnić wiele innych błędów.  
 Odtąd me słowa pokażą się nago,  
 Abyś je tępą mógł pojąć uwagę».

Świetniejsze w blasku i wolniej idące  
 Już przez południk przechodziło słońce,

Który się zmienia podług ruchu ziemi.  
 Gdy siedem niewiast wstrzymały swe iście,  
 Jako podróżna w drodze karawana,  
 Nową przeszkodą nagle zatrzymana;  
 Doszedłem kresu, gdzie cień rzuca mroki,  
 Jakie przez czarne gałęzie a liście  
 Zielone, wiatrem kołysane jodła  
 Rzuca na chłodne alpejskie potoki.  
 Jakby szedł Eufrat i Tygrys przed niemi  
 Z jednej krynicy, tak mi się wydało,  
 I jeden z drugim z wolna się rozdziela,  
 Jak gdy przyjaciel żegna przyjaciela.  
 «O światło!» rzekłem, «człowieczeństwa chwało,  
 Jaka to woda, co z jednego źródła  
 Płynąc, na dwa się ramiona rozwiodła?»  
 Ona: «Matyldy prosz, niechaj ci powie».  
 A piękna dama w ten głos się ozowie,  
 Jak chcący z siebie zrzucić winę całą;  
 «Nie zapomniałam o tym jemu kazać,  
 Słów mych zdrój Lety nie mógł w nim wymazać».  
 A Beatrycze: «Snadź większe staranie,  
 Które tak często nam pamięć porywa,  
 Robi, że pomrok duch jego zakrywa.  
 Że jego okiem widzieć nie jest w stanie.  
 Lecz patrz, Eunoe tu płynie po łące,  
 W nim jego siły orzeźwij mdlejące».  
 A jako piękna i łagodna dusza,  
 Co się z pomocą nie ociąga długo,  
 Robiąc swawolę drugiej woli sługą;  
 Tak piękna dama wnet ruszyła kroku  
 I mnie prowadząc z sobą do potoku,  
 Łagodnie rzekła: «Idź» do Stacyjusza.  
 Gdybym mógł w większej jak teraz przestrzeni  
 Popuścić pióro, wierz, mój czytelniku,  
 Pochwał tej wody spisałbym bez liku,  
 Słodszej od wszystkich i rzek, i strumieni;  
 Lecz gdym zapisał karty przeznaczone  
 Na tę pieśń drugą, a sztuki wędzidło  
 Lot mój hamuje, więc opuszczam skrzydło.  
 Wyszedłem z wody, przez jej treści zdrowe  
 Tak odnowiony jak rośliny nowe,  
 W gałązkach, w liściach nowych odnowione;  
 Gdy nie tu jeszcze koniec mojej jazdy,  
 Czysty i gotów wylecieć pod gwiazdy.

# Raj

## Pieśń I

(Inwokacja. Siódmy poranek. Wzlot ku niebu. Pouczenie o wszechświecie)

Cześć, chwała Tego, który świat porusza,  
 Nierówny rzuca blask w kole stworzenia;  
 Byłem ja w niebie, gdzie się rozpromienia  
 Blask ten najwięcej i widziałem rzeczy,  
 Których kto schodzi stamtąd nie powiada  
 Bo na to słowa nie ma głos człowieczy.  
 Albowiem nasza zbliżając się dusza  
 Do najdroższego swej żądy przedmiotu,  
 Tak w nim głęboko i cała zapada,  
 Że pamięć traci, nadzieję powrotu,  
 Jednak z królestwa świętego zebrany  
 Skarbiec piękności w ducha mego cieśni,  
 Od dzisiaj będzie treścią mojej pieśni.  
 O! W tej ostatniej pracy, Apollinie,  
 Zrób ze mnie pełne twej łaski naczynie,  
 Takie, by rósł w nim twój laur ukochany.  
 Dotąd wierzch jeden Parnasu, o Febe!  
 Starczył mi, teraz dwóch czuję potrzebę,  
 Na resztę drogi i trudów wędrowca.  
 Znijdź do mnie, niech mnie twój zapal unosi,  
 Z jakim hardego członki Marsyasza  
 Rad dobywałeś żywe z ich pokrowca.  
 O boska siło! Gdy mnie rzeczywiście  
 Natchniesz do tyła, że pieśń moja z chwałą  
 Błogosławionych królestwa wyśpiewa  
 Cień, który wrył się w moją duszę całą;  
 Ujrzysz, jak przyjdę do stóp twego drzewa,  
 Wieńczyć się w jego nieśmiertelne liście,  
 Których mnie przedmiot i ty zrobisz godnym.  
 Dzisiaj tak rzadko kto się uszczknąć stara  
 Laur na poety triumf lub Cezara  
 (Błąd i wstyd woli upadłego ducha) —  
 Że kiedy duch czyj dziś lauru jest głodnym,  
 Penejska gałąź powinna wesoło  
 Rozjaśnić bóstwa delfickiego czoło.  
 Za małą iskrą wielki płomień bucha;  
 Może kto po mnie w potężniejszej mowie  
 Wymodli, że mu Apollo odpowie.  
 Światło nam schodzi oknami różnemi,  
 Lecz jeśli ludziom przez to okno błyska,  
 Gdzie się w trzy krzyże wiążą cztery kręgi,  
 Bieg światła lepszy, wpływ jego potęgi  
 Czynniej działając na воск naszej ziemi,  
 Wyraźniej na nim swą pieczęć wyciska.  
 Ranek tym oknem schodził tam wysoko,  
 A tu był wieczór; tam półkula cała,  
 Gdy nasza czarna, jak dzień była biała.  
 A obrócona w lewo Beatryce  
 Trzymała w słońcu utkwione źrenice,  
 Orle na słońce tak nie patrzy oko.  
 Jak drugi promień z pierwszego przez chmurę  
 Błyska i znowu podnosi się w górę,  
 Z wracającego tęsknotą pielgrzyma;  
 Tak jej czyn wchodząc w myśl moją oczyma  
 Zapłodził czyn mój i oczy jak gońce  
 Płodnej w czyn myśli posłałem na słońce.  
 Wiele tam możem siłami naszemi,

Co niepodobnym zdaje się na ziemi;  
 Tak działa miejsca dzielność i opieka  
 Przeznaczonego na gniazdo człowieka.  
 Długo znieść słońca nie mogła powieka,  
 Widziałem tylko jak ognie roznieca,  
 Jak war żelaza iskrzący się z pieca.  
 I zdało mi się, że od wschodniej strony  
 Z dni wielu jeden wielki dzień się zrobił,  
 Jakby Bóg niebo drugim słońcem zdobił.  
 Gdy Beatrycze oczy promieniste  
 Wciąż zatapiała w sfery wiekuiste,  
 Wzrok mój padł na nią z wysoka zwrócony,  
 A spoglądając na nią, jakby w niebie  
 Duch mój utonął, wyszedłem sam z siebie,  
 Jak Glaukus, który skosztowawszy ziela,  
 W morskiego boga cudownie się wciela.  
 Język słów nie ma, za słabe ich brzmienie,  
 Wydać naszego ducha przemienienie;  
 Niech więc sam przykład starczy temu gwoli,  
 Komu tak łaska doświadczać pozwoli.  
 Czy tylko byłem, jak niegdyś, stworzoną  
 Przez ciebie duszą jeszcze niewcieloną?  
 Niebios Rządczyni! Ty wiesz, o Miłości!  
 Ty, coś mnie wzniosła do ich wysokości.  
 O pożądana! Gdy ruch sfer na niebie  
 Całą uwagę obrócił na siebie,  
 Przez harmoniję, jaką z nich wywodzisz,  
 Tony jej sprzęgasz, wznosisz, to łagodzisz.  
 Zdało się, niebo od końca do końca  
 Płonęło ogniem od płomienia słońca,  
 Że nigdy deszcze lub rzeki gdy wzbiorą,  
 Wód swoich w szersze nie zlały jezioro.  
 A nowość tonów i światłość niezwykła  
 Tak ich badania żądzą mnie paliła,  
 Nigdy jej ostrza nie czułem tak żywo!  
 Ona, co czytać moją myśl przywykła,  
 Chcąc zaspokoić mój umysł wzruszony,  
 Nim zapytałem, usta otworzyła  
 I tak poczęła: «Rozum twój spaczony  
 Wyobrażeniem, które widzi krzywo,  
 Robi, że prawdę pojmujesz leniwo:  
 Tego nie widzisz, co byś widział jasno,  
 Gdybyś mógł z błędu powstać siłą własną.  
 Ty już nie jesteś, jak wierzysz, na ziemi;  
 Piorun tak szybko nie spada z swej chmury,  
 Jak ty tu lecisz, wznosząc się do góry».  
 Jeślim z pierwszego ochłonął zwątpienia,  
 Ukołysany przez jej dźwięczne słowa,  
 Silniej objęła mnie wątpliwość nowa:  
 I rzekłem: «Czuję rozkosz wypocznienia  
 Po zmordowaniu z wielkiego zdziwienia;  
 Teraz podziwiam, skrzydłami jakimi  
 Wzbijam się wyżej nad te lekkie ciała?»  
 Ona westchnąwszy, tak na mnie spojrzała  
 Jak matka, gdy jej córka oszalała.  
 I tak poczęła: «We wszech rzeczy wątku  
 Dopatrzysz ślady wyraźne porządku,

A ten porządek, jest to forma błoga,  
Która kształtuje świat na obraz Boga.  
Tu wyższe twory widzą siły wiecznej  
Obraz widomy, jej cel ostateczny,  
Przez który stał się porządek konieczny.  
Wszystkie istoty w porządkowym składzie  
Przyrodna skłonność wyraźnie odznacza,  
I podług doli, co im los przeznacza,  
Żyją mniej więcej wierni swej zasadzie.  
Tak po tym wielkim istot oceanie,  
Jak i co której radzi skłonność czyja,  
Każda instynktu pełniąc rozkazanie  
Do różnych portów swą łódką przybija;  
Z instynktów jeden masz w ognia iskierce,  
Którą coś ciągnie pod księżyc w podniebie:  
Ten żywszym biciem porusza nam serce,  
Ten ziemię ściska i zbiera ją w siebie.  
Łuk tych instynktów wypuszcza swe groty  
Na bezrozumne i wyższe istoty  
Przez duch i miłość; Ten, co nim tak mierzy,  
Opatrzny światłem niebo wypogadza  
Gdzie pierwsze Rucho jak najchyżej bieży.  
I moc tej struny teraz nas tam niesie,  
Która kieruje lecące z niej strzały,  
Ażeby wszystkie do celu leciały,  
Aby utkwily w wesołym ich kresie.  
Lecz jako forma często się nie zgadza  
Z myślą wyległą ze sztukmistrza ducha,  
Bo na odpowiedź cielesność jest głucha;  
Tak często zbacza z kierunku stworzenie,  
Które choć w taki sposób prowadzone,  
Ma moc na drugą pochylić się stronę;  
Jak widzimy ogień spadający z chmury,  
Tak dusza spada, gdy jej popęd z góry  
Ściągnął do ziemi fałszywe rozkosze.  
Mniej cię powinno, jak sądzę i wnoszę,  
Dziwić twe ze mną tu wniebowstąpienie,  
Niż gdy spadają na dół z gór strumienie.  
Byłoby dziwniej, gdybyś tam na dole  
Gnuśniał w spoczynku, mając wolną wolę,  
Niż gdyby płomień wzbijać się ochoczy  
Zarył się w ziemię jak kret, co ją toczy».  
I potem w niebo podniosła swe oczy.

## Pieśń II

(I. oddział, siedem kół planetowych. Na Księżycu. Koniec pouczenia o wszech-  
świecie (o plamach na Księżycu))  
Tłumie, coś płynął słuchać mnie ciekawy  
Łódką w ślad mojej śpiewającej nawy,  
Zawracaj wiosłem w brzegi za pogody,  
Nie tobie za mną żeglować przez morze,  
Tracąc mnie z oczu zabłądziłbyś może.  
Ja płynę dotąd w nieżeglowne wody,

Żagiel mój tchnienie rozdyma Minerwy,  
 Apollo ster mój, grono Muz dziewięciu  
 Gwiazdą niedźwiedzic wzrok żeglarza nęci.  
 Ty mała garstko! Co wcześniej bez przerwy  
 Po chleb aniołów wyciągałaś szyję,  
 Chleb, jakim człowiek tu z dnia na dzień żyje,  
 Lecz którym nigdy nie może być syty,  
 Okręt twój śmiało pod żaglem rozwitym  
 W ślad moją bruzdą niech się szybko śliznie,  
 Nim wiatr ją zmiecie na wodnej płaszczyźnie.  
 Co zobaczycie, dziwniejszym się wyda  
 Niż Argonautom zamorska Kolchida,  
 Gdzie się dziwili pierwsze wędrowniki,  
 Widząc Jazona, jak w pług wprzęgał byki.  
 Wieczne pragnienie współ z duszą stworzone,  
 W królestwo duchów wejść błogosławione,  
 Szybko nas nosło coraz wyżej, wyżej,  
 Jak widzimy z nieba ziemi obrót chyży.  
 A Beatrycze wciąż w górę patrzyła,  
 Jam patrzył na nią; jak złożona strzała  
 Na łuku z węzła zrywa się i leci,  
 Tak szybko byłem w tym miejscu, gdzie świeci  
 Cudowna światłość, której blask uroczy  
 Od Beatrycze oderwał me oczy.  
 Ona, co w głębi mego serca czyta,  
 Zwrócona do mnie, tak piękna, jak miła,  
 Ze zwykłym słów swych wdziękiem i urokiem  
 «Wzniesź wdzięczną duszę do Boga» mówiła:  
 «Przez Niego nas tu pierwsza gwiazda wita».  
 Byliśmy, zda się, przykryci obłokiem  
 Lśniącym i twardym, grał blasków tysiącem,  
 Jak dyjamentu szlif rażony słońcem.  
 Ta wieczna perła świecąca na niebie  
 Blaskiem niezmierzchłym przyjęła nas w siebie  
 Jak woda, która do swojego łona  
 Przyjmuje promień, cała i złączona.  
 Któż pojmie z ludzi, że ja będąc ciałem,  
 Drugie sam sobą ciało przenikałem,  
 Mający ciała rozciągłość i miarę?  
 Jaką czuć w sobie winniśmy tęsknotę,  
 Aby oglądać tę arcyistotę,  
 W której dopatrzymy zachwyceniu błogim,  
 Jak się natura nasza łączy z Bogiem.  
 Tam się objawi, w co wierzymy przez wiarę,  
 I bez dowodu samo cię uderzy,  
 Jak pierwsza wiara, w jaką człowiek wierzy.  
 Odpowiedziałem: — «Pani! Ile może  
 Wdzięcznym być człowiek, dziękuję w pokorze  
 Temu, co wzniosł mnie nad padoły ziemne.  
 Lecz powiedz, jakie są te plamy ciemne  
 Na księżycowym ciebie, a skąd w gminie  
 Tysiące bajek krąży o Kainie».  
 Ona uśmiechem na chwilę powlekła  
 Urocze lica, a potem tak rzekła:  
 — «Jeśli sąd ludzki błądzi na rozdrożu,  
 Tam gdzie klucz zmysłów otworzyć nie może,  
 Zaiste, odtąd, rzecz tę widząc jaśniej,

Strzała podziwu ciebie nie zadraśnię;  
 Gdy w zmysłach sądu szukacie prawidła,  
 Widzisz, twój rozum jak ma krótkie skrzydła!  
 Lecz mów, co o tym myślisz sam przez siebie?»  
 — «Ta rozmaitość» rzekłem: «form na niebie,  
 Wierzę, z ciał ciekłych i zsiadłych pochodzi».  
 Ona: — «Wierzenie twoje w fałszu brodzi,  
 Co sam rad ujrzysz; gdy z uwagą ducha  
 Na mój przeczący wywód skłonisz ucha.  
 Na ósmej sferze gwiazd naliczysz sporo,  
 Ilość i jakość światła, jakim gorą,  
 Każe nam wnosić, że są różnolice.  
 Gdy ciała ciekłe i zsiadłe różnice  
 Wszystkich form tworzą, w tych by gwiazdach była  
 Równa lub różna, jednak jedna siła.  
 Gdy różne siły powinny być w owych  
 Ciałach owocem ich zasad formowych;  
 Twierdzenie twoje, jako miecz zagłady  
 Prócz jednej niszczy wszystkie te zasady.  
 Nadto, jeśliby rozrzedzone ciało  
 Samo te ciemne plamy formowało  
 Wtedy planeta z tej lub owej strony  
 Ze swojej treści byłby pozbawiony,  
 Albo wciąż ludząc twoich oczu wartę,  
 Zmieniałby ciągle swojej księgi kartę;  
 Jak ciało zwierza, co w swym całym toku  
 Miąższość, to chudość pokazuje oku.  
 Gdyby twój pierwszy domysł był prawdziwy,  
 W zaćmieniach słońca miałbyś dowód żywy;  
 Słoneczny promień mógłby przejść bez szkody  
 Przez krąg księżyca, jak przez przeźrocz wody,  
 Co jednak nie jest: a więc przez dowody  
 Drugi twój domysł gdy zwycięsko zbiję,  
 Fałszywość sądu twojego wykryję.  
 Jeśli to rzadkie ciało nie przenika  
 Na skroś księżyca, snadź w nim punkt spotyka,  
 Gdzie przeciwieństwo jego nie pozwala  
 Postąpić dalej. Stamtąd się zapala,  
 Odbija promień, co odbłaskiem zowiem,  
 Jak farba przez szkło podszyte ołowiem.  
 Lecz powiesz, promień w tej części księżyca  
 Daleko ciemniej jak w innej przyświeca,  
 Bo się odbija z większej głębokości.  
 Z tego zarzutu możesz zawsze w porę  
 Wyzwolić siebie wprost przez doświadczenie,  
 Źródło, skąd płyną waszych sztuk strumienie.  
 Weź trzy zwierciadła, w jednej odległości  
 Dwa staw przed sobą, trzecie dobrze dalej;  
 Między dwa pierwsze potem zwróć twe oczy  
 Niech tylko świecznik, co za tobą gore,  
 W ich się troistej odbije przeźroczy.  
 Chociaż najdalsze słabszy blask zapali,  
 Jako w dwóch bliższych w dalszym równie żywo  
 Ujrzysz odbite świecznika ogniwo.  
 Teraz jak ziemia, która się zieleni  
 Spod warstwy śniegów od ciepłych promieni,  
 Duch twój z fałszywych sądów się wyzwoli,

Światło tak żywe przyjmie z mojej woli,  
 Że sam zabłyśnie w jego aureoli.  
 W niebie, w stolicy bożego pokoju,  
 Wiruje sfera co najszybszej jazdy;  
 W niej jest treść, ziarno wszech bytów rozwoju.  
 Niebo następne, gdzie się roją gwiazdy,  
 Ten byt rozdziela na różne planety  
 Z sił rozmaitych zarodem poczęte,  
 Odeń oddzielne, jednak nim objęte.  
 Ten łańcuch bytu inne sfery splata,  
 Osobnym ruchem każda krąży sfera,  
 Według różnicy, co się w niej zawiera!  
 Każdą jej pociąg pędzi do jej mety.  
 Jak widzisz teraz, te narzędzia świata  
 Szczablami siły, jakie z góry biorą,  
 Podają gwiazdom, co pod nimi gorą.  
 Ile tve oczy wzrok wytężyć mogą,  
 Patrz, ja ku Prawdzie jaką idę drogą,  
 Jeśli dojść do niej pałasz żywą chęcią.  
 Sfery te stałym podległe warunkom,  
 Siłę, co ciała ich w przestrzenie miota,  
 Błogosławionym chciej przyznać kierunkom,  
 Jak kowalowi dzieło jego młota.  
 To ósme niebo, gdzie gwiazd tyle świeci,  
 Od Arcyducha ma ruch, jakim leci,  
 Staje się jego obrazem, pieczęcią.  
 Jak w prochu twoim członki tve porusza  
 I różno władze rozwija twa dusza,  
 Arcyduch tak swą dobroć rozmnożoną  
 Zlewa na gwiazdy i szczepi w ich łono,  
 Sam kołujący na swojej jedności.  
 Każda więc siła w swe ciało szlachetne,  
 Które ożywia, wnika rozmaicie  
 I z nim się wiąże jak z tobą tve życie:  
 A że wypływa z natury wesołej,  
 Świeci jak w oku skra żywej radości.  
 Więc nie ciał zsiadłych i ciekłych żywioły  
 Robią, że światła nierównie są świetne,  
 Ale ta siła z wszechmocą duchową,  
 Która jest sama zasadą formową  
 Wedle potęgi, jaką ma jej władza,  
 To, co jest ciemne i jasne, wyradza».

## Pieśń III

(Ciąg dalszy. Mieszkanki księżycy. Zakonnica Pikarda. Konstancja, matka Fryderyka II. Pouczenie o istocie świętości.)

To słońce, co mnie miłości płomieniem  
 Palilo, teraz wdzięk prawdy uroczy  
 Odkryło swoim dowodem, przeczeniem.  
 A ja, ze skrucą pragnąc doskonałą  
 Wyznać me błędy, o ile przystało,  
 Podniosłem głowę i już mówić miałem:  
 Lecz widok nowy pociągał me oczy,



Wzrok mój weń z takim wrażliwym zapalem,  
 Że o spowiedzi mojej zapomniałem.  
 Jak przez szkła przeźroczystą i bez skazy,  
 Albo przez jasne, ciche wód kryształ,

Nie tak głębokie by dno zaciemniały,  
 Szły do mych oczu takie mdłe obrazy,  
 Że prędzej perła na tle białym czoła  
 Blaskiem swym oczu uwagę wywoła.

Widziałem, zda się, orszak cieniów nowy  
 Rozwierał usta skore do rozmowy:  
 Dlatego łatwo w błąd przeciwny wpadłem  
 Temu błędowi, co miłość złudzeniem  
 Między człowiekiem zatlił a strumieniem.  
 Chcąc widzieć cienie, azali zwierciadłem  
 Były obite, ciekawie patrzałem,  
 Skąd wychodziły, z jakich ciał poczęte?  
 I nic nie widząc, wzrok znowu zwracałem  
 Na światło pięknej przewodniczki mojej,  
 A uśmiech błyskał przez jej oczy święte.

Ona mówiła: — «Nie z przyczyny innej,  
 Ja się uśmiecham z twej myśli dziecinnej;  
 Jeszcze twa stopa nie o mocy swojej,  
 Słabo na prawdzie jak potknięta stoi.  
 Te, jako widzisz, rysy cieniów mglistych,  
 Są to postacie istot rzeczywistych,  
 Tu wywołanych za śluby złamane.  
 A więc jak stoisz, przemów do nich z dala,  
 Słuchaj ich z wiarą, bo światłość prawdziwa,  
 Przez którą duch ich w radości opływa,  
 Nigdy im od się zbłądzić nie pozwala».

I obróciłem rozmowę do cienia,  
 Który najwięcej miał chęci mówienia,  
 Rzucając słowa z pośpiechu splątane:  
 «Duchu!» mówiłem: «Szczęśliwie stworzony,  
 Co w sobie, życiem wiecznym oświecony,  
 Czujesz tę słodycz, jakiej nie pojmuje  
 Nikt i nie pojmie, aż nim jej skosztuje;  
 Przysięgam tobie wdzięczność niezmierzającą,  
 Jeśli mi powiesz los wasz, twoje miano;  
 Ciekawej chęci nie liczę na karb grzechu».

A cień z oczyma pełnymi uśmiechu:  
 «Tu miłość nasza, boskiej obraz żywy,  
 Drzwi nie zamyka dla chęci godziwej,  
 Bo miłosierdziu zdało się bożemu,  
 Aby dwór jego był podobny Jemu.  
 Byłam na ziemi zakonnica skromna,  
 Jeśli mnie dobrze twoje oczy pomną,  
 Choć piękność moja dziś jest w krasie żywszej.  
 Poznasz Pikardę; mieszkam pośród grona  
 Błogosławionych i błogosławiona  
 Jestem tu w sferze ze sfer najłagodniejszej.  
 Płomień żądz naszych do tyła rozdęty,  
 Jaką w nich iskrę zapalił Duch Święty,  
 Cieszy się sferą, jaką jest objęty.  
 Los nasz, jak widzisz, ma blasku niewiele,  
 Bośmy na różne rozstrzeleni cele,  
 Niedbale, w części złamali swe śluby».

A ja: — «Postaci waszych wdzięk tak luby!  
 Tak coś boskiego wzrok mój do was nęci,  
 Że pierwszy rys wasz spłowił w mej pamięci.  
 Długo szukałem ciebie w przypomnieniu,  
 Gdy mi pomagasz, zwać się po imieniu,  
 Poznaję, jakbym cię widział od wczoraj.  
 Lecz powiedz, tu, gdyś wiekuiście błoga,  
 Czy do sfer wyższych nie tęsknisz goręcej,  
 Ażeby bliżej spoglądać na Boga,  
 Kochać go więcej, być kochaną więcej?»  
 Wtem uśmiech, w którym prześwieca pokora,  
 Jej twarz i drugich oświecił dokoła,  
 I przemówiła do mnie tak wesoła,  
 Że mi się zdała z światła, jakim błyska,  
 Płonąć miłością z pierwszego ogniska.  
 — «Bracie! Tu miłość żar woli przygasza,  
 Chęć w tym, co mamy, określa jej władza,  
 Ona dóbr innych pragnąć nam odradza.  
 Gdybyśmy sami, na przekór pokorze  
 Wyżej być chcieli, chęć i wola nasza  
 Byłyby zaraz z wolą tego w sporze,  
 Którego mądrość nas tu współgromadzi:  
 A zgodą stoi to królestwo boże.  
 Gdy bliżej poznasz naturę sfer nieba,  
 Przyznasz, że tu żyć w miłości potrzeba.  
 Błogosławiony stan jest naszej doli  
 Wtedy, gdy z wolą bożą się zespoli;  
 Wszystkich nas wole idą z jednej woli.  
 A stopnie duchów nadane jestestwa  
 Miłe są temu całemu królestwu,  
 Jak i królowi, którego tu wola  
 Jest razem wolą wszystkich jako króla.  
 Na jego woli nasz pokój spoczywa,  
 Ona jest morzem, w które wszystko spływa,  
 Co sama tworzy, co robi natura».  
 Wtenczas mi z oczu zeszła błędu chmura,  
 Jasno mi było, jak gdy błąd uznajem,  
 Że każde miejsce w niebiosach jest rajem,  
 Choć w nich deszcz łaski niejednako spada.  
 Lecz, jak gdy drażni smak suta biesiada,  
 Syci potrawą jedną, nie przestajem  
 Pożądać drugiej; tak gestem i słowem  
 Robiłem, znęcon słów jej złotogłowem,  
 By się dowiedzieć, jaka to tkań była,  
 Do końca której czołnka nie puściła.  
 — «Zasługą» rzekła, «pobożności swojej,  
 Jedna tu w niebie wyżej od nas stoi,  
 Wedle zakonu, którego zasłoną  
 I suknią była w życiu obleczoną;  
 Aby do śmierci z czystym ślubów wieńcem,  
 Czuwać, zasypiać społem z oblubieńcem,  
 Który ślub każdy uznaje za godny,  
 Jeśli jest z prawem miłosierdzia zgodny.  
 Na wzór jej młoda uciekłam od świata  
 I jej zakonu zamknęła mnie krata,  
 I ślubowałam w mej duszy do zgonu  
 Przez nią wskazaną iść drogą zakonu.

Ludzie zza kraty, z klasztorного progu,  
 Zawsze do złego skłonniejsi z nałogu  
 Niżli do dobra, porwali mnie skrycie;  
 A Bóg wie, jakie było moje życie.  
 Światłość, co w prawą żywe ognie nieci  
 I całym blaskiem naszej sfery świeci,  
 Co z ust mych o mnie słyszałeś w tej dobie,  
 Podobnie w duchu tak myśli o sobie.  
 Jak ze mnie, równie mimo ślub zrobiony,  
 Zdjęto z jej czoła cień świętej zasłony.  
 Lecz gdy wróciła w świat pomimo woli  
 I w swe nałogi, co ją dotąd boli,  
 Serce jej ziemską skazą niesplamione  
 Ciągłe nosiło tę świętą zasłonę.  
 Wielkiej Konstancji tak światłość rześniej!  
 Z drugiego wiatru, co od Szwabów wieje,  
 Zrodziła trzeci i na nim zgasł światu  
 Z tej krwi ostatni świecznik majestatu».

Skończywszy mówić, Pikarda pobożna  
 Nucila *Ave*: tak nucąc, w oddali  
 Znikła jak kamień tonie w mętnej fali.  
 Spojrzenia moje, ile było można,  
 Szły ciągle za nią, lecz gdy ją straciły,  
 W cel większej żądz oko me zwróciły  
 I utonęły całe w Beatrycę:  
 Lecz ta ciskała takie błyskawice,  
 Że ich widoku nie mogły znieść oczy;  
 Przeto ją pytać mniej byłem ochoczy.

## Pieśń IV

(Dalszy ciąg. Pouczenie o istocie i stopniach błogosławieństwa i o wolnej woli.)

Pomędzy dwiema siedząc potrawami,  
 Umarłby z głodu człowiek, pan wyboru,  
 Gdyby z nich jednej nie przeżuł zębami.  
 Tak między dwoma drży jagnię wilkami,  
 Tak drży pies, wpadłszy między dwa rogale;  
 Tak zawieszony między dwa zwątpienia  
 Milczałem tylko, bom czuł mus milczenia,  
 Z czego bynajmniej ja się nie pochwałę.  
 Milczałem, ale był to chłód pozoru,  
 Z lic mych iskrzyła chęć pytania nowa  
 Goręcej, niżby buchnęła przez słowa.  
 Jak prorok Daniel przez wykład snu dziwny  
 Gniew ukołysał okrutnego króla,  
 Tak Beatrycze przez natchnienie boże  
 Zrobiła mówiąc: — «Ja widzę niemylnie,  
 Jak cię pociąga dwóch żądz prąd przeciwny;  
 Troska twa sama wiąże się tak silnie,  
 Że się na zewnątrz rozwinać nie może.  
 Ty rozumujesz: gdy trwa dobra wola,  
 Dlaczego, gdy jej czyni gwałt kto drugi,  
 Maleje wartość jej własnej zasługi?  
 Jeszcze cię robak drugiej troski wierci,

Jakoby dusze wedle słów Platona  
 Do gwiazd rodzinnych wracają po śmierci.  
 Dwóch tych trosk w tobie walka niestoczona.  
 Wpierw zwalczę bronią mojego wykładu  
 Myśl, co najwięcej ma zółci i jadu.  
 Wśród Serafinów, co przed Panem panów  
 Najświetniej gorą, dwóch, czy jeden z Janów,  
 Samuel, Mojżesz nie mówię, Maryja,  
 Wszyscy jak duchy, których widzisz cienie,  
 Nie mają swoich stolic w drugim niebie:  
 Równie im świeci wiekuiste lato.  
 Lecz wszyscy pierwszą upiększają sferę,  
 Słodycz ich życia równie się rozwija  
 I światło różnie wyiskrzają z siebie,  
 Według jak czują w sobie boże tchnienie.  
 Te duchy tu się pokazały na to,  
 Abyś przez znaki poznał prawdoszczere,  
 Jaka najniższa sfera ze sfer nieba.  
 Do waszych pojęć tak przemawiać trzeba,  
 Bo rozumowy wasz pogląd zawisły  
 Od sądu, jaki naprzód tworzą zmysły.  
 Dlatego pismo folgować wam umie,  
 Gdy boże oko, boża ręka mówi,  
 Nadając ludzki kształt Arcyduchowi;  
 Choć Pismo wcale rzecz inną rozumie.  
 I święty Kościół pod figurą ciała  
 Wam Gabriela przedstawia, Michała  
 I tego, co wzrok wrócił Tobiaszowi. —  
 Myśl, jaką Platon w usta Tymeusza  
 Wkłada o duszach, nic wspólnego nie ma  
 Z tym, co tu widzimy; on mówi, jak mniema;  
 Mówi, że wraca do swej gwiazdy dusza,  
 Wierząc, że od niej oderwaną była,  
 Kiedy natura ją z formą łączyła.  
 Może w tym zdaniu inna myśl się chowa,  
 Zamiar, którego nie wydały słowa,  
 Godny nie żartu, lecz raczej podziwu.  
 Jeżeli przez to rozumie, że wpływu  
 Do swych sfer wraca chwała i nagana,  
 Jako odbity promień od zwierciadła;  
 Strzała być mogła dobrze celowana,  
 Od tarczy prawdy niedaleko padła.  
 Już źle pojęta zasada ta śmiała  
 Ledwo nie cały stary świat zbłąkała,  
 Który cześć Marsa, Jowisza ogłasza.  
 Druga wątpliwość, jaka tobą chwieje,  
 Mniej jadowita, zbić ją mam nadzieję.  
 Że ludziom zda się sprawiedliwość nasza  
 niesprawiedliwą, w tym jest skarga stara,  
 Nie złość kacerska, lecz wąpiąca wiara.  
 A że tę prawdę twój rozum w lot zbada,  
 Wedle, jak żądasz, objaśnię cię rada.  
 Gdy gwałt przychodzi, cierpiąca go dusza,  
 Chociaż spokojnym żalem się zakrwawia,  
 Bez żadnej spółki z tym, który ją zmusza,  
 Gwałt jeszcze takiej duszy nie wymawia.  
 Wola, gdy nie chce, ma ognia naturę,

Gaś po sto razy, on wybucha w górę.  
 Więc gdy się wola mniej lub więcej zgina  
 Przed siłą, siły sługą być zaczyna:  
 Tak i te duchy mogły na wstyd siły  
 Wrócić za kratę, jednak nie wróciły.  
 Gdyby ich wola była tak wytrwała,  
 Jaka Wawrzyńca na żarach trzymała,  
 Co w ogniu rękę paliła Scewoli;  
 Czyżby nie mogły swe śluby przerwane  
 Dopelnąć w miejscu, skąd były porwane?  
 Lecz arcyrzadka taka stałość woli!  
 Ten wykład, jeśliś doń ucha przykładął,  
 Twemu twierdzeniu cios ostatni zadał.  
 Lecz oto drugi ciebie błąd pokusza,  
 Z którego własna myśl cię nie wyzwoli:  
 Z tej walki mógłbyś wyjść cały znużony.  
 Błogosławiona, mówiłam ci, dusza  
 Kłamać nie może, ponieważ szczęśliwa  
 Przy pierwszej prawdzie najbliższej przebywa.  
 I w tym Pikarda, mówiąc, na myśl wbiegła  
 O Konstancyi, która wiernie strzegła  
 Niepokalaną miłość dla zasłony.  
 Stąd w słowach naszych, z mojej i z jej strony,  
 Mógł cię uderzyć pozór przeciwieństwa.  
 Często się zdarza, że trwogą przejęci  
 Ludzie, chcąc uciec od niebezpieczeństwa,  
 To, co źle robią, robią mimo chęci.  
 Masz z matkobójcy przykład, z Alkmeona,  
 Który uległszy powadze ojcowskiej,  
 Stał się bezbożnym z miłości synowskiej.  
 Chcę, abyś myślał, że wina zrodzona  
 Z przymierza woli i siły gwałcącej,  
 Niczym nie zetrze plamy ją hańbiącej.  
 Bezwarunkowej woli gwałt nie złamie  
 I na zło tylko o tyle przyzwala,  
 Ile ją bojaźń od dobra oddala.  
 Więc gdy Pikarda uprzednimi słowy  
 Orzekła woli moc bezwarunkowej,  
 Poznałeś drugą wolę z mej rozmowy;  
 Dowód, że prawdzie z nas żadna nie kłamie».

Tak dźwięcząc, płynął szmer świętego zdroju  
 Z krynicy, z której wszelka prawda tryska,  
 Aż obie żądze zgasił mi w pokoju.  
 «Kochanko boża! Gdy deszcz słów twych leje,  
 Duch mój w nim rzeźwo kąpie się i grzeje:  
 Skąpy lśni promień z uczuć mych ogniska,  
 Aby twej łasce sprostać choć w połowie,  
 Niech ten, co może, za mnie ci odpowie.  
 Rozum nasz nigdy, jak łakome dzieci,  
 Niesyt, póki się prawdą nie oświeci,  
 Za którą każda inna prawda kłamie;  
 Gdy w jego oku jej promień się złamie,  
 W niej odpoczywa, jak zwierzę w swej jamie:  
 Przeciwnie, pogoń żądz naszych daremna  
 Nas by strawiła jak febra tajemna.  
 Wskutek tej żądz wątpienie wynika  
 Z podnóża prawdy jak latorośl dzika

I coraz wyżej i wyżej powiewa,  
Aż nim doścignie do wierzchołka drzewa  
To mnie ośmiela, o Pani! w tej chwili  
O drugą prawdę zapytać w pokorze,  
Której blask dla mnie zakrywa błąd gruby:  
Chcę wiedzieć, człowiek czy złamane śluby  
Zastąpić godnie innym ślubem może,  
Gdy szalę jego ciężarem przechyli?»  
Ona spojrzała oczyma boskimi,  
W nich żar miłości pałał tak uroczy,  
Że jego blaskiem zwyciężone oczy  
Jak przełęczniony spuściłem do ziemi.

## Pieśń V

(Dodatek do ostatniego pouczenia i o ślubach. 2. Wzlot ku Merkuremu.)

«Gdy tu, w tym środku gorącej miłości,  
Ja świecę tobie płomienniejszą i żywiej  
Nad wszystkie ziemskich blasków wielmożności,  
Tak, że zwyciężam twoich oczu siłę;  
Nie dziw się, robi to wzrok doskonały,  
Który pochwyca szybko przedmiot cały,  
A raz schwyciwszy, bada nie leniwiej.  
Już widzę jasno, jak w tym duchu świta  
Jasność od światła wiecznego odbita,  
Którego widok w nas miłość zapala.  
A jeśli inne rzeczy tobie miłe  
Porwą twe serce jako łódkę fala,  
Blask tegoż światła, ale źle poznany,  
Będzie ci świecił przez przedmiot kochany.  
Chcesz wiedzieć, można li przez inne dzieła,  
Przez żal, modlitwę, jaką wolno prosić,  
Złamanym ślubom uczynić zadosyć,  
Ażeby duszę ustrzec od zgryzoty?»  
Tak Beatrycze, tak tę pieśń poczęła,  
I jak mówiący człowiek nieprzerwanie,  
Ciągłe swe święte snuła nauczanie.  
«Największym darem, jaki z swej szczodroty  
Bóg dał, nas tworząc, który jako zgodny  
Z jego dobrocią sam najwyżej ceni,  
Jest wolna wola; dar istot przyrodny  
Mających rozum. Teraz rzutem oka  
W głąb tej zasady zajrzyj do jej rdzeni,  
A poznasz, wartość ślubu jak wysoka!  
Jeśli go w tobie tak wola uchwała,  
Że sam przyzwalasz i Bóg nań przyzwala,  
Z Bogiem gdy staje umowa człowieka,  
Wtedy się człowiek skarbu woli zrzeka:  
Po tej ofercie cóż ma dać w zamianę?  
Gdy dary przez cię raz ofiarowane  
Myślisz używać jak godziwą własność,  
To jedno, jakbyś zły bogactw nabytek  
Pragnął obrócić na dobry pożytek.  
Głównego punktu widzisz całą jasność,

Lecz ci tej prawdzie przeczy Kościół święty,  
 Rozwiązujący ślub z woli poczęty.  
 Zaczekaj chwilę, nie wstawaj od stołu,  
 Aby ci pokarm ciężki od strawienia  
 Pomogła przeżuć i strawić pospołu.  
 Otwórz na ścieżaj myśli furtki obie  
 Przy wejściu słów mych, a zamknij je w sobie:  
 Nie dość, że wchodzi nauka uszami,  
 Zwietrzeje, gdy ją pamięć nie zatrzyma.  
 Treść ślubu wiążą dwie rzeczy koniecznie,  
 Pierwszą, naszego przedmiot poświęcenia,  
 Drugą jest w sobie żyjąca umowa:  
 Ostatnia nigdy niestarta trwa wiecznie,  
 Jak cię objaśnia wyżej moja mowa.  
 Stąd u Hebreów konieczność ofiary,  
 Taki Lewitów był obyczaj stary,  
 Choć ich ofiara dość często się zmienia.  
 Co do przedmiotu ofiary niezdrożna  
 Zamiana, jeśli zastąpić ją można  
 Drugą ofiarą, gdy jest równie święta.  
 Lecz nikt nie może, jak Kościół poucza,  
 Ciężaru z ramion swą własną powagą  
 Zdjąć bez srebrnego i złotego klucza.  
 Zamianę płochą zważ co do litery,  
 Czy rzecz rzucona nie jest tak zamknięta  
 W nowo przyjętej, jak w liczbie sześć cztery.  
 Bo każdy przedmiot, jeżeli swą wagą  
 Ku sobie szalę przychyli zasługi,  
 Już się nie daje wymienić na drugi.  
 O ludzie! Ślubów nie miejcie za marę,  
 Bądźcie im wierni, lecz dla nich nieślepi,  
 Jak Jefte pierwszą robiący ofiarę.  
 Byłoby mówić «źle zrobiłem» lepiej,  
 Niż robić gorzej, wypełniając śluby:  
 Wielki wódz Greków rażony tym błędem.  
 Zmusza swą córkę, aby pod żelazem  
 Odżałowała swoich wdzięków chluby.  
 Głupcy i mędrcy płakali zarazem  
 I nad ofiarą, i dzikim obrzędem.  
 Większą powagę miejcie, chrześcijanie,  
 Nie bądźcie wiotcy jako puch w tej wierze,  
 Że każda woda was z brudu opierze.  
 Macie Testament i Stary, i Nowy,  
 Macie pasterza trzody Chrystusowej,  
 Aby prostował wasze obłąkanie;  
 Dość dla waszego zaiste zbawienia.  
 Gdy was gdzie indziej zwrócą złe pragnienia,  
 Żeście nie owce, pamiętać wypada,  
 By was nie ugryzł żart Żyda sąsiada.  
 Nie róbcie jak to jagnię igrające,  
 Które porzucić mleko matki woli  
 Dla płochej z sobą tryksy i swawoli».  
 Tak Beatrycze, jak piszę, mówiła:  
 I pełna żądzdy potem się zwróciła  
 W stronę, gdzie więcej płomieni się słońce,  
 A jej milczenie, twarz zmieniona cała,  
 Kazały milczeć, spuściłem w dół głowę,

W której już snuła myśl pytania nowe.  
 Jak pierw w tarczy cel przebija strzała,  
 Nim struna łuku spocznie jeszcze drżąca,  
 Tak w drugą sferę biegła nasza jazda.  
 A moja Pani tak była świecąca,  
 Gdy wstępowała z rozkoszą tajemną  
 W światło tej sfery, że od niej Merkury  
 Płomiennie błysnął. O! Jeśli ta gwiazda  
 Grała blaskami, cóż się działo ze mną  
 Tak wrażeniowym i czułym z natury?  
 A jak w sadzawce przynęcone ryby,  
 Gdy cień zewnętrzny przez jasne fal szyby  
 Znęci je żeru znajomym obrazem,  
 Wesołe grają pod przeźrocza fali,  
 Więcej tysiąca światłości zarazem  
 Biegło wprost ku nam, wołając z oddali:  
 «Oto on żywszą w nas miłość zapali!»  
 Gdy tłum tych światel ku nam się pomykał,  
 Widziałem duchy pełne wesołości  
 W promiennym blasku, jaki z nich wynikał.  
 Myśl, czytelniku, gdybym, wielka wina!  
 Przerwał nić przędzy, co się tu zaczyna,  
 Jak niespokojny czułbyś głód nowości?  
 Sądzę wedle siebie, ile te światłości  
 Bodły mnie wiedzieć, skąd i jakie były,  
 Odkąd się moim oczom objawiły.  
 — «O, urodzony szczęśliwie z powicia!  
 Któremu z wyższej dozwolono łaski  
 Wiecznych triumfów tu oglądać trony,  
 Wpierw nim rzuciłeś bojowanie życia!  
 My tu światłością świecimy, co swe blaski  
 Rozpromieniła na wsze nieba strony.  
 Chcesz wiedzieć, jaka nasza dola w niebie,  
 Sam, jako raczysz, nasycaj tu siebie».  
 Tak mówił jeden duch; a Beatryce:  
 «Mów, mów z ufnością, myśli twe bez trwogi  
 Otwórz przed nimi, uwierz w nich jak w bogi».  
 — «Widzę, że w świetle własnym masz twe gniazdo,  
 Ponieważ świeci przez twoje źrenice  
 Gdy się uśmiechasz: duszo świątobliwa!  
 Ktoś ty, ja nie wiem; dlaczego z tą gwiazdą  
 Światło twe zlewasz, która mniej szczęśliwa,  
 Przed ludźmi cudzym światłem się zakrywa?»  
 Tak rzekłem: światłość, co zrazu mówiła,  
 Żywszym niż wprzód ogniem zaświeciła.  
 Jak samo w sobie blask pochłania słońce,  
 Zakryte dla nas przez zbytek światłości,  
 Trawiąc gorącym parą łagodzące  
 Żar jego ognia; ze zbytku radości  
 W swym blasku postać utonęła święta,  
 Tak się zamknawszy, odrzekła zamknięta  
 Słowami, jakie pieśń następna śpiewa.



## Pieśń VI

(Na Merkury. Mowa Justyniana o orle cesarskim. Dzieje cesarstwa rzymsko-niemieckiego i polityczny system Dantego. Mieszkańcy Merkurego.)

«Za Konstantyna, gdy z Cezarów drzewa  
Zerwał się orzeł, a przeciwna gwiazda,  
Nie ta, gdy leciał w Eneasza tropy,  
Widziała, jak siadł na stolicy nowej;  
Dwieście i więcej lat ptak Jowiszowy  
Gościł na Wschodzie, na krańcu Europy,  
W pobliżu Idy, skąd wyleciał z gniazda.  
Tam rządził światem w swoich skrzydeł cieniu;  
Chodząc z rąk do rąk przez koleje różne,  
Ptak przysiadł w końcu na moim ramieniu.  
Byłem Justynian Cezar, moja sława  
Brzmi, że posłuszny bożemu natchnieniu  
Pierwszy ludowe ułożyłem prawa,  
Z nich wyrzuciwszy zbyteczne i próżne.  
Wpierw, z wielu błędów wyznając niektóre,  
Wierzyłem w jedną Chrystusa naturę;  
Lecz wielki pasterz Agapet z urzędu  
Zgromił błąd taki, wycofał mnie z błędu,  
Wszystko, co mówił, sprawdziła tu wiara.  
Widzę w niej jasno, jak w każdym przeczeniu  
Fałsz obok prawdy dojrzysz w okamgnieniu.  
Gdym szedł z Kościołem, niebo myśl natchnęło,  
Abym wykonał to olbrzymie dzieło.  
Miecz zdałem w ręce mego Belizara,.  
Prawica boża była przy nim w boju  
Jako znak, abym odpoczął w pokoju.  
Zaspokoilem twe pierwsze pytanie,  
Lecz jego przedmiot wielce ważnej treści  
Zmusza mnie jeszcze rzucić światło na nie,  
Ażebyś widział, gdzie słuszości źródło,  
Czy w tych, co święte chcą przywłaszczyć godło,  
Czy w drugich, co się opierają temu.  
Patrz, ptak monarszy przez jak świetne dzieła  
U wszystkich ludów stał się godnym cześci;  
A chwała jego w ten dzień się poczęła,  
Gdy Pallas umarł, by państwo dać jemu.  
Wiesz, jak on w Albie mieszkał przez trzy wieki  
Do dnia, o którym brzmiał rozgłos daleki,  
Gdy zań trzej z trzema zwiedli pojedynek.  
Wiesz od porwania co zrobił Sabineć,  
Do Lukrecyi zemszczonej boleści,  
Za siedmiu królów; wiesz, jak podniósł czoło,  
Sąsiednie ludy korząc naokoło.  
On wiódł do boju rzymskie legijony,  
Hord koczujących zawściągał zagony,  
Hołd na Brennusie, Pirrusie wymusza:  
Skąd Torkwat, Kwintus, który przyjął miano,  
Że swą czuprynę nosił rozczochraną,  
Słyną po zgonie obok Fabijusza.  
On dumę Maurów podeptał szponami,  
Gdy przeszli Alpy śladem Hannibala,

Z których, o Padzie, twoja płynie fala.  
 Scypion, Pompejusz, jeszcze młodzieńcami  
 Tryumfowali ponad jej brzegami;  
 Miecz ich, gdzie młode igrałeś pacholę,  
 Twoją rodziną skrwawił Fijesolę.  
 Potem, gdy niebo wzburzony przez wojny  
 Chciało na wzór swój zrobić świat spokojny,  
 W ręce Cezara przeszedł ptak dostojny  
 Za wolą Rzymian. Lecąc przed Cezarem,  
 Ptak grzmiał skrzydłami nad Renem i Warem:  
 Wody Isery, Saony, Sekwany,  
 I strumieniami wzdęte fale Ronu,  
 Widziały ptaka lot niezmordowany.  
 Pochód z Rawenny, przejście Rubikonu,  
 Tak były szybkie, że szlakiem latacza  
 Chcąc dążyć, język i pióro rozpacza.  
 Przebiegł Hiszpany, Durazzo, a potem  
 O błoń farsalską jak grom spadający  
 Potężnym skrzydeł uderzył łoskotem,  
 Aż z bólu do dna zadrżał Nil gorący.  
 Zwiedził Symois, skąd jakby od wczoraj  
 Z gniazda wyleciał, zwiedził grób Hektora;  
 Ptolomeusza rzuciwszy na zgubę,  
 Poleciał deptać Maurytana Jubę:  
 Potem na Zachód załamał tor drogi,  
 Kędy Pompejusz dał w wojenne rogi.  
 Na koniec spoczął na Augusta dłoni,  
 A co z nim działał, na odgłos tej wieści  
 Brutus, Kasyjusz, z gniewu w piekle wyją.  
 Płacze Modena, Perugia łyż roni,  
 Z ocz Kleopatry płyną łyżi boleści,  
 Gdy uciekając od orła pogoni  
 Umiera nagle, ukąszona żmiją.  
 Z nim rzymski orzeł, ludy rozburzone  
 Karcąc, zaleciał na morze Czerwone,  
 Z nim taki pokój zdobył przez podboje,  
 Że światu zamknął Janusa podwoje.  
 Lecz co to godło, które pobudziło  
 Mnie mówić o nim, dla świata zrobiło,  
 Co mogło zrobić, jako cień, jak mara,  
 Wszystkie te czyny zbledną i zagasną,  
 Jeśli z miłością nań spojrzym i jasno,  
 Widząc je w ręku trzeciego Cezara.  
 Bo sprawiedliwość wieczna dając jemu  
 To godło w ręce, znak władzy zaszczytny,  
 Razem z tym godłem przelala nań chwałę  
 Zadość uczynić gniewowi bożemu.  
 Na to, co powiem, daj ucho zdumiałe:  
 Orzeł z Tytusem biegł w Jeruzalemie  
 Krwią za krew świętą zbroczyć świętą ziemię,  
 Pomścić się zemsty za grzech starożytny.  
 Gdy ząb Lombardów ugryzł Kościół święty,  
 Pod skrzydłem orlim, cieniem ich objęty  
 Zgoił, choć była dość głęboka rana,  
 Ranę zwycięski oreż Karlomana.  
 A teraz osądź, czym niesłuszne skargi  
 Wymiałał na tych, przez których zatargi

Po tyle razy nieszczęście was bodło.  
 Ten lilijami chce ćmić wspólne godło  
 Ten je przywłaszcza; a ze stronnictw wielu  
 Każdy ma tylko własny zysk na celu.  
 Niełatwo zgadnąć, czyje większe winy;  
 Niechaj spiskują, jak chcą, gibeliny  
 Pod innym godłem, pod złą idą wodzą,  
 Gdy sprawiedliwość z nim ciągle rozwodzą.  
 Choć nowy Karol przegraża gwelfami,  
 Nie zdusi orła, co nieraz szponami  
 Więszemu odeń lwu poszarpał grzywę.  
 Nieraz płakały dzieci nieszczęśliwe  
 Błędu swych ojców; strzeżcie się wierzenia,  
 Że dla liliji Bóg swe godło zmienia.  
 Ta mała gwiazda jest dusz pomieszkaniem  
 Czynnych na ziemi, tych, co niepowszedną  
 Pracą zdobyły ziemską nieśmiertelność.  
 Ale gdy żądze znużone lataniem  
 Wznoszą się tylko pod tę gwiazdę jedną,  
 Zwichnąwszy błędnie swego lotu dzielność,  
 Trzeba, ażeby promienie miłości  
 Równie szły z wolna do swej wysokości.  
 Tu, w naszych zasług, naszych nagród mierze,  
 Każda z nas część swą radości bierze,  
 Bo ją ni mniejszą, ni większą nie widzimy:  
 Tu sprawiedliwość tak żądze łagodzi,  
 Że nie zazdrościmy ani nienawidzimy.  
 Jak różne tony mistrz w jeden chór godzi,  
 Tak naszych bytów stopień ten czy inny,  
 Wśród tych sfer tworzą akord harmonijny.  
 W tej perle rzuca Romeo blask złoty,  
 Żle nagrodzony za swe piękne cnoty.  
 Lecz żartujący z niego Prowansale  
 Niedługo żarty zmienili na żale:  
 Choć źle ten stąpa, jak chromy bez laski,  
 Kto na swą szkodę cudze skarbi laski.  
 Rajmund Beranżer, słuchaj, dziwo nowe,  
 Miał cztery córki, a wszystkie królowe!  
 Z pięknym je wianem wnosił w królów progi,  
 Romeo, pielgrzym błędny i ubogi.  
 Beranżer, mimo tak wielkie zasługi,  
 Dworskim poszeptom gdy ucha użyczył,  
 Zdania rachunków zażądał od sługi,  
 Który dwanaście za dziesięć odliczył.  
 Ubogi skarbnik rzucił dwór książęcy;  
 Gdyby świat wiedział, z jaką on odwagą  
 Znosił żebractwo i nędzę półnagą,  
 Świat, co go chwalił, pochwaliłby więcej».

## Pieśń VII

(Na Merkurym: zakończenie. Pouczenie o grzechu i zbawieniu. Dodatek o stworzeniu pośrednim i bezpośrednim.)

«Boże zastępów! Ich tarczo i zbrojo,  
 Hosanna tobie! W tym królestwie całym  
 Szczęśliwe światła sam światłością twoją  
 Zapalający z miłością, z zapalem».  
 Tak do swej sfery zwrócony duch śpiewał,  
 Promień go blaskiem podwójnym zalewał.  
 On, inne światła, co razem z tym duchem  
 Znów jęły tańczyć wirującym ruchem,  
 Znikły w oddali jak skry latające,  
 A we mnie myśli mówiły wątplące;  
 «Mów do swej Pani: o święta szczebiotko!  
 Zgaś mi pragnienie rosą ust twych słodką».  
 Lecz przez cześć, jaką mam dla B, dla ICE  
 Skłoniłem głowę jak człek przy zaśnieniu,  
 Poszanowania tak wielkiej oznaki  
 Nie mogła długo ścierpieć Beatryce,  
 I tak poczęła, podnosząc głos silny,  
 Świecąc uśmiechem, uśmiech mógłby taki  
 Zrobić człowieka szczęśliwym w płomieniu.  
 «Jak mnie poucza sąd mój nieomylny,  
 Ty myślisz: zemsta z woli niebios Pana  
 Słuszna, jak była słusznie ukarana?  
 Więc słuchaj, myśl twą ja szybko wyzwolę,  
 Siew prawdy wielkiej rzucam na jej rolę.  
 Gdy użyteczne wędzidło na wolę  
 Potargał człowiek z matki niepoczęty,  
 Za grzech ten z raju na zawsze wyklęty,  
 Kłątwe sprowadził na całe swe plemię.  
 Stąd w błędzie wielkim, znosząc grzechu brzemię  
 Przez wiele wieków żył świat podśloneczny,  
 Aż gdy Bóg-słowo zstępując na ziemię,  
 Naturę, co grzech z jej stwórcą rozdzielił,  
 Złączył sam w sobie i do siebie wcielił,  
 Wprost przez czyn jeden swej miłości wiecznej.  
 Tu z twoich oczu spadnie błędu chmura:  
 Złączona z swoim stwórcą ta natura  
 Szczerą i dobrą w swojej treści była,  
 Jak w dzień, gdy wieczna miłość ją stworzyła.  
 Jej grzech ją z raju wygnał bez nadziei,  
 Bo wyszła z prawdy i życia kolei.  
 A zatem, męka porównana krzyża  
 Z naturą, jaką wziął Ukrzyżowany,  
 Sprawiedliwości w niczym nie ubliża;  
 Razem jej sądu nie wytrzyma próby,  
 Jako sądzona względnie do osoby,  
 Co wycierpiała obelgi i rany,  
 W końcu krzyżową śmierć za grzech Adama,  
 Łącząc treść z sobą natury człowieczej,  
 Przeto czyn jeden wylął różne rzeczy;  
 Bo śmierć ta sama pożądaną była  
 Bogu i Żydom; śmierć, mówię, ta sama  
 Ziemią zatrzęsła, niebo otworzyła.  
 Odtąd zwątpienie tobie nie zaprzeczy,  
 Że sprawiedliwy sąd sądził niekrzywo,  
 Ukarać zemstą zemstę sprawiedliwą.  
 Lecz widzę, duch twój w sieć myśli uwieźły,  
 Rad by co prędzej potargać jej węzły.

Mówisz: »Co słyszę, pojmuję nieciemno,  
 Lecz ku naszemu po co odkupieniu  
 Bóg-syn chciał umrzeć w krzyżowym cierpieniu?  
 To jest na zawsze zakryte przede mną«.  
 — Bracie, ten wyrok zawsze się powleka  
 Mgłą tajemniczą przed wzrokiem człowieka,  
 Czyj duch nie wyrósł w miłości płomieniu.  
 W rozumującym o wszech rzeczach tłumie,  
 Gdy arcyrzadki ten przedmiot rozumie,  
 Powiem ci, w jakim był wybrany celu  
 Środek ten jako najgodniejszy z wielu.  
 Bóg sam ognisko miłości przeczyste  
 Zapala w sobie; On moc wszechmogąca,  
 Wyiskrza w sobie piękno wiekuiste:  
 Co bezpośrednio z niej jest, nie ma końca,  
 Bo jej pieczęci nic złamać nie może,  
 Gdzie ją przyłożą same ręce boże.  
 Jej bezpośredni wpływ wolny, rozległy,  
 Podręcznych rzeczy wpływom niepodległy.  
 Im więcej w treści ducha i żywota  
 Do niej podobna z niej wyszła istota,  
 W tej święty ogień żywsze blaski miota.  
 Bezpośrednimi miłości darami  
 Ludzie są wyżsi nad inne stworzenia,  
 Jeden z tych darów gdy znieważą sami,  
 Już zrzec się muszą swego uszlachcenia.  
 Grzechu nad ludzką naturą zwycięstwo  
 Odbiera wolność jej i podobieństwo  
 Z najwyższym Dobrem, bo ciemna zakała  
 Słabo odbija jego światłość białą.  
 I do rodzimej godności nie wróci,  
 Jeśli pokuta albo czyn dobroci  
 Przez grzech zrobionej czczości nie zapełni.  
 Wasza natura nim doszła do pełni,  
 Na samym nowiu życia gdy zgrzeszyła,  
 Zarazem godność i raj swój straciła.  
 Aby odzyskać stracony stan błogi,  
 Dwie tylko dla niej pozostały drogi:  
 Gdyby odpuścił Bóg jej grzech Adama  
 Lub gdyby mogła z grzechu powstać sama.  
 Tu w otchłań Rady wiecznej zwróć twe oko,  
 A słów mych słuchaj z uwagą głęboką:  
 Człowiek w granicach zamknięty przyrodnych  
 Zadośćuczynień nie mógł spełnić godnych;  
 Bo nie mógł tyle zstąpić przez pokorę,  
 Ile przez pychę chciał się podnieść w górę;  
 Dlatego człowiek sam w stanie skażenia  
 Był w niemożności zadośćuczynienia:  
 Więc trzeba było, by go przez rozdroże  
 W pełniejsze życie wiodły drogi boże,  
 Czasem z nich jedna, częściej dwie zarazem.  
 Jak czyn ten miłszy temu, kto go rodzi,  
 Gdy jest wierniejszym i żywszym obrazem  
 Dobroci serca, z którego wychodzi;  
 Świat na swój obraz kształcąc dobroć boska,  
 Wzniesć nas do siebie wesoło się troska.  
 Między dniem pierwszym i ostatnią nocą

Nigdy świetniejsze dobrocią i mocą  
 Nad wypełnione nie spełni się dzieło.  
 Bo Miłosierdzie Bogu myśl natchnęło:  
 Lepiej człowieka przez ofiarę zbawić,  
 Niż wprost go z grzechu odpustem odprawić.  
 Więc wszystkich środków innych z Rady wiecznej  
 Wpływ był uznany za niedostateczny,  
 Gdyby Syn Boży dla świata zbawienia  
 Sam nie ukorzył się aż do wcielenia.  
 Teraz ci sycąc wszystkich żądz łaknienie,  
 Jeszcze myśl twoją na powrót powiodę,  
 Aby niektóre pooświecić cienie,  
 Abyś mógł ze mną mieć jedno widzenie.  
 Ty mówisz: »Widzę powietrze i wodę,  
 Ogień i ziemię, jak na własną szkodę  
 Wojując walką niszczą się wzajemną:  
 Jednak te rzeczy były to stworzenia;  
 Więc jeśli prawdę mówiłaś przede mną,  
 Być by powinny wolne od zniszczenia.  
 Raj, w którym jesteś, i jego anioły,  
 Równie stworzone jak cztery żywioły,  
 Lecz im i rzeczom poczętym z ich łona  
 Byt daje władza podobnie stworzona.  
 Stworzoną była pierwsza ich osnowa,  
 Jak i stworzona siła odśrodkowa,  
 Ruchami planet i gwiazd kierująca,  
 Wokoło siebie krążących bez końca.  
 Dusza wszech zwierząt i roślin złożona  
 Z władz rozmaitych, w swej skończonej sferze  
 Iskłę i ruch swój od świętych gwiazd bierze.  
 Lecz nasze życie tchnie w nas bezpośrednio  
 Najwyższa Dobroć i niewysłowiona,  
 Z którą się duszą wiążem nieprzerwanie,  
 Bo w niej jest nasza miłość i kochanie.  
 Na tej zasadzie wasze zmartwychwstanie  
 Możesz gruntować, jeżeliś uprzednio  
 Tworzenie ciała ludzkiego rozważał,  
 Kiedy Bóg pierwszych nam rodziców stwarzał».

## Pieśń VIII

(3. Wenera. Karol Młot i synowie jego niepodobni. Rozmaite zdolności stwarzają  
 podług wyroków Opatrzności boskiej formę społeczeństwa ludzkiego, państwo.)  
 Świat niegdyś wierzył na swej duszy zgubę,  
 Że piękna Wenus ogniem jakim świeci,  
 Kołując sama przez epicykl trzeci  
 Ślepej miłości zapalała żary.  
 Świat starożytny tym błędem rażony,  
 Czczył ją przez ślubne modlitwy, ofiary,  
 Jeszcze ubóstwiał jej matkę i syna,  
 Który, jak baśnie powiadały grube,  
 Rad siedział blisko przy sercu Dydony.  
 W cześć tej, od której ta się pieśń zaczyna,  
 Nazwano gwiazdę, a której uroczym

Złotem jej rzesów, to jasnym warkoczem,  
 Patrząc na nią, słońce się zachwyca.  
 Nie tylko czułem, lecz wierzyłem szczerze,  
 Że już naprawdę jestem w trzeciej sferze,  
 Widząc piękniejsze mojej Pani lica.  
 Jak grę promieni w blasku rannej rosy,  
 Jak w ogniu iskry widzimy oczyma,  
 Jak w chórze głosów rozpoznaję głosy,  
 Gdy jeden stale jedną nutę trzyma,  
 Drugi przechodzi w spadki harmonijne;  
 Widziałem w świetle gwiazdy światła inne,  
 Co się mniej więcej szybko obracały,  
 O ile wieczną światłość odbijały.  
 Z chmur chłodnych wiatry czy to grady miecą,  
 Czy skwarem zięją, nie tak szybko lecą,  
 Jak do nas biegły owe światła święte.  
 Nagle przerwawszy swe kręgi poczęte  
 Aż w Serafinów niebie, dalej nieco  
 Brzmiała Hosanna tony tak dźwięcznymi,  
 Że za jej nutą dziś tęsknię na ziemi.  
 Jedno z tych światel sporszą lotu siłą  
 Stało blisko od nas i mówiło:  
 «Rozkosz ci zrobić jesteśmy gotowe,  
 Abyś w nas cały rozradował siebie.  
 Tu jednym kołem treść nasza objęta  
 Z jednym pragnieniem, w też kręgi wirowe,  
 Kołujem jako niebiescy książęta,  
 Którzy, co o nich mówiłeś na świecie,  
 »Mądrością niebo poruszają trzecie«.  
 Miłość do tyła przepełnia nas w niebie,  
 Niemniej jak krążyć w wiekuistym młynku,  
 Miłą nam będzie ta chwila spoczynku».  
 Potem gdy moje oczy się podniosły,  
 Do mojej Pani, kiedy jej spojrzenie  
 Odpowiedziało mi przez przyzwolenie,  
 Spojrzałem w światło, co z taką miłością  
 Mówiło do mnie. Z uczucia wielkiego  
 «Mów, ktoś jest?» ledwom przemówił do niego.  
 Kiedym doń mówił, blaski jego rosły  
 Rozpromienione nową wesołością  
 I rzekło do mnie, świecąc promieniście:  
 «Świat mnie miał krótko, gdybym nie legł w grobie,  
 Wiele bied, jakich myśl twa nie przenika,  
 A które będą, osłodziłbym tobie.  
 Tak mnie oświeśla radość moja żywa,  
 Że mnie przed twymi oczyma zakrywa,  
 Jako jedwabna przędza jedwabnika.  
 Słusznieś mnie kochał! Coś więcej jak liście  
 Dałbym ci widzieć z naszych związków drzewa,  
 Gdybym żył dłużej. Kraj, co Ron oblewa,  
 I auzoński róg z szyją zagiętą,  
 Gdzie stoją Bari, Gaeta, Krotona,  
 Skąd Werda wpada do morza i Trento,  
 Mnie oczekiwał jako swego pana.  
 Już ziem Dunaju świeciła korona  
 Na czole moim, gdzie rzeka tak zwana  
 Szerszym korytem żegna Teutony.

Piękna Trinakria, co łąd zaczerniony  
 Między Pachiny wznosi a Peloro,  
 Gdzie Eurus burze w zatoce porusza.  
 Nie ogniem, dymem z gardła Tyfeusza,  
 Raczej siarkami, co w jej łonie gorą.  
 Trinakria jeszcze mogłaby mieć króla  
 Z krwi mej, z Rudolfa wnuków i Karola,  
 Gdyby jej rządcy okrutni a słabi,  
 A co do buntu lud podbity wabi,  
 W Palermie hasła nie dali: «Bij, zabij!»  
 I gdyby brat mój miał wzrok więcej bystry,  
 A katalańskie łakome ministry  
 Karcił lub uczuł tę prawdę na tronie,  
 Że przeciążona jego łódź utonie.  
 Z szczodrego ojca urodzony sknerą,  
 Sług potrzebował z inną troską szczerą,  
 Nie żeby złotem ładowali skrzynie».

«Panie mój!» rzekłem: «Gdy radość głęboką,  
 Jaką przelewasz w duszy mej naczynie,  
 Jak ja ją widzę, widzi twoje oko  
 W Tym, w kim się radość poczyną i ginie,  
 A którą, wierzę, oglądając Boga,  
 Dzielisz się ze mną, czym więcej mi droga!  
 W pełni wesela objaśń twoim słowem  
 Ze słów twych we mnie wzburzone zwątpienie:  
 Słodkie skąd gorzkie wyradza nasienie?»

A duch: — «Gdy prawdę ujrzysz w świetle nowym,  
 Zatopisz wzrok twój w jej spojrzeniu miłem,  
 Jak teraz do niej obracasz się tyłem.  
 Mądrość, co całe to boże królestwo  
 Ruchem, weselem, odbłaskiem swej chwały  
 Przenika na skroś jak twoje jestestwo,  
 Z swej opatrności wydobyła siły,  
 Co poruszają wielkie ciały tych bryły.  
 Wszystkie natury nie tylko schronienie  
 Mają w jej myśli arcydoskonałej,  
 Lecz w niej znalazły i swoje zbawienie.  
 Bo po jej łuku każda rzecz, co schodzi,  
 W kres przewidziany jak strzała ugodzi.  
 Inaczej niebo, nie skutki żywotne,  
 Lecz by tworzyło ruiny stokrotne:  
 Co być nie może, jeżeli potęgi  
 Poruszające gwiazd i planet kręgi  
 Nie są ułomne; bowiem je stworzyła  
 Doskonałymi doskonała Siła!

Może tej prawdy wykład nie dość jasny?»

A ja: — «Bynajmniej, sąd mój radzi własny,  
 Natura jako pierwsze dzieło boże,  
 W tym, co konieczne braku czuć nie może».

A duch: — «Powiedz mi, czy człowiek na ziemi  
 Sam by się ostał siłami własnymi,  
 Gdyby w społeczne nie wcielił się ciało?»

— «Słów twoich» rzekłem «czuję prawdę całą».

— «Gdyby nie mieli z skłonności przyrodnych  
 Ludzie powołań, dążeń różnorodnych,  
 Czyżby był związek w tym ciele złożonym?»

Tak duch uwagi kończąc nad człowiekiem



I nad naturą, dodał wywód krótki:  
 «Z różnych wam przyczyn różne idą skutki;  
 Dlatego jeden rodzi się Solonem,  
 Drugi Kserksesem, ten Melchizedekiem.  
 Natura planet i gwiazd bodźcem dzielnym  
 Wyciska pieczęć na wosku śmiertelnym;  
 Lecz się nie troska o to i nie bada,  
 I gdzie, i na kim swą pieczęć przykłada.  
 Ezaw z Jakubem spór toczyli wielki  
 Na smutek wspólnej swojej rodzicielki;  
 Rzym ród swój niski chcąc podnieść zaszczytem,  
 Spokrewnił Marsa ze swoim Kwirytem;  
 W kolej syn byłby ojcowskiej natury,  
 Gdyby Opatrzność nie wzięła w tym góry.  
 Masz więc przed sobą, co za tobą było:  
 Lecz w dowód jak mi ciebie uczyć miło,  
 Jeszczeć w treść jednej uzbroję zasady.  
 Natura zawsze jest omylnie płodna,  
 Jeśli z nią w związku Fortuna niezgodna;  
 Ziarno oracza zawodzi nadzieje,  
 Jeśli na ziemi niestosownej sieje.  
 Więc gdyby świat wasz szedł w natury ślady,  
 Gdyby jej radom wbrew się nie sprzeciwił,  
 Zaiste, lepszych mieszkańców by żywił.  
 Lecz wy robicie królem kaznodzieję  
 I wzajem chcecie, by w kapturze chodził,  
 Kto się do berła lub miecza urodził.  
 Tak pociągani błędem ścieżki krzywej  
 Samochcąc z drogi zbaczacie prawdziwej».

## Pieśń IX

(Ciąg dalszy. Kunizza, Folko. Zgorszenie w Kościele.)

Tak objaśniwszy mi moje wątplenia,  
 Piękna Klemenso, twój ojciec mi gadał,  
 Jako królewski szczep z jego nasienia  
 Nikczemną zdradą niszczał i przepadał,  
 «Milcz!» — mówił do mnie: «niechaj lata cieką,  
 Grom nieszczęść waszych już grzmi niedaleko».  
 I oto światłość święta i żyjąca  
 Już się zwróciła do swojego słońca  
 Jako ku dobru, które nie ma końca.  
 O płochę dusze! Czemu krewkość wasza  
 Myśl od takiego dobra wam odpłasza,  
 Że jako nocne ćmy przez całe życie  
 Tylko za blaskiem próżności gonicie.  
 W tej chwili druga światłość z światła grona  
 Zstąpiła ku mnie, a blask jej uroczy  
 Zdradzał, że dla mnie jest dobrze skłoniona.  
 Utkwione we mnie Beatrycze oczy  
 Chęć mą przydługim drażnioną pragnieniem  
 Uspokoili słodkim przyzwoleniem.  
 «O! Przemów» rzekłem: «mów, duchu szczęśliwy,  
 Słowami twymi daj mi dowód żywy,

Że moich myśli świeci odbłask w tobie». I rzekła światłość dla mnie jeszcze nowa,  
 Ze środka sfery, skąd wprzód szły jej słowa,  
 Z radością zwykłą szlachetnej osobie,  
 Co dobrze czyniąc, raduje się w sobie.  
 — «W części Włoch głośnej z zepsucia i wrzawy,  
 Między Rialto od morskiej zatoki  
 A strumieniami Brenty i Piawy,  
 Jest ląd wzniesiony, wzgórek niewysoki,  
 Skąd płomień mały zstąpił iskrą marną,  
 W końcu się rozdał na żagiew pożarną,  
 Kraj wokół strawił w płomieniu i dymie.  
 Oboje wiem ród z jednego gniazda,  
 Ja świecę tutaj, Kunizza na imię,  
 Bo mnie swym blaskiem podbiła ta gwiazda.  
 Lecz ja wesola, choć gwiazda Wenery  
 Niższym od wielu gwiazd jest pomieszkaniem,  
 Przyczynę losu znoszę z pobłażaniem,  
 Co wy na ziemi za dziwo weźmiecie!  
 To promieniste cacko naszej sfery,  
 Co świeci przy mnie, sławnym jest na świecie,  
 I będzie sławnym aż w piąte stulecie.  
 Czyliż nie miło czymkolwiek się wsławić?  
 Człowieku, zespól swe słowa i czyny,  
 By drugie życie po sobie zostawić.  
 Nie tą zaiste myślą jest przejętą  
 Ciżba żyjąca przy Tagliamento;  
 Choć bita, jeszcze nie żałuje winy.  
 Lecz przyjdzie chwila, gdy znękani więcej  
 W jarzmo niewoli swoje karki nagną;  
 Gdy krew Padwanów ufarbuje bagno  
 I z nim popłynie aż pod mur Wicency.  
 W Trewigo z dumą rządzi harde księżę,  
 Nie wie, że zdrada już nań sieci wiąże.  
 Lud z Feltry płaczem jak kłutwą uderza  
 Krzywoprzysięstwo swojego Pasterza:  
 Podobną zdradą nikt jemu nie sprostął,  
 Nikt się do Malty tak chytrze nie dostał.  
 Któż widział kiedy kadź tak wielkiej miary,  
 W jaką by ściekła cała krew Ferrary,  
 Co będzie przez jej pasterza wylana  
 W darze stronnictwu, hojność niesłychana!  
 Dar taki zawsze będzie zgodny z krajem,  
 Który przyswoił zdradę obyczajem.  
 Zwierciadła, które wy zowiecie Trony,  
 Tam wyżej stoją; od nich odstrzelony  
 Duch boży na nas jako promień spływa,  
 Stąd mowa nasza szczerza i prawdziwa». Tu duch do swojej sfery się obrócił  
 I znów Hosannę, zdało mi się, nucił.  
 Światłość znajoma błyska z światła grona,  
 Jak skra rubinu od słońca zatłona;  
 Bo zwykle w niebie blask żywszy światłości,  
 Jak u nas uśmiech, jest znakiem radości;  
 Ciebie zaś w otchłani, w miarę jak bieleje  
 Wewnętrzna męka, wyraźnie ciemnieje.  
 «Bóg wszystko widzi!» rzekłem, «Twoje oko

Wzajem się w Bogu zatapia głęboko,  
 Każda myśl jego, jaką w tobie czyta,  
 Wzajem nie może być dla cię zakryta.  
 Dlaczegoż głos twój, co wśród pieśni wiele  
 Z Serafinami niebo rozwesela,  
 Których zakrywa aż skrzydeł sześcioro,  
 Nie chce ukoić mych żądz, co tak gorą?  
 Ja bym nie czekał na twoje pytanie,  
 Widząc tak w tobie, jak ty widzisz we mnie».

Duch począł mówić wyzwany przeze mnie:  
 — «Największy padół zalany wodami,  
 Co się nie mogły zmieścić w Oceanie  
 Opasującym ziemię ramionami,  
 Co pod południk idąc przeciw słońca,  
 Z zachodu na wschód ciągnie się bez końca,  
 Tego padółu na jednym z wybrzeży  
 Moja rodzinna Marsylija leży,  
 A która niegdyś, w czym wieczna jej chwała,  
 Wody w swym porcie swoją krwią zagrzała.  
 Ziomkowie moi Fulkiem mnie przewali:  
 Gwiazda ta świeci blaskami moimi,  
 Jak wprzód ja przez nią świeciłem na ziemi.  
 O! Nie takimi ogniami się pali  
 Dydo niewierna ceniom Sycheusza,  
 Alcyd, co kądziel prządl u stóp Ioli,  
 Jakimi z młodu wrzała moja dusza.  
 Tu żaden żal nas nie smuci, nie boli,  
 Tu się weselim, nie swymi błędami,  
 Których już pamięć straciliśmy sami,  
 Ale Opatrznej mądrości rządami.  
 Tu podziwiamy sztukę, która tworzy  
 Piękne i wielkie skutki z woli bożej,  
 Dobro, przez które nasz świat działa z góry  
 Na wasz świat niższy i ziemskie natury.  
 Lecz abyś wyniósł wyzwolone szczerze  
 Ze wszelkich zwątpień myśli twe i zdanie,  
 Jakie się na tej urodziły sferze,  
 Przeciagam dalej moje nauczanie.  
 Chcesz wiedzieć, kto jest ta światłość błyszcząca  
 Jak w przeźroczystej wodzie promień słońca:  
 Wiedz, że w jej środku jest dusza Rahaby,  
 Przy niej me światło rzuca promień słaby:  
 W sferze tej gwiazdy tu złączona z nami,  
 Pierwszego stopnia przyświeca blaskami.  
 I na tę gwiazdę za dawnego lata,  
 Tu, gdzie się kończy cień waszego świata,  
 Dusza jej naprzód była wniebowzięta,  
 Przed wszelką duszą, jakiej skruszył pęta  
 Tryumf Chrystusa! Rzecz słuszna i święta,  
 By duszę pełną ofiary i męstwa  
 Osadził w gwiazdach jak palmę zwycięstwa  
 Uszczknioną krzyżem, koroną męczeństwa.  
 Bo ta niewiasta czynom Jozuego  
 Drogę na ziemi torowała świętej,  
 Która dziś mało obchodzi papieża.  
 A twoje miasto, jak latorośl Tego,  
 Który od Boga pierwszy się odwrócił,

By wasz wiek łzami i zawiścią skrócił,  
Twe miasto pieniądź rozrzuca przekłety,  
Który na wilka przerobił pasterza,  
Obląkał owce z małymi jagnięty.  
Ewangeliji — obym rzekł omylnie!  
Dziś nikt nie czyta, papież, kardynali,  
Nad kanonicznym prawem ślęczą pilnie,  
Myśl ich od księgi tej nie sięga dalej,  
Do Nazaretu gdzie pełne wesela  
Powiało niebem słowo Gabriela.  
Ale śmierć, co kres wszystkiemu wytyka,  
Cmentarzu tylu męczenników, Rzymie!  
Na których czele stoi Piotra imię,  
Uwolni ciebie od cudzołożnika».

## Pieśń X

(4. Na słońcu. Święci poznania tworzą dwa wieńce światła. Teologowie: Tomasz, Albert, Lombardus, Salomon, Boecjusz, Beda, Izydor i inni.)

Niewysłowiona a pierwsza potęga  
Z miłością w syna swojego patrząca,  
Jaka z nich razem wiekuiście dysze,  
Takim porządkiem świat stworzony sprzęga,  
Gdzie tylko wzrok nasz i nasz umysł sięga,  
Że podziwiając takie dzieło boże,  
Człowiek je wielbi i korzy się w pysze.  
Wznies, czytelniku, ze mną wzrok zdziwiony  
Ku wyższym sferom, a spojrzysz od strony,  
Gdzie prąd przeciwnych ruchów się potęga:  
Byś sztuce tego mistrza się dziwował,  
Który ją w sobie tak sam ulubował,  
Że od niej oka oderwać nie może.  
Patrz, krąg ukośny jak stamtąd wylata,  
Tocząc wzywane przez wszechświat planety,  
By gwoli światu szły do swojej mety.  
Gdyby ich droga nie tak była kosa,  
Wpływ by niejeden straciły niebiosy,  
Byłaby ziemia martwa, lodowata:  
Gdyby tor skośny koła zodyjaku  
Mniej albo więcej zboczył z swego szlaku,  
Mógłby wyrodzić zaburzenie świata.  
Teraz na ławie twej siedź, czytelniku,  
Jeżeli duch twój lubować się zechce  
W dziełach porządku i piękna bez liku,  
Których przedsmakiem twe łaknienie łechcę.  
Stawię przed tobą pełną winą czaszę,  
Sam gaś pragnienie, ja ci nie ugaszę:  
Bo teraz przedmiot mojego pisania  
Wszystkie me siły i duch mój pochłania.  
Ten wielkorządca natury, co mierzy  
Czas swoim światłem, krążył z zodyjakiem,  
Tam gdzie wóz godzin co najchyżej bieży.  
Jak nie spostrzega człowiek, jakim szlakiem  
Myśli przychodzą, szybkie ducha gońce,

Tak nie postrzegłem, jak wstąpiłem w słońce.  
 A Beatrycze, której postęp w czasie  
 Z dobrego w lepsze wymierzyć nie da się,  
 Ona, co blask swój sama z siebie bierze,  
 Jakim świeciła blaskiem na tej sferze,  
 Nikt pojąć, ja bym opisać nie zdołał,  
 Gdybym duch w pomoc i sztukę przywołał.  
 Lecz można wierzyć i przystoi żądać,  
 Aby na moją wiarę ją oglądać:  
 A jeśli skrzydeł wyobraźnia nasza  
 Do wysokości takiej nie podnasza,  
 Nic w tym dziwnego; nikt do tak wysoka,  
 Aż poza słońce nie wyteżył oka.  
 Była to czwarta rodzina, rodzina,  
 Którą jej Ojciec karmi bez łaknienia,  
 Ich oświecając światłem objawienia,  
 Jako się z Niego Duch i Syn poczyňa,  
 Wtem Beatrycze mówiła: «Bez końca  
 Dziękuj i módl się do aniołów słońca  
 Że ciebie skrzydłem niecielesnej jazdy  
 Do tej widzialnej raczył podnieść gwiazdy».  
 Nigdy tak żywo serce śmiertelnika  
 Modlitwa cześcią Boga nie przenika,  
 Gdy się doń modli z uczuciem głębokiem,  
 Jak mnie do głębi przenikły te słowa;  
 Duch mój z miłością tak w Bogu utonął,  
 Aże jej obraz z pamięci mej wionął.  
 Ją nie drażniła ta niepamięć nowa,  
 Tylko promiennym uśmiechem i wzrokiem  
 Myśl moją w jednym uwięzła przedmiocie,  
 Rozwiała nagle na przedmiotów krocie.  
 Widziałem, światła snuły się, roily,  
 Robiąc w powietrzu, wkoło nas zwieszone,  
 Z nas dwojga środek, a z siebie koronę.  
 Głos ich był miłszy niż blask, jakim lśniły.  
 Tak czasem widzim otoczoną świetnie  
 Córkę Latony, gdy powietrze letnie  
 Syte wilgocią wstęgę utrzymuje,  
 Którą swe czoło ona koronuje.  
 Na dworze niebios, skąd wracam, jest cudnych  
 Wiele klejnotów do wyjęcia trudnych  
 Z tego królestwa. I z głosu, i z treści  
 Śpiew był tych światel jednym z tych klejnotów:  
 Kto na swych skrzydłach wzlecieć tam niegotów,  
 Ten od niemego czeka o nich wieści.  
 Nucąc Hosannę te światła słoneczne  
 Wkoło nas kręgiem obiegły trzy razy,  
 Jak stałe gwiazdy wkoło swojej osi  
 Tak grono dziewic w tańcu się unosi,  
 A nie wychodząc za koło taneczne  
 Stoją w milczeniu i stoją dopóty,  
 Aż się poruszą na dźwięk nowej nuty.  
 Z jednego światła wyszły te wyrazy:  
 «Ponieważ promień wiekuistej łaski,  
 Przez którą miłość wyiskrza swe blaski,  
 Jak sama stałym mężnieje kochaniem,  
 Tak świeci w tobie, że twe stopy wodzi

Po tej drabinie z nadzieją, z ufaniem,  
 Jaką nie idąc w górę nikt nie schodzi.  
 Kto by się wzbraniał winem z swego dzbanka  
 Zgasić pragnienie twoje jako trzeba,  
 Mniej byłby wolnym niż woda w jeziorze,  
 Która do morza wyjść z brzegów nie może.  
 Chcesz wiedzieć, z jakich kwiatów ta równianka,  
 Co otoczyła twoją piękną panią,  
 Twą przewodniczkę w podróży do nieba,  
 Jak aureolą i spogląda na nią?  
 Oto masz we mnie tej trzody baranka,  
 Którą Dominik pasł i wiódł tą drogą,  
 Po której idąc dusze mężnieć mogą,  
 Gdy z niej nie zbłądzą. Ten, co blask uroczy  
 Rzuca i świeci światłem tak bogatem,  
 Był moim mistrzem zarazem i bratem;  
 To Albert Wielki, jam Tomasz z Akwinu.  
 Jeżeli inne tej trzody baranki,  
 Prócz tych, coś poznał, chcesz poznać, mój synu,  
 Torem słów moich kierując twe oczy,  
 Błogosławionej rób przegląd równianki.  
 Ta druga iskra jeszcze ci nieznana,  
 Oto wyblęśla z uśmiechu Gracjana,  
 On z prawem świeckim pogodził kanony,  
 Za co do raju miał wstęp otworzony.  
 Przy nim Piotr świeci, on, ozdoba nasza,  
 Który w przemowie pism swoich ogłasza,  
 Że dla kościoła poświęca grosz wdowi.  
 To piąte światło tak piękne i spore,  
 Taką miłością w swoich pieśniach gore,  
 Że świat rad o nim rozmyśla i mówi.  
 Duch wzniosły kryje ta blasków powłoka,  
 W który nauka wsiąkła tak głęboka,  
 Że jeśli prawda prawdzie nie ubliży,  
 Nikt drugi nadeń nie podniósł się wyżej.  
 Patrz, ten, co światło rozrzuca jak świecznik,  
 Badał na ziemi naturę aniołów:  
 W tej małej iskrze uśmiecha się rzecznik  
 Wszech chrześcijańskich zborów i kościołów.  
 Moim pochwałam dając w kolej ucha,  
 Na ósmą światłość wyteż oko ducha;  
 Wewnątrz jej dusza raduje się święta,  
 Widokiem dobra wiecznego zajęta;  
 Ona zwodniczy świat odkrywa nago,  
 Temu, kto rad jej radzi się z rozważą.  
 Ciało, skąd wyszła w Cieldauro spoczywa,  
 A sama z ciała, wygnanka szczęśliwa,  
 Po swym wygnaniu i męczeństwie swoim  
 Tu już niebieskim rzeźwi się pokojem.  
 Patrz, dwie światłości, każda równie spora,  
 W nich duch Ryszarda i duch Izydora  
 Równie potężnym rześnieją łyskaniem,  
 Oba duchowym wielcy rozmyślaniem.  
 Światłość, od której twój wzrok odwrócony  
 Spogląda na mnie, to duch Segijera  
 Żalującego, że późno umiera.  
 On zawiść mędrców podrażnił Sorbony,

Gdy wśród Paryża młode zagrzał głowy,  
Przez wykład swoich sylogizmów nowy».   
Jak na wołanie zegara z snów łoża  
Oblubienica jak świt wstaje Boża,  
Oblubieńcowi by jutrznię odśpiewać:  
I w tym z dwóch chórów zacznie się wylewać  
Tak uroczysta harmoniji fala,  
Że pierś pobożną miłością zapala:  
Światła te krążąc wirującym torem,  
Wciąż jedno drugim wtórowały chórem,  
Z słodyczą, jaka czyni duszy zadość  
Tam tylko, kędy uwiecznia się radość.

## Pieśń XI

(Ciąg dalszy. Mowa św. Tomasza o św. Franciszku z Asyżu. Skarga na ówczesnych dominikanów)

O nieroztropne śmiertelnych starania!  
Lot wasz zwichnięty przez rozumowania  
Ziemię zamiata waszymi skrzydłami.  
Jeden się uczył prawa z całą żądzą,  
Ten głowę łamał aforycznym zdaniem,  
Drudzy sofizmem albo siłą rządzą:  
Ten się wycieńczał ciała rozkoszami,  
Ten się upajał słodkim próżnowaniem,  
Ten sprawy kraju ciągle miał na pieczy,  
Drugi zysk gonił duchownego chleba:  
Podczas gdy wolny od tych wszystkich rzeczy,  
Ja z Beatrycze wstąpiłem do nieba,  
Gdzie mnie czekało tak świetne przyjęcie,  
Gdy każda z dusz tych w wirowym zakręcie  
Na punkcie koła, skąd krążyć zaczęła,  
Jak świeca na swym świeczniku stanęła;  
Ze światła, które przed chwilą mówiło,  
Głos wyszedł słodszy, głos dźwięczny i czysty:  
«Jak od światłości promień wiekuistej  
Blask mój zapala, w jej jasności boskiej  
Widzę twe myśli, powody ich troski.  
Ty wątpisz, pragniesz całej żądz siłą,  
Abym wyrazy wkładał ci do ucha,  
Jasne, z pojęciem zgodne twego ducha.  
Słowa, gdzie rzekłem: »Droga do zasługi  
Umacnia duszę, jeśli z niej nie zbłądzi«,  
I te: »Nad niego nie wzniosł się nikt drugi«.  
Tu jak najściślej rozróżnić wypada.  
Opatrzność światem z tą nauką rządzi,  
W którą wzrok ludzki jak w bezdeń zapada.  
Aby w godowej doprowadzić części  
Oblubienicę do jej Oblubieńca  
Co ją zaślubił z wykrzykiem boleści,  
Krwia i kolcami cierniowego wieńca:  
Aby ją więcej ufającą w siebie,  
Więcej mu wierną, połączyć z nim w niebie,  
Opatrzność dla niej dwóch księżąt zesłała,

Aby do celu wiedli ją najprościej,  
 Drogą miłości i drogą mądrości.  
 Gdy pierwszy ogniem seraficznym pała,  
 Drugi mądrością słów swoich i czynów  
 Odbił na ziemi światło Cherubinów.  
 O dwóch powiadam, gdy mówię o jednym,  
 Bo oba wielcy duchem niepowszednim,  
 Bo jeden miały cel i kres ich dzieła.  
 Między Tupino a krynica żywą  
 Góra porosła zieloną oliwą,  
 Błogosławiony gdzie mieszkał Ubaldo,  
 Pochyłość swoją w dolinę zsunęła:  
 Skąd na Perugię wiatr to chłodną chmurą,  
 To skwarem zieje, podczas gdy za górą  
 W jarzmie Nocera jęczy i Gualdo.  
 Na tych pagórków pochyłym skłonieniu,  
 Z pieluch się na świat wywineło słońce,  
 Jakby z Gangesu ogniem buchające.  
 O! Kto chcesz nazwać rzecz po jej imieniu,  
 Miejsce to nie zwij Asyżem z powodu  
 Że straci wiele na słowa znaczeniu,  
 Zwać je właściwiej miejscem słońca wschodu,  
 Co ledwo weszło ponad ziemią skrzeplą,  
 Świat poczuł jego dobroczynne ciepło.  
 Od dziecka z ojcem wiódł wojnę zaciętą  
 O swą kochankę, o niewiastę świętą,  
 Której jak śmierci, choć ta nie dba o to,  
 Nikt nie otwiera swoich drzwi z ochotą.  
 Z nią ślubnym węzłem złączył się duchownie  
 Odtąd z dnia na dzień kochał ją gwałtownie;  
 Ona po pierwszym wdowa oblubieńcu,  
 Więcej tysiąca lat we wdowim wieńcu  
 Smutna przeżyła; świat wzgardą ją krwawił,  
 Żaden zalotnik przed nią się nie stawiał,  
 Chociaż bez trwogi przy swym Amyklasie  
 Przyjęła gościa w chruścianym szałasie,  
 Na głos którego drżał świat w owym czasie;  
 Chociaż jej statku taka moc i siła,  
 Kiedy Maryja u stóp krzyża stoi,  
 Ona z Chrystusem na sam krzyż wstąpiła.  
 Czas zdjąć zasłonę z ciemnej mowy mojej,  
 Święty Franciszek i ubóstwo, mówię,  
 Są to ci sami czuli kochankowie.  
 Ich zgoda, pokój ich oblicza błogi,  
 Słodycz ich wzroku, kędy tylko przyszli,  
 Pociągał tłumy, święte budził myśli.  
 Pierwszy szanowny Bernard bosonogi  
 Biegł za tą parą kochanków szczęśliwą,  
 Myśląc, że jeszcze bieży dość leniwo.  
 O! Godna cześci ta bogactw pogarda.  
 Egid, Sylwester, przykładem Bernarda,  
 Szli bosonodzy w ślad oblubienicy.  
 Tak pan z swą panią i rodziną całą,  
 Której sznur skromny już krępował ciało,  
 Stanął u progu Piotrowej stolicy.  
 Wzrok mu spuszczała nie wstydem natchniona  
 Myśl, że był gminnym synem Bernardona,



Ale pokora z godnością królewską.  
 Przed Innocentym u stóp jego tronu  
 Złożył surowe statuty zakonu,  
 Na które pierwsze zyskał przyzwolenie.  
 Tak, gdy ubogiej trzody rozmnożenie  
 Z dnia na dzień rosło za łaską niebieską,  
 Przez Honoriusza Duch Święty niedługo  
 Ozdobił jego chęć koroną drugą,  
 Lecz gdy pragnieniem męczeństwa zagrzany,  
 Rad poszedł krzewić między Azyjany,  
 Palmę Chrystusa i siejbę prawd boskich;  
 Gdy tam nawrócić nie mógł dzikich ludów,  
 Czynny, do dawnych znów powrócił trudów,  
 Zbierać owoce z drzew rodzinnych włoskich,  
 Gdzie między Arno a Tybrem wysoki  
 I wielki święty na złomach opoki  
 Przyjął ostatnie od Chrystusa rany  
 Które na ciele nosił przez dwa roki.  
 A gdy Bóg jego chcąc uczcić zasługę,  
 Wzywał do siebie pokornego sługę,  
 Zalecał braci swojej w chwili zgonu,  
 Jak prawym jego dziedzicom zakonu,  
 Kochankę, którą ukochał przez ciernie.  
 Aby kochali statecznie i wiernie.  
 Ta piękna dusza w chwili, gdy zrzucała  
 Ziemską powłokę, dla swojego ciała  
 Nie marmurowej pragnęła kolumny,  
 Lecz chłodnej ziemi, tej nędzarza trumny.  
 Teraz sam rozważ umysłem swobodnym,  
 Kto był Franciszka towarzyszem godnym,  
 Łodzią Piotrową sterować w jej biegu,  
 Na pełnym morzu gnać ją do jej brzegu?  
 Nasz Patriarcha! Cześć dla zakonnika,  
 Który ścieżkami chodzi Dominika;  
 On barki dobrym towarem naciska.  
 Dziś jego trzoda nowej paszy chciwa,  
 W zagrodach swoich niechętnie przebywa,  
 Wciąż się na różne rozbiega pastwiska.  
 Im dalej takie koczujące owce  
 Od swoich zagród zabiegną w manowce,  
 Bez mleka znoszą wymiona w owczarnię.  
 Wprawdzie niejednen od grożącej chmury  
 W strachu do swego pasterza się garnie,  
 Lecz ich tak mało, że i sukna mało  
 Krają na swoje habity, kaptury.  
 Jeśli pojąłeś słów moich treść całą,  
 Żądza twa syta, a rozum niech sądzi,  
 O ile drzewo da się obrać z liści.  
 Tak prawda słów mych wyraźnie się isci:  
 »Droga umacnia duszę, gdy nie błądzi«».

## Pieśń XII

(Ciąg dalszy. Mowa św. Bonawentury o św. Dominiku. Skargi na ówczesnych franciszkanów. Teologowie: Hugo, Chryzostom, Anzelm, Joachim i inni.)

Gdy światło rzekło swe ostatnie słowo,  
Młyn święty zaczął kołować na nowo:  
Jeszcze pierwszego obrotu nie skończył,  
Już go krąg drugi zamknął w swym obwodzie,  
I jak muzyczne dwa akordy w zgodzie,  
Ruch z ruchem jego, a pieśń z pieśnią złączył.  
Pieśń ta w słodczy, w melodyi sile,  
Głos naszych syren, naszych muz powszednie  
Pieśń ta do tyła przewyższała, ile  
Wyższe nad odbłask światło bezpośrednie.  
Jak równoległe, jedną barwną lśniące,  
Dwa łuki niebo pokazuje oku,  
Gnące się lekko na lekkim obłoku,  
Gdy swą Junona posłankę wysyła;  
Łuk się zewnętrzny z wewnętrznego rodzi,  
(Na podobieństwo głosu, co wychodzi  
Z ust nimfy, którą tak miłość strawiła,  
Jako poranne mgły przetrawia słońce)  
Jak łuki, mówię, niebieskiego stropu,  
Co było ludziom znakiem wróżb weselnych,  
Przymierza z niebem, gdy Bóg rzekł Noemu,  
Że już nie będą mieć nigdy potopu;  
Równie dwa wieńce tych róż nieśmiertelnych  
Nas okrążyły, a pierwszy drugiemu,  
Zewnętrzny krąg był równy wewnętrznemu.  
Gdy ten korowód pieśń i płomieni,  
Zlany z pieszczących głosów i promieni,  
Wstrzymał się zgodnie (jak woli człowieka  
Oboich oczu posłuszna powieka,  
Co się zamyka razem i otwiera),  
Ze światel nowych, jedna światła sfera  
Powiała głosem jakby dźwiękiem słowa,  
Ażem się zwrócił, skąd te dźwięki wiały,  
Jak do bieguna igła magnesowa.  
I rzekła: «Miłość, co mnie piękną robi,  
O innym wodzu radzi wejść w rozmowę,  
Z powodu wodza mojego pochwały;  
Słusznie, gdzie jeden, niech będzie i drugi,  
W ich bojowaniu równe ich zasługi,  
Niech jednoczesny blask chwały ich zdoła.  
Za swym sztandarem wojsko Chrystusowe,  
Którego nabór kosztował tak drogo,  
Postępowało leniwo i z trwogą.  
Kiedy się troskać zaczął Cezar wieczny,  
Widząc zastępów tych stan niebezpieczny,  
Jak już mówiłem, swej Oblubienicy  
Posłał dwóch w pomoc rycerzy w kapicy,  
Na których słowo i znak wszyscy zbiegi  
Zbłąkani w swoje wrócili szeregi.  
W tej części świata, skąd ciepły powiewa  
Wiatr do Europy, jej łąki i drzewa

Najpierwszym kwiatem i liściem odziewa,  
 Wód Oceanu blisko, za którymi  
 Słońce zapada, kryjąc się od ziemi,  
 Pod lwa opieką leży Kallaroga;  
 Gdzie lew na herbie jest z obojej strony  
 Jako zwycięzca i jak zwyciężony.  
 Tam się urodził ów zapaśnik Pański,  
 Czuły kochanek wiary chrześcijańskiej,  
 Wrogów Kościoła boży miecz i trwoga,  
 Wierzących słodycz i kochanie ludów.  
 A jego dusza, największy cud z cudów,  
 Ledwo w żywocie matki żyć poczęła,  
 Już matkę duchem proroczym natchnęła.  
 Kiedy ślub z wiarą brał nad świętym źródłem,  
 A kościół żegnał mówiąc: idź z pokojem!  
 W śnie był widziany przez chrestnych rodziców  
 Cudowny owoc świecący jak płomień,  
 Co miał wyjść z niego i jego dziedziców.  
 I gdybym czym był, mógł stać się widomie,  
 Duch święty zstąpił, by dać imię tego  
 Co nowochrzczeńca posiadał całego,  
 I dał mu chrzestne imię Dominika.  
 Chrystus go wybrał sam na ogrodnika  
 Swego ogrodu, bo sercem i głową  
 Pokochał pierwszą radę Chrystusową.  
 Często piastunka znalazła go rano,  
 Zrywał się ze snu i zginał kolano,  
 Modląc się długo jako mnich za kratą,  
 Jak gdyby mówił: »Przyszedłem tu na to«.  
 Słusznie cię, ojciec jego, Szczęsnym zwano,  
 Słusznie cię, jego matko, zwą Joanną,  
 Jeżeli wykład, o jakim wieść gada,  
 Imionom waszym wiernie odpowiada.  
 On z tłumem nie biegł za mądrością świata,  
 Prawdę ukochał, karmił się jej manną,  
 W mądrości ducha gdy dojrzał nad lata,  
 Zajął się pilnie uprawą winnicy.  
 Gdy przyszedł poznać majestat Piotrowy,  
 Co niegdyś wspierał ubogie i wdowy,  
 A dziś ma dla nich serce kute z miedzi,  
 (O co ja świętej nie skarzę stolicy,  
 Lecz raczej tego, który na niej siedzi),  
 Nie żądał płatnych odpustów, pacierzy,  
 By za sześć liczbę dwa lub trzy odliczył  
 I niezajętych posad mieć nie życzył,  
 Ani dziesięcin brał z pola lub z broga,  
 Które należą do ubogich Boga.  
 Lecz pragnął tylko wojować kacerzy  
 Ziarnem, z którego cudownie te drzewa  
 Wyrosły w liczbie dwadzieścia i cztery,  
 Z których tu wieniec nad tobą powiewa,  
 On silny wolą, w apostołstwie szczerzy,  
 Jak spadająca ze skały kaskada,  
 Z opoki Piotra na kacerzów spada,  
 Gdzie większy opór tam swój prąd natężał,  
 Kacerskie błędy łamał i zwyciężał.  
 I z tej kaskady trysnęły poniki,

Przy których ścieku, w ich rzeźwiącym chłodzie,  
 Skrós w powszechnego kościoła ogrodzie,  
 Odżyły zwiędłe kwiaty i trawniki,  
 Gdy mógł być jeden taktem kołem wozu,  
 Z którego pobił Kościół, matka wasza,  
 Wylęgłe wrogi wśród swego obozu;  
 Łatwo, zaiste, twój rozum podola  
 Objąć drugiego doskonałość koła,  
 O którym tyleś słyszał od Tomasza.  
 Lecz kolej torem kół tych wyżłobiona  
 Zarasta zieleń, nikt po niej nie jeździ,  
 Gdzie było wino, dzisiaj pleśń się gnieździ.  
 Tak swój chód jego zmieniła rodzina,  
 Nie przodem stopy, piętą iść zaczyna.  
 Wkrótce złe żniwo dadzą złe nasiona,  
 Na złe uprawnej wzrośnie kąkol grzędzie  
 I nikt go zwozić do stodół nie będzie.  
 Z kart księgi mojej jedna mówi karta:  
 »Jestem, czym byłem«, ani w Akwasparta,  
 Ani w Kasala nikt o tym nie pisze,  
 Ten zwalnia, drugi ściska życie mnisze.  
 Bonawentura chrzestne moje imię,  
 Blask mnie nie łudził doczesnego świata;  
 Tu ze mną błyszczą światłości olbrzymie,  
 Duch Augustyna i Illuminata.  
 Godło ubóstwa, powróż, bosa noga,  
 Myśl ich i serce zbliżyły do Boga.  
 Tu jest San Wiktor, duch Piotra Hiszpana,  
 Którego sława z ksiąg dwunastu znana.  
 Tu świecą dusze proroka Natana,  
 Metropolity Wschodu, Chryzostoma,  
 I Joachima przyszłości świadoma:  
 Tu jest ów Donat, co raczył w mozołe  
 Pisma i mowy sztukę krzewić w szkole.  
 Chwaląc wielkiego rycerza Kościoła,  
 Byłem zagrzany współczuciem Tomasza;  
 Jego wymowie któż się oprzeć zdoła?  
 Czuję to ze mną cała rzesza nasza».

## Pieśń XIII

(Ciąg dalszy. Obydwa wieńce teologów we wspólnym poruszeniu. Św. Tomasz mówi jeszcze o Adamie i Chrystusie.)  
 Kto chcesz zrozumieć i rozważyć ściślej,  
 Com wtedy widział, utwórz obraz w głowie  
 I taki obraz, podczas gdy ja mówię,  
 Mocno jak skała niech stoi w twej myśli.  
 Gwiazd ci piętnaście wyobrazić trzeba,  
 Oświecających różne części nieba  
 Taką światłością, co przez chmur zasłone  
 Przenika na skroś powietrze zgęszczone;  
 Schwyć wóz gwiazdzisty wyobraźni okiem,  
 Co się po niebie toczy tak szerokiem,  
 Że choć zawraca dyszlem dniem i nocą,

Wciąż nam promienie jego kół migocą;  
 Wyobraź jeszcze zwierzę, co otwiera  
 Dwoje ocz złotych na krańcu tej osi,  
 Wokoło której pierwsza krąży sfera;  
 I że na niebie te gwiazdy osobne,  
 Łącząc się, tworzą dwa znaki podobne  
 Do dwoistego wieńca Aryjadny  
 W chwili, gdy czuła chłód śmierci bezwładny;  
 I że przeciwny wir kół je unosi,  
 Chociaż w ten sposób prąd ich biegu żenie,  
 Że wzajem swoje mieszają promienie;  
 Wtedy mieć będziesz słaby odbłask wzoru,  
 Rzeczywistego obraz gwiazdozbioru  
 I podwójnego tańca, co z zapalem  
 Wokoło punktu ruszał się, gdzie stałem.  
 Com kiedy widział, wszystko przy tym blednie,  
 Przewyższa nasze widzenia uprzednie,  
 Jak bieg najszybszej sfery porównany  
 Z biegiem fal naszej leniwej Chijany.  
 Tam pieśń Bachusa, Peana nie cześci,  
 Lecz trzy Osoby jednej boskiej treści,  
 W jednej Osobie, jak dwie złane głoski,  
 Bożej z naturą ludzką zjednoczenie.  
 Tańce i pieśni ucichły ucięte  
 I ku nam światła spoglądały święte,  
 Winszując sobie przejścia w troskę z troski,  
 Światło, z którego poznałem powieści  
 cudowny żywot bożego żebraka,  
 W te słowa swoje przerwało milczenie:  
 «Ponieważ ziarno wysiane z przetaka  
 Do swego spichrza już musiałeś wrzucić,  
 Miłość mnie wzywa, co dla mnie jest błogo,  
 Zbity w połowie snop tobie domłócić.  
 Mniemasz, że w tego pierś, z którego kości  
 Stworzoną była najpierwsza kobieta,  
 A która światu kosztuje tak drogo!  
 I że w pierś ową, co włócznie przebita,  
 Spełniając bożą sprawiedliwość w chwale,  
 Mimo ciężaru naszych win i złości  
 Wagą swych zasług przechyliła szalę,  
 Tyle wlał światła, ile jego złożył  
 W naturze ludzkiej, czym ją uwielmożył,  
 Ten, który pierwsze jak i drugą stworzył.  
 Co wyżej rzekłem, również tym zdziwiony,  
 Opowiadając, że błogosławiony,  
 Którego w piątym świetle duch zamknięty,  
 Nie ma równego, choć z matki poczęty.  
 Teraz co mówię, zwróć na to baczenie;  
 A moje słowa i twoje wierzenie  
 Zetkną się w prawdzie węzłem rozumowym,  
 Jak kół promienie w ich punkcie środkowym.  
 Co jest i nie jest w śmiertelnej kolei,  
 Co nie umiera i co umrzeć może,  
 Jest tylko blaskiem tej arcyidei,  
 Z jaką w pologu jest kochanie boże.  
 Bowiem ta światłość żywa, co wytryska  
 Z rozpromienionej potęgi ogniska,

Z miłością ma w niej wspólną wiekuistość,  
 A ten stosunek tworzy Ich troistość,  
 W dziewięciu sferach przez skutek swej łaski  
 Jako w zwierciadle zestrzela swe blaski,  
 Lecz pozostając nieśmiertelnie jedną.  
 Z tych sfer schodzące promienie jej błędną,  
 Stopniowie słabszych sił wiążąc ośnowę,  
 W końcu żyjątką tworzy jednodniowe.  
 Przez co rozumiem urodzone rzeczy,  
 Których żywotność znikoma i marna,  
 Które wpływ nieba, co świat ma na pieczy,  
 Zapładza różnie z ziarnem lub bez ziarna.  
 Wosk ich jest różny jak siła rodząca,  
 Co różną iskrę ich bytu roznieca,  
 A jednak spod ich pieczęci tysiąca  
 Mniej albo więcej ideał prześwieca.  
 Stąd drzewo dobry lub zły owoc rodzi  
 Wedle nasienia, z jakiego pochodzi,  
 I wy się z różną skłonnością rodzicie.  
 Gdyby wosk doszedł, stanął na swym szczycie  
 I gdyby niebo swą pieczęć odbiło  
 Na takim wosku z bezpośrednią siłą,  
 Byłaby widną idealność cała!  
 Ale natura, którą błąd przesiąka  
 Podobnie jako ziemski sztukmistrz działa,  
 Zna on swą sztukę; lecz drży jego ręka.  
 Przeto, gorąca miłość, gdy co tworzy,  
 A na jej utwór zstąpi promień boży,  
 Doskonałością piętnuje swe dzieła:  
 Tak była niegdyś ziemia utworzona,  
 W doskonałości zwierzęcej skończona,  
 Tak i Dziewica bez zmazy poczęła.  
 Bo nigdy, chętnie potwierdzam twe zdanie,  
 Natura ludzka nie była, nie będzie,  
 Czym była w pierwszej i drugiej Osobie.  
 Ledwo nie słyszę, jak dajesz pytanie,  
 Dlaczego trzeci nie ma równych sobie.  
 O co on prosił, azaliś nie wiedział,  
 Gdy we śnie z nieba głos doń: »Proś!« powiedział,  
 Mądrości bożej wzywał duchem czystym  
 Ten człowiek, chcąc być królem rzeczywistym.  
 On liczby natur niebieskich nie badał,  
 Lub jak żelazna konieczności władza  
 Z przypadkowością konieczność wyradza;  
 Lub jak ruch pierwszy wszech rzeczom ruch nadał;  
 Jego królewskiej myśli nie zaprzęta,  
 Czy można trójkąt umieścić w półkolu,  
 Który by mógł być bez prostego kąta.  
 Więc jeśliś pojął, że miałem na celu  
 Mądrość monarszą mówiąc o tym królu,  
 Oto nauka z żadną niezrównana,  
 Gdzie strzała słów mych była celowana.  
 Z tego, co rzekłem, zgadniesz, co ci powiem:  
 Mnóstwo jest króli, lecz dobrych niewielu.  
 Z tym rozeznaniem przyjmij moje słowa,  
 A które twoje mniemanie przechowa  
 O pierwszym ojcu stworzonym przez Boga

I o kochanku naszym. Ta przestroga  
 Niechaj twe stopy ocieży ołowiem,  
 Abyś szedł ciężkim i powolnym krokiem  
 Do *Nie* zakrytym i *Tak* przed twym okiem.  
 Bo ten zbyt nisko w kole głupców stoi,  
 Kto wprzód rozważyć nie zgłębiwszy rzeczy,  
 To albo owo zatwierdza lub przeczy.  
 Często sąd ludzki błędzi z drogi swojej,  
 Ciżba na słowo do wierzenia łatwa,  
 A sądy wasze namiętność wam gmatwa.  
 Bo kto chce prawdę upolować żywcem,  
 Niech będzie kniei świadomym myśliwcem;  
 Inaczej przeklnie chybną strzał swych grotów,  
 Jeszcze sam w kniei obłąkać się gotów.  
 Jak łatwo zbłądzić, tropiąc prawdę w lesie,  
 Jasny masz dowód na Parmenidesie:  
 Tak Sabeliusz, Aryjusz i inni  
 W wykładzie pisma wielu błędów winni;  
 Oni są jako zwierciadła fałszywe,  
 Gdzie proste twarze zdają się być krzywe.  
 Człowiek, co w sądach swoich jest zbyt śmiały,  
 Ocenia zboże w kłosie niedośpiałym:  
 Widziałem zimą krzew nagi, a latem  
 Błyszczał bogatą zielenią i kwiatem;  
 Widziałem okręt, co morza przepłynął,  
 A w swoim porcie rozbił się i zginął.  
 Piotrze czy Pawle, widząc jak ten kradnie,  
 Ów uposaża kościoły przykładnie,  
 Sąd o nich lepiej zdaj na sądy boże,  
 Gdy pierwszy powstać, drugi upaść może».

## Pieśń XIV

(Zakończenie. O przemianie ciał. Kręgi 5–7: Święci chrześcijańskiego życia. 5.)

Mars. Bojownicy boży (męczennicy, wojacy i inni) tworzą krzyż.)

Ze środka na wierzch jak jest krągła czasa,  
 To z wierzchu w środek woda się unosi,  
 Podług nacisku, jaki w czaszy spotka,  
 Od swej powierzchni lub ze swego środka,  
 Co mówię, czułem to w duchu najściślej  
 W chwili, gdy dusza zamilkła Tomasza,  
 Przez podobieństwo jasne jak z krynicy  
 Wynikłe z jego słów i Beatrycy,  
 Gdy po Tomaszu tak mówić raczyła:

«On potrzebuje, choć w głosie i w myśli  
 Jeszcze się jego żądza nie zdradziła,  
 Treść drugiej prawdy zbadać aż do rdzeni.  
 Mów doń, czy światło, co jest twą ozdobą,  
 Będzie jak teraz wiekuiście z tobą?  
 Jeśli tak być ma, powiedz, gdy się stanie  
 Widzialnym duszy waszej pomieszkanie,  
 Czy wzrok wasz zniesie blask waszych promieni?»  
 Jak czasem w tańcu panny i młodzieńce

Szał swej radości, unosząc się kołem,  
 Zdradzają głosem, spojrzeniem wesołem,  
 Tak na tę prośbę czułą i wymowną  
 Odpowiedziały święte duchów wieńce  
 Nową radością i pieśnią cudowną.  
 «Kto skarży na to, że przez śmierć na ziemi  
 Duchem żyć wiecznie wzlatuje w niebiosy,  
 Taki nie poczuł czuciami naszymi,  
 Jak bosko rzeźwi wiekuista rosa.  
 W Dwóch i Trzech Jedność królująca wiecznie,  
 W Trzech i Dwóch Jedność żyjąca społecznie,  
 Obejmująca świat, a nieobjęta».  
 Tak po trzy razy brzmiała pieśń ich święta,  
 Pieśń tak urocza, że kto raz ją słucha,  
 Dość ma nagrody na zasługę ducha.  
 Głos skromny wyszedł z najmniejszego koła,  
 Jak do Maryi był głos jej anioła,  
 I mówił: «Póki czas nam słodko bieży  
 Na ucztach raj, póty miłość nasza  
 Bez przerwy będzie wokoło tej odzieży  
 Z ogniska swego rozpromieniać blaski.  
 Zapal miłości, co nasz blask podnasza,  
 Od naszych widzeń niebieskich zależy,  
 Które o tyle wyiskrzają się jasno,  
 O ile dusza nad zasługę własną  
 Mieć będzie prawa do udziału łaski.  
 Wtenczas my w święte obleczem się ciała,  
 Wtenczas i nasza osoba zapala  
 Żywszą wdzięcznością, bo już będzie cała!  
 Żywiej nas zatli niż teraz zapala  
 Światłość, co na się nam patrzeć pozwala:  
 Wtedy się ducha wyteży spojrzenie,  
 Bez końca święte rósć będzie widzenie,  
 Zapal, co odeń zachwyca płomyka,  
 I promień, który z zapalu wynika.  
 Jako żar płomień dający przez płomień  
 Żywą białością prześwieca widomie,  
 Blask, co otacza nas, zwyciężon będzie  
 Blaskiem ciał naszych, gdy na rozkaz boży  
 Ziemia zamknięte mogiły otworzy.  
 Niezmrużonymi nań spojrzym oczyma,  
 Bo zmartwychwstałych ciał silne narzędzie  
 Wrażenie wszelkiej rozkoszy wytrzyma».  
 Wtem oba chóry z tak wielkim zapalem,  
 Tak jednogodnie «Amen» wymówiły,  
 Jakby pragnęły tej chwili z mogiły  
 Wskrzeszonym, żywym przyoblec się ciałem,  
 Może nie dla się, lecz dla swoich matek,  
 Dla swoich ojców, drogich żon i dzieci,  
 Dla wielu innych drogich im na ziemi,  
 Wprzód nim się stały światłami wiecznymi.  
 I oto światła widziane okola  
 Blask nowych światel jakby aureola  
 Słońca, gdy wschodzi na widnokrąg czysty.  
 Jak na początku wieczornego zmroku  
 Nowe nam światła rześniejają z obłoku,  
 Co być i nie być wydają się oku;



Zdało się, że nowe widziałem istoty,  
 Tworzące jakby obwód światła złoty,  
 Opasujący te dwa kołowroty;  
 Świętego ducha odbłask rzeczywisty!  
 Którego blaski tak się razem wzmogły,  
 Że ich me oczy wytrzymać nie mogły.  
 Lecz Beatrycze, kiedym spojrział na nią,  
 Tak miała uśmiech piękny i uroczy,  
 Że to widzenie musi być wbrew chęci  
 W liczbie tych, które znikły z mej pamięci.  
 Ale wzmocnione, gdy podniosłem oczy,  
 W końcu spostrzegłem, że sam z moją panią  
 Wzniosłem się w sferę wyższego zbawienia.  
 Postrzegłem wyższy polot naszej jazdy  
 Po nowym świetle, po uśmiechu gwiazdy,  
 Co się czerwieńszym blaskiem zarumienia;  
 Modlitwą, wspólną wszystkim sercom mową,  
 Bogu za łaskę dziękowałem nową.  
 Jeszcze w mym sercu zarzewie jej tliło,  
 Czułem, że była przyjętą i miłą.  
 Bo światła tak się wydały zatlone  
 Wśród dwóch promieni i takie czerwone,  
 Ażem rzekł: «Jak ty je zdobisz, o słońce!»  
 Jak droga mleczna z gwiazd plejadą całą  
 Wielkich i małych, swą linią białą  
 Biegunów świata dotykając końce,  
 Ślepi w szkła zbrojne oczy bystrowidza  
 I najuczeńszych badaczy zawstydzą,  
 Tak świętych światel gwiazdozbiór bogaty  
 Pośrodku Marsa tworzył znak szanowny  
 Jak połączone w kole dwa kwadraty.  
 Tu pamięć talent do pokory zniża,  
 Bo się rozświecał Chrystus z tego krzyża,  
 Gdzież porównania znajdę obraz równy?  
 Kto swój krzyż chętnie na ramiona bierze  
 I za Chrystusem idzie w świętej wierze,  
 Co tu opuszczam, przebaczy, zaiste,  
 Gdy na tym krzyżu ujrzy Cię, o Chryste!  
 Od stóp do wierzchu krzyża, po ramionach  
 Ruchome światła to w ściśnionych gronach,  
 To się rozpierzchłe mrowiły bez końca,  
 W starciu się iskrząc żywszymi blaskami.  
 Tak widzimy czasem w przyćmionej świetlicy,  
 Drobnych atomów latająca rzesza  
 Prostymi albo w zygzak linijami  
 Słoneczny promień gronami obwiesza,  
 Gdy ten zabłądzi przez szczel okiennicy,  
 Którą nas przemysł broni od gorąca.  
 Jak struny arfy, gdy je wiatr potrąca,  
 Tworzą szmer dźwięczny temu słuchaczowi,  
 Co jego nuty wyraźnej nie złowi,  
 Taki na krzyżu łał się dźwięk uroczy  
 Ze światel, jakie postrzegły me oczy,  
 Który mą duszę przenikał zapalem,  
 Chociaż ich hymnu sam nie rozumiałem.  
 Czułem, że śpiewa wysokie pochwały,  
 Bo w nim te słowa najwyraźniej brzmiały:

«Wstań i zwyciężaj!» choć szły mimo ucha,  
Jak temu, co nie rozumie, a słucha.  
Miłość mnie taką pociągała siłą,  
Że dotąd żywiej serce me nie biło  
Do więzów, które dźwigać mi tak miło!  
Może ja mową zbyt zuchwałą błędzę,  
Kiedy śmiem niżej kłaść pod tą rozkoszą  
Niewysłowioną rozkosz podziwiania  
Uroczych oczu, gdzie gaszą me żądze.  
Kto wie, że piękność nam światła odsłania  
Coraz to żywsze, im wyżej nas wznoszą,  
I żem w tej chwili w oczy mojej pani  
Nie patrzył, chociaż cały w niej i dla niej,  
Ten mnie, w czym siebie oskarżam, nie zgani,  
Wymówkę moją przyjmie choć w połowie  
I jasną prawdę dopatrzy w tej mowie:  
Bo się wysłowić nie da rozkosz święta,  
Czystsza, im wyżej jest z nas w niebo wzięta.

## Pieśń XV

5. Na Marsie (Ciąg dalszy). Kaciagwidy pochwała dawnych dobrych czasów Florencji.

Wola, przez którą tchnie zawsze życzliwość  
I miłość, której natchnienia są prawe,  
Jak przez złą wolę objawia się chciwość,  
Tej liry dźwięczną uciszyła wrzawę,  
Aby spoczęły święte struny krzyża,  
Których strój mistrz ich podnosi, to zniża.  
Mogłaż być głuchą takich istot rzesza  
Godziwym prośbom? Kiedy dla zachęty  
Abym ją prosił, przerwała śpiew święty.  
Dowód, dlaczego żali się bez końca  
Kto z żądz doczesnych skreć znikomą skrzesa,  
A taką miłość od siebie odtrąca.  
Jak nocą w jasnej powietrza przeźroczy,  
Szybko lecące światło meteoru,  
Rażąc nam dotąd obojętne oczy,  
Zdaje się gwiazdą, która miejsce zmienia,  
Prócz że z tej strony, skąd się zapłomienia  
I gaśnie, światło nie traci promienia;  
Tak z tej niebieskiej sfery gwiazdozbioru,  
Z prawego krańca prawie do stóp krzyża,  
Trzęsąc iskrami biegła gwiazda chyża.  
Brylant ze swojej nie zerwał się nici,  
Śliznąc się tylko smugiem promienistym,  
Błyszcząc jak ogień w alabastrze czystym.  
Gdy wierzyć Muzie, jaką świat się szczyci,  
Nie mniej pobożnie twój cień, Anchizesie,  
Spotykał syna w elizejskim lesie:  
«O! Pełneś łaski Bogów, dziecię moje,  
Komuż jak tobie niebieskie pokoje  
Aż po dwa razy rozwarły podwoje!»  
Tak rzekła światłość; pełen cześci dla niej

Z schylonym czołem stałem zadziwiony,  
 Potem zwróciłem wzrok do mojej Pani,  
 Pełen podziwu z tej i z drugiej strony.  
 Uśmiech promienny jako słońce w maju  
 Błysnął w jej oczach blaskami takimi,  
 Że ja myślałem oglądać moimi  
 Dno mojej łaski i mojego raj.  
 Potem duch słodki dla ucha i oka  
 Mówił przeze mnie niepojęte rzeczy;  
 Treść jego mowy tak była głęboka.  
 On nie z rozmysłu, aby mówić ciemno,  
 Lecz z konieczności snadź je krył przede mną,  
 Bo wyższe były nad rozum człowieczy.  
 Lecz gdy łuk strunę odpuścił zapalu,  
 By lot słów zniżyć do celu pomału,  
 W jaki wbić wolno strzałę rozumową,  
 Pierwsze, com pojął, takie było słowo:  
 «Chwała niech będzie w Trójcy Jedynemu,  
 Co tak życzliwy nasieniu mojemu».  
 I dodał: «Długą i słodką tęsknotę,  
 Jakąm zaczerpnął, czytając z zapalem  
 W tej wielkiej księdze, gdzie czarno na białem  
 Głoska swej treści nie zmieni na jotę,  
 Tyś mi ugasił w tym świetle, skąd mówię,  
 Za co dziękuję świętej białogłowie,  
 Która cię z grzechu wyzwoliwszy sidła,  
 Abyś tu wzleciał, przypięła ci skrzydła.  
 Wierzysz, że twoja myśl do mnie przychodzi  
 Od arcymyśli i błąd cię nie zwodzi,  
 Jak się z jednośc pięć i sześć rozwija.  
 Przeto nie pytasz, kto jestem? Skąd płonie  
 Blask mój weselej w tym wesołym gronie?  
 Tak jest, jak wierzysz: tu wielcy i mali  
 Patrzą w zwierciadło, gdzie jak w szybie fali,  
 Nim co pomyślisz, twa się myśl odbija.  
 Lecz żeby miłość, w którą czujne oko  
 Z ciągłym czuwaniem zatapia głęboko,  
 Która mi słodkie zaostrza łaknienie,  
 Poczuła całe swe zadowolenie,  
 Objaw twą wolę, śmiało wciel ją w słowo,  
 Już mam dla ciebie odpowiedź gotową».  
 Do Beatrycze potem wzrok zwróciłem,  
 Co mnie słyszała wpierw, nim przemówilem;  
 Uśmiech jej w takiej świecił aureoli,  
 Że podniósł w górę skrzydło mojej woli.  
 Więc rzekłem: «Miłość i wiedza od chwili,  
 Kiedyście pierwszą równość tu uczcili,  
 W każdym z was w dziwnej stoją równowadze;  
 Bo w słońcu, które na was blask swój zlewa,  
 Światłem oświeca, a ciepłem zagrzewa,  
 Tak w Nim podobne są te obie władze,  
 Że przy nich wszystkie ziemskie podobieństwa  
 Miałyby jeszcze pozór przeciwności.  
 Lecz moc i wola nasza, jako wiecie,  
 Nierównym lotem buja w naszym świecie;  
 Będąc śmiertelnym, tę nierówność czuję  
 Sercem, gdy usta nie dosyć wymowne,

Za twe ojcowskie przyjęcie dziękuję.  
 Wzbogacający to cacko kosztowne,  
 Powiedz mi, błagam, żyjący Topazie,  
 Jakim na ziemi zwano cię imieniem?»  
 — «Gałązko moja! drogaś mej osobie,  
 Szczepu twojego ja jestem nasieniem».  
 Taką odpowiedź dał mi Duch na razie,  
 A potem mówił: «Ten, który dał tobie  
 Nazwisko twoje, twój klejnot rodowy,  
 Sto lat i więcej za grzech wielkiej buty  
 Obchodzi pierwszy krąg góry czyścicowej;  
 On, były syn mój, twoim jest pradziadem,  
 Pomnij modlitwą i dobrym przykładem  
 Skrócić mu zakres trudu i pokuty.  
 W starym obwodzie Florencja, pomnę,  
 Wciąż wiodła życie spokojne i skromne;  
 Nie znała wieńców sadzonych perłami,  
 Dla niej byłoby dziwo nad dziwami,  
 Gdyby dla oka miał większe ozdoby  
 Pas od tej, która go nosi, osoby.  
 Ojciec o córki nie troskał się szczęście,  
 Skromnym jej wianem mierzył jej zameście;  
 Florenckie żony nie były bezdzietne,  
 Sprzęty domowe proste, lecz szlachetne,  
 Bo Sardanapał celu ich użytku  
 Jeszcze nie skrzywił przez rozpustę zbytku.  
 Nad Montemalo, co przepychem słynie,  
 Ucellatoja wzniosła się niewiele  
 Choć ją, jak w blasku przewyższy w ruinie.  
 Berti, widziałem, nosił pas skórzany,  
 A jego żona idąc od zwierciadła  
 Nie rumieniła twarzy malowanej.  
 Norli i Wekjo nie wstydził się radła,  
 Żony ich doma przędły swe kądziele.  
 Błogie niewiasty! A każda wiedziała,  
 Że swoje kości w grobach ojców złoży,  
 Że jej, gdy męża proch łzami oblała,  
 Wdowiego łoża Frank nie scudzłoży.  
 Jedne czuwały nad kolebką dzieciąt,  
 W pieluchach ucząc je tej mowy słodkiej,  
 Tej pierwszej ojców radości i matek;  
 Drugie, fruczące kręcąc kołowrotki,  
 O sławnych mężach gwarzyły w swym kole,  
 Co miała Troja, Rzym i Fiesole.  
 Większe wzbudziło dziwo w one lata  
 Imię Saltreła niż dziś Cyncynata.  
 W tak pięknych czasach, gdy wiek kwitnął złoty  
 Obywatelstwa, pokoju i cnoty,  
 Matka rodzajne gdy poczuła bóle,  
 Wezwawszy w pomoc Marii Dziewicy,  
 Zległa mnie dzieckiem zdrowym i wesołym  
 I w starej naszej florenckiej chrzcielnicy  
 Kaciagwida na chrzcie imię wziąłem.  
 Zachęcon braci żonatych przykładem  
 Z Ferrary żonę pojąłem kochaną,  
 Przez nią w dom weszło twoje drugie miano.  
 Potem poszedłem z cesarzem Konradem

Bić Saracenów: Konrad gdy ich pobił,  
Mnie znakiem swego rycerstwa ozdobił,  
Do tyła w bitwach cenił moje męstwo.  
Saracen winą waszego pasterza  
Ziemie wam garnie, swój zabór rozszerza.  
Miecz Saracena wyzwolił mnie w boju  
Z nędz twego świata: a tak przez męczeństwo  
Tu do wiecznego przyszedłem pokoju».

## Pieśń XVI

Ciąg dalszy. Kaciagwida mówi o późniejszych dziejach i teraźniejszych stosunkach Florencji.

O błahe nasze po krwi uszlachcenie!  
Jeśli na ziemi wzbijasz w pychę ludzi,  
Gdzie tak mdłe ducha naszego skłonienie;  
Rzecz ta podziwu już we mnie nie wzbudzi,  
Odtąd gdy próżny chwaliłem się z ciebie,  
Tam gdzie nie błędą żądze, mówię, w niebie.  
Ty jesteś płaszczem, co szybko się skraca,  
Jeśli z dnia na dzień zasługa lub praca  
Nowego sukna dla cię nie przykroi,  
Czas mknie z nożycą wkoło poły twojej.  
Od *Wy*, co pierwszy Rzym użył w swej mowie,  
A które potem jego potomkowie  
Z nowożytnego wygnali języka,  
Począłem mówić: przeto Beatryce  
Stojąc na stronie wpół się uśmiechnęła,  
Podobna do tej wiernej służebnicy,  
Co na błąd pierwszy Ginewry kaszlnęła,  
O czym szeroko powiada kronika.  
«Wy» tak mówiłem, «ojcem mi jesteście.  
Wy ośmielacie mówić mnie nareszcie,  
Wy tak wysoko mnie do się wznosicie,  
Że czuję wyższe i pełniejsze życie;  
Radość w me serce strumieniami wsięka,  
Serce radością wzbiera, lecz nie pęka.  
Powiedz mi, droga krynico krwi mojej,  
Krew jakich przodków twoje źródło poi,  
Nad twą kolebką jakie przeszły lata?  
O Świętojańskiej powiedz mi owczarni  
Czy ludzie zgodni żyli w niej, nieswarni,  
Czy była w mężów dostojnych bogata?»  
Jak się ożywia na wiatr żar w płomieniu,  
Tak na pieszczotę słów mych w okamgnieniu  
Światło jasnością żywszą się oblekło,  
Śłodziej, lecz mową nie naszą tak rzekło:  
— «Od dnia, gdy pierwsze wymówiono *Ave!*  
Aż do dziś świętej, matki mej połogu,  
W którym mnie zległa, błogosławiąc Bogu,  
Pięćset pięćdziesiąt trzy razy Mars biegał  
Do stóp Lwa swego i ognie jaskrawe  
Wciąż ten planeta w lwim oku zażegał,  
Jam się urodził, gdzie przodkowie moi

W tym samym miejscu rodzili się, żyli,  
 W ostatniej miasta starego dzielnicy,  
 Kędy ciekawy tłum mrowi się, ściska,  
 Idąc na wasze doroczne igrzyska.  
 Dość o mych przodkach, skąd przyszli, czym byli?  
 Milczeć tu raczej, nie mówić przystoi,  
 Lud wtedy zdolny do miecza i zbroi  
 Aż od posągu Marsa do Chrzcielnicy  
 Składał część piątą dzisiejszej ludności;  
 Ta dziś złożona z dziwnej mieszaniny,  
 Z włóczęgów z Kampi, Certaldo, Figiny.  
 Dawniej krew strzegła w rodzimej czystości,  
 Do rzemieślnika od barońskiej mości.  
 Lepiej by było miedzą szachowaną  
 Przytykać do nich, jak graniczną ścianą,  
 Z strony Gulazzo albo Trespiano,  
 Niżli mur miasta mieć zapowietrzony  
 Gawiedzią z Signy i Agugliony,  
 Co wzrok wyszczerza lichwą zaostrozony.  
 Gdyby nie będąc Florencyja płochą,  
 Dziś dla Cezara nie była macochą,  
 Lecz kochającą matką swego syna,  
 Kramarz nie hańbiąc nazwy florentyna,  
 Do Simifonti wróciłby, jak trzeba,  
 Gdzie jego ojciec chodził, żebrząc chleba.  
 Dziś w Montemurlo siedzieliby Konti,  
 Cerchi w Akonie, a Buondelmonti  
 W Waldegriewe. Mieszanina osób  
 Zawsze na miasta działa w zgubny sposób,  
 Do zła ma dosyć zarodów, jak wiele  
 Razem pokarmów natłoczonych w ciele.  
 Byk ślepy prędzej niżli ślepe jagnie  
 Może się potknąć lub zagrzeznąć w bagnie;  
 Pięć szpad nie tyle ran śmiertelnych zada,  
 Co może czasem zadać jedna szpada.  
 Spójrzysz na mury Luni i Chiuzy,  
 Na Synigaglią, ruina i gruzy!  
 Słyszając, jak świetne wygasnęły rody,  
 Mniej dziwnym zda się, gdy kres mają grody.  
 Wszystko co wasze, tak jak wy umiera,  
 Lecz śmierć czasami zakrywa swe skutki  
 W niektórych rzeczach, bo wasz żywot krótki.  
 Jak księżyc wznosząc, to zniżając fale,  
 Morzom ich brzegi daje i zabiera,  
 Szczyćście z twym miastem tak igra niestale.  
 A więc nie będzie rzecz dziwna i nowa,  
 Że świetność domów florenckich rodowa  
 Zgasła i spadła z potęgi swej wierzchu,  
 Chociaż ich sława ginie w czasów zmierzchu.  
 Już Filipesków, Alberigów domy,  
 Widziałem, przeszły jako cień znikomy.  
 Niedyś przy bramie, gdzie zdradą szkaradną  
 Łódź obciążona dzisiaj tonie na dno,  
 Stał Rawignanów dom, skąd hrabia Gwido  
 I wszyscy z krwi tej rozrodzeni idą.  
 Już De la Pressa z chlubą rodowitą  
 Umiał sprawować rzecząpospolitą;

Już Galigajo dla herbowej cześci  
 Miecz swój wyzłacał po wierzch rękojeści,  
 Już herb Kolumna zdobił ściany dworca;  
 Świetniał Sachetti, Sifanti i Galli,  
 I ci wielmożni, którym wstyd twarz pali,  
 I ich potomkom, na wspomnienie korca,  
 Szczep już był wielki, z którego Kalfuci  
 Swoje rodowe latorośle wiedli;  
 Za mnie, pamiętam, Sizzi, Arriguci,  
 W kurulskich krzesłach z powagą zasiedli;  
 Dumne, dziś uschłe szczepy florentynów  
 Pęczniały kwiatem wielkich cnót i czynów.  
 Tacy ojcowie, o krwi ich obrazo!  
 Byli tych synów, którzy każdą razą  
 Nim na biskupa padnie los wyboru,  
 Tuczą się chlebem biskupiego dworu  
 Ów ród nowotny, co z głupstwa i pychy  
 Jak smok srożeje, kto odeń ucieka,  
 Pokaż mu zęby lub kiesę z daleka,  
 Stoi przed tobą jak baranek cichy;  
 Już wzrastał w górę, ale z krwi tak lichej,  
 Aże się zmarszczył Ubertyn Donato,  
 Gdy go teść jego pokumał z krwią taką.  
 Już z Fiesoli przybył Kaponsako,  
 Kupczyć na rynku towar przemycany;  
 Już jakiś Gjuda, jakiś Infangato  
 Między celniejsze liczył się mieszczany.  
 Nowotna szlachta świeżo ozdobiona  
 Rycerskim krzyżem wielkiego Hugona  
 Którego chwałę cześci pamięć wasza  
 Doroczną ucztą w dzień święta Tomasza,  
 Do dzisiaj błyszczy szlacheckim klejnotem.  
 Niejeden herb swój dzierzgający złotem  
 Na stronę ludu przerzucił się potem;  
 Jeszcze by Borgo więcej był spokojny,  
 Gdyby go sąsiad nie podszczuł do wojny.  
 Dom, skąd się wasze poczęły boleści,  
 A skąd przez słuszną sprawiedliwość bożą  
 Tak rozmnożone jeszcze się umnożą,  
 Dom ten w powszechnej współziomków żył cześci.  
 Buondelmonte! W złość rady uwierzył,  
 Żeś z takim domem krwi twej nie sprzymierzył  
 Spadło by z wielu ciężkie smutków brzemię,  
 Gdyby Bóg ciało twe darował Emie.  
 Gdyś po raz pierwszy przejeżdżał tą rzeką,  
 Trzebaż, by posąg, co na moście stoi  
 Twą krwią zboczyli współziomkowie twoi,  
 Za którą teraz krwi strumienie ciekną.  
 Z tymi i wielu innymi rodami,  
 Byt Florencyi był arcyszczęśliwy,  
 Nikt w niej ze smutku nie zalał się łzami.  
 Lud jej był sławny, a tak sprawiedliwy,  
 Że jej herbowy kwiat, lilija biała  
 Z ostrzem swej włóczni w dół się nie zginała,  
 Nigdy niezgody krwią nie sczerwieniała».

## Pieśń XVII

Ciąg dalszy. Kaciagwida przepowiada poecie wygnanie jego, gościnny pobyt u Kangranda, sławę jego poematu, upatrując w Dantem powołanego kaznodzieję i nauczyciela.

Syn nieroztropny, co pytał rodzicy,  
Czy prawda, że był bez ojca poczęty,  
Dotąd jest jeszcze przestrogą dla matek,  
By mniej słabymi były dla swych dziątek.  
Takim się wydać mogłem Beatrycy  
I tej światłości promiennej i świętej,  
Która wpierw dla mnie swe miejsce zmieniła.  
Dlatego moja Pani tak mówiła:  
«Wyrzuć na zewnątrz cały zapal chęci,  
Z wiernym odciskiem wewnętrznej pieczęci;  
Nie, żeby z nas kto mógł coś więcej wiedzieć  
Przez twoje słowa: co myślisz w tej dobie?  
Lecz, żebyś śmiał swe pragnienie powiedzieć,  
A drugi słysząc, podał napój tobie».  
— «Drogi mój szczepie, coś wrósł tak wysoko!  
Jak rozum ziemski widzi, że nie może  
Dwóch kątów tępych zamykać trójroże,  
Przygodne rzeczy, nim się staną w sobie  
Tym, czym być mają, tak widzi twe oko,  
Patrząc w zwierciadło, które ci odbija  
Czas przyjsć mający, jak ten, który mija.  
Gdy mnie Wirgili wodził drogą nową  
Przez świat umarłych i na górę ową,  
Gdzie dusze skrucha i pokuta leczy,  
Słyszałem wróżbę przyszłości surową:  
Lecz ja odtrącę cios, co mnie uderzy,  
Nieporuszony jak czworobok wieży.  
Dlatego rad bym wcześniej i powoli  
Oswoić siebie z grozą przyszłej doli;  
Grot przewidziany nie tak nas kaleczy».  
Z woli mej Pani tak mówiłem śmiało  
Do światła, co wprzód ze mną rozmawiało,  
Wyznając przed nim moją żądnosć całą.  
I nie przez ciemną słów myśli zawilość,  
Jaką wyroczone starożytnie słyną,  
Straszące ludy ogłupiałe w grzechu,  
Wpierw nim odkupił świat Baranek Boży,  
Lecz jasnym słowem, treściwą łaciną,  
Odpowiedziała ta ojcowska miłość,  
Zamknięta w świetle, lecz widna z uśmiechu  
Tejże światłości, w której się zamyka.  
— «Przygodne rzeczy, co przypadek tworzy  
W granicach zmysłów, w świetle podślonecznym,  
Wszystkie pod wzrokiem kształtują się wiecznym,  
Lecz zeń konieczność nie więcej wynika,  
Jak obraz łodzi z oka podróżnika,  
Płynącej prądem swobodnym potoku:  
Zeń, jak z organu harmonija słodka  
Wchodzi do uszu, odbija w mym oku  
Smutny swój obraz czas, co ciebie spotka.



Jak Hipolita wygnała macocha,  
 Wyżenie ciebie Florencyja płocha;  
 Tego chcą, wszyscy naglą tve wygnanie,  
 Przez tychże samych, niesłychana zbrodnia,  
 Co tym zajęci, wkrótce się to stanie,  
 Tam, gdzie Chrystusem radzi kupczą co dnia  
 Już wrogi twoje wabią cię na harce,  
 Już ostrzą bronie twojej krwi łakome  
 I jak się dzieje, sąd zwycięskiej strony  
 Przysądzi winę stronie zwyciężonej;  
 Lecz zemsta boża przyjdzie dać widome  
 Świadectwo prawdzie, tej zemsty szafarce.  
 Porzucisz drogie osoby i rzeczy,  
 Ten grot wygnania najsrożej kaleczy;  
 Poznasz, jak gorzką zaprawiony solą  
 Chleb cudzy dany nie z gościnną wolą;  
 Poznasz, jak przykro, bodaj się nie rodzić,  
 Po cudzych schodach wstępować i schodzić!  
 A co najwięcej zgarbi tve ramiona,  
 To ciżba głupia z tobą potępiona,  
 Niewdzięczna, podła; jej gniew ją uzbroi  
 Przeciwno tobie; nie ty, ale ona  
 Mieć będzie czoło od wstydu czerwone.  
 Gdy tym dowiedzie zwierzęcości swojej,  
 Pięknie ci będzie, żeś umiał w potrzebie  
 Własne stronnictwo wyrobić sam z siebie.  
 Pierwszą tułacza ulgę i ochronę  
 Znajdziesz w uprzejmej Lombarda gościnie,  
 Który ma w herbie orła na drabinie  
 Jego życzliwy dla ciebie dostatek  
 Tak zrówna ściśle i prośbę, i datek,  
 Że co na końcu kładzie pańska duma,  
 Stanie się pierwszym między wami dwoma.  
 Na jego dworze rośnie dzieciuch mężny,  
 Co wpływ tej gwiazdy poczuł tak potężny,  
 Że męstwem zrówna pierwsze bohaterę.  
 Niepostrzeżony jeszcze dziś od ludów,  
 Bo nad nim krążą lat dziewięć te sfery:  
 Lecz nim Gaskończyk Henryka omami,  
 On jak mąż wielki zabłyśnie cnotami,  
 Pogardą bogactw i znoszeniem trudów.  
 Śmiało liczył na nim, on pełen szczodroty,  
 Jego wróg tej mu nie zaprzeczy cnoty;  
 Przezeń się ludzi przeobrazi mnóstwo,  
 Bogactwo zniży, podniesie ubóstwo.  
 Co rzekłem o nim proroczym językiem,  
 Zapisz w pamięci, lecz nie mów przed nikim».

I mówił rzeczy niepodobne prawie  
 Dla tych, co będą widzieć je na jawie.  
 «Synu,» rzekł w końcu «oto są przyczyny,  
 Dlaczegoś słyszał wróżby rozmaite,  
 Oto zapadnie przed tobą ukryte  
 W czasie, co pędzi lata, dni, godziny.  
 Nie zazdrość ziomkom ich złości i zdrady,  
 Nim wyszaleje wściekłość ich zawzięta,  
 Dożyjesz przez nich zasłużonej chłosty».

Gdy znak milczeniem dała dusza święta,

Że już dosnuła wątek swej rozmowy,  
 Do której dałem pierwszą nić osnowy;  
 Jako wątpiący, co zasięga rady  
 Osoby w zdaniu mającej sąd prosty,  
 Przy tym z miłością patrzącej mu w duszę,  
 Począłem mówić: «Ojcze, widzę z trwogą,  
 Jak czas rumaka już bodzie ostrogą,  
 Pod jeźdźcem rumak wyciąga się dzielny,  
 Ku mnie jak wicher pędzi wiatronogi,  
 Aby mi cios swój dać uczuć boleśniej;  
 Przeto w przezorność uzbroić się muszę,  
 Ażebym, tracąc własny kąt tak drogi,  
 Nie stracił cudzych przez gorycz mej pieśni.  
 Tam niżej, w ciemnej i strasznej otchłani,  
 Gdzie duch w goryczy żyje nieśmiertelnej,  
 I na wierzchołku góry bliższej słońca,  
 Skąd mnie porwały oczy mojej Pani,  
 Z gwiazdy na gwiazdę wędrując bez końca,  
 Tylem się rzeczy nasłuchał, dowiedział,  
 Dla wielu, gdybym wiernie je powiedział,  
 Treść ich byłaby może zbyt gryząca.  
 Jeślim przyjaciel prawdy bojaźliwy,  
 Lękam się wiek mój przeciągnąć sędziwy  
 Wśród tych, co żyjąc życiem pasożytnym,  
 Czas terażniejszy nazwą starożytnym».  
 Skarb, jaki moje oczy wyszukały  
 W tej sferze, blaskiem wyiskrzył się cały,  
 Jak w złotym lustrze odbite promienie;  
 I tak przemówił: «Kto swoim nieczyste  
 Lub cudzym wstydem obciążył sumienie,  
 Gorycz twej mowy poczuje, zaiste:  
 Całe, nie kłamiąc, objaw twe widzenie,  
 Jak je widziałeś; przysłowie poucza,  
 Niech się ten drapie tam, gdzie świerzb dokucza,  
 Bo choć twa mowa zrazu niesmak sprawi,  
 Lecz za to pokarm żywotny zostawi  
 Temu, kto dobrze ją w myśli przetrawi.  
 Twój krzyk to robi, co wiatr, który bierze  
 Za cel swych szturmów co najwyższe wieże,  
 Co piorun bijąc w wyższe drzewa boru.  
 Dlatego tobie, tu na każdej sferze,  
 Niżej na górze i w otchłani płaczu,  
 Wskazano dusze sławą notowane.  
 Bo nie zatrzymasz uwagi w słuchaczu  
 Przykładem wziętym z powszedniego wzoru,  
 Z czynów, co przeszły za ledwo dojrzane».

## Pieśń XVIII

Zakończenie. Kaciagwida wymienia Jozuego, Machabeusza, Karola, Rolanda Godofreda z Bulionu, Gwiskarda i innych. 6. Ku Jowiszowi, gwieździe sprawiedliwych monarchów. Duchy tworzą swym szeregiem słowa *Diligite justitiam* itd., potem orla. Skarga na stolicę apostołską.

Już w sobie światłość cieszyła się błoga,  
 Sama ze swoją myślą tajemniczą,  
 Ja z moją, słodycz miarkując goryczą.  
 Niewiasta, która wiodła mnie do Boga,  
 Mówiła: «Myślom daj inny kierunek,  
 Myśl, żem jest bliska tego, który wchodzi  
 W boleść skrzywdzonych, ból krzywdy łagodzi».  
 Jam się obrócił cały ku głosowi  
 Pocieszycielki, co tak słodko mówi.  
 Ile ja wtedy i z jakim zapalem  
 W świętych jej oczach miłości widziałem,  
 Tu łamię pędzel na ten wizerunek;  
 Nie tylko, że nie ufam w moje słowa,  
 Lecz i przez słabość umysłu powszednią,  
 Który rzecz wyższą nad siebie nie może  
 Wysłowić, gdy mu łaska nie pomoże.  
 To tylko powiem, że jej słodka mowa  
 Gdym patrzył na nią, tak w sercu utkwiała,  
 Aż mnie z żądności wszelkiej wyzwoliła.  
 Podczas gdy wieczna rozkosz bezpośrednio  
 Opromieniając Beatrycze lica,  
 Mnie ich natchnionym upaja wyrazem,  
 Ona z uśmiechem, co duszę zachwyca,  
 «Odwróć się» rzekła «i słuchaj zarazem,  
 Nie tylko w oczach moich jest raj cały».  
 A jak uczucie w twarzy się maluje,  
 Gdy silne całą duszę opanuje,  
 Tak w blasku, w iskrach tej światłości świętej,  
 Do której moje oczy się zwracały,  
 Poznałem wolę i chęć jej tajemną  
 Mówienia jeszcze o czymkolwiek ze mną.  
 I w dobrotliwie rozmowie poczętej  
 Tak rzekła: — «Na tej, patrz, piątej gałęzi  
 Wierzchołkiem swoim żyjącego drzewa,  
 Na którym owoc w kwiecie i zawięzi  
 I liść zielony bez przerwy powiewa,  
 Są duchy wiecznym szczęśliwe zbawieniem,  
 Które przed swoim tu wniebowstąpieniem  
 Tak wielką sławą słynęły na ziemi,  
 Że każdą Muzę wzbogaciłbyś niemi.  
 Patrz na ramiona oto tego krzyża,  
 Każdy, którego nazwę po imieniu,  
 To samo tobie zrobi w okamgnieniu,  
 Co w chmurze robi jej iskra tak chyża».  
 I wtem widziałem, jak światło olbrzymie  
 Przeszło po krzyżu, Jozue na imię,  
 Prędzej niż wyraz głos wymówić zdołał;  
 Machabeusza gdy na imię wołał,  
 Widziałem, oto druga światłość śmiga,  
 Kręcąc się w kółko jak fruczająca cyga.  
 Karloman, Roland! Gdy głos w kolej woła,  
 Wzrok mój na krzyżu wysoko, wysoko,  
 Ścigał dwa światła, jak myśliwca oko  
 Tropi w powietrzu lot swego sokoła.  
 I na tym krzyżu w kolej Guiskarda  
 Przebiegły światła Godfreda, Ryszarda.  
 Wtenczas zmieszane z drugimi światłami,

Równie szybkimi wirując kręgami,  
 Dowiodło światło, co do mnie mówiło,  
 Jakim śpiewakiem w chórze niebios było.  
 Spojrzałem w lewo, aby w Beatrycy  
 Czytać powinność moją, z jej źrenicy,  
 Z jej słów i gestów: i widziałem oczy  
 Takie wesołe, wzrok jej tak uroczy,  
 Którym swe wszystkie zgasila spojrzenia,  
 Nawet ostatni wzrok pełen natchnienia.  
 A jako człowiek, kiedy dobrze robi,  
 Przez żywszą rozkosz spostrzega w istocie,  
 Że sam z dnia na dzień postępuje w cnocie,  
 Podobnie w moim kolistym obrocie,  
 Zdało się, z niebem łuk większy pisałem,  
 Patrząc na moją panią, jak się zdobi  
 Blaskiem i światłem więcej doskonałem.  
 A jak rumieniec z białej twarzy panny  
 Znika, nim oczy podniesie spuszczone,  
 Tak szybko w chwili, gdy wzrok zwrócił w stronę,  
 Po złagodzonej białości spostrzegłem,  
 Że już na szóstą gwiazdę nieba wbiegłem.  
 W tej Jowiszowej pochodni widziałem,  
 Jak świętych światła migot nieustanny  
 Przedstawiał oczom nasze abecadło.  
 Jak opuszczając ponadrzeczne żery,  
 Wesoło w górę podnoszą się ptaki,  
 I z siebie samych na zgłosek zwierciadło  
 Liniję długą tworzą, to zygzaki;  
 Tak święte w środku swych światła istoty  
 Lecąc, śpiewały i na tle tej sfery  
 To *D*, to *J L* tworzyły litery.  
 Zrazu takt pieśni wymierzał ich loty,  
 Potem w milczeniu stawały niektóre,  
 Wyobrażając tych zgłosek figurę.  
 O Muzo! Którą lotny Pegaz nosi,  
 Przez którą sława nieśmiertelność głosi  
 Piewców i wieszczów, co nieśmiertelnemi  
 Tyle miast, królestw zrobili na ziemi,  
 Tu mnie z triumfem doprowadź do celu,  
 Oświeć mnie sobą, a żebym z zapalem  
 Skreślił ich kształty, jak je sam poznałem,  
 Objaw moc swoją w tych wierszach niewielu.  
 Wtem samogłosek razem z spółgłoskami,  
 Pięć razy siedem błysnęło przed nami:  
*Diligite Justitiam* na początku stało;  
*Qui Judicatis Terram* okres zamykało.  
 I w samym środku *M* piątego słowa,  
 Światła, co sobą te głoski tworzyły,  
 Stały w sposób, że zdało się złotem  
 Pisze na srebrze gwiazda Jowiszowa.  
 I drugie światła na wierzch *M* zstąpiły,  
 Śpiewając dobro, co je swym przymiotem  
 Ciągnie do siebie: i widziałem potem,  
 Jak widzimy głównie silnie uderzone,  
 Co miecą z trzaskiem iskry niezliczone,  
 Z których brać wróżbę głupi się przechwala.  
 Więcej tysiąca światła wkrąg poczęło

Wznosić się, latać jak złote obłoki;  
 A gwoli słońcu, które je zapala,  
 Jednych lot wyższy, tych mniej był wysoki.  
 Kiedy już każde w swym miejscu stanęło,  
 Te same światła, wyraźnie, jak stały,  
 Głowę i szyję orla rysowały.  
 Ten, co malował takie malowidło,  
 Z siebie, nie z mistrza wziął wzór i prawidło;  
 Z jego twórczości wynika ta siła,  
 Co wszystkim gwiazdom kształt ich nakreśliła.  
 A drugie światła, co w grona splecione  
 Wyobrażały ponad *M* koronę,  
 Mało wyraźnym ruchem swych obrotów  
 Skończyły orla figurę rysować.  
 O słodka gwiazdo! Ileż tych klejnotów  
 Każą mi razem wierzyć i pojmować,  
 Że sprawiedliwość nasza jest poczętem  
 I urodzonym światłem w niebie świętem,  
 Którego jesteś pięknym dyjamentem.  
 Dlatego błagam Wszechmocnego w duchu,  
 Jako przyczyny twej siły i ruchu,  
 By zauważał, skąd się dym podnasza,  
 Który nam twoje promienie przygasza,  
 Aby się wzruszył i mieczem anioła  
 Wygładził wszystkie przekupnie kościoła,  
 Co męczenników wzrósł krwią i cudami.  
 Zastępy niebios! Módlcie się za temi,  
 Których obłąkał zły przykład na ziemi:  
 Dotąd walczono na ostre mieczami,  
 Dziś bój tajemny wre odjęciem chleba,  
 Jakim rad żywić czuły Ojciec z nieba.  
 Lecz ty, co piszesz i mażesz wespoły,  
 Pomnij na pierwsze wiary apostoły,  
 Co dla winnicy zepsutej przez ciebie  
 Pomarli ciałem, duchem żyją w niebie.  
 Mógłbyś powiedzieć: miłość, żądza taka  
 Mnie zespoliła z świętym pustelnikiem,  
 Który dla tańca został męczennikiem,  
 Że odtąd nie znam Pawła i rybaka.

## Pieśń XIX

Na Jowiszu. Orzeł przemawia. O błogosławieństwie dla niechrześcijan. O sądzie  
 bożym. O ówczesnych monarchach.  
 Z rozpostartymi przede mną skrzydłami  
 Piękny ten obraz przedstawił się cały,  
 Który świętego zachwyty czuciami  
 W nim zgromadzone rozweselał dusze.  
 Każda się zdała jako rubin mały,  
 W którym słoneczko tak jasne świeciło,  
 Że w moich oczach swój promień odbiło.  
 Co tu słowami opowiedzieć muszę,  
 Tego nikt jeszcze nie śpiewał, nie pisał,  
 Nikt wyobraźni tak nie rozkołysał,

By mógł to pojąć, co tu pióro skreśli:  
 Bo wzrok mój widział i uszy słyszały  
 Dziób, który mówił głosem słowa żywym:  
*Ja i Mój*, kiedy *My* i *Nasz* miał w myśli.  
 Potem rzekł: — «Za to żem był sprawiedliwym,  
 Żem strzegł pobożnie przykazania boże,  
 Wzniesiony jestem tu do takiej chwały,  
 Co być zwalczoną przez żądzę nie może.  
 Cień mój na ziemi przemknął nie bez śladu,  
 Lecz źli nie idą w ślad mego przykładu».  
 Jak z wielu żarów wybucha od razu  
 Jedno gorąco, tak z miłości wiele  
 Wychodził jeden głos z tego obrazu.  
 «O kwiaty» rzekłem «wiecznego wesela,  
 Gdy, jako jedną woń w kwiatu koronie,  
 Czuję zarazem wszystkie wasze wonie,  
 Nasyćcie, dysząc woniami lubemi,  
 Wielki post, jakim już wyschłem i zbladłem,  
 Bo nie znalazłem pokarmu na ziemi.  
 Gdy sprawiedliwość boża jest zwierciadłem  
 Dla każdej sfery, snadź wam sfera wasza  
 Zasłoną jego szyby nie przygasza.  
 Wiecie, gdy mówi, jak mi słuchać miło,  
 Znacie wątplenie, co mnie ogłodziło».  
 Jak sokół, gdy mu zdejmą kaptur z głowy,  
 Zatacza szyją do lotu gotowy  
 Nastrzępia pióra, żądz ukryć nie umie,  
 Trzepotem skrzydeł daje poklask sobie;  
 Taki ruch w orła widziałem osobie,  
 Zbudowanego z pochwał bożej łaski,  
 Z pieśń tych pochwał, który ten zrozumie,  
 Czyj się duch w wieczne rozpromienił blaski.  
 Orzeł tak mówił: — «Ten, co sam wytykał,  
 I cyrklem mierzy światów pogranicze,  
 Który w nich tyle rzeczy pozamykał,  
 Jedne widome, drugie tajemnicze,  
 Nie mógł zarówno na wszechświata kręgi  
 Wycisnąć pieczęć swej twórczej potęgi,  
 Bo jego »Stań się« polot był zbyt chyży.  
 Co nam za dowód i twierdzenie staje,  
 Że pierwszy pyszny stojący najwyżej  
 Ze wszystkich stworzeń, choć swój upad zwlekał,  
 Przed dojrzałością, jaką łaska daje,  
 Upadł, bo w pysze na światło nie czekał.  
 Stąd i twór niższy jest naczyniem ciasnym,  
 By objąć dobro, które nie ma końca,  
 Które się mierzy w sobie cyrklem własnym;  
 Stąd wzrok nasz, promień tylko Arcyśłońca,  
 Ducha, co sobą napęlnia świat cały,  
 Z natury swojej tak niedoskonały,  
 Że tylko w skutku przyczynę postrzega,  
 Poza kres jego dalej nie wybiega.  
 Rozumy toną w sprawiedliwość wieczną,  
 Jak oko w bezdeń morską albo rzeczną;  
 Dno blisko brzegu widzisz łatwo okiem,  
 Na pełnym morzu nie dojrzysz go wzrokiem,  
 Dno jest, lecz dno to głębokość wam kryje.

Nie ma światłości, gdy ona nie wschodzi  
 Z miejsca, gdzie wiecznie trwa pogoda stała,  
 Będzie to ciemność, co dnia nie urodzi,  
 Cień lub trucizna znikomego ciała.  
 Teraz wyciągaj ku mnie długą szyję,  
 Ściągam zasłonę, oto się odkrywa,  
 O którą pytasz, Sprawiedliwość żywa.  
 Chcesz mówić; zda się mówiącego słyszę:  
 Człowiek zrodzony nad Indu brzegami,  
 Choć o Chrystusie nie czyta, nie pisze,  
 Dobre uczynki rad godzi z chęciami,  
 O ile rozum może rządzić głową,  
 Czysty jest czynem i myślą, i mową,  
 A że umiera bez chrztu i bez wiary,  
 Gdzież sprawiedliwość jego przyszłej kary?  
 Gdzie jego wina, jeśli on nie wierzy?  
 Co za trybunał twój z tak bystrym okiem,  
 Co o tysiące mil chce sądzić wzrokiem,  
 Który przestrzenie ledwo na piędź mierzy.  
 Kto z was tak ze mną szermuje na słowo,  
 Gdyby nie światłość Pisma wam święcąca,  
 Musiałby wąpić i wąpić bez końca.  
 Rozumie ziemski, zły siew twego pola,  
 Sama przez siebie dobra Arcywola,  
 Jak Arcydobro, nigdy swego chcenia,  
 I wiekuistych pociągów nie zmienia.  
 Co sprawiedliwe, z nią jest zespolone,  
 Żadne ją dobro nie nęci stworzone  
 Bo wszelkie dobro z niej się wypromienia».

Jak bocian w gnieździe, gdy nakarmi dzieci,  
 Krąży nad gniazdem, nim na żer poleci,  
 I jak to pisklę, co pokarmem syte,  
 A jeszcze w niego trzyma oczy wryte,  
 Tak orzeł wisiał w powietrznej przeźroczy,  
 Tak ja ku niemu podnosiłem oczy.  
 Złożonym pierzem z dusz wielu powiewał,  
 Latając wkoło, tak do siebie śpiewał:  
 «Pieśń moja, ludzie, dla was niepojęta,  
 Jak ciemna dla was sprawiedliwość święta».

Potem te Ducha Świętego zapaly  
 Spoczęły w godle, które legiami  
 Rzymskimi niegdyś straszycie świat cały.  
 I orzeł tymi jął mówić słowami:  
 «Tym zakazana w to królestwo droga,  
 Co nie wierzyli w Chrystusa jak w Boga,  
 Przed wbiciem na krzyż i po zdjęciu z krzyża.  
 Wołając »Chryste!« wiele mu ubliża,  
 Lecz ci w dzień sądu staną przed nim dalej,  
 Jak ci, co nigdy Chrystusa nie znali.  
 Wtedy Etiop grzechem niezmazany  
 Przyjdzie potępić takie chrześcijany,  
 Dwa zbory pójdą na rozstajne drogi,  
 Jeden bogaty wiecznie, ten ubogi.  
 Co waszym królom powiedzą Persowie,  
 W chwili gdy ujrzą tę księgę otwartą,  
 W której tych króli głoską niezatartą  
 Każdy występki, zły czyn zapisany.

Tam ujrzą między Alberta czynami,  
Jak puści orła, co skrwawi szponami  
Królestwo Pragi i zmieni w pustkowie.  
Tam ujrzą boleść mieszkańców Sekwany,  
Gdy puszcza w obieg pieniądź fałszowany  
Król, który umrze raniony kłębem dzika.  
Tam ujrzą dumę Szkota i Anglika,  
Której za ciasne ich ziem pogranicze.  
Tam ujrzą króli, Czecha i Hiszpana,  
Których rozrzutność w przypowieść podana.  
Tam całe życie Chromego Karola  
Zawrą w dwóch znakach głoski tajemnicze,  
I znaczyć będzie jego dobroć, męstwo,  
A zaś *M* głoska tych cnót przeciwieństwo.  
Tam zapisana chciwość i zła wola  
Włodarza państwa przy ognistej Etnie,  
Kędy Anchizes kończył dni stuletnie:  
I aby dowieść, jak był mało wart,  
Życiorys jego przez skrócone słowa  
Księga zamyka w kilku wierszach karty.  
Księga ta pamięć haniebną przechowa  
Wuja i brata, przez których spodlony  
Lud niegdyś mężny spodlił dwie korony.  
Tam wśród norweskich i duńskich włodarzy  
Spotka Dalmatę, co w spółce lichwiarzy  
Fałszował ważne weneckie cekiny.  
Biedna Panonio, z twoich władców winy,  
Błoga Nawarro, jeśli cię od Franków  
Zasłonią góry tarczą skalnych blanków,  
Już ziemia Cypru z boleści wykrzyka,  
Skarżąc na rządy drapieżne Henryka;  
Dziki jak zwierzę, mściwy a zawzięty,  
Wspólne ma rysy z dzikimi bydłętą».

## Pieśń XX

Orzeł kończy mowę. Duchy śpiewają. Przemawia orzeł powtórnie i wymienia niektóre duchy: Dawida, Trajana, Hiskię, Konstantyna, Wilhelma, Ryfeusza. Dalsze pouczenia o błogosławieństwie niechrześcijan.

Gdy światło, które oświeca świat cały,  
Schodząc z półkuli naszej, dzień przetrawia,  
Niebo, co przezeń świeciło w dzień biały,  
Nagle wieczorną poświatę roznieci  
Przez wiele światel, w których jedno świeci;  
Taki stan nieba pamięć mi przedstawia,  
Gdy dziób swój godło zamknęło monarsze.  
Bo żywe światła miecąc blaski jarsze,  
Uroczę pieśni znów śpiewać poczęły,  
Które z pamięci mej jak sen wionęły.  
Z jakim gorącem, o miłości słodka,  
Płoniesz w tych światłach, wyblýskasz z ich środka,  
Skąd ich duch iskrzy świętymi myślami!  
Gdy szóstej gwiazdy te drogie kamienie  
Anielskich dzwoneków przerwały dzwonicie,



Zda się, słyszałem, szmer, łoskot strumyka,  
 Co jasne wody staczając skalami,  
 Świadczył dostatek źródła, skąd wynika.  
 Jak w szyi lutni dźwięk kształt swój odlewa,  
 Jak otworami wierzbowego drzewa  
 Wiatr wpadający całą fletnią śpiewa,  
 Tak nie czekając, wrzawa tonów taka  
 Zarazem w szyi zaszumiała ptaka,  
 Jakby ta była jak fletnia dziurawa.  
 I przez dziób jego wyszła głosu wrzawa  
 W kształcie słów takich, na jakie czekałem  
 Spragnionym sercem, gdzie je zapisałem.  
 Ptak mówił: — «We mnie ta część widząca,  
 Co w ziemskich orłach znosi promień słońca,  
 Chce, abyś sam jej przypatrzył się bliżej.  
 Patrz, z tyłu światła tej orlej budowy,  
 Te, co oczyma iskrzą z mojej głowy,  
 Na pierwszych szczeblach tu stoją najwyżej.  
 Patrz, ten co błyszczy w środku mej powieki,  
 Świętego Ducha piewcą był przed wieki,  
 Po miastach arkę obnosił przymierza,  
 Teraz tu wartość swych pieśni odmierza  
 Miarą nagrody i sam je ocenia  
 Wedle ich skutków i łaski natchnienia.  
 Z pięciu tworzących świetny łuk brwi mojej,  
 Ten, co najbliżej mego dzioba stoi,  
 Po stracie syna pocieszył żal wdowi,  
 Ile kosztuje, poznał z doświadczenia,  
 Niebieskich uciech, ziemskiego cierpienia,  
 Nie być z owczarni miłej Chrystusowi.  
 Patrz, ten, co świeci, gdzie brew łuk podnasza,  
 Szczerą pokutą wobec Izajasza,  
 Zwlekł na lat wiele swój kres ostateczny,  
 Wie, że sąd nigdy nie zmienia się wieczny,  
 Chociaż na ziemi modlitwa gorąca  
 Przemienia czasem zachód na wschód słońca.  
 Trzeci z kolei, którego w tym sława,  
 Że przeniósł na wschód mnie, orła, i prawa  
 Zły zbierał owoc z najlepszych zamiarów:  
 Samochcąc berło ustąpił Cezarów  
 Rzymskim pasterzom i sam stał się Grekiem,  
 Czuje, że nie jest dla niego szkodliwym  
 Zło wywołane sercem dobrotliwym,  
 Choć świat wstrząsnęło trzęsieniem dalekiem.  
 Ten, co na łuku pochyłości świeci,  
 Patrz, oto Wilhelm! Jako ojca dzieci,  
 Płacze go naród, którego zła dola  
 Skarży żyjących Frydryka, Karola;  
 Jak sprawiedliwy król w niebie kochany,  
 Widzisz po blasku, jakim jest odziany.  
 Któż by uwierzył tam na waszej ziemi,  
 Wśród tylu błędów, że zrodzony w Troi  
 Ryfeusz oto na łuku brwi mojej  
 Jest piątym między światłami świętymi  
 Lepiej on od was wie, co łaska boża,  
 Chociaż nie widzi jeszcze dna jej morza».  
 Skowronek śpiewa pod obłoki wzbity,

A potem nagle swój akord urywa,  
 Ostatniej nuty melodyją syty.  
 Takim zdał mi się wizerunek godła  
 Przedwiecznej woli, co z siebie wywiodła  
 Cały świat rzeczy, gdzie w danym zakresie,  
 Przez nią rzecz każda tym, czym jest, staje się.  
 Choć była widna moja myśl wątpliwa,  
 Jak przez szkło farba, którym się nakrywa,  
 Chciała milczenie przerwać niecierpliwa;  
 Z ust mych: «Co widzę, to dla mnie rzecz nowa!»  
 Własnym ciężarem wypadły te słowa,  
 Bo ja widziałem iskrami zapалу  
 Rozpromienioną radość nie po mału.  
 Błysnąwszy żywiej ze źrenic oboich,  
 Orzeł odpowiedź dał mi w okamgnieniu,  
 Snadź nie chciał dłużej trzymać mnie w zdumieniu.  
 «Wierzysz w te rzeczy na wiarę słów moich;  
 Jak ten, co umie rzecz zwać po imieniu,  
 Nie wie, co ona i dlaczego znaczy,  
 Jeśli kto drugi jej nie wytłumaczy.  
 Niebo modlitwy gwałtu nie odtrąca,  
 Żywa nadzieja i miłość gorąca  
 Nad wolą bożą zwycięstwo odnoszą;  
 Nie w sposób, jakim wre z mężem bój męża,  
 Ona zwyciężać daje się z rozkoszą,  
 A zwyciężona dobrocią zwycięża.  
 Pierwsza i piąta dusza na brwi mojej  
 Zadziwia ciebie, myśl twą niepokoi,  
 Jak mogły wstąpić w te anielskie szranki?  
 Wiedz, one z ciał swych wyszły nie poganki,  
 Jak mniemasz, ale z wiarą chrześcijanki:  
 Ta, że krzyżowa ofiara się zbliża,  
 Druga, że triumf wypełnił się krzyża.  
 Jedna piekielnych wystąpiła żarów,  
 Skąd nikt nie wraca do dobrych zamiarów,  
 W kość się i ciało ubrała z kolei,  
 Co było żywej zapłatą nadziei.  
 Żywej nadziei taka moc i siła,  
 Że wprost u Boga łaskę wymodliła,  
 Aby ją wskrzesić i wstrząsnąć jej wolę,  
 By mogła z siebie zdjąć grzechu niewolę.  
 Dusza ta wchodząc w ciała klatkę starą,  
 Krótko w niej żyła, oświecona wiarą,  
 Ogniem miłości i żądzą zasługi  
 Tak zapłonęła, że przy śmierci drugiej  
 Stała się godną tych niebieskich godów.  
 Druga, przez łaskę, co fontanną bije  
 Z tak głębokiego źródła, że niczyje  
 Oko nie zbada jego głębokości,  
 Całą swą miłość złożyła w prawości.  
 Dlatego Bóg ją jak po szczeblach schodów,  
 Wzniósł tak wysoko, skąd by jej spojrzenie  
 Przejrzało przyszłe nasze odkupienie.  
 Z wiarą gotując przyszłe drogi Pańskie,  
 Karciała błędy, skażenia pogańskie:  
 Trzy te niewiasty, których postać świętą  
 Przy prawym wozu oglądałeś kole,

Zamiast chrztu dobrą krzewiły w nim wolę,  
Na trzy tysiące lat nim chrzcic zaczęto.  
Któż zgadnie, kogo łaska uwiemożni?  
O ludzie! Bądźcie w swych sądach ostrożni,  
Gdy my, co stoim przed obliczem bożem,  
Wszystkich wybranych jeszcze znać nie możemy.  
Słodka jest dla nas niewiadość taka;  
Chcieć zgodnie z Bogiem stan jest arcysłodki».   
Takim lekarstwem święty obraz ptaka  
Leczył, oświecał, wzmacniał wzrok mój krótki.  
A jako biegle grający lutnista  
Za dźwiękiem struny wodzi głos śpiewaka,  
Skąd śpiewu nuta jest pełna i czysta;  
Tak, pomnę, orzeł gdy mówił z zapalem,  
Błogosławione dwa światła widziałem,  
Mrugając zgodnie jak oczu źrenice,  
Rzucały z dźwiękiem słów tych błyskawice.

## Pieśń XXI

7. Saturn: święci kontemplacyjnego życia. Duchy tworzą drabinę. Zakończenie materii o błogosławieństwie niechrześcijan. Damiani przemawia przeciw urągającemu z przykazań bożych wyższemu duchowieństwu.

Znów moje oczy, z nimi dusza cała  
Do mojej pani odwrócone były,  
Całą uwagę tylko w niej utkwily:  
Ona uroczo więcej się nie śmiała:  
«Gdybym uśmiechem błyszczącym za wiele  
Tu zaświeciła,» rzekła Beatryce:  
«Spłonąłbyś cały na proch jak Semele,  
Bo piękność moja w blask rośnie stopniami,  
Ile, coś widział w ciągu naszej jazdy,  
Wstępujem dworca wiecznymi schodami,  
Gdybym ci blasku jej nie złagodziła,  
Tu wystawiona na jej błyskawice  
Tak by zwietrzała twa śmiertelna siła  
Jak liść piorunem okruszony z drzewa.  
Jużeśmy przyszli aż do siódmej gwiazdy,  
Co pod lwa piersią swe żary zagrzewa,  
Które łagodząc z nim przyświeca ziemi.  
Myśl twoją ciskaj za oczyma twymi,  
A zrób zwierciadło z oczu dla obrazu,  
Co się w nich cały odbije do razu».   
O! Kto by wiedział, jak strzelistym okiem  
Błogosławionym pasłem się widokiem,  
W chwili gdy wzrok mój oderwałem od niej,  
Przyzna, że trudno być posłusznym godniej  
Pani, co wagą łaski nad swym sługą  
Równoważyła jedną rozkosz drugą.  
W planecie, który świat biegiem okola,  
Noszącym imię kochanego króla,  
Pod którym ziemskie zło jak trup zastygło.  
Widziałem długą drabinę, bez końca  
Z barwą pozłoty od promienia słońca,

Szczebli jej wyższych oko nie dościgło.  
 Widziałem światła po szczeblach schodzące,  
 Patrzac, myślałem, że z niebios zasłony  
 Zarazem światel wyblysło tysiące.  
 A jak z nałogu przyrodnego wrony,  
 Gdy świta ranek, skrzydłami trzepocą,  
 Grzejac nastygłe skrzydła chłodną nocą,  
 Jedne daleko lecą bez powrotu,  
 Drugie tam, skąd się zerwały do lotu,  
 Te w miejscu krążą; w takim ciągłym ruchu  
 Snuly się światła drabiną rozległą,  
 Nim każde szczebla pewnego dobiegło.  
 To, co na szczeblu najwyższym stanęło,  
 Tak promienisty blask rzucać poczęło,  
 Ażem rzekł w sobie: «Co ciebie natchnęło  
 Miłością, jaką objawiasz mi, duchu!»  
 Lecz ta, od której zależą rozkazu  
 Milczenie moje, głos mego wyrazu,  
 Milczała ciągle, ja pytać nie śmiałem.  
 Potem, gdy w moim milczeniu wyszedzi  
 Oczyma Tego, który wszystko widzi,  
 Chęć, co przez słowa objawić się wstydzi,  
 Rzekła: «Niech twoja żądza swym upałem  
 Sama stopnieje». Więc tak się ozwałem:  
 «Lubom nie godzien twojej odpowiedzi,  
 W imię tej, która mówić mi pozwala,  
 Szczęśliwa duszo! Z twej światłości środka,  
 Jaką radości skra w tobie zapala,  
 Mów, czy cię do mnie zbliża pociąg dzielny,  
 Mów, za co w raju melodyja słodka  
 Nagle w tej sferze swój akord urywa,  
 Gdy tak pobożnie niżej go wygrywa?»  
 «Ty masz podobnie słuch jak wzrok śmiertelny»  
 Odpowiedziała: — «tu nikt z nas nie śpiewa  
 Dla tej przyczyny, co i Beatryce  
 Kryje uśmiechu swego błyskawice.  
 Schodzę tak nisko świętymi szczeblami,  
 Aby ci duszę ugościć godami  
 Słowa i światła jakie mnie odziewa:  
 Schodzę, nie żebym kochała cię więcej,  
 Wzwyż tak kochają, a może goręcej,  
 Co świadczą światłem rzęsniejac bogatem;  
 Lecz miłość wielka, przez którą pobożnie  
 Służymy Woli rządzącej wszechświatem,  
 Nas, jako widzisz, umieszcza tu różnie.»  
 — «O święte światło!» rzekłem «Na tym dworze  
 Wiecznego króla widzę miłość wolna  
 Posługom niebios wystarczyć jest zdolna;  
 Lecz tego moja myśl pojąć nie może,  
 Dlaczego jedna ze współświatel grona  
 Na tę posługę byłaś przeznaczona?»  
 Jeszcze nie były słowa domówione,  
 Światło krążyło jak koło we młynie,  
 Miłość tak w jego mówiła średzinie:  
 «Tu światłość boża na mnie promień ciska,  
 Który przenika mych blasków zasłonę,  
 Moc jej i wzrok mój razem zespolone

Tak mnie podnoszą, że gdy wzrok wyteżę,  
 Arcytreść widzę, gdzie ta moc się leże.  
 Iskrę wesela, co ze mnie wyblyska,  
 Biorę, zapalam u tego ogniska,  
 Ponieważ jasność mych promieni żywa  
 Jasności wzroku mego dorównywa.  
 Duch, co najwięcej rozjaśnia się w niebie,  
 Seraf, co z wiedzą wielką i szeroką  
 Najwięcej w Bogu zagłębił swe oko,  
 Nie zaspokoi odpowiedzią ciebie,  
 Jeśli to, o co pytasz, tak zapada  
 W otchłań tajemnic, jak rzecz zakazana,  
 Której stworzony wzrok nigdy nie zbada.  
 Gdy cię powita twa ziemia kochana,  
 Odnieś to ludziom, aby nie ufali,  
 Że mogą sami w tym celu iść dalej.  
 Duch, dym na ziemi, tu zaś światło boże,  
 Czyż tam to mógłby, czego tu nie może,  
 Chociaż go niebo podniosło dość sporo?»  
 Tak mnie wstrzymała tych mądrych słów siła,  
 Żem przestał badać i tylko z pokorą  
 Świętej światłości spytałem: «Kto była?»  
 «Gdzie skały między dwoma Włoch brzegami  
 Tak wysokimi jeżą się garbami,  
 Że często chmura grzmi pod ich stopami;  
 Gdzie jest garb skały Katrija nazwany,  
 Klasztor daleko białym murem świeci,  
 Na cześć jednego Boga zbudowany».  
 Tak odpowiedział duch mi po raz trzeci,  
 I mówił dalej: — «Tam na służbie bożej  
 Tak się wzmocniłem, że choć chłód się sroży,  
 Upał doskwiera, brałem to za jedno,  
 Chleb mi z oliwą był strawą powszednią,  
 Wszystko z łagodnym znośiłem wytrwaniem,  
 Wesół i syty świętym rozmyślaniem.  
 Klasztor ten żyzną był dla niebios niwą,  
 Dziś daje szczupłe albo żadne żniwo.  
 W tym miejscu byłem, Piotr Damian na imię  
 Gdy drugi, Piotrem przezwany grzesznikiem,  
 Mieszkał w Rawennie, nad Adryjatykiem.  
 Już byłem ciężki wiekiem, gdy mi w Rzymie  
 Kazano w owym kapeluszu chodzić,  
 Co ze złych w gorsze zwykł ręce przechodzić.  
 Piotr, Paweł, oba chudzi, bosonodzy,  
 Żyli żebranym chlebem jak ubodzy;  
 Gdy teraz wasi pasterze współcześni,  
 Zwani duchowni, a w rzeczy cieleśni,  
 Tak sytych stołów zatyli rozkoszą,  
 Że ich pacholki z siedzenia podnoszą;  
 Gdy na koń siędą nie o swojej sile,  
 Koń stąpa cały zakryty purpurą,  
 Jakby z nim człowiek szedł pod jedną skórą;  
 O cierpliwości, co pobłażasz tyle!»  
 Na te jej słowa liczne światła boże  
 Do niej ze szczebli na szczeble zbiegały,  
 Iskrząc się piękniej za każdym obrotem;  
 A stając przy niej taki krzyk wydały,

Jaki się z niczym porównać nie może;  
I nic w tym krzyku nie słyszałem potem,  
Tak byłem jego zagłuszony grzmotem.

## Pieśń XXII

Przepowiednia zmian w kościele. Św. Benedykt. Skarga na zakon, klasztory i opactwa benedyktynów. Wyższy wzlot ku niebu gwiazd stałych, najpierw do konstelacji Bliźniąt, pod którą Dante się urodził. Dante spogląda wstecz na drogę przebytą i na ziemię.

Tym przerażony krzykiem niespodzianie,  
Na przewodniczkę spojrzałem z daleka,  
Jak małe dziecko, co się tam ucieka,  
Gdzie swe złożyło największe ufanie.  
Ona, jak matka ratująca syna,  
Gdy przed nią stoi błady, bez oddechu,  
Głosem, na który pierzcha dziecka trwoga,  
Rzekła: — «Czy nie wiesz, gdzie jesteś, dla Boga!  
Nie wiesz, że w niebie ucieczka jedyna  
I że to wszystko, co się w niebie święci,  
Wynika tylko z żywej dobra chęci?  
Jakżeby ciebie, pomyśl, przeobraził  
Śpiew światła bożych, blask mego uśmiechu,  
Gdy ich krzyk ciebie do tyła przeraził!  
Gdybyś w tym krzyku zgadł treść ich pacierza,  
Poznałbyś zemstę, jakiej z upragnionym  
Sercem, zaiste, doczekasz przed zgonem.  
Miecz z góry nigdy prędzej nie uderza,  
Ani leniwiej, gwoi tym, co mogą  
Wyglądać jego z pragnieniem lub trwogą.  
A teraz odwróć oczy w inną stronę,  
Obaczysz duchy w swych światłach zamknięte,  
Jeśli, jak mówię, zwrócisz wzrok ode mnie».  
Zwracając oczy, jak chciała, widziałem  
Ze sto sfer małych, co się gronem całem  
W promienie wspólne stroiły wzajemnie.  
Stałem podobny ostrożnej osobie,  
Co ukrywając ostrze żądz w sobie,  
Nie śmie z pytaniem wymknąć się nie w porę.  
Większa z tych pereł i najwięcej słodka  
Ciekawość moją ukość zstąpiła.  
«Gdybyś» głos taki przemówił z jej środka:  
«Mógł widzieć miłość, jaka tu w nas gore,  
Już by myśl twoja wyrażoną była,  
Gdybyś zbyt późno nie stanął u kresu,  
Który cię siłą pociąga magnesu,  
Wpierw pożądaną odpowiedź odbierzesz  
Na myśl, od której tak się pilno strzeżesz.  
Góra, na której dziś kasyno siedzi,  
Zwiedzana niegdyś od błędnej gawiedzi,  
Miała świątynie i zbory pogańskie;  
Pierwszy zaniosłem na nią imię Pańskie,  
Pierwszego prawdy wiekuistej posła,  
Co nas od ziemi tak wysoko wzniosła.

A promień łaski tak świecił nade mną,  
 Że z miast okólnych zdjąłem chmurę ciemną,  
 Mroczącą światłość tumanem pogaństwa,  
 Który świat zwodził wiarą oszukaństwa.  
 Patrz na tłum światel, jaki tu migoce,  
 Byli to ludzie o marności swojej  
 Rozmyślający, którzy w życiu całem  
 Zapłomieniali duch takim zapalem,  
 Co rodzi święte kwiaty i owoce.  
 Tu jest Romuald, tu są bracia moi,  
 Co się zamknęli po celach klasztornych,  
 I w nich serc strzegli stałych i pokornych».

A ja: — «Współczucie, jakie mówiąc do mnie,  
 Objawiasz w słowach, ta życzliwość szczerą  
 Widna we wszystkich światłach wokoło mnie,  
 Tak rozwinęły mą ufność, jak słońce  
 Rozwija różę, gdy swój kwiat otwiera,  
 Że błagam ciebie przez prośby gorące,  
 Jeśli w twej łasce tak wysoko stoję,  
 Pokaż odkryte mi oblicze twoje».

Duch na to: — «Żądz twoich otucha  
 W ostatniej sferze spełni się dla ducha,  
 Gdzie się spełniają i drugich, i moje.  
 Tam jest chęć każda doskonale cała,  
 Bo w tamtej sferze każda część jej ciała  
 Nieporuszona tkwi, gdzie zawsze stała;  
 Sfera bez miejsca ponad przestrzeniami  
 Stoi nie krążąc między biegunami,  
 Nasza drabina aż do niej dotyka,  
 Przeto zakryta oczom śmiertelnika.  
 We śnie ją Jakub patriarcha zoczył  
 Aż po wierzchołek, co się zaoblóczył,  
 Skroś obwieszoną gronami aniołów.  
 Dziś, by iść po niej, nikt z ziemskich padołów  
 Stopy nie ruszy, a moja reguła  
 Na to tam służy, aby papier psuła.  
 Klasztorne w lochy zmieniły się mury,  
 Worami stęchłej mąki są kaptury.  
 Najcieńsza lichwa nie tyle się sroży  
 W grzechowym buncie przeciw woli bożej,  
 Jak owoc bogactw, który serca mnisze  
 Jak jad oszala w łakomstwie i pysze.  
 Grosz, jaki Kościół na ziemi oszczędza,  
 Niech ma żebrząca w imię Boga nędza,  
 Nie, żeby po nim brali spadki sporsze,  
 Krewni, gamraty lub co jeszcze gorsze.  
 Mdłym ciałem waszym taka krewkość miota,  
 Że każda dobra ustawa zwietrzeje,  
 Nim dąb wyrośnie, a żołądź dojrzeje.  
 Piotr zaczął zawód bez srebra i złota,  
 Ja postem, ciąglą modlitwą w klasztorze:  
 Franciszka zakon stanął na pokorze.  
 Gdy zważysz, jakim z nas każdy siał ziarnem,  
 Przyznasz, że białe dziś stało się czarnem.  
 Jednak gdy słowo boże z nieba rzekło,  
 Cofnął się Jordan i morze uciekło,  
 Cud był dziwniejszy, niż gdy zobaczycie

Skuteczne leki na to nadużycie».
 To rzekłszy, światłość w światła się wmieszała,  
 Gromada światel w kłęb szyk swój ścisłała,  
 Potem jak wichur podniosła się cała.  
 Jednym skinieniem moja pani słodka  
 Po tej drabinie popchnęła mnie w górę,  
 Tak moc jej moją zwalczyła naturę.  
 Nigdy na ziemi gdzie wchodzi i schodzi,  
 Ruch nie zadziwi tak skorym obrotem,  
 Co by mógł z moim porównać się lotem.  
 Mów, czytelniku; bądźmy z sobą szczerzy,  
 Czy mnie ten triumf po raz drugi spotka?  
 Gdy wspomnę o nim, łzą oczy zachodzą,  
 Płacę mych grzechów i biję się w piersi.  
 A jak, zaprawdę, dosyć okamgnienia,  
 By wsadzić palec i wyjąć z płomienia,  
 Podobnie szybko stopą śmiertelnika  
 Wśród gwiazd stanąłem, co idą w ślad Byka.  
 O świetne gwiazdy! jakże blask wasz gore,  
 Z was to mój geniusz, jaki on jest, biorę;  
 Z wami wschodziło, z wami zachodziło  
 Światło, co nad mą kolebką świeciło,  
 Gdym tchnął raz pierwszy powietrzem tokańskim  
 Potem, gdym wstąpił za zrządzeniem Pańskim  
 Na drogę waszej kołującej jazdy,  
 Wyście mnie w siebie przyjęły, o gwiazdy!  
 A teraz do was wzdycha dusza moja,  
 Krzeczcie ją jako jej tarcza i zbroja  
 W trudnej a ciężkiej pielgrzymce po niebie,  
 Która ją całą pociąga do siebie.  
 «Kiedyś tak bliski» rzekła Beatryce,  
 «Kresu zbawienia, musisz twoje oko  
 Wyteńczyć przed się bystro i szeroko:  
 Lecz wpierw na chwilę opuść w dół źrenice,  
 Patrz, ile światel dałam pod twe stopy,  
 Abyś, o ile podobna, wespoły  
 Myśli i serce wesołe przedstawił  
 Tłumowi, który pod niebieskie stropy  
 Triumfujący leci i wesoły».

Wszystkie sfer siedem w bezmiernej przestrzeni  
 Wzrok mój przeglądał i nasz glob się jawił  
 Przy nich tak mały, tak lichy z wejrzenia,  
 Ażem się zaśmiał. Kto ten świat mniej ceni,  
 A myślą wzlata wciąż w Królestwo Boże,  
 Ten rzeczywiście dobrym zwać się może.  
 Zapłomieniony stał księżyc, widziałem  
 Pod cieniem, który dał powód wierzenia,  
 Żem go być mniemał zsiadło-ciekłym ciałem.  
 Tu znoszę wzrokiem, choć ogniście płonie,  
 Blask twego syna, o Hiperyjonie!  
 Widzę, jak krążą ku niemu zwrócone  
 W pobliżu jego Maja i Dijone.  
 Stamtąd mi błysnął Jowisz, skąd zaczyna  
 Łagodzić ojca płomienie i syna.  
 Wszystkie siedm planet, ich obrót po niebie,  
 Wielkość, ich względną odległość od siebie  
 Widziałem w jasnej powietrza przeźroczy:



Glob nasz, punkt mały wśród świata przestworza,  
Który tak w dumę wzbija nas na ziemi,  
Gdy z bliźniętami krążyłem wiecznemi,  
Pokazał mi się od gór aż do morza.  
Potem podniosłem wzrok na piękne oczy.

## Pieśń XXIII

Oddział drugi. W niebie gwiazd stałych, w kręgu róży i lilii, panny Marii z apostołami i Adamem. Wewnętrzne udoskonalenie Dantego. Okazują się Chrystus i Panna Maria.

Jak między liśćmi ptaszyna ukryta,  
Siedząc przy gnieździe ukochanych dzieci,  
Gdy noc świat siecią nakrywa ciemnoty,  
Ażeby widzieć swe drogie przedmioty  
I znaleźć pokarm, po który poleci  
Nakarmić siebie i głód swojej diatwy,  
(Trud wprowadzić miły dla niej lecz niełatwy,)  
Przez przeźroczy liści bez przerwy patrząca  
Z strzelistą żądzą oczekuje słońca,  
Śledzi oczyma, czy jutrzienka świta?  
Tak moja pani stojąc w miejsce wryta,  
Wyprostowana, obracała oczy  
W stronę, gdzie słońce powolniej się toczy,  
A tak ciekawie widząc ją patrzącą,  
Stałem się jak ten, co żądzą gorącą  
Czego innego chciałby i kolejną  
Niepokój żądz kołysze nadzieją.  
Lecz między moim czas oczekiwaniem  
Przeleciał chwilą, a światła łyskaniem,  
Jakim się większa część nieba oblekła.  
«Oto Chrystusa triumfu legiony  
I cały owoc» Beatrycze rzekła  
«Z obrotu sfer tych zarazem uszczkniony».  
I zdało mi się, z jej oczu, z jej liców  
Radość tryskała iskrami, płomieniem;  
Pomimo woli tu czuję potrzebę  
Zakryć blask tego obrazu milczeniem.  
Jak podczas pełni pogodnych księżyców  
Pośród nimf wiecznych uśmiecha się Febe  
Oświecających niebios okolice;  
Tak tam wzniesione nad światel tysiące,  
Widziałem, światła zapalało słońce  
Jak nasze niebios zapala pochodnie.  
I przez blask jego promiennej przeźroczy  
Żywą treść światła widziałem dowodnie;  
Rzekłem, załśnione opuszczając oczy,  
«Droga, o słodka moja Beatrycze!»  
A ona: — «Ciebie przytłoczył blask siły,  
Która się nie da złamać siłą drugą;  
W niej jest moc, mądrość, jakim równych nie ma,  
Co między niebem a ziemią tak długo  
Oczekiwane drogi otworzyły».  
Jak ogień kiedy wymyka się z chmury,

Polotu ognia chmura nie zatrzyma,  
 Spada na ziemię wbrew swojej natury,  
 Podobnie duch mój w takim wrażeń tłumie,  
 Rósł, stał się większym i wyszedł sam z siebie,  
 Lecz co z nim było, przypomnieć nie umie.  
 «Otwieraj oczy, patrz, czym jestem w niebie,  
 To, co widziałeś, siły ci użyczą  
 Znieść blask uśmiechu mojego oblicza».  
 Byłem jak człowiek, co ze snów objęcia  
 Zerwany, lube gdy wionie marzenie,  
 Chce zapomniane przypomnieć widzenie.  
 Słyszając ofiarę tak godną przyjęcia,  
 Która na jotę nigdy nie zwietrzeje  
 Z księgi, gdzie przeszłość wpisuje swe dzieje.  
 Gdyby tu wszystkich poetów języki  
 Muz, co najśłodszy wykarmione mlekiem,  
 Zaświergotały chórem jak słowiki,  
 Wtór mi trzymając, gdy echem dalekiem  
 Las rozwołują melodyją maju,  
 Jeszcze bym zwątpił, czy mi się poszczęści  
 Doścignąć prawdę w tysiącnej jej części,  
 Śpiewając święty uśmiech, blask jej twarzy.  
 Równie pieśń święta kreśląc obraz raju  
 Powinna skakać jak krok podróżnika,  
 Gdy na swej drodze zawadę spotyka.  
 Ale kto ciężar przedmiotu rozważy  
 I ramię, jakie dźwigając go, mdleje,  
 Przebaczy, jeśli pod nim się zachwieje.  
 Nie małej łódce krajać fal tych wały,  
 Po jakich buja tu mój okręt śmiały;  
 Nie żeglarzowi, który z niepogodą  
 Spotkać się boi, żeglować tą wodą.  
 — «Dlaczego w mojej twarzy twa żrenica  
 Tak się zatapia, do tyła zachwyca,  
 Że jej nie zwracasz na ten ogród chwały,  
 Która w promieniach Chrystusa rozkwita.  
 Tam kwitnie Róża, w której słowo boże  
 Stało się ciałem, tam wzrok twój powita  
 Białością śniegi wstydzące lilije,  
 Których woń wskazać dobre drogi może.  
 Tak Beatrycze, posłuszny jej słowu,  
 Wzrok mój do walki wyzywałem znowu:  
 Jak niegdyś okiem zakrytym cieniami,  
 Widziałem łąkę usłaną kwiatami,  
 Gdy się kryjomie i nagle przebiję  
 Promień słoneczny przez szczelinę chmury  
 Widziałem światła oświecone z góry,  
 Nie widząc źródeł, co ich blask roznieca  
 Łaskawa siła, która tak oświeca,  
 Tak się podniosła nad światła okolne,  
 Że moim oczom dała miejsce wolne  
 Widzieć, gdy patrzeć już nie były zdolne  
 Imię pięknego kwiatu, które zawsze  
 Modląc się wzywam rano i wieczorem,  
 Duch mój zwróciło na płomień jaskrawszy,  
 Największe między światłami świętymi;  
 A gdy mi dwoje ócz moich w prawdziwej

Piękności, obraz owej gwiazdy żywej  
 Odmalowały zgodnie z jego wzorem,  
 Z nieba zstąpiła światłość zaiskrzona,  
 Mająca formę koła jak korona,  
 Wieńcząc tę gwiazdę biegła wokoło niej.  
 Ta melodyja, jaka tu nam dzwoni  
 Najśłodszą nutą, co za serce chwyta,  
 Warknie jak chmura piorunem rozbita,  
 Z dźwiękiem tej boskiej porównana liry  
 Koronującej szafir nad szafiry,  
 Jakim najczystsze niebo błękitnieje.  
 «Jestem miłością, anielskim kochaniem,  
 Krążę wokoło z szybkością wirową  
 Wzniosłej radości poczętej z żywota,  
 Co był, jak świata wróżyły nadzieje,  
 Pożądanego naszego mieszkaniem.  
 I krążyć będę, o niebios królowo!  
 Póki za synem spieszysz z matki troską  
 W najwyższą sferę, która więcej boską  
 Stanie się przez cię, bo wchodzisz w jej wrota.»  
 Gdy melodyja zamilkła kolistą,  
 Już drugich światel rzesza promienista  
 Brzmiała wołaniem: «Maryjo przeczysta!»  
 Płaszcz ów królewski, co swoimi poły  
 Nakrył te sfery i sfer tych żywioły,  
 Co się ożywia i blaski swe mnoży,  
 O ile powiew poddyma go boży,  
 Wiał spodnią połą jeszcze tak wysoko,  
 Że tam, gdzie byłem, nie wpadał mi w oko.  
 Dlatego wzrok mój bezsilnym spojrzeniem  
 Za uwieńczonym nie zdążył płomieniem,  
 Który się wznosił za swoim nasieniem.  
 A jak niemowlę do piastunki swojej  
 Wyciąga ręce, gdy go pierś napoi,  
 I w znak podziękی wiesza się u szyi,  
 Każde z tych światel objętością całą  
 Wierzchołki blasków swoich przedłużało,  
 W dowód czułości wielkiej dla Maryi.  
 Potem stanęły, słodko jak anieli  
 Nucąc ów słodki śpiew: *Regina coeli*.  
 Pamięć tej nuty we mnie nie zaginie.  
 O! Jak skarb wielki złożony w te skrzynie  
 Takie bogate, co kiedyś na ziemi  
 Były ziarn bożych siewami dobremi.  
 Tam duch ucztuje w skarbach, które cnotą  
 I pobożnością zebrał przez wiek cały,  
 Które z wygnania swego z Babilonu,  
 Płacząc, przynosił, gdzie zostawił złoto.  
 Tam triumfuje męczeńskim wawrzynem,  
 Społem z Maryją i jej Bożym Synem,  
 Z ludem Starego, Nowego Zakonu  
 Piotr trzymający klucze od tej chwały.

## Pieśń XXIV

Ciąg dalszy. Św. Piotr poucza poetę o wierze. Wyznanie wiary poety.

«Pańskiej wieczerzy wybrana gromado,  
Którą baranek ugaszcza biesiadą,  
W sposób, że zawsze macie sytą wolę,  
Jeśli przez łaskę Boga on pożywa  
To, co z waszego stołu jemu spada,  
Jako przechodzeń na ziemskim padole;  
Rozważ, jak jego zapal jest bezmierny,  
Ochłódź go trochę, ty, co z tej cysterny,  
Bez dna i brzegów zawsze pijesz rada,  
Skąd, co on myśli, zaiste wypływa».  
Tak Beatrycze: a wesołe duchy,  
Na stałych osiach kołowymi ruchy  
Wirując szybko, stały się sferami,  
Na obraz komet rześniejąc ogniami.  
I jako koła w budowie zegarów  
Zdają się krążyć wedle swych rozmiarów,  
Gdy pierwsze stoi, ostatnie już leci,  
Sfer tych obrotu szybkość lub leniwość  
Kazały sądzić, jaka ich szczęśliwość!  
Oto ze sfery, co najpiękniej świeci,  
Widziałem, wyszło tak szczęśliwe płomie,  
Że wszystkie inne pobladły widomie:  
Płomie obeszło wkoło Beatrycy  
Trzy razy, jakby wieńcem błyskawicy,  
Z pieśnią tak boską, że jako niemowa  
W mej wyobraźni na to nie mam słowa;  
Dlatego pióro wysileniem dysze  
I skacze tylko, lecz o niej nie pisze;  
Bo wyobraźni naszej słabe skrzydło,  
Mdłą jest słów barwa na to malowidło.  
«O święta siostró! Głos twej prośby szczery  
Duch mój odrywa od tej pięknej sfery».  
Tak święty płomień z środka swego koła  
Obrócił oddech wprost do pani mojej,  
I tchnął te słowa, jako wyżej stoi.  
A ona: — «Światło wieczne apostoła,  
Któremu nasz Pan złożył kluczków brzemie  
Od tej radości, jaką zniósł na ziemię,  
Badaj go ściśle, on zdać sprawę gotów,  
Jak zechcesz, z lekkich czy ważnych przedmiotów  
Względnych do wiary, której moc i siła  
Ciebie po wodach wzburzonych wodziła.  
Jak wierzy, kocha, spodziewa się szczerze,  
Ty wiesz, bo wzrok twój w tym zwierciadle czyta,  
Gdzie się maluje rzecz każda odbita;  
Lecz w tym królestwie gdy w zaszczyt ubiera  
Obywatelstwa tylko wiara szczerza,  
Dobrze żeś przyszedł mówić mu o wierze.  
A jak bakałarz przez cześć ku mistrzowi  
Milczy, gdy mistrz mu zadaje pytanie,  
Nie wyrokuje, lecz przyzwala na nie;  
Tak się zbroilem w dowody i słowa,

Aby już była odpowiedź gotowa,  
 Kiedy spowiednik taki: «Mów!» przemówi.  
 «Mów, co jest wiara? Mów, chrześcijanie!»  
 Wtenczas podniosłem moje czoło śmiało  
 Ku światłu, skąd mi to słowo powiało:  
 Potem spojrzałem w oczy Beatrycy,  
 Ona znak dała skinieniem żrenicy,  
 Abym co prędeż w to święte naczynie  
 Lał wodę z mojej wewnętrznej krynicy.  
 «Niech mi da łaska, przez którą przychodzę»  
 Rzekłem «tu mówić z wielkim Naczelnikiem,  
 Myśl mą wysłować treściwym językiem,  
 Jakim nam pióro twego brata pisze,  
 Co z tobą złączył Rzym na dobrej drodze:  
 Wiara jest treścią rzeczy spodziewanych,  
 A zaś wywodem rzeczy niewidzianych.  
 To jej istota». Wtem głos posłyszałem:  
 «Twój sens dość prosty, bo z tego, co słyszę,  
 Widzę, pojmujesz, dlaczego on w treści  
 Najpierw, a potem w wywodzie ją mieści».  
 Nie myśląc długo, tak odpowiedziałem:  
 «Rzeczy głębokie tu widne na oko,  
 Tam są zakryte tak wielką pomroką,  
 Że ich byt stoi na jednym wierzeniu,  
 Na tym nadziei węgielnym kamieniu;  
 Stąd miejsce treści wiara zastępuje.  
 Innego światła nie mając stworzenie,  
 Rozumowaniem objaśnia wierzenie;  
 Stąd wywód w imię wiary rozumuje.»  
 Wtem usłyszałem: — «Gdyby mądrość wasza,  
 Co się nauką z ksiąg i ust ogłasza,  
 Była tak dobrze pojętą, tak czystą,  
 Rozum wasz nigdy nie byłby sofistą».  
 Duch tchnął te słowa z miłością strzelistą.  
 A potem dodał: «Próbę doskonałą  
 Wagi i ceny daleś tej monety,  
 Lecz powiedz szczerze, czy masz ją w swej kiesie?»  
 Ja na to: — «Mam ją tak świeżą i całą,  
 Że podejrzewać jej stępla nie chce się».  
 W kolei z światła powiał głos wymowny:  
 «Skąd ci się dostał klejnot tak kosztowny,  
 Zaród cnót wszystkich i do cnót podniety?»  
 A ja: — «Obfity deszcz świętego Ducha,  
 Co wezbranymi potokami płynie  
 Po starym i po nowym pergaminie  
 Jest sylogizmem dla mnie tak subtelnym,  
 Że wszystkie szermę językiem śmiertelnym  
 Jako wiatr szumią mimo mego ucha».  
 Głos mówił znowu: — «Gdy wiarą duchową  
 Czczysz obietnicę i starą, i nową,  
 Za co ją, powiedz, masz za boże słowo?»  
 A ja: — «Dowodem są dwa wielkie dzieła,  
 Których natura z siebie nie poczęła,  
 Dla których w ogień żelaza nie kładła  
 I nigdy młotem nie biła kowadła».  
 Odpowiedziano: — «Co świadczy, że żywa  
 Prawda z nich tryska, kto cię przekonywa?»

— «Gdyby świat Chrystus nawrócił bez cudów,»  
 Rzekłem «w tym jednym byłby cud dla ludów.  
 Gdy siałeś ziarno o głodzie i bosi,  
 Z niego winnica urosła bezmiernie,  
 Teraz, o zgrozo! Zamieniona w ciernie.»  
 Gdym zamilkł, święte ozwały się głosy:  
 «Boże jedyny! My chwalimy ciebie!»  
 Z tą melodyją, co się śpiewa w niebie.  
 Gdy tak Pan święty ze mną rozumował,  
 Z niższych na wyższe gałęzie szczeblował,  
 Ażeśmy doszli do wierzchołka drzewa.  
 I mówił: «Łaska, co twój duch zagrzewa,  
 Usta ci trzeźwą otworzyła mowę,  
 Potwierdzam myśli, co wyszły przez słowo;  
 Teraz wytłumacz, w co wierzysz, skąd błysło  
 To, na czym twoje wierzenie zawisło?»  
 — «O święty Ojcze! Dziś znasz z objawienia,  
 W coś wierzył silnie; kiedy jedna droga  
 Wiodła młodzieńca i ciebie, was obu,  
 Tyś młodsze nogi wyprzedził u grobu.  
 Chcesz, bym tu odkrył skład mego wierzenia,  
 Powiadam: wierzę w Jedyne Boga,  
 Który nie będąc poruszony wiecznością,  
 Porusza niebo żądzą i miłością.  
 W pomoc tej wierze ślą dowody liczne  
 Księgi fizyczne i metafizyczne,  
 I prawda, co stąd jako deszcz z obłoków  
 Dżdży przez Mojżesza, Psalmy i proroków,  
 Przez Ewangelię, przez twoje, o święty!  
 Pismo, gdyś duchem bożym był natchniony.  
 Wierzę w trzech osób Trójcę wiekuistą,  
 Wierzę w tak jedną treść ich i troistą,  
 Że znoszą w sobie *Sunt* i *Est* zarazem.  
 Tę tajemniczą, o czym tu jest mowa.  
 Naturę boską, z treści jej obrazem,  
 Kościół, bożego nauczaniem słowa  
 Zapieczętował w głębi mego ducha.  
 Oto zasada, iskra, która siebie  
 Rozciąga w płomień, płomieniem wybucha  
 I świeci we mnie jak gwiazda na niebie».  
 Jak pan z ust sługi słysząc wieść wesołą,  
 Gdy ten zamilknie, winszując jej sobie,  
 Oburącz sługę uściska na dobie;  
 Tak apostolska światłość, gdy skończyłem  
 Mówić, a z której rozkazu mówiłem,  
 Trzy razy nucąc, trzy razy znak dała  
 Błogosławieństwa, objęła mnie wkoło;  
 Tak się jej moja mowa podobała.

## Pieśń XXV

Ciąg dalszy. Poeta wspomina o swym dziele; wyraża nadzieję powrotu do Florencji i koronacji. Św. Jakub wypytuje poetę o nadziei chrześcijańskiej. Św. Jan zjawia się. Beatrycze na czas jakiś znika.

O! Jeśli kiedy dożyję dnia tego,  
 Że to poema święte, do którego  
 Niebo i ziemia przykładały rękę,  
 Nad którym ślęcząc, przez lat wiele schudłem,  
 Rozbroi srogość i dziką niewdziękę,  
 Co mnie wyłącza z tej pięknej owczarni,  
 Gdzie z dziecka spałem, baranek szczęśliwy,  
 Wróg wilków, co ją wojują bezkarnie,  
 Wrócę poeta, nad chrztu mego źródłem  
 Koroną z lauru wieńczyć włos już siwy:  
 Bo tam w dni moich przyjęła mnie progę  
 Wiara, co dusze daje poznać Bogu,  
 Dla której Piotr mnie tak objął dokoła.  
 I szła wprost ku nam światłość ze świeczników,  
 Z których zszedł do nas pierwszy z namiestników,  
 Którego Chrystus zostawił na ziemi.  
 A Pani moja mówiła wesoła:  
 «Patrz, oto święty! którego, wiesz z wieści,  
 Rojem pielgrzymów Galicyja cześci».  
 Gołąb z gołąbką gruchoty czułem  
 Wzajemną czułość wylewają z siebie,  
 Podobnie czule dwaj apostołowie  
 Jeden drugiego witał i w rozmowie  
 Chwalili pokarm żywiący ich w niebie.  
 Skończywszy mówić, do mnie się zbliżyli,  
 Tak płomieniejąc, aż wzrok mój razili.  
 «Duchu» z uśmiechem rzekła Beatryce,  
 «Ty, coś o naszej pisząc Bazylice,  
 Opowiedziałeś jej triumfu dzieje,  
 W tej wzniosłej sferze daj słyszeć nadzieję!  
 Bo każdą razą tyś ją wyobrażał,  
 Gdy Jezus trzech was w swym blasku przerażał».  
 — «Uspokój siebie, podnieś oczy śmiało,  
 W błogosławione tu duch wchodząc chóry,  
 Dojrzewa grzany naszych ogni żarem».  
 Taką pociechę drugie światło wiało:  
 Wtenczas podniosłem oczy na te góry,  
 Co przytłaczały mnie swoim ciężarem.  
 — «Ponieważ chce nasz Monarcha ze swej łaski,  
 Abyś przed śmiercią jego dworu blaski  
 Oglądał z jego pierwszymi dworzany,  
 Ażebyś widząc obraz nieklamany  
 Przepychu, jakim Jego dwór jaśnieje,  
 W sobie i drugich ośmielał nadzieję,  
 Mów, czym jest ona, skąd ci przyszła ona?  
 Mów, jak wykwita z głębi twego łona?»  
 Tak druga światłość jeszcze przemówiła.  
 A ta, co lot mój tak wysoko wzbila.  
 Odpowiedź moją sama uprzedziła:  
 «Wojującego żaden syn Kościoła  
 Odeń czuć więcej nadziei nie zdoła;  
 Jak na tym słońcu zapisano stoi,  
 Co nas ubiera w blask światłości swojej.  
 Przeto z Egiptu przyjść mu dozwolono,  
 Aby tu święte Jeruzalem witał,  
 Za życia, jeszcze przed służbą skończoną.  
 Dwa inne punkty, o któreś go pytał,

Nie, żeby wiedzieć, lecz abyś wyczytał  
 Z jego słów, ile ta cnota ci droga,  
 Niech sam objaśni; treść ich dosyć łatwa  
 Głowy mu próżną chlubą nie zagmatwa,  
 I niech przyzwoli na to łaska Boga».

Jak uczeń w szkole, gdy mistrz jego bada.  
 Wesół mistrzowi na to odpowiada,  
 Do czego długim ćwiczeniem się wprawiał,  
 Aby mu swoją zasługę objawił,  
 Rzekłem: — «Nadzieja jest oczekiwaniem  
 Przyszłej błogości, wiarą rzeczywistą  
 Wynikłą z łaski i zasług uprzednich;  
 Światłość ta z gwiazd mi wyblęśla niejednych;  
 Lecz pierwszy w serce wlał ją swym śpiewaniem  
 Wszechmocny śpiewak Wszechmocnego Pana.  
 »Cześć Imieniowi Twemu!« na kolana  
 Padając śpiewam rad w duchu z psalmistą,  
 »Kto z moją wiarą w tobie ma ufanie,  
 Komuż jest obce twoje imię, Panie!«  
 Deszcz jego z pism twych tak zalał mi duszę,  
 Że w drugich potop ten przelewać muszę».

Gdy to mówiłem, sferą ognia całą  
 Jak błyskawicą święte światło drżało;  
 Po chwili rzekło: — «Miłość dla tej cnoty,  
 Która szła ze mną w obozów namioty,  
 Aż do męczeństwa, na miecze i groty,  
 Którą ty kochasz, te ci słowa wieje;  
 Lubię, żeś taką pokochał nadzieję».

A ja: — «Z Pism Starych i Nowych jest droga  
 Dla dusz wskazana wybranych przez Boga,  
 Widzę ją jasno: wszak Izajasz mówi:  
 W ojczyźnie swojej każdemu duchowi  
 Przydane będzie dwoiste pokrycie;  
 Ojczyzną jego jest to wieczne życie.  
 Brat twój wyraźniej w księgach objawienia  
 O białych płaszczach i palmach nadmienia».

Ledwo zamilkłem, po chwili milczenia  
 Hymn *Sperent in te* słyszałem nad nami  
 Zawtórowany wszystkich sfer głosami;  
 Z wszech sfer wyblęśla światłość tak świecąca  
 Gdyby Rak mógł mieć taki odbłask słońca,  
 Miesiąc zimowy byłby dniem bez końca.

A jak dziewica wstaje bojaźliwa,  
 Idzie wesoła i w taniec się zrywa,  
 Ażeby tańcem uczcić pannę młodą,  
 Nie żeby w tańcu podnieść swą urodę,  
 Tak szła ta światłość z zarzewiem wesołym  
 Między dwa światła kręcące się kołem,  
 Jako przystało ich żywej miłości.

Światłość porwana w tych dwóch kół obroty  
 Godziła z nimi takt pieśni i nuty;  
 A moja Pani wobec tych światłości,  
 Jak w ślubnym wieńcu piękna narzeczona,  
 Stała milcząca i nieporuszona.

Po chwili rzekła: — «Patrz, to uczeń Pana,  
 Ten co naszego grzał pierś pelikana,  
 Którego z krzyża Bóg Syn upomina,



Aby Maryi zastąpił jej syna.»  
 I z tych światłości swych oczu nie zdjęła,  
 Potem, jak przedtem, nim mówić zaczęła.  
 Jak ten, co długo wzrok zatapia w słońcu,  
 Zmierzcha mu w oczach, nic nie widzi w końcu,  
 Wobec ostatniej światłości olśniałem.  
 Głos z niej przemówił: — «Dlaczego oczyma  
 Szukasz tu rzeczy takiej, której nie ma?  
 Wiedz, ciało moje jest ziemią na ziemi,  
 I takim będzie z ciałami innemi,  
 Aż liczba nasza złoży liczbę społem,  
 Wprzód zakreśloną wiecznym przeznaczeniem.  
 Dwa tylko światła z podwójnym odzieniem  
 Wzleciały w niebo w chwale i w pokorze  
 I tak się noszą w tym wiecznym klasztorze.  
 Na świecie waszym powtórz, co ja mówię».  
 Słyszając to, koło stanęło zdumione,  
 Z trzech światel, z dźwięku trzech głosów złożone.  
 Tak gdy chcą spocząć znużeni majtkowie  
 W chwili, gdy wodę wiosłem krajać mają,  
 Na świst piszczałki wszystkie wiosła stają.  
 Ach! Jakież w duszy wzruszenie przemogłem  
 W chwili, gdy oczy zwróciłem za siebie,  
 Chcąc Beatrycze widzieć i nie mogłem,  
 Choć byłem przy niej tak blisko i w niebie.

## Pieśń XXVI

Ciąg dalszy. Poeta ociemniał. Św. Jan wypytuje go o miłość. Wzrok poety wraca  
 mu się, widzi znowu Beatrycze, potem Adama. Rzecz o pobycie Adama w raju,  
 o jego zgrzeszeniu i mowie ludzkiej.  
 Podczas gdy m chwiał się, co bez wzroku zrobię,  
 Z płomienia, który ślepiący blask rzucił,  
 Głos wyszedł, na siebie uwagę mą zwrócił,  
 Mówiąc: — «Nim przejrzy wzrok twój ociemniały  
 W chwili, gdy we mnie zatopił się cały,  
 Mówieniem siebie pocieszaj w olśnieniu.  
 Mów, twoją duszę gdzie żądza unosi?  
 Wierz, wzrok się zbłąkał, lecz nie zamarł w tobie;  
 Bo przewodniczka twoja ma w spojrzeniu  
 Moc, jaką miała dłoń Ananijasa».  
 Rzekłem: — «Jak zechce, ona przyjdzie w porę  
 W pomoc mym oczom, które były drzwiami,  
 Gdy weszła z ogniem, jakim zawsze gore.  
 Dobro, ta radość dworu niebieskiego,  
 Jest wszechpism świata Alfą i Omegą,  
 Rozmaitymi pisanych głoskami,  
 Co miłość łatwo lub trudno mi czyta».  
 Ten głos, co ze mnie zdjął bojaźń ślepoty,  
 Mówić z nim dłużej dodał mi ochoty,  
 I rzekł: — «Szczyść siebie dnem gęstszego sita;  
 Musisz powiedzieć, łuk twój z celów wielu  
 Co skierowało do takiego celu?»  
 «Filozofia» rzekłem «i powaga,

Która stąd schodzi, tę miłość skrå z nieba  
 Zapala we mnie i płomień jej wzmagą.  
 Bo dobro, odkąd je pojmiem, jak trzeba,  
 Zapala miłość i żywiej przenika,  
 Im więcej w sobie dobroci zamyka.  
 Więc do tej treści, w czym znak jej dobroci,  
 Że wszelkie dobre, co zewnątrz jej błyska  
 Tylko promieniem jest od jej ogniska,  
 Niechaj z miłością wszelki duch się zwróci  
 Tego, w kim prawda objawia się szczerą,  
 Na zrębie której ten dowód się wspiera:  
 Tę prawdę odkrył memu rozumowi  
 Ten, który miłość, co serca porywa  
 Wszystkim co boskie, rad pierwszą nazywa:  
 Tę prawdę jeszcze dowodzą mi słowa  
 Prawdomównego Stwórcy, który mówi  
 W głos do Mojżesza, sam mówiąc o sobie:  
 »Najwyższe dobro ja pokażę tobie.«  
 Ty ją dowodzisz, pierwsza przed wszystkimi  
 O najwznioślejsza wieści heroldowa!  
 Skrytości nieba zwiastująca ziemi.  
 Słyszałem: — «W imię więc ziemskiej mądrości,  
 W imię powagi, która z nią jest w zgodzie,  
 Boga największą miłuj z twych miłości.  
 Lecz mów, czy czujesz inne struny w sobie,  
 Które ku Niemu ciągną cię w tej dobie,  
 Ilu ostrzami ta miłość cię bodzie?»  
 Z Chrystusowego orła zapowiedzi  
 Zgadłem, gdzie zwrócić chciał prąd mej spowiedzi,  
 Więc rzekłem: — «Wszystkie te ostrza, co mogą  
 Zwrócić ku Bogu tą czy inną drogą  
 Zmysły i serce, jakby się zmówiły,  
 W jedno ognisko miłość mą roztlili.  
 Byt świata, byt mój, ofiara krzyżowa  
 Tego, co umarł, abym w duchu ożył,  
 Nadzieja, w czym ją każdy wierny złożył,  
 I ziemska mądrość, o czym była mowa,  
 Wyrwawszy z morza miłości fałszywej  
 Mnie postawiły na brzegu prawdziwej.  
 Lubię ja kwiaty, jakie tu zamyka  
 Wiekuistego ogród ogrodnika,  
 Ile on więcej im dobra udziela».  
 Gdym zamilkł, w niebie zabrzmiał hymn wesela  
 I mojej Pani głos chórem objęty  
 Śpiewał z drugimi: «Święty! święty! święty!».  
 Jak gdy się budzim na światło rażące  
 Zmysłem widzenia, co bieży bez przerwy  
 Spotykać światło przez wszystkie ócz nerwy,  
 Półsenni patrzym z bojaźnią dokoła  
 Póty, nim trwoga sąd w pomoc przywoła,  
 Tak z oczu moich opadła pomroka,  
 Żegnana blaskiem Beatrycze oka,  
 Co świecił dalej, jak na mil tysiące.  
 Wtedy me oczy jak ze snu przetarte  
 Przejrzały nagle: na pół osłupiały  
 Pytałem: — «Oprócz światel, co tu stały,  
 Jakie tu widzę, powiedz, światło czwarte?»

«Patrz, pierwsza dusza, jaką pierwsza siła»  
 Tak Pani rzekła «w ziemski proch wcieliła,  
 Z środka promieni, co jej blask roznoszą.  
 Na swego Stwórcę pogląda z rozkoszą».  
 Jak w przejściu wiatru zgina się wierzch drzewa,  
 A potem wstaje i prosty powiewa,  
 Gdy to mówiła, dałem pokłon czołem,  
 A potem żądzą mówienia zagrzany,  
 Prostując czoło, tak mówić zacząłem:  
 «Owocu, jeden dojrzałym wydany!  
 Ojczy, któremu, co kobietą zową  
 Każda jest razem córką i synową,  
 Jeśli cię prośba nakłoni, jak wnoszę,  
 O! przemów do mnie, najpobożniej proszę,  
 Widzisz chęć moją, lecz o niej nie mówię,  
 Chcąc prędzej w twoim lubować się słowie».  
 Jak zwierzę, gdy go wewnątrz co porusza,  
 Zdradza przez skórę, tak ta pierwsza dusza  
 Przez światło, które ją w sobie spowiło,  
 Zdradziła, jak jej ze mną mówić miło!  
 I rzekła: — «Chociaż chęci twej przede mną  
 Sam nie wyrażasz, znam jej myśl tajemną,  
 Jak ty rzecz, która dla cię nie jest ciemną;  
 Bo ją zwierciadło w mych oczach odbiło,  
 Które odbija rzeczy rozmaite,  
 A nie jest w żadnej zupełnie odbite.  
 Chcesz wiedzieć, Bóg mnie od kiedy umieścił  
 W ogrodzie wzniosłym, gdzie ta, co zagrzewa  
 Twój duch, natchnęła ciebie siłą nową,  
 Żeś mógł szczeblować tak długą drabiną,  
 I przez czas, jaki jam oczy me pieścił  
 Wielkiego gniewu prawdziwą przyczyną,  
 Słuch mój przeze mnie utworzoną mową?  
 Synu, nie owoc skosztowany z drzewa  
 Był w tobie źródłem długiego wygnania,  
 Lecz przekroczenie tylko przykazania.  
 Tam, skąd Wirgili na rozkaz twej Pani  
 Wodził po górze ciebie i otchłani,  
 Cztery tysiące trzysta i dwa roki  
 Czekałem nieba w tęsknocie głębokiej,  
 A zaś na ziemi w znoju i w boleści  
 Słońce naliczyłem dziewięćset trzydzieści.  
 Język mój wygasł, nim lud Nemrodowy  
 Zrąb nieskończonej założył budowy,  
 Bo nie był żaden skutek rozumowy  
 Trwałym na zawsze; tak chciały wyroki!  
 Z powodu woli człowieka ruchomej,  
 Którą przemienia wpływ niebios widomy.  
 Człowiek myśl musi wyrażać przez słowo;  
 Ale czy mówi tą, czy inną mową,  
 Powód jest tego w natury sekrecie,  
 Która pozwala robić wam, co chcecie.  
 Nim w piekło z kłutwą wstąpiłem tułacza,  
 Najwyższe dobro zwano *El* na ziemi.,  
 Skąd biorę światło, jakie mnie otacza;  
 Potem go *Eli* zwano uroczyście;  
 Bowiem zwyczaję między śmiertelnymi

Są krótkotrwałe jak na drzewie liście,  
Gdy stary żółknie, zieleni się młody.  
Góra najwyżej wzniesiona nad wody  
Widziała, jak ja z winą i bez winy  
Mieszkałem na niej od pierwszej godziny  
Aż do godziny siódmej, kiedy słońce  
Z drugiej swej kwadry widzimy zstępujące».

## Pieśń XXVII

8. Hymn pochwalny rajski. Skarga św. Piotra na rządy papieskie, przepowiednia mściciela. Św. Piotr znika. 9. Ku niebu kryształowemu, *Primum Mobile*, i siedzibie aniołów. Beatrycze mówi o przewrocie porządku i ogólnym zwyrodnieniu świata współczesnego. Powtórna zapowiedź zbawcy.

«Ojcu, Synowi i Duchowi chwała!»  
Śpiewał raj cały, pieśń co to śpiewała  
Tak była słodka, że mnie upajała.  
Zda się, widziałem tam uśmiech wszechświata,  
Bo upojenia mego szal uroczy  
Wchodził zarazem przez słuch i przez oczy.  
O! Wesołości wielka i bogata.  
O! Życie w miłość i pokój obfite,  
Bogactwo wiecznie bez żądz i syte!  
Cztery pochodnie płonęły bez przerwy  
Stojąc przede mną, ta, co przyszła pierwej,  
Poczęła iskrzyć, a żar jej był taki,  
Jak gdyby gwiazdy Marsa i Jowisza  
Przeobrażone niespodzianie w ptaki  
Nawzajem swoje zamieniały pierze.  
Opatrzność sama zajęta w tej sferze  
I obowiązków, i czasów wydziałem,  
Błogosławionych pieśniom w niebie całem  
Kazała milczeć i stała się cisza,  
Gdy posłyszałem: — «Że się blask mój mieni,  
Nie dziw się temu, w ciągu mowy mojej  
Każde z tych światel tak się zaczerwieni.  
On co na ziemi sam na imię swoje  
Przywłaszczył miejsce, miejsce, miejsce moje,  
Które, o zgrozo! niezajęte stoi  
Przed Synem Bożym! On z mego cmentarza  
Zrobił kałużę z krwi i nieczystoty,  
Co dla strąconej stąd w otchłań istoty  
Tam ukorzonej ból pychy umarza».  
Wtenczas widziałem oba nieba końce  
Przyobleczone w blask ognia tak ostry,  
Jakim w poranek i wieczorem słońce  
Naprzeciw siebie maluje obłoki.  
Jak piękność znana ze skromności wysokiej  
Pewną jest siebie, a jednak żrenice  
Spuszcza, słuchając o błędzie swej siostry,  
Tak się mieniła z wstydu Beatrycze,  
Takie być mogło w niebie przemienienie,  
Gdy się spełniało krzyżowe cierpienie.  
Potem tak mówił, lecz głos swój tak zmienił,

Więc tak jak światło, gdy je zaczerwienił:  
 «Oblubienica Chrystusa skąpana  
 W krwi mojej, Lina i Kleta nie na to,  
 A żeby złoto było jej zapłatą,  
 Lecz raczej życia błogość wiekuista  
 Syksta, Kaliksta, Piusa, Urbana,  
 Których ze łzami krew lała się czysta.  
 Nie taki cel był mojego zamiaru,  
 Aby lud boży przy mojej stolicy  
 Stał po prawicy, a ten po lewicy;  
 Ażeby klucz mój był godłem sztandaru,  
 Pod którym krew się chrześcijańska leje;  
 Ażebym stał się pieczęci odciskiem,  
 Kłamne lub kupne zdobić przywileje,  
 Co widząc, często wstydem czerwienieję.  
 Żarłoczne wilki pod suknią pasterza  
 Snują się każdym znęcone pastwiskiem;  
 Boże! Dlaczego twój piorun tak drzymie?  
 Chciwiec z Kahorsu, chępliwy Gaskoniec  
 Już pić krew naszą nie żartem zamierza;  
 Piękny początku, zły będzie twój koniec  
 Ale Opatrzność, która ze Scypionem  
 Broniła niegdyś chwałę świata w Rzymie,  
 Przyjdzie mu w pomoc, w co wierzę z zapalem!  
 Synu, gdy w świat twój jako ciężki ciałem  
 Wrócisz, otwieraj usta, niech kto żyje  
 Słucha, a nie kryj, czego ja nie kryję.»  
 A jak z powietrza kędzierzawym szronem  
 Paździerzą śniegi miękko spadające,  
 Gdy Koziorożec bodzie rogiem słońce;  
 Podobnie eter, na cośmy patrzyli,  
 Tymi świętymi paździerzyl światłami,  
 Które się były zatrzymały z nami,  
 Aż od ich iskier mżył deszcz srebrno-złoty;  
 Wzrok mój ich kształty pościgał dopóty,  
 Aż mu odległość wzbronila iść dalej.  
 Dlatego Pani aż dotąd milcząca,  
 Widząc, że wyżej już patrzeć przestałem,  
 Rzekła: «Spuść oczy, a zmierz byстрым wzrokiem  
 Łuk, jakiś przebiegł po niebie szerokiem».  
 Od chwili, skąd tam pierwszy raz spojrzałem  
 Spostrzegłem, żem łuk południowy słońca  
 Przebiegł od jego środka aż do końca;  
 I tak patrzyłem oczyma bystreimi,  
 Że za Kadyksem opodał widziałem  
 Twój nieroztropny przechód, Ulissesie  
 I brzeg, na którym, jak wieść stara niesie,  
 Piękną Europę porwał byk na rogi.  
 Jeszcze bym odkrył dalszy ten kąt ziemi,  
 Lecz słońce nisko szło pod moje rogi,  
 Już o znak jeden odległe i więcej.  
 Duch mój wciąż w mojej zakochany Pani,  
 A zawsze na nią poglądać ochoczy,  
 Wtenczas, jak nigdy zapragnął goręcej  
 Wzrok mój skierować, aby spoczął na niej.  
 Jeśli natura i sztuka ma sidło,  
 Na które łowi duszę nam przez oczy

Żyjąca piękność lub jej malowidło,  
 Złączone z sobą zgasną przy uroku  
 Boskiej rozkoszy, o, któż ją wymarzy?  
 Gdy wzrok zatopił w uśmiechu jej twarzy.  
 A siła, jaką czerpałem z jej wzroku,  
 Od gniazda Ledy porwała mnie lotem,  
 W sferę krążącą najszybszym obrotem.  
 Części tej sfery tak są jednolice,  
 Tak równie szybko okręca się cała,  
 Że nie opowiem, którą z nich wybrała  
 Na miejsce dla mnie moja Beatryce.  
 Ona, co dobrze chęć moją widziała,  
 Zaczęła mówić, tak rada, szczęśliwa,  
 Uśmiech tak boskim blaskiem ją tęczywał,  
 Jakby w jej twarzy Bóg się rozradował.  
 — «Natura biegu, co w środku spoczywa,  
 A wszystko rusza i ruchu używa,  
 Stąd się poczyną, z swego pogranicza.  
 Duch boży zajął tej sfery przestrzenie,  
 Od niego miłość zapala płomienie,  
 Co ją porusza, i moc, co z niej spływa.  
 Światło i miłość obeszły ją kołem,  
 Jak ona inne opasuje społem;  
 A taki okrąg, on co go buduje,  
 Jak zbudowany sam jeden pojmuję.  
 Nieoznaczony bieg jej kołowrotu,  
 Choć sam jest miarą innych sfer obrotu,  
 Równie jak stoi znak liczby dziesiątej  
 Na swej połowie i swej części piątej.  
 Teraz sam pojmiesz, że czas rzeczywiście  
 Z tej urny rostek, z drugich puszcza liście.  
 Jak ty głęboko w sobie, o chciwości!  
 Pograżasz ludzi, że ich myśl nie wzleci  
 Ponad wzburzone wód twych głębokości.  
 Wola w człowieku bogato się kwieci,  
 Lecz nieustanny deszcz kwiat chorobliwy  
 Wyradza w płaszczyki, nie w prawdziwe śliwy.  
 Wiare, niewinność napotkasz u dzieci,  
 Lecz ledwo puch im jagody powleka,  
 Jedna za drugą w ślad od nich ucieka.  
 Ten, gdy szczeniocy dziecinnymi usty,  
 Pości, bo jego pobożność jest szczera,  
 Niech no rozwiąże język jak w zapusty,  
 W każdym miesiącu w karmi nie przebiera.  
 Małe z kolebki szczeniocy dziatki,  
 Kochają matkę i słuchają matki,  
 Lecz gdy szermują mową wyuczoną,  
 Chciałyby widzieć matkę pogrzebioną.  
 Tak się przemienia piękna słońca córą,  
 Z początku biała czernieje jej skóra.  
 Nie dziwo, nikt dziś na ziemi nie rządzi,  
 Przeto z dróg swoich człowieczeństwo błądzi:  
 Lecz nim wyskoczy cały styczeń z zimy,  
 Przez setną częśćkę, jakiej nie liczymy,  
 Sfery w ten sposób obróć się światu,  
 Kto gdzie tył widział, ujrzy przód okrętu,

Flaga już prosta wypłynie z odmetu,  
Prawdziwy owoc dojrzeje wam z kwiatu».

## Pieśń XXVIII

9. W niebie kryształowym. Stosunek świata aniołów i świata cielesnego. Pouczenie o hierarchii aniołów.

Gdy nędzę obecnych prawdę mi odkryła,  
Do jakich ludzie nieszczęśliwi przyszli,  
Ta, która duch mój tak blisko wrażli,  
Jak gdy w zwierciadle kto postrzeże z dala  
Pochodnię, która za nim się zapala,

Wprzód nim ją ujrzy lub o niej pomyśli,  
Wzrok za się zwraca, nie wierząc wzrokowi,  
Ażeby widzieć, czy szkło prawdę mówi,  
I widzi, że te światła, co się dwoją,  
Zgodne są z sobą jak pieśń z nutą swoją;  
Podobnie, ile pamięć moja sięga,  
Zrobiłem w piękne spoglądając oczy,  
Skąd miłość w pierwszy swój węzeł uroczy  
Mnie usidlili; i gdy się obrócił  
Spojrzeć za siebie wkoło niebokręga,  
Co patrzącego wzrok za każdym razem  
Swej bezmierności zadziwia obrazem,  
Tam punkt widziałem, który blask wyrzucił,  
Blask, co powiekę słabą śmiertelnika  
Pali swym ostrzem, a paląc zamyka.  
Najmniejsza gwiazda świecąca z wysoka,  
Wydałaby się jak księżyc dla oka,  
Stojąc tuż przy nim, jak przy gwiazdach gwiazdy.  
Ile w mgle może wydać się odległym  
Światło od koła, w które się oplata,  
Równie odległy od punktu spostrzegłem  
Krąg ognia, który swym szybkim obrotem  
Mógłby prześcignąć bieg najszybszej jazdy  
Obiegającej naokoło świata.  
Krąg był otoczony drugim kołowrotem,  
A drugi trzecim, krąg czwarty i piąty  
Otaczał szósty, nad którymi społem  
Krąg siódmy śmigał tak szerokim kołem,  
Że tego kręgu posłanka Junony  
Nie objęłaby swoimi ramiony.  
W kolej krąg ósmy otaczał dziewiąty  
A ruch wolniejszy był kręgu każdego,  
Względnie do liczby, pod jaką bieg jego  
Kołował dalej od kręgu pierwszego.  
Najodleglejszy krąg od iskry czystej  
Miał blask i promień więcej przeźroczysty,  
Snadź się najwięcej do niej porównywa.  
A moja Pani widząc, jaka chmura  
Gwałtownej troski nade mną ciążyła,  
«Od tego punktu», tak do mnie mówiła:  
«Zależą niebo i cała natura!

Patrz, krąg najbliższy jaki wir porywa,  
 Wiedz, że przyczyną tak szybkich obrotów  
 Jest miłość, jaką pędzi zaogniony».

Ja do niej: «Gdyby świat był urządzony  
 Na obraz ruchu, co toczy te koła,  
 Na tym wykładzie przestać byłbym gotów.  
 Lecz gdy przeciwnie, w świecie dotykającym  
 Ruch coraz większy w sferach jest widzialny,  
 Im dalej krążą od swojego środka,  
 Jeśli swój kres tu moja żądza spotka  
 W tej anielskiej budowie kościoła,  
 Który w krąg miłość i światło otacza,  
 Naucz, dlaczego nie jeden kierunek  
 Obrął dla siebie wzór i wizerunek?  
 Bo nie mam na to sam w sobie tłumacza».

— «Jeśli» mówiła «w sieci tego węzła  
 Tak niedołącznie twoja dłoń uwieźła,  
 Nic w tym dziwnego, bo ten węzeł święty  
 Tak się zawiązał, aby był nietknięty».

A potem rzekła: «Nakłoń na to ucha,  
 Co ja ci powiem; jeśli chcesz być sytym,  
 Zaostrzaj na tym myśl twojego ducha.  
 Kręgi ciał widzisz z kształtem rozmaitym,  
 Większe i mniejsze, stosownie do siły,  
 Jaka wstąpiła w ich nerwy i żyły.  
 Z większego światła większy promień wschodzi,  
 Większa zasługa większe dobro rodzi  
 I większe dobro mają większe ciała,  
 Gdy treść ich części równie doskonała.  
 Więc krąg ten, który najchyżej kołuje,  
 Przez podobieństwo temu odpowiada,  
 Który najwięcej kocha i pojmuje,  
 Tak mierząc siłę, nie tylko rozciągłość  
 Istot mających w twych oczach okrągłość,  
 Dziwny stosunek wyśledzi myśl rada  
 Sfer między sobą spojonych łańcuchem  
 Wielkich z małymi i z ich arcyruchem».

A jak półkula wyjaśnia się nasza,  
 Gdy tchnie łagodny wiatr z ust Boreasza,  
 Niebo się czystym zaciąga obłokiem,  
 Śmiejąc się do nas całym swym urokiem;  
 Tak jej odpowiedź jasna błąd rozprasza  
 I prawda, wzrok mój zwracając na siebie,  
 Dała się widzieć jak gwiazda na niebie.  
 A gdy zamilkła, kręgi jak żarami  
 Grzane żelazo trysnęły iskrami,  
 A każda iskra w wzajemnym uścisku  
 Tworzyła iskrę większego połysku.  
 Iskier tych liczba rosła nieskończenie,  
 Jako warcabne kostki przez mnożenie:  
 Z chóru do chóru Hosannę słyszałem,  
 Aż do stałego punktu, który całem  
 Kołem tych chórów wedle woli swojej  
 Rządzi, że każde gdzie stało, tam stoi.  
 A ona widząc w mym duchu zwątpienie,  
 Rzekła: «W tych pierwszych kręgach ile zdążą  
 Same Serafy i Cheruby krążą,



Za swym pociągiem tak im lecieć błogo,  
 By się porównać z punktem, ile mogą,  
 I mogą wedle oka, co spojrzenie  
 Wyteża silniej z większej wysokości.  
 Drugie wkoło nich krążące miłości  
 Wzroku bożego zowią się tronami,  
 Bo w nich się pierwsza troistość zamyka.  
 Wiedz, że ich radość o tyle jest żywa,  
 Ile się mogą wyteżyć oczami,  
 O ile wzrok ich zapada i wnika  
 W prawdę, gdzie cała wszechmądrość spoczywa.  
 Z tego wnieść możesz, że szczęśliwość nasza  
 Czynem widzenia tylko się podnasza  
 A nie miłości, ta po nim jest drugą.  
 Skala widzenia jest jakby zasługą,  
 Której przez łaskę dobra wola dopnie;  
 Tak tu wstępują ze stopni na stopnie.  
 Druga troistość wschodząca w tej wiośnie,  
 Której majowej jak szmaragd zieleni  
 Nie ściemnia noce przedłuższe jesieni,  
 Śpiewa Hosannę bez przerwy radośnie,  
 Trzema nutami, których ton wypada  
 Ze trzech porządków, z jakich się tam składa.  
 W tej hierarchii są naprzód mocarstwa,  
 Potem potęgi, na końcu włodarstwa,  
 A w przedostatnich dwóch kręgach wespóły  
 Kołują same księstwa, archanioły,  
 W ostatnim gry są i uczty anielskie.  
 Wzrok tych porządków, blask z góry odstrzela  
 I między ludzi skarb światła rozdziela  
 Jak między dzieci dobra rodzicielskie:  
 Tak pociągana natura ich błoga:  
 Ku Bogu, wszystko pociąga do Boga.  
 A duch widzący Areopagity  
 Tak się zagłębił w te niebios zaszczyty,  
 Że wszystkie nazwał, jak ja, po imieniu.  
 Choć odeń Grzegorz w świętym zachwyceniu  
 Inaczej widział, lecz zaledwo w niebie  
 Otworzył oczy, zaśmiał się sam z siebie.  
 Nie dziw, że człowiek mógł przed żyjącymi  
 Prawdę tak skrytą objawić na ziemi,  
 Bo ten, co w niebie dostał do niej klucza,  
 O wielu prawdach podobnych poucza».

## Pieśń XXIX

Ciąg dalszy i koniec pouczenia o aniołach. Skargi na przewrotną filozofię, przekraczanie Pisma Świętego itp.  
 Kiedy z Latony zrodzone bliźnięta  
 Poza Barana i Wagi znakami  
 Widnokrąg wspólnym pasem opromienia,  
 Ile trwa chwila, gdzie je równoważy  
 Zenit, nim z sobą półsfery zamienia,  
 Patrzyła, milcząc, przewodniczka święta

W punkt, który wzrok mój zwyciężył blaskami,  
 A potem rzekła z uśmiechem na twarzy:  
 «Co chcesz usłyszeć, nie pytając ciebie  
 Powiem, bo chęć twą ja widziałam w niebie,  
 Tam gdzie, jak z ziarna wschodząca roślina,  
 Wszelkie się *Ubi* i *Quando* zaczyna,  
 Nie żeby podnieść swoją doskonałość,  
 Co być nie może, lecz by jej wspaniałość,  
 W światłości, jaka ją jak płaszcz odziała,  
 »Ja jestem, który jestem« powiedziała,  
 Miłość poczęła siebie w swej wieczności,  
 Bez czasu, miejsca, tak jak się jej zdało,  
 I dziewięć stopni stworzyła miłości.  
 Nie, żeby wpierw jej ziarno próżnowało,  
 Bo wpierw, przed czasem mierzonym latami,  
 Duch się unosił boży nad wodami.  
 Złączone forma z materią, czyste  
 Wyszły poczęte w doskonałym czynie,  
 Jak łuk trójstronny wyrzuca trzy strzały.  
 A jak w kryształ, we szkło i w bursztynie,  
 Promień odbija przez tło przeźroczyste,  
 Bez przerwy schodząc stamtąd, gdzie jest cały;  
 Równie ten skutek trójkształtny zaiste,  
 Od swego Stwórcy wyszedł jednolity,  
 W zasadzie swojej bez żadnej różnicy.  
 Wtedy stworzony był i zbudowany  
 Stopień tych istot, Bóg zaś je postawił  
 Najwyżej jakby wierzch, koronę świata.  
 W których się czysty arcyzyn przejawiał:  
 Najniższe miejsce materia trzyma;  
 Lecz w środku formę z materią splata  
 Węzeł, co nigdy nie jest rozwiązany.  
 Wprawdzie aniołów wedle Hieronima  
 Bóg naprzód stworzył i prąd wieków długi  
 Upłynął, zanim utworzył świat drugi:  
 Ale ta prawda nie tak zapisana  
 W księgach natchnionych Duchem świętym Pana,  
 Widną jest, kto by głębokość ich zbrodził.  
 Sam by wasz rozum na to się nie zgodził,  
 Aby te czynu bezpośrednie siły  
 Tak długo same bezczynnymi były.  
 Gdzie, jak i kiedy te miłości święte  
 Stworzone były, masz tu wywód cały,  
 Razem twej żądz studzisz trzy zapaly.  
 Tak szybko w myśli nie zliczysz dwadzieścia  
 Jak ze stworzonych część jedna aniołów  
 Zawieruszyła ład waszych żywiołów.  
 Część druga wiernie dotrwała w swej cześci;  
 Z jaką rozkoszą dzieło rozpoczęte  
 Ciągłe prowadzą, sam ich bieg dowodzi,  
 Co kołowrotem nieustannym chodzi.  
 Pierwszy strąciła duch przekłeta pycha  
 Tego coś widział, jak zdeptany w pysze  
 Pod ciężarami światów ledwo dysze.  
 Część, którą widzisz tutaj, była cicha,  
 Uznała Dobroć, co ich w swej miłości  
 Do tak wysokich wzniosła pojętności.

Wzrok ich wzmocniła siłą doskonałą  
 Oświecająca Łaska i zasługa,  
 Przeto ich wola jest pełną i stałą.  
 Uwierz na pewno jak pokorny sługa,  
 Że zasłużoną łaskę ten odbiera,  
 O ile serce kto dla niej otwiera.  
 Sam teraz poznasz bez cudzej podpory,  
 Jeśliś mnie pojął, te anielskie chóry.  
 Lecz gdy na ziemi błąd po waszych szkołach  
 Ogłasza błędny wykład o aniołach,  
 Że chcieć, pojmować i pamiętać mogą,  
 Jeszcze sprostuję w tobie sąd opaczny,  
 Mroczący prawdę przez wykład dwuznaczny.  
 Duchom tym oczy tak zatapiać błogo  
 W obrazie bożym, że wzroku ni razu  
 Nie oderwały od tego obrazu,  
 Przed którym żadna rzecz nie jest zakryta.  
 Oczu ich przedmiot nowy nie odrywa,  
 Myśl ich na różne cele nierozbita,  
 Wewnętrzna ducha jednością szczęśliwa  
 Nie potrzebuje władzy przypomnienia.  
 U was w czuwaniu roją się marzenia,  
 Ten wierzy, drugi bez wiary słuchacza  
 Słucha, lecz pierwszy najczęściej wykracza.  
 Filozofując na ziemi myśl wasza  
 Bez drogi idzie nowotnymi tory,  
 Tak was namiętność pozoru unosi.  
 Winę tę z mniejszą grozą widzą z góry,  
 Niż kiedy Pismo Święte kto odrzuca  
 Lub je wykładem krzywym zbałamuca.  
 U was nie myślą, co krwi kosztowało  
 Nasieniem jego zasiać ziemię całą,  
 Jak błogo w życiu z nim chodzić pokornie;  
 Każdy nowością chce błyszczeć pozornie,  
 Szermuje szumną kaznodzieja mową,  
 Ewangeliczne zagłuszając słowo.  
 Ten mówi: jako przed męką krzyżową  
 Cofnął się księżyc i stał przeciw słońcu,  
 Aż noc świat cały zaćmiła na końcu.  
 Wedle drugiego tekstu kaznodziei,  
 Światło się samo schowało ze drżeniem  
 I noc nakryła powszechnym zaćmieniem  
 Indów, Hiszpanów, jak było w Judei.  
 Ileż to bajek w rok spada z ambony!  
 A biedne owce, aż żal serce ściska,  
 Wiatrem karmione wracają z pastwiska.  
 Chrystus śląc uczniów na wsze świata strony,  
 Nie mówił: idźcie i każcie swe baję,  
 Lecz za tekst słowa prawdę im podaje,  
 Którą tak silnie grzmieli jego uczniu,  
 Aże starczyła w ich walkach za wiarę  
 Ewangelia za tarcze i włócznie.  
 Dziś idą kazać jakieś baję stare,  
 Które ktoś ledwo wpisałby do fraszek,  
 Gmin daje poklask, kaptur się nadyma.  
 Lecz gdyby wiedzieć gmin mógł, jaki ptaszek  
 Gniazdo uściela pod fałdą kaptura,

Może innymi widziałby oczyma  
Wartość odpustów spadłych z kazalnicy;  
Lecz łatwowierna człowieka natura  
Z wiarą lgnie na lep każdej obietnicy;  
Czym wieprz świętego Antoniego tyje  
I gorsi wieprzów, co za wiarę żywą  
Płacą monetą, bez stępla fałszywą.  
Długie zboczenie ciebie z toru zbije,  
Na prostą ścieżkę chciej twe oczy zwrócić,  
Aby zarazem czas i drogę skrócić.  
Liczba aniołów w nieskończoność sięga,  
Korzy się przed nią liczebna potęga;  
Nadmienia o niej Danijela księga  
Krociem tysięcy w zadumienie wprawia,  
Jednak dokładnej liczby nie objawia.  
Punkt arcyświatła, co oświeca z góry  
Wszystkie aniołów i duchów natury,  
Treść ich przenika w stopniu rozmaitym,  
Ile się łączy z ich blaskiem odbitym.  
A jak uczucie z ogniska natchnienia  
Różnie się w oczach waszych rozpromienia,  
Słodycz miłości jak światło pochodni  
Iskrzy w aniołach, to świeci łagodniej.  
Zważ, jak bogata władza nieśmiertelna,  
Która zwierciadeł tyle dla się stwarza  
A w nich swój obraz bez końca rozmnaża,  
A w sobie jedna jest i niepodzielna».

## Pieśń XXX

Oddział trzeci. 10) *Empireum*, właściwe niebo, siedziba błogosławionych i Boga samego. Aniołowie dziewiętej sfery znikają. Światło Beatrycze. Okrągły prąd światła; róża niebiańska; miejsce Henryka VII; upadek Klemensa V.

Stąd w domniemanej przez myśl odległości  
Na sześć tysięcy mil szósta godzina  
Płonęła w ogniu, a cień padał prościej  
Na tamtej sferze, prawie prostopadły:  
Gdy środek niebios nad nami widniejszy  
Staje się takim, że gwiazd promień zbladły  
W ich głębokościach już tonąć zaczyna;  
A niebo z przyjściem słońca służebnicy  
Zagasza gwiazdy aż do najpiękniejszej;  
Podobnie z wolna gasł ten triumf święty  
Grać i kołować bez przerwy nawykły  
W krąg punktu, który pełen tajemnicy,  
W ten, co zamyka, zda się, był zamknięty.  
Przeto żal światel, co zarazem znikły,  
I miłość moja mnie zwrócić zmusiły  
Stęsknione oczy znów do Beatrycy.  
Gdyby tu wszystkie (gdzież taka wymowa!),  
Jakie mówiłem dotąd o niej słowa,  
W jedną pochwałę razem się złączyły,  
Na ten raz jeszcze byłaby za małą.  
Widziałem piękność jej tak doskonałą,

Że tylko może ten, co piękność daje,  
 Jeden jej Stwórca pojmować ją całą.  
 Tu słabość nuty mej pieśni wyznaję,  
 Jak dramatyczny pisarz wśród polotu  
 Myśli nierównej z wzniosłością przedmiotu.  
 A jak powiekę, im więcej jest drżąca,  
 Morduje słońce, tak samo wspomnienie  
 Słodkich uśmiechów duch mój w letarg wtrąca.  
 Odkąd ją naprzód ujrzałem wśród nieba,  
 Po to ostatnie tak wzniosłe widzenie,  
 Pieśń nieurwana brzmiała ciągłą nutą,  
 Tu piękność mojej Pani śpiewająca  
 Czuje, że stanąć w pół akordu trzeba;  
 Tak sztukmistrz rzuca pędzel albo dłuto,  
 Czując ostatnie sztuki wysilenie.  
 I taka, jak ją zostawiam opiewać  
 Lutni większego ode mnie poety,  
 Gdy z moją, jako podróżny do mety,  
 Śpieszę co prędzej pieśń trudną dośpiewać,  
 Z powagą do mnie rzekła uroczystą:  
 «Jużeśmy weszli, cześć Bogu i chwała,  
 Od ciał niebieskich z największego ciała  
 Do nieba, które jest światłością czystą:  
 Światło miłości pełne i duchowe,  
 Miłość, co prawdy rozświeca oblicze,  
 Radość, co wszelkie przechodzi słodycze.  
 Tu ujrzysz raj u dwóch pułki bojowe;  
 Jednego błysnie w twoich oczach szata,  
 W jakiej go ujrzysz sam na sądzie świata».  
 Jak błyskawica nagle wzrok rozrywa,  
 Władzę sądenia odejmując oku  
 Bliskich przedmiotów, jak o nocnym zmroku,  
 Tak mnie objęła wkoło światłość żywa,  
 Tak w swego blasku zasłonę spowiła,  
 Że mi widzenie wszech rzeczy zakryła.  
 «Miłość w tym niebie każdego przychodnia  
 Wesół wita, gdy wchodzi z gotowym  
 Sercem zapłonąć zbawieniem duchowym,  
 Jak zdolna przyjąć swój płomień pochodnia».  
 To Beatrycze krótkie przemówienie  
 Nad moje siły mój zapal podniosło,  
 Czulem, jak we mnie sił pocucie rosło  
 I we mnie taki zatliło wzrok nowy,  
 Żem mógł światłości wytrzymać promienie.  
 I światłość w kształcie rzeki kryształowej  
 Płynęła, błyszcząc pomiędzy brzegami  
 Odzierzganymi pierwiosnków kwiatami;  
 Z tej rzeki światła tryskając iskrami,  
 Z żywym na kwiaty spadały migotem,  
 Jako rubiny oprawując złotem.  
 Światła tych kwiatów upojone wonią,  
 Tonęły potem pod cudowną tonią,  
 Na przemian tonąc, to wschodząc spod fali.  
 «Wysoka żądza, co teraz cię pali,  
 Aby, co widzisz z dala, poznać bliżej,  
 Tym milsza dla mnie, im cię wznosi wyżej,  
 Lecz w pierw pragnienie zgaś w tych fal przeźroczu».

Tak mi mówiło słońce moich oczu,  
 Dodając jeszcze: «Rzeka i topazy,  
 Co toną w wodzie i wschodzą nad wodę,  
 Kwiaty ziejące wonie tak przyjemne,  
 Są to zwiastunki prawdy, jej obrazy.  
 Rzeczy te same w sobie nie są ciemne.  
 Lecz błąd jest w tobie, który mimo całej  
 Żądzę widzenia nie patrzy dość śmiało».  
 Dziecko nie prędeż na mleczną jagodę  
 Matczynej piersi z chciwością się rzuca,  
 Jeśli za późno ze snu się ocuca,  
 Jak się schylił do wód z pełną cześcią,  
 Co duch rzeźwiącą umacniają treścią,  
 Chcąc lepsze zrobić z mych oczu zwierciadła,  
 Ledwo je rzęsa musnęła powieka,  
 Z długiej okrągłą wydała się rzeka:  
 Jak ci, od których lic maska odpadła,  
 Zdają się inne mieć barwy i szaty,  
 Gdy zrzucą z siebie kłamane pozory,  
 Tak swój kształt iskry zmieniły i kwiaty,  
 Ażem w nich postrzegł dwa niebieskie dwory.  
 Światłości boża! Przez którą patrzyłem  
 Na triumf prawdy w jej królestwie całym,  
 Daj moc powiedzieć tak, jak ją widziałem.  
 Tam wznwyż jest światło, które Stworzyciela  
 Czyni widomym każdemu stworzeniu,  
 A duch z pokojem tonie w tym widzeniu,  
 Światło to krąg swój rozszerza bez końca,  
 Pas za szeroki na objęcie słońca  
 Od tego światła tylko się odstrzela  
 Promień widomie na tej pierwszej sferze,  
 Co zeń swe życie i potęgę bierze.  
 A jak w nadbrzeżnych przegląda się wodach  
 Zielony wzgórek, rad z swojej postawy  
 Strojnej w rozliczne i kwiaty, i trawy,  
 Tak zawieszone wkoło nad tą rzeką  
 Wszystkie te dusze, co z naszego świata  
 Tam powróciły, po tysiącnych schodach  
 W jej przeźroczy złotą patrzyły powieką.  
 Gdy niższych szczebli światłość tak bogata,  
 Jakże, zaiste, ona w górze płuży,  
 W najwyższych liściach tej niebieskiej róży  
 Wzrok mój nie zbłądził w róży głębokości,  
 Ilość i jakość objął jej światłości.  
 Tam niknie miara przestrzeni powszednich,  
 Skala przedmiotów dalszych i zbliżonych,  
 Bo gdzie Bóg rządzi bez wpływów pośrednich,  
 Tam i ustaje moc praw przyrodzonych.  
 Natenczas w złote serce róży wiecznej,  
 Rozwitej w blasku światłości słonecznej,  
 Co wonią pochwał wciąż dysze do słońca,  
 Jako przyczyny swej wiosny bez końca,  
 Wzrok mój zwróciły Beatrycze słowa.  
 Gdy pragnąc mówić, stałem jak niemowa,  
 Tak przemówiła do mnie niespodzianie:  
 «Patrz, co za wielkie białych gwiazd zebranie!  
 Patrz, nasze miasto, ta arka przymierza,

Jak tu swój obwód bez końca rozszerza;  
Patrz schody nasze jak pełne wybranych,  
Do których dziś jest tak mało wezwanych.  
Patrz, na tym szczeblu, nad którym zwieszona  
Wzrok twój pociąga Cezarów korona,  
Wpierw nim ucztować przyjdiesz na te gody,  
Zasiądzie dusza wielkiego Henryka.  
On ziemie włoskie chciał zmienić w ogrody,  
Podnieść ich żyzność, ale praca marna,  
Ziemia płodnego nie przyjęła ziarna;  
Bo ślepa chciwość wam rozum odbiera,  
Jak upór dziecku, co ust nie przytyka  
Do piersi matki, a z głodu przymiera.  
Wobec Henryka na bożym urzędzie  
Wróg jego jawny i skryty zasiądzie.  
Jakże ich obu różna ziemską droga!  
Gdy się pierwszemu cześć świata należy,  
Ten wkrótce po nim, któż swą przyszłość zgadnie?  
Z świętej stolicy strącony przez Boga  
Aż tam, gdzie Szymon czarnoksiężnik leży,  
Niżej pasterza z Anagni upadnie.

## Pieśń XXXI

Ciąg dalszy. Beatrycze zniknęła i zajęła miejsce w róży niebiańskiej. Pożegnanie.

Św. Bernard. Królowa niebios.

Tak pod figurą cudnie białej róży  
Pokazał mi się pierwszy zastęp święty,  
Który w triumfie został wniebowzięty  
Przez krew, co wylał zań Baranek Boży.  
Drugi, co widzi, latając, i śpiewa  
Chwałę, cześć Tego, który go zagrzewa  
Miłością swoją, a przez swą szczodrość  
Wzniósł tak wysoko! Jako pszczelna rzesza,  
Co biorąc miody po kwiatach się wiesza  
I wraca w ulach snuć wonną robotę,  
Zapadał w różę strojną w piękne liście,  
To stamtąd znowu zrywał się w tę stronę,  
Gdzie jego miłość mieszka wiekuiście:  
Twarze ich płomień żywy, skrzydła złote,  
A reszta kształtów tak świeciła biało,  
Że z nimi śniegi porównać za mało.  
Duchy zlatując w tej róży koronę,  
Miotaly skrzydła i nabytym w górze  
Wiały pokojem i ogniem na różę:  
Jednak ta rzesza ciągle latająca  
W górę to na dół, od kwiatu do słońca,  
Nie zakrywała patrzącemu oku  
Okolicznego blasku i widoku;  
Bo światłość boska świat z końca do końca  
Przenika w miarę, ile jej jest godnym,  
Niehamowana wypadkiem przygodnym.  
Błogie, bezpieczne to królestwo całe,  
Starym i nowym ludem zamieszkałe,

Wzrok swój i miłość w jeden punkt utkwilo.  
 Ty w jednej gwieździe, co świecisz zaiste  
 Na rozkosz duchów, o światło troiste!  
 Jeśli im patrzeć na ciebie tak miło,  
 Spójrz na ziemię, jaka burza nasza!  
 Jeśli przybyły z tej strony lud dziki,  
 Gdzie ciągle w krąg się Helice unasza,  
 Z czułą jak matka miłością, tęsknotą,  
 Za swoim synem, polarnym Beotą,  
 Patrząc na Róme, jej wielkie pomniki,  
 Zdrętwiał, osłupiał dziwem niespodzianem,  
 Wtenczas gdy klękał świat przed Lateranem;  
 Ja, com przechodził bez tchu i popasu  
 Z ziemskiego w boskie, do wieczności czasu,  
 Od florentynów gwaru i hałasu  
 Do rozumnego i cichego ludu,  
 Nie dziw, że wzruszon dziwem i zapałem  
 Nie chcąc nic słyszeć i mówić, milczałem.  
 Pielgrzym, gdzie doznał łask niebieskich cudu,  
 Pilnie kościoła rozpatruje mury,  
 By zapamiętał, jakiej jest struktury,  
 I opowiedział drugim z przypomnienia.  
 Podobnie patrząc w to niebo wesoło,  
 Przeprowadzałem po nim me spojrzenia  
 I najwyraźniej widziałem oblicza,  
 Z jakich wybłyska miłość tajemnicza,  
 A wszystkie światłem oświecone z góry  
 I swym uśmiechem; kształt rajy ogólny  
 Wzrok mój ogarnął, ale nie był zdolny  
 W żadną część spojrzeć źrenicą utkwioną.  
 Wtem się zwróciłem z żądzą odrodzoną  
 Do mojej Pani, by w moim zwątpieniu  
 Nazwała rzeczy te po ich imieniu.  
 I wtem, o dziwo! zamiast Beatrycy  
 Widziałem starca kształt, wdzięk jego ruchów,  
 Na podobieństwo był niebieskich duchów,  
 Święte wesele pałało w źrenicy,  
 Twarz mu powaga ze słodyczą stroi,  
 Jako czulemu ojcowi przystoi.  
 «Mów, gdzie jest ona?» pytam niecierpliwy.  
 «Z mego siedzenia» rzekł starzec sędziwy  
 «Od Beatrycze przychodzę, jej goniec,  
 Aby twej żądz wskazać kres i koniec.  
 Spójrz, gdzie najwyżej kołuje krąg trzeci,  
 Tam ją zobaczysz, jak na tronie świeci,  
 Gdzie posadzona jest własną zasługą».  
 Podniosłem oczy, nie czekając długo,  
 I zobaczyłem siedzącą na tronie,  
 W odbijającej blask wieczny koronie.  
 Im wyżej piorun grzmi wśród chmur przestworza,  
 Odeń wzrok ludzki nie jest tak odległy  
 W chwili, gdy tonie w głębokości morza,  
 Jak ją daleko oczy me postrzegły:  
 Mimo odległość, obraz Beatrycy  
 Jak promień słońca zszedł do mej źrenicy.  
 «O Pani! w której żyję przez nadzieję,  
 Ty, co przez łaskę, ażeby mnie zbawić,



Raczyłaś w piekle swe ślady zostawić,  
 Jeśli widziałem tyle nowych rzeczy,  
 Winienem twojej dobroci, twej pieczy;  
 Duch mój przez ciebie, czuję, jak męźnieje.  
 Tyś mnie wywiodła na wolność z niewoli  
 Przez wszystkie środki twej mocy i woli,  
 Chciej szczodrośliwość twą zachować we mnie,  
 By uzdrowiony przez ciebie po ciemnie  
 Duch mój nie zbłądził i tu miał mieszkanie,  
 Gdy chorym ciałem zasną na skonanie».  
 Tak się modliłem: ona, co się zdała  
 Być tak daleko, wdzięcznie się rozśmiała,  
 Spojrzawszy na mnie, a potem powiodła  
 Oczy w górę, do wiecznego źródła.  
 A święty starzec: «Abyś dróg zawilość  
 Skracając, dobiegł kresu twej podróży,  
 Mnie tu posłały modlitwa i miłość.  
 Pociągnij okiem przez ten ogród boży,  
 On wzrok twój wzmocni tyle, aż wysoko  
 Pod boży promień wyteżysz twe oko.  
 Królowa niebios, do której się żarzy  
 Duch mój miłością, tę łaskę ci zdarzy.  
 Wierz mi, bo jestem jej wiernym Bernardem!»  
 Kiedy oglądać szedł Kroata dziki  
 Z twarzą Chrystusa chustkę Weroniki,  
 Patrząc, łzę rzewną błysnął w oku twardem,  
 A patrząc, mówił sam w myśli: «O Chryste!  
 Takieś tve rysy były rzeczywiste?»  
 Podobnie w sercu dziwiłem się moim  
 Żywej miłości, przez jaką ten święty  
 Na ziemi żył już niebieskim pokojem.  
 «Ten, synu łaski, byt błogosławiony»  
 Mówił mi «będzie dla cię niepojęty  
 Dopóki trzymasz wzrok na dół spuszczone;  
 Lecz przebież okiem te kręgi bezmierne  
 Wyżej, aż ujrzysz stolicę Królowej,  
 Której królestwo uległe i wierne».  
 Podniosłem oczy, jak w brzask porankowy  
 Wschodnia część nieba w żywszym ogniu brodzi,  
 Świetniejsza od tej, gdzie słońce zachodzi.  
 Tak idąc ciągle, jak stopa pielgrzyma  
 Idzie pod górę, moimi oczyma,  
 Na krańcu kręgów widziałem punkt koła,  
 Któremu światło w pobliżu i z dala  
 Z tych kręgów żadne dorównać nie zdoła.  
 Jak tam, gdzie kolej wozu zatoczona  
 Kierowanego źle przez Faetona,  
 Gwiazdy blednieją, a wschód się zapala,  
 Równie ta flaga pokoju utkwiona  
 Błyszczała w środku, gasząc z każdej strony  
 Blask innych światel jej blaskiem przyćmiony.  
 W tym środku pułkiem tysięcznym anieli  
 Z rozpostartymi skrzydłami, weseli,  
 W krąg przeciągali kolumną ściśniętą,  
 Jakby święcili swej królowej święto.  
 Widziałem, jak się piękność uśmiechała  
 Do gier i piosen na cześć jej poczętych,

Ta radość oczu wszystkich innych świętych.  
Gdybym miał środki w słowach choć po trosze  
Oddać, co roi wyobraźnia śmiała,  
Słów by zabrakło na takie rozkosze!  
Bernard utkwione widząc moje oczy  
Z uwagą w przedmiot jego żądz uroczy,  
Wzrok swój tam zwrócił z tak wielkim zapalem,  
Że na nią moim płomiennie patrzałem.

## Pieśń XXXII

Ciąg dalszy. Św. Bernard objaśnia szczegóły róży niebiańskiej.  
Cały przedmiotem swej żądz zajęty,  
Sam urząd mistrza dowolnie wziął na się  
I począł mówić w te słowa ten święty  
«U stóp Maryi, co ranę zgoiła,  
A którą jątrząc z bólem otworzyła,  
Siedzi niewiasta w pełnej wdzięku krasie  
A niżej od niej, na trzecim siedzeniu  
Siedzą pospołu Rachel z Beatrycą,  
Sara, Judyta z prababką psalmisty  
Co w skrusze wołał: *Miserere mei!*  
Z tronu na trony w dół schodząc żrenicą,  
Możesz je widzieć, gdy ja po kolei  
Szczecblując na wierzch róży wiekuiestej,  
Każdy jej listek nazwę po imieniu,  
W dół do siódmego stopnia, jako z góry  
Do tegoż stopnia, izraelskie córki  
Zajęły wszystkie tego kwiatu liście.  
Bo te niewiasty wedle wzroku siły,  
Z jaką swą wiarę w Chrystusie utkwily,  
Są murem, który w znak ducha nagrody  
Przegroził różę na te święte schody.  
Gdzie kwiat jej liściem najgęściej odziany,  
Tworzą tych schodów gęstolistne ściany  
Ci, co w Chrystusa uwierzyli przyjsie;  
Po drugiej stronie, gdzie kwiatu korona  
Świeci przerwami jakby wyszczerbiona,  
Siedzą ci tylko, co na ziemi w chwili,  
Gdy Chrystus przyszedł, wzrok nań obrócili.  
A jak z tej strony tron niebieskiej Pani  
O całą przestrzeń najgłębszej otchłani  
Od innych tronów dzieli wielki przedział,  
Naprzeciw siedzi, patrz, wielki Jan Chrzciciel,  
Który, nim zstąpił do piekła Zbawiciel,  
Tam nań czekając przez dwa roki siedział;  
Pod nim z zamiarem nowy przedział tworzą  
Trzy najświeńsze duchowe potęgi,  
I inni z kregów zstępując na kregi.  
A więc podziwiał tu Opatrzność Bożą,  
Bo tu duch każdy doświadczonej wiary,  
Wyznawcy nowej zarówno jak starej,  
Tego ogrodu mogą być kwiatami.  
Wiedz, że od stopnia, co te dwa przedziały

W środku przerzyna linią tak długą,  
 Do najniższego orszak duchów cały,  
 Nie swoją własną, lecz drugich zasługą,  
 I pod pewnymi siedzi warunkami.  
 Dusze te z swojej śmiertelnej powłoki  
 Za wcześniej wzbily tu swój lot wysoki,  
 Wprzód nim prawdziwą mogły wybrać wiarę:  
 Łatwo je poznasz po ich kształcie innym,  
 Po drobnej twarzy, po głosie dziecinnym,  
 Gdy wzrok tam zwrócisz lub nakłonisz ucha,  
 Teraz ty milczysz, wątpiąc w głębi ducha,  
 Lecz ja duszące z ciebie zdejmę węzły,  
 W jakie twe myśli badawcze uwięzły.  
 Tu chęci mają swą wagę i miarę:  
 Wiedz, że tym państwem ślepy traf nie włada,  
 Bo w cichym prawu wiecznemu poddaństwie,  
 Wszystko do miejsca swojego w tym państwie  
 Ściśle jak pierścień do palca przypada.  
 Dlatego z pieluch te dusze szczęśliwe  
 Wchodząc za wcześniej w to życie prawdziwe,  
 Niżej lub wyżej są nie bez przyczyny.  
 Król tej bezmiernej, bez granic krainy,  
 Którego miłość szczęściem tak wysokim,  
 Taką miłością jej mieszkańców poi,  
 Że każda żądza tu jest w pełni swojej:  
 Stwarzając wszystkie dusze pod swym okiem,  
 Sam je nierówną łaską uposażył,  
 Jak ją na szali swej woli odważył.  
 Pismo ci święte najwyraźniej mówi  
 O dwojgu bliźniąt, jak niesforne dziatki  
 Trzęsły się z gniewu w żywocie swej matki,  
 Bo niebo daje każdemu duchowi  
 Koronę łaski wedle barwy włosa,  
 Równie wybrani wstępują w niebiosą  
 Na różne stopnie, różnica ich cała  
 Jest w treści, jaką pierwsza łaska dała.  
 Zrazu dość było dla nieba dziedziców  
 Przy niewinności mieć wiarę rodziców,  
 A gdy się pierwsze wypełniły czasy,  
 Na przyszłe życia trudy i zapasy  
 Krzepiono męskie dzieci obrzezaniem.  
 Lecz gdy czas łaski przyszedł z zwiastowaniem  
 Wesolej wieści, nowo narodzeni  
 Bez chrztu pomarli, nie w imię Chrystusa,  
 Trzymani byli w piekielnej przedsieni.  
 Teraz w twarz spojrzysz, w ten obraz uroczy,  
 Najpodobniejszy do twarzy Chrystusa,  
 Blask jej oswoi z światłością twe oczy,  
 Że ujrzą w końcu samego Chrystusa».

I na nią duchy lały deszcz radości.  
 Stworzone wzlatać do tej wysokości,  
 Że com wprzód widział, żadne tu widzenie  
 Mnie nie wtrąciło w takie zadziwienie,  
 Nie pokazało, jak ta światłość błoga  
 Tak zbliżonego podobieństwa Boga.  
 Miłość, co pierwsza, śpiewając, zstąpiła,  
*Ave Maria* gdy tę pieśń nuciła,

Przed nią szeroko swe skrzydła rozpięła.  
 Na tę pieśń boską, z miejsca, gdzie kto siedział,  
 Wszelki duch święty chórem odpowiedział,  
 Aż twarz jej świecić pogodniej zaczęła.  
 — «O święty ojcze! Coś tu zszedł gotowy,  
 Z twojej na wieczność tak słodkiej stolicy,  
 Zgasić pragnienie moje z twej krynicy,  
 Jaki to anioł, co takim spojrzeniem  
 Pogląda w oczy niebieskiej królowej,  
 Tak zakochany, że się zda płomieniem?»  
 Jeszcze wiedzenia żądza nieustanna  
 Tak mi kazała zapytać świętego,  
 Który od blasku Maryi wielkiego  
 Piękniał jak gwiazda od słońca poranna.  
 A on: «W nim znajdziesz, co anioł mieć może,  
 Łaskę i ufność w miłosierdzie boże.  
 On to zniósł palmę dla Maryi w czasie,  
 Kiedy nasz ciężar Bóg Syn przyjął na się.  
 A teraz wyteż, ile wzrok dosięże,  
 Jak będę mówił, oczy przenikliwe,  
 Abyś mógł widzieć tego państwa męża,  
 Arcypobożne, arcysprawiedliwe!  
 Ci dwaj szczęśliwsze mają przeznaczenie,  
 Bo są najbliżej przy tronie Augusty,  
 Jak dwa rodowe tej róży korzenie.  
 Po jej lewicy jest ojca siedzenie,  
 Który zżuł owoc łakomymi usty,  
 Aby ród ludzki pożywał gorycze.  
 Po jej prawicy patrz w święte oblicze  
 Ojca Kościoła, któremu jak bratu  
 Chrystus przy swoim zdał Wniebowstąpieniu  
 Klucze od tego tak pięknego kwiatu.  
 Patrz, ten, co widział w proroczym widzeniu  
 Bolesne czasy, a na tle ich łzami  
 Słakana pięknej twarzy oblubienicy  
 Zdobytej krwawo włóczęgą i ćwiekami,  
 Przy Piotrze siedzi; z pierwszym po lewicy  
 Wódz ludu zasiadł w majestacie chwały,  
 Ludu, co płochy, w grzechu skamieniały,  
 Pożywał z nieba spadającą mannę.  
 Patrz na siedzącą przeciw Piotra Annę,  
 Jak wzrok szczęśliwa zatapia w kwiat róży,  
 W lica swej córki, że oka nie zmruży  
 W blasku światłości śpiewając Hosannę.  
 Naprzeciw wielkiej rodziny Pradziada  
 Łucyja siedzi, która twojej Pani,  
 »Ratuj go«, rzekła, gdy twoja powieka  
 Ściemniała w strachu na progu otchłani.  
 Teraz, gdy twoich marzeń czas ucieka,  
 Spocniemy w miejscu, gdzie spocząć wypada,  
 Jak dobry krawiec, który, ile staje  
 Sukna do skroju, taką suknię kraje.  
 I w Arcymiłość zatopimy oczy,  
 Ile podobna, przeniknij jej płomień,  
 Abyś twym okiem odbił jego promień,  
 Jednak ażebyś nie pomyślał z trwogi,  
 Że naprzód lecąc, cofasz się z pół drogi,

Gdy myśl do lotu swe skrzydła roztoczy,  
Pomódl się do Niej, bo modlitwa jedna  
Dla cię przyczyną Jej łaskę wyjedna;  
I w ślad idź za mną myślą, duszą całą,  
By twoje serce z modlitwą zaczęła  
Przeze mnie od niej w niczym nie odstało».   
I począł mówić tę modlitwę świętą:

## Pieśń XXXIII

Zakończenie. Modlitwa św. Bernarda. Matka Boska. Trójca Przenajświętsza.

«Dziewico, matko, córko twego syna,  
Najpokorniejsza i najwyższa w niebie,  
Przedwiecznej woli granico jedyna!  
Ludzka natura w tobie i przez ciebie  
Tak się podniosła, że z jej uszlachceniem  
Nie wzgardził stać się jej Stwórca stworzeniem  
W żywocie twoim, o Matko, Dziewico,  
Zatliłaś miłość, pod której gorącym  
Kwiat ten kielichem świecąc gęstolistym,  
Bujnie w pokoju rośnie wiekuistym.  
Tu jesteś łaski południowym słońcem,  
Na ziemi żywą nadziei krynicą.  
Niewiasto, twoja tak wielka potęga,  
Kto cię nie błaga, a po łaskę sięga,  
Bezskrzydłą żądzą ten w górę się wznosi.  
Dobroć twa wspiera nie tylko, kto prosi,  
Często przygiętych boleści ciężarem  
Uprzedza prośbę dobrowolnym darem.  
W tobie się łączy, miłosierdzia Pani,  
Pobożność, miłość, dobroć, szczodropliwość.  
Oto ze świata najgłębszej otchłani  
On, który wchodząc na te niebios szczyty  
Widział kolejną wszystkie duchów byty,  
Błaga cię, wzmocnij w łasce jego oko,  
Aby widzeniem wznosił się tak wysoko,  
Gdzie ostateczna jest jego szczęśliwość.  
Ja, com goręcej takiej wzroku siły  
Nie życzył sobie, jak jemu tu w niebie,  
Wszystkie modlitwy moje ślę do ciebie,  
Błagając, oby daremne nie były!  
Niechaj on swojej śmiertelności błędy  
Za twą przyczyną jako mgły rozproszy,  
Aby mógł utkwąć wzrok w arcyrozkoszy.  
Ty, która możesz, co chcesz, o Królowo!  
W nim twą opieką zwalcz krewkie popędy,  
Błagam cię jeszcze, po widzeniu takim,  
Chciej w nim zachować chęć i wolę zdrową.  
Patrz, Beatrycze z błogosławionymi  
Składają ręce i całym orszakiem  
Modlą się, łącząc swe prośby z moimi».   
W mówcę przez Boga ukochane oczy  
Utkwione dały nam znać jako posły,  
Jak głos modlitwy dla niej jest uroczy;

Potem na wieczne światło się podniosły,  
 Trudno uwierzyć, że twór w takie słońce  
 Zatapiał oczy tak przenikające.  
 Do kresu wszystkich mych żądz, gdym z zapalem  
 Zbliżał się, czułem, zdumion nie po mału,  
 Jak stygł żądz owych cały żar zapalu.  
 Bernard z uśmiechem wskazywał mi gestem,  
 Ażebym w górę patrzył, i patrzyłem  
 Czując, że takim, jak być życzył, jestem,  
 Bo wzrok mój wedle ducha przemienienia  
 Był więcej czystym i wrażał spojrzenia  
 Coraz to głębiej w arcyświatło żywe,  
 Które jest jedno przez siebie prawdziwe.  
 Wzrok mój był odtąd wyższy nad moc słowa:  
 Słowo i pamięć zbytnim wysileniem  
 Mdleją przed takim korząc się widzeniem.  
 Jako widzący we śnie po minionym  
 Marzeniu czucie swych wrażeń przechowa,  
 Choć rys obrazu tonie w tle zamglonym,  
 Takim ja jestem, bo moje widzenie  
 Wionęło z duszy jak senne marzenie.  
 A jeśli słodycz z niego urodzona  
 Czuję, jak spada kroplami w to serce,  
 Tak śnieg od słońca topnieje niezwłocznie,  
 Tak się rozleca, kiedy wiatr zadmucha  
 Na wiotkich liściach spisane wyrocznie.  
 Śmiertelną myślą, o niedościgniona,  
 Wieczna światłości, wskrzesz z mojego ducha,  
 Częstkę płomienia na twe podobieństwo,  
 Zapal mój język, aby choć w iskierce  
 Przekazał przyszłym pokoleniom gwoli  
 Chwałę płomiennej twojej aureoli,  
 Aby przez trochę wrażeń z mych uniesień,  
 Przez trochę dźwięków odbitych z mych pieśni,  
 Świat łatwiej pojąć mógł twoje zwycięstwo.  
 Wierzę na ranę palącą jak płomień,  
 Jaką mym oczom zadał żywy promień,  
 Że mógłbym nagle olsnąć, gdyby były  
 Oczy się moje odeń odwróciły.  
 Pomnę, jak wolą przezeń ośmieloną  
 Dopótym wzroku wyteżał potęgę,  
 Aż go stopiłem z siłą nieskończoną.  
 Obfita łasko! Przez którą tam śmiałem  
 Tak oczy w wiecznej zatapiać światłości,  
 Że czułem, jak w niej wzrok mój przetrawiałem:  
 W jej głębokościach treść rzeczy widziałem  
 Z miłością w jedną oprawionych księgę,  
 Porozrzucanych kartami po świecie.  
 Rzeczy, wypadki, ich różne własności,  
 W księdze tej łączy taka jedność zwięzła,  
 Jak w pączku kwiatu zieloność i kwiecie.  
 Nawet powszechną formę tego węzła,  
 Najmocniej wierzę, że widział na oko,  
 Bo gdy to mówię, radość niepowszedna  
 Czuję, jak pierś mi wypełnia szeroko.  
 W letarg mnie większy wtrąca chwila jedna,  
 Niż świat dwudzieste i więcej stulecie,

Odkąd na wielkie Neptuna zdziwienie  
 Po morzach Argów pławiły się cienie.  
 Duch mój tym światłem zachwycony żywym,  
 Coraz się większym zapalał podziwem;  
 A tej światłości skutek tak uroczy,  
 Że niepodobna od niej zwrócić oczy,  
 I patrzeć w inną rzecz z uwagą nową,  
 Jeżeli dobro jako przedmiot woli  
 Z nią się bezwzględnie i całe zespoli;  
 Bo w nim jest tylko doskonałość, dzielność,  
 Za krańcem jego błąd i skazitelnosć.  
 Odtąd już słabszym stanie się me słowo,  
 Aby rozwinąć moich wspomnień zwoje,  
 Od głosu dziecka w pierwszym jego roku,  
 Gdy jeszcze piersią wilży usta swoje.  
 Nie, żeby wieczne to światło w mym oku  
 Łamało promień z potężniejszą siłą,  
 Które jest zawsze też same, jak było;  
 Cała przyczyna leży w moim wzroku,  
 Który, gdym patrzył, wzmacniał się tajemnie,  
 Gdy się zmienilem, sam się skaził we mnie.  
 Widziałem w kształcie troistych obręczy  
 W głębi najwyższej światłości trzy kręgi  
 Troistej barwy, jednego rozmiaru,  
 Odblask dwóch pierwszych był równej potęgi,  
 Jak gdy się tęcza odbija od tęczy,  
 Trzeci wiał z obu jakby ogniem żaru.  
 Myśl chcąc wyrazić, czuję chrypkę w głosie,  
 Od moich widzeń skrzydło myśli śmiało  
 Odległe więcej jak o niebo całe,  
 A słowa moje tak karle i małe!  
 Światłości wieczna, co w sobie zamknięta,  
 Jedna pojmujesz siebie i pojęta  
 Kochasz się w sobie, uśmiechasz się do siebie!  
 Krąg, który, zda się, poczętym był w tobie,  
 Jak promień światła w źrenicy złamany,  
 Gdy po nim oczy moje przebiegały,  
 Zdało się, patrząc, po środku miał w sobie  
 Nasz obraz własną barwą malowany,  
 Dlatego wzrok mój w nim utonął cały  
 Jak geometra, co niespaniem błądy  
 Ślęczy nad kołem do zawrotu głowy  
 I nie znajduje szukanej zasady,  
 Stałem się takim na ten widok nowy!  
 I chciałem widzieć, jak ten obraz społem  
 Przysłał do koła i złączył się z kołem;  
 Lecz tam nie mógłbym wzlecieć skrzydłem własnym,  
 Gdyby nie duch mój rażon światłem jasnym,  
 W którym już jego żądy nic nie drażni.  
 Tu mdleje siła mojej wyobraźni;  
 Lecz chęć i wola jako potoczone  
 Koła zarazem w kolej swojej jazdy,  
 Przez miłość w inną zwróciły się stronę,  
 Miłość, co wprawia w ruch słońce i gwiazdy.

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji **Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL**.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/boska-komedia>

Tekst opracowany na podstawie: Dante Alighieri, Boska Komedia, tłum. J. Korsak, Nowe wydanie: Część I. Piekło; Część II. Czyściec; Część III. Raj, nakł. i druk. Wilhelma Zukerkandla, Złoczów

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Śląską z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BŚ.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Anna Ficek, Karolina Koziół, Katarzyna Janus, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska, Weronika Trzeciak.

ISBN 978-83-288-0002-1

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.